

Nr. tel. 506 929 775

HELENA

KOWALIK

WARSZAWA

KRYMINALNA



MUZA SA

Projekt okładki: *Michał Korsun*
Fotografia na okładce i wewnątrz: *Izabela Szymczak*
Redaktor prowadzący: *Bożena Zasteczna*
Redaktor techniczny: *Sylvia Rogowska-Kusz*
Korekta: *Zespół*

© tekst by *Hełena Kowalik*
© for the Polish edition by *Muza SA, Warszawa 2010*

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez pisemnej zgody posiadacza praw.

ISBN 978-83-7495-855-1

Książkę wydrukowano na papierze
Cieplemy 2,0 60 g/m²
dołączonym przez
Mercator Papier Sp. z o.o.

MERCATOR
PAPIER

www.mercatorpapier.com.pl

MUZA SA
00-590 Warszawa
ul. Marszałkowska 8
tel. 22 6297624, 22 6296524
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360, 22 6293201
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Warszawa 2010
Wydanie I

Skład i łamanie: *MACRAF S.C., Bydgoszcz*
Druk i oprawa: *Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca, Kraków*

Musimy być niewolnikami prawa, abysmy byli wolni
(Cyceron)

Bogdanowi, opoce w moim życiu

FAKIE CZASY	9
Sympatia z planką krwi	11
Przepraszam, udusiłem pani córkę	31
Bezpruderyjna do wykorzystania	40
Albo ty, albo ja	49
Prawo linczu	59
Mamy go!	78
Jedną córkę zabieram	87
OSKARŻENI W BIAŁYCH KOKNIERZYKACH	97
Pozdrowienia z Ostrołeki	99
Motyłem jestem	119
Operacja "białe fartuchy"	130
POLITYKA W TLK	145
Agent z ręką w walizce pieniędzy	147
Z kosą na lewaka	165
W imieniu „rzeczpospolitej”	176
Ubeckie donosy z syjahlui	196
Agent „Collona” żąda odszkodowania	213
ZAPACH PIENIĘDZY	223
Jest cisza i krwawe niebo	225
Listy spod celi	242
Czuje jego obecność	254
Pociągnęła za sobą brata	269
Falszertzowi drgnęła ręka	288
Czyż nie dobiją się socimperatorów?	303
Żerował na nazwisku legendarnego barda	317
Kochany stryjek Fredzio	332
KSIYMA ZAMIĄST NAZWISKA	343
Skruszony	345
Cień w lustrze weneckim	364
Za ślupem stał gangster	384
Zamulone drugie dno	393
Palec na ustach, ręka na gardle	410
CZY PRZESTĘPSTWO POTRZEBUJE JEDYNNIE PRETEKSTU?	
— rozmowa B. Piwnik z prof. Gierowskim	420
Widok z ławy dla publiczność	435
Podziękowania	439
O Autorce	440

**TAKIE
CZASY**

Edyta była tego dnia bardzo niespokojna – zeznał przed sądem jej kolega z pracy Andrzej K. – Zazwyczaj bardzo uważna, konkretna, wszak robiła w finansach, co trochę odrzywała się od papierów, aby zadzwonić przez komórkę. Siedzieliśmy biurko w biurko. Od razu zorientowała się, że telefonowała do swego chłopaka Arka. Wdórcie mieli brać ślub. We Włoszech, bo tam mieszkali jego rodzice.

Andrzej K. nigdy tego narzeczonego nie widział. Ale od kilku miesięcy był miłownym świadkiem wybuchu gwałtownego uczucia swej koleżanki. Dzwoniąc, nie mogła się powstrzymać przed prawnieniem swemu mężczyźnie czułych komentarzów. K. znał też szczegóły pewnej operacji finansowej, jaką Arek – właściciel firmy zakładającej internet w biurowych budynkach – przeprowadzał z pomocą swej dziewczyny. Chodziło o kupno w Niemczech sprzętu komputerowego i natychmiastowe odsprzedanie z dużym zyskiem kontrahentowi w Polsce.

Edyta W. mówiła, że to będzie interes ich życia. Za zarobione pieniądze zamieniła jej obecne mieszkanie na większe, urządziła się.

Był tylko jeden problem. Pieniądze. Narzeczonemu już przelał na konto sprzedającego sprzęt swoje 78 000 złotych, tytułem kaucji. Do zapłacenia całego rachunku brakowało mu 60 000 zł. Kontrahent zastrzegł, że jeśli klient nie wpłaci całości w terminie, zaliczka przepadnie. Dziewczyna robiła wszystko, aby pozyczyć tę resztę z banku, od swej firmy, a także od znajomych. Kolega, który widział jej gorączkowe zabiegi łączył się, że interes życia nie jest asekurowany umowami. Nie podobały mu się warunki transakcji: jeśli odbiorca sprzętu nie zapłaci umówionego dnia, kaucja przepada. Ale Edyta, absolwentka renomowanej uczelni ekonomicznej, pozostawała głucha na jego rady. Przelata zgromadzone pieniądze, ucalaowała narzeczonego na drogę (elementy komputerowe miał odebrać w Koszynie nad Odrą) i przez pół dnia, zamiast pihnować biurowej buchalterii, pilotowała Arka telefonicznie, wodząc palcem po mapie drogowej. Nazajutrz, w czwartek 10 listopada 2005 r., tuż przed długim weekendem, mieli się spotkać na uroczystej kolacji. Tym razem w mieszkaniu na warszawskim Żoliborzu, które Arek wynajmował od kolegi, pracującego za granicą. Rozliczą swoje wkłady w transakcję życia, a potem... rozmarzona dziewczyna zasięgała nad robotą rozłożoną na biurku.

Andrzej K. właśnie tak ją zapamiętał.



Trzydziestoletnia Edyta, mieszkająca w Warszawie dopiero od kilku lat, poznała Arkadiusza B. na portalu „Sympatia.pl”. To przyjaciółka Wioła poradziła jej szukać znajomości w internecie. Jej się udało, ma kogoś, poznanego właśnie tą drogą. Edyta wykupiła abonament.

Mężczyzna, który 19 sierpnia 2005 r. o godz. 13.20 odpowiedział na anons Edyty, prezentował się na zdjęciu jako luzak. Długie włosy, szeroki uśmiech, widoczne bicepsy. Twarz... Darwin okiesliłby ją jako typ neandertalski. Stał w samych

szortach nad jeziorem i trzymał taaką rybę. To, jak się przedstawił, pasowało do fotografii, na którą Edyta patrzyła.

– Jestem romantycznym chłopakiem, który poszukuje odrobiny szczęścia w życiu. Mieszkam i pracuję w Warszawie. Wykształcenie wyższe. To znaczy wcześniej studiowałem na AWF, a teraz na Wyższej Szkole Prawa i Administracji. Zainteresowania: biznes i gospodarka. Nie mam problemu z brakiem pieniędzy. Marzę o wesołej, sympatycznej dziewczynie, która ceni szczerść i czas spędzony we dwoje. Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, odpisz.

Ona odpowiada, podaje swój adres e-mailowy. Już po kwadransie przychodzi zwrot na pocztę. Dorzuć parę informacji o sobie: wnuk kultowego reżysera, lubi spacerować w parku wilanowskim, często zachodzi do Muzeum Narodowego, ma młodszą siostrę Anię, która podobnie jak ich rodzice mieszka we Włoszech. A teraz kolej na nią.

– Co ci napisać? – odpowiada Edyta. – Jestem normalną dziewczyną, optymistyczną nastawioną do świata i otaczających mnie ludzi. Otwarta, szcera, tego samego oczekuję od drugiej osoby. Niepoprawna optymistka, aczkolwiek ostatnio dosyć twarde stąpająca po ziemi. Chętnie pomagam innym, nie toleruję kłamstwa i obłudy. Aktualnie pracuję w zagranicznej firmie, administrującej budowę hotelu. (...)

Na koniec uwaga: – Osobiście nie jestem przekonana, że na stronach „Sympatii” można spotkać tę drugą połówkę jabłka, ale próbować nie zaszkodzi...

Jeszcze tego samego dnia wieczorem on opowiada, co lubi robić:

Opalać się: najchętniej było na przepustce w Chorwacji, gdy zaciągnął się do oddziałów ONZ.

Gotować; preferuje kuchnię śródziemnomorską. Właśnie w tej chwili robi pizzę ziołowo-serową. Do tego wino – chilijskie, chociaż lepsze byłoby australijskie czerwone wytrawne. Ale akurat tego nie ma pod ręką. Nienawidzi restauracji, gdyż jako dziecko spędził tam wiele godzin zabierany przez matkę, która nie potrafiła zrobić nawet jajeczniczy.

Ona: – Mężczyzna swobodnie czujący się w kuchni? Chciałabym poznać takiego w realu.

On: – Może się uda.

Edyta wysyła mu swój numer telefonu

Nazajutrz rano znów do siebie e-mailują.

Ona opowiada o swojej pracy – właśnie siedzi w biurze – że jest to przedsiębiorstwo z Austrii.

On reaguje natychmiast – co za zbieżność, ta firma kiedyś chciała współpracować z jego ojcem, który prowadzi na dużą skalę inwestycje budowlane. Ale, uprzedza jej pytanie, dosyć o interesach. Wieczór; to pora na wypicie wina, zwierzania. Ma w domu piwniczkę do przechowywania tego trunku. Zaopatruje się bezpośrednio we włoskich winnicach przy okazji odwiedzin rodziny.

– Chodźcie z pewną Anią... – zmienia temat.

Ale rozstali się. Ciężko to przeżył, był nawet na medytacjach w klasztorze. Już nie boli, jednakże czuje się samotny. Nawet psa Kodiego nie ma teraz przy nim. Pojechał z rodziną do Włoch. – Pokażę ci jego zdjęcie – zapowiada, na moment odchodząc od komputera – po chwili na monitorze Edyty pojawia się roześmiany pysk wilczura. Umawiają się na spacer w łąkach.

Po powrocie do domu ona natychmiast zwierza się przyjaciółce: – Dostałam różyczkę – pisze w e-mailu – którą zniecałk wyciągnął spod kurtki. Mówię ci, to nie jest facet, który szuka przygody. Ma bardzo poważne podejście do życia. Zapytałam, skąd jego pseudonim Atilla, którym posługiwał się na „Sympatii”. Okazało się, że to nazwa przywódcy Hunów, który rozbił Cesarstwo Rzymskie. (Ha, ha, że niby tak! niepokonyany?). Miesiąc później ona zaprasza go przez internet do siebie na obiad.

– Na co masz ochotę? – pyta.

Arek: – Tzn.?

Edyta: – Do zjedzenia)

Arek: – Ależ Gwiazdko. Ja żyję na batonikach, więc wszystko zrobione twoimi łapkami będzie super.

Edyta: – No nic, sama coś wymyślę :). A co robiles do południa?

Arek: – Kablowalismy budynek. Została tylko informatyka i można podłączyć.

Edyta: – Lubisz lasagne?

Arek: – Pewnie. Wytrawne teramo z środkowych Włoch pani odpowiada? Rozcznik 2002?

Edyta: – Proszę cię, żebyś nic nie przywoził ze sobą.

Arek: – Ja bardzo chcę. Specjalnie pojechałem do mieszkania, żeby zabrać to wino.

Edyta: – Czekam na ciebie.

Nazajutrz rano ona do przyjaciółki: – Przyjechał z różą. No i wiesz... Został do rana. W czasie śniadania powtarzał: co ty ze mną zrobilas, przewrócilas mi świat do góry nogami. Dał mi karteczkę, żebyem odczytała, gdy już wyjdzie. Napisał: „Kocham cię. Chcę ci otworzyć drzwi do raj”. Boże, jaka jestem szczęśliwa. Słuchaj, pęde, jestem cholernie spóźniona.

Ledwo usiadła przy biurku i otworzyła komputer, wypnęło listami od niego:

Arek: – Co robi teraz moja Gwiazdeczka?

Edyta: – Pije herbatkę i robi jakies przelewki.

Arek: – A myślałas o mnie troszeczkę?

Edyta: – Baardzo duzo. A może ty uważasz, że się zbytnio pospieszyliśmy?

Arek: – Skąd. Bardzo się cieszę. Kochanie, muszę zaraz jechać na miasto.

Edyta: – Cześć Stoneczko.

Arek: – Cześć Gwiazdko.

Wieczorem znów e-mailują. Kilka godzin. O północy Edyta pisze mu na dobranoc: „Śpij słodko”.

Arek: – Na pewno nie. Już ci się znudziłem.

Edyta: – Ale dlaczego tak mówisz?

Nazajutrz w godzinach pracy:

Edyta: – Gdzie jesteś Miszaczku? Komputer milczy, telefon nie odpowiada. Sęsknijam się za Tobą.

Arek po godzinie: – Też się sęskniłem. Ale strasznie jestem zarobiony.

Edyta: – Złowiłeś się tak nagle, taki cudowny, kochany, wspaniały. Boje się, że-
by cię nie stracił.

Arek: – Jestem jak rzep. Jak już się do kogoś przycepię...

Edyta: – Tak bardzo chciałabym się do Ciebie przytulić. Cudownie być w twoich ramionach.

Arek: – Miałbym jeszcze dnuuzo siły, gdybyś była obok.

Edyta: – I jak ja mam cię nie kochać!

Arek: – Musisz skarbie. MUSISZ.

Edyta: – Momentami myślę, że nie pasuję do Twojego otoczenia, Twojej rodziny. Zwylka dziewczyna z prowincji. Z moim wyglądem...

Arek: – Co za głupoty skarbie. Ty jesteś moim otoczeniem, wszystko inne zaczyna być tem.

Edyta: – Nie zobaczymy się w weekend? (To pierwszy sygnał, że Arkadiuszowi B. wcale nie spieszo do Edyty. W ciągu kilku miesięcy znajomości ona będzie wielokrotnie prosiła o wspólną kolację, a choćby i spacer. On się wykręci nadmiarem rozmów od klienta albo przerwie telefoniczną rozmowę w pół zdania pod pretekstem, że „padła mu bateria”).

Arek: – W weekend mam uczenie.

Edyta: – Mimo że tak krótko się znamy, jestem Ciebie pewna.

Arek: – Nie zawiodę cię nigdy. Zakręciłaś mnie nieźle.

29 września 2005 roku ona przepisuje do SMS-ów treść sentymentalnych piosenek, cytując miłosne wiersze. Możliwe, że niektóre są jej autorstwa: „Czegoś mi brak/czegoś pięknego/ dotyku Twoich warg/ uśmiechu Twego/ oczu kochanych, gorących słów/ tych pieszczot słodkich jak miód”.

Arek: – Obiecuję, że nie będę Cię dłużej męczył dziś wieczorem.

Edyta: – A może ja bym chciała, żebyś mnie pomógł? A co chciałabyś mi powiedzieć słoneczko?

Arek: – Że Cię Kocham.

Edyta: – Moje Ty Kochanie Najdroższe.



Nikt z jej bliskich nie widział Arkadiusza B. Takie było jego życzenie – chciał zrobić wszystkim niespodziankę wiadomością, że się pobierają. Spotkanie z rodzinami było planowane na 19 listopada. Arek miał wręczyć dziewczynie rodowy pierścionek, który jego matka obiecała przywieźć z Włoch.

Przed wizytą Edyta wymyka się na jeden dzień do rodzinnego Łowicza, aby opowiedzieć matce o swoim szczęściu.

– Gdy tylko stanęła w progu – zeznała w sądzie pani W. – od razu domyśliłam się, że coś ważnego zdarzyło się w jej życiu. Powiedziała, że poznała go przez znajomych. Trochę się dziwiłam. Ma bogatych rodziców, dobrze prosperującą firmę i jeździ starym polonazem? Ale Edyta zaraz go bronila – nie przywiązuje wagi do rzeczy materialnych. Chciałam wiedzieć, gdzie będą mieszkać po ślubie. W jej M3?

– Dla takiego świątowca – córka śmiała się – to za mała przestzeń. Na razie zamienią jej dwa pokoiki na większe, a potem przeniosą się do 200-metrowego mieszkania jego starej ciotki, która zapisała mu ten lokal za opiekę.

Edyta nie mówi Arkowi o rozmowie z matką. Jej powiernicą jest Wiola W. Na 14 listopada są umówione na przymierzanie sukni ślubnej.

– Chciałam Arka poznać – opowiedziała W. dwa lata później na rozprawie sądowej. – Edyta mówiła, że on ją błaga, aby utrzymała wszystko w tajemnicy, to jest takie romantyczne. Jakoś mi to nie pasowało. Ale na sprawdzenie choćby jego firmy miałam za mało danych.

Tymczasem narzeczeni rozmawiają przez internet, jak urządzić swoje mieszkanie po ślubie.

Arek: – W domu uwielbiałem wannę – wielką, kwadratową. W naszymi wołę nie wykonńczyć od razu paru pokoi, ale zrobić dużą łazienkę.

Edyta: – ...ale taką fajną, właściwie salon i z kabiną do masażu.

Kilka dni później Edyta „ma doła”, jak się zwierza Arkowi. Po to wysłała jej zdjęcie swojej poprzedniej dziewczyny. Ani? Tamta jest ładniejsza. – Boję się takiego porównania – wyznaje.

A on jak dzieńtemen: – To ty moją żoną będziesz.

Edyta: – Podejrzewam, że piszesz jeszcze z kilkoma innymi osobami.

Arek: – To mnie pilnuj i dbaj o mnie.

Edytę nadal coś dęczy. Wysyła SMS do przyjaciółki: – Czasami dziwnie ze mną rozmawia, nienaturalnie się zachowuje. A nazajutrz jest wszystko OK.

Wiola w odpowiedzi: – Nie wiem dlaczego, ale martwię się o ciebie. To irracjonalne. Teraz leczę do Paryża, pogadamy, gdy wrócę, po 10 listopada.



Edyta nie ma czasu na analizę dziwnych przeżyć Wioli. Musi się sprężyć, aby doszedł do skutku ów interes życia. Bardzo stara się zdobyć potrzebne Arkowi pieniądze, ale to nie jest takie proste.

Tymczasem 19 października dostaje dziwny e-mail:

„Hejka Edyta. Pewnie nie wiesz, kim jestem. Więc się przedstawiam. Nazywam się Ana. Zastanawiasz się, czego chcę od Ciebie? Otóż, jako osoba miła i wrażliwa chcę

ci pomoc. Dobrze rozumiesz, pomoc. Przez przypadek wpadł mi w ręce twój adres e-mailowy. Wiem, że od dłuższego czasu spotykasz się z Ankiem, ale uwierz, to nie ma sensu. Byłam z nim dłuższy czas kilkanaście miesięcy temu i wiem, że na pewno do mnie wróci. Po prostu chcę ci oszczędzić stresu. I proszę cię, żebyś odpuściła sobie. Zapewniam cię cukiereczku, że ja nie odpuszczę. Już w tej chwili jestem Arkowi potrzebna. To ja mu pomogę zrealizować jego marzenia i cel – mam na myśli pewną transakcję finansową. To niewygodowana cena za szczęśliwe życie, prawda? Teraz wyjeżdżamy we dwoje na kilka dni i postaram się, aby ten weekend na długo mu zapadł w pamięci. Się serdecznie pozdrowienia. Aneczka”.

Edyta w e-mailu do przyjaciółki przebywającej w Paryżu: – Ta Ania nigdy nie zniknie z naszego życia. On wszystkiemu zaprzecza, mówi, że nie widział, jej odkałd zerwali, ale ja nie mogę spać. Że też on nie widzi jej gry i jaka jest wredna.

Dwa dni później pisze do Arka rano z biura:

– Wstrawaj, mój Książę. Głęboko wierzę w miłość, która nas łączy, dlatego też nie pozwolę, by ktokolwiek stanął na drodze do naszego szczęścia. Ty jesteś Moją Półweczką Jabłuszka, nikomu Cię nie oddam.

Arek: – Jak zmierzyc moją tęsknotę do Ciebie, Skarbie? Chcę zostać z Tobą na resztę życia, Gwiazdeczko. Nie przepędzisz mnie i już.

– Edyta po liście od Aneczki postanowiła uprzedzić rywalkę i wziąć kredyt pod hipotekę swego mieszkania – zeznał w sądzie jej kolega z pracy. – Ubiłagała też szefa, aby poręczył za nią w kasie zapomogowej.

Arek codziennie pyta, ile zebrała, co załatwiła. Ona melduje: właśnie jest po rozmowie w PKO o pożyczce hipotecznej na jej M3.

On ją zagryzewa do starań o pieniądze, zapewniając o swej miłości. O czwartej nad ranem 22 października wysłał jej e-mail: – Myślę o Tobie nieustannie. Mocno Kocham.

Edyta odpowiada natychmiast (też nie śpi?): – Gdybyś był troszkę bardziej elastyczny, Kochanie moje, to nie musielibyśmy teraz rozmawiać za pośrednictwem internetu. Dobrze wiesz, że mógłbyś się do mnie wprowadzić na ten czas, zanim kupimy duże mieszkanie.

Arek: – Kotuś...

Edyta: – Wiem, wiem. Dobranoc.

Nazajutrz rano wysłał mu SMS-a: – Kiedy pojedziemy do USC, jeśli oczywiście nadal tego chcesz?

Arek: – Pewnie, ja jestem stały w uczuciach. Nie będę czekał, bo mi umkniesz.

Edyta: – Kiedy me oczy zobaczą Ciebie? A usta odnajdą usteczka Twe?!

Arek: – Gdy gwiazda zaranna swe jarzmo uwolni, a bóg z morza słońcu wstać każe.

Edyta kilka dni później, 27 października: – Jakoś dziwnie ze mną rozmawiasz. Półśłówkami, jakby Cię to wszystko męczyło. O co chodzi? Ta niepewność mnie po prostu wykańcza.

Arek: – A bo zaczynam żalować, że puściłem klientowi ten przelew. To jednak kupa mojego kapitału. Jakby nie wyszło, wszystko stracę.

Edyta: – Ja też siedzę jak na szpilkach. Dzwoniła doradca z PKO, że wszystko na jak najlepszej drodze. Dzisiaj będzie odpowiedź i może jeszcze podpiszę umowę. Kocham Cię!!! Pójdiesz w środę, zamówić termin naszego ślubu? Już nie mogę się doczekać tego najcudowniejszego dnia. A co mi teraz odpowiesz?

Arek: – Jestem mały pyłek, a Ty całym moim światem. (Rozłącza się).

31 października. Edyta: – Nie dadzą mi na hipotekę. Za dużo wzięłam kredytów. Kochanie, co teraz zrobimy? Do kiedy musimy zapłacić za towar?

Arek: – Do długiego weekendu muszę to zrobić.

Edyta: – Nie możemy pozwolić, aby stracić tyle pieniędzy. Ja – w przeciwieństwie do Ciebie – wierzę, że uda mi się zebrać.

Arek: – Skarbie mój, wiem, że jesteś aniołem, ale to Bóg jest wszechmogący, a nie aniołowie.

Edyta: – ...poza tym, jeszcze z City Banku będzie kredyt i teraz wystąpię o mniejszą kwotę, więc zachowam zdolność.

Arek: – Jesteś czymś najcudowniejszym, co mogło mi się w życiu przydarzyć.

Edyta: – Przyjedziesz dziś do mnie?

Arek: – Kochanie, jestem padnięty. Raczek nie dojadę przed nocą, skarbie...

Edyta: – Boję się, że jakbyś coś nie wyszło, to mnie zostawisz. Z tym twoim klientem wszystko bez umowy, na słowo. Nie mogę przestać o tym myśleć. Jesteś tam? Hallo?!

Arek nie odpowiada, nazajutrz się wythumaczy, że padł mu komputer.

6 listopada. Edyta: – Brakuje już tylko 10 tysięcy... Jutro zrobię przelew na twoje konto i resztę pieniędzy dam Ci w gotówce. Nie mogę się denerwować, bo za dużo jest do stracenia. Podziwiam Twój spokój.

Arek: – To próba zachowania zimnej krwi. Gdy w 1815 roku na Napoleona nacierało 20 000 wojsk koalicji angielsko-pruskiej, on stał na wzgórzu niewzruszony i patrzył na zbliżającego się wroga... Wtedy marszałek de la Garde powiedział: – Podziwiam wasz spokój, ekscelencjo. A Napoleon: – Tylko zimna krew pozwoli zachować trzeźwość widzenia całej sytuacji.

Edyta: – Ale to nie zmienia faktu, że brakuje nam 10 000 złotych.

Arek: – Damy sobie radę. To tylko kilka dni (...). Pojedziemy po południu na Wileńską?

Edyta: – Dlaczego akurat tam?

Arek: – Widziałem tam u jubilera oryginalne obrączki.

Edyta: – I potem zostaniesz u mnie do jutra? Za każdym razem muszę Cię prosić.

Arek: – Mam zostać małżeństwem i ty zadajesz takie pytanie! Wacpanna możesz tylko rozkazywać, a nie prosić.

10 listopada. Edyta zwierza się koledze z biura, że Arek odebrał w Koszynie towar, ale rozliczenie, ile na tym zarobili, przesuwa się o kilka dni po weekendzie.

To może i dobrze, uspokaja się, przynajmniej buchalteria nie zakłóci im uroczystej kolacji, na którą naręczony zaprasza dziś wieczorem.

Ostatnia wiadomość tekstowa od Edyty do Arkadiusza B. przyszła na jego komórce 11 listopada o godz. 13.57. O treści: „Kocham Cię Kochanie moje najmocniej na świecie”. Policja ustaliła, że wiadomość nadano 9 listopada. To przypadek, że tak długo szła.



Dziesiątego listopada rodzice Edyty, jak co roku, wyjeżdżają na imieniny do teścia drugiej córki, Justyny. Podczas kolacji matka nashchuduje dzwonka telefonu – zazwyczaj o tej porze Edyta składała solenizantowi życzenia. – Nie denerwuj się, pewnie wyjechała na weekend i nie ma zasięgu – uspokaja ją starsza córka.

– Miałam taki straszny sen – zaczyna pani B. i urywa... – Przepraszam – kręci przecząco głową – nie chcę go opowiadać.

W poniedziałek 14 listopada już cała rodzina Edyty wydzwaniania na numer jej komórki. Słyszą tylko komunikat – abonent jest poza zasięgiem.

We wtorek Justyna jedzie do biura siostry. Dowiaduje się, że nie przyszła do pracy, nie zadzwoniła. Nazajutrz rodzina wraz z Wiołą, która wróciła z Paryża, jedzie pod dom Edyty. Obchodzą dookoła blok – nikt z nich nie ma kluczy – pytają dozorcę, czy na drugim piętrze nie zdarzył się pożar, może wzywano pogotowie? Nie, weekend minął spokojnie. Zatem trzeba zawiadomić policję. Gdy stoją w korytarzu, do tablicy ze zdjęciami osób poszukiwanych podchodzi młody, długowłosy mężczyzna.

– Wy jesteście od Edyty? – pyta napastliwie.

Ich mlczenie wywołuje u niego agresję. – A co myślicie, że ja jej coś zrobiłem?!

– Krzyczy: – Ja jestem wnukiem Barei, studiuję prawo, mam alibi. Ojciec Edyty pyta mężczyznę, jak się nazywa.

– Arkadiusz B.

Nie chcąc z nim dłuższej rozmawiać, ścigają strażaków z drabinią. Mieszkanie obrzane przez zamknięte okno nie budzi podejrzeń. Czysto, ład, tylko bez właścicieli. Następnego dnia drzwi otworzyła policja. Żadnych śladów włamania. Ale Justyna stwierdza brak laptopa i biżuterii.

B. znów się tam pojawia. Tym razem Wioła jest ze swoim chłopakiem i Arkadiusz mówi głównie do niego: że jego rodzina mieszka we Włoszech, matka jest lekarzem. A „ta panienka wysłudała mnie z pieniędzy, które jej pożyczylem. I pewnie teraz się ukrywa z forszą”.

– Przecież 17 grudnia miał być wasz ślub! – zdolała wykrzusić kompletnie zaszkoczone Wioła.

Odpowiedzią jest wzruszenie ramion. On słyszy o tym po raz pierwszy.

W następnych dniach Wioła upewnia się, że przyjaciółka nie była 12 listopada na przyniarce sukni ślubnej. W USC nie slyszeli o rezerwacji Arkadiusza B. na 17 grudnia.

Zaczęło się śledztwo w sprawie zaginięcia w Warszawie 30-letniej kobiety.

Jej kolega z pracy Andrzej K. opowiedział policjantowi o dziwnej rozmowie telefonicznej, jaką miał z naręczonym Edyty tuż po długim weekendzie. Przeszedł do ich firmy, gdy jego akurat nie było, przy biurku siedział pracownik Austriak. Nie mogli się porozumieć, więc obcojęzykowiec wykręcił mu numer telefonu Andrzeja K. B. pytał, co się dzieje z Edytą, czy data jakś znak życia, bo od czwartku jej szuka. Jest zaniepokojony tym zniknięciem, ponieważ pożyczyl jej dużą sumę pieniędzy.

– Zaskoczył mnie – zeznał przesłuchiwany. – Powiedziałem: „Przećz wieczorem byliście umówieni na rozliczenie transakcji z Niemiec”. Wtedy B. przerwał rozmowę.

Arkadiusz B. sam się zgłosił na komendę kilka dni po zniknięciu Edyty. Chciał się dowiedzieć, co policja robi w tej sprawie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział zaginioną. Na pewno nie było to 10 listopada.

Pokazał umowę z której wynikało, że pożyczyl Edycie 38 000 złotych.

– Mówił bardzo wiarygodnie. Uwierzyłam mu – zeznała potem przed sądem aspirant Stefania K. – Powiedziałam naczelnikowi, że prawdopodobnie ten człowiek jest ofiarą sprytniej oszustki. Puściliśmy go wolno.

Ale policja dyskretnie zbierała dane o Arkadiuszu B. Okazało się, że jest bez pracy, nie ma więzów, pokrewieństwa ze znanym reżyserem, mieszka z matką, rozwiedziona z powodu pijaństwa męża. Ich małe mieszkanie od dawna jest zadłużone w spółdzielni. (Na 1 stycznia 2005 roku – 72 000 złotych). Liliana B. stała pożyczca do pierwszego, bierze w pracy zapomogi, również na inne nazwisko. Ściga ją o spłatę wysokiego kredytu Spółdzielca Kasa Oszczędnościowo-Kredytowa. Elekrownia często odcina w tym mieszkaniu prąd.

Spółdzielnia mieszkaniowa wystąpiła do sądu o eksmisję. Pozew został cofnięty w ostatniej chwili tylko dlatego, że lokatorka z placzem błagała o prolongatę spłaty długu z powodu nieszczęść, które na nią spadły: syn miał białaczkę i niedawno przeszedł przeszczep szpiku, ona jako pomoc administracyjna w szpitalu zarabiała grosze.

Niespodziewanie w połowie listopada sytuacja materialna Liliany B. diametralnie się zmieniła. Spłaciła wszystkie zaległości – czynszowe, za studia syna na prywatnej uczelni, kupiła samochód. Na policji podliczono, że w ciągu jednego miesiąca wydała co najmniej 35 000 złotych.

Arkadiusz też zachowywał się tak, jakby miał pełny portfel. Po listopadowym weekendzie przyszedł na uczelnię w eleganckiej skórzanej kurtce. Miał też nowe buty z renomowanej zagranicznej firmy. Koleżance Emilii Cz. pochwalił się, że został wiceprezosem firmy TCI. Mówił, że za kilka dni jedzie na Ukrainę przejąć przedsiębiorstwo budowlane ojca.

Podczas przeszukiwania mieszkania Liliany B. (biednie i nieprawdopodobny brud, zwłaszcza w pokoju Arkadiusza) znaleziono umowę syna pani B. z biurem nieruchomości na wynajem od 8 listopada 2005 roku kawalerki w dzielnicy Warszawa-

-Żoliborz. Ponadto – karty kredytowe do siedmiu banków, pierścionki, dwie obrączki, amunicję gazową oraz wojskowy nóż z ostrzem 30 cm, kupiony na Allegro 5 listopada. B miał w swoim pokoju tylko dwie książki: *Kryminologię* Bruna Hofyisa i *Anatomię człowieka* Adama Bochenka.

Policja skontaktowała się z właścicielką kawalerki. Starsza pani potwierdziła, że lokal wynajął od niej Arkadiusz B. Przedstawił się jako pracownik pewnej firmy zagranicznej, oddelegowany na kilka miesięcy do Warszawy. Zapłacił z góry za miesiąc, ale są z nim pewne kłopoty: 23 listopada ktoś z bloku zauważył, że w jej mieszkaniu dzień i noc jest otwarte na oścież okno. A na dworze leje.

Zawiadorzono administrację, ta właścicielkę mieszkania, która z kolei zaalarmowała B. Nowy lokator przeprosił starszą panią, że jej nie uprzedził – jest alergikiem, dusi się przy zamkniętych oknach.

Z pomocą operatora komórek Edyty przeszledzono trasę jej ostatnich telefonicznych rozmów z Arkiem późnym popołudniem 10 listopada. Najpierw były to okoliczności jej biura, potem blok, w którym mieszkała, następnie billingi wskazywały, że zbliżała się do kawalerki na Żoliborzu. Tam telefon zamilkł.

Ponownie wezwany na przesłuchanie Arkadiusz B. zaprzeczył, aby kiedykolwiek gościł Edytę w owej kawalerce. Owszem, 10 listopada wdział się z nią w pobliżu wynajmowanego mieszkania, konkretnie przed sklepem spożywczym. Tam się umówili, gdyż chciał jej powiedzieć, że z zaplanowanego intymnego spotkania nicy, matka miała wyjechać na działkę, jednakże w ostatniej chwili zmieniła zdanie, jest w domu.

Ale w czasie rewizji kawalerki znaleziono srebrną bransoletkę i perfumy Chanel w oryginalnym opakowaniu. Wiola je rozpoznała, jako prezenty od niej dla Edyty.

Gdy sprawę przejęła sekcja kryminologii z innego komisariatu, znów wezwano B. na przesłuchanie. Policja miała już wydruk z komputera zaginionej, nadeszły też informacje z banku o jej przelewach na konto oskarżonego. A w skrzynce pocztowej pojawiły się upomnienia z banków, aby dotrzymywała terminów spłaty kredytów.

Arkadiusz B. przedstawił śledczym nową wersję swojej pożyczki udzielonej Edycie. Owszem, przelewała na jego konto dwa razy po 14 000 złotych. Tak naprawdę, były to jego oszczędności i ponownie wracały do dziewczyny. To Edyta, która śledziła proces Bągsika wymyśliła, żeby pieniądze krążyły między bankami i zarabiała na sobie – taki mały oscylator. Zawierzył jej, wszak była księgową. Tymczasem oszukała go, zniknęła, gdy tylko gotówkę miała w rękach.

Wyjaśnił też, jak było z listem do Edyty od „Aneczki”. Jego była dziewczyna Ania, nie miała z tym nic wspólnego. To on napisał. Chciał w ten sposób wzbudzić zainteresowanie.

Również po tym przesłuchaniu B. nie trafił do aresztu. Jedyna nieprzyjemność, jaka go wówczas spotkała, była od właścicielki kawalerki. Starsza pani wystraszyła się przesłuchań na policji i zerwała umowę. Miała kilka pretensji do lokatora: dla-

czego w mieszkaniu nie ma meblów, w łazience są odbarwione granatowe fugi i ślady po zamalowaniu płam na suficie? Co on tam robił?! Przecież lokal był tuż po generalnym remoncie. Poza tym – w ciągu tygodnia zamieszkiwania zużyto tyle zimnej wody, ile u niej w ciągu roku.

Arkadiusz B. po raz czwarty został przesłuchany. Tym razem policjantów szczególnie interesował jego związek z Edytą. B. zeznawał, że z jego strony była to miłość, ale boleśnie się zawiódł – okradła go. Teraz zrozumiał, że ta kobieta, dobrze sytuowana, traktowała mężczyzn instrumentalnie; wcześniej była w związku z wieloma żonatymi panami. Perfumy i bransoletka znalezione w kawalerce, to podarunek Edyty dla jego mamy. Zamierzał położyć je pod choinkę.

Śledczy puścił B. wolno.



Siódmego stycznia 2006 roku znaleziono samochód Edyty porzucony na peryferiach Warszawy. Żadnych śladów wypadku drogowego. Skrupulatne przeszukanie dało niespodziewany rezultat – w niewidocznym na pierwszy rzut oka miejscu zawieszona była karteczka z adresem wynajmowanej przez B. kawalerki. Grafiolog potwierdził charakter pisma Edyty.

Podczas kolejnego przesłuchania B. zeznał, że w dniach 8–10 listopada 2005 roku był w wynajmowanej kawalerce, bo usuwał starą, zawadającą mu meblówką. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego w tym czasie informował zaginioną, że przejeżdża przez przejście graniczne ze sprzętem elektronicznym. W rzeczywistości telefony od Edyty odbierał w Warszawie.

Następnego dnia – 14 lutego 2006 roku – B. odmówił składania wyjaśnień na okoliczność zaginięcia Edyty. Został zatrzymany. Od tej chwili na wszelkie pytania odpowiadał: nie wiem, nie pamiętam. Mimo to w aktach śledczych zgromadzono sporo materiału o prawdziwym życiu podejrzanego:

Nigdzie nie pracował dłużej niż miesiąc. To były stanowiska gońca, kuriera, zaopatrzeniowca. Szybko go zwalniano z powodu niesolidności. Nie miało to związku z rzekomą białaczką – nie chorował na nią, nie miał przeszczepu szpiku kostnego.

Arkadiusz B. był krótko żonaty, rozwiódł się. Jego była żona Ewa opowiedziała policji o tych kilku miesiącach swego nieudanego małżeństwa jako o traumatycznym przeżyciu.

Była notorycznie okłamywana. Przed ślubem powiedział jej, że nie będą musieli się liczyć z wydatkami, bo jego matka jest znanym lekarzem, z świetnie prosperującą prywatną praktyką, a ojciec ma firmę budowlaną. Gdy okazało się to nieprawdą, Arkadiusz B. postanowił zarabiać na taksówce (ona jeszcze chodziła do szkoły). Wyłudził z banku 24 000 na zakup samochodu, a potem nie spłacał kredytów. Po jakimś czasie zorientowała się, że nie składał żadnych dokumentów w przedsiębiorstwie komunikacyjnym. Nigdy nie dał jej nawet grosza na życie.

Wyżywał się w psychicznym dręczeniu. Na przykład: tuż przed ślubem dostała na walentynki przesyłkę kuterską orchideę. Nie miała pojęcia, od kogo. Mąż aż do rozwodu wspominał jej, że to prezent od kochanka, taką wersję przedstawił podczas rozprawy w sądzie. Gdy się wyprawdzała, w jego rzeczach znalazła rachunek dla B. z kwiatami wysyłkowej.

Prawdziwą twarz Arkadiusza B. pokazała też zawartość twardego dysku w jego komputerze. Policjanci znaleźli tam odpowiedź na pytanie, co tak naprawdę robił w ciągu dnia, skoro nigdzie nie pracował.

Otoż – uwodził kobiety. Kilkanaście jednocześnie. Wszystkie te znajomości pochodziły z portalu „Sympatia”. Każdej opowiadał inną historię o sobie. Jednej, że jest poważnym, bardzo zajęтым biznesmenem, innej, że nie musi pracować, bo ma bogatych rodziców; szuka sensu życia – dopiero co opuścił klasztor kamedułów, gdzie spędził miesiąc na medytacjach. Według kolejnych wersji jego życiorysu ma za sobą niebezpieczną służbę wojskową – na ochotnika – w czasie wojny na Bałkanach. To znów dopiero co wrócił ze zgrupowania kadry przed mistrzostwami Europy w kick boxingu.

Nie zadawał sobie zbyt wiele trudu z wymyśleniem oryginalnych komplementów swoim respondentkom. Zazwyczaj wysyłał im ten sam tekst. Każda była Gwiazdeczką i dostawała na dobranoc miliony casusów. Tylko ich imiona się zmieniały. I jego nicki.

Dziwijną wrzesnia, parę minut po wysłaniu e-mail do Edyty („Ty jesteś moim otoczeniem, wszystko inne zaczyna być tłem. Kocham cię”), pisze do jakiejś Marty: „Jestem właśnie w Warszawie i chętnie bym cię zobaczył Gwiazdeczko. Wygospodaruj dla nas wolny wieczór, przybiegnę z różą w zębach”.

Ponieważ Marta w ciągu pół godziny nie odpowiada, wiadomość dostaje Lili. Od rana strasznie jestem zapracowany, a jeszcze muszę ustawić parę służbowych spotkań na wieczór. Wiesz, jak to jest – trzeba zjeść z nowym klientem kolację, nie obei-dzie się bez trunków. Jutro wytrzeźwieję i cały jestem twój. Bo w pracy nie będę ci przeszkadzał, przeszkadzać wolę w nocy”.

Czasem szantażował pokazaniem w internecie odcierających się o pomografe zdjęć, które robił swym partnerkom w intymnych sytuacjach.

Kobiety, które wybrał do korespondencji, miały pewne cechy wspólne – wszystkie przyjechały do Warszawy, aby zrobić karierę, na którą nie miały szans w rodzinnej małej miejscowości. Były ambitne i pracowite – skończyły studia, urządziły się, niektóre zdążyły się rozwieść, zamykając w ten sposób etap młodzieńczych wyborów.

Na portalu Sympatia zwierzały się, co je dręczy.

– Witaj Arku – pisze 14 wrzesnia 2005 roku Maria, radca w korporacyjnej firmie handlowej. – Masz rację, samotność to coś odropnego, próbuję sobie z tym radzić, ale to bardzo trudne. Chyba mam pecha.

Ona: – Cześć Maria. Szansa jest zawsze.

Ona: – Jestem w tym wielkim mieście bardzo samotna. Nie mam tu żadnej rodziny, nawet kolegów z okresu studiów. Z moim wyglądem też nie jest zbyt ciekawie. Na stronie Sympatii trafiłam przypadkiem. Chciałabym kiedyś znaleźć kogoś, komu będzie na mnie zależało. Czy jest jakąś szansa?

On: – Marysiu. Ostatnio zauważyłem, że w codziennych prozaicznych czynnościach dnia codziennego, jak zakupy, spacer, kolacje, potwornie mi brakuje tej drugiej osoby. Oczywiście, mam przyjaciół i znajomych, ale to nie to samo, wiesz, co mam na myśli. I pomyślałem, że portal Sympatia jest miejscem dobrym, jak każde inne, by kogoś poznać. Pozdrawiam. Arek.

Ten sam list posyła za pośrednictwem portalu do kilku innych kobiet. Zmieniał tylko imię adresatki i swój nick. Czasem wspiera go ktoś z zarządzających portalem: – Witaj ariko. Użytkownik Doletka puścił Tobie oczko. Wygląda na to, że jest tobą zainteresowany(a). Życzymy miłego dnia. Zespół Sympatii.

Reakcja jest natychmiastowa: – „Tu arika. Dzięki, że napisałeś. Mieszkam w Warszawie od 10 lat. Skończyłam studia, mam trzydziecie na karku i pracuję w agencji reklamowej. Podobnie jak ty szukam bratniej duszy, aby móc z nią spędzić wolny czas. Podaję ci numer na GG i e-mail. Ale chyba nie ja jedna do ciebie piszę”.

Słusznie dedukuje. Jeszcze tego samego wieczoru odzywa się Iza: – „Mimo dwóch dyplomów renowowanych uczelni nie ułożyłam sobie życia. Jestem po nieudanym małżeństwie, mam syna 4 lata, pracuję w handlu”.

Magdalena: – „Jestem w trakcie szukania pracy, w moim miasteczku nawet z dyplomem magistra to bardzo trudne, zamierzam startować do Warszawy. Fajnie, że jesteś młody, nie odpowiada mi związek sponsorowany przez starszego, żonatęgo mężczyznę, choć moje koleżanki poszły na takie rozwiązanie”.

Gabrycha: – „Witaj. Świetnie cię rozumiem. Podobnie jak tobie bardzo brakuje mi takiego zwykłego bycia razem. W szczególności podczas długich deszczowych wieczorów. Wtedy wolę po prostu iść spać. Nie chcę tak dłużej (...). Pracuję w agencji (...) jako new bussines manager. Osobiście na Sympatii funkcjonuję od niedawna, dotąd miałam same rozczarowania. Trafałam na erotomanów gawędziarzy”.

Aika: – „Twój zawiadacz usmiech na zdjęciu po prostu mnie zauroczył. Szkoda, że ostatnio jestem bardziej nastawiona intelektualnie, a nie seksualnie, bo wakacyjny seks z Tobą byłby fajną przygodą. A w tym zakresie mam insight prawdziwej samicy”.

Angelika: – „Jak zapewne domyślasz się, ja już pierwszą nieudaną próbę ułożenia sobie szczęśliwego życia mam za sobą. W przeciwieństwie do ciebie ostatnimi czasy mam sporo wolnego czasu. Jestem romantyczką i wierzę, że szczęście gdzieś na mnie czeka. Więc nie pozostaję bierna i wyciążam do niego ręce”.

Amica: – „Cześć. Miło mi, że do mnie napisałeś. Wydajesz mi się interesująca osobą. Za godzinę wyjaduję do Frankfurtu na krótki urlop do znajomych. Kiedyś tam

mieszkałam przez 2,5 roku. O mnie w skrócie: skończyłam SGH, pracuję w kancelarii audytorskiej, biegam rano prawie codziennie przez 50 minut, w weekend jeżdżę na rowerze. W Warszawie jestem od 3 lat i jakoś jeszcze nie znalazłam partnera war tego poświęcenia mu czasu. Ale trzeba próbować. Może ty nim będziesz?"

Dana: - „Jestem przekonana, że każdy, kto poznał smak miłości, będzie za nią tęsknił i do niej dążył. Spędzasz wakacje i wolne chwile we Włoszech? Rewelacja. Wiesz, ja nigdy nie byłam we Włoszech i to jest właśnie moje marzenie spędzić wakacje w Italii. Ukończyłam ochronę środowiska na UJ i chemię na Politechnice. Obecnie zastawiam się nad podjęciem studiów doktoranckich. Mam niespełna roczną córkę”.

Arkadiusz B. polował też na samotne kobiety w agencjach matrymonialnych. Pisał w swej ofercie, że chce poznać dziewczynę „niekoniecznie bardzo ładną, ale aby go rozpieszczała i obdarowywała uczuciem”.

W taki sposób trafił do Katarzyny G., studentki medycyny trzeciego roku, która, jak zeznała na procesie sądowym, szukała kogoś spoza kręgu uczelnianego.

Katarzyna była czujna. Gdy przedstawił się jej jako wnuk znanego reżysera, zabrała informacje o życiu tego artysty. Nie mógł mieć takiego wnuka. Raziło ją też niechęlnictwo B., jego tygodniami niezmiennie koszule (zawsze czarne), brud za panokłami.

- Spotkałyśmy się 5-6 razy i postanowiłam się od tej znajomości odciąć - zeznała. On jednak nie dał się tak splawić. Prawdopodobnie imponował mu dom Katarzyny, która rzeczywiście miała majątnych rodziców na wysokich stanowiskach.

Ale kiedyś dowiedział się, że nie zaprosiła go na uczelnianą imprezę organizowaną z okazji zaliczenia połowy studiów. Bardzo rozczyszczony, urażony w swych ambicjach uwodzicielskich, wysłał do niej wiadomość przez Gadu-Gadu:

Najpierw ustosunkuję się do Twojego listu. „Byłeś ostatnią osobą którą zaprosiłabym na połowinki”. Hehe, ale absurd. A ile osób odmówiło Ci przedtem? Piętna dziewczyna nie ma najczęstszego problemu z towarzystwem na imprezę, a kaszalot najczęściej musi prosić. A skoro tak bardzo nie chciałaś iść ze mną, to dlaczego tak skamlałaś? Co? Telefony, SMS-y. Ale miałem jazdę. Dla mnie dziewczyna musi mieć piękną buzię i superfigurę. Jak moja obecna dziewczyna, moja królewna Ania. Nie może wyglądać jak karłowaty Eskimos z kwadratową twarzą. Uważasz, że jesteś śliczna? Haha. Masz pospolitą prawie męską twarz i krótkie grube nożki. Zupełnie nie masz tałii a tam gdzie powinna być, są jakieś wałki. Bie... Trzeba być naprawdę tłumokiem, by mając w domu lustro wierzyć w to, co mówię. Naprawdę uważasz, że mógłbym cię zabrać do rodziców do Włoch? Ale miałbym obciach”.

- Chyba byłam nim na początku zainteresowana. Proponował, że się ze mną ożeni. Ale szybko oprzytomniałam - zeznała w sądzie Katarzyna G., na ten jeden raz odwracając głowę w kierunku oskarżonego. Szczupła, zgrabna, o buzi lalki Barbie. Pani doktor.



śledczych analizujących zawartość twardego dysku komputera Arkadiusza B. interesowała owa „królewna Ania”, o której informacje, opatrzone zdjęciami, raz po raz pojawiały się w korespondencji od B.

Raz występowała jako jego siostra mieszkająca we Włoszech, to znów aktualna narzeczona lub była dziewczyna. W zależności od przypisanej roli, jej zdjęcia były albo grzeczne, zrobione gdzieś w plenerze, albo wręcz wyuzdane, pozowane na hotelowym łóżku.

Odnaleziono tę kobietę.

Okazała się mężatką, matką córeczki. Bardzo prosiła o dyskrecję.

Arkadiusz B. poznała w 2004 roku w sklepie, gdzie pracowała jako ekspedientka. Zaimponował jej opowieściami o tym, kim jest, zawrócił w głowie wyszukanyimi komplementami. Trafił na podatny grunt, bo właśnie dowiedziała się o zdradzie męża. Sporykali się potajemnie.

Po kilku miesiącach Anna chciała zakończyć znajomość i wtedy zaczął ją szantażować. Groził, że się zastrzeli (nosił odznakę Legii Cudzoziemskiej; nie wiedziała, że sam ją sobie uszył), ale przedtem skompromituje, umieszczając w komputerze jej zdjęcia w intymnych sytuacjach (w czasie rewizji mieszkania podejrzanego zabezpieczono dyskiety z takimi fotografiami).

Włęcz spotykała się z nim nadal, ze strachu, że dowie się mąż, z którym w międzyczasie się pogodziła.

Jedenastego listopada 2005 r. wysłał do niej SMS-a, że o godz. 22.00 czeka na nią pod marketem, w którym pracowała.

Zdziwiła się, gdy podjechał innym samochodem - prawie nowym, dobrej zagranicznej marki i zadbanym w środku. Wnętrze 10-letniego poloneza, którym do tej pory jeździł, wyglądało jak śmietnisko. Zapytała, skąd ta zmiana; wyjaśnił, że dostał od dłużnika w ramach rozliczeń.

- Na tylnym siedzeniu - zeznała potem w śledztwie - leżała damska parasolka. B. chciał mi ją podarować, ale odmówiłam. Byłam głodna, więc podjechalismy do McDonalda. B. cały czas miał trudności z uruchomieniem silnika.

Następną randkę - trzy dni później - wyznaczyl sobie w parku wilanowskim. Tym razem B. przyjechał swoim starym samochodem. Wstąpili do kawiarni, gdzie zapewniał ją o swej miłości. W pewnej chwili odgiął marynarkę, aby pokazać dwie grube paczki pieniędzy. Pochodzili, jak twierdził, z firmy budowlanej ojca, którą właśnie przejął. Jeden z pakietów chciał dać jej na przechowanie. Nie zgodziła się.

Oznał, że zaczną nowy etap ich znajomości. Koniec z randkami w hotelu. Wynajął mieszkanie i to będzie ich gniazdko. Niestety, nie mogą tam iść już dzisiaj, bo coś strasznie cuchnie w tej kawalerce. - Jakby trupem - zaśmiał się. Będzie musiał przez kilka dni intensywnie wietrzyć.

Przesłuchiwanej okazano samochód Edyty. Rozpoznała, że jest to ten sam, którym 11 listopada Arkadiusz B. odwiózł ją do domu. Nigdy nie słyszała o Edycie, nie wysyłała jej e-maili z pogroźkami. Zresztą, nie umie obsługiwać komputera.

Sledztwoabrało tempa, ale nie natrafiono na żaden ślad po zaginionej. Nic też nie dało wystąpienie do prokuratury innych krajów, o wspólne szukanie zaginionej. Zrozpaczeni rodzice Edyty zwrócili się do jasnowidzów.

Słynny Jackowski powiedział, że dziewczyna żyje, przebywa w złych warunkach, ale na swoje życzenie. Mieszka w Warszawie przy wybrukowanej kocimi łbami ulicy w jednym tam dużym bloku. Obok niej jasnowidz zobaczył podejrzanego partnera Edyty – to narkoman, jakiś kombinator. Dziewczyna dopuściła się oszustwa z tym mężczyzną.

Policja spenetrowała wszystkie ulice w Warszawie z przedwojennym brukiem. Nigdzie nie stał pojedynczy blok.

Kolejny jasnowidz (tym razem była to kobieta) zobaczył pocwiartowane ciało Edyty przez kilka dni leżące w łazience. Morderca wywoził zwłoki partiami, wrzucał do wiśły. Ta kobieta powiedziała rodzicom Edyty, że po trzech latach B. powie prawdę, co się wydarzyło.

Notatka policjanta: „Dobrze byloby sprawdzić, co wcześniej dotarło do jasnowidzącej z mediów. Czy wstrzeźliła się w te informacje, czy też faktycznie ma takie zdolności. Podobno występowała w telewizji japońskiej”.

W aktach prokuratorskich nie ma informacji, czy pani jasnowidz okazała się jeszcze przydatna. Sledczych bardziej zajmowała analiza prawdopodobności podejrzanego.



Probiezgowo wyjustowano wszystkie kłamstwa podejznanego w jego listach e-mailowych, zeznaniach.

Na przykład: Na policji B. twierdził, że 17.10.2005 r. pożyczyl Edycie 38 000 złotych. Sporządzili wtedy umowę, którą kobieta podpisała. Tymczasem z korespondencji Edyty z przyjaciółką na Gadu-Gadu wynika, że narzeczona Arka nie widziała się z nim między 12 a 18 października. Miał w tym czasie przebywać z interesach w Białymstoku.

Pytany w sledztwie o dochody (bo skąd miał tyle pieniędzy, aby mógł je pożyczyć) kłamał, mówiąc, że kilkumiesięczny etat zaopatrzeniowca-posiawca w firmie Asubo pozwolił mu odłożyć 40 000 zł. Ponadto w skupie surowców wtórných dostrawał kilkadziesiąt złotych miesięcznie za sprzedaż zbieranych pod sklepami palet drewnianych.

Sklamał twierdząc, że nie miał długów w bankach. Tylko w jednym banku PH zadłużył się na 15 000 złotych. Nie spłacał też 20 000 złotych kredytu zaciągniętego w 2000 roku w PKO BP na kupno poloneza.

W czasie pierwszego przesłuchania zeznał, że widział się z Edytą w czwartek 10 listopada o godz. 17. Mieli zjeść kolację w jego domu rodzinnym (o wynajmowanej kawalerce policja jeszcze nie wiedziała), ale jego matka, która w ostatniej chwili nie wyjechała na działkę, pokrzyżowała im plany. Rozczarowana Edyta wróciła do siebie.

Justynie, siostrze Edyty powiedział, że 10 listopada miał z narzeczoną kontakt tylko przez telefon.

Kłamstwa. Nie mógł umówić się z narzeczoną w mieszkaniu matki, gdyż z jego rozmów na Gadu-Gadu wynikało, że mieszka gdzieś indziej, tamten lokal rodzice sprzedali, wyjeżdżając do Włoch.

8.11.2005 r. miał być rzekomo w drodze do Kostrzyna nad Odrą, gdzie czekał na niego klient od „interesu życia”. O pokonywaniu kolejnych odcinków podróży szczegółowo informował Edytę. A ona swą przyjaciółkę.

Tymczasem na odnalezionej przez policję umowie na wynajęcie przez Arkadiusza B. kawalerki widnieje przy jego podpisie data: 8 listopada, Warszawa.

Twierdził też, że 11 listopada po rękomej sprzeczce z Edytą pojechał do niej z kwiatami, ale drzwi były zamknięte. Zostawił kartkę: „Gdzie jesteś. Odezwyj się...”.

Kłamstwo. 11 listopada B. był w mieszkaniu Edyty, dysponując jej kluczami, aby okraść mieszkanie. Zginął laptop, biurowa, dokumenty. Później na te rzeczy policja natrafiła w lokalu jego matki.

Rodzina zaginionej znalazła w drzwiach kartkę, ale z informacją, że w razie niezapłacenia rachunku będzie odcięty prąd.

Czcyymi przechwałkami okazały się też jego opowieści o zbrojnym uczestnictwie w wojnie na Bałkanach.

Wszystkie te poszlaki zyskały znacznie na wiarygodności rok później, gdy w ramach brodzika w kawalerce ujawniono ślad krwi. Badanie DNA wykazało, że jest to fragment tkanki organizmu Edyty, bądź osoby z nią spokrewnionej.

W czasie ponownych oględzin łazienki ujawniono kolejne ślady krwi, m.in. na uszczelkach syfonu i na ścianie kabiny prysznicowej. A także włosy. Eksperci zakładu medycyny sądowej potwierdzili poprzednie rozpoznanie.

Mimo braku corpus delicti Arkadiuszowi B. został przedstawiony akt oskarżenia. Zdaniem prokuratury poszlaki ułożyły się w jedną całość.

Dowodzą, że zamordował Edytę.

Prosto z aresztu B. pojechał na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Przez pierwsze tygodnie symulował urojenia – twierdził, że jest nieśmiertelny, bo chce w czasie wojny na Bałkanach zostać zraniony odłamkiem, nie doznał żadnych obrażeń. Później już nie udawał chorego na urojenia.

W opinii biegli napisali, że inteligencja B. jest wyższa od przeciętnej. Nie cierpi na żadną chorobę psychiczną, natomiast ma skłonność do urojeń wielkościowych. Ale ta cecha nie wpływa na poczynałość oskarżonego.

Głównie są to prośby o pieniądze – czy już wysłała, dlaczego się spóźnia. Zawsze dołącza listę smakolików, które chciałby zobaczyć w paczce – jaldes serki, batoniki. Chwali się, że intensywnie ćwiczy w siłowni, uczy się angielskiego, i w ogóle przebywa w dobrym towarzystwie: „Ja tu mam pełno kolegów, takich, jakich nigdy nie miałem i miło czas leci (...). Jest nawet wiceprezydent Warszawy i ci z Pruszkowa, wszyscy się lubimy i pomagamy sobie nawzajem. Poznałem na spacerze Sycylijszyka. Mieszka nad samym morzem i jak wyjdę, zaprosi mnie do siebie na całe lato. Ciesz się, że budujesz domek na działce. Drugi postawimy pod Warszawą. Albo wyjedziemy do Włoch. Zadzwoni na moją uczelnię i załatw mi urlop dziekański na jeden lub dwa semestry.

Jak będziesz pod arestem, zatrąb – długo, krótko, długo, krótko i krzyknij „pszczoła”. Ja cały dzień leżę, oglądam TVP, video, gram. Obiecuję ci, że po wyjściu szybko stanę na nogi – wiem już jak, mam dużo pomysłów. Tu trafiają ludzie z ministerstwa banków... takie znajomości są bezcenne. Pamiętaj o pieniądzach dla mnie. Twój Arek!”



Pięć lat po zaginięciu Edyty poszlakowy proces Arkadiusza B. dobiegł końca. Prokurator Małgorzata Mróz, uznając winę oskarżonego, domagała się dla niego najwyższej kary – dożywocia. Kilkakrotnie powtórzyła, że choć nie znaleziono ciała ofiary, brak jest jakichkolwiek przesłanek do uznania, że Edyta W. postanowiła w tajemnicy przed rodziną i znajomymi wyjechać za granicę, zniknąć. Oskarżyciel w długim wystąpieniu udowadniała, że człowieka, który wykorzystał ufnosć młodej kobiety, a następnie zamordował ją, należy izolować od społeczeństwa: – Edyta W. nie zdołała w porę się zorientować, z kim ma do czynienia, ale my już wiemy. Nie dostrzegam żadnej gwarancji, że w poczuciu bezkarności Arkadiusz B. nie popełni podobnego czynu.

– Nie mam pewności, że pan B. nie zamordował Edyty W. – powiedział obrońca oskarżonego, mec. Zbigniew Jewdokin – ale też nie wiem, czy mój klient ją zabił. Pani prokurator gratuluje spokoju i opanowania w wymierzaniu najwyższej kary, mimo braku stuprocentowej pewności, że dokonał on zabronionego czynu. W procesie karnym wątpliwości są rozstrzygane na korzyść oskarżonego. Na dziś Edyta W. nawet nie została uznana za osobę zmarłą.

Mecenas układał przed sądem różne wersje odpowiedzi na pytanie, co się mogło stać z nie dającą znaku życia Edytą.

A jeśli z nieznanych powodów postanowiła odciąć się od dotychczasowego życia? Wszystkimi, którzy znali tę kobietę wydaje się to nieprawdopodobne, ale w procesie poszlakowym nie można wykluczyć żadnej wersji wydarzeń. Pokłóciła się z narzeczonym i w zburzeniu wybiegła z kawalerki, na co wskazywałby pozostawiony samochód pod blokiem? A może ktoś ją porwał? W Polsce około 16 tysięcy osób rocznie ginie bez śladu. Warszawa jest oblepiona plakatami przestrzegającymi młode kobiety przed uprowadzaniem ich do zagranicznych agencji towarzyskich.

W styczniu 2008 roku rozpoczęł się poszlakowy proces Arkadiusza B. Oskarżony nie przyznał się do zarzucanego czynu, odmówił odpowiedzi na pytania sądu i prokuratury. Zeznań świadków słuchał wpatrzony w notes, w którym coś zapisywał. Nie drgnęła mu nawet powieka, gdy ciszę sali sądowej rozerwał krzyk matki Edyty. Wskazując na oskarżonego, mówiła z płaczem: – To na pewno on zamordował Pasożyt przyklepiony do obcej skóry, który na niej żeruje. Chciał dostatnio żyć, ale się nie napracował. Zasluguje tylko na karę śmierci.

W ciągu ponad dwóch lat toczącego się procesu Arkadiusz B. raz tylko się odezwał. Był zaskoczony, gdy wezwano świadka Sylwii S. Myślałem, że to ktoś z rodziny – mruknął – ma podobnie brzmiące nazwisko.

Tymczasem młoda kobieta za barierką dla świadków okazała się jego znajomą z portalu Sympatia. Sama zgłosiła się na policję, gdy usłyszała w TVN informację o rozpoczęciu procesu B. Uznała, że ma do przekazania istotne informacje.

Oto one: Poznali się jesienią 2005 roku, gdy dała ogłoszenie w internecie, że „samotna kobieta po przejściach poszukuje swej drugiej połowy na resztę życia”. Była w trakcie rozwodu, mąż nie chciał się wyprowadzić, nie przychodził na rozprawy. Spośród mężczyzn, którzy odpowiedzieli na jej anons, wybrała rozśmianego Arkadiusza B. (jak zwykle, wysłał swoje zdjęcie w kąpielówkach, gdy łowi ryby). Umówili się na spotkanie pod hałą Marymoncką.

– Rozmawialiśmy o jego wędkarstwie i o naszych nieudanych związkach – zeznała Sylwia S. w sądzie. – Oskarżony opowiedział o swej byłej dziewczynie, że za dręczała go zazdrością. Nie kochał jej, ale nadal mieszkali wspólnie w wynajmowanej przez niego kawalerce na Żoliborzu.

Gdy Sylwia S. zwierzyła mu się ze swoich problemów z mężem, napomknął, że są różne możliwości pozbycia się człowieka. Za stosunkowo drobne pieniądze można go zlikwidować i w częściach rzucić do kanału Żerańskiego. Można też rozpuścić ciało kwasem solnym. Gdy będzie zdecydowana, pomoże jej zredagować odpowiednie ogłoszenie do gazety; na pewno odezwie się jakiś Ruski, który wykona takie zlecenie.

– Traktowałam radę jako makabryczny żart. I w tej konwencji odpowiedziałam, że przemyślę sprawę – zeznała świadek.

– Kiedy zakończyła się wasza znajomość? – zapytał sędzia.

– Na początku listopada, a spotkanie było pod koniec września. Jedno jedyne, bo przestał dzwonić, gdy mu powiedziałam, że mam dziecko.



Nikt dotąd z rodziny oskarżonego nie pojawił się na rozprawie. Ale z akt wiadomo, że jego matka często stoi pod murem aresztu w miejscu, skąd może zobaczyć syna za okratowanym oknem.

On pisze do niej listy, opatrywane rysunkiem uśmiechniętej buźki.

Gdyby przyjął, że Edyta W. nie żyje – ciągnął swój wywód obrońca – trzeba by odpowiedzieć na pytanie, czy zmarła w sposób naturalny. Jeśli ktoś pozbawił ją życia, to czy zrobił to umyślnie, czy też zgon nastąpił w wyniku śmiertelnego pobicia. I czy sprawcą mógł być Arkadiusz B.?

Zamłnem mec. Jewdokina, mimo zakończenia procesu sądowego, wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Nie ma nawet pewności, kiedy dokładnie mogło dojść do zabójstwa. Co do miejsca zbrodni prokuratura tylko domniemywa.

Poszlaki wskazane w śledztwie są bardzo wątpliwe. Że Arkadiusz B. wietrzył przez dzień i noc kawalerkę, bo jak się zwierzył swojej byłej dziewczynie, miało tam śmierzdzieć trupem? – Na tej sali – podkpiwał mecenas – też są otwarte okna. Czy to znaczy, że wczoraj w sądzie ktoś popełnił morderstwo?

Odbarwione fugi w łazience, zagadkowe nadmierne zużycie wody, przemałowanie sufitu tworzą tylko mit zbrodni; zwłaszcza, że prokuratura nie powołała do analizy tych śladów biegłego. Stwierdzona obecność drobinek krwi, prawdopodobnie poszkodowanej, mogła być wynikiem naturalnego krwawienia; to tylko dowód, że Edyta W. była w tej kawalerce.

Co do 80 000 złotych rzekomo wyłudzonych od ofiary? Jest dowód bankowy, że przelała ona na konto narzeczonego 28 000 złotych. Pozostałą kwotę miała wręczyć Arkadiuszowi B. osobiście. Ale to tylko wersja prokuratury, nikogo przy tym nie było...

A że Arkadiusz B. notorycznie kłamał? Taki miał sposób na życie i uwodzenie kobiet. To jeszcze nie oznacza, że jest mordercą.

Mecenas Jewdokin domagał się uniewinnienia jego klienta. I tydzień później sąd uniewinnił Arkadiusza B. od zarzutu zamordowania Edyty W. Uzasadniając taki wyrok, sędzia Tomasz Grochowicz stwierdził, że brak jest w sprawie jednoznacznych i kategorycznych dowodów, iż zaginiona kobieta nie żyje. Nie udało się też ustalić – po zgronomadzeniu 40 tomów akt – że zabił ją oskarżony.

B. odpowiadał też przed sądem za oszustwo, ukrywanie dokumentów Wojskowej Agencji Nietruchości i posiadanie bez zezwolenia amunicji do pistoletu gazowego. Za te czyny został skazany na pięć lat więzienia. Na wolność wyjdzie za niecały rok, bo ponad cztery lata był w areszcie.

Matka Iwony Rajskiej mówi, że coś nie dawno jej spać w nocy. Jakis niesprecyzowany niepokój o córkę. Od dawna ta 42-letnia kobieta nie opowiadała rodzicom, co się u niej dzieje, choć wychowywali jej dziecko – Agnieszkę. Wnuczka też miała nigdy kontakt z matką. Łącznikiem między nimi był 17-letni Daniel – syn Iwony z drugiego małżeństwa. W Ząbkach mieszkał z matką, ale często przybiegał do dziadków. Nie miał daleko – to tylko kilka przecznicy dalej.

Od niego Wiesława Rybak dowiedziała się, że córka dorabia w szalecie na targowisku. Podstawową pracę miała „na nocki” w wartowni zajezdni tramwajowej w Warszawie.

Rybakowa, mimo trudności z chodzeniem, podreptała na targowisko. W bazarowym WC Iwony nie było: przy stoliku z papierem toaletowym i kubkiem na opłatę siedział nieznanany jej młody mężczyzna – wysoki, wręcz chudy, o ciemnej cerze i czarnej czuprynie. Zapytała, czy tu pracuje Iwona Rajska, może ją zna? Długo wpatrywał się w nią w milczeniu, jakby nie rozumiał pytania albo go nie dosłyszał...

– Pani, kim pan jest? – natarła – tu powinna siedzieć moja córka. A wtedy on, że nie wie kim jest. I jeszcze dodał: – Nie ma ludzi do pracy, kierowiczka mnie tu ściągnęła. Może coś przekazać Iwonie?

Rybakowa miała mętkić w głowie. – Znaczy zna ją pan, tak? – utwierdziła się. – Ale dlaczego ona, skoro dopiero co dostała robotę, nie przychodzi na czas?

Nie doczekała się odpowiedzi. Dwa dni później odebrała telefon. Męski głos powiedział: – Przepraszam, uduślam pani córkę. I rozłączył się.

Rozpaczliwym krzykiem wywołała wnuczkę z jej pokoju. Agnieszka wystrukata numer komórkę brata, który od kilku dni nie pokazywał się u dziadków; zapykała o tej porze jadał z nimi obiad.

Jakis mężczyzna poinformował ją, że Daniel wyszedł na chwilę do sklepu i został w komórce, więc odebrał. Usiłowała dowiedzieć się czegoś więcej, ale ten człowiek powiadał bez związku, że zrobił to z miłości i przepraszając przewał połączenie.

Agnieszka i jej chłopak Sebastian natychmiast pobiegli do mieszkania Rajskiej. Dziewczyna dawno nie była u matki, nie miała też klucza do jej mieszkania. Drzwi wejściowe do bloku były zamknięte, zadzwonili więc domofonem do sąsiadki. Poradziła wezwać policję, bo w mieszkaniu już trzech dzień pali się w ciągu dnia światło, a nie sychać, aby ktoś się tam poruszał.

Godzinę później funkcjonariusz wyważył drzwi. Trupi zapach szedł z łazienki. W wannie znaleźli ciało uduszonej Iwony Rajskiej. Na szyi miała zacisniętą smycz od kluczy. Na podłodze leżały zwłoki również uduszonego Daniela. Kobieta była w czarnym ubraniu wyjściowym. Zsunięte trochę spodnie odsłaniały czerwone figi z napisem „I love you” i rysunkiem dwóch serc przebitych strzałą.

Policja przesłuchiwała sąsiadów. Lokatorka, która mieszkała nad Rajską zeznała, że tragicznie zmarła była spokojną sąsiadką. Gdy przed rokiem dostała przydział do

tego bloku, grzecznie zapukała do niej, aby się przedstawić. Najpierw mieszkała tyko z synem, często wychodzili razem. Chyba nikt ich nie odwiedzał. Któregoś dnia pojawił się młody mężczyzna – myślała, że to kolega Daniela. Ale zauważyła, że wieczorami pani Iwona idzie z nim pod rękę. I często zalotnie zagłada chłopakowi pod kapłur, który zazwyczaj nosił. A potem montowali razem przepierzenie, dzielące pokój na dwie części. Była nawet awantura z sąsiadami, bo remont odbywał się późnym wieczorem, hałas niósł się po całym bloku.

– KaŜden jeden układa sobie życie jak chce – zakończyła sentencjonalnie prześluchiwana.

Nazajutrz zatrzymano 22-letniego Janusza Baszewskiego, z zawodu technika mechanicznego, pracującego dorywczo jako murarz. Przyznał się do morderstwa.



Do suterenu wprowadził się przed Bożym Narodzeniem. Pod koniec stycznia Iwona powiedziała mu, że ich związek nie ma przyszłości i lepiej, aby się wyprowadził.

Nie zgadzał się. – Przecież będziemy mieć dziecko – tłumaczył jej – naszego syna. Odpowiedziała mu, że poroniła w czasie świąt Bożego Narodzenia, gdy ją zostawił i pojechał do rodziny.

Rozpłakał się, potem krzyczał: – Dlaczego ja się dowiaduję o tym dopiero po miesiacu?!

Rano poszedł do pracy, wrócił około piątej po południu, w mieszkaniu nie było nikogo. Po kilkunastu minutach przyszła Iwona i tym razem już kategorycznie żądała, aby się spakował. Gdy układał na kupkę swoje rzeczy, ona siedziała na stolku w kuchni i jakby nigdy nic piła kawę. Tego nie mógł znieść, pociemniało mu w oczach. Podszedł do niej, złapał ją z przodu za szyję obiema rękami i zaczął dusić. Nie trwało to długo, ona zaraz osunęła się na podłogę. Przeciagnął ciało do łazienki i wpełchnął zwłoki do pustej wanny. Jej dłoń owinął różańcem, bo często go odmawiała.

– Wydawało mi się, że jakby westchnęła, więc dla pewności założyłem jej jeszcze pasek na szyję i pociągnąłem.

Następnie przykrył zniekształconą twarz prześcieradłem.

Wkrótce potem w drzwiach stanął Daniel, wracający ze szkoły (gdy był w autobusie, zatelefonował, że jedzie do domu). Baszewski zaatakował chłopca od tyłu. Najpierw ścisnął mu krtań rękami, a gdy Daniel już leżał, zaciągnął na jego szyi pasek od spodni. – Dla pewności – wyjaśnił potem w prokuraturze.



Iwonę poznał w autobusie z Warszawy do Ząbek. Uśmiechała się do niego zachęcająco. A on po opuszczeniu wojska rozglądał się za kobietami. Występlił na tym sa-

mych przystanku koło kościoła, jakoś tak zderzyli się ramionami, wypadła jej torba z ręki. Podniósł, powiedział przepaszam i zaproponował, że ją odprowadzi. Ona, że chętnie, ma na imię Iwona. Nie spieszyło się jej do domu. Chodzili po mieście z pięć godzin. Potem zdecydowali się odprowadzić do klatki bloku, gdzie mieszkała. Wymienili numery telefonów komórkowych.

Podobała mu się. Wyglądała na ciut starszą od niego, ale nigdy by nie przypuszczał, że aż o 20 lat (o tym dowiedział się dopiero od prokuratora). I była taka chętna. Gdy miała „nockę” w portierni zajezdni tramwajowej, odwiedzał ją tam wieczorem. Nieraz zeszło im do rana. Gdy dał jej swoje zdjęcie (jeszcze z wojska, w mundurze polowym), podpisała: „Kochany Januszek” i trzymała za celofanową okładką w portfelu. Wie, że chwaliła się koleżankom w zajezdni, że „teraz ma żolnierzyka”.

Na spotkania intymne umawiali się w pustych o tej porze roku domkach leśnikowskich w Zegrzu. Powiedziała mu, że z pierwszym mężem, za którego wyszła, mając 18 lat, miała córeczkę Agnieszkę; dziecko urodziło się martwe. Do dziś modli się do tego aniołka. Małżeństwo po roku się rozpadło. Dziesięć lat później ponownie wyszła za mąż i znowu źle trafiła, bo na alkoholika. Rozwiedli się.

On też niczego przed nią nie ukrywał.

Mieszka z dwoma braćmi w podwarszawskim Pruszkowie. Zajmują połowę domu, drugą – od lat znienuawidzony (poszło o spadek po dziadku) wujek z rodziną. Rodzice zostali na wsi, prowadzą tam gospodarstwo. Bracia są ich chlubą, bo studiują zaocznie w Wyższej Szkole Ekologii i Zarządzania w Warszawie. Pieniądże na czesne zarabiają pracując na budowach. On nie ma głowy do nauki. Wynajmuje się na pomocnika murarza. Przed wojskiem trochę rozrabiał – raz był ukarany w zawieszeniu i czterdziestoma godzinami nieodpłatnej pracy za pobicie chłopaków na zabawie.

– KaŜdy w młodości popełnia jakieś błędy – odpowiedziała.

W grudniu intymne spotkania na działkach były już niemożliwe i Iwona Rajska dała mu klucz do jej mieszkania. Kazała przywieźć rzeczy z Pruszkowa. Gdy wysiadł z autobusu z walizką, powiedziała, że ma w domu dla niego niespodziankę.

Był nią jej 17-letni syn Daniel, o którym wcześniej nigdy nie wspomiała. Trochę opóźniony w rozwoju, chodził do szkoły specjalnej.

Po kilku dniach zaczął do Janusza mówić: tata.



Czy tak naprawdę było, nie sposób sprawdzić. Wzywani świadkowie, nawet z najbliższej rodziny, wnoszą niewiele faktów z życia ofiary.

W tej rodzinie między rodzicami a dorosłymi dziećmi kontakt był bardzo powierzchowny, właściwie żaden. Nie odwiedzali się, nie zwierzali. Jak zeznała matka Iwony, „mówiło się o byle czym”.

Ojciec powiedział na rozprawie: – Córka miała swoje życie, my swoje. Jak trzeba było, pomogliśmy. Gdy się rozwodziła, bo mąż alkoholik bił ją, zamieszkała przez pewien czas z nami. No i od niemowlęcia wychowywałam jej córkę Agnieszkę. Teraz to już duża panna, pracuje w zakładzie fryzjerskim.

Sędzia: – Czy pan rozmawiał z córką o jej planach życiowych?

– Gdy dorosła, to nie, jakoś nie było okazji. Ona słaryta bardzo. Ale nim wyszła z domu, udzielało się wskazówek, tłumaczyło, ostrzegało. Bo zawsze szukała mężczyzn młodszych od siebie. Że niby taki będzie ją szanował. To się nie sprawdzało. Ostatni mąż był młodszy o 10 lat, miał siłę do bicia.

O oskarżonym świadek nic nie wiedział.

– Gdyby do mnie dotarło, że znów się związała z młodziekiem, to bym do tego nie dopuścił. Daniel do nas często przybiegał, mógł powiedzieć, ale matka mu zabroniła.

Siostra Iwony, choć mieszka w tym samym podwarszawskim miasteczku, nie znała adresu zamordowanej. W sądzie nie potrafiła podać przyczyny, dlaczego córka Rajskiej nie była z matką.

Dwudziestoletnią Agnieszkę nie zaskoczyło, gdy dowiedziała się w sądzie, że matka poinformowała Janusza o śmierci jedynej córki zaraz po urodzeniu.

– Nie miałam z mamą dobrych stosunków – zeznała. – Od pierwszych tygodni życia jestem u babci, ona mnie wychowała. W dzieciństwie nigdy nie dostałam od matki tego, czego oczekiwałam. Nie okazywała mi serca, choć słyszałam, że pomagała obcym. Znalazła do mnie drogę w chwili, gdy zaczęłam pracować. Stale pożyczła pieniądze, choćby drobne kwoty. Wówczas udawała moją przyjaciółkę. Tuż przed Bożym Narodzeniem, gdy znów czekała, abym jej coś odpała z wypłaty, pokazała mi w telefonie komórkowym zdjęcie swego nowego faceta: to był ten, który dziś siedzi na ławie oskarżonych.

Nowego narzeczonego Iwony widział na żywo Sebastian, chłopak Agnieszki.

– Pani Iwona stała przy stoisku z wazykami z bardzo młodym mężczyzną, który wyglądał na rówieśnika mojej dziewczyny. Gdy zrobił zakupy, on niósł torby, cały czas trzymając tę kobietę za rękę. Chciałem się ukłonić, ale patrzyła w drugą stronę. Udawała, że mnie nie poznaje.

Również przed Beatą, najbliższą koleżanką z pracy, Iwona ukrywała bliską znajomość z mężczyzną młodszym od niej o 20 lat. Weszły kiedyś na siebie na ulicy, gdy młokos obejmował Rajską w pól. Speszyla się, bałgnęła „część” i przyspieszyła kroku. – Niepotrzebnie – mówi w sądzie ten świadek – gdyby się zatrzymała, powiedziałabym jej, że świetnie wygląda. Naprawdę nie było widać, że ma czterdziaczkę na karku. Przy takiej figurze zawsze sobie wyszukała w ciucholandzie coś młodziwego.

Bracia Janusza nie byli zachwyceni jego kochanką, Najstarszy, Szymon, ten, który kończy studia, zobaczył Iwonę na przystanku autobusowym. Powiedział rodzinie:

com: – Taka nie bardzo, dużo starsza od Janka. Ale z daleka widać, że Jemu bardziej zależy na tej znajomości, niż jej.

Nie zdziwili się, gdy kilka tygodni później Janusz zadzwonił do Szymona z prośbą, aby przyjechał po niego i pomógł zabrać rzeczy do domu w Pruszkowie. Wszystko ma już spakowane, tylko włożyć do samochodu. Bo z Iwoną koniec. Pokłócili się, pokazała mu drzwi. A sama pojechała do rodziców.

– Zaparkowałem pod blokiem – zeznał Szymon. – Janusz zaczął mi poczuć, poszedł po rzeczy. Wynosił je na chodnik, a ja pakowałem do samochodu. Potem zawołał, żebyśmy razem wzięli pralkę. Nie wchodziłem do środka, bo stała zaraz koło drzwi. Brat mówił, że to wszystko co zabiera, kupił za kredyty z banku.

◆ ◆ ◆

– Pożytyłem 5000 zł, bo chciałem, żebyśmy się urządzili, jak rodzina. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Sebastian nie żyje – powiedział oskarżony w śledztwie.

– Jaki Sebastian? zapytał zdumiony prokurator.

– Nasze nianarodzone dziecko, Iwona mówiła, że to jest syn, będzie miał moje oczy. O tym, że jest w ciąży, powiedziała mi po dwóch tygodniach znajomości.

– Bardzo się ucieszyłem. Kochałem ją, lubię dzieci – zeznał. – Martwiła się, jak to będzie. Uspokajałem: mam dwie zdrowe ręce, nie boję się roboty. Przede wszystkim spłacimy jej dług, których się zebrało około 4000 złotych.

Najchmiaszt wziął 800 zł kredytu w „Providencie” na zbudowanie w pokoju ścianki działowej, aby Daniel miał swój kąpiel. Reszta pieniędzy poszła na lekarzy. Iwona musiała robić prywatnie badania, czy ciąża dobrze się rozwija...

W tym miejscu trzeba było przerwać przesłuchanie, bo oskarżony wpadł w rozpacz. Płacząc, opowiadał o szczegółach intymnego pożycia z Iwoną. – Gdy leżałszy, gaskałem ją po brzuszku, całowałem, bo myślałem, że tam jest moje dziecko. Udziałem się przez ponad 4 miesiące. A ona tamtego wieczoru, gdy zaczęła mi się wyprowadzać wykrzyzczała, że żadnego dziecka nie ma... Oszukiwała mnie tak długo. A przecież na początku naszej znajomości obiecał mi sobie, że nie będziemy mieli przed sobą żadnych tajemnic. Zapewniała mnie o swej miłości.

Gdy protokolowano wyjaśnienia oskarżonego, znane już były wyniki sekcji zwłok ofiary. Nie była w ciąży, nie poroniła. Owszem, chodziła do przychodni, bo na narządach rodnych wykryto u niej guzek, na szczęście łatwy do usunięcia. Jest mało prawdopodobne, aby korzystła z porad w prywatnych lecznicach. Pieniądże od Janusza na badania płodu szły na inne wydatki. Lubia chodzić po sklepach, kupować byle co.

A dlaczego zamordował pan Daniela? – zapytał śledczy.

– On zginał przez mamę. Kochałem go jak własnego syna. Chciałem mu pomóc. Wiedziałem, że nie przeżyje śmierci matki, miał chore serce. Nie mógł grać w piłkę. Co go czekało w tym życiu? Lepiej, aby poszedł za mamą do nieba.



Prokurator zdecydował o badaniu psychiatrycznym oskarżonego.

W wywiadzie odnotowano, że kontakt z pacjentem jest niepełny, urywający się. Początkowo Baszewski nie odpowiadał na pytania psychiatry, jakby ich nie rozumiał. Następnie miał silną potrzebę zwierzenia się.

— Po tym, co zrobiłem, nie mogłem spać. Bolały mnie kolana — skarżył się. — Pewnie dlatego, że gdy kładłem Iwonę do wanny, musiałem ugiąć jej nogi, nie mieściła się. To taka jej zemsta po śmierci.

W szpitalu pisał listy do najbliższych krewnych, choć obawiał się, że nie dojdą do adresatów, bo „prokurator przechwytyuje”.

„Kochani Rodzice!

W pierwszych słowach mego listu chcę was przeprosić za to, że zrobiłem coś strasznego. Ale pamiętajcie, bardzo was kocham i żałuję tego. Działalem w afekcie, nie byłem świadomy. Trudno się dziwić, przecież ja straciłem syna. Był już czwarty miesiąc, taki duży chłopak. Teraz myślę, że ta kobieta chciała mnie wykorzystać nawet kosztem życia naszego syna. Bo miała kilka długów do spłacenia, a ja jej byłem potrzebny do zaciągania pożyczek. Chciała wziąć pieniądze i później mnie zostawić.

Mam do was tylko jedną prośbę — Kochajcie się. Przepraszam, że was zawiodłem. Wieczorem odmawiam koronkę do Miłosierdzia Bożego. Modlę się codziennie o zdrowie was wszystkich, najbardziej o mamę, tyle jej zdrowia napsulem. Ja byłem ten najgorszy, ze mną było najwięcej problemów, ale to się zmieni, gdy wyjdę.

Codziennie sprzątam cele, zmywam naczynia, a wieczorem, jak tylko starczy sił, dopóki nie zasną, spędzam czas na modlitwie”.

Do braci:

„Mamie — apsułem nerwów i teraz zamiast pomagać w doczekaniu spokojnej starości, tylko dobiłem kilka gwoździ do jej trumny. A wszystko przez to, że zapoznałem Iwonę. Kiedy z nią zamieszkałem, nie byłem sobą. Strasznie się zmieniłem. Robiłem wszystko, o co mnie poprosiła. Nie miałem swego zdania i nie byłem w stanie logicznie myśleć.

Była zwydka k..., rurociągiem, wykorzystywała moją miłość do dzieci i moje dobre serce. Nie jest mi łatwo żyć, bo zabiłem k..., a będę odpowiadał za zabicie człowieka. Nienawidzę tego świata, nienawidzę siebie. Oszukała mnie, oszukała wszystkich.

Dlaczego ona to zrobiła? Ile osób w ten sposób skrzywdziła? Przecież ten chłopak mógł żyć, gdyby nie jego zła matka, miał tylko 17 lat. Boże ratuj. Może kiedyś wyjdę, ale nie jest łatwo wiedzieć, że tyle ludzi przez nią cierpi.

Dla wszystkich ja jestem złym człowiekiem, bandytą, mordercą. A to ona była zła, przez nią teraz wszyscy cierpią. Nikt nie wie, że jestem niewinny pomimo tego, co zrobiłem.

Ja chcę być znów na wolności, tak jak ptak.

Szymek, a ty się ucz, weź przykład z Arka. Pobawimy się, jak wyskoczę stąd”.

Pod koniec obserwacji psychiatrycznej Baszewski zgłosił lekarzowi, że ma dziwne widzy, widzi jakąś postać z oczami kota i twarzą, która raz wygląda jak diabeł, to znów jak Chrystusa. W takich chwilach się modli i to pomaga, straszna zjawia znika. Ale nie na długo. Poza tym w nocy słyszy „nieziemskie głosy”.

Z opinii psychiatrycznej: „Te informacje nie mają charakteru patologii, to postawa obroncza”.

Pacjent zachowywał się agresywnie wobec oddziałowego (bił w kratę stołkiem), groził, że odbierze sobie życie (kiedyś w wojsku usiłował już to zrobić), ściągnięto więc do prokuratury jego kartę zdrowia z jednostki, w której odbywał służbę. Okazało się, że w wojsku podjął próbę samobójczą, polykając garść środków przeciwbólowych. Chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko nie przeniesieniu go do jednostki bliżej miejsca zamieszkania.

Po odratowaniu został zapisany do poradni psychologicznej, ale nie zgłosił się na umówioną wizytę. Wojskowa pani psycholog nie zainteresowała się w jakiej kondycji psychicznej jest ten żołnierz.

Ostateczne wnioski z obserwacji sądowo-psychiatrycznej nie dały nadziei oskarżonemu na złagodzenie wyroku. Stwierdzono osobowość o cechach nieprawidłowych, egocentryzm, słabą kontrolę relacji emocjonalnych. Zdaniem psychiatrów ten stan psychiczny nie znosi, ani nie ogranicza zdolności rozpoznania znaczenia czynu.



Jego najbliższa rodzina pospłacała pilne długi, które zaciągnął. Ale nie zdecydowała się na wynajęcie adwokata (Baszewski korzystał z obrońcy z urzędu). Rodzice nie pojawiali się na rozprawach. Brat Szymon, który był przestuchiwany jako świadek, po złożeniu zeznań usiadł w ostatniej ławce i dyskretnie czegoś się uczył z rozłożonej pod pulpitem książki. Nawet nie podał aresztantowi kanapki, co zwykle robią krewni oskarżonego.

Córka ofiary, która początkowo występowała w sądzie jako oskarżyciel posiłkowy, szybko zrezygnowała z tej roli. Odrzuciła spadek po matce, bo nie zamierzała przejąć jej długów. Bardziej wartościowe rzeczy jednak zabrała i usiłowała je sprzedać. Lokal w suterenie zajmowany przez Rajską odzyskał dawne przeznaczenie (stał się pomieszczeniem gospodarzom).

Oskarżonemu poza zabójstwem postawiono jeszcze zarzut przywłaszczenia z mieszkania swej ofiary dwóch telefonów komórkowych, telewizora marki Sharp, odtwarzacza DVD, konsoli, dwóch gier play station, pralki marki „Polar”, kuchni mikrofalowej, czajnika oraz dywanika. Wartość tych rzeczy wyceniono na 6380 zł.

Janusz Baszewski bronił się, twierdząc, że odebrał to, co zostało kupione za jego pieniądze. W aktach sądowych jest potwierdzenie, że przed Bożym Narodzeniem pożyczyl z PKO 5 tysięcy złotych.

Prokurator żądał dożywocia. Nieprawomocny wyrok sądu brzmiał: 10 lat więzienia za zabójstwo Iwony Rajskiej, 25 lat za zamordowanie Daniela. Łącznie 25 lat. Sędzia Barbara Piwnik wskazała na trudność z właściwą oceną niewątpliwie szokującego czynu zabójcy.

— Głównie dzięki wyjaśnieniom oskarżonego można było ustalić stan faktyczny przestępstwa — podkreśliła, uzasadniając niższy niż chciał prokurator wymiar kary. Wobec kompletnego braku zainteresowania najbliższej rodziny życiem Iwony Rajskiej, morderca mógłby przepaść bez śladu. Nikt w bloku nie znał jego nazwiska, nie był tam zameldowany. Oskarżony sam zawiadomił matkę Iwony, co stało się z jej córką i wnuczką — uważał, że ofiarom należy się pogrzeb...

Bo choć nie było jakichkolwiek wątpliwości, kto jest sprawcą, należało rozważyć wszystkie okoliczności tragicznego wydarzenia, także zachowania osoby pokrzywdzonej. Zdaniem sądu w końcowym wystąpieniu oskarżyciela domagającego się najwyższej kary takiej analizy zabrakło.

A nie można w tej sprawie nie dostrzegać nagannego zachowania Iwony Rajskiej. 22-letni mężczyzna, który był dokładnie w wieku jej córki, związał się z partnerką o niewątpliwie bogatym już doświadczeniu życiowym. Miała za sobą dwa nieudane małżeństwa, a i potem nie stroniła od kontaktów z mężczyznami, o czym mówiła na rozprawie jej przyjaciółka. Oczywiście nie stanowił to rozgrzeszenia przestępstwa Janusza Baszewskiego, ale przy jego cechach osobowościowych spotkanie kobiety, która potrafiła go wykorzystać, mogło zapowiadać tragedię. I stanowił ją. Bezspornie jest bowiem, że dla wspólnej przyszłości z Iwoną poniósł nadmierne, jak na jego możliwości, nakłady finansowe, gdyż wyobrażał sobie, że urodzi ich dziecko i stworzy dom.

Tymczasem Rajska zawróciła mu w głowie, okłamała go co do ciąży, a gdy nie był już jej potrzebny, odrzuciła, nie bacząc na jego zaangażowanie.

Sędzia wskazała też na inny brak w wystąpieniu prokuratora żądającego dożywocia. — Należy sobie odpowiedzieć na pytanie — zauważyła — co by było, gdyby sam oskarżony nie zawiadomił policji o tym, co zrobił? Jaki dowód miałby prokurator na to, że jest on sprawcą przestępstwa?

Kara powinna być i słuszna, i wychowawcza społecznie. Gdyby Janusz Baszewski został skazany na dożywocie, to jak ten wyrok miałby postzegać ci, którzy pewnego dnia muszą zdecydować, czy się przyznać do popełnienia przestępstwa, czy też nie. Zaakceptowana przez sąd najwyższa kara w tej sprawie to sygnał dla wszystkich oskarżonych, że trzeba zaprzeczać nawet faktem oczywistym, nie warto się przyznawać, bo skrutcha, choć odkupienia winy i tak nie będą miały znaczenia.

Prokurator, domagając się dożywocia, musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy oskarżony jest osobą tak dalece zdemoralizowaną, że nie ma nadziei, aby kiedyś wrócił do społeczeństwa. Janusz Baszewski do tragicznego wydarzenia w mieszkaniu

Iwony Rajskiej żył w poszanowaniu obowiązujących społecznie zasad; skończył szkołę średnią, odbył służbę wojskową. A gdyby popełnił takie przestępstwo w wieku lat 50 — czy o taką samą karę wnioskowałby oskarżyciel?

Sędzia wyjaśniła też, dlaczego za dwa zabójstwa, choć zdarzyły się prawie jednocześnie, są tak różne kary.

W przypadku pozabawienia życia Daniela sąd sięgnął do kary bardzo surowej: A to dlatego, że o ile zachowanie oskarżonego wobec Iwony Rajskiej może być w jakimś stopniu usprawiedliwione, inaczej przedstawia się pozabawienie życia 17-letniego Daniela.

Według prokuratora, miała to być chęć usunięcia świadka. Zdaniem sądu jest to mało prawdopodobne — przecież Janusz Baszewski mógł wyjść z mieszkania po uduszeniu Iwony niepostrzeżenie, potem wrócić i w obecności syna jego ofiary udawać zaskoczenie. Miał na to czas, bo Daniel telefonował, że jedzie do domu. Badanie daktyloskopowe nic by nie dało, w mieszkaniu było pełno śladów Baszewskiego.

Inna rzecz, że twórczenie jakichś przypuszczeń co do zamysłu oskarżonego jest prawnie niedopuszczalne.

W uzasadnieniu wyroku znalazła się też ocena postępowania najbliższej rodziny, a zwłaszcza córki Iwony Rajskiej. Sędzia nie sięgnęła po określenie „hieny”, ale wymowa jej komentarza była bliska takiego pojęcia.

Bo oto córka zamordowanej, która zorientowała się, że matka miała spore długi, pierwsze, co robi, to zrzeka się dziedziczenia. Równocześnie, nie będąc już spadkobierczynią, potajemnie sprzedaje rzeczy z mieszkania matki dla osobistej korzyści. Nie zastanawia się nad tym, że przede wszystkim powinna zadbać o dobre imię rodzicielki w oczach jej dłużników.

Ale to już były uwagi na marginesie, bowiem postępowanie karne nie może być wydłużone o kosztą procesu cywilnego. Córka zamordowanej wystąpiła do prokuratora o wyroczenie w jej imieniu Januszowi Baszewskiemu powództwa adhezyjnego. Z uzasadnienia: „Oskarżony mordując moją matkę i brata pozabawił mnie jakiegokolwiek oparcia finansowego. Dziadkowie utrzymują się z najmniejszej emerytury. W związku z powyższym wnoszę o zasądzenie od oskarżonego kwoty 100 000 złotych tytułem doznanych krzywd moralnych”.

* Nazwiska zostały zmienione

Na proces sądowy Barbara T. czekała w aneksie ponad rok. W śledztwie sprawiała wrażenie, jakby przesłuchanie przynosiło jej ulgę. Zeznawała chętnie, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt na stole, wsłuchana w siebie, nieobecna duchem.

— ... Zamknęłam drzwi na klucz, który schowałam do kieszeni. Pokochajmy się ostatni raz — poprosiłam Roberta, gdy usiadł.

— Proszę dokładnie określić to miejsce — przerwał prokurator — i gdy oskarżona mówi o poszkodowanym, należy używać jego nazwiska. To idzie do protokołu.

— Znaczy na łóżku. Jak zwykle. W pokoiku jedynymi meblami był wąski tapczan i nocna szafka. Jak to w hotelu robotniczym. Na krzesło zabrakło miejsca. Pan K. już się rozbierał, gdy nagle wziął z nocnego stolika magazyn z krzyżówkami. — Weź mi tu napisz — powiedział — że już nigdy nie będziesz do mnie dzwonić i przyłazić pod drzwi. I kazał mi się podpisać.

Potem poszła do łazienki, ale nie zamknęła dokładnie drzwi, obserwowwała mężczyznę przez szparę. Gdy tylko zniknęła, zajrzał do jej plecaka. Przeszukał wszystkie kieszenie, nawet foliową torebkę z rajstopami. Zły, że nie znalazł pieniędzy, rzucił plecakiem o ścianę. Wtedy ona weszła rozebrana do pokoju.

Godzinę później K. chciał iść do domu na obiad. Była rozżalona, że nawet nie zapytał, czy też nie jest głodna. Poprosiła go, żeby się położył na brzuchu, bo chce się po raz ostatni przytulić...

Na tym protokołowanie tego dnia zakończono, ponieważ oskarżona dostała spazmów. Gdy nazajutrz prokurator ponowił pytanie, co działo się później, Barbara T. potwierdziła wersję poszkodowanego Roberta K.

Według jego zeznań, leżał twarzą w poduszce, ona pochylała się nad nim. W pewnej chwili poczuł silne uderzenie czymś ostrym w gardło: „Wbiła mi coś i jeszcze kilka razy przekreśliła, aż zachrobotało”. Złapał za koniec, to był szczyrek. Uciekł na korytarz, zabarykadował się, równocześnie wołając o pomoc. Przybiegli ochroniarz.

— Wywaliłem drzwi i wystraszyłem się — zeznał strażnik w prokuraturze. — Jak w rzeźni. Gdzie spojrzeć, krew. Mężczyzna na golasa krzyczy do mnie, że go zabij. Zaglądam do pokoju. Ta kobieta ubrana po szyję siedzi nieruchomo na tapczanie, na jej ramieniu powiększająca się czerwona plama, przecieka przez materiał bluzki. Nic nie mówi, patrzy obojętnie przed siebie. Wezwałem pogotowie.

Ochroniarz twierdził, że Barbara T. nie po raz pierwszy wynajmowała w hotelu pokój na jedną dobę. Tego dnia od rana zapowiadała portierce, że czeka na narzeczonego, który przyjdzie koło dziesiątej. Mimo mrozu na dworze, wyszła po niego na ulicę w samej bluzce. Tak się jej spieszyło. On elegancki, pewny siebie. Na oko jej rówieśnik. Narzekał głośno: — Gorszej nory nie mogłaś już znaleźć?

Zostawił w portierni swój dowód osobisty na nazwisko Robert K. Gdy szli do pokoju, ona wisiła mu w ramieniu, zaglądała w oczy. Kto mógł się spodziewać, że za godzinę trzeba będzie pod ten numer wzywać pogotowie ratunkowe?

Lekarz zabrał zranionego do karetki, a kobiecie opatrzył krwawiące ramię. Twierdziła, że sama się „pochłastała”. Nie chciał jej zabierać z ofiarą, ale płakała, że to jej chłopak i nie zostawi go. Potem czekała na szpitalnym korytarzu, aż chirurg zszycie rany dłoni Roberta K. Po wytarciu krwi okazało się, że tętnica na szyi jest tylko drażnięta, podobnie obojczyk. Najbardziej rozharatana została dłoń — od ostrza wyryanego szczyrzyka.

Lekarz zauważył, że kiedy od opatrzonego już pacjenta pobierano w izbie przyjęć szczegółowe dane, do Barbary T. podeszła starsza kobieta w szlafroku i coś jej szepnęła.

— Ta pacjentka radziła — zeznała T. w czasie kolejnego przesłuchania — żeby uciekać, bo zaraz tu będzie policja. I doprowadziła mnie do drzwi wyjściowych. Prawie otarłam się o wchodzących dwóch policjantów... Ale nikt mnie nie zatrzymywał.

Szła pieszo przed siebie i po godzinie stanęła na krzyżówce przy szosie wylotowej na Gdańsk. Był już wieczór, wiał ostry wiatr, bardzo mało kursowało samochodów. Wreszcie złapała okazję.

Z zeznania kierowcy: — W szoferce było dosyć ciemno, wtedy jeszcze nie zauważyłem pokrwawionego ubrania tej autostopowiczki. Ona cały czas dygotała. Wy-sadziliśmy ją w ilawie, w pobliżu rynku. Dziwnie odpowiadała na moje pytania, z dużym opóźnieniem, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi.

Barbara T. miała już tylko kilka kroków do swego mieszkania. Wlokła się ospałe, mimo lodowatego wiatru. Już miała otworzyć drzwi na klatkę, gdy cofnęła się, zdjęła dzinsową kurtkę ze sztucznym barankiem i wrzuciła ją do kosza na śmieci. W domu od razu poszła do łóżka. Matka, o nic nie pytając, wyprała zakrwawioną bluzkę córki. Policja przyszła w poniedziałek rano.



Rok później Barbara T. siedzi w ławie oskarżonych na sali sądowej. Ubrana jest w ta-ni bazarowy pulower, tak rozciągnięty, że może chować dłonie w rękawach. Co też robi. Jej tlenione włosy mają już duże, ciemne odrosty. Raz po raz rozgląda się po sali, jakby kogoś szukała. Każde skrzypnięcie drzwi odwraca jej uwagę od słów są-dziego; trzeba powtarzać pytanie:

— Kiedy i w jakich okolicznościach poznała oskarżona Roberta K.?

— Pod hotelem Polonia, dokładnie dwudziestego lutego 2005 roku, to był ponie-działek, przepraszam, a Robert nie przyjdzie dzisiaj?

Sędzia odpowiada, że pokrzywdzony nie miał takiego obowiązku, reprezentuje go adwokat.

— A ja myślałam... — zaczyna oskarżona, ale sędzia przywołuje ją do porządku. Ma powoli i dokładnie odpowiadać na zadane pytania.

Ona godzi się potulnie. Zeznaje, że pracowała wtedy jako kobieta bezprudernej-na — takiego właśnie używa określenia. Robert K. w czasie kolejnego ich spotkania

na parkingu zapłacił aż za dwie godziny, więc też porozmawiali. Zwierzysł się jej, że nalogowo gra w kasynach.

— Co za brednie! — zeznanie oskarżonej przerywa okrzyk mężczyzny w pierwszej ławie. To ojciec Roberta.

— Panie K. — poucza świadka sędzia — proszę się powstrzymać od spontanicznych uwag.

— ... Potem spotykaliśmy się — Barbara T. mówi ze wzrokiem wbitym w podłogę — na stopie prywatnej.

— To znaczy? — dopytuje sędzia.

Oskarżona wyjaśnia, że nie płacił. Musiała oszukiwać swego opiekuna Zinka, bo umowa była taka, że po każdej nocy oddaje mu 70 procent zarobku, a z powodu spotkań z Robertem przyjmowała mniej klientów. K. obiecywał jej, że wkrótce już nie będzie musiała stać na ulicy. Ale najpierw chciał, aby pomogła spłacić jego dług. Nadal więc zajmowała swoje miejsce pod hotelem Polonia, aż się przeczubiła.

— Gdy powiedziałam szefowi, że nie mogę pracować, to jego konkubina, która miała za zadanie pilnowanie dziewczynki, dała mi taki wpier..., że o własnych siłach nie podniosłam się z chodnika.

— Zwracam uwagę oskarżonej, tu jest sąd...

— Z nerwów mi się wyrwało.

— Proszę zeznawać, co było dalej.

— Pewnego ranka, gdy już byłam po robocie, a Robert wyszedł spłukany z kasyna, powiedziała mi, że kończę z Zinkiem, mam trochę oszczędności, rok przeżyję. Zapłacił: — Ile? Ja na to, że będzie około 60 000 złotych.

Nic się na nie odezwał, ale następnego dnia zaprosił Barbarę w imieniu swych rodziców do jego domu na obiad. Pierwszy raz była w takiej porządnej, jak stwierdziła, i eleganckiej rodzinie. Matka lekarz, ojciec inżynier. Mówili do niej: Bastienko. Po tygodniu zaproponowali, żeby u nich zamieszkała. Jako przyszła synowa gotowała im, sprzątała. I dokładała się do wydatków. Robert pojedął do ławy, do jej rodziców, żeby się oświadczyć o rękę córki, ustalić termin ślubu.

— I co stało się na przeszkodzie zawarciu małżeństwa? — pyta sąd.

— Jakiego małżeństwa! — irytuje się na głos ojciec Roberta.

Barbara T., wpatrzona w pierwszą ławę traci wątek. Trzeba jej przypomnieć pytanie.

— Ach, przytakuje.

Było tak: Robert nie wychodził z salonów hazardowych. Jego matka robiła, co mogła, żeby wyrwać syna z nalogu. Leczył się w ośrodku odwykowym, miał prywatną terapeutkę. I nadal grał, choć nie sła mu karta. Zapożyczał się w lombardzie, pobierał zaliczki na rzekome delegacje w swojej firmie, okrajał swą babcię, która już nie wstrawiała z łóżka. Barbara T. ubłagała księgową w jego zakładzie, aby nie mówiła o tym dyrektorowi i ratami zwracała dług.

— Co ona opowiada! — to znów okrzyk ojca pokrzywdzonego.

Było coraz gorzej. Robert K. przegrał mieszkanie, kupione mu przez rodziców. Zapożyczył się u mafii. Któregoś dnia ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyła Barbara i wówczas dwóch mężczynek popchnęło ją pod ścianę, wywijając brzytwą. Usłyszała, że ma zapłacić za narzeczonego, bo jak nie, to już kopią mu dół, a ona będzie miała pamiątkę na całe życie — szramę od ucha do ucha. Nie mogła liczyć na natychmiastową pomoc; w mieszkaniu była tylko 85-letnia babka. Wyciągnęła wszystko, co miała schowane na czarną godzinę. Potraktowali to jako zaliczkę. Zaprotestowali, że przyjdą za trzy dni. Zamknęła za nimi drzwi na łańcuch i upadła. Gdy otworzyła oczy, kłęcała przy niej matka Roberta z lekarzskimi słuchawkami na piersi.

— Powiedziała, że chyba pękło mi naczynko w głowie. Nazajutrz kazali mi się wyprowadzić. Uznali, że jestem już nieprzydatna.

Skąd taka nagła zmiana w zachowaniu przyszłych teściów?

Miesiąc wcześniej Robert wpadł w szal, gdy powiedziała mu, że kończą się jej oszczędności i nie da mu na wyjazd do kasyna w Lublinie. Chciał się truć, babce zjadł wszystkie leki, które miała uložone w pudełeczkach na poszczególne dni tygodnia, Barbarze zarzucił na szyję pięć z paska od szlafrocka i dusił; cudem się wyrwała. Jeszcze tej nocy postanowiła, że odejdzie. Gdy usnął, zaczęła się pakować. Ale pani doktor błagała, żeby została, bo tylko ona ma na jej syna dobry wpływ. Wraz już na pewno wyjdzie z nalogu, ukończy przerwane studia.

— Objełmowała mnie, całowała. Wtedy obudził się Robert i widząc jej walizkę na środku pokoju z płaczem błagał: Pomóżcie mi i I ja, głupia, znowu włożyłam swoje rzeczy do szafy, a nazajutrz dałam Robertowi trochę pieniędzy, bo zdawałam sobie sprawę, że z nalogiem nie można zerwać od razu.

Rodzina idylla trwała tydzień. Potem znów pojawili się dłużnicy i wszystko się powtórzyło. Robert K. dostawał napadu szału, groził, że się powiesi. Do Barbary leciał z pięściami, nie wierzył, że ma już puste konto. Któregoś dnia zwymyślana i pobita zamknęła się w pokoju. Najpierw płakała, a potem zmorzył ją w fotelu sen. W pewnej chwili poderawała się, bo drzwi wypadły z futryny, kopnięte przez Roberta. Stał nad nią i krzyczał: — Wynocha, rodzice nie życzą sobie kurwy pod jednym dachem. Oni siedzieli w stolowym, wszystko słyszeli, była przekonana, że wezmą ją w obronę. Ale nie odezwali się. Nawet nie odpowiedzieli na jej dowiadzenia.

Wróciła do Zinka, kazał jej zapłacić za zdradę 15 000 złotych, a gdy nie miała od razu całej gotówki, dostała nauzkę. Wyrzucił ją w nocy do Puszczu Kampinoskiej i jego konkubina Mariola ogoliła Barbarę głowę za opuszczanie się w pracy. Potem odjechali, musiała pieszo iść kilkanaście kilometrów do najbliższego przystanku PKS. A następnej nocy Mariola ustawiła ją na najgorszym miejscu, w podziemiach Dworca Centralnego. I tam Robert K. odnalazł ją któregoś nocy. Całą winę za wyrzucenie z domu zwał na rodziców.

Od tej chwili Barbara T., jak wynika z dalszych zeznań przed sądem, znów była szczęśliwa. Wynajęła pokój w hotelu robotniczym blisko domu Roberta i tam spotykali się dwa, trzy razy w tygodniu. Płaciła mu po 500 złotych za każde przyjęcie. Po miesiącu znalazła w kieszeni jego spodni wizytówkę agencji towarzyskiej z Katowic. Na odwrocie był numer komórki i adres niejakiej Skarlet. Nie zdradzając się przed „narzeczoną”, dotarła do tej kobiety.

— Obiecywał mi, że jak mu zapłacę, to na inne nawet nie spojrzę, a tymczasem znalazłam tę żądzirę. Wysłpiewała, że ma narzeczonego w Warszawie, pomaga mu finansowo, bo on studiuje. Czyli, pan Robert złapał nową frajerkę do pokrywania jego długów... Nie chciałam go zabić – tylko, żeby się opamiętał, zmienił postępowanie. Może to pełnięte naczynko ucisnęło mi na mózg.

Adwokat oskarżonej (z urzędu) zgłosił listę dodatkowych świadków.



Kolejna rozprawa. Barbara T. od pierwszej chwili nerwowo rozgląda się po sali. Szułka kogoś, penetruje wzrokiem ławy, każde skrzyknięcie drzwi działa na nią elektryzująco. Nieuważnie słucha mecenasa, który coś jej szepcze do ucha; tylko jeden człowiek ją obchodzi – Robert K. Ale pokrzywdzonego, choć dawno już wrócił do zdrowia, znów nie ma. Reprezentuje go adwokat. Za barierką dla świadka staje pani doktor K.

Ostre rysy twarzy, na której rysuje się nieprzejednana zaciętość. Miła matki pokrzywdzonego zdaje się mówić: sala sądowa, to nie jest miejsce dla mnie. Porządny człowiek nie roztrząsa spraw rodzinnych publicznie.

Pytanie sądu sprowadza ją na ziemię: – Czy świadkowi było wiadomo, że Barbara T. trudniła się prostytutką?

Pani doktor robi minę, jakby zrzuciła z kolnierza karalucha. – Skądże – gwałtownie zaprzecza. – Ulicznica pod moim dachem! To niemożliwe! Myśleliśmy z mężem, że oskarżona zajmowała się dorywczo handlem. Nigdy też nie słyszałam – uprzedza ewentualne pytanie – żeby syn brał od tej kobiety pieniądze. Przeciwnie, gdy mieszkaliśmy z nami, Robert oddawał jej swoją pensję na wspólne gospodarstwo.

— Kłamstwo! – krzyczy Barbara T. zza pleców adwokata. – Nie pamięta pani, jak Robert chciał mnie udusić, gdy powiedziałam, że już nie mam pieniędzy na jego hazard? Przecież odciągałście go ode mnie!

Świadek nie pamięta. Do końca rozprawy Barbara T. mamrocze pod nosem: – Cygania, ale cyganią. Odnosi się to też do jej ojca, który zeznał pod prysięgą, że nic mu nie wiadomo, żeby córka była taką, no, spod latarni. Zresztą, on nie jest prawdziwym ojcem oskarżonej. Żona miała ją panną i oddała do sierocińca. Gdy się pobrali, kazal wziąć dziewczynkę do domu, żeby się nie poniewierała wśród obcych.

Następnym świadkiem jest Zofia S., barmanka na Dworcu Centralnym w Warszawie. Kobieta po czterdziestce, tęga, bez śladu makijażu, cienia kokieterii. Przedstawia się

10707
10707

jako jedyna przyjaciółka oskarżonej. Sąd ma jedno pytanie: – Co świadkowi wiadomo o Barbarze T.?

Najpierw słyhać głębokie westchnienie, aż zafalowały obfite piersi, potem zaskłily się oczy, więc barmanka szuka w torbie chusteczki, i wreszcie zaczyna zeznawać. Poznała Barbarę, pracując w całodobowym drink-barze na Centralnym. O czwartej nad ranem, gdy w lokalu nie było gości, obserwowała przez szybę spacerującą po holu młodą kobietę. Jej wygląd: kusa czerwona spódnica, czarne półczochoy, obcasy na 30 centymetrów – nie było wątpliwości, jak zarabia na życie. Czasem, gdy z głośnika zapowiedziano, że pociąg do Gdańska ma opóźnienie, ta kobieta wchodziła do baru i zamawiała herbatę.

– Powiem tyle, że ona nie zeszlaby na złą drogę, gdyby wcześniej ktoś jej rękę podał. Z czasem poznaliśmy się bliżej, opowiadała mi o sobie. W domu od dziecka jak ta dziczka rosła – nikt nie przypilnował, żeby odrobiła lekcje. Przybywało dwój, więc uciekała na wagary, ostatecznie z trudem ukończyła podstawówkę. Zaraz potem matka zdecydowała, że teraz córka będzie zarabiała na dom. Bo rodzicielka miała piasek w rękawach. (Poruszenie, jakieś niewyraźne zlorzeczenia w ławie, gdzie siedzi matka Barbary T. z mężem).

Świadek Zofia S. opowiada, jak kilkunastoletnia Baśka jeździła wcześniej rano do Warszawy na stadion, sprzątać między stoiskami. Aż dojrzał ją pewien starszawy Wietnamczyk, podobno inżynier, ale kto go tam wie. Postawił dziewczynie raz i drugi frytki, a gdy już mu jadła z ręki, zaprowadził w krzaki za stadionem. Skończyło się na tym, że Baśka, mając 17 lat, urodziła Patrycję. Wietnamczyk wysłał do sądu o pozwolenia na ślub z nieletnią. Jemu to się opłacało, bo dostał przedłużenie wizy, a potem polskie obywatelstwo. Matka Baśki liczyła na przyjęty gotówki. Ale się przeliczyła. Bo dziewczyna niby miała męża, ale w ławie ani razu się nie pokazał. Tak, że trzeba było wszystko odkręcać sądownie. Po rozwodzie Baśka nie wiedziała, co ze sobą robić. Szkoła ją nie ciągnęła, roboty podpadającej nie było. I wtedy jej matka wywiedziała się na bazarze, że ktoś organizuje wyjazd dziewczyn do Dortmundu na robotę pomywaczek w restauracjach. I wepchnęła córkę w łapy sutenera.

– Mnie się widzi, że pani T. od początku dobrze wiedziała, jaka to będzie robota. Prokurator zażądał kary ośmiu lat więzienia. Sąd był innego zdania: – Gdyby oskarżona nosiła się z zamiarem zaboistwa, nie informowałaby personelu hotelu, że oczekuje na kogoś. Na jej korzyść przemawiało i to, że nie uciekła z miejsca przestępstwa. Czuwała, aby lekarze zajęli się zranionym mężczyzną. A przecież mogła natychmiast wyjechać za granicę. Znała drogę do Niemiec.

Barbara T. została skazana na rok i 6 miesięcy.

Na manipulowanie nią przez panią doktor nie ma paragrafu.



Dwa lata później, pisząc reportaż o mitingach dla Anonimowych Hazardzistów w Warszawie, ponownie usłyszałam o Robercie K. Wybitny psycholog zajmujący się terapią dla uzależnionych opowiedział mi o losach pewnego młodego mężczyzny na dowód, że nawet stosując najbardziej przemyslane metody walki z nalogiem można ponieść klęskę. Miał na myśli Roberta K.

Otóż okazało się, że wysłanie ukochanego syna do renomowanej kliniki w Niemczech, co zrobiła pani doktor jeszcze w czasie procesu Barbary T., nie zniechęciło go do zostawiania pieniędzy w salonach gier. W Monachium już po kilkunastu dniach przerwał opłaconą terapię i uciekł z zamkniętego ośrodka, gdzie za jego zgodą umieścili go rodzice. Na prawie rok przepadł jak kamień w wodę. Gdy wreszcie znalazła go policja, był wradłem człowiekiem. Bezdomny, obdarty, odżywił się tym, co zdołał ukrząc w marketach. Odpowiedzialności karnej uniknął tylko dlatego, że ód dawna nie miał jałdogołówek dokumentu tożsamości. Aby ustalić, kim naprawdę jest, jego matka specjalnie pojechała do Niemiec.

Wrócili do Polski, po drodze syn zapewniał, że zmieni życie po tym, jak sięgnądna. Gorąco prosił rodziców, aby go wspierali w postanowieniu.

Chcieli mu wierzyć – opowiadał mi psycholog – tak bardzo, że w dowód swego zaufania wspomniał mi przepisał mi hipotekę ich mieszkania. Żeby kiedyś, gdy umrą, nie marnował czasu na zatławianie formalności.

Po roku wyszło na jaw, że Robert przegrał równowartość prawie 100-metrowego lokalu. Tyle wynosił kredyt hipoteczny, w tajemnicy przed rodzicami wzięty na wysoki procent w banku. Państwo K. stracili wszystko; po wielu miesiącach starań, znaleźli dach nad głową w ośrodku zdrowia na białostockiej wsi, gdzie od dłuższego czasu żaden lekarz nie decydował się na taką zsyłkę. Skruszonego syna zabrali ze sobą, bo nikt z tej trójki nie miał lepszego pomysłu, jak go ratować.

Straciłem z nimi kontakt – wyznał psycholog – ale coś czuję, że wkrótce pani doktor odwiedzi mnie. Z płaczem.

Mój rozmówca był zaskoczony, gdy mu powiedziałam, jaki epizod z życia Roberta K. poznałam na sali sądowej. Choć podstawowym warunkiem terapii w prowadzonej przez niego przychodni jest bezwzględna szczerześć pacjentów, nigdy nie usłyszałam o Barbarze T. Widocznie, gdy już nie mogła spłacać długów swego kochanka, matka i syn wyrzucili ją z pamięci.

A ona...? Wzięłam z akt sądowych adres jej matki w Hawie. Obliczyłam, że Barbara T. odsiedziała wyrok, jest już na wolności. Ale nie zastałam jej w domu: jedynie córke, którą od pieluszek wychowuje babcia.

Pojechała zarobić do Niemiec. Czasem dzwoni, ale nie znam jej adresu i nie wiem, kiedy wróci – powiedziała mi przez szparę między drzwiami a framugą jej matka. (Za jej pleców wyglądała 10-letnia Patrycja).

I tyle było tej rozmowy.

Miałam jeszcze w notesie adres bufetowej – świadka na procesie Barbary T. Mówiła wtedy, że jest jej przyjaciółką. Któregoś dnia zajrzałam do baru na Dworc Centralnym. Zońa S. była na swoim starym miejscu.



Pojechała głupia za tym Robertem, gdy tylko dowiedziała się, że starzy wyszli go do Monachium. Pokażę pani listy, jakie Basia pisała do mnie z Niemiec.

Z przewiązanego zieloną wstążeczką pakietu białych kopert wysypują się gesto zapisane kartki. Mogę spokojnie czytać – barmanka pracuje do dziesiątej wieczór. Dużo tekstu zajmują chaotyczne opisy i obserwacje z niemieckich sklepów, tańca, jego jedzenia, jego różnorodności. – „Gdy mam wolne – pisze Barbara T. – najbardziej lubię chodzić sama po mieście i gapić się na ludzi. Wierzę, że któregoś dnia go spotkam. Znam już wszystkie adresy „czarnych szyb”. (Tak hazardziści nazywają salony gier, z powodu zaklejonych okien).

O tym, czym się zajmuje w lokalu nocnym La Mirage nie wspomina. Tylko raz wymknęło się jej zdanie, że właściciel, Turek, jest już dla niej trochę lepszy, nieraz do rana pozwala stać przy konharze, ona woli to, niż chodzenie z klientem za kotarę. Choć trochę szkoda zarobku: pół godziny kosztuje sto pięćdziesiąt marek, z czego dostaje na rękę jedną trzecią. Chwali się, że jest dobra w wyciągnięciu od gościa jak najwięcej forsy za drinki. Zawsze udaje, że też pije whisky, facet zarawia, a tak naprawdę to dostaje piccioło pół na pół z wodą. Umie już zagadać, gdy się przesiądą z barowych stolków na kanapę. Niemiecki nie jest trudny, poznała sporo słów, na przykład: (podaje fonetycznie) bitte – proszę, halbestunde – pół godziny; sich waszen – myć się, gummi – guma, bisbali – do zobaczenia wkrótce. – Miałam szczęście – pisze – bo inne dziewczynki z Polski wyglądały w lokalach brudnych, położonych w najgorszej dzielnicy, z bossem starym i śmierdzącym.

Regularnie wysyłane do Polski listy mają nagle dwutygodniową przerwę. Gdy Barbara wznawia korespondencję, okazuje się, że jest w areszcie deportacyjnym. Był naboł policji w La Mirage – wszystkie prostytutki zostały aresztowane, bo pracowały nielegalnie. – Jeśli złoży zeznania – T. powtarza przyjaciółce warunki, jakie postawiła jej policjantka – przynajmniej jej pobyt tolerowany, to się nazywa Duldung. W tym czasie będzie mogła mieszkać w domu dla maltretowanych kobiet. Z organizacji, która z urzędu opiekuje się takimi ofarami, dostanie czterysta marek kieszonkowego. Ale nie wolno jej nigdzie pracować. Ona uznała, że po procesie i tak zostanie deportowana, a Turek ma długie ręce. Znajdzie ją w Polsce, pobije. Lepiej więc mądrzym odpowiedzieć tak, jak ją nauczył boss: Ichmachekneinensausage – nie składam zeznań. Najwyżej zawrócę do Polski.

Tydzień później deportowana Barbara T. stanęła w proggu znajomego jej dworcowego baru na Dworcu Centralnym. Zrozpaczona, bo nie znalazła w Monachium Roberta.

— Miała trochę zaoszczędzonych marek — wspomina bufetowa — radziłam: kup kawalerkę w Itawie, idź do przyzwoitej roboty. Akurat w jej mieście Niemcy otworzyli fabrykę, pisano o tym w gazecie. Postuchała, ale źle wypadła w kadrach. Zapytała ją o świadectwa szkolne. Miała tylko z podstawówki. A jeszcze ten ubiór — spódnica tak krótka, że majtki widać, dekolot głęboki, buty z cholewami do połowy uda. Odprawili ją. Tyle mi jeszcze powiedziała i znów gdzieś przepadła.

— Boję się — szczerze martwiła się poczciwa pani Zofia — że ponownie przedostała się nielegalnie przez granicę do Niemiec. Miała to przećwiczone. I znów go tam wypatruje na ulicach Monachium.

Poszedł na dworzec PKS zobaczyć, która godzina. Wąlewał się tak już od południa po ulicach podwarszawskiego miasteczka i nawet nie zauważył, że zrobiło się ciemno.

Nie miał w kieszeni ani złotówki, był głodny. Gdy mijal budkę z frytkami, starał się nie wdychać milego zapachu przypalonego oleju, bo ssanie w żołądku nasilało się. Coraz dotkliwiej odczuwał zimno. Padał przemieszany z deszczem śnieg, mrocowy wiatr raz po raz smagał go w twarz strugami mokrej ciapy. Nie uprzątnięte z chodników błoto dawno już przemoczyło adidasy.

Dochodziła ósma. Za godzinę przyjedzie autobusem z Warszawy mama, która pracuje w stołecznym markecie. Może przywiezie coś do jedzenia. Zazwyczaj są to produkty lekko przeterminowane, ale za to kosztują taniej. Postanowił poczekać pod przystankową wiatą; przynajmniej nie będzie mu się lato za kolanierz.

Skulił się na ławce, przymknął oczy. Niedługo napije się w domu gorącej herbaty, może uda się obejrzeć coś w telewizji. Nie mają kablówki, ale nawet na dostępnych kanałach znalazłby ciekawy film. Rozmarzył się. Fajnie jest usiąść z bratem Mackiem i mamą na wersalce w dużym pokoju i podgryzając paluszki patrzeć w ekran. Niech sobie wtedy za oknem pada. Można też zdrzemnąć się pod kocem...

Ale za chwilę poderwała go niepokojąca myśl — a jeśli ojciec jest już w domu? A tam Maciek sam. Co ja robię, przecież obiecałem mamie, że będę się nim opiekował.

I Oskar Janicki* zerwał się z ławki, pospiesznie opuścił dworzec PKS. Nie zważając na szarpający nim wiatr pobiegł w stronę osiedlowych bloków.

Maciek, jego brat bliźniak, ale zdecydowanie chudszy, drobniejszy, bał się ojca jeszcze bardziej niż Oskar.



Maciek rzeczywiście był w domu sam, gdy usłyszał znajome ciężkie kroki ojca na klatce schodowej. Bełkotliwe „k...” wykrzykiwane z powodu trudności w trafieniu kluczem do zamka zdradzało, że ojciec znów jest pijany. 19-letni chłopak skulił się, jakby już na jego plecach spadła pięść Henryka Janickiego. Tak znieruchomiły tkwił na krześle, że wzrokiem wbitym w oszklone drzwi. Jeszcze miał nadzieję, że ojciec za moment w zamroczeniu alkoholowym padnie na łóżko w dużym pokoju. Wtedy w spokoju doczekałby powrotu do domu matki i brata.

Ale cud się nie zdarzył. Dwa dni później Maciek zeznał przed prokuratorem: — Ojciec ledwo przelkrocył próg, zaczął rozrabiać. Zgasilem światło udając, że już się położyłem spać, ale mimo to wtargnął do pokoju. Jak zwykle, najpierw obrzucił mnie straszными wyzwiskami, których nie mogę powtórzyć, bo ja nie używam takich słów. Potem wrzeszczał, że mam mu oddać komputer, bo wszystko, co jest w tym mieszkaniu, należy do niego. Tylko czekał, abym zaprzeczył, przecież komputer kupiła nam mama. Ale ja się nie odzywałem, zaniósłem cały sprzęt do przedpokoju.

Wtedy zażądał, bym oddał stary zegarek, który kilka lat temu dostałem od babci na urodziny. No to zjąłem go z ręki, mówiąc: Uspokój się, tato.

Obaż dziewiętnastoletni synowie zawsze tak się zwracali do awanturującego się ojca: – „tato”. On natomiast chyba już nie pamiętał ich imion. Jeśli chciał im coś powiedzieć, mówił: „ty ch...”.

Tak było i tego sobotniego wieczoru.

Henryk Janicki wyraźnie szukał zaczepki. Nie mogąc doczekać się, aby syn dał mu jakikolwiek pretekst do awantury, z hałasem otworzył drzwi do pokoiku i uderzył Matka. Wtedy zdarzyło się coś, co do tej pory było nie do pomyslenia – po kilku ciosach syn oddał ojcu. Pierwszy raz w życiu.

Maciek tak potem opowiadał o tym na sali sądowej: – Zaczęliśmy się szarpać. Najpierw pod drzwiami mojego pokoju, potem na korytarzu. W pewnej chwili ojciec przewrócił się, ja usiadłem na nim. Bił mnie po twarzy, to mu oddawałem. Gdy poleciała mu krew z nosa, powiedział: – Teraz masz przejebane, już nie żyjesz.

Chłopiec prosił ojca, aby się uspokoił. Trząsał się ze strachu, do przyjścia matki z pracy brakowało jeszcze co najmniej godziny. W pewnej chwili, gdy Henryk Janicki usiłował złapać nogę stolka, aby uderzyć nim syna, ten błyskawicznie się podniósł i uciekł do sąsiadki. Ojciec wybiegł za nim z przekleństwami.

– Ale ja byłem szybszy – opowiadał w sądzie Maciek. – Po chwili znalazłem się w tamtym bezpiecznym mieszkaniu, za zamkniętymi na klucz drzwiami. Do domu wróciłem dopiero wówczas, gdy upewniłem się, że przyszła mama.

W pustym mieszkaniu pijany Janicki szalał, demoluując pokój syna. Rozbił biurko, tapczan, roztrzaskał komputer. Uspokoił się dopiero, gdy opadł z sił po stłuczeniu wszystkiego, co było w zasięgu jego rąk.

Beata Janicka weszła do zdewastowanego mieszkania kilka minut przed Oskarem. Gdy chłopak stanął w drzwiach, awanturnik właśnie zamierzał się „puść” (główną kulą na sznurze, którą zawsze nosił przy sobie) na żonę. Tego Oskarowi było już za wiele – uderzył tyrana w twarz. Podobnie jak Maciek, pierwszy raz w życiu podniósł rękę na ojca.

– K... teraz masz przejeb... już nie żyjesz. Pójdiesz do kymnatu, a tam mam kumpli i zrobią z ciebie cweła – wykrzykiwał Janicki.

Kobieta zadzwoniła po policję. Funkcjonariusze, którzy stawili się bez zbyteknej zwłoki, zdecydowali o zabraniu pijanego awanturnika do Izby Wyrzeczzeń. Nim go wyprowadzili, Janicka dostała do podpisania tzw. niebieską kartę. Policjant powiedział jej, że zostanie uruchomiona procedura ochrania rodziny przed przemocą domową.

– Od tej chwili – pouczył – funkcjonariusz wezwany na interwencję ma obowiązek wypełnić stosowny formularz karty, która trafi do dzielnicowego. Ten z kolei jest zobowiązany do założenia „teczki zagadnieniowej”, dla gromadzenia doku-

mentacji z interwencji. Co najmniej raz w miesiącu dzielnicowy zapuka pod ten adres i sprawdzi, jak zachowuje się pani mąż.

Henryk Janicki zateagował na to szyderstwami. Gdy go wyprowadzali, spojrzal na Oskara i pokazując gest podryzmania gardła powiedział: – Albo ty, albo ja. Zagroził też Mackowi zapowiadając, że w najbliższy poniedziałek dostanie „kosę” w drodze do szkoły. Dla podkreślenia, że nie są to słowa rzucane na wiatr, klepnął się po kieszeni, w której, jak zwykle, trzymał składany nóż typu motylek.

◆ ◆ ◆

– Całą noc z soboty na niedzielę nie spałem, czekałem na niego – wyjaśniał w prokuraturze zatrzymany Oskar Janicki.

I dokładnie opowiedział, co czuł, o czym myślał, po wyprowadzeniu ojca przez policjantów.

Stało mu przed oczami życie jego, brata i matki. Dokąd tylko sięgał pamięć, budził się i usypiał w strachu. Bał się razów pijanego ojca, zwłaszcza tej ciężkiej kulki gumowej, która rozhuśtana uderzała na oślep. Nieraz z bratem tak nią obrywali, że na wnefie, wstydzając się granatowych siniaków, musieli udawać chorych.

Od czterech lat ojciec nie pracował, ale i wcześniej, gdy jego alkoholizm nie był jeszcze tak widoczny i znajdował dorywcze zatrudnienie, nie dawał pieniędzy na dom. Z pensji matki – niecałe 800 złotych – ledwo starczało im na jedzenie.

– Ja nigdy nie miałem ani ambicji, ani marzeń – powiedział Oskar prokuratorowi. – Rano, przed północą do szkoły, myślałem tylko o tym, aby zejść ojcowi z drogi i bezpiecznie dotrzeć z bratem na ulicę.

Był też inny strach: aby nie dowiedzieli się o tym wszystkim w szkole. Na nauki uczyli się w sposób – pilnie odrabiał lekcje. Jeżeli nie było spokoju w domu, siedzi z zeszytami do poczekalni na dworcu PKS. Bufetowa znała go z widzenia, czasem postawiła przed nim darmowy kubek z gorącą herbata, a nieraz i talerz fasolki po bretolsku, wyskrobanej z dna garnka.

Gorzej układało się z kolegami z klasy. Oskar celowo stronił od nich, nawet za cenę nazwania go sobkiem. Uważał, że nie może postępować inaczej. Gdyby się z kims zaprzyjaźnił, odwiedzał go w domu, musiałby z czasem tego kogoś zaprosić do siebie. A ojciec zapowiedział, że jeśli zobaczy kiedykolwiek obcego w mieszkaniu, a zwłaszcza w pokoju chłopców, wykopie intruza, jak psa.

Z tych samych powodów Oskar nie mógł mieć dziewczyny. Zrozumiał to, gdy siedemnastoletni pierwszy raz w życiu zakochał się w koleżance z równoległej klasy, Zuzie. Kiedyś przyszła pod jego blok, bo godzinę wcześniej o coś się dąsała i teraz chciała go przeprosić. Oskar zobaczył ją przez otwór, wybiegł uradowany na podwórko. Serce biło mu tak radośnie... W chwili, gdy nachylał się nad Zuzię, aby mogła go na zgodę pocałować w policzek, kątem oka zobaczył „pętelkującego” na chodniku, jak zwykle pijanego ojca.

Brudny, w ubłoconej marynarce, z nie zapiętym rozporkiem, wracał do domu po trzydniowym picu w melinach. Bełkotał przelętnością, a na widok wychodzącej z klatki sąsiadki (która często dawała schronienie Maćkowi), splunął.

Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas obrzydzenia. – Co za bydlę – powiedziała – takiego ojca mieć, to tylko się zabić.

Oskar nie podtrzymał tematu, ale już nie chciał iść na spacer. Wytłumaczył się bólem głowy i wrócił do domu. Z Zuzią zerwał, choć ona długo broniła się przed nieoczekiwanym końcem ich znajomości. Co było przyczyną ich rozstania dowiedziała się dwa lata później, gdy zeznawała jako świadek na procesie Oskara.



Najbardziej bał się o matkę i brata. Czuł się za nich odpowiedzialny. I zawsze ich osłaniał, gdy tyran puszczał w ruch swą gumową kulę. Sam przywykł do razów. Po raz pierwszy został skopany przez ojca, gdy miał 5 lat, bo bronił matki po uderzeniu jej krzesłem. Zakrwawiona upadła na podłogę, a on – płacząc – rzucił się z piętkami na tatusia oprawcę.

Janicka była samą dobrocią. Zaharowywała się w warszawskim markecie za nędzną zapłatę, nie wiedziała, co to urlop, bo wtedy szła do robot połowych. Kochała synów, wystawiała się na raży pijanego męża, aby ich osłonić, ale nie potrafiła walczyć z przeciwnościami losu. Z pokorą zgodziła się na los bitej żony i jedyne, na co nie chciała pozwolić, to, aby rodzinny dramat wyszedł poza mury ich M3.

Nie udało się utrzymać tej tajemnicy przed najbliższymi sąsiadami, bo wyrzucana przez męża z mieszkania, wielokrotnie spała z synami na klatce schodowej. Ale już dzielnicowy o niczym nie wiedział. Albo, co bardziej prawdopodobne – mógł udawać, że niczego nie widzi.

Gdy chłopcy dorosli, kilkakrotnie namawiali matkę, aby się rozwiódła, poszukała pomocy w jakiejś organizacji, która wspiera rodziny maltretowane przez alkoholików. Janicka nawet nie chciała o tym słyszeć. – Doniesiemy, gdzie trzeba, a potem on się będzie mścił, jeszcze swoich kumpłi naśle, kto nas wtedy obroni?

Tymczasem ojciec stawał się coraz bardziej wyrafinowany w swym okrucieństwie. Wyraźną przyjemność sprawiało mu ogłaszanie różnych zakazów, którym pozostali domownicy musieli się podporządkować. W przeciwnym razie była awantura na całego, z wyzwiskami i bicciem.

W wymyślaniu szykan Janicki przejawiał wiele pomysłowości, np.: Nie dość, że nie wolno było synom przyprowadzać do domu kolegów, to musieli jak trusie siedzieć w swoich pokojach, gdy on był w domu. Nie pozwalał im wtedy korzystać z łazienki i zaglądać do kuchni. Telewizor, który stał w stołowym, choć kupiła go na raty Janicka, pozostawał do wyłącznej dyspozycji pana domu, który okupował duży pokój. Gdy czasem któryś z bliźniaków zatrzymał się na chwilę w przedpokoju, żeby zerknąć na ekran (ojciec często zostawiał drzwi otwarte, aby obserwować, co się

dzieje w mieszkaniu), natychmiast dostawał w głowę czymś, co akurat Janicki miał pod ręką. Często była to żelwna popielniczka.

Zabronił synom korzystania z komputera, a gdy zorientował się, że włączają go, gdy są sami w mieszkaniu (przed wyjściem notował stan licznika prądu), poprzecinał kable, zgniotł obudowę z procesorem i wyniósł ten szmelc do piwnicy.

Sycił się strachem w oczach swych dzieci. Od wielu lat sprawiło mu to przyjemność. Byli jeszcze mali, gdy z byle powodu brał do ręki sielcierę, zapowiadając, że „poodcina łby”. Groził nożem, gdy któryś z chłopców odezwał się nie pytany.

Mówił im: – Jesteście chwałami, które trzeba wyrwać. Chyba nigdy nie zawołał ich po imieniu. Zawsze używał ordynarnych, ryszotkowych słów. Najładniejszym było: ty bękarcie.

W czasie bezsennej nocy marcowego przedwiośnia Oskar doszedł do wniosku, że nikt poza nim nie jest w stanie uporać się z problemem ojca tyrana. Matka wprawdzie odważyła się zawiadomić policję, ale po wyprawieniu pijaka przez funkcjonariuszy, dostała spazmów. Była przekonana, że gdy mąż wróci z izby wytrzeźwień, z wściekłości pobije ich tak, że nie podniosą się z podłogi.

Chłopiec uswiadomił sobie, że na dalszą rodzinę, która by skutecznie przemówiła ojcu do rozumu, też nie może liczyć. Ciotka Wanda zawsze broniła swego ukochanego brata, nie przyjmowała do wiadomości nawet najbardziej oczywistych faktów, natomiast babcia Zosia (ta od strony ojca) uznawała małżeństwo za związek nierozwalny, w którym rządzi mąż, jakikolwiek by był.

Nad ranem Oskar doszedł do wniosku, że jest tylko jeden ratunek dla jego najbliższych – on musi się poświęcić. Zmaruje sobie życie, ale usunie ojca raz na zawsze.

Cicho, aby nie budzić śpiących, poszedł do kuchni, wyciągnął z szuflady długi nóż. Schował go w swoim pokoju pod poduszką. A potem usiadł naprzeciw coraz bardziej jaśniejącego okna i czekał, aż w zamku wejściowych drzwi zazgrzyta ojca klucza. Ciało ciążyło mu, jakby było z ołowiu.



Tak siedział do godziny dziewiątej; nie był w stanie czegokolwiek przelknąć, choć matka wołała go na śniadanie. Ojciec się nie zjawił, za to niespodziewaną wizytę złożyły im ciotka Wanda i babcia Zosia. Były na mszy w kościele, gdzie modliły się o spokój w tej rodzinie. Wieczorem z izby wytrzeźwień dzwonił do nich Henryk, skarżył się, co go spotkało od najbliższych. Symowie podnieśli: na ojca rękę! Pobili go! Za co! Bo sprzeciwiał się oglądaniu w internecie pornograficznych filmów. A jak na to zareagowała matka świntuchów? Sprowadziła do domu policję.

Oburzone kobiety plakały, krzyczały, babcia zapowiedziała, że jej noga nigdy już nie przekroczy progu tego mieszkania, skoro doczekała się wnuków zwyrodniałców, którzy nawet nie potrafią przyznać się do winy, tylko jakby nigdy nic siedzą sobie w swoim pokoju.

Była to wyraźna aluzja do Oskara, bowiem choć słyszał przez cienkie drzwi każde słowo gości, nie wyszedł, nie przywitał się. I nie przeprosił za wczorajszą awanturę. Po godzinie obie kobiety opuściły mieszkanie nadal przekonane, że Henrykowi Janickiemu stała się wielka krzywda.

Oskar wychodził ze swego pokoju tylko do łazienki. Ojca nadal nie było, panowała kojąca nerwy cisza. Janicka przestała wreszcie płakać, pozwoliła sobie nawet na odprężającą kąpiel. Właśnie leżała w wannie, gdy usłyszała trzaśnięcie wejściowych drzwi. Z hłasem i wyzwickami wrócił jej mąż. Nawet się nie rozebrał, chciał bić Oskara. Jego wściekłość spotęowała się, gdy zobaczył, że drzwi do pokoju są na są zabarykadowane. Słukł szybko w drzwiach i to ostatecznie spowodowało, że Oskar wyskoczył ze swej kryjówki. Z nożem w ręku.

Zaczęli się szarpać, Maciek odciągał brata za kaptur bluzy. Henryk Janicki usiłował wyrwać nóż i skierować jego ostrze w stronę syna. Powtarzał przy tym jak mantrę: — ja cię ch... zabiję. Już nie żyjesz. Ale po chwili to on osunął się na podłogę, krwawiąc. Na krzyk Macieka wybiegła z łazienki matka chłopców. W tym momencie Oskar uderzeniem w szyję przeciął ojcu tętnicę. Śmierć przyszła bardzo szybko.

— Boże, wybacz mi — westchnął już po wszystkim Oskar.

— Mama płakała — zeznał kilka godzin później w czasie przesłuchania — powiedziała, że zmarnowałem sobie życie. Gdy ojciec przestał się ruszać, poprosiłem, aby zadzwoniła na policję. Ja nie miałem wyboru. Musiałem to zrobić. Bo nie darowałbym sobie, gdyby on zabił brata albo mamę. Zaujął, popełniłem śmiertelny grzech, ale zrobiłbym to jeszcze raz.

W aktach z śledztwa pod tym wyjaśnieniem widnieje uwaga policjanta: — Podejrzany jest w stanie szoku, przesłuchanie utrudnione.



Z aresztu śledczego wyciągnięta Oskara Fundacja Pomoc Kobietom i Dzieciom, która wplaciła za oskarżonego 4000 zł kaucji. Do chwili zapadnięcia wyroku szczegółową obserwacją chłopca zajmą się doświadczony kurator sądowy. Później w opinii dla sądu napisze, że „jest bardzo silnie związany z matką, a wobec brata niezmiernie opiekuńczy. Zrównoważony, krytyczny wobec swego postępowania, nie jawia cech zdemoralizowania”.

Oskarzonego poddano też kilkumiesięcznemu diagnozowaniu psychiatrycznemu. Zdania biegłych były podzielone. Jedni lekarze specjalści stwierdzili, że gdy Oskar Janicki zadawał cięsy, był pod wpływem silnych emocji, które wynikały się spod kontroli intelektu. „Do takiego stanu doprowadziły głęboki stres, kumulujący się przez kilka ostatnich lat. Niektórzy na stres reagują ucieczką, a inni atakują. W tym przypadku atak był formą obrony”.

W opinii psychologów ostatecznym impulsem dla oskarżonego stała się sytuacja, gdy w sobotni wieczór ojciec przystawił Maciejowi nóż do szyi. Właśnie wtedy Oskar

doszedł do przekonania, że następnym razem może nie zdążyć. A brata bliźniaka, który od urodzenia był fizycznie słabszy, kochał nad życie. Natomiast w chwili popełnienia czynu zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim zachowaniem była u oskarżonego zmniejszona.

Nie stwierdzono u młodego mężczyzny zaburzeń osobowości ani słabności do kłamstwa, konfabulacji. Oskar Janicki rozumował jak zaszczute zwierzę. Uznał, że atak jest najlepszą obroną. Obecnie próbuje wypierać swoje emocje, ale widoczna jest u niego reakcja emocjonalna” — napisano w opinii.

Inni biegli uznali, że oskarżony zamordował z premedytacją, bowiem sposobii się do tego całą noc. Jego działanie było zaplanowane w każdym ruchu i nie ma mowy o morderstwie w afekcie.



Przyszedł dzień procesu. Rodzice Henryka Janickiego odmówili składania zeznań i zaraz wyszli. Ciołka Wanda głośno komentowała każde wypowiedziane pod przysięgą słowo obu bratanków i szwagierki. Była w tym tak agresywna, że za którymś razem sędzia zagroził nałożeniem kary za zakłócanie spokoju.

Zeznania o traktowaniu najbliższej rodziny przez Henryka Janickiego jego siostry i teściowej okazały się zupełnie odmienne.

— Brat pił — przyznała pani Wanda — ale na wesoło, nie tak, jak tu zostało powiedziane. Po kilku głębszych był jak do rany przytłóczył: opowiadał kawały, rzucił pielnędzmi. To, co zeznaje na sali jego żona, jest oszczerstwem. Gdybym nie znała ofiary, pomyślałabym, że od ciosów nożem zginął nie człowiek, ale bydlak, którego nie warto żalować. A Henio przecież kochał swoje dzieci, jeżeli był dla nich czasem surowy, wymyślał różne zakazy, to z ojcowskiej troski, chciał, aby chłopcy wyrosli na porządnym ludzi.

Po namyśle świadek zauważyła ostrożnie, że możliwe, iż jej śp. brat czasem podniósł w domu głos. Od kilku lat był podenerwowany, bo nie mógł znaleźć pracy, a jego najbliżsi: żona i dzieci nie potrafili zrozumieć, co tak odpowiedziałny za rodzinę człowiek czuje, gdy nie przynosi do domu pensji. I jeśli nawet okresowo żył na koszt żony, czy był to wystarczający powód, aby syn go zabił? Z takim okrucieństwem?

— Nie chcę mieć z tą rodziną nic wspólnego — oświadczyła.

W zeznaniach Wandy Janickiej najbardziej niekorzystne dla oskarżonego było to, że zarówno w czasie śledztwa, jak i procesu twierdziła, że jej bratanek Oskar od dawna planował zabójstwo ojca. Miał się kiedyś z tymi planami przed nią zdradzić.

Ta poważna insynuacja na szczęście dla Oskara okazała się niewiarygodna w czasie przeprowadzonej przez sąd konfrontacji.

Teściowa Henryka Janickiego miała do ujawnienia wiele faktów z małżeństwa jej córki — od dnia ślubu pomagata jej finansowo i w wychowywaniu bliźniaków.

W przerywanym płaczem wyznaniu opowiedziała, jak zięć zmienił się w potwora po powrocie z kontraktu w ówczesnym Związku Radzieckim.

Od młodości skłonny do picia wódki, za wschodnią granicą rozpił się na całego. To alkoholizm Henryka Janickiego był przyczyną tragedii. Po powrocie do Polski w żadnej już pracy nie mógł zagrać miejsca. Skumpłował się z takimi jak on, goździnami wystającymi w bramie kamienicy, gdzie była jedna ze znanych mu melin. Wykradał żonie z portmonetki pieniądze, a gdy ich nie znalazł, z wściekłości brał się do bicia.

Wódka – twierdziła babcia Oskara – pozbawiła zięcia uczuć do własnych dzieci. Bliźniaków traktował jako przeszkodę w wyciągnięciu od żony pieniędzy na flaszkę. Każdy zakup dla chłopców – jedzenia, ubrań, czy szkolnych podręczników, traktował, jakby go ograbiono. Z czasem złość przekształciła się w obsesyjną nienawiść. Henryk Janicki wierzył i często wykrzykiwał to w złości – że gdyby synów nie było, żona pracowałaby tylko na niego, bez słowa protestu, bo on już miał sposoby, aby zamknąć jej usta.

– Ja też się go bałam, proszę wysokiego sądu – zeznała starszka – dlatego prosiłam córce pieniądze, choć widziałam przez okno, że ten pijak stoi na ulicy pod moim domem i zaraz wszystko zabierze Beacie, a ona ze strachu i wstydu nawet nie piśnie.

Świadek opowiedziała, że zięć nieraz ciągnął żonę za włosy po ulicy, wykrzykiwał, że jest k..., postawi wódkę swoim kumpłom, to ją zgwałcał w krzakach, gdy nocą będzie wracała z pracy.

– Serce mi się kroilo, gdy chłopcy, którzy od małego spędzali u mnie wakacje, prosili na kłęczkach przed początkiem roku szkolnego, aby nie zawozić ich do domu, bo tam jest ojciec. Najbardziej drżał ze strachu Maciek; gdy wyjmowałam z kredensu talerze, wchodził pod stół i kulil głowę w ramionach.

Jego ojciec miał zwyczaj rzucania w bliźniaków talerzem gorącej zupy, jeśli któryś odezwał się w kuchni albo nie daj Boże zapłakał.

– Proszę o litość dla tego chłopca – poprosiła na koniec babcia Oskara. – Przeczytałam w gazecie, że grozi mu do dziesięciu lat więzienia. Nie zmańujcie mu życia. To dziecko los już pokarał.

Wiele dobrego opowiedziała o Oskarze jego wychowawczyni ze szkoły: Mimo braku w domu warunków do nauki, życia w ciągłym strachu, potrafił zdobywać dobre stopnie. Wzorowe cenzurki były okupione rezygnacją ucznia z jakichkolwiek kontaktów koleżeńskich, bo tego żądał złośliwy, bezwzględny ojciec. Chłopiec nosił w sobie ponurą tajemnicę, która go przygniatała. Nie szukał pomocy u dorosłych, bo wiedział, że wyciągnięciem dramatu na światło dzienne zrobiłby wielką przykrość matce, bojącej się złych języków plotkarek. Poza tym Oskar nie wierzył, że ktokolwiek może ułtórzyć bezkarność ojca. Dramatycznie zabrzmiato jego wyznanie w czasie procesu, że nigdy nie miał marzeń.

Nauczycielka przeprosiła oskarżonego w imieniu całego grona pedagogów. Teraz wszyscy w szkole wyrzucają sobie, że nikt z nich nie zainteresował się, dlaczego skądinąd koleżeński uczeń, chętnie pomagający innym, jest taki samotny.

Rozprawie przysłuchiwał się przedstawiciel Rzecznika Praw Obywatelskich.



Prokurator zażądał dla Oskara trzech lat więzienia. Wyjaśnił, że obniżenie wymiaru kary do dolnej granicy przewidzianej kodeksem jest wynikiem wzięcia pod uwagę szczególnych okoliczności popełnienia morderstwa.

Advokat przedstawił oskarżonego jako ofiarę przemocy domowej i z tego powodu wystąpił o uniewinnienie.

Obecna na procesie w charakterze obserwatora przedstawicielka Fundacji Pomocy Kobietom i Dzieciom popierała mecenasa, przekonując, że takich dramatów jak u Janickich w polskich domach jest wiele.

– Oskar nie jest urodzonym zabójcą – powiedziała. – Odkąd tylko dorósł, czuł się odpowiedzialny za rodzinę, bronił jej przed tyranem. Przez kilkanaście lat matka i synowie byli więźniami w swoim domu. W desperacji, poczuciu wyizolowania z obójnego dla jego tragedii społeczeństwa, chłopiec uznał, że stoi przed dylematem: albo ojciec zabije mu brata, a może i matkę, albo on uniemożliwi ten atak za cenę spędzenia życia w więzieniu. Uważał, że musi się poświęcić, aby jego najbliżsi mogli wreszcie normalnie żyć.

Dramatyczny, niedobry wybór. Ale przy młodym człowieku nie było nikogo, kto by mu wskazał inne wyjście, chciał pomóc.

Przedstawicielka Fundacji podkreśliła, że z takim rozumowaniem nieraz spotykała się u ofiar przemocy domowej.

Oskar w ostatnim słowie przede wszystkim przeprosił babcię i dziadka (ze strony ojca).

– Wiem, że teraz mnie nienawidzicie, bo go kochaliście. Żal mi was, bo wiem, jak wielkie jest wasze cierpienie po utracie kogoś bliskiego. Mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczyście.

A zwracając się do sądu, powiedział: – Żaluję, zrobiłem źle. Teraz wiem, że trzeba było szukać innego sposobu na tyranie ojca. Proszę o najniższą karę, bo chcę choć w części naprawić to, co zrobiłem.

Publiczność obserwująca proces uznała wyrok sądu za salomonowy. Oskar Janicki został uznany za winnego, ale nie trafił do więzienia. Sąd skazał go na dwa lata więzienia i zawiesił wykonanie kary na pięć lat. Przez ten czas skazany ma być pod opieką kuratora.

Wygłoszone uzasadnienie wyroku wywołało łyzy u wielu przysłuchujących się. Sędzia, nie kryjąc już emocji, uzasadniał motywy, jakimi kierowano się przy orzeczeniu winy. Przed oczami publiczności jakby przewinął się film ze scenami codziennej,

nieumkniętej udręki ofiar Henryka Janickiego. Sędzia mówił o koszarze, jak ten człowiek zgłotował swojej rodzinie. Zasnaczył jednak – Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie sądzimy tutaj Henryka Janickiego, ale to w jego życiu szukamy przyczyn tego, co wydarzyło się 26 marca.

Sąd uznał, że wymierzenie bezwzględnej kary pozbawienia wolności byłoby ukaraniem nie tylko oskarżonego, ale całej jego rodziny, przez ostatnie kilkanaście lat maltretowanej przez pokrzywdzonego.

– Syn zabił ojca – podkreślił sędzia. – Sam ten fakt jest karą, która będzie trwała w sumieniu skazanego.

Na koniec, ponieważ zakończenie procesu nastąpiło 22 grudnia, sędzia zaapelował do skłóconej z powodu zbrodni rodziny: – Wkrótce Boże Narodzenie. Przy wigilijnym stole jest czas, by pomyśleć o przebaczeniu. Potrzebne jest wam wszystkim. Sąd wyraża przekonanie, że może jeszcze nie teraz, ale kiedyś dojdzie do takiej wigilii, na której spotkacie się wszyscy razem.

Prokurator złożył apelację, ale pozostala bez rozpoznania.



Kilka miesięcy później Oskar przygotowuje się do matury. Jego klasa przeszła trening u szkolnego psychologa, może dlatego skazany w żadnej mierze nie odczuwa piętna zabójcy ojca. Chłopak powoli otwiera się na otaczający go świat. Do jego ławki, gdzie dotąd siedział samotnie, przeniosł się klasowy prymus. Pretekstem była konieczność pomocy Oskarowi w nadrobieniu zaległości, narosłych w czasie, gdy przebywał w szpitalu na obserwacji psychiatrycznej. Ale widac, że obu uczniów łączy już coś więcej niż podpowiedź wychowawczyni, aby wesprzeć kolegę.

Kurator, który często spotyka się ze swym podopiecznym odnotował, że zaczęła na on nieśmiało snuć plany na przyszłość. Jeśli chodzi o studia, to interesuje go geografia, co by wskazywało, że nadal myśli Oskara krążą wokół brata bliźniaka.

Wanda Janicka też już trochę przyszła do siebie.

– Szkoda każdego życia odebranego siłą – powiedziała mi. – Współczuję teściom. Mieli jednego syna. Ale my teraz żyjemy normalnie.

* Nazwiska zostały zmienione

W

czasie wizji lokalnej: – Proszę powiedzieć jeszcze raz, kto to zaplanował?

– Matka dziecka. Zawsze jej przeszkadzało. Zaraz po urodzeniu Michałka chciała zostawić go w szpitalu. W zeszłym roku latem o mało co nie wrzuciła dziecka do glinianki. Wtedy jej go wytrwałam.

– Proszę opisać spacer z chłopcem nad Wisłą.

– Obiecałem mu, że zobaczy statek. Pytałem, czy jest głodny, chciałem mu kupić hamburgera. Ale powiedział, że w przedszkolu jadł pomidorową. Potem narzekał, że boli go nóżki...

– Co jeszcze dziecko mówiło?

– Nic. Aha, chciał wiedzieć, czy woda w rzece jest zimna.

– W jaki sposób chłopiec znalazł się w wodzie? Proszę to zademonstrować używając czarnego worka.

– Ja wzięłem Michała za rękę, Daniel za nogi, rozkołysaliśmy i na raz, dwa, trzy, rzuciliśmy jakies dwa metry od brzegu.

– Czy od razu utonął?

– Nie, właśnie nie, leżał na wodzie i krzyczał: – Tata ratuj!

Ja uciekłem. Daniel też, tylko w drugą stronę, w kierunku Cytadeli.



Pracownik robót rzecznych zobaczył 20 stycznia 2001 roku na Wiśle w okolicach warszawskiego mostu Śląsko-Dąbrowskiego kołyszące się na wodzie zwiłdł malego chłopca. Rączki miał odrzucone za głowę, jakby usiłował pływać na plecach. Był ubrany w ciepłą kurtkę, buty z kożuszką, czapkę. Następnego dnia 20-letnia Barbara S. z rozpaczyliwym krzykiem potwierdza, że to jej syn Michałek.

W piątek 19 stycznia jak zwykle poszła o godz. 15 po syna do przedszkola. Towarzyszył jej narzeczony Robert K. Gdy wywoływała chłopca przez domofon, usłyszała, że go nie ma, zaraz po obiedzie, przed leżakowaniem, wyszedł z jej mężem – znanym wychowawczyni, bo często przychodzili razem z Barbarą S.

Zdenerwowała się. – Jaki mąż, są rozwiedzeni, on dawno nie widział syna, a mieszka w okolicach Białej Podlaskiej.

– A ten mężczyzna, który z panią stoi? – spytała zdumiona dyrektorka, gdy przyszała do szatni

– To mój przyjaciel. Michaś mówił mi: tato.

Barbara S. nie chciała skorzystać ze służbowego telefonu. Pobiegła do domu, skąd wydzwaniła do warsztatu samochodowego, gdzie kiedyś pracował jej były mąż, Piotr S. Nikt nie podnosił słuchawki.

Przerazona, roztrzęsiona, złożyła zawiadomienie o zaginięciu dziecka na policji. – Całe szczęście, że Robert jest przy mnie.

– Nie mówiałam bytemu mężowi, że Michaś chodzi do przedszkola – uświadamia sobie na głos, gdy dyżurny policjant spisuje notatkę. Ale kto inny mógłby porwać dziecko? On jest taki nieobliczalny. Kiedyś, gdy mimo orzeczonego rozvodu jeszcze utrzymywali kontakt, obiecał wziąć synka na tydzień na Mazury. Po dwóch dniach zorientowała się, że zostawił malucha na wsi u swych rodziców i przepadł. Pojechała sprawdzić, czy Michaś nie tęskni. Gdy zobaczyła synka samotnie stojącego przy płocie – brudnego, zasikanego, natychmiast go zabrała, choć trzeba było walczyć z teściową na pięści. Od tamtej pory z sobą nie rozmawiali, nie płacił też alimentów. Może teraz chciał jej zrobić na złość?

Dwudziestego pierwszego stycznia policja odnajduje zamroczonego alkoholem Piotra S. Od miesięcy nie miał kontaktu z synem. Ale podejrzewa, że była żona może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Michała. Zawsze mówiła, że dziecko ją wykończy. Gdy Michaś miał półtora roku, zadzwoniła domagając się wyższych alimentów (wtedy jeszcze pracował, więc dostawała 300 zł). Nie chciała zrozumieć jego sytuacji, dała mu trzy możliwości rozwiązania problemu: będzie więcej płacił, weźmie małego na pół roku do siebie, oddadzą dziecko do adopcji. On wybrał wariant drugi; po tygodniu była żona zabrała mu dziecko.

Śledczy upewniali się, że biologiczny ojciec nie ma pojęcia o tragicznej śmierci syna. Postanawiają przyrzec się bliżej Robertowi K. Lat 23, bezrobotny, z zawodu stolarz. W żadnej pracy nie udało mu się zagrać miejsca. Z Barbarą S. zna się od dzieciństwa – mieszkają w pobliżu, w starej robotniczej dzielnicy Warszawy. Zbliżyli się do siebie, gdy już była rozwódką. Ona pracowała wtedy w sklepie. Polubił 3-letniego wówczas Michasia, ale ze względu na ciasnotę u Barbary (na 30 metrach kwadratowych siedem osób) nie mogli zamieszkać razem. Gdy narzeczona miała drugą zmianę, odbierał jej syna z przedszkola.

Co robił 19 stycznia?

Pojechał z Danielem S., kolegą z podwórka, na peryferie Warszawy do marketów w Jankach – szukać pracy. Nie dogadał się, bo wymagali wypełnienia różnych druków, napisania podania, a to było zbyt facygujące. W południe Barbara zadzwoniła z pytaniem, czy pójdzie po dziecko. Czemu nie, ale okazało się, że Michaś już odebrał jak poinformowała go wychowawczyni, „pan z wąsami”. Od swojej dziewczyny wie, że jej były mąż Piotrek miał pokazać węża.

Jeszcze tego samego dnia przesłuchiwany Robert K. przedstawia inną wersję wydarzeń: nie był w Jankach. Gdy w południe spotkał się z Danielem S., ten miał pomysł, aby odebrać chłopca z przedszkola i poszli z nim na spacer. Gdyby mały nie chciał, można go przekupić lizakiem.

Zgodził się – i tak nie miał nic do roboty.

W przedszkolu Daniel wywołał chłopca przez domofon i on go ubrał. Pojechali na Dworzec Zachodni, gdzie Robert K. pokazywał bezrobotnemu koledze pewien kiosk, w którym poszukują pracownika. S. miał się zastanowić, czy by mu to pasowało.

Ważne. Rozstali się w podziemiu pod dworcem, około godziny 14. Daniel zamierzał jeszcze trochę pospacerować z chłopcem, po czym odstawić go do matki, z którą, jak się chwalił „kiedyś trochę sypiał”.

– Wróciłem do domu – ciągnął swą opowieść Robert K. – coś zjadłem i wtedy zadzwoniła Basia, abysmy pojechali po dziecko do przedszkola. Nie powiedziałem, że wziął go Daniel, bo mnie postraszył, że jeśli się wygadał, będę miał do czynienia z jego kumpłami nożownikami. Sądziłem że Daniel chciał jej zrobić na złość, zabijając małego.

Policja przedstawiła Robertowi K. zarzut „niepowiadomienia Barbary S. o miejscu pobytu dziecka, czym spowodował – przez swoje zaniechanie – śmierć Michała S.”. Przesłuchiwany Daniel S. twierdził, że Michasia wywołał z przedszkola Robert. Rzeczywiście, pojechali z chłopcem na Dworzec Zachodni, ale tam się rozstali. Dziecko zostało z chłopakiem Barbary S. On prawie jej nie zna, widział ją w przelocie mo-żąc dwa razy w życiu.

Dwudziestego trzeciego stycznia Daniel S. oświadczył śledczemu, że chce wyznać szerszą prawdę. Otóż, nie rozstał się z Robertem i Michałem na Dworcu Zachodnim. W trójkę pojechali na Plac Zamkowy, konkubent Barbary chciał pokazać dziecku Wisłę. Szli więc wzdłuż rzeki, Robert pytał, kogo chłopiec najbardziej kocha: mamę, je-żego, czy pana z wąsami. Potem, czy chce hamburgera. Mały nie chciał, bo jadł w przedszkolu zupę.

– W pewnej chwili – zeznawał Daniel S. – Robert wziął Michasia na rękę, kilka razy się zakręcił i wrzucił go do wody. Dziecko krzyczało: – Tato, co robisz?! Potem słychać było tylko pisk, jakby szczymaniaka. Główna wynurzała się kilka razy. Zaczę-łem uciekać. K. wołał za mną: – Nic nie widziałeś!

Tego samego dnia kolejną wersję wydarzeń nad Wisłą podał też Robert K. Za-klinał się, że wreszcie mówi najszerszą prawdę: to Barbara namówiła go, aby utopił Michała, gdyż jej zawadzał. Lubiała balangować, wrócić nad ranem, a tu macie-ryńskie obowiązki. Już w listopadzie 2000 roku chciała się pozbyć dziecka.

Dwa dni przed śmiercią Michała, Robert spotkał się z matką dziecka na klatce schodowej. Wywołała go telefonicznie, bo chciała porozmawiać bez świadków. Po-warziała w kółko, że wkurza ją Michaś. I prosi narzeczonego, a wręcz nalega, aby wywołał chłopaka gdzieś do lasu, przywiązał do drzewa (śledczy odnotował, że prze-śluchiwany w tym momencie płacze).

Wtedy nic jej nie odpowiedział, ale gdy następnego dnia ponowiła żądania, zde-tydowany był z miłości do swej kobiety „zrobić z dzieckiem porządek”. Do przed-szkola wszedł Daniel, bo on sam nie miał sumienia odbierać chłopca. Zresztą Bar-bara poradziła mu, aby został przed furtką, w szatni mogłaby go rozpoznać wychowawczyni.

Gdy byli z dzieckiem nad Wisłą, zadzwoniła Basia. Zapytała ścisłym głosem, czy już wrzucili dziecko do wody. Potwierdził.

Na pytanie, jak wyglądało utopienie Michała, Robert K. obrazowo opisał: — Ja trzymamem za nożki, a Daniel za plecki pod pachami. Mały krzyczał: tata, tata, ratuj. Potem uciekliśmy. Wcześniej chciałem wskoczyć do Wisły — zeznał z płaczem — bo Michał leżał na plecach i nie znikał. Ale bałem się, że utonę, byłem po dwóch piwach. Gdy godzinę później spotkał się z Barbarą, opowiedział jej wszystko, również o udziale Daniela. — Ją to nie zdziwiło, gdyż już wcześniej proponowała, abym wziął kogoś do pomocy. Skwitowała sprawę słowami: „Dobrze, pozbytam się kłopotu. Teraz musisz zrobić wszystko, żeby nie było na nas”.

◆ ◆

Roberta K. i Damiana S. badają w areszcie psycholog z psychiatrą.

Naręczony Barbary S. miał nieszczęśliwe dzieciństwo z ojcem pijakiem — zapamiętał go z nożem w ręku, gdy groził matce. Potem rodzice się rozwiedli. On ukonczył szkołę specjalną — posłali go tam, bo wagarował.

Psychiatra stwierdza upośledzenie umysłowe w stopniu lekkim. Psycholog — niedojrzałość emocjonalną, egocentryzm, słabą zdolność współodczuwania, podwyższony poziom agresji wobec Barbary S. Ale zaznacza, że nie wszystkie zachowania podejrzanego są psychologicznie czytelne. Możliwe, że na podjęciu decyzji o zabójstwie Michała zaważył fakt usunięcia przez Barbarę ciąży na początku ich znajomości. Mogło dojść do takiego rozumowania (niekomicznie w pełni świadomego): — skoro ona zabija moje dziecko, to ja zabiję jej.

Namiast 19-letniego Daniela S. w ocenie psychologa cechuje nieumiejętność przewidywania skutków swoich czynów, brak poczucia winy i wyrzutów sumienia. Jego aktywność jest ukierunkowana na zaspokajanie doraźnych potrzeb. Sam wyznał psychologowi, że nie miał powodów, aby zabijać Michałka. Wbrew temu co mówił Robert, Barbarę znał słabo. I nie był wrażliwym w plany zabójstwa.

Być może nie sprzeciwiał się Robertowi ze strachu. Pierwsze przesłuchanie Barbary S. jako podejrzanej o wydanie polecenia pozabawienia życia jej syna: nie mówi nic złego o Robertcie. Planowali małżeństwo i drugie dziecko. Robert był dobry dla Michała, choć wiedział, że ona syna kocha najmocniej. Nie irytowała go jego obecność, zresztą, nie musiał z tego powodu rezygnować z wieczornych rozrywek, bo dzieckiem zawsze chętnie zajmowała się jej matka lub przyszywana ciocia Gienna.

Barbara S. na postanowienie prokuratora o przedstawieniu jej zarzutu nie odpowiada, porusza głową, jakby się dziwiła. Na pytanie, czy przyznaje się do wydania Robertowi polecenia, aby wrzucił Michałka do Wisły — przecząco kręci głową. Uczestniczący w tym przesłuchaniu psycholog, biegły sądowy, notuje: „Kontakt utrudniony, zachowuje się demonstracyjnie, głośno zawodzi albo mówi szeptem w zmiennym tempie kiwa się w przód i tył. Uważam, że kontroluje sytuację. Jej wypowiedzi są nieszczerze, zawierają treści wskazujące na stosowaniu silnej postawy

obronnej wobec własnej osoby i bliskich. Przy ocenie wartości jej zeznań należy zachować szczególną ostrożność”.

Prokurator decyduje o skonfrontowaniu zeznań Barbary S. i Roberta K. w kwestii rzekomo wcześniejszej próby matki pozabawienia życia Michałka. Oskarżają o to Robert, opisując sytuację, gdy latem 2000 roku wypoczywali z dzieckiem nad gminanką. Robert K.: Barbara chwyciła Michała na ręce i biegła, aby go utopić. W ostatniej chwili zdołałem odebrać jej dziecko.

Barbara S. z płaczem: — Nad tą wodą byliśmy tylko raz i bez syna.

Robert K.: Wielokrotnie mnie namawiała, abyśmy się pozbyli chłopaka. Podsuwała różne pomysły: wrzucić go do kanałku albo wyrzucić do lasu.

Barbara S.: — Nieprawda! Dłaczego go utopiłeś?!

Robert K.: — Bo mi kazałaś.

— Patrz mi w oczy! — Barbara krzyczy do swojego przyjaciela.

◆ ◆

— Wyżej byli — woła tłum przed sąłą rozpraw, gdy 4 grudnia 2001 roku policjiny konwoj wprowadza troje oskarżonych. Idą skuleni, z widoczną paniką w oczach. Na pytanie sądu, czy jest ktoś z ich bliskich, nikt nie odpowiada. Sędzacy obok prokuratora były mąż Piotr S. łapie się za głowę, gdy Barbara S. w czasie sprawdzania danych osobowych podaje, że jest bezdziena.

Prokurator Adam Wozny zarzuca Robertowi K. i Danielowi S. zabójstwo, Barbary S. pokierowanie zbrodnią. Oskarżonym grozi dożywocie, choć kobieta — ona jedna — w śledztwie nie przyznała się do winy.

Na sali sądowej wszyscy troje już w pierwszym słowie zaprzeczają, aby dokończyli morderstwa.

— Zostałem go samego nad brzegiem, odszedłem za potrzebą, jakies 30 metrów. Wrociłem, Michał był na krze, która się przechylała. Zacząłem krzyczeć i płakać... — taką wersją tragicznego wydarzenia rozpoczyna wyjaśnienia Robert K.

Zatem utonęcie chłopca to był nieszczęśliwy wypadek. Barbara nigdy nie namawiała go do pozbycia się dziecka. To, co mówił w śledztwie, policjanci wymusili na nim biciem, polewaniem wodą, straszaniem.

— Czy oskarżony chce coś jeszcze powiedzieć? — pyta sędzia Irena Nowicka-Albin.

— Tak. Jestem niewinny.

Barbara S. na pytanie obrońcy, jak wyglądało jej przesłuchanie u prokuratora wyjaśnia, że był przy tym psycholog, który ją namawiał, żeby się przyznała, wówczas dostanie 25 lat, a nie dożywocie.

— Dlatego ja strasznie płakałam. Prokurator dopowiadał, że to nie jest trudne, żeby powiedzieć „tak”. Odruchowo kiwałam głową, nie wiem, jak to zostało zrozumiane...

Po tych słowach mec. Grzegorz Lewański, obrońca z urzędu Barbary S. składa wniosek o wyłączenie obecnego na rozprawie psychologa, bowiem w gabinecie

prokuratora postawił się w podwójnej roli – świadka i zarazem biegłego. Procesowo sytuacja niedopuszczalna.

Na kolejnych rozprawach mają głos powołani świadkowie.

Najpierw przedszkolanki.

– Jestem tą osobą, która ostatnia widziała Michałka żywego – przedstawia się Wanda S. Padło wiele serdecznych słów o chłopcu: bardzo rozgarnięty, w grupie troszeczkę z boku, rzadko się śmiał. Może wrodził się w mamę, bo ona jak na młodą osobę była bardzo smutna. Wychowawczyni знаła Roberta K., była przekonana, że jest ojcem małego, bo chłopczyk sporo o nim opowiadał – jak jeździł na sankach, lepił bałwana. I zawsze z radością biegł do niego, gdy zabierał go do domu.

Wszystkie przedszkolanki dostrzegają, że matka dbała o Michasia. Dlatego dziwna była jej reakcja, owego 19 stycznia, gdy po podwieczorku przyszła po Michała.

– Najpierw w jej oczach zobaczyłam zdenerwowanie, ale po chwili już rozmawiała ze mną spokojnie – przedstawia sądowi ten moment dyrektorka przedszkola. – Pani Barbara od razu zasugerowała, że chłopca porwał jej były mąż. Jednak nie chciała dzwonić do niego z mojego biura. Powiedziała, że z domu zawiadomi policję.

Następnego dnia wychowawczyni spotkały się z Barbarą S. na komendzie policji przy ul. Żytniej. Siedziały na korytarzu i już wiedziały, że dziecko jest w prosek-torium. Matka nie знаła jeszcze losu Michasia; czekała na wezwanie do pokoju przesłuchań. – Chodziła od drzwi do ściany zdenerwowana, z papierosem. Wreszcie ją poproszono.

– W tym pomieszczeniu były nieszczerne szklane drzwi – opowiada dyrektorka – widziałymy matkę Michasia. Policjanci coś jej powiedzieli, ona tak jakos zaskowyczała, sięgnęła po chusteczkę. Ale gdy po chwili wyszła z pokoju, oczy już miała suche, żadnej rozpacz. Jedno ją tylko nurtowało: dlaczego zamknęli Roberta?

– Czy tak zareagowałaby kochająca matka? – dziwi się sędzia, której trudno ukryć negatywne emocje wobec Barbary S. Wszyscy na sali rozpraw (może poza mec. Lewanskim) postrzegają tę drobną dziewczynę w kajdankach jako wyrodną rodzicielkę. Raz po raz z ław dla publiczności padają wrogie okrzyki. A oskarżona, choć nie przyznaje się do przestępstwa, nie potrafi powiedzieć złego słowa o swym narzeczonym i jego kumpli.

– Wydawało mi się, że był dobry dla Michasia, kupował mu zabawki – odpowiada na pytanie obrońcy, czy dostrzegła coś niewłaściwego w zachowaniu bliskiego jej mężczyzny.

– Dlaczego zatem oskarżony K. panią obciąża? – chcą wiedzieć sędziowie.

– Nie wiem, może miał pretensję, że wcześniej usunęłam ciążę, on chciał tego dziecka – takim wyznaniem jeszcze bardziej pograża się w oczach publiczności. Ale najbardziej szkodzi Barbarze S. zeznanie Zofii P.

Gdy oskarżona miała niespełna 16 lat, wynajmowała u świadka pokój. Wprowadziła się tam z Piotrem S., późniejszym jej mężem.

– Mam trzech dorosłych synów – zaczyna zeznanie 46-letnia Zofia P., która sta-wiała się w sądzie w głębokiej żałobie – i tę dziewczynę traktowałam jak córkę. Gdy okazało się że jest w ciąży, nie tylko nie wymówiłam mieszkania, ale pojechałam z nią do ginekologa. Byłam w szpitalu, gdy Michaś się urodził. Dzień w dzień nie szczędząc czasu tłumaczyłam, jak powinna zachowywać się wzorowa matka i żona. Ale ona za nic miała moje rady. Zawsze była wygodna – nie sprzątała, nie gotowała. Piotr przed wyjściem do pracy w MPO robił jej śniadanie i butelkę dziecku. Bo nie chciała karmić piersią.

Z dalszych zeznań tego świadka wynika, że podслуchiwała rozmowy telefonicznej swej lokatorki z przyjaciółką Moniką i gdy usłyszała, że używają brzydkich słów, zabroniła Barbarze spotykać się z tą dziewczyną w jej domu.

Na cenzurowanym był też stosunek młodzieńczej lokatorki do synka.

W sądzie Zofia P. miała wiele do powiedzenia na ten temat. Niestety, były to same oskarżenia.

– Zimna i wyrachowana, odpychała dziecko nawet wtedy, gdy instynktownie chciało się przytulić. Kiedyś w takiej sytuacji ze złości je uszczypnęła. Ona nawet nie wiedziała, kiedy Michałkowi wyszedł pierwszy ząbek. Przez dwa tygodnie zostawiała u mnie dziecko do południa, bo rzekomo chodziła do pracy, potem się wy-dawało, że kłamała, łąziła po miesście. Była dobrą aktorką, potrafiła płakać na pocze-kaniu. W grudniu 2000 roku przywiozła mi Michałka na trzy tygodnie, gdyż znalazła pracę za ladą, ale na zmiany. Nie miałam nic przeciwko temu, traktowa-lam to dziecko jak własne, ale mogła mi zostawić jakieś pieniądze. Szóstego stycz-nia, gdy mały był już u jej matki, przyjechała z Robertem po pozostawione za-bawki. Chciałam, aby spakowała też brudne rzeczy, a ona na to, że już nie będą jej potrzebne. W tym czasie Robert niespokojnie chodził od okna do lodówki – w tę i z powrotem. Mogli już wtedy planować pozbycie się Michałka, coś mi wspomi-nali, że wyjadą do Niemiec.

– Tak – świadek odpowiada twierdząco na pytanie prokuratora. – Baśka była zdol-na do popełnienia morderstwa. Opowiadała kiedyś, że pokłóciła się z bratem, bo nie pościelił łóżka, a spali w tym samym pokoju i z wściekłości doskoczyła do niego z no-zem. Ja jej na to – jak mogłaś, przecież to twój jedyny brat, a ona: pani mnie jesz-cze nie zna.

Od jej matki wiem, że gdy Barbara dowiedziała się o śmierci dziecka, powiedziała: „Dobrze się stało, przynajmniej nie będzie już nikomu przeszkadzać”. A po zatrzy-maniu Roberta zadzwoniła do mnie przerażona i prosiła, abym mu zapewniła alibi. Wyraźnie bała się, że zacznie sypać i wszystko się wyda.

Ocierając obficie płynące łzy, świadek wylicza przed sądem pewne symptomy, które doprowadziły ją do wniosku, że oskarżona jest winna śmierci dziecka.

Znak pierwszy – otóż ostatniej zimy Michałek strasznie bał się wody, nie moż-na go było wykąpać w wannie. A kiedyś lubił pluskanie.

Już po śmierci chłopca matka oskarżonego Roberta wyznała Zofii P., czego do-
wiedziała się od syna: latem 2000 roku Barbara chciała utopić Michaśka w jeziorku
na peryferiach Warszawy. Wzięła dziecko do wody, zanurzyła mu głowę. Robert
nie mógł patrzeć, słuchał krzyku: „Mamo, nie rób tego”. Zaczęli się kłócić. W kon-
cu powiedział żartem: „Jeżeli już chcesz, to zawińmy go w koc i wrzucimy”. A ona
z całą powagą: — „Nie mamy sznurka, może wypłynąć”.

Znak drugi — w dniu, gdy zginął Michaśka, Barbarze pękł na palcu złoty pier-
ścionek, który dostała od męża za urodzenie dziecka.

W piątej godzinie zeznań Zofii P. oskarżona zgłasza, że chce wydać oświa-
danie.

Składano się głównie z zaprzeczeń: Nie prosiła P. Zofii o alibi dla Roberta. Nikomu
nie mówiła, że Michaśka jej przeszkażda. Nigdy zresztą tak nie myślała. Może kiedyś się
wyraziła, że chłopak ma ciężki charakter, ale to w takim sensie, że gdy się przy czymś
uprze, nie ustąpi. Ona mu uległa — jak mówiła jej matka, pozwałała, aby wszedł jej
na głowę. Kochała go, był dla niej najważniejszy. Nie było rozmowy z P. Zofią na te-
mat wyjazdu do Niemiec i pozostawienia u niej Michaśka na dwa lata.

Sędzia szuka dowodów tej miłości.

— Czy syn dostał prezent na święta?

— Tak, samochodek i lornetkę.

— Czy chodziliście do kościoła?

— Parę razy byliśmy.

— A z Michaśkiem?

— Nigdy.

Zofia P. która po złożeniu zeznań pozostała na sali, z bolesną miną kiwa głową.

Tylko matka Barbary broni ją przed publicznym potępieniem:

— W tragiczny piątek 19 stycznia — zeznaje — córka była do trzeciej po południu
w domu. Umyła głowę, zatelefonowała do Roberta z pytaniem, gdzie się wałęsa. Okre-
zalo się, że kupuje z kolegią pod Pałacem Kultury dżinsy. Potem on zadzwonił, chciał
wcześniej odebrać z przedszkola Michaśka, ale córka się nie zgadzała. Powiedziała
„Chyba zgłupiałeś. Wiesz chyba dobrze, że odbieram go o 15.30”. Ja wszystko się
szalam, bo telefon stoi w korytarzu, a zresztą Baska nie robiła z tych rozmów ta-
jemnicy.

Na pytanie sędziego, czy Barbara S. miała w styczniu telefon komórkowy, jej mat-
ka stanowczo twierdzi, że nie, korzystała tylko ze stacjonarnego.

A co do Michaśka, Basia kochała go, choć zdarzało się, że traktowała obojętnie
to znaczy w tym sensie, że mówiła mu, aby dał jej spokój, jest zmęczona. W piątek
gdy przybiegła sama z przedszkola, była przekonana, że dziecko zabrali jej byli męż
Od progu krzyzczała: — Ten palant potwał Michaśka.



Na kolejnej rozprawie mec. Grzegorz Lewański wnosi o dołączenie do akt sprawy
kilku publikacji prasowych na temat procesu. Są tam zdjęcia z rodzinnego albumu
oskarżonej z synem. Na każdym widać, że dziecko i matka uśmiechają się do siebie;
wyglądają na szczęśliwych. Wymowa tych fotografii zaprzecza sugestii o wyrodnej
matce w zeznaniach Zofii P.

Adwokat przekazuje sądowi też inne wypowiedzi prasowe m.in. rzeczników po-
lityki oraz Ministerstwa Sprawiedliwości — świadczące o stronnictwym, jeszcze przed
zakoniecznieniem czynności śledczych, urabianiu opinii publicznej w sprawie tragicz-
nej śmierci Michaśka. Nie ulega wątpliwości, że służyło to politykom, agiującym za
przywróceniem kary śmierci.

Zdaniem obrońcy publikacje zamieszczone w „Życiu Warszawy”, „Twóim Impe-
rium”, „Pani Domu” i wielu tabloidach wpływają na treść zeznań świadków w toczącej
się sprawie, m.in. brat oskarżonej uległ tej manipulacji. Przeczytał w jednym z pe-
riodyków, że jego siostrę obciąża Daniel S. Uwierzył i potwierdził, że Barbara dobrze
znała się z tym chłopakiem. Tymczasem nie znajduje to potwierdzenia w aktach.

Czasem świadkom mieszają się informacje z mediów z tym, o czym wcześniej
wiedzieli. Genowefa M. przyszywana ciotka oskarżonej, która od lat mieszka z jej
matką i często kłóci się z Barbarą, bezwiednie cytuje fragment artykułu z „Życia War-
szawy”, że oskarżona planowała oddanie malego do domu dziecka.

Mecenas Grzegorz Lewański, dążąc do podważenia zeznań Zofii P. zanalizował
jej sposób kreowania się w rozmowach z dziennikarzami. Otóż, występuje ona ja-
ko matka-Polka, głęboko wierząca, której życiową dewizą jest hasło: „Tylko praw-
da nas wyzwoli”. Ona wie, a dziennikarki (zwłaszcza plotkarskich pismak) jej wie-
rzą, że Barbara S. zorganizowała zabójstwo swego syna.

A jeśli miała chwilę wątpliwości, wymodliła od Opatrzności znaki. Reporterka
„Pani Domu” z całym przekonaniem je opisuje.

Oto następnego dnia po utopieniu Michaśka, kiedy pani P. jeszcze nie wie, co się
stało z dzieckiem, ma tylko złe przeczucia, pęka rura w jej łazience i ona stoi po ko-
łana w przybierającej z minuty na minutę wodzie.

A i wówczas, gdy tragiczna wiadomość do niej dotarła i jakoś pozbierała się po
szoku (szeroko opisuje, jak przeżywała: „leczę na ścianę. Mój najmłodszy syn rzuca
się z płaczem na dywan, mąż biegnie po lekarza, dzieci wołają: mamo masz jeszcze
nasi, nie umieraj”), nadal nie chciała uwierzyć w zbrodnię Basi.

Modliła się do Michaśka: — Ty jeden wiesz jak było. Zaklinam cię, powiedz. Z ar-
tykułu w „Pani Domu”: — „I Michaśka przyszedł do mnie, jak co noc. Jego oczy po-
woli zapalały się łzami. Coś trzymał za pleckami. Wyciągnął kartkę, podał mi pła-
czyć. Był tam wiersz pod tytułem „Pożegnanie”. Napisalam go zaraz śmierci chłopca.
To znaczy, ja pisałam, ale czułam, że on stoi obok i mi dyktuje”. Wzruszona
dziennikarka przepisuje do artykułu rymowanek: „Mamo czy coś czułaś / pła-
kałaś, gdy na własne dziecko / Wyrok wydawałaś”.

po rozstaniu z Piotrem wprowadziła się do matki. Ale odwiedzała Zofię P. Wiosną 2000 roku przedstawiła jej swego narzeczonego Roberta K. Świadek. – Nie wzbudził mojego zaufania.

Ze zgorznięciem wylicza kochanków 17-letniej Barbary. Bo każda nowa znajomość kończyła się nieoczekiwaną ciążą. Ta lekkomyślna dziewczyna nie miała zahamowań przed aborcją.

– Gdybym uważniej wstuchiwała się o czym rozmawiała u mnie w domu z Robertem – płacze Zofia P. – może zapobiegłabym nieszczęściu. Bo zbrodniczą para od dłuższego czasu planowała śmierć Michałka. Gdy w styczniu 2001 roku przyjechali do niej po dziecko, Robert w rewanżu za opiekę postawił na stole wino. W tym momencie Baśka zaczęła mnie przekonywać, abym nie otwierała butelki, bo jej chłopak po alkoholu gada głupstwa. Wyraźnie bała się, żeby nie ujawnił ich planów.

– Czy między panią a oskarżoną były jakieś nieporozumienia? – pyta prokurator.

– Nie. Raz ją uderzyłam, bo już nie mogłam patrzeć, jak traktuje synka.

– Jaką była matką, uszyszeliśmy, a jakim Barbara S. była człowiekiem? – chce jeszcze wiedzieć sędzia Irena Nowicka-Albin.

– Potrafiła świetnie grać. Wiedziała, że gdy mi zarzuci ręce na szyję, to wszystko wybaczę. Czula się za nią odpowiedzialna, bo miała trudne dzieciństwo, żadnych wzorców wychowawczych. Wstydziła się swojej matki, mówiła o niej: podłaska, alkoholiczka. Poza tym była jeszcze jedna przykra tajemnica jej rodzinnego domu. Nie bez powodu w osiedlowym sklepie sąsiadki dawały do zrozumienia nastoletniej Basi, że wiedzą, co robi jej matka z rzekomą ciotką Genią, gdy zamykają się na noc w jednym pokoju. A co miały na myśli, to ja sama się przekonałam, gdy pojechałam odwiedzić Michałka i zobaczyłam w kuchni wibrator... Wtedy już nic mnie nie zdziwiło. Również to, że starsza siostra Basi jest prostytutką, a brat związał się z mafią.

– Dlaczego pani tak kłamie, nigdy w życiu nie powiedziałam złego słowa o swojej matce, moja siostra jest porządna, a brat uczciwie pracuje. Ciąże też przerywałam tylko raz. Te historie o rzekomym głodzeniu Michaśka są wymyślone! – krzyczy oskarżona, zalewając się łzami. Od początku zeznań świadka broda Barbary S. drżała od wzbierającego płaczu.

Oskarżona chce szczegółowo odnieść się do sytuacji, jakie opisała jej dawna gospodyni, ale nerwy odmawiają jej posłuszeństwa. Trzeba zarządzić przerwę w rozprawie, dać dziewczynie leki uspokajające.

– Gdy tylko skarciałam Michaśka – opowiada już wyciszona pół godziny później – ona zaraz brała go na ręce i mówiła: „Jaka twoja mama jest niedobra”. Ja nie miałam nic do powiedzenia w sprawie mojego syna. Może byłam za młoda, może za głupia, ale gdy chciałam się zająć Michaśkiem, wrywała mi go z rąk.

– Czy miała złe zamiary? – przerywa sędzia.

– No, chyba nie.

Redakcja umieszcza grafomański artykuł na tzw. rozkładówce, w najbardziej eksponowanym miejscu, wzbogaca go sesją zdjęciową Zofii P. niczym celebrytki. Kobieta pozuje nad grobem dziecka – cała w czerni, z białymi liliami w ręku (podpis: „Jak ja wylam z bólu, gdy go zobaczyłam w trumnie”). Na tle ściany, wylepionej papierowymi-dwoma sercami przebitymi strzałą, zdjęciem Michałka i jej oraz wijącym się pod tym podpisem: „Zawsze razem”. Z pluszowymi miszkami na kolanach – do tego wyznanie pani P., że nie wyprała ich, bo mają zapach Michała.

Jest jeszcze sprostowanie Zofii P. z sali sądowej: „Oskarżona zazwyczaj siedzi z głową spuszczoną. Ale raz podniosła oczy na mnie. Są puste jak tafia lodu. Mam grzech, że nie potrafię jej wybaczyć”.

W kolejnym artykule „Pani Domu” opiekunka Michała jest przekonana że Baśka „idzie w zaparte, ale ja wiem, że to ona była sprawczynią. Robert robił, co chciał. Niedługo osądzą tę bestię”.



Po przesłuchaniach najbliższej rodziny oskarżonej (matki, rodzeństwa) sędziowie przekonują się, że osoby te niewiele wiedzą o Barbarze. Dziewczyna wprowadziła się do domu, gdy miała 15 lat i ukończoną pierwszą klasę szkoły zawodowej. Gdy poznała starszego od niej o kilka lat Piotra S. (który też nie miał w Warszawie zamieszkania, przyjechał za pracą z małej wioski na Podlasiu), wynajęli pokój z ogłoszenia u Zofii P. Matka Barbary, z zawodu motorniczka, dotarła tam dopiero po urodzeniu Michała. W ciągu roku odwiedziła córkę dwa razy.

Nigdy nie pytała czy dziewczyna potrzebuje pieniędzy. Raz pożyczyla jej 400 zł (to już było wtedy, gdy córka po rozwodzie z Piotrem i przeprowadzce do matki związała się z Robertem), bo domyśliła się, że chce usunąć ciążę.

Najwięcej wie o oskarżonej Zofia P. Sąd ponownie wzywa ją na świadka.

Była opiekunka Michała bardzo chętnie staje przed barierką, porozumiewawczo uśmiecha się do dziennikarzy. Nie wdając się w ocenę jej ubioru, nie ulega wątpliwości, że stara się zwrócić na siebie uwagę. Ma coraz więcej do powiedzenia z jakim potworem przyszło jej mieszkać pod jednym dachem.

Przed wszystkim sąd powinien wiedzieć, że ta wyrodna matka, gdy zaszła w ciążę, krzyczała, że po urodzeniu zostawi dziecko w szpitalu. Szantażowała swoją gospodynię samobójstwem. Do porodu nie była przygotowana. – Wyprawka? To problem Piotra – mówiła. Jej niepotrzebna, bo i tak wyrabie przerebelał w stawie (Michaś przyszedł na świat w styczniu) i wrzuci tam noworodka. Odmawiała karmienia.

– Nosłam Michaśka jej do łózka, on płakał, szukał piersi, a ta go odpychała. Nigdy nie powiedziała do niego: synku. Najczęściej – dupek. A kiedyś w telefonicznej rozmowie z koleżanką wyraziła się do koleżanki, że to dziecko wysrała. Gdy chłopczyk miał pół roku, wymknęła się z domu na całą noc. Okłamała mnie, że była u chorej matki. A żeby mogła żyć wedle zasady – hulaj dusza piekła nie ma, w pół roku

— A w czym pani przeszkadzała?

— Sądziłam, że będę mieszkała z mężem i Michasiem, ale nie z panią P. A ona nawet nie pozwoliła nam w nocy drzwi zamknąć, pouczała, w jakiej pozycji można najłatwiej zejść w ciążę. Oczekiwala tego dziecka jak własnego.

Na wniosek mec. Lewańskiego, sędziowie zarządzają konfrontację Zofii P. i Mari-gorzaty K., matki oskarżonej.

Jak wcześniej sugerowała P., matka Barbary jeszcze przed ujawnieniem strasznej prawdy o śmierci Michasia miała się wyrazić, że to dziecko już się nie znajdzie, ona przeczuwa najgorsze. I że „gdyby to zrobiła Basia, udusiłaby ją własnymi rękami”.

— Nic takiego nie mówiłam — zaprzecza stanowczo świadek.
Zofia P. stania się, jest bliska omdlenia. Ale jej głos jest mocny, twardy: — Zawsze miałam na uwadze dobro Basi. Kochałam to dziecko bardzo i ją kochałam... — od-wraca się w stronę oskarżonej — wczoraj zamówiłam za Michasia mszę, to ostatnia rzecz, jaką mogę zrobić.

Wielu obserwatorów rozprawy ociera łzy.

Ostatniego świadka w tym procesie powołał prokurator. To Iwona S., dealerka nar-kojyków. Z matką Michała była przez rok w jednej celi. Obserwowała ją na polecenie wychowawcy, który zaniepokoił się, że aresztantka może targnąć się na życie.
— Basia jest kompletnie pozabawiona uczuć — birmi werydykt więzienniej towa-rzyski. Gdy przyprowadzili ją do celi, była spokojna, pogodzona z nowymi warun-kami. Gdybym nie wiedziała, z jakiego jest paragrafu, pomyślałabym, że zatrzyma-li ją za drobna kradzież w marketcie. Największym nieszcześcieniem było dla niej to, że kończyły się papierosy.

— Ona świetnie udaje, proszę wysokiego sądu — zaśmiała się dealerka. Gdy pa-trzy się na nią w telewizji — bo my w celi oglądamy relacje z procesu — widać zbro-lą matkę, która się trzęsie na wspomnienie śmierci syna, płacze. Ale to tylko przed-stawienie. Pamiętam, jak dwa miesiące temu wróciła z rozprawy. Jadłszy kolację na Polsacie akurat pokazywano zdjęcia archiwalne z pogrzebu Michała. Każda z nas westchnęła, ona spokojnie sięgnęła po drugą kanapkę.

Sędzia uznała, że jest do wyjaśnienia jeszcze jedna wątpliwość: jak to by-lo ze zlikwidowaniem nazajutrz po śmierci Michała polisy na jego życie. Zofia P. opowiadała w sądzie o tym z wielkim oburzeniem. Dziecko jeszcze nie pochowane, a dla matki najważniejszą sprawą jest odebranie pieniędzy z PZU. Barbarze zawsze brakowało pieniędzy, możliwe zatem, że zaplanowała zabójstwo syna z myślą, że dostanie około 10000 złotych.

Ale w relacji siostry oskarżonej, odebranie składadek ubezpieczeniowych nie było ini-cjatywą matki dziecka. Ona o tym nie pomyślała. To sąsiadka przestregła, że pie-niądze przepadną, jeśli w ciągu trzech dni nie zgłosi się „szkody”. Wręcz zmusiły Bar-barę, aby stawiła się w agencji, bo nikt inny nie mógł podpisać za nią papierów. Siostra chyba nawet nie wiedziała, dokąd iść, cały czas płakała. Podobnie przedstawia re-

akcję oskarżonej agent ubezpieczeniowy. Zapamiętał, że kontakt z klientką był utrud-niony; szlochala, gdy trzeba było złożyć podpis, straciła na chwilę przytomność.



Głos zabiera prokurator Adam Woźny.

Co do winy Roberta K.: jego ostatnia wersja wydarzeń nad Wisłą, według której Michałek wszedł na krę i zeszliwnął się do rzeki, to linia obrony „stosowna do po-ziomu inteligencji tego oskarżonego”. Tego dnia, jak wynika z danych Instytutu Me-teologii, na rzece nie było łodu.

Twierdzenie oskarżonego, że przyznanie się w śledztwie do zabójstwa wymu-szono biciem, jest kłamstwem. Policjanci nie tylko nie znęcali się nad podejrzanym, ale nawet dwa razy w czasie wizji lokalnej bronili go przed łinczem tłumu. Również wówczas, gdy był zamyknięty w areszcie. W tym miejscu oskarżyciel przypominał, że niepisany więzienny kodeks mówi, iż za życie matki i dziecka odpowiada się głową. Jeśli chodzi o Barbarę S., to jej czyn oskarżyciel nazywa zbrodnią bez preceden-su, zaplanowaną na zimno egzekucją tylko dlatego, że dziecko przeszkadzało w wy-godnym ułożeniu sobie życia.

— Jest jedna możliwa kara dla wszystkich trzech oskarżonych — ogłasza proku-rator — dożywocie z ograniczeniem możliwości ubiegania się o warunkowe przed-terminowe zwolnienie po 30 latach.

Wstaje pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego Piotra S. Barbara S. nie zasługuje na miano matki — zaczyna.

Następnego dnia mają głos obrońcy.

Mecenas Andrzej Lewandowski, adwokat Roberta K., twierdzi, że w tej sprawie nie ma innych dowodów, niż wyjaśnienia oskarżonych. Ostatczna wersja jego klien-ta o niefortunnym wpadnięciu dziecka do rzeki jest logiczna i przekonująca. Adwo-kat prosi sąd o pominięcie „całej otoczki sprawy” i przede wszystkim kluczowego dowodu — wizji lokalnej (w czasie której Robert K. i Daniel S. przyznali się do umyśl-nego wrzucenia dziecka do Wisły). Nie jest to dowód rzetelny, a wyznaczenie sponta-niczne, gdyż dzień wcześniej na polecenie prokuratora (nie zaprotokołowane), obaj oskarżeni zostali zawiezieni na próbę generalną wizji. Nazajutrz spodziewano się licznych telewizyjnych kamer i prokurator chciał, aby wszystko wypadło sprawnie i po jego myśli. Odpowiedzialny za tę akcję funkcjonariusz skłamał w sądzie, że nie takiego się nie zdarzyło. Ale ostatecznie prawda wyszła na jaw.

— Zachodzi obawa — uważa mec. Lewandowski — że w czasie próby generalnej mój klient został pouczony, co ma mówić. Kolejna wątpliwość: Jeżeli dwoje zwią-zanych ze sobą ludzi planuje zbrodnię, po co im świadek? Co zatem robił w tym wszystkim Daniel S.?

Wobec braku dowodów na popełnienie zbrodni, mecenas prosi sąd o uniewin-nienie Roberta K. Oskarżony płacze.

ona nim kierowała. – Ten wniosek został spreparowany dla mediów – twierdził – którym dla wzbudzenia sensacji potrzebna była prosta, spektakularna przyczyna bestialskiego zamordowania czterolatka. I dziennikarze ją kupili.

Nikt z nich nie zainteresował się opinią biegłych psychologów z Krakowa, którzy wskazywali, że Robert K. lubił przewodzić grupie rówieśników na swoim podwórku, często zmieniał pracę, bo stawał się szefowi. To właśnie Barbara, wbrew przekonaniu sądu była podporządkowana Robertowi, gdyż, zdaniem biegłych psychologów, cechował ją syndrom samoagresji emocjonalnej i fizycznej – dwukrotnie podejmowała próby samobójcze.

Brutalność i bezwzględność w postępowaniu Roberta K. potwierdzali zresztą w czasie procesu świadkowie, także oskarżony Daniel S. Ujawnił on, że Robert pod koniec 2000 roku, zirykowany brakiem, pieniędzy postanowił napaść na właściciela kiosku, gdy ten będzie wracał do domu z utargiem. Dlatego szukał u znajomych kominarki. Barbarze było wiadomo, że uprzednio zgwałcił upośledzoną dziewczynę.

Również zaakceptowane przez sąd wyjaśnienie motywacji Barbary, że Michał komplikował jej plany życiowe, zdaniem jej pełnomocnika wydaje się oskarżeniem gwałtownym. Robert nie ponosił trudów ani kosztów wychowania chłopca.

Co do Zofii P., pełnomocnik oskarżonej ocenił ją jako niewiarygodnego świadka. Ta wściebka kobieta chciała przejąć stałą kontrolę nad małżeństwem Barbary i Piotra. Przejawiała jaskrawą podyktynność i poczucie władzy nad nieletnią. Zarówno w sensie psychicznym, jak i materialnym – a miała szerokie pole do wywierania nacisku. Wiedziała przecież, że Barbarze z jedną klasą szkoły zawodowej trudno znaleźć pracę, natomiast bezwolny, popijający Piotr nie ma swojego zdania. Jeśli do tego dolożyć wynaturzone zaciekawienie życiem intymnym młodej pa-ry, trudno się dziwić, że niepełnoletnia matka Michasia czasem buntowała się i uciekała z tego piekła do koleżanki. Było to na pewno nieodpowiedzialne, ale też nie można mówić o porzucaniu dziecka, wszak Barbara S. jednego mogła być pewna – że Zofia P. nie zrobi matemu krzywdy. To raczej chęć właścicielki domu za-właszczenia chłopca była groźna, wszak proponowała matce, gdy ta wyprawiała się, aby Michał został u niej, aż do ukończenia szkoły. Barbara S. instynktownie czuła to niebezpieczeństwo i wróciła do ciasnego mieszkania matki z dzieckiem na ręku.

Zofia P. nie jest zbyt wykształcona, ale z wrodzonym talentem manipulowała mediami. Sąd traktowała jako nadzwyczajną okazję w życiu do odegrania solowej roli wobec licznej widowni. Gdy miała zeznawać, ubierała się na tę okazję tak, aby dostrzeżono ją z daleka: rozpuszczała włosy, szukała dziennikarzy. Kłamstwa przy-chodziły jej z niezmierną łatwością, tyle wkładała w nie żaru, emocji, że prawdopodobnie po kilkakrotnym powtórzeniu sama wierzyła, że to prawda.

Na którąś z rozpraw nie stawiła się, bo, jak zawiadomiła sekretariat sądu, nagle zmarł jej mąż. Gdy na kolejny termin przyszyła w ciężkiej żałobie, przewodnicząca

Wyrok: Matka Michałka i Robert K. skazani na kary po 25 lat więzienia (z ograniczeniem możliwości ubiegania się o warunkowe zwolnienie po 20 latach), Daniel S. na 13 lat.

To news dla wszystkich dzienników telewizyjnych, obowiązkowy temat dyskusji komentatorów. W TVP 1 politycy z PiS i LPR są zgodni – wyrok jest skandalicznie łagodny. Powinno być dożywocie. Wypowiedziom towarzyszy archiwalny film z prokuratorskiej wizji lokalnej. Robert K. i Daniel S. po raz kolejny demonstrują na nim pod okiem kamery jak wrzucali Michałka (zamiast dziecka trzymając czarny worek) do topieli.



Apelacja. Prokurator i obrońcy zmierzają do powtórzenia procesu. Oskarżyciel chce to spowodować, wycofując się z żądania kary dożywocia. Dla Daniela S. widzi jednak 25 lat więzienia.

Adwokat matki Michałka obszernie analizuje w apelacji wpływ opinii publicznej na sędziów ferujących wyrok. Politykom, policji, mediom zarzuca przeprowadzenie kampanii przeciw „wyrodnej” matce.

– To długie urabianie opinii publicznej – dowodzi – i wykorzystanie tragicznego zdarzenia na użytek wąskich interesów politycznych zwolenników kary śmierci w kampanii wyborczej 2001 roku. Naciski były stosowane przez blisko rok nie tylko na świadomość sędziów, ale przede wszystkim na ich podświadomość.

Ta sprawa była też łatwym, spektakularnym sukcesem dla policji, która miało interes w tym, aby kierować uwagę opinii publicznej na wyrodną matkę i tym samym pozostawić w cieniu głośne wynaturzenia w swym środowisku zawodowym, akurat występujące w tym czasie z dużym nasileniem.

Zdaniem obrońcy postępowanie toczyło się od początku z rażącym naruszeniem prawa na niekorzyść oskarżonej. Dowodząc tego, co nie istniało w rzeczywistości, prokurator usiłował jeszcze na rozprawie przypisać Barbarze S., że wciągnęła 19-letniego Daniela w swe mordercze plany. Sąd w ogóle nie odniósł się do tej nierzetelności.

Prokurator wykorzystał biegłego psychologa jako dodatkowego śledczego, który naciskał na oskarżoną, aby się przyznała. W czasie przesłuchania bili ją, poniżali... Przy założonej z góry tezie o winie Barbary S., sąd wyraźnie jednostronnie dopasował treść niektórych zeznań świadków, a nie ujawnił okoliczności faktycznie przemawiających przeciwko podejrzaniu matki Michałka.

Twierdzenie, że Robert K. nie miał powodów, aby bronić się kosztem swej konkubiny jest sprzeczne z zebrany materiał dowodowym. Tym bardziej, że oskarżony także bezpodstawnie pomógł Danielowi S., że działał w zмовie z Barbarą, z którą rzekomo „kilka razy się przespał”.

Mecenas Lewański precyzyjnie zanalizował i wykazał absurdalność tezy oskarżyciela, iż Robert utopił dziecko z miłości do Barbary, był wobec niej bardzo uległy

składu sędziowskiego złożyła najważniejszemu świadkowi oskarżenia jak najszersze kondolencje. W jakiś czas potem mec. Lewański przeczytał w „Przyjaciółce”, że Zofia P. adoptowała kaletkę dziecko i czuje się dzięki temu spełniona jako matka. To szczęście ilustrowała fotografa dawnej opiekunki Michałka z nowym małym chłopcem na ręku i... stojącym obok mężem. Gdy pełnomocnik Barbary S. opowiedział o swym zaskoczeniu na rozprawie, pani P. wytłumaczyła, że zaszło nieporozumienie. To matkę pochowała, a nie małżonka. A kondolencji sędzi nie dosłyszala.

Z rozprawy na rozprawę nabierała rozpędu w opowiadaniu nieprawdopodobnych historii, które miały jedną cechę wspólną – przedstawiały w coraz gorszym świetle Barbarę S.

A jednak sąd uznał, że Zofia P., składając zeznania z „wielkim zaangażowaniem emocjonalnym, tym samym dała dowód swej prawdziwości”.

Mecenas Lewański podważył też wiarygodność świadka Iwony S., towarzyszącej oskarżonej z celi więziennej. Okazało się, że miała ona tego samego adwokata, co oskarżyciel posiłkowy Piotr S.



Pod koniec 2002 roku Sąd Apelacyjny utrzymał wyrok wobec Roberta K. i Daniela S., natomiast w sprawie matki Michałka zdecydował, że trzeba powtórzyć proces. Mimo protestu prokuratora, oskarżona została zwolniona z aresztu. W Sądzie Okręgowym pojawiła się po roku.

Przyprowadzony z aresztu Robert K. od pierwszej rozprawy zaprzeczał własnym słowom z śledztwa. Twierdził, że Barbara nie namawiała go do zabójstwa dziecka.

– Nigdy nie było między nami takiej rozmowy. To policja kazała mi tak mówić – zapewniał. – Broni dostawili do głowy, przeladowali, polewali wodą... – To, co jest napisane, że Daniel sam wrzucił, to też nieprawda. Śledczy mi podpowiadał – wali na niego, bo on wali na ciebie.

Matka Michałka słuchała kolejnej wersji swego niedyśkajszego chłopaka z kamienną twarzą. Bardzo zmieniała się przez miniony rok. Z ładnej dziewczyny o wyglądzie nastolatki wyrosła utrudziwa kobieta. Szary kostium, biała bluzka, szpilki, włosy upięte w kok, przydały jej dyskretniej elegancji. Już nie płakała, nie wyłamywała nerwowo palców – zwłaszcza w czasie zeznań pani P. Siedziała w ławie oskarżonych wyziszona, ale z podniesioną głową. Koło jej ust pojawiły się lekkie bruzdy, nadające im wyraz gorzkości.

– Nie przyznaję się – oświadczyła krótko na pierwsze pytanie nowej sędzi Anieli Banikowicz.

– Czy oskarżona ma jakiś pomysł na wytłumaczenie, dlaczego Robert K. ją pomawiał?

– To była zarządź o moją miłość do Michała, nie innego nie przychodzi mi do głowy.

Przysłuchujący się tym wyjaśnieniom biegli – psycholog i psychiatra stwierdzili, że „nie wniósł żadnych nowych informacji. Oskarżona ma nieprawidłową osobowość, jest niedojrzała społecznie i emocjonalnie”. Kolejny raz powołana na świadka Zofia P. konsekwentnie starała się przedstawić Barbarę w jak najgorszym świetle. W tym zapamiętaniu powiedziała trochę za dużo – że od początku usiłowała odebrać Roberta od jego dziewczyny. Przekonując go, że nie warto z taką się wiązać.

Ten sam psycholog, który ocenił osobowość Barbary S., wystawił też opinię Zofii P.: „nie wykazuje tendencji do przeżywania uczuć agresywnych”.

Drugi proces o utopienie czterolatniego Michałka prokurator zakochany w żądaniem kar po 25 lat więzienia dla Barbary S. i jej kochanka Roberta K. Tym razem oskarżyciel nie twierdził już, że matka dziecka pokierowała zabójstwem. Z billingów jej rozmów 19 stycznia 2001 roku nie wynikało, by łączyła się z Robertem K. tuż przed zbrodnią i tuż po niej. Prokurator mówił o podżeganii.

Ale po dwudniowej naradzie sędziowie stwierdzili, że oskarżyciel nie podał żadnego dowodu winy Barbary S. Jedyną wskazówką były słowa narzeczonego. A ten – zdaniem sędzi Banikowicz – po prostu bronii się w śledztwie. Potem wszystko odwołał.

Z ośmiu wersji Roberta K. sąd wybrał tę, w której mężczyzna przyznał się do umyślnego wrzucenia dziecka do wody razem z Danielem S.

Zeznania Zofii P., że na dwa tygodnie przed śmiercią Michałka „Baśka zosawiała jej rzeczy dziecka, mówiąc, że nie będą już potrzebne”, sąd uznał za poszlaki. Podobnie jak zeznania aresztowanej Iwony S., która nie mogła zrozumieć, dlaczego zamknięta w celi Barbara S. nie płacze po śmierci dziecka.

– Zebrałiśmy takie dowody, jakie mogliśmy zebrać – ripostował prokurator.

– Ale jaki był motyw? Przecież tego samego dnia Michałek rzucił się Robertowi K. na szyję, a ten zapinał dziecku kurtkę, poprawiał czapkę. Lubii go i wrzucił do wody, aby utonął? Czy wystarczyło, że Barbara powiedziała kiedys swojemu chłopakowi, że on zawsze będzie dla niej na drugim planie, po dziecku? – pytanie sędzi pozostało retoryczne.

Sąd uniewinniając matkę nie wskazał motywu zbrodni. Obie strony zapowiedziały ponowną apelację. Bezskutecznie. Zaskarżony wyrok został utrzymany w mocy. – Nawet, gdyby prokuratura udowodniła, że Barbara S. nie była dobrą matką, to nie wynika z tego, że mogła kierować zabójstwem swojego dziecka – zauważył Sąd Apelacyjny. Od wyroku można było wnieść jeszcze kasację do Izby Karnej. I prokurator z tego skorzystał.

W styczniu 2006 roku, cztery lata od rozpoczęcia procesu, Sąd Najwyższy skasował wyrok uniewinniający matkę Michałka (kary 25 lat dla Roberta K. i 15 lat dla Daniela S. zostały utrzymane) i sprawa po raz trzeci wróciła do Sądu Okręgowego.

Sąd Najwyższy nie zgodził się z argumentami adwokata Barbary S., który wskazywał, że zeznania Roberta K. wymusiła i zasugerowała policja oraz prokuratura.

– Są bardzo szczegółowe, nie można odnieść wrażenia, że podejrzany został czegoś nauczony – podkreślono w wyroku. Ponadto – zdaniem sędziów instancji odwoławczej – zachowanie Barbary S. po utopieniu dziecka, próba skierowania podejrzeń policji na ojca dziecka, odpowiadają ściśle planom „pozbycia się” Michałka, o których mówił Robert K.

Proces w Sądzie Okręgowym toczył się kolejne trzy lata.

Robert K. twierdził, że nie dopilnował dziecka i dlatego wpadło do wody. Nad Wisłą był sam. Jeszcze raz odwołał swe zeznania z śledztwa, że matka chłopca namawiała go do zamordowania dziecka. Nie jest prawdą, że powiedział Barbarze o odebraniu dziecka z przedszkola, bo mu zabronił Daniel. Kolegę to dziecko w ogóle nie interesowało. On sam natomiast nie mógłby dojść do wniosku, że Michałek przeskadza mu w życiowych planach, bo nigdy nie zamierzał się zżenić z Barbarą. Nie jest też prawdą, że matka dziecka od jesieni 2000 roku była w depresji i z tego powodu mogła przyjść jej do głowy myśl o „pozbyciu się” syna. To policja kazała mu tak powiedzieć.

Znów wezwana Zofia P. wyjęła z torby ostatni argument przeciwko oskarżonej. – kartę wypisu 15-letniej Barbary ze szpitala, w której jest informacja, że dziewczynka się truiła. Ktoś taki – skomentowała świadek – jest zdolny do wszystkiego.

Ale tym razem była opiekunka Michałka nie mogła liczyć na bezgraniczną życzliwość sądu, jak poprzednio. Sędzia raczej stwierdziła niż zapytała: – Pani tolerowała współzycie nieletniej z dorosłym mężczyzną, uczestniczyła w dyskusjach z tą parą o technikach intymnego współzycia. Jak to się ma do wyznawanego przez panią modelu katolickiej matki-Polki?

Zofia P. wyraźnie straciła tupet.

Po chwili padło kolejne pytanie zza stołu sędziowskiego: Ile razy groziła Barbary S., że pozbawi ją opieki rodzicielskiej?

– Może kilka. Uważałam, że tak będzie lepiej.

Niespodziewany zwrot: równo 7 lat po głośnym morderstwie, prokuratura uznała, że nie ma dowodów, iż matka czteroletniego Michałka poleciła utopić syna w Wiśle. Nowa prokurator, Barbara Wierzbieniec, poprosiła sąd o uniewinnienie Barbary S. – O skazaniu muszę przesądzić dowody, które nie budzą wątpliwości. Ja wątpliwości mam zasadnicze – powiedziała. Zamiast dowodów, słowa i poszlaki – za mało, aby skazać.

Sąd uniewinnił matkę niezjącego Michałka od zarzutu, że poleciała utopić syna w Wiśle.

– Barbara S. uzasadniała wyrok sędzia Anna Ptaszek – nie miała jakiegokolwiek motywu, by pozbyć się syna. Spisku na życie tego chłopca nie było! Niewiarygodna okazała się także świadek oskarżenia Zofia P.

– Szkoda – zauważyła na koniec sędzia – że tak niewielu dziennikarzy jest dziś na sali. Jak widać, ci, którzy wcześniej już wydali wyrok skazujący Barbarę S., nie są zainteresowani zmundną procedurą dochodzenia do prawdy.

Ale sędzia przyznała też, że nie udało się znaleźć odpowiedzi na dręczące pytanie, dlaczego czteroletni Michał, którego wszyscy (łącznie z mordercą) kochali, musiał zginąć.



Barbara ma półtoraroczną córkę. Ojciec dziecka dba o nią. Do zakończenia procesu, było to jej tajemnicą, chciała utrzymać związek w jak największej dyskrekcji. Gdy tuż przed wydaniem ostatecznego, uniewinniającego ją wyroku powiedziała o tym na rozprawie, pierwszy raz jej oczy nabrały blasku, na bladej twarzy pojawił się rumieniec.

Wreszcie coś dobrego zdarzyło się w jej życiu. A zaraz po tragicznej śmierci syna pisała z aresztu do matki: „Przepraszam, że nie chciałam cię słuchać, przysięgam, że już nigdy nie zwiążę się z żadnym facetem, znieprawidziłam ich i będę ich traktować z olbrzymią pogardą”.

Pełnomocnik Barbary S. zapowiedział wystąpienie jego klientki o 200 000 zł odszkodowania za areszt i niesłuszne oskarżenie.

Zadzwonili do matki, że dostał w przychodni pięć dni zwolnienia z pracy na nogę (w dzieciństwie przeszedł Heine-Medine, niedowład stopy był powodem częstych urazów) i już jedzie do mieszkania brata, gdzie rodzina czekała na niego z imiennym toastem.

Ale nie dojechał. Przez kilka godzin nie wiadomo było dłaczego – w 1987 roku mało kto miał telefon komórkowy. Tomasz Kalinowski*, pracownik spółdzielni inwalidziej „Świt” (przy tasmie z dezodorantami do ust), o takim luksusowym wówczas urządzeniu nawet nie marzył.

Gdy późnym wieczorem jego matka otworzyła drzwi do ich M3 na drugim piętrze w warszawskim mrowkowcu, stanęła w progu jak wryta. Szała w dużym pokoju otwarta, odzież wyrzucona na podłogę, pogruchołany regał na podłodze, obok turkające się butelki po winie i piwie. W pokoiku, który zajmował 19-letni Tomek, zobaczyła na wersalce ciało martwego syna – trzymał sztywnymi już płacami półbochenka chleba. Jego twarz była przysypana sztucznymi różami z przewróconego wazonu. Dywan na podłodze zaczerwiecił się od spływającej z tapczanu krwi. Chłopak miał otwartą ranę w okolicy serca.

Krzyk Janiny Kalinowskiej doszedł aż do parteru – zaalarmowany dozorca wezwał milicję.

Zaczął się dochodzenie. Sumienny oficer operacyjny szczegółowo opisał i sfotografował mieszkanie, w którym znaleziono denata. Kiedy dwadzieścia lat później otwieram prokuratorstwie akta, widzę na zdjęciach zajmujące całą ścianę, aż po sufit, wyszkowskie regaly, na nich gramofon „Arthur” i maszynę do szycia marki „Kuczniak”. W przedpokoju stoi pralka „Frania”, w oknach wiszą linate zasłony produkcji fabryki w Żyrardowie. Tak wówczas wyglądały typowe mieszkania w blokach. Rodzice Tomka byli robotnikami.

Na użytek śledztwa odnotowano brak długiego noża w szufladce kuchennego stołu (leżał w kącie pokoju). Z pustej cukiernicy w serwantce zniknęło 10 000 zł i bon PKO wartości 20 centów.

Zrozpaczona matka przedstawiła milicjantom zmarłego jako czulego syna, nie szczęśliwego z powodu widocznego kalectwa. Jego starszemu bratu ułożyło się w życiu – ożenił się, mieszka w wynajmowanej kawalerce, stara się o przydział do bloków. Tylko Tomek – zawsze sam, bez dziewczyny, przyjaćciela, ciągle odrzucany serce jej pękało, gdy widziała, jaką niewdzięcznością odpłacali ci, do których on, nawiwny, wyciągał rękę. Ale nie pomagały przestrogi – nadal przyprowadzał do domu bezdomnych rówieśników, których spotkał na ulicy. Częstoował herbatą, robił kanapki, zapraszał do łazienki na gorącą kąpiel, a potem do swego pokoju. Bała się, że w końcu trafi na złoczyńcę, a ona nie zapobiegnie nieszczęściu, gdyż będzie w pracy. Prosiła sąsiadkę z naprzeciwka, żeby obserwowała przez wizjer z kłm Tomek wraca z miasta i w razie czego, niech do niej dzwoni. Ale akurat tego dnia, gdy Tomek zginął, sąsiadka wybrała się do przychodni.

Na pytanie, kto mógł zamordować jej syna, Janina Kalinowska odpowiedziała z płaczem: – „Nie wiem”. To biedne dziecko nie miało wrogów! Wszyscy w bloku poświadcza, że Tomek uczynny był bardzo, gdy widział starszą lokatorkę objuczoną torbami, pomagał donieść je pod drzwi mieszkania. Ona ma takie przecucie, że zabił ją przyjdzie na pogrzeb Tomka. Już poprosiła sąsiadki, aby się rozjeżdżały, gdy staną nad grobem, może wypatrzą kogoś dziwnie się zachowującego. I niech miłcia wysje na ementarz kogoś po cywilnemu.

Wydelegowano młodego funkcjonariusza, który po ceremonii dyskretnie wylegitymował pewnego mężczyznę, samotnie stojącego z boku. Ten żalobnik z nikim się nie przywitał, a gdy grabarze chwycili za łopaty, pospiesznie opuścił ementarz. Okazało się, że był kadrowym w Spółdzielni „Świt” i został wydelegowany przez dział dezodorantów.



W czasie kolejnego przesłuchania Kalinowska przyznała, że miała z młodszym synem trochę kłopotów – wpadł w złe towarzystwo i nawet siedział trzy miesiące w areszcie, bo obrabowali kiosk „Ruchu”. Ale to była dla niego nauka na całe życie – po wyjściu na wolność zerwał z włamywaczami, od tej pory chodził po mieście samotnie. Przez to trochę zdziwaczał. Gdy pytała go, gdzie się wałęsa przez tydzień, denegował się – czyż nie może chodzić swoimi ścieżkami?

Oficer śledczy sporządzający dokumentację miejsca zbrodni zauważył jaśniejszy prostokąt na słomiance nad tapczanem. Co tam wisiało? – usiłował dociec.

Matka przypomniała sobie, że kiedyś Tomek chciał od niej pieniądze, aby przyćcieć zdjęcie Kamila, z którym chodził do szkoły podstawowej i tak się skumłowali, że mieli wspólną sprawę o włamanie do kiosku. Nawet mówiła mu, po ci patrzeć na złego człowieka, przez niego o mało co nie zszedłbyś na złą drogę; ale nie chciał jej słuchać. Była pewna, że zdjęcie wisiało jeszcze tego dnia, gdy syn zginął. Budziła go rano do pracy i ponieważ od dawna fotografa szczerzącego zębami Kamila ją drażniła, odruchowo chciała ją odpiąć z maty. Ale w ostatniej chwili zmieniła zamiar. Ten Kamil dawno już u nich nie był, syn mówił, że wzięli go do wojska.

Obraz ufnego wobec obcych Tomka nie pasował do jego charakterystyki, przedstawionej przez sąsiadkę Kalinowską. Kobieta nie zauważyła u chłopaka komplementów, przeciwnie, zapamiętała go jako nazbyt skorego do wypicia. Nieraz słyszała przez drzwi podzwanianie butelek z alkoholem w reklamówce, z którą Tomek, otoczony podejrzanym wyglądem typami wchodził z głośnym śmiechem do domu w czasie, gdy rodzice byli w pracy. Po kilku godzinach całe to towarzystwo wytaczało się z przekleństwami na korytarz, z trudem traflając do windy. Mówiła o tym Kalinowskiej, ale daremnie, bo jej nie wierzyła. – Przesłyszała się pani, a przez wizjer twarze są zniekształcone – zwykła odpowiadać matka Tomasza.

Jeszcze innych informacji dostarczyło przesłuchanie Andrzeja, starszego brata Tomka. On jeden w rodzinie studiował i to handel zagraniczny. Gdy upewnił się, że nie będzie musiał zeznawać w sądzie (jako najbliższa rodzina ofiary miał do tego prawo) powiedział wprost, że domyśla się, kto mógł zabić jego brata: - „Jakiś pedał z Dworca Centralnego, gdzie Tomek często polował na partnerów seksualnych”.

- Taka jest prawda o moim młodszym bracie - zakończył z westchnieniem Andrzej. - Niemożliwe, żeby matka się tego nie domyślała, przecież wystarczyło na Tomka spojrzeć - jak się porusza, mówi, w co się ubiera. Ona po prostu nie przyjmowała niewygodnych dla niej faktów do wiadomości. Dlatego miał prośbę do śledczych, aby uszanowali matczyne uczucia i nie zapoznawali Janiny Kalinowskiej z treścią jego zeznań.

A jeśli chodzi o Kamila, którego zdjęcie wisiało na macie, to opowieść mamy, że szczęśliwie przestał się u nich pojawiać, gdyż wzięli go w kamasze, też jest nieprawdziwa. Tomek mu kiedyś powiedział, że Kamil został aresztowany za napad i usiłowanie zabójstwa. Można to sprawdzić, przepytując bywalców szaletu „Pod Grzybkiem” przy Placu Trzech Krzyży albo na Dworcu Centralnym. Kamil był tam znany z polowania na nieletnich.



Milicjanci z dochodzeniów nie zlekceważyli informacji od Andrzeja Kalinowskiego. Niechęć tego świadka do ofiary była czytelna, ale równocześnie budowana na długim, wytrwałym śledzeniu młodszego brata w jego wędrówkach po mieście. Czy student robił to z czystej ciekawości, czy też zbierał dowody, które chciał w pewnej chwili rzucić matce, aby przekonała się, kogo tak naprawdę w rodzinie obdarza największą miłością? Takich psychologicznych meandrów milicjanci nie zamierzali wyjaśniać. Co do jednego nie było wątpliwości - ambitny Andrzej, który aby zarobić na studia, nocami rozładowywał wagony z węglem, nie był w domu doceniany.

Zdjęcia z dowodu osobistego zamordowanego trafia do policjantów z obyczajów, penetrujących warszawskie dworce, a także kultowe miejsce schadzek homoseksualistów - szalet przy Placu Trzech Krzyży. Jeden z funkcjonariuszy kojarzy twarz na fotografii z notatką, którą sporządził kilka dni przed tragicznym wydarzeniem. Wynika z niej, że w holu Dworca Centralnego podszedł do niego młody mężczyzna. Wynikało z okazanego dowodu osobistego Tomasz Kalinowski. Powiedział, że wśród pedałów ma ksywę Niunius i tydzień temu na drugim peronie poznał chłopaka na gigantcie (ucieczka z domu) bardzo już brudnego i głodnego. Wziął go do domu, aby się zabawić w „tatę z mamą”. Z łóżka wyskoczyli w dużym pośpiechu, gdyż z korytarza słychać było kroki wracającej z pracy Kalinowskiej. Godzinę później zorientował się, że nie ma w pokoju magnetofonu kasetowego. Pobiegł na Centralny, ale złodzieja już nie znalazł. Codziennie tu zachodzi z nadzieją, że wrzescie się na niego natknie. Jak dotąd, bez skutku. Dlatego prosi o pomoc milicję.

„Poleciłem mu, aby skontaktował się ze swoim dzielnicowym” - zapisał w raporcie z dyżuru ów funkcjonariusz.

Milicjant przesłuchujący Andrzeja Kalinowskiego dotrzymał obietnicy i w ponownej rozmowie z jego matką nie wspomniał o seksualnej orientacji zamordowanego. Pytał tylko, czy na trasie wielogodzinnych codziennych wypraw Tomasa do śródmieścia Warszawy był też Dworzec Centralny.

Kobieta nie wykluczała takiej możliwości, bo choć syn się jej nie zwierzał, gdzie wychodzi, często w czasie jego nieobecności odbierała dziwne telefony - ktoś po tamtej stronie, gdy powiedziała „halo”, milczał, a w tle słychać było zapowiedzi jazdy pociągów.



W sztabie dochodzeniowym zapadła decyzja o przesłuchaniu stu trzydziestu mężczyzn, którzy w ostatnich latach zostali wylegitymowani na Dworcu Centralnym przez milicyjną obyczajówkę tropiącą pedofilów. Wszystkim pokazywano zdjęcie Tomasa Kalinowskiego - mieli odpowiedzieć, czy spotkali się już z tym młodym mężczyzną.

Plon przesłuchań okazał się bardzo obfity. Większość indagowanych na widok zdjęcia reagowała okrzykiem: - Przecież to Niunius Kulas!

I pytali milicjanta: - Co się z nim dzieje, bo przepadł jak kamień w wodę, a jeszcze niedawno wszędzie było go pełno; mimo krótszej, wykręconej nogi zważo kręcił się po peronach i podziemnych tunelach.

Jednym z przesłuchiowanych był 19-letni Leszek Mały z Zielonogórskiego, który za namową szkolnego kolegi, Jerzego Gawlika, przyjechał z nim do Warszawy w poszukiwaniu pracy. Zgłosili się do kadr w Kombinacie Budowlanym Zachód. W hotelu robotniczym za pierwszą tygodniówkę zrzucili się na butelkę, potem drugą, trzecią, doprawili piwem, a balanga zakończyła się zdemolowaniem pokoju. Więc - dyscyplinarka z pracy i nakaz kolegium do zapłaty za zniszczenia. Jerzy Gawlik jeszcze przez pewien czas czyścił stajnie na warszawskim Służewcu, potem wrócił do rodzinnego Lubka, gdzie zatrudnił się w kinie objazdowym.

Leszek Mały natomiast pojechał do Gdyni, aby przyjąć się do roboty w stoczni. Ale nic nie załatwił (z powodu braku zaświadczenia z gminy o zarejestrowaniu go jako poborowego) i kompletnie już bez grosza wrócił do Warszawy. Nocował na ławce na Dworcu Centralnym.

Którejs nocy, gdy się obudził, zobaczył nad sobą twarz chłopaka w damskim różowym futerku z pomponami u kołnierza.

- Wypijemy? - zaproponował ten dziwnie ubrany, wyciągając flaszkę - możesz mi mówić Niunius.

- Jak na ciotę za bardzo nie napierał - scharakteryzował swego nowego znajomego Mały.

Spotkali się też następnego dnia, w południe. Tomasz Kalinowski chciał, aby pojechali do jego mieszkania, gdzie można się wymoczyć w wannie, bo Mały już cały przeszedł smrodem dworca. No i na kuchence na pewno stoi ugotowany przez matkę obiad, która właśnie poszła na drugą zmianę.

— Ja wredziałem — zeznał przesłuchiwany — że ta kapiel i jedzenie nie będą za darmo, nigdy wcześniej nie robiłem tego z mężczyzną — ale nie miałem wyjścia. Na dworcu czekała mnie powiewierka, a do rodzinnego domu nie było po co wracać. Więc się nie broniłem, gdy Ninuś robił ze mną, co chciał.

Po kilku spotkaniach Tomek posłał mnie do Tadzka, wołali na niego Duża Lola, który kręcił się za małolatami na Centralnym, choć już stary był, bez zębów i śmiesznie denaturatem. Lola obiecywał mi zatwierdzenie roboty na zapleczu restauracji w Pałacu Kultury, wtedy nie miałbym problemu z najedzeniem się do syra. Ale okazało się, że on nie miał tam żadnego znajomości, tylko tak mówił, żebym się mu nie opierał. W końcu wsiadłem bez biletu do pociągu i dojechałem do Zielonej Góry a staniąq PKS-em do swojej wsi. Ojciec zatawił mi robotę w ceglarni.

Podobnych losów przybyzszów z prowincji, którzy chcieli zmienić swoje życie, jadąc w ciemno do Warszawy, milicjanci wysłuchali kilkadziesiąt. Ale żaden ze sponiewieranych chłopaków nie miał nic wspólnego z zabójstwem Tomasza Kalinowskiego.

W planie operacyjnym wydziału dochodzeniowo-śledczego milicji była też penetracja środowiska homoseksualistów w miejscach, gdzie się spotykali. W latach 80. w Warszawie poza Dworcem Centralnym był to szaleń publiczny „Pod Grzybkiem” przy placu Trzech Krzyży, park Skaryszewski na Pradze i łaźnia miejska przy Krakowskim Przedmieściu. Przesłuchano setki osób, temat Ninuścia drążyli rajni informatorzy milicji żyjący w tym środowisku. Dzięki tak szeroko zakrojonej operacji śledczy znali już niemal każdy dzień Tomasza Kalinowskiego z ostatnich tygodni jego życia. Mapę jego obecności w różnych miejscach Warszawy gęsto upstrzyły czerwone kropki; Ninuścia bowiem nosiło. Ciągłe szukał nowych partnerów: bywało, że w ciągu doby miał ich kilku.

Policjanci tropiący pedofilów zdobyli nowe adresy mężczyzn pozostających, jak to pisano w raportach, „w kręgu zainteresowań służb porządkowych”.

Dziewiętnastoletni Ninuś raczej nie polował na nieletnich, ale odpiatrnie podsyłał wykorzystanych przez siebie chłopców starszym panom, którzy z uwagi na swą pozycję zawodową, nie mogli sobie pozwolić na samodzielne poszukiwanie nocy świeżego „towaru” na dworcach.

W takich okolicznościach zawarł bliższą znajomość z Kalinowskim 50-letni Edward P., prawnik z Izby Skarbowej. Przesłuchiwany tak bardzo się wystraszył, że może wyjść na jaw jego orientacja seksualna (miał żonę, dzieci), że wykorzystując pretekst skorzystania z toalety, targnął się na życie.

Wiele informacji znalazli śledczy w notessie mieszkającego w pobliżu Pałacu Kultury homoseksualisty o pseudonimie Lalka. Miał on zwyyczaj szczegółowego zapi-

swywania spotkań w szalecie „Pod Grzybkiem”. Język, jakim się posługiwał, był tak szczególnie wulgarny, że wymagał pomocy specjalnego „szyfranta” z obyczajówki. Ale dzięki tym notatkom prokurator wznowił dwa umorzono (z powodu niewykrycia sprawców) dochodzenia w sprawie zabójstw w środowisku pedofilskim. Jedną z ofiar był Krzysztof W., samotnie mieszkający radca w centrali handlu zagranicznego. Latem 1986 roku znaleziono go nagłego z ręcznikiem kąpielowym na twarzy. Został uduszony. Jak się potem okazało, morderca, nowy kochanek nobliwego radcy, zażądał zbyt wysokiej zapłaty za usługę seksualną i zdenerwowany odmową swojego partnera, a także jego złośliwymi uwagami na temat szczegółów budowy ciała, zaciągnął mu na szyi pętlę z paska od szlafroka. Ślady swej obecności w mieszkaniu zatarł tak starannie (m.in. zniszczył pasek), że gdyby nie poszukiwania zabójcy Tomka Kalinowskiego, nie wpadłby w ręce milicji.

W miarę przesłuchiwania kolejnych świadków z tego specyficznego środowiska funkcjonariusze zorientowali się, że Ninuś Kulus miał pewien talent aktorski. Lokatorzy bloku, w którym mieszkiał zapamiętali go jako pedanta w nieskazitelnie białych adidasach, zawsze starannie omijającego błoto na podwórku. Upodobanie do noszenia białych koszulek, częstego kąpienia się, cenili sobie ci jego partnerzy seksualni, którzy ulgrywając przed światem swoje inklinacje, żądali absolutnej dyskrecji. Takie warunki stawiał m.in. pewien inspektor, zatrudniony w centrali Spółdzielni Spożywców „Spolem”.

Kalinowski nie sprzeciwiał się, ale jeszcze tego samego dnia biegł na Centralny poszukać skłonnego mu ulec włóczęgi-żebraka, czy uciekiniera z domu poprawczego. Podczas penetracji ciemnych zaułków dworca wyglądał już zupełnie inaczej: w krzykliwym, damskim przebraniu, z ostrym makijażem — już z daleka wysyłał sygnały, kogo wypatruje.

Galeria świadków z dna społecznego utwierdziła śledczych w przekonaniu, że zabójcą Ninuścia Kulusa mógł być zarówno nobliwy profesor uniwersytetu, jak i cuchnący na kilometr bezdomny. Nadal było to szukanie w ciemno. Nie dało też żadnych wyników sprawdzanie osób, które w okresie, gdy doszło do morderstwa, były na przepustce z więzienia.



Po dziewięciu miesiącach bezskutecznego śledztwa prokurator postanowił je umorzyć. Janina Kalinowska pokwitowała odbiór rzeczy syna. W dokumentacji dowodów rzeczowych pozostał zabezpieczony kuchenny nóż, jako narzędzie zbrodni. Matka została poinformowana, że umorzenie nie oznacza zamknięcia dochodzenia na zawsze — w razie pojawienia się nowych okoliczności zbrodni, śledztwo będzie wznowione. Obecnie jednak nie ma żadnych przesłanek, kto mógł to zrobić. Badanie daktyloskopijne śladów linii papilarnych na nożu nie pochodzi od palców tych osób, których odbitki służyły jako materiał porównawczy.

Ala – na koniec prokurator pozwolił sobie na wygłoszenie przed rodziną Tomaszka Kalinowskiego dłuższego wykładu – daktyloskopia oparta jest na trzech podstawowych zasadach: indywidualności, niezmienności i nieusuwalności. Nie ma zasadniczego znaczenia, kiedy ślady zostały pozostawione. Podstawową sprawą jest prawidłowe ich zabezpieczenie. A o to funkcjonariusze zadbali. Nóż leży w folii żelatynowej, posmarowany specjalnie sprowadzonym z zagranicy argenteralidem – środkiem, który w trakcie przechowywania nie zmienia konsystencji.

Słowa przedstawiciela organu ścigania o możliwości wznowienia dochodzenia okazały się prorocze. Dwa lata po śmierci Tomka jego matka została wezwana do prokuratury. Poinformowano ją, że policja (już było po przewrocie ustrojowym, organy bezpieczeństwa wróciły do przedwojennej nazwy z czasów II RP) właśnie znalazła zabójcę jej syna. Przez przypadek.

Przyłapano na sprzedaży marihuany pod szkołą 18-letniego mieszkańca Lubska – Roberta Gawlika. Powiedział, że w interes narkotykowy wprowadził go starszy brat Jerzy.

W komendzie postanowiono przyjąć się bliżej starszemu Gawlikowi, by sprawdzić, czy może jest dealerem narkotyków. Sprawdzone nazwisko w komputerowej bazie danych. Pojawilo się w kontekście niewyjaśnionego zabójstwa Tomaszka Kalinowskiego. Oficer z wydziału dochodzeniowego Komendy w Zielonej Górze pomyślał, że może to być jakiś nowy trop. A jeśli z Jerzym był też Robert? Trzeba go przycisnąć.

Wszadono młodszego Gawlika do aresztu na 48 godzin. Chiopak był spanikowany. Przesłuchujący go twierdził, że mają twarde dowody na jego udział w nielegalnym obrocie narkotykami na dużą skalę. Za coś takiego idzie się do mamra na co najmniej 10 lat. Jedynie, co może go uratować, to współpraca z policją. Niech szczerze zezna, co się zdarzyło w Warszawie w 1987 roku w mieszkaniu niejakiego Tomaszka Kalinowskiego.

Nie wiadomo, jak wyglądało to przesłuchanie, w każdym razie Robert Gawlik zaczął mówić. Jego wyjaśnienia do protokołu były obszernie, opowiedziane barwnie, z pewną swadą, co nie bardzo pasowało do wykształcenia przesłuchiwanego – niepełna szkoła podstawowa.

Tak, był wtedy w stolicy z bratem. Mieszkali w hotelu robotniczym, a potem w baraku dla stajennych na Służewcu. W wolnym czasie jeździli na Dworzec Centralny, bo on, podobnie jak Jerzy jest homoseksualistą.

Kiedyś w tunelu od strony kolejki podmiejskiej poznali Tomka Kalinowskiego, wziął ich obu do swego domu, kazał mówić do siebie Niunius. W tym mieszkaniu Jerzy za 20 000 złotych (na stare pieniądze) odbył z nim stosunek. Co działo się potem (on musiał wracać do stajni) wie od brata, który mu się zwierzył pod przysięgą, że nikomu nie powie. Było tak: gdy zostali we dwóch, Niunius obiecał Jerzemu, że zapłaci mu nawet dwa razy tyle, jeśli będzie robił wszystko, co on mu każe.

– Brat się zgodził – zeznał Robert Gawlik – bo nie miał ani grosza. Ale po godzinie już nie wytrzymał, wszystko go bolało, a Tomek nie przestawał, tylko wymy-

ślał coraz to inne ruchy (raport zawiera szczegółowy, drastyczny opis homoseksualnego gwałtu). W końcu powiedział, że zrobią przerwę i wtedy Jerzy zażądał, żeby przynajmniej pokazał, że ma te 40 000 zł. Wtedy Niunius uderzył go w twarz i zaczął się śmiać, że trafił na frajera; on może mu dać, ale kanapkę, bo sam też by coś przekąsił. Gdy wrócił z kuchni z bochenkiem chleba, od którego odkrajał kromkę, Jerzy chwycił za ten nóż. Chciał tylko Kalinowskiemu pogrozić, zmusić do zapłaty. Niestety, tamten zrobił z noża wiatrak i w szamotaninie ostrze wbiło mu się prosto w serce.

W raporcie znalazł się też szczegółowy opis wyglądu mieszkańca ofiary, co precyzyjnie odpowiada dokumentacji zdjęciowej, wykonanej w dniu wykrycia morderstwa.

Przesłuchiwany świetnie pamiętał, że brat ukradł z szafy swej ofiary świecąca żółtą bluzkę, czarne spodnie ze skóry i różową koszulę. Z pustej cułdernicy w serwanke zabrał 10 000 zł oraz bon PKO wartości 20 centów.

W czasie kolejnych przesłuchań Robert Gawlik przyznał się do dwóch innych zabójstw na tle homoseksualnym w Warszawie.

Sukces policji w Zielonej Górze bardzo zaskoczył warszawskiego prokuratora, który zajmował się sprawą zabójstwa Tomaszka Kalinowskiego. Ściągnął więc akta śledcze, przesłuchał też w areszcie podejrzanego. Odnosił wrażenie – na co potem zebrał dowody – że Gawlik nie był psychicznie zdrowy, a ponadto konfabulował ze strachu przed ponownym biciem na komendzie, co się zdarzyło w dniu jego zatrzymania. Sprawdzone, że w odróżnieniu od swego brata (który miał mocne alibi), nigdy też nie był w Warszawie.

A skąd zatem zgodny ze stanem faktycznym opis mieszkania Kalinowskiego i rzeczy z szafy? Bo przesłuchiwany zeznawał pod dyktando śledczego, pragnącego za wszelką cenę sukcesu.

Ostatecznie Robert Gawlik został uniewinniony z zarzutu popełnienia przestępstwa. Akta ze sprawą zabójstwa Kalinowskiego spoczyły w warszawskiej prokuraturze na górnej półce i tam pokrywały się kurzem aż do 2008 roku.



Wtedy to w ręce policji wpadł niejaki Janusz Jawor, z zawodu monter, ale trudniący się głównie okradaniem pasażerów kolei. Trzeba go było zatrzymać, bo w holu Dworca Centralnego wdał się w krwawą bójkę z innymi złodziejczakami. Rutynowo sporządzono odcisk linii papilarnych aresztanta.

W 2008 roku laboratorium kryminalistyczne Komendy Głównej Policji dysponowało elektronicznym systemem AFIS, dzięki któremu w stosunkowo krótkim czasie można było sprawdzić, czy ślad linii papilarnych zachowany na narzędziu zbrodni jest przypisany do osoby, od której kiedykolwiek pobierano odcisk kciuka.

Przeszukiwanie przez komputer bazy systemu AFIS trwało bez przerwy piętnaście godzin. Janusz Jawor został wskazany jako ten, który zostawił swój ślad na nożu z kuchni Tomaszka Kalinowskiego

Jawor przyznał się do zabójstwa. Wyjaśnił, że był przejazdem w Warszawie – na Dworc Centralnym czekał na nocny pociąg do Szczecina, ulubiony „dolinarczy”, bo zwykle zatoczony i większość pasażerów spała. W pewnej chwili podszedł do niego ekstrawagancko ubrany facet i zaproponował wypicie alkoholu u niego w domu. On chętnie na to przystał. Kupił po drodze wino, konserwę i bochenek chleba. Gdy weszli do mieszkania, ten mężczyzna o imieniu Tomek kazał mu się rozgościć, nawet proponował kąpiel, a sam najpierw poszedł do kuchni przygotować coś do zjedzenia.

W tym czasie Jawor zdejmował w pokoiu dzinsy, bo chciał wejść do wanny. Wtedy wszedł gospodarz z bochenkiem chleba oraz nożem w rękę i usiłował przewrócić na tapczan swego gościa, czyniąc mu niedowuznaczne propozycje. Jawor bronił się, zasłaniał (nie miał skłonności homoseksualnych), ale tamten był coraz bardziej natarczywy. Spadł na podłogę, gospodarz ręką uzbrojoną w nóż wykonywał zamieszyste ruchy. Jawor próbował uchwycić jego nadgarstek i wtedy ostrze wbiło się między zębra napastującego. Gość po wyciągnięciu noża z ciała ofiary i odrzuceniu za siebie, splądrował mieszkanie i uciekł. Wkrótce potem trafił do więzienia za inne przestępstwo. Po dwóch latach wyszedł, znów został aresztowany i tak toczyło mu się życie od wyroku do wyroku.

Na procesie w sprawie zabójstwa Tomasza Kalinowskiego rodzinę ofiary reprezentował tylko jego starszy brat Andrzej – ten, który w roku 1987 studiował handel zagraniczny. Skończył studia, został prezesem dużego przedsiębiorstwa z udziałem kapitału zagranicznego. Poinformował sąd, że rodzice zmarli.

Wobec przyznania się sprawcy i wiarygodnego wyjaśnienia okoliczności zabójstwa, proces szybko zmierzal do wyroku. Prokurator w zasadzie nie miał do Andrzeja Kalinowskiego pytań, poza jednym, które zaspokajało wyjątknie jego ciekawość – Czy to on może zabrał szkolne zdjęcie kolegi Tomasza, które wisiało nad tapczanem? – Nie – zaprzeczył świadek – ale wiem, że milicja długo szukała tej fotografii – myślał, że doprowadzi do mordercy. W naszej rodzinie też były podejrzenia, że może Kamili miał jakieś powody, aby zabić Tomasza. Ale on siedział wtedy za kratkami. To zdjęcie wypadło zza listwy przy tapicerce, gdy likwidowałem mieszkanie po rodzicach i wyrzuciłem stare meble na śmietnik. Prawdopodobnie pinzeczka na śliwkę puściła, gdy Tomek szamotał się z zabójcą. Ale nikogo już to nie interesowało. Spalłem fotkę razem z innymi papierami.

Andrzej Kalinowski wyszedł z rozprawy przed ogłoszeniem wyroku – 10 lat więzienia dla zabójcy. O tym, że sąd orzekł o oddaniu mu przez sprawcę ukradzionych z mieszkania 10 000 zł (po denominacji 1 zł) i bonu towarowego wartości 20 centów, już nie usłyszał.

* Nazwiska zostały zmienione

O godzinie 7.35 w sobotę na komórcę Mikołaja, chłopaka Agnieszki Selupy*, wysłanym się SMS: „Dzień dobry Słonko. Właśnie wstałam z łóżka, jestem w dobrym humorze, śliczna wiosna. Pamiętaj, że o 12.00 idiemy kupić mi szpilki na bal maturalny. Catuję. Aga”.

Zapytał, czy w domu spokój. – „W porzo” – odpowiedziała, również SMS-em. O godzinie 9.58 zadzwoniła. Prosiła z płaczem, aby powiadomić policję, bo ojciec szaleje.

Natychmiast pobiegł na komendę. Gdy funkcjonariusz spisywał dane, Mikołaj nerwowo wystukdwał numer komórki swojej dziewczyny. Nie mógł się połączyć, bo telefon stał się zajęty. Nie czekając, aż wyjedzie radiowóz, pędem znalazł się na podwórku koło trzypiętrowego bloku na warszawskiej Ochocie, w którym mieszkała Agnieszka. Jej okno było z daleka widoczne, bo mieściło się na strychu. Przy wejściu na klatkę stała karetka. Już ciągnęli do niej gapie.

Pobiegł na górę. Na korytarzu leżały nosze, a drzwi do mieszkania ustąpiły po naciśnięciu klamki. Najpierw zobaczył rozsypane na podłodze butli i biały kapcie Agnieszki z wyhaftowaną myszką Milki. Ona leżała skłona, na dywanie. Wyglądała, jakby spała – zamknięte powieki, cienie na policzkach od długich, czarnych rzęs. Przyjrzał się bliżej – z ust co kilka sekund wydostawały się krwiste pęcherzyki powietrza.

– Nie żyje – powiedział lekarz do sanitariusza. W tym momencie Mikołaj usłyszał przeraźliwy krzyk matki Agnieszki. Jej spódnicy była uczeptiona młodszą córką, 9-letnią Wisia. Miała otwarte usta, jakby nie mogła złapać tchu. Patrzyła w stronę okna.

– Poszedłem za jej wzrokiem – zeznał nazajutrz do policyjnego protokołu 20-letni Mikołaj – i zobaczyłem na parapacie nogę pana Edmunda, ojca Agnieszki, który właśnie wskakiwał na dach.

Pod blokiem stało już dużo ludzi. Wszyscy naraz krzyczeli do policjantów: „To samobójca, zaraz skocz”.

Pierwsz rozpoczęli rozmowę z desperatem dwaj psycholodzy z Komendy Stożecznej Policji. Obok nich stał mlczący ksiądz z pobliskiej parafii. Ściągnięto najbliższą rodzinę Edmunda Selupy.

Po dwóch godzinach negocjacje przyniosły skutek. Mężczyzna zszedł na dół i wsiadł do policyjnego radiowozu.

W tym czasie jego żona, Anna, matka Agnieszki i Wisia, w stanie silnego szoku leżała na szpitalnym łóżku. – Nie kontaktuje z otoczeniem – napisano w karcie chorej.



Sekcja zwłok 20-letniej Agnieszki wykazała, że śmierć nastąpiła na skutek zadania jej ran kłutych w okolicy piersi i brzucha. Narzędzie zbrodni leżało w przedpokoju – kuchenny nóż z odłamanym trzonkiem.

Zaprzysiężony lokator z piętra niżej, który pierwszy wbiegł na strych, zaalarmowany kobiecymi krzykami i wołaniem o pomoc, zobaczył taką sytuację:

Drzwi do pokoju Agnieszki były wyrwane z zawiasów, obie dziewczyny i ich matka leżały na podłodze, a na nich okratem siedział Edmund Selupa i trzymał w ręce kuchenny nóż. Starsza córka była pokrwawiona, ale poruszała się, próbowała coś nieskładnie mówić. Anna krzyczała, żeby wezwać pogotowie.

— Podbiegłem do Munka — zeznał w śledztwie ów sąsiad — i krzyknąłem: „Co robisz?!”. Wyrwałem mu nóż i odrzuciłem za siebie. Wtedy on wspiął się na parapet i mocno wychylił za okno, mówiąc coś o pożegnaniu. Próbowałem go zdjąć, ale przesunął się po gzymsie.

Po przesłuchaniu innych świadków odtworzono w śledztwie dokładny przebieg tragedii.

To była szczególna sobota — nazajutrz Wisia miała przystąpić do pierwszej komunii. Od rana awantura wisiała w powietrzu. Rodzice dziewczynki byli w trakcie od dwóch lat ciągnącego się rozvodu. Anna Selupa nie zamierzała zaprosić Edmunda na niedzielną uroczystość. Jemu bardzo na tym zależało, zwłaszcza że próbował wytypować go do przeczytania w czasie mszy fragmentu ewangelii.

Selupowa wstała wcześniej, bo tego dnia miała umówione klientki w jej zakładzie fryzjerskim, a potem chciała jeszcze zrobić zakupy. Od godziny ósmej do wpół do dziesiątej utrzymywała gorącą linię telefoniczną ze starszą córką. Wiedziała od Agi, że mąż zjadł z Wisią naleśniki, chwilę jeszcze poleżeli w jego łóżku, oglądając w telewizorze bajki. Potem on chciał posprzątać swój pokój i złościł się, że nie działa odkurzacz. Jak zwykle, oskarżał żonę o sabotaż, robienie mu na złość.

Tuż przed godziną dziesiątą Anna Selupa była już z zakupami pod blokiem. Wystukała numer domofonu. Odezwała się Wisia. Z placzem błagała matkę, aby nie wchodziła do mieszkania, spotkają się dopiero po południu, gdy trzeba będzie iść do spowiedzi.

Reakcją Anny na tę prośbę było jak najszybsze wbiegnięcie na ich strych. Już na schodach słyszała krzyk starszej córki, wyzwiska męża. Nadal zarzewiem awantury był zepsuty odkurzacz.

To co zdarzyło się później, ma dwie wersje.

Anna Selupa zapamiętała, że mąż zaczął ją bić pięściami, gdy tylko weszła a Agnieszkę, która jak zwykle stanęła w obronie matki, szarpał za włosy. Wisia miotła się między nimi, odpychała ojca. W pewnej chwili wszystkie trzy wbiegły na korytarz, wołając o pomoc, a gdy nikt z sąsiadów się nie pojawił, ukryły się w pokoju starszej córki. Wszystkimi siłami przyciskały drzwi do framugi, podczas, gdy z drugiej strony rozwścieczony mąż napierał z goliatową siłą. W końcu wylamały się zawiasy i wszyscy runęli na podłogę. Selupa krzyczała: ja was zabiję!

W tej kotłownianie ciał Anna zauważyła, że mąż, który leżał najwyżej, ma w ręku nóż i celuje nim w Agę. Usiłowała zasłonić starszą córkę, ale już było za późno. Agnieszka dziwnie westchnęła, jej oczy pociemniały, z ust buchnęła krew.

Dodatkowych informacji dostarczyła przestuchiwana w obecności psychologa Wisia. Mimo dozanego szoku zapamiętała, że gdy matka trzymała drzwi przed napierającym z przedpokoju ojcem, Agnieszka telefonowała na policję, a ona na żądanie siostry otwierała okno, aby wołać o pomoc.

— Widziałam potem — opowiedziała — jak tata trzymał nad nami nóż, gdy leżaliśmy na podłodze. Przeklinał, że zabije mamę. Uciekliśmy obie za łóżko, Aga nie zdążyła. Posłiznęła się na jabłku. Tata podbiegł i dziobnął ją (tak się dziewczynka wyraziła) w brzuch.

Przesłuchiwany Edmund Selupa twierdził w śledztwie, że żona prowokowała go, sztychła z niego, że jest golodupcem, nie ma nawet kilku złotych na naprawę odkurzacza. Był przekonany, że specjalnie po raz kolejny zepsuła sprzęt, żeby nie mógł u siebie posprzątać.

Wysmiała go, gdy powiedział, że skoro nie ma dla niego miejsca na rodzinnym obiedzie komunikujnym, chciałyby po południu zabrać Wisię do jego matki, też nie zaproszonej na tę uroczystość.

To żona pierwsza uderzyła go w twarz, aż spadły mu okulary. Niewiele widział, zwłaszcza, że runęły na niego drzwi od pokoju Agnieszki. Gdy ocknął się, leżał na podłodze, a starsza córka na nim. Usiłował ją zrzucić z siebie — i wtedy zobaczył, że dziewczynka krwawi. Nie wie, skąd się wziął nóż w jego ręku.

Na pewno nie atakował żony ani córek.

Fakty były jednak nieublagane — to Edmund Selupa zabił córkę.

Odpowiedzi wymagało tylko pytanie: Dlaczego i jak do tego doszło?

Niewiele więcej można było się dowiedzieć od oskarżonego, który im więcej upływało dni od tragicznej soboty, tym bardziej usiłował sprawiać wrażenie niespełna rozumu (skierowano go na obserwację psychiatryczną). Do składania zeznań długo nie nadawała się matka ofiary, bo najpierw leżała w szpitalu w szoku, później była w stanie silnej depresji.

Ale prokurator miał dostęp do pękatych akt sądu rodzinnego w sprawie nieukończonego procesu rozwodowego małżeństwa Selupów.

I tam szukał owego tłącego się lontu, który doprowadził do wybuchu, pozabawiając życia Agnieszkę.



Przez ponad dwa lata za barierką dla świadków stanęło kilkadziesiąt osób — spokrewnionych z rozwodzącymi się albo mieszkającymi po sąsiedzku, czy całkiem obcych, ale z racji swego fachu mogących obiektywnie spojrzeć na małżeńskie problemy tej pary.

Ci, którzy znali Selupów wcześniej, zgodnie twierdzili, że przez pierwsze 10 lat było to wzorowe małżeństwo. Ona o wszystkim w domu decydowała. Zadbana, z większymi aspiracjami intelektualnymi – zaraz po transformacji w 1989 roku postanowiła studiować zarządzanie, aby uruchomić własny biznes. Póki co, pracowała w dwóch miejscach – jako administratorka osiedla, a po południu we własnym zakładzie fryzjerskim.

Gdy mieli już dwoje dzieci, postanowiła poszerzyć ich skromne mieszkanie w blokach o strych. Wzięła kredyt, część robot remontowych wykonał mąż. Zyskali prawie 120 m², każdy domownik miał swój pokój.

Niektórzy sąsiedzi zazdrościli im siły przebiecia, rodzinnego szczęścia. Ale szanowali. Bo dzieci były dobrze wychowane, a cała czwórka przykladnie modliła się w niedzielę w kościele. Edmund Selupa jako troskliwy mąż zawsze wieczorem wychodził po żonę, gdy wracała z zakładu.

I nagle – jakby piorun w nich strzelił, wszystko się rozpadło. A to, dlatego, że 16-letnia wówczas Agnieszka zaszła w domu na działkę ojca w niedwuznacznej sytuacji z obcą kobietą. Natychmiast powiadziła o tym matce. Selupa zareagował nietypowo – nie tylko nie wypierał się romansu, jak się wydawało, twierdząc już długi czas, ale bez zwiłdł wystąpił o rozwód.

Selupowa odpowiedziała, że dostanie zgodę po jej trupie. Ona wprawdzie nie ma już męża (jeszcze tego samego dnia wyprowadziła się z małżeńskiej sypialni do innego pokoju), ale dzieci muszą mieć ojca.

Na pieczeniowicie urządzonym strychu nie było już miejsca na rodzinne szczęście z każdego kąta wzywała nienawiść.

Ale jeszcze nikt na nikogo nie podniósł ręki, nie padały też wyzwiska. Zresztą, mało było okazji do spieć, bo Edmund od świtu do nocy handlował wazywanymi na rolniczej giełdzie, a jego żona też wracała do domu dopiero na kocię.

I tak to trwało ponad rok, aż nagle giełda została zamknięta (na teren wchodziło budownictwo mieszkaniowe) i Selupa stracił pracę. Zatrudnił się gdzieś do rywczu, ale i w tej robocie przesładował go pech: przewrócił się na rowerze tak niefortunnie, że uszkodził sobie poważnie kolano i jako niepełnosprawnego znów go zwolniono. Szukał roboty w całej Warszawie, ale wszędzie odprawiali go z kwitkiem. Albo brakowało mu wykształcenia, albo sprawności fizycznej. Ostatecznie musiał się zadowolić miesiecinym zasiłkiem z pomocy społecznej w wysokości 150 złotych.

Widział pewną szansę na odbicie się od dna – chciał sprzedać samochód i za te pieniądze urządzić stoisko z warzywami. To jedynę, na czym się znał. Ale na potrzeby się wozu potrzebna była zgoda żony. A ona tkwiła w swej gorączce po zdradzie męża i nie zamierzała do niego wyciągać pomocnej ręki. Zwiłaszcza, że nie wyrażał skruchy.

Wyrzyczała mu w kuchni: – Nic nie dostaniesz, wkrótce będziesz żarł ze śmietnika!

Wtedy uderzył ją po raz pierwszy... W obronie matki stanęła Aga. Dostała silny cios w twarz, tak że pęta jej błona bębenkowa w uchu, potrzebna była interwencja lekarza.

Potem coraz łatwiej przychodziło mu podniesienie ręki na kobiety w domu: one zresztą nie starały się schodzić mu z drogi. I nieraz użyły paznokci do pokalenia twarzy mężczyzny. W specjalnie założonych tęczkach coraz bardziej niewądzącego się małżeństwa przybierało obdukcji do okazania na procesie rozwodowym.

Proces ciągnął się, bo strony nie mogły dojść do porozumienia co do finalnego rozwiązania konfliktu.

Anna początkowo nie wyrażała zgody na unieważnienie małżeństwa, ale gdy usłyszała na sali sądowej od pozwyjącego, że „spehianie z nią obowiązkowo małżeńskiego było czynnością przykrą”, zażądała orzeczenia rozwodu z winy męża. Potem dażyła do tego konsekwentnie i nie bez pomocy dobrego adwokata.

Zamierzała go „puścić z torbami”. To była kilkusetapowa walka. Najpierw, ponieważ nie miał pieniędzy na płacenie czynszu, czy innych rachunków związanych z mieszkaniem, przeprowadziła rozdzielenie majątkową.

Złożyła skargę do komornika o nieplacenie alimentów. Wspólny samochód poszedł na licytację za zadłużenia (potem go odkupiła za jedną czwartą wartości). Następnie zaczęła dążyć do wyeksmitowania męża z ich pięknego mieszkania. To była trudna operacja, jej powodzenie zależało od tego, czy sąd uzna, że mąż znęca się nad córkami i nie może z nimi przebywać pod jednym dachem. Sędzia uprzedził pozwaną, że tak restrykcyjne potraktowanie pozwyjącego wymaga udokumentowania. Odpowiedziała, że przedstawi odpowiednie „papiery”.

◆ ◆ ◆

Zaczął się wyścig, kto zgromadzi więcej dowodów. Ona raz po raz zakładała mu sprawy karne (z powiadomieniem organów ścigania) o znęcanie się nad rodziną.

Prokurator po przesłuchaniu sąsiadów, którzy niczego nie widzieli, ani nie słyszeli, umarzał dochodzenie. Bo „jeśli nawet doszło do szarpania żony, to jeszcze nie jest to znęcanie”.

Ona pisała odwołania, że jest podopieczną policyjnej „Niebieskiej Linii” dla ofiar rodzinnej przemocy. On udał się po pomoc do Stołecznego Stowarzyszenia Obrony Praw Ojca.

Coraz więcej świadków odstąpiło przed sądem małżeńskie piekło tej pary. Przyjaciółka Anny potwierdziła, że Selupowa miewała siniaki na całym ciele, podbite oczy. Często odbierała telefony i SMS-y od wystraszonej, zaplakaną Agnieszką, która alarmowała ją, że właśnie w domu trwa awantura między rodzicami i ona

prosi, aby sprowadzić policję. To znów żaliła się, że siedzi na lekcji w szkole, wie, że matura za pasem, a nie może się skupić. Ciągłe myśli, co się dzieje w domu. „Już mi psychika siada” – kończyła SMS-a.

Zesnawaly koleżanki Agi: – Mówiła mi, że ojciec bije matkę, ona też nieraz dostała pasem, gdy spóźniła się do domu 15 minut, bo była na różańcu w kościele. Bardzo bała się o matkę. Wszędzie jej towarzyszyła.

Edmund Selupa nie pozostawał żonie dłużny w oskarżeniach. Pomagała mu w tym jego rodzina. Siostra cioteczna zeznała, że Anna nie nadawała się do roli matki. Zapatrzona tylko w siebie, potrafiła nie ugotować obiadu, tylko wystać dzieci na pizzę do McDonalda.

Na zarzut, że prowadzi podwójne życie, ma kochankę, Selupa miał gotową odpowiedź, że żona pierwsza nie dochowała wierności małżeńskiej. On wie, że od dawna ma kogoś, tylko umiejętnie ukrywa swój romans.

Gdy okazało się, że jest to wymyślona historia, Selupa usiłował przekonać sąd, że żona ma demoralizujący wpływ na dzieci, zwłaszcza na starszą córkę.

Zbierał „dowody” na złe prowadzenie się Agnieszki. Od pracownicy w zakładzie fryzjerskim żony zdobył informację, że jego córka zapisała się po poradę u ginekologa. Wywnioskował z tego, że prawdopodobnie zaraziła się wenerycznie. Inna przyuczyna wizyty w przychodni nie wchodziła w grę – wszak porządna panna nie potrzebuje pomocy lekarza tej specjalizacji.

Zauważył, że dziewczyna często chodzi do kościoła na wieczorne modlitwy. – Wiem, co się za tym kryje – poinformował sąd – schadzka z młodszym wikarym.

Udał się do szkoły po zaświadczenie od wychowawczyni, że Aga źle się uczy, wagaruje. Niczego takiego nie dostał. Na żądanie sądu pedagog szkolny napisał notatkę do akt: – „Uczennica Agnieszka Selupa zgłosiła, że ma problemy w domu. Jej ojciec zawiadamia policję, że się nie uczy i źle prowadzi. Oskarżenie jest bezpodstawne i dlatego zaleca się jak najszybszą separację ojca od dziewczyny”.

Kiedy indziej twierdził, że Aga bez powodu boleśnie bije młodszą siostrę. Gdy doszło do konfrontacji córki z ojcem okazało się, że rodziciel kłamie.

Anna w rewanżu za psucie starszej córce opinii przez ojca „ujawniła” jego skłonności pedofilskie.

Opowiedziała na policji, że któregoś dnia weszła cicho do mieszkania i zobaczyła w łazience 8-letnią Wisię kąpiącą się w wannie nago z ojcem – też bez żadnej bieleziny

Kłam tym słowom zadała obserwacja dziecka w Rodzinnym Ośrodku Diagnostyczno-Konsultacyjnym. Badanie odnosiło się przede wszystkim do relacji ojca z jego dziećmi. Stwierdzono, że Selupa nie rozumie przeżyć 16-letniej córki wywołanych odkryciem, że kochany tata ma inną kobietę. Nie zrobił nic, aby odbudować zaburzone więzi ze swoimi dziećmi. Choć twierdzi, że kocha Wisię (Agnieszka, jak się wyraził, już przekreślił), nie ma jednak głębszego wglądu w przeżycia dziewczynki, nie chroni jej przed sytuacją rozwodową, dziecko jest świadkiem

przemocy wobec matki. W ocenie psychologa powoduje to u ośmiolatki dotkliwie szkody psychiczne.

Wisia ujawniła uczucia ambiwalentne – jest z ojcem związana emocjonalnie, ale jednocześnie odczuwa lęk przed jego agresją, stara się mu podporządkować, aby nie prowokować kolejnych awantur.

– Tata ma jakąś panią – opowiadała psychologowi – i chce mnie do niej zabrać, ale ja tam nie chcę jeździć. Czasem tata budzi mnie w nocy, aby porozmawiać. Jak mnie budzi, to jest pijany. Ostatnio jak rzucał butem w żyrandol, to czułam, że śmierdzi wódką. Tata tylko raz się ze mną kąpał, bo chciałam, żebyśmy się popłuskali. Cała łazienka była mokra, tata ubrał gacie jak na basen. Fajnie było, ale tata nie chce pamiętać, co ma do zrobienia. Chciał mnie odbierać ze szkoły, ale nie przychodził i sama siedziałam do wieczora w świetlicy. Obiecał, że będzie pielęgnował ze mną chomika, zmienił mu wiórki, ale tego nie robił i chomik umarł.

Mój tata nie pozwalała przyjeżdżać rodzinie mamy ze wsi. Wcześniej mogli przyjeżdżać. Gdy się kłóca, tata krzyczy najgłośniej. Tata jest najlepszy dla mnie, najgorszy dla mamy i Agi. Uczy mnie, co mam mówić wychowawczyni o tym, co się dzieje w domu.

Poproszono dziewczynkę, aby dokończyła zdania, które ma na kartce. Wynik tego testu bardzo zaniepokoił psychologów. Wypadł jednoznacznie:

– Największym moim pragnieniem jest... żeby w domu nie było awantur.

Byłabym szczęśliwa, gdyby... tata był dobry dla mamy.

Martwię się... co się stanie ze mną.

Najwięcej cierpienia sprawia mi... tata, bo bije mamę.

Najtrudniejszą rzeczą jest... żyć, bo ciotka czeka tyle problemów.



Psycholodzy przestrzegali rozwodzącą się parę, że obrzucając się wzajemnie kłamkami, wyrządzają krzywdę swoim dzieciom.

Ale oni oboje byli głusi na takie argumenty. Nie zamierzali ustąpić jedno drugiemu ani na milimetr. Anna miała już tylko jeden cel w życiu – doprowadzić do eksmisji niewiernego męża, aby naprawdę skończył w śmietniku.

Wiele stron w aktach sądowych rozwodzącego się małżeństwa zajmują coraz wymyślniejsze opisy wzajemnego uprzykrzania sobie życia: kosz ze śmieciami leżące na posścieli żony, nierówno ustawione przez Agnieszkę buty w przedpokoju są wyrzucone przez okno, w pokoju Edmunda notorycznie ktoś psuje kontakt elektryczny.

Z zeznania Agnieszki w sądzie na trzy dni przed morderstwem: – „Gdy wychodzę ze śmieciami, ojciec zatrzaskuje drzwi, od wewnątrz wkłada klucz do zamka, abym nie mogła otworzyć. Do mojego pokoju wchodzi znieściana, bez pukania, gdy mu zwracam uwagę, obrzuca mnie najgorszymi wyzwiskami, które

wstydę się powtórzyć. Często na ulicy śledzi mnie. Psuje prakę, żelazko, za smradza lodówkę, nachodzi mamę w zakładzie i tam na oczach klientek robi jej awantury. Gdy jestem sama w domu, mnóstwo czasu spędzam na nasłuchiwanu, czy on nie idzie po schodach, bo jeśli tak, to aby uniknąć awantury, muszę szybko wyjść na klatkę”.

Skłóceni domownicy od dawna już z sobą nie rozmawiali, mąż mówił przy dzieciach do żony: „ty szmato”, ona rewanożowała się nazywając go śmieciem. Aga nie wyraża się o ojcu inaczej niż „ten kurwizson”.

Wszyscy się wzajemnie podstuchiwali.

Edmunda spotkały też restrykcje ze strony własnej matki, osoby bardzo religijnej, która na wieść, że syn ma inną kobietę, zerwała z nim kontakt. Ta anatomia trwała dwa lata i nie pogodziła ich nawet ciężka choroba ojca Edmunda. Odwiedzali go w szpitalu, mijając się bez słowa.

Zbliżająca się uroczystość komunijną nie wyciszyła awantur w domu Selupów. On czuł się bardziej przegrany niż zwykle, bowiem porozumienie ze starszą córką było już niemożliwe, a żona robiła wszystko, żeby dzieci odseparować od niewiernego męża. Jeszcze czasem udawało mu się przekupić małą Wisię, którą niewątpliwie kochał, ale niewiele mógł jej kupić, przecież żył z zasiłku. A żona stale wyminała mu przy dzieciach, że skoro nie chce mu się znaleźć pracy na wolności, to ona się postara, aby zarobił na alimenty w więzieniu.

Któregoś dnia ukradł żonie złotą biżuterię i rzucił podejrzenie na brata. Pierścionki znalazły się w tobie z proszkiem do prania, ale od tej chwili wszyscy w domu patrzyli mu na ręce. Ta atmosfera tym bardziej upewniła go w przekonaniu, że tylko podział mieszkania, którego wartość ocenił na 700 000 zł może odmienić jego los.

Postanowił posprzątać swój pokój, aby jeszcze raz, w obecności całej zaproszonej na komunijną obiad rodziny, przedstawić swoje warunki. Z równowagi wywalił go swąd spalonego silnika odkurzacza.



W badaniu neurologicznym nie stwierdzono u mordercy Agnieszki odchylen od normy. Choć na sali rozpraw zachowywał się tak, jakby nie rozumiał swego czynu. Usiłował odwrócić uwagę prokuratora od sprawy twierdząc, „że szwagier razem z moją żoną pierze brudne pieniądze”. W ostatnim słowie oskarżał matkę Agnieszki:

— To horror, co ona wyprawiała. Miałem propozycję od niej załatwienia mi pracy. Wiązało się to z daniem łapówki za ustalenie przetargu na lokal. Nie chciałem w tym uczestniczyć, to była prowokacja. Żona zgłosiła mnie do poradni dla alkoholików, aby mnie upokorzyć, tymczasem to ona ze starszą córką, która tak się nie niebnie prowadziła, że aż musiała iść do ginekologa, urządziły libacje.

Niestety, za późno się zorientowałem, że żona ma coś z głową, często opada jej powieka. Przed ślubem ten fakt został przede mną i moją rodziną utajniony. Nie przypuszczałem, że kobieta, z którą żyłem 18 lat doprowadzi mnie na salę sądową, aby zaspokoić własne ego.

Wyrok sądu, podtrzymany we wszystkich instancjach, brzmiał: 25 lat pozbawienia wolności.

*Nazwiska zostały zmienione

OSKARŻENI
W BIAŁYCH
KOZNIERZYKACH

Kilka minut po szóstej dr Urszula Ludwiłkowska ubiera się do pracy. Już nakarmiła psy, wyprowadziła samochód. W Szpitalu Psychiatrycznym w Tworckach, gdzie od lat jest ordynatorem, będzie o siódmej, z Pruszkowa to tylko kilkanaście minut jazdy.

Słyszysz długi, natarczywy dzwonek do drzwi. Lekarka mieszka sama w willi po rodzicach, dwukrotnie została okradziona. Podchodzi więc z psami do parkanu. Stoją tam dwaj mężczyźni, pokazują jej legitymacje CBŚ. Są po cywilnemu, ale mają nakaz przeszukania domu.

Pani doktor ciągle w płaszczu narzuconym na ramiona bezradnie patrzy, jak cudze ręce przekopują szuflady z osobistymi rzeczami, wybebeszają zabytkowe już szafy jej „przedwojenne” urządzonego rodzinnego domu. I oto pokazuje się w dzielnym świetle wciśnięta kiedyś przez nią w kąt jarmarczna ozdoba – plastikowa kłóść winogron. Doktor jest zaskoczona, że coś tak kiczowatego może zainteresować funkcjonariuszy. Wyjaśnia, że dostała przed laty od wdzięcznej rodziny pacjenta. Szkaradziństwo, ale nie chciała odmową robić przykrości prostym ludziom.

Przeszukujący rezygnują z dalszej rewizji; winogrono pokwitowane przez właścicielkę pakują do aktówki. Już wychodząc dostrzegają w holu drewnianą szkatułkę, ta też jest zarekwirowana. Doktor nawet nie pyta dlaczego.

– Pani pojedzie z nami do szpitala w Tworckach – mówią do lekarki.

– Może ja wsiądę do swojego samochodu, bo czym po południu wrócę do domu? – proponuje praktyczne rozwiązanie ordynator.

Funkcjonariusze wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. I otwierają przed kobietą drzwi swojego pojazdu. W szpitalu kolejna rewizja jej biurka (nie ma tam nic godnego uwagi policjantów) i po dwóch godzinach dr Ludwiłkowska słyszy, że jest aresztowana. Pojadą do Ostrołęki.

– Dlaczego? – dziwi się ordynator – nigdy nie byłam w tej miejscowości. Ale nie usłyszysz odpowiedzi.

Na korytarzu ostrołęckiej komendy policji pani doktor widzi prowadzonego przez funkcjonariuszy kolegę z pracy, też psychiatrę, Andrzeja Szaniawskiego.

Godzinę później dowie się, że oboje są aresztowani pod zarzutem wystawienia przed sześcioma laty nieprawdziwych opinii sądowo-psychiatrycznych mafijnemu przestępcy Stanisławowi G. z Ostrołęki. Został on skazany w 1999 roku na osiem lat więzienia za spowodowanie po pijanemu wypadku samochodowego, w którym zginęło dwóch mężczyzn. G. zamiast do więzienia trafił na leczenie do szpitala psychiatrycznego w Tworckach. Tam ordynator, która jest biegłym sądowym, miała wspólnie z dr. Szaniawskim stwierdzić, że stan zdrowia Stanisława G. nie pozwala na razie skazać na odbywanie kary. Za sfalszowaną opinię Andrzeja Szaniawski wziął 2000 zł, a Urszula Ludwiłkowska „antyk” w kształcie kłóści winogron. I szkatułkę.

Przesłuchiwana lekarka ani przez chwilę nie ukływa, że od żony Stanisława G., notabene żadnego tam mafiosa, zwykłego piekarza, dostała „dowód wdzięczności”

w postaci owej tandetnej ozdoby. Zaprzecza natomiast oskarżeniu o wydanie dla sądu nieprawdziwej diagnozy psychiatrycznej.

Dr Andrzej Szaniawski również odrzucił posądzenie go o branie łapówki.

Nie tylko zamknięci w areszcie lekarze, ale nawet ich adwokaci nie mają dostępu do prokuratorskich akt. Oskarżyciel tłumaczy to dobrem śledztwem, bo sprawa jest „rozwojowa”. Właśnie przygotowuje komunikat dla mediów. Jest marzec 2006 roku.



Rzeczniczka Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga ogłasza, że w Ostrołęce działa mafijna ośmiornica, której macki sięgają lekarzy i sędziów.

Sprawa ma gigantyczne rozmiary („To, co odkryto, przeraziło nawet doświadczonych policjantów”); na razie prowadzone jest śledztwo w stosunku do 40 osób, ale to dopiero początek afery. Pierwsza zatrzymana – Maria K., kierowniczka sekretariatu wydziału penitencyjnego w ostrołęckim Sądzie Okręgowym, została przepukiona za załatwienie Stanisławowi G. przerwy w odbywaniu kary. Gangstera kosztowało to połowę świnia. Kolejnym przestępcą w korupcyjnym łańcuszku jest ostrołęcka sędzia Aleksandra S. (26 lat w zawodzie, w tym na stanowisku prezesa). Za łapówkę – 22 000 zł – orzekła na korzyść gangstera. Prokurator właśnie wystąpił o uchylenie jej immunitetu sędziowskiego.

Dziennikarze nie mają dostępu do akt (bo sprawa jest „rozwojowa”), ale prokurator Wojciech Zdanowski z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga chętnie odpowiada na ich pytania.

Jego wersja odbiega od tłumaczeń sędzi S. Kobieta przyznaje, że we wrześniu 2000 roku wpuszcila do domu byłą salową Bożenę B. i jej konkubenta. Przyszli razem do poradę lekarską do jej męża. Gdy zorientowała się, że cel wizyty jest inny (zaczęli ją namawiać, aby załatwiła odroczenie kary więzienia dla ich znajomego Stanisława G.), pokazała intruzom drzwi.

Sędzia wyjaśnia, że nie mogła wziąć pieniędzy za coś, na co nie miała wpływu. Nie orzekła bowiem w tej sprawie. Uczestniczyła natomiast w posiedzeniu dotyczącym próby skazanego o ulaskawienie. Sąd wówczas odrzucił ten wniosek.

O ile z aresztowaniem Aleksandry S. są pewne problemy (postępowanie zmieniające do uchylenia chroniącego ją immunitetu przedłuża się), to od razu udejmuje się wsadzić za kraty jej męża dr. Jerzego S.

– Korupcja w sądzie nie byłaby możliwa bez „podkładek”, które tworzyli lekarze – twierdzi ze szklanego ekranu szef Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. – Trudnił się tym psychiatrzy: dwoje biegłych sądowych z Tworek, trzech z Ostrołęki (aresztowanych pod zarzutem fałszowania dokumentacji, służącej do wyludzenia rent z ZUS) i psycholog ze szpitala w Łukowie. Tworzyli wsteczne fikcyjne historie choroby i z taką dokumentacją wysyłali pacjentów do szpitali.

Razem z lekarzami zatrzymane są trzy osoby, które za pomoc w załatwieniu renty zapłaciły łapówki. – W tym wątku – zapowiada prokurator – w najbliższych dniach należy się spodziewać aresztowania kolejnych podejrzanych, bo prawdziwa bomba dopiero wybuchnie, na razie dotknęliśmy wierzchołka góry lodowej. Z powodu rozmiarów mafijnej ośmiornicy, jej licznych odnóg, wątek wyludzenia rent z ZUS został wyłączonej do osobnego śledztwa.

Póki co, wnioskiem o odebranie immunitetu oskarżonym o korupcję sędziom zajmują się sądy dyscyplinarne różnych instancji. Sąd Dyscyplinarny w Łodzi uchylił sędzi S. immunitet; jej zeznanie na tę decyzję wpływa do Sądu Najwyższego.

Prokurator jest pewien wygranej, bo wystraszeni aferą w środowisku w tożsaczość adwokaci jeden po drugim odmawiają występowania w obronie napiętowanej sędzi. Pełnomocnictwo przyjmuje dopiero koleżanka z pracy Aleksandry S., sędzia Marzena Piekarska-Drażek.

I nie wycofuje się, choć tuż przed rozprawą w SN dostała propozycję objęcia stanowiska prezesa sądu okręgowego. Dano jej do zrozumienia, że z nominacji nici, jeśli podejmie się obrony S.

Na rozprawie opisuje metody śledczych wobec świadków: groźby aresztu lub obietnice łagodnych wyroków w zamian za „mówienie na sędziów”. Ostatnie pytanie w mowie obrończej wygłoszone przed Sądem Najwyższym brzmi: – Czy zapobieżenie na afery i awanse zwyciężyło ze zwykłą ludzką uczciwością?

Sędzia zachowuje immunitet. Uzasadnienie decyzji SN w sprawie Aleksandry S. jest ostre, kwestionujące zawodowe przygotowanie prokuratora: – Prawnik, zanim postawiłby zarzut przyjęcia łapówki, zadałby sobie pytanie, dlaczego ktoś mówi o niej po pięciu, czy sześciu latach? Skonfrontowałby słowa świadków, ludzi karanych, z dokumentami sądowymi, z których nie wynika, żeby Barbara S. – ale też inni sędziowie – wydała jakąś korzystną, związaną z łapówką decyzję procesową. Zeznania pomawiających ją sędziów z Ostrołęki są niewiarygodne i interesowne. Łapówki nie było.

Obecny na rozprawie prof. Andrzej Rzepliński z Fundacji Helsińskiej jest zdania, że prokurator w ogóle nie powinien występować z tą sprawą.

Immunitetu nie traci też sędzia Ryszard W., w którego sprawie prokurator również przegrał w Sądzie Najwyższym. Okazało się, że służby śledcze posunęły się do fałszowania opinii kryminalistycznej, na której potem opierał się prokurator. Ekspertyza dotycząca kasety z nagraniem rozmowy byłej salowej Bożeny B. z Marią K., kierowniczką sekretariatu w ostrołęckim Sądzie Okręgowym (wkrótce pierwszą aresztowaną). Nagranie odsłuchał i zaprotokołował biegły ekspert, ale oficer śledczy spisał iasimę na nowo i tam, gdzie były niewyraźne, „wykropkowane” dźwięki, wstawił nazwiska adwokatów, prokuratorów i sędziów.

Ryszard W. udowodnia, że prokuratura, oskarżając go o kupno samochodu za pieniądze pochodzące z łapówki, pominęła dokumenty transakcji – dowody jego niewinności.

Wskazuje też, że wszyscy pomawiający jego, a także sędzie S., byli wynagradzani zawieszaniem kary albo uchYLENIEM aresztu. Funkcjonariusze natomiast dostawali awans do stołecznego biura do walki ze zorganizowaną przestępczością.

Ta rozprawa przed SN okazuje się przelotowa dla losów wirtualnej ostrołęckiej osłomnicy. Zakrojone na szeroką skalę śledztwo po roku kończy się aktami oskarżenia przeciwko kilkunastu kombinatorom z marginesu społecznego w Ostrołęce, którzy dawali pieniądze Bożenie B., rzekomo mającej dojście do orzekających o przyznaniu renty.

Ale to się stanie dopiero po opuszczeniu przez dr Ludwikowską i dr. Andrzej Szaniawskiego aresztu. Na razie oboje są w więzieniu i nie mają dostępu do akt prokuratorskich.



Nie wiedzą, że ta kobieta obciążała ich zeznaniami. Nie tylko ich.

Napisała bowiem do policji anonim (podając się za pracownikę ostrołęckiego sądu), iż znani są jej sędziowie, którzy wydają wyroki za łapówką. I nie tylko sędziowie. W korupcyjnym procederze miała też uczestniczyć kierowniczka sekretariatu wydziału sądu Maria K. To ona, zdaniem Bożeny B., w znowie ze swą szefową załatwia odroczenie skazanemu Stanisławowi G. odsiadanie kary.

Organy ścigania bez trudu dotarły do autorki anonim, bowiem siedziała wówczas w więzieniu. Bożena B. jest od lat notowana w kartotekach policyjnych. Wpływały na nią skargi od ludzi, których oszukała. Wyłudzała pieniądze za obietnicę załatwienia czegoś w urzędzie, sądzie. Za oszustwa, zwłaszcza powoływanie się na wpływy w ZUS, oraz oferowanie załatwienia łapówkarskich rent została skazana na trzy lata pozbawienia wolności. Po odczytaniu wyroku krzyczała do sędziów: — „Ja tego tak nie zostawię, jeszcze mnie popamiętacie!”. Tylko politycznym zapotrzebowaniem ówczesnego ministra sprawiedliwości i prokuratora krajowego na wykrycie w IV RP skorumpowanych sędziów można wytłumaczyć rozkręcenie się gigantycznego śledztwa po anonimie mszczącej się na sędziach hochsztaplerki.

Za obietnicę rewizji wyroku (kara miała być w zawieszaniu) i natychmiastowego zwolnienia jej z aresztu, była salowa chętnie dostarczała prokuratorowi wyssany z palca argumentów na przekupstwo wśród sędziów. Oskarżycielowi nie przeszkadzało, że wielokrotnie zmieniała zeznania, myliła daty, miejsca popelnienia przestępstwa. I że chwaliła się na mieście, ile teraz od niej zależy, kto pojdzie za kratki. Prokuratura nie marnowała czasu. Wprawdzie sędziowie z Ostrołęki i lekarze z Pruszkowa nadal nie przyznawali się do świadceń za łapówkę, ale około trzydziestu osób z listy byłej salowej, które płaciły jej za dojścia do urzędów i pozytywnie załatwienie ich sprawy stanęło przed sądem.

Większość dobrowolnie poddała się karze, godząc się na niski, uzgodniony z prokuraturą wyrok. W tej grupie była też żona Stanisława G., która już w czasie pierw-

szego przesłuchania w prokuraturze przyznała się, że płaciła Bożenie B. — jako pośrednicze w uzyskaniu przychylności sędziów i lekarzy dla jej męża, chcącego uniknąć więzienia.



Już ósmy miesiąc siedzą w warszawskich aresztach psychiatrzy ze szpitala specjalistycznego w Tworkach. Pierwszy szok minął. Szczególnie dla dr Ludwikowskiej było to jak obuchem w głowę, gdy pierwszego dnia aresztu pielęgnarka, patrząc na jej kaszmirowy sweter zapytała: komu go ukradłaś?

Powoli znieczulają się na traktowanie ich jak przestępców (trochę pomaga wiedza psychiatryczna o tym, jakie są granice odporności człowieka).

Trzeba się zaadaptować do nowej rzeczywistości. Drobną, delikatną z urody i sposobu bycia dr Ludwikowska jakoś się dogaduje z oskarżonymi o pospolite przestępstwa towarzyszkami niedoli w celi. Nawet udaje się jej narzucić tym „dzieciom ulicy” swój styl zachowania. Gdy któregoś dnia oddziałowa potraktowała aresztantki arogancko, młode więźniarki zwróciły jej uwagę, że żyjąc sobie więcej kultury. Na wspomnienie miny funkcjonariuszki pani doktor jeszcze dziś się śmieje.

Najgorsze jest odcięcie od jakichkolwiek informacji. Nawet nie ma komu zadać pytania: — Co dalej?

Prokurator przesłuchiwał psychiatrów tylko raz, przez kilkanaście minut. Nie mogą się zapoznać ze swoim aktami śledczymi. Lekceważone są ich problemy ze zdrowiem. Dzień przed aresztowaniem dr Andrzej Szaniawski tak niefortunnie się przewrócił (na chory-kregosłup), że zlamal szczękę. Właśnie wyjeżdżał do chirurga, kiedy został zatrzymany w swoim domu w Warszawie. Z aresztu skarży się siostrze, że nie może „porządnie zamknąć ust, kości wyłażą w dwóch miejscach”. Na proste środki przeciwbólowe czeka tygodniami. Gdy wreszcie po interwencjach rodziny zrobiono mu operację stomatologiczną, szczęką zrosła się krzywo i trzeba ją było na nowo łamać. Andrzej Szaniawski cierpi na cukrzycę, która nie leczona powoduje nieodwracalne zmiany w organizmie. Więzienny lekarz powiadał mu, że najważniejsza jest dieta i przepisał pół pomarańczy dziennie. Aresztant ma objawy depresji.

Nie lepiej jest ze zdrowiem dr Urszuli Ludwikowskiej. Ordynator nosi w sobie bombę zegarową — tętniak w sercu. Trzeba regularnie sprawdzać, czy nie jest potrzebna natychmiastowa operacja.

Internista w areszcie lekceważy prośby pacjentki o konsultację kardiologa. Gdy lekarz zgłasza bóle wieńcowe, pyta ją z udawanym z troskaniem: — A może pani czymś się denerwuje? Któregoś dnia Ludwikowska czuje się tak źle, że więzienny lekarz przestaje wreszcie ironizować i zgadza się na przewiezienie chorej do specjalistycznej cywilnej poradni w Aninie. Podjeżdżają tam „suką”, aresztantka jest

skuta łańcuchem na prowadnicy za ręce i nogi. Tak zabezpieczona przed ucieczką, idzie w obstawie antyterrorystów długimi korytarzami przychodni pełnymi pacjentów. Założenie łańcuchów osobście zlecił dowódca konwoju, bo wysnuł wniosek z faktu, że śledztwo prowadzi prokuratorowski wydział przestępczości zorganizowanej.

To nie koniec upokorzeń ceniowej w kręgu psychiatrów ordynator.

Innego dnia wywołują ją rano z celi, bo ma jechać do sądu w Otwocku. Znowu kajdanki na ręce, dobre chociaż, że nie każą założyć czerwonego kombinizonu. Trafia na policyjny „detek”, a potem do sali rozpraw, gdzie biegle sądownia przedstawił opinię psychiatryczną oskarżonemu, który do marca 2006 roku leżał na jej oddziale w szpitalu w Tworkach. Po napisaniu opinii jest ponownie umieszczona w tzw. sieczkarni, jak oskarżeni nazywają pomieszczenie, skąd doprowadza się ich przed sąd. Czekają tam kilka godzin, do wieczora. Współwięźniowie chcą ją poczęstować kanapką (od rana nic nie jadła), ale policjant nie pozwala.

Kiedy już po wyjściu doktor z aresztu pytam ją, jak zniosła więzienie wznaję, że nie była tam szczególną sensacją. Wtedy siedzieli w celach wiele osób wykształconych, do niedawna na stanowiskach, nie mających nic wspólnego z pospolitymi przestępcami. Trzymały się – o ile to było możliwe razem, bo odczuwały, że są w gorszej sytuacji niż zwykli przestępcy. Ci, jeśli napadli na kogoś i obrabowali, byli szybko przesłuchiwanymi i często odpowiadali w sądzie już z wolnej stopy. Wobec takich osób jak ona stosowano tzw. areszt wydobycowy.

– Tam się wpada jak w czarną dziurę – mówi dr Ludwikowska. – Przez osiem miesięcy śledztwa przesłuchano mnie tylko raz, po zatrzymaniu. Trwało to kilka nacię minut. Moje akta prokuratorowskie są chude, zbudowane głównie na kłamstwach Bożeny B.

A mimo to na wniosek oskarżyciela sądy przedłużały areszt psychiatrom z Tworkach aż cztery razy, uzasadniając tym, że grozi im surowa kara, a na wolności podejrzani mogliby mataczyć. Brzmiało bez sensu, bo Bożena B., która ich obciążała, swoje zeznania już złożyła. A poza tym zostali oskarżeni o czyn sprzed sześciu lat, odpowiednia dokumentacja lekarska była zdeponowana w archiwum szpitala, prokurator w ogóle o nią nie pytał.

Natomiast w rozmowie z obserwatorem z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka asesor ze stołecznego Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi tłumaczyła przedłużanie aresztu dla Andrzeja Szaniawskiego i Urszuli Ludwikowskiej tym, że prokurator prowadzący sprawę tak „ładnie ją o to poprosił, dzwoniąc na komórkę”.

Takim instrumentalnym traktowaniem przez zastosowanie najsurowszego środka zapobiegawczego jakim jest areszt zajęła się Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która skierowała protest do Europejskiego Komitetu ds. Zapobiegania Torturom Rady Europy.

Napisano w nim, że w Polsce ludzi zamyka się na chybił trafił, wedle zasady: najpierw wsadzić, a potem poszukać dowodów winy. Nie bez powodu został ukuty przez adwokatów termin „areszt wydobycowy”, który stał się metodą na zmniejszenie podejrzanym albo wymuszanie na nich zeznań obciążających innych.



W grudniu 2006 roku akt oskarżenia przeciwko obojgu lekarzom ze szpitala w Tworkach trafiła do Sądu Rejonowego w podwarszawskim Pruszkowie. Już wiadomo, że ostrołęcka ośmiornica była wirtualna, w materiale dowodowym nie ma śladu przestępczości zorganizowanej. Stanisław G. nie był żadnym mafioso, ale lubiącym zajrzeć do kieliszka piekarzem. Psychiatrzy ze szpitala w Tworkach odpowiadają z ragrafu o korupcji.

Urszuli Ludwikowskiej przedstawiono zarzut, że w 2000 roku, działając „wspólnie i w porozumieniu” z Andrzejem Szaniawskim, przyjęła od Bożeny B. i Magdaleny G. korzyść majątkową w postaci wyrobów artystycznych o wartości nie mniejszej niż 800 zł w zamian za sporządzenie dla Sądu Okręgowego w Ostrołęce nieprawdziwej w treści opinii o skazanym Stanisławie G. Stwierdzając, że G. nie może na razie iść do więzienia ze względu na stan zdrowia psychicznego, utrudniła prowadzenie przeciwko niemu postępowanie.

W tej opinii wydanej 17 listopada 2000 roku psychiatrzy z Tworek szczegółowo opisałi, że Stanisław G. po wypadku, który spowodował w 1997 roku, przez dwa tygodnie był nieprzytomny, potem leczono go na OIOM-ie, nie mógł mówić ani pisać. Następnie przeszedł wiele operacji, miał ataki padaczki, w kilku szpitalach i przychodniach leczył się neurologicznie. Od 1998 roku był pod opieką psychiatry, bo nie mógł spać, gdy usnął, budził się z krzykiem, w ciągu dnia siedział osowiały. Trzykrotnie próbował odebrać sobie życie. Te myśli zresztą go nie opuszczają. Wtedy poci się, ma przyspieszone bicie serca. We wrześniu 2000 roku pacjent został skierowany do specjalistycznego szpitala w Tworkach z powodu narastających objawów depresyjnych i dwukrotnych prób samobójczych. Napady padaczkowe były częstsze, co wymagało konsultacji neurologicznych. To rozpoznanie zostało potwierdzone w czasie hospitalizacji.

Biegi psychiatrzy uznali, że G. cierpi na zespół depresyjny reaktywny na podłożu organicznego uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego i wymaga dalszego leczenia szpitalnego.

W opinii uzupełniającej z 17 stycznia 2001 roku, wydanej na żądanie prokuratora, nie mogli dokładnie określić, kiedy ustąpi choroba. Ich zdaniem po pół roku należałoby ponownie ocenić stan psychiczny pacjenta.

Doktorowi Szaniawskiemu przedstawiono dwa zarzuty: że otrzymał od Bożeny B. 2000 zł za wystawienie nieprawdziwej dokumentacji lekarskiej o stanie zdrowia Stanisława G. i że następnie przyjął od Magdaleny G. 500 zł za udzielenie dwudniowej przepustki ze szpitala dla jej męża.

Oskarżeni czują się napiętnowani nawet w swym środowisku zawodowym; nie ujęli się za nimi koledzy po fachu ani żaden samorząd lekarski. Oboje stracili pracę i wyraznie podupadli na zdrowiu. Doktor Ludwikowska stawia się na rozprawę wsparta o ortopedyczne kule. To odezwala się nie leczona w więzieniu osteoporoza, powodując złamanie nogi. Doktor Szaniawski wyszedł na wolność z nadwężonym łęgostupem; gdy siadała wyjaśnienia, nie jest w stanie dłużej utrzymać się w pozycji stojącej.

A sędzia powołuje coraz to nowych świadków, aby wypytać o wydarzenia sprzed sześciu lat, które tak zaciążyły na życiu obojga psychiatrów. Trzeba zweryfikować to, co napisał prokurator.

W relacji lekarza dyżurnego szpitala w Tworkach było tak:

Późnym wieczorem 12 września 2000 roku zgłaszają się do izby przyjęć szpitala psychiatrycznego w Tworkach Stanisław G. z – jak ją przedstawia – kuzynką Bożeną B. Mężczyzna ma na skierowaniu z przychodni specjalistycznej w Ostrołęce wypisane rozpoznanie – depresja.

Badanie pacjenta uzasadnia jego natychmiastową hospitalizację. Lekarzka z izby przyjęć w historii choroby wpisuje polecenie dla pielęgniarki oddziałowej, żeby chorego obserwować, bo ma myśli samobójcze. Stanisław G. dostaje leki.

Następnego dnia rano chorego bada dr Andrzej Szaniawski. Potwierdza wcześniejsze rozpoznanie – zespół depresyjny reaktywny. Z przywiezionej dokumentacji, a także wywiadu lekarskiego wiadomo już, że nowoprzyjętego czeka osadzenie w więzieniu. Dostał osiem lat za spowodowanie po spożyciu alkoholu wypadku drogowego, w którym zginęły dwie osoby. Pacjent panicznie boi się zamknięcia go w celi; przed przyjęciem do szpitala chciał sobie odebrać życie i to było bezpośrednią przyczyną skierowania go do szpitala w Tworkach.

Dwa miesiące później z przebiegiem leczenia Stanisław G. zapoznaje się ordynator Urszula Ludwikowska, która wróciła z długiego urlopu. Wśród spraw do załatwienia czeka na nią, jako biegłą, pismo z sądu o sporządzenie opinii czy stan psychiczny pacjenta G. pozwala na osadzenie go w więzieniu po prawomocnym wyroku. Jest pytanie, kiedy konkretnie byłoby to możliwe.

Ordynator przygotowuje opinię z dr. Szaniawskim, który również jest biegłym. Istnieje zasada, że taki dokument zawsze wystawia dwóch psychiatrów (prokurator z warszawskiej Pragi chyba o niej nie wie, bo w akcie oskarżenia zarzucił ordynator, że protekcyjną opinię napisała, „wspólnie i w porozumieniu” z kolegą).

Oskarżona wyjaśnia przed sądem: – Opieraliśmy się na obszernej dokumentacji lekarskiej z naszego szpitala i z poprzednich pobytów chorego w zakładach lecznictwa zamkniętego. W roku 2000 Stanisław G., który dwukrotnie usiłował odebrać sobie życie (na szyi miał tzw. bruzdę wiśleszczą), leczono w trzech różnych szpitalach, m.in. w wojskowym przy ul. Szaserów w Warszawie. Diagnozy stawiane jeszcze przed przyjazdem do Tworków brzmią: depresja na tle organicznym, padacz-

ka pourazowa, zespół lękowo-depresyjny. Gdzieś nawet rozpoznano zespół otępienny – takie objawy mógł sugerować stan depresyjny. Pacjent miał robione badania komputerowe.

Napisaliśmy w opinii dla sądu, że cierpi na depresję reaktywną, której podłożem są organiczne zmiany w mózgu. W tym stanie, póki nie zostanie podleczoły, nie powinien być zamknięty w więzieniu.

Stanisław G. leżał w szpitalu do 14 grudnia 2000 roku, kiedy to uznaliśmy, że sytuacja jest na tyle opanowana, że można go wypisać na dalsze leczenie do domu.

W styczniu 2001 roku sąd zapytał, jak długo będzie trwała choroba skazanego z Ostrołęki. Wysłaliśmy opinię uzupełniającą (już bez badania pacjenta), że trudno określić dokładny termin. Depresję Stanisław G. pogłębiały zmiany organiczne mózgu, czego wyrazem były napady padaczkowe, stwierdzone też w innych szpitalach.

– Wnioskując depresję reaktywną – tłumaczy w sądzie drugi oskarżony – która ustąpi, gdy ustaną powodujące ją czynniki, proponowaliśmy przedłużenie leczenia w warunkach ambulatoryjnych, tak aby za pół roku powtórzyć badanie i wtedy termin bezpiecznego odbywania kary można doprecyzować.

Jak wynika z akt śledczych, piekarz ponownie pojawił się w szpitalu w Tworkach 18 kwietnia 2001 roku, bo poprzedniego dnia usiłował się powiesić. Powiedział, że właśnie dostał wezwanie na rozprawę, gdyż do sądu nadeszła opinia psychiatrów ze szpitala w Gostyninie, że można go zamknąć w więzieniu. Nie mógł znieść tej myśli, zwłaszcza po artykule w lokalnej prasie, gdzie przedstawiono go jako mordercę, który powinien zginąć za kratami. W nocy targnął się na swoje życie. Odratowała go stale czuwająca żona.

Również w czasie tego drugiego pobytu inni lekarze ze szpitala w Tworkach rozpoznali to wszystko, co ordynator stwierdziła kilka miesięcy wcześniej.

Stanisław G. wyszedł 2 maja 2001 roku do domu na przepustkę (był dłuży weekend) i już się w Tworkach nie pojawił, bo został doprowadzony do więzienia.

◆ ◆ ◆

Sąd powołuje na świadka Bożenę B. – filar wiedzy prokuratora o udziale lekarzy ze szpitala w Tworkach w ostrołęckiej osmiornicy. B. jest przyprowadzona przez policjantów, oddaje bowiem wyrok za kolejne oszustwo – wyłudzenie kredytów z firmy Provident (w poprzednich, jako tzw. mały świadek koronny korzystała z nadzwyczajnego złagodzenia kary).

Kobieta wchodzi pewnym krokiem na salę rozpraw, z uśmiechem przygląda się publiczności. Tylko oskarżonych omija wzrokiem. Na stereotypowe pytanie sędziego, co świadkowi wiadomo w sprawie, odpowiada aroganckim tonem, że ma już dość tych wypytywań. Jak będzie chciała, to nic nie powie.

Ale mówi. Było tak: Stanisław G. poznała przez znajomego, którego matka, właścicielka sklepu spożywczego, zaopatrywała się w piekarni małżeństwa G. Gdy się

dowiedziała o wypadku samochodowym, postanowiła pomóc piekarzowi w uniknięciu odsiadki za kratkami.

Jej dobra znajoma Maria K., kierowniczka sekretariatu wydziału penitencjarnego w ostrołęckim sądzie podsunęła pomysł – trzeba załatwić G. wariackie papery. Ale żeby sąd odroczył wykonanie kary, skazany musi trochę poleżeć na szpitalnym łóżku w psychiatryku. I najlepiej byłoby, gdyby się targnął na swoje życie.

– Ja znam wielu ludzi w Ostrołęce – chwali się świadek w sądzie po zdjęciu jej kajdanek – kiedyś, gdy pracowałam jako salowa w miejscowym szpitalu, poznałam tam doktorkę od psychiatrii, Elżbietę K. Załatwiła ludziom papery na reny, jeśli w ZUS-ie była odmowa. Byłam dla niej naganiaczem tego rodzaju interesantów. Umówiłam się z nią telefonicznie, aby w przychodni przyszpitalnej przyjęła Stanisława G. Przed tą wizytą zawoziłam kilka razy Marię K. do piekarza na kolację, aby omówić całą sprawę. No i żeby dostała swoje pieniądze za fatywę. Wszyscy wiedzieliśmy, że G. był całkiem zdrowy na umyśle. Doktor Elżbieta K. też wiedziała, że będą potrzebne twarde papery dla odroczenia kary.

– Jak wyglądało badanie tej lekarzki? – pyta sędzia.

– Tak, uśmiecha się złośliwie Bożena B. – że nawet nie trzeba było mnie wypraszać z pokoju. Doktorka rozumiała wszystko bez słów. Wypisała wsteczne papery, bo nie może być tak, aby pacjent nigdy nie leczony od razu dostał skierowanie do Tworek. I dopiero gdy miała już zapisaną całą kartę chorobową, wystawiła skierowanie na leczenie szpitalne zgodne z naszym rejonem. Zapewniała, że wszystko pójdzie dobrze, bo ma w Tworkach znajomych psychiatrów, konkretnie doktor Urszulkę i ona już będzie wiedziała, co robić dalej. Na odpowiednim pouczyła nas, że dla lekarza dyżurnego w izbie przyjęć szpitala trzeba mieć przygotowane 5000 złotych.

Następnego dnia pojechali w trójkę – małżeństwo G. i Bożena B. – do Tworek. Pod szpitalem byli późnym wieczorem.

– Weszliśmy do izby przyjęć – zeznaje świadek. – Tam powiedziało się dyżurnemu lekarzowi, że jesteśmy z prywatnego gabinetu dr K. z Ostrołęki i on bez badania skierował nas na pierwsze piętro. Piekarzowa wyjęła z koperty 5000 zł i zostawiła na biurku. (– To dziwne, że akurat ta rzekoma łapówka pozostała poza zainteresowaniem prokuratora. Nie pasowała do linii oskarżenia? – powie później pełnomocnik dr Urszuli Ludwikowskiej).

– Następnie – wyjaśnia była salowa – poszliśmy na piętro do gabinetu dr Szaniawskiego. Tam już się rozmawiało bez owijania w bawełnę. To znaczy G. miał się nie odzywać, a ja powiedziałam wprost, że on musi udawać chorego, bo inaczej będzie siedział. Doktor na to, że pójdzie nam na rękę i nawet robi tak, aby G. nie mieszkał z tylni głupkami zbyt długo leżeć. Ale chyba zdajemy sobie sprawę, że się naraża, bo sprawa dotyczy wyroku. I jeszcze wspominał (Bożena B. odwraca się

w stronę oskarżonego, który kręcąc przecząco głową ukrył twarz w dłoniach), że ma wydatki na działce, odcięli mu prąd. Tak że pieniądze się przydadzą.

Wtedy położyłam na biurku 2000 złotych w kopercie. Dałam mu do zrozumienia, że jeszcze więcej dostanie, jeśli się postara. Doktor nie przeliczał przy nas. Powiedział tylko, że on sam opinii do sądu nie będzie pisał, musi to zrobić z ordynatorką. Zapytałśmy, co możemy dać dr Ludwikowskiej na prezent.

– Kupcie jakiegoś rupiecia. Ona kocha się w antykach – poradził.

– A jak oskarżony był ubrany? – pyta adwokat

– Normalnie. W krótkim fartuchu, z tyłu rozciętym.

Doktor Szaniawski wyjaśnia, że z uwagi na trudności z dopasowaniem kitla do swej postury nie chodzi w szpitalu w fartuchu.

Z zeznania Bożeny B. wynika, że piekarz dostał od tego lekarza numer jego prywatnego telefonu.

W szpitalu Stanisław G. leżał do 14 grudnia 2000 roku. W czasie tej hospitalizacji sąd w Ostrołęce otrzymał opinię, której treść komentowali na sali oboje oskarżeni. Ponowny przyjazd do szpitala w kwietniu 2001 roku to, jak zeznaje Bożena B., pomysł sekretarki z wydziału penitencjarnego, która pilotowała sprawę w sądzie i uznała, że skazanego trzeba jeszcze raz położyć, aby sąd się upewnił, że wykonanie wyroku jest niemożliwe. To wtedy dr Szaniawski miał poradzić telefonicznie piekarzowi – który dzwonił na jego komórkę w czasie jazdy do Tworek – aby zrobił sobie sznurkiem bruzdę na szyi. Dla upozorowanie próby samobójstwa.

– Ponieważ wiedzieliśmy od Marii K., że przyjdzie zapytanie z sądu i dr Urszuka wypisze opinię – zeznaje Bożena B. – kupiliśmy jej prezent. – Najpierw myśleliśmy o siedemnastowiecznym fortepianie, ale ostatecznie żona G. wybrała ozdobę na stół w kształcie winogrona. W Pułtusku w sklepie z pamiątkami kosztowało to 800 złotych. I jeszcze do tego była szkatułka, którą daliśmy za drugim pobylem.

– W gabinecie pani ordynator – świadek chętnie zeznaje, byle tylko jej nie przetywać, wtedy robi się agresywna – położyliśmy prezenty na biurku, ja przekazałam pozdrowienia z Ostrołęki i kazałam wypełnić papery dla sądu według instrukcji od pani Marii, którą nam wypisała. W opinii musiało się znaleźć sformułowanie, że pacjentowi nie wolno przebywać w pomieszczeniu zamkniętym. Ordynator po obejrzeniu winogrona powiedziała, że bardzo ładne i teraz z pewnością pomoże. Już z jej pierwszych słów zorientowałam się, że łapie o co nam chodzi.

– Pani opisuje sytuację inaczej niż w śledztwie – irytuje się sędzia Albert Parzyšek, wyciągając niezgodności – która wersja jest prawdziwa?

– Czy ja muszę odpowiadać na te wszystkie pytania? – Bożena B. podnosi głos – skadałam zeznania dotyczące setek spraw i osób, już mi się wiele rzeczy myli, łącznię z nazwiskami. A poza tym, ja mam taką naturę, że nie przywiązuję wagi do pewnych szczegółów. Teraz wszyscy mają do mnie pretensje, ale gdy trzeba było załatwić,

żeby człowiek nie poszedł do mamra, to do mnie jak w dym, bo ja każdemu chciałam pomóc. Choćby z tymi rentami. Lekarze orzecznicy brali pieniądze, nie wywiązywali się z obowiązków, a ludzie mają pretensje do mnie, bo ja pośredniczyłam.

Niewzruszony tą tyradą sędzia nadal wykazuje, że świadek jest niekonsekwentna: – Z protokołu przesłuchania w śledztwie wynika, że pani w czasie pierwszego przyjazdu z małżeństwem G. do szpitala, w Tworkach dała doktorowi Szaniawskiemu 2000 złotych. W kolejnej godzinie składania zeznań pani podaje, że nie widziała wtedy oskarżonego. Następnie usłyszałam, że te pieniądze wręczył doktorowi Stanisław G.

Świadek: – Przedtem mówiłam to, co zapamiętałam. Dzisiaj zeznaję samą prawdę. W dniu przyjęcia G. do szpitala, Szaniawskiego tam nie było.

Kolejny świadek – właściciel sklepu z pamiątkami w Putrusku, u którego żona Stanisława G. kupiła „dowód wdzięczności” dla ordynatora twierdzący, że nigdy nie miał w swoim sklepie ozdoby w kształcie winogrona za 800 złotych. Bibelot okazał mi na zdjęciu z akt kupił we Francji, gdy był tam na wycieczce. Za sztukę zapłacił 10 franków, to cena paczki papierosów. Szkatułkę widzi pierwszy raz w życiu.

Biegły rzeczoznawca, który na zlecenie sądu sporządził wycenę kłóci winogron stwierdza, że tego rodzaju przedmioty są wprowadzane z Chin i w roku 2001 wartość jednego egzemplarza wynosiła około 45 zł, wliczając 100 procent marży. Natomiast drewnianą szkatułkę, której zdjęcie jest w akcie oskarżenia można kupić za 55 złotych.



O tym, jaką rolę w sprawie piekarza odegrała oszustka B., opowiada przed sądem jego żona Magdalena G.

Stanisław G. dotarł przez znajomych do Bożeny B., gdy panicznie bojąc się więzienia, szukał sposobu na pozostanie na wolności. Kobieta zapewniła go, że ma znajomości w sądzie i wśród psychiatrów, więc położą go na łóżku w Tworkach i tam dostanie warianckie papiery.

– To wszystko kosztowało, ona w sumie wzięła od nas około 70 000 złotych – ze znaję Magdalena G.

Przed wyjazdem do szpitala Bożena B. kazała jej przygotować 2000 złotych dla lekarza. Podjechali pod izbę przyjęć, piekarzowa, która została w samochodzie, dała „kuzynce” pieniądze i oboje poszli do izby przyjęć. B. wróciła po pół godzinie z dobrą wiadomością, że Stasiak jest przyjęty.

– Zaprzetałam, co z pieniędzmi, a ona, że wzięła taką jeden lekarz, ale nie podała jego nazwiska. Dopiero po jakimś czasie mi powiedziała, że to był doktor Szaniawski. Nie wiem, za co mu płaciła. Po dwóch tygodniach pojechałam z B. do meża do szpitala. Wtedy z tym psychiatrą się nie widziałam, dopiero po miesiącu, gdy mężowi

już bardzo tęskniło się za dziećmi i chciał wyjść na przepustkę. W zasadzie nie było przeszkód, ale z własnej inicjatywy dałam doktorowi 500 zł, choć on mówił mi, że nie trzeba. Mąż pobyl trochę w domu i wrócił na szpitalne łóżko. Gdy za drugim pobylem wiosną 2001 roku znów dostał na niedzielę przepustkę, już do Tworek nie dojechał, z domu zabrali go do więzienia.

Magdalena G. nie pamięta, czy przekazywała Bożenie B. jeszcze inne pieniądze w związku z pobylem męża w szpitalu.

Z panią ordynator miała kontakt tylko raz, kiedy wręczyła jej winogrona. Ale bez szkatułki. Świadek nie wie, co to jest antyk – nie zna się na sztuce (czy to coś, pyta, co się mieści w reklamówce?), z zawodu jest murarzem.

W sądzie odwołuje niektóre wyjaśnienia ze śledztwa: – Powiedziała, że osobiście wręczyłam 2000 złotych dr. Szaniawskiemu, teraz mówię, że to nieprawda. Łapówkę dla doktora dałam Bożenie B. przed szpitalną bramą, nie wlewn, co z nią zrobiła.

W śledztwie zeznawałam tak jak chcieli, bo bałam się, że pójdę za kratki i nie wiadomo, co będzie z dziećmi. Mąż już odbywał karę. Przywieziono mnie do prokuratury i policjant straszył, że długo posiedzę. Potem zaprowadzili mnie do innego pokoju, gdzie czekał mój Stasiak w kajdanach. Płakał, błagał, żebym podpisała tak jak chcą, poddała się dobrowolnie karze, bo co będzie z dziećmi, pójdą do sierotnica. A tak, to zostanie na wolności – policjant mu to obiecał. Więc przyznałam się i pozwiono mi zarzut wręczenia korzyści majątkowej.

Oskarżony potwierdza, że w sprawie Stanisława G. najczęściej kontaktował się z Bożeną B. Upoważnił go do tego pacjent, przedstawiając tę kobietę jako kuzynkę i byłą pielęgniarkę. Bożena B. mówiła mu, że jest potrzebna opinia do sądu, prosiła, aby była żywcizłwa.

– Odpowiedziałem, że musi być rzetelna. Unikalem potem z nią kontaktu, gdyż ekspresyjnie stracała dystans. Za drugim razem usiłowała dać mi buzi. Nigdy nie wręczała mi pieniędzy, w ogóle nie było rozmowy na ten temat.

Doktor Andrzej Szaniawski zaprzecza też oskarżeniu, że żona Stanisława G. położyła mu na biurku kopertę z 500 zł łapówką, bo chciała, aby mąż dostał przepustkę.

– Nie było żadnych przeszkód, aby pacjent wrócił na kilka dni do domu. Rozmawiałem z nim o tym, nawet namawiałem, ale on się obawiał ojca jednej z ofiar wypadku, który spowodował. Podobno ten człowiek już na rozprawie w sądzie groził, że zastrzeli zabójcę jego syna, miał pozwolenie na broń. G. z trudem został nakłoniony do wyjścia na przepustkę, dlatego zarzut, że w tej sprawie mnie przekupiono, uważam za absurdalny.

Przed sądem staje wsparty o kule (to pozostałość po tragicznym wypadku samochodowym), Stanisław G. potwierdza, co mówił w śledztwie, że przed pobylem w szpitalu w Tworkach chciał się powiesić, nie pamięta, ile było takich prób. Gdy ponownie został przyjęty, leżał na innym oddziale niż poprzednio, nie miał kontaktu

ani z dr Ludwikowską, ani z dr. Szaniawskim. Nie rozmawiał telefonicznie z oskarżonym, jak ma się zachować, aby być przyjętym do szpitala psychiatrycznego. To Bożena B. instruowała go, mówiła o tej brudzie robionej sznurkiem na szyi. Świadek nie pamięta, czy to było w trakcie pierwszej, czy drugiej podróży z Ostrołęki do Tworek.

Uważa, że w opinii sporządzonej przez oskarżonych napisano to, co się z nim działo. W trakcie pobytu w szpitalu i rozmów z lekarzami nie udawał, bo nie po trafi. Naprawdę po wypadku chciał się powiesić, ale żona go odratowała.

Na temat powtórnego przyjęcia Stanisława G. do szpitala w Tworkach – w kwietniu 2001 roku – zeznaje też pracująca tam od 40 lat psychiatra dr Elżbieta Matecka-Bańska.

– Pacjent przyjechał w późnych godzinach wieczornych ze skierowaniem psychiatrycznym ZOZ w Ostrołęce. Wypisane w nim rozpoznanie wstępne brzmiało: stan po próbach samobójczych, zaburzenia depresyjne reaktywne. Lekarz w izbie przyjęć potwierdził diagnozę, odnotował też brudę wisielczą na szyi Stanisława G.

Sąd: – Czy taka brudza może być udawana?

– Nie budziła wątpliwości. Ale przy ocenie aktualnego stanu zdrowia pacjenta, w momencie przyjęcia nie kierowaliśmy się tylko tym symptomem. Rozpoznanie moje brzmiało: zespół depresyjny, padaczka pourazowa. Zleciałam leki przeciwpadaczkowe.

Sędzia: – Gdyby miała pani opiniować w kwestii, czy stan, w jakim był G., pozwala na odbywanie kary w więzieniu, jaką dałaby pani odpowiedzieć?

Świadek zagląda do dokumentacji lekarskiej – pacjent był po trzech próbach samobójczych i miał też epizod depresyjny w stopniu umiarkowanym, co wymaga leczenia. Stan depresyjny pana G. powodowany był groźbą odbycia kary, ale trzeba pamiętać, że dotyczyło to osoby z pourazowym uszkodzeniem ośrodkowego układu nerwowego, reagującej inaczej niż człowiek zdrowy. Dalsze leczenie mogłoby doprowadzić do stanu pozwalającego na ukaranie pozbawieniem wolności. Ale w momencie, gdy sąd domagał się opinii, uczciwość pracujących pod przysięgą biegłych kazała stwierdzić, że nie można takiego człowieka zamykać za kratami, bo targnie się na swoje życie.

Sędzia: – Czy możliwe jest, że pacjent symulował chorobę, mając instrukcję od innego psychiatry?

– Symulacje – tłumaczy dr Matecka-Bańska – to jeden z problemów psychiatrycznych. Czasem trudno je odróżnić. Zaburzenia reaktywne trwają latami, doprowadzają do głębszej regresji zachowań, zwłaszcza u osoby z organicznym uszkodzeniem ośrodkowego układu nerwowego. G. był wcześniej w innych szpitalach i tamtejsi lekarze stawiali diagnozę podobną do naszej.

Sędzia: – Inaczej: Czy to znaczy, że w sprawie rozpoznania choroby kontaktowała się pani z oskarżonymi?

Świadek: – Nawet mi to nie przyszło do głowy.



Przed sądem staje kolejna grupa ważnych w sprawie świadków – to psychiatrzy z innych szpitali niż w Tworkach, którzy na zlecenie sądu wydawali opinie o chorobie Stanisława G. Konkretnie mieli odpowiedzieć na pytanie, czy stan zdrowia skazanego na tyle uległ zmianie, że może on odsiadywać wyrok.

W marcu 2001 roku (czyli dwa miesiące po wydaniu przez oskarżonych suplementu do swej opinii) dwoje specjalistów biegłych sądowych ze szpitala psychiatrycznego w Gostyninie, dr Beata Swendrowska i dr Ryszard Wardeniński, stwierdziło, że nie ma przeszkód w odbyciu kary przez Stanisława G.

Po latach, przed sądem, psychiatrzy z tego ośrodka już nie są tacy jednomyślni jak w 2001 roku. Zmieniła zdanie dr Swendrowska.

– Potwierdzam – zeznaje – że wydając w 2001 roku opinię przeciwną do autorstwa dziś oskarżonych nie miałam kontaktu z pacjentem, opierałam się na załączonej dokumentacji. Ale ja w 2001 roku dopiero startowałam w zawodzie psychiatry. Dziś tak bym nie postąpiła, czuję z tego powodu dyskomfort. Prawdopodobnie założyłbym, że stan pacjenta się poprawił. Od tamtej pory wystawiłam wiele opinii, ale zawsze pacjenta badałam.

– Ale państwo mieli dokumentację lekarską, która kończyła się w grudniu 2000 roku, a opinię wydałście w marcu 2001 roku – zauważa obrońca oskarżonych. Czyli brakowało danych o pacjencie z czterech ostatnich miesięcy.

Lekarka: – Teraz zdaję sobie sprawę, że w międzyczasie mogły zajść istotne zmiany w zdrowiu badanego. Nasz wniosek był oparty tylko na jednej przesłance i nie do końca przemysłany.

– Co skłoniło panią do sformułowania opinii, że skazany G. cierpi na depresję reaktywną, wywołaną stresem po wypadku, czyli uwarunkowaną sytuacyjnie? – pyta drugi pełnomocnik oskarżonych.

Odpowiedź świadka jest szczegółowa: – Po analizie historii choroby G. nadesłanej ze szpitala w Tworkach myśmy stwierdzili, że rozpoznanie nie budzi wątpliwości. W tych dokumentach zawarto opis typowych objawów zespołu depresyjnego. Różnica polegała na tym, że wiązaliśmy depresję ze stresem przed więzieniem. A nie z wypadkiem drogowym, który zdarzył się cztery lata wcześniej. Sugerowaliśmy się tym, że udokumentowane objawy depresji nie pojawiły się tuż po kraksie na drodze, ale w miarę zbliżania się terminu przekroczenia przez skazanego bramy więzienia. W szpitalu w Tworkach jego stan się poprawił, co znaczyło, że depresja jest podatna na leczenie. W naszej opinii mogłaby ustąpić z chwilą zniknięcia czynnika reaktywnego, czyli kary pozbawienia wolności. A ponieważ było to niemożliwe, objawy depresyjne mogły się utrzymywać i nie miało sensu odwołanie odbycia kary w izolacji.

Teraz trudno mi się zgodzić z podpisaną przeze mnie diagnozą. Dziś nie wydałabym jej bez uprzedniego osobistego zbadania opiniowanego. Prawdopodobnie

stwierdziłabym mieszane przyczyzny zespołu depresyjnego. Pierwsza, to organiczne podłoże, drugą byłaby utrata zdrowia w wyniku wypadku, poczucie winy, obawy o przyszłość, także przed groźącą karą. Przy tego typu objawach jak zostały opisane przez biegłych z Tworek, powiedziałabym podobnie jak oskarżeni.

W tym momencie oskarżona dr Urszula Ludwikowska oświadcza: – Mnie uczono, że póki pacjent żyje, trzeba przed wydaniem opinii go zbadać. Psychiatrzy z Gostynina potwierdzili naszą diagnozę. Różnimy się w konkluzji, czy można skazać w takim stanie wysłać do więzienia. Dla prokuratora był to koronny dowód, że pierwsza diagnoza, na skutek przekupstwa, została napisana stroniczo. Nic bardziej mylnego z medycznego punktu widzenia.

Wzwany na tę samą wokandę drugi autor opinii z Gostynina, dr Ryszard Wardeński podtrzymuje swoje orzeczenie z 2001 roku.

– Każdy człowiek czegoś się boi – dowodzi. – To, co odczuwał Stanisław G. nie miało cech choroby psychicznej. Zresztą, w więzieniu jest specjalistyczna opieka lekarska.

– A gdyby zmienić podstawę depresji reaktywnej – nie wypadek, ale obawa przed karą? – dopytuje sędzia.

– To byłoby tylko zaburzenie nerwicowe.

– Czy w związku z tym, że mieli państwo inne zdanie niż koledy po fachu ze szpitala w Tworkach, nie należało zbadać pacjenta? – to kolejne pytanie zza ściany dzwierskiego stołu.

– Nie czuliśmy takiej potrzeby, bo do wydania w tej konkretnej sprawie opinii wystarczyła znajomość kryteriów diagnostycznych. Owszem, braliśmy też pod uwagę inne depresje wynikające z uszkodzenia ośrodkowego układu mózgowego, ale ostatecznie uznaliśmy, że mamy do czynienia z depresją spowodowaną lękiem przed więzieniem.

– A dlaczego państwo wykluczyli depresję organiczną? Dysponowaliście diagnozą prof. dr. Jana Podgórskiego, neurochirurga ze szpitala wojskowego przy ul. Szaserów w Warszawie, która została wydana cztery miesiące przed wydaniem opinii w Tworkach – drąży temat sędzia.

– Aby stwierdzić depresję w wyniku uszkodzenia ośrodka mózgowego trzeba by więcej badań – broni swej opinii bardzo pewny siebie psychiatra z Gostynina.

Jeszcze pytania adwokata: – Czy można ocenić stan zdrowia psychicznego tylko na podstawie dokumentacji lekarskiej?

– Można – pada kuriozalna odpowiedź. – Co innego sztuka lekarska, a co innego opinia biegłych sądowych. Sąd w Ostrołęce oczekiwał od nas wydania opinii na podstawie akt sprawy. I absurdalne są oczekiwania, abym dysponował wiedzą o stanie pacjenta w dniu wydawania opinii.

– Ale w opinii oskarżonych jest informacja, że w trakcie pobytu w szpitalu Stanisława G. wystąpił u niego napad padaczkowy – przypomina pełnomocnik dr Ludwikowski.

Świadek i na to ma gotową odpowiedź: – Nie wypowiadali się w kwestiach neurologicznych, bo nie było takiej potrzeby, skoro nie rozpoznali u pacjenta uszkodzenia organicznego. Ich diagnoza brzmiała – depresja psychogenna sytuacyjna. A poza tym sam fakt stwierdzonej depresji organicznej nie stanowi automatycznie przeszkody do odbywania kary. W więzieniach siedzi wielu epileptyków...

Sąd powołuje też na świadków autorów badania sądowo-psychiatrycznego przeprowadzonego w maju 2006 roku przez psychiatrów z Łodzi Janusza Bielę i Joannę Marchwicką. Zażądała tego Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga Wydział do Spraw Przesiępczości Organizowanej. To ta placówka nadzorowała śledztwo w sprawie ostrołęckiej ośmiornicy.

Stanisław B. był badany w więzieniu, w którym odsiadywał wyrok. Kara kończy mu się w 2011 roku, ale skazany wie, że od stycznia 2007 roku nabywa uprawnień do przedterminowego zwolnienia. Z opinii, jaką wydał o więźniu wychowawca wiadomo, że G. bardzo się stara, aby zasłużyć na szybsze wyjście na wolność. Jest wiele prawdopodobne, że ta perspektywa wpłynęła w roku 2006 na jego odbiorczy w wywiadzie łódzkich psychiatrów. Skazany ma przecież w celi gazety, ogląda telewizję, zapewne widział w telewizji reportaże o aresztowanej ordynatorze ze Szpitala Psychiatrycznego w Tworkach.

Nie mógł wiedzieć, że obraz jest manipulowany; jako dom dr Ludwikowskiej pokazano należąca do kogoś innego okazała nowobogacką willę. Tylko wnętrze było prawdziwe, czego nie można powiedzieć o komentarzu autora audycji. Gdy kamera najechała na obrazy na ścianach, między innymi portret właścicieli z czasów jej dzieciństwa, dziennikarz mówił, że są to dowody korupcji lekarci. Bo lubił przemawiać od pacjentów stare obrazy, antyki.

Psychiatrzy z Łodzi w swej opinii przytoczyli wypowiedź skazanego piekarza, że „całe to leczenie w Tworkach nakręca Bożena B.”, która instruowała go, jak ma się zachowywać podczas badania psychiatrycznego. Przed wejściem do szpitalnej izby przyjąć kazala mu natrzeć szyję sznurkiem, żeby upozorować samobójstwo.

Janusz Biela i Joanna Marchwicka oceniali stan psychiczny więźnia Stanisława G., a dokładniej, jego poczuciałości (co jest odrębnym zagadnieniem sądowo-psychiatrycznym, nie mającym związku z wyrokiem), w sześć lat po pobycie w Tworkach i w oparciu jedynie o opinię biegłych gostynińskich z marca 2001 roku. Stwierdzili, że nie jest chory psychicznie ani otepiaty. Nie ma organicznych zmian w obrębie mózgu. Jeżeli w czasie leczenia w szpitalu w Tworkach ujawniło się u pacjenta jakikolwiek zaburzenie psychiczne, wynikało jedynie z przynębnienia, uzasadnionego toczącym się postępowaniem karnym.

W dwa lata po wydaniu opinii nadal są zdania, że jeśli G. w Tworkach przejawiał jakikolwiek zaburzenia psychiczne, to wynikały one z obawy przed groźącą mu karą. Nie przeszkadzało to odsiadywaniu kary w więzieniu.

Są przekonani, że w 2001 roku oskarżony upozorował próbę samobójczą, wszystkie jego reakcje były wyreżyserowane. Tak przekonująco, że gdyby nie mieli informacji od lekarzy z Gostynina (który też przecież nie widzieli pacjenta), że G. jest świętym aktorem, to potwierdziłby depresję.

Komentarz oskarżonej ordynator na rozprawie: – Biegli łódcy piszą w swej diałgnozie o zaburzeniach, które nazywają zespołem przynębiennym. Ja nie znam takiego pojęcia medycznego w klasyfikacji międzynarodowej chorób. I w odróżnieniu od nas, psychiatrów z Tworek, negują organiczne zaburzenia chorobowe. Jednocześnie podają, że pacjent jest leczony przeciwpadaczkowo. Przede wszystkim trzeba by ustalić, czy mówimy o stanie zdrowia tego człowieka w maju czy jesienią 2006 roku. Od pierwszej opinii upłynęło sześć lat i stan zdrowia mógł ulec zmianie.

Sąd jeszcze sięga po opinię neurologa. Doktor Henryka Tykocka stwierdza, że Stanisław G. po wypadku w 1997 roku kilkakrotnie leżał w klinice neurologii i epileptologii, skąd wyszedł z diagnozą, że cierpi na padaczkę. W miarę upływu lat jego stan zdrowia się poprawił, ale „silna komponenta nerwowa może nasilić napady padaczkowe, więzień musi więc przyjmować leki, które takim sytuacjom mogą zapobiec”.

Prokuratura (na każdej rozprawie jest inny jej przedstawiciel) w obronie sypiącego się aktu oskarżenia występuje z wnioskiem o czwartą już opinię biegłych psychiatrów, tym razem z Ośrodka Psychiatrii Sądowej Szpitala Specjalistycznego im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie.

Pytanie brzmi: – Czy w świetle dokumentacji medycznej Stanisława G. znajdującej się w aktach sprawy opinia sporządzona przez oskarżonych jest prawidłowa i zgodna z zasadami sztuki lekarskiej, a w szczególności, czy w dniu, gdy została napisana, istniały przeciwwskazania do zamknięcia G. w więzieniu?

Biegli psychiatrzy z Ośrodka, Krystyna Sosińska-Stępniewska i Ewa Burzyńska-Rzucidło, orzekli: „Opinie z Tworek i Gostynina nie są sprzeczne, bowiem były wydane w innym czasie. Śluszenie, jak wynika z analizy dokumentacji medycznej, za podłoże ujawnianych przez pacjenta objawów depresyjnych przyjęto zagrożenie karą pozbawienia wolności. Nie budzi także zastrzeżeń rozpoznanie u opiniowanego zmian organicznych ośrodkowego układu nerwowego (...). Ze względu na obecność objawów depresyjnych sytuacyjnych i współistnienie wspomnianych zmian organicznych, które mogą upośledzać zdolności adaptacyjne, wydaje się rozsądna stwierdzone niemożność odbywania kary przez Stanisława G. i kontrolna ocena jego stanu psychicznego za pół roku. Zatem opinia dr Urszuli Ludwikowskiej i dr. Andrzeja Szaniawskiego jest prawidłowa i zgodna z zasadami sztuki lekarskiej.

◆ ◆

Proces w sądzie pierwszej instancji dobiegł końca. Prokurator wnosi o uznanie winy dr Urszuli Ludwikowskiej, skazanie jej na rok pozbawienia wolności oraz 50 stawek dziennych, licząc po 30 zł za jedną. Doktora Andrzeja Szaniawskiego natomiast

RADECKI

WONDOHOMIENIA Z OSTRONKI

chce skazać na rok więzienia i 100 stawek. – Takie kary – stwierdza pod koniec lakonicznego wywodu – odzwierciedlają wagę czynu, którego się dopuściły osoby pełniące zawód zaufania publicznego. *Sędziowie: Adol...*

Kolej na mowy adwokatów. Radosław Baszuk i Andrzej Tomaszewski, pełnomocnicy dr Urszuli Ludwikowskiej, przytaczają nieprawdziwe twierdzenia z aktu oskarżenia. To długa lista. Przede wszystkim akcentują, że zarzuty zostały oparte na zeznaniach niewiarygodnej kryminalistki Bożeny B.

– Jakim motywem kierowała się ildka lat temu prokuratura dla Warszawy-Pragi, wysłiadczając dobrodziejstwo oszustce, aby uniknęła kary i mogła pomówić skądinąd powszechnie szanowane osoby? – zastanawia się mec. Baszuk. I deje do zrozumienia, że powody były polityczne, pod dyktando góry, czyli prokuratora krajowego.

Adwokaci wykazują, że oskarżenie dr Ludwikowskiej o sporządzenie nieprawdziwych opinii nie znajduje potwierdzenia w materiale dowodowym. Padają przykłady sprzeniewierzenia się przepisom prawa na etapie postępowania przygotowawczego. Zdaniem mecenasów nie są to tylko przejawy niechlujstwa zawodowego. Usuwanie z akt prokuratorskich niewygodnych dla oskarżyciela zeznań świadków, szantażowanie żony pacjenta w prokuraturze przez funkcjonariusza policji świadczą o celowym kreowaniu faktów przez organa ścigania.

Mecenas Tomaszewski nie oszczędza też jednego z biegłych z Gostynina – dr. Wardeńskiego, przytaczając jego kuriozalne zdanie wygłoszone przed sądem, że „co innego sztuka lekarska, a co innego wydawanie przez lekarza opinii sądowej”. A analizując ekspertyzy psychiatrów z trzech ośrodków dochodzi do wniosku, że lekarzom ze szpitala w Tworkach wytoczono proces za poglądy medyczne, bowiem żaden ze spot biegłych powołany przez prokuratora nie zakwestionował diagnozy oskarżonych.

Druzgocą krytykę aktu oskarżenia przeprowadzają też obrońcy dr. Szaniawskiego. Ich wspólnie napisane wystąpienie liczy 30 stron. Jego generalna teza – żądane z zeznań świadków nie pozwala postawić dr. Andrzejewi Szaniawskiemu zarzutu, że wziął łapówkę. Te, które były niekorzystne dla oskarżonego, zostały wymuszone albo uzyskane za obietnicę zwolnienia świadka z ciężącego na nim zarzutu. Ze strony prokuratury nie była to uczciwa taktyka. Przemilczano też, że wielokrotnie karana oszustka B. zdecydowała się na współpracę z prokuratorem. A to w zupełnie innym świetle stawia jej wyjaśnienia. Dlatego obrońca dr. Andrzeja Szaniawskiego, Anna Czepkowska, wyznaje na koniec, że ta sprawa zachwiała jej przekonaniem o praworządności w Polsce.

◆ ◆

Dwa tygodnie później zapada wyrok:

Zarówno była ordynator dr Ludwikowska, jak i pracujący z nią dr Szaniawski zostali całkowicie uniewinnieni od głównego zarzutu wydania fałszywej opinii o stanie psychicznym Stanisława G.

Drugi zarzut dotyczył „dowodu wdzięczności”, jaki miała wręczać lekarzom z na Stanisława G. W przypadku ordynator Ludwikowski sędź uznał, że nie można traktować tej rzeczy jako łapówki. I również z tego zarzutu uniewinnił oskarżoną. Inaczej natomiast został oceniony zarzut przyjęcia 500 zł przez dr. Andrzeja Szaniawskiego za wypisanie G. ze szpitala na przepustkę. Choć oskarżony zaprzeczał, aby przyjął jakiegokolwiek pieniędzy, sąd nie dał mu wiary i skazał na osiem miesięcy w zawieszonym orzeczeniu w wysokości, która już została „odsiedziana” w areszcie.

Wyrok nie jest prawomocny. Doktor Szaniawski będzie się odwoływał.

Na fotel dyrektora naczelnego Peweksu wyniosła go zakładowa „Solidarność”. W burzliwym roku 1992 była to najlepsza rekomendacja, ważniejsza od dyplomu. Zbigniew H. skończył technikum leśne, wcześniej pracował w tartaku na Opolszczyźnie. I nagle, z dnia na dzień, awansowano go na szefa 4485 pracowników obsługujących 850 sklepów. Do majątku firmy należały też tysiące mieszkań w blokach i inne nieruchomości...

Eksponowane stanowisko w Peweksie to było jak dostanie się do rajnu. Nie tylko z powodu wysokiej pensji, ale również codziennego kontaktu z dobrami Zachodu. Stary dowcip o milicjancie, który wszedł do Peweksu, przeszkodził przez ladę i poprosił o azyl, dobrze oddawał atrakcyjność tego miejsca. Nie było przypadkiem, że jednym z dyrektorów centrali został słynny superspieg Marjan Zacharski, po wypuszczeniu go z rąk CIA.

Na półkach Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego Pewex kusily oko butelki z coca-cola, czekolada Toblerone, gumy do żucia Donald i Turbo, ananasy w puszcze, chałwa, pomarańcze, banany Chiquita, ser żółty ementaler, kawa Nescafe, tyton Amphora, brandy Napoleon, papierosy Marlboro, Dunhill, Rothman's, Lord i Kim. W dziale gospodarczym stały komputery ZX Spectrum i Atari, magnetowidy Sanyo i Gold Star, kasety TDK, długopisy Bic, klocki Lego, dzinsy Rifle i Montana, mydło Fa, płyn po goleniu Hatrick, szminki Yardley, perfumy Wild Musk i proszek Omo. Z dobrodziejstw eksportu wewnętrznego (tym okrymionym określano sprzedawanie za prawdziwe pieniądze, czyli walutę wymienialną, towarów, których nie można było w PRL kupić za złote) korzystali nieliczni uprzywilejowani, dysponujący dolarami lub bonami Pekao.

Zbigniew H. mógł uznać, że złapał Pana Boga za nogi. Tylko jednego nie przewidział. Tuż przed jego awansem Sejm w ekspresowym tempie uchwalili pakiet ustaw znanych jako plan Balcerowicza. I zaczęła się wielka reforma gospodarstwa. Pewex nie był przygotowany do konkurencji z tysiącami obrotowych Polaków, którzy od 1990 roku zaczęli zwozić do Polski, często przemycając przez granice, wszelkie do niedawna nieosiągalne towary. Skończyło się oglądanie głodnym wzrokiem witym Peweksu przez tych, którzy nie mieli „zielonych”. W 1992 roku straty Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego wyniosły 41 mln zł (po denominacji). Ratowano się obniżką cen na towary przeterminowane lub uszkodzone. Do historii przeszły kraby w puszcze, które powinny być zjedzone rok wcześniej.

Wyzbycie się z magazynów nieświeżych owoców morza niewiele pomogło. Do warszawskiego przedsiębiorstwa weszła NIK. Inspektorzy Izby skrzytykowali niekorzystne kontrakty, np. na prowadzoną do Polski amerykańską rewię na łodzi nadmierne inwestycje, niefortunnie przeprowadzoną komputeryzację w jednym ze stołecznych domów handlowych.

Po kontroli całe kierownictwo warszawskiego oddziału Peweksu dostało wymowienia.

Ale przetasowanie rzadzającej ekipy nie powstrzymało zamówionych za granicę dostaw, rosły więc zapasy nie sprzedanych towarów.

Pewex był dłużny zagranicznemu kontrahentom 70 mln dolarów.

Od października 1992 roku w centrali przedsiębiorstwa wprowadzono zarząd komisaryczny. Zbigniew H. zmienił tylko wizytówkę na drzwiach swego ciągle jeszcze okazalego gabinetu w hotelu Marriott. Nie był już dyrektorem naczelnym, lecz komisarzem, odpowiedzialnym za postępowanie naprawcze. Pewexowi groziła upadłość, jeśli zagraniczni wierzyciele stracą cierpliwość. Firma nie miała pieniędzy na wykupienie zamówionych towarów.

Komisarz H. pytany przez dziennikarzy, czy ma jakąś koncepcję wyjścia z impasu, bez zajęcia referował program, który rok wcześniej przedstawiało jako swój Ministerstwo Handlu. Zgodnie z tym planem Pewex stałby się holdingiem spółek produkujących elektronikę, odzież i żywność. W małych miastach do spółki mieli dołączyć drobni hodowcy. Koniec z towarami za bony.

Iluzoryczna koncepcja Peweksu dla ubogich nie zmieniła renomy firmy z motywem w logo jako niesolidnego dłużnika. Z wnioskiem do sądu gospodarczego o ogłoszenie upadłości przedsiębiorstwa wystąpiła firma Masch Spitzer-Mileger z Bazylei. Pewex był jej winien prawie 3 500 000 dolarów, a razem z innymi odsetkami – około 5 milionów. Odbyła się już pierwsza rozprawa. W kolejce czekały wnioski od następnych wierzycieli: włoskiej firmy Super Rifle, która od dwóch lat nie dostała pieniędzy za dzinsy i kurtki – z odsetkami ponad 850 000 dolarów, oraz trzy japońskie firmy: Mitsubishi (31 000 000 dolarów), Nichimen (7 700 000 dolarów) i Sony (5 500 000 dolarów).

Spitzer-Mileger, który reprezentował w Polsce interesy japońskiego koncernu Sanyo, gotów był, dla odzyskania choćby części należności, przejąć za długi pewne nieruchomości Peweksu w Warszawie. Dlatego, gdy w „Gazecie Wyborczej” ukazało się ogłoszenie o sprzedaży należącej do Peweksu bazy magazynowej „Utrata” na warszawskim Targówku, wpłynęła oferta od spółki Sanpro – przedstawiciela firmy Sanyo na terenie Polski. Sanpro proponowała zakup bazy „Utraty” za 2 790 000 nowych złotych (1 750 000 dolarów.) Innych ofert nie było.

Komisarz H. zwołał komisję przetargową, która na oczekaniu uzgodniła cenę „Utraty” na 2 689 177 zł, choć rok wcześniej biegli wyliczyli wartość tej nieruchomości na ponad 5 000 000 złotych.

Ostatecznie baza została sprzedana za 2 790 000 złotych. Nikt z Peweksu tych pieniędzy nie widział – zostały zaliczone na konto długów wobec Masche Spitzer-Mileger.



Trzy lata później Zbigniew H. został oskarżony o to, że w porozumieniu z Andrzejem R., głównym specjalistą do spraw inwestycji w centrali Peweksu, nie zor-

ganizował prawidłowo przetargu na sprzedaż magazynu „Utrata”. W ogłoszeniu zamieszczonym w gazecie nie podano ceny wywoławczej oraz warunku wpłaty wadium. Zdaniem prokuratury, w wyniku takiego zaniechania firma straciła 1 472 303 złotych.

Zarówno Zbigniew H., jak i Andrzej R. nie przyznali się do zarzucanej im niegodziwości. Byli komisarz (odwołany przez ministra zaraz po kontroli NIK) nie potrafił wyjaśnić prokuratorowi, skąd w roku 1993 wzięta się na komisji przetargowej taka, a nie inna wycena „Utraty”, skoro rok wcześniej była to kwota prawie dwa razy wyższa.

W ogóle Zbigniew H. stwarzał organom ścigania sporo kłopotu. Nie stawiał się na wezwanie prokuratora, był poszukiwany listem gończym. Jego żona twierdziła, że mąż w miejscu zamieszkania przebywa sporadycznie, a ona nie zna jego aktualnego adresu. Wie tylko, że maizonek jest prezesem jakiejś spółdzielni i chęć go zwolnić, bo od miesięcy nie ma go w pracy.

Wreszcie w lipcu 1996 roku Zbigniew H. został zatrzymany. Przedstawił kartę wypisu ze szpitala psychiatrycznego w Lublińcu, gdzie leżał dwa tygodnie. Rozpoznanie choroby wiązało oskarżycielowi publicznemu ręce – u pacjenta stwierdzono nawracający zespół depresyjno-paranooidalny, myśli samobójcze. Wniosek: w znaczącym stopniu ograniczona zdolność rozpoznawania popełnionych czynów i kierowania swoim postępowaniem.

Nowy prokurator chciał zamknąć podejrzanego na oddziale psychiatrycznym aresztu śledczego, ale Zbigniew H. przedstawił bardzo dramatyczną sytuację rodzinną – żona chora, czeka ją operacja, jeśli pójdzie do szpitala, nie będzie kto miał się zająć dziećmi. Ostatecznie pozostał na wolności.

Kolejni psychiatrzy, tym razem biegli sądowi, stwierdzili u oskarżonego zespół depresyjno-łękowy. Osobowość H. scharakteryzowali jako nieprawidłową, o zmianach charakterologicznych. W opinii przepisali też diagnozę ze szpitala w Lublińcu z zastrzeżeniem: „jak pacjent podaje w wywiadzie...”

Wysłany do sądu akt oskarżenia Zbigniewa H. zawierał istotne stwierdzenie: „W chwili popełnienia czynu w znacznym stopniu miał ograniczoną zdolność rozpoznawania jego znaczenia i kierowania swym postępowaniem”.



Pierwsza rozprawa przed Sądem Rejonowym Warszawa-Śródmieście odbyła się dopiero w 2003 roku.

Czas zrobił swoje. Świadkowie, którzy mieli kiedyś bardzo intratne posady, po odejściu z Peweksu zawodowo nic już nie znaczyli. – Emeryt, rencista – padały kolejne odpowiedzi na pytanie o miejsce pracy. W miarę upływu lat podupadali na zdrowiu, niektórzy kolejny raz wzywani na rozprawę mieli problemy z poruszeniem się, nawet mówieniem.

Trzeba było im przypominać, co mówili w śledztwie w 1995 roku. Po odczytaniu protokołu nie zaprzeczali, że mogli tak kiedyś zeznać, ale większość nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

Oskarżony Zbigniew H. stawiał się na rozprawie bardzo rzadko. Powtarzał to, co w śledztwie: Nie wie, dlaczego w ogłoszeniu o przetargu nie była podana cena wywoławcza i warunków wpłaty wadium. W tak dużym przedsiębiorstwie nie był w stanie sprawdzić każdego dokumentu. Zwłaszcza, że w tamtym czasie pojechał do Japonii na zaproszenie firmy Mitsubishi. Prezentował program naprawy Peweksu i negocjował spłatę zadłużenia. Sprzedają „Utraty” zajmował się dział inwestycji kierowany przez Andrzeja R. Decyzję o wyzbyciu się bazy magazynowej na rzecz Siano podjęła komisja przetargowa.

Powoli z tych strzępów informacji wyłaniał się obraz głównego oskarżonego w roli zarządzającego iluzorycznie wielkim majątkiem. Główna księgową Krystyna C zeznała, że przed ogłoszeniem przetargu nikt się do niej nie zwracał o dokumentację finansową. Nawet wtedy, gdy powstał problem z tzw. przeszacowaniem wartości „Utraty”. To był czas wysokiej inflacji (kilkaset procent rocznie) i decyzją prezesa GUS od nowa wyliczono wszelkie majątki i straty. Baza „Utrata” należała do warszawskiego oddziału Peweksu, ale sprzedawano ją na polecenie centrali. Księgową zorientowała się, że jeżeli do bilansu przyjmie się wartość bazy po przeszacowaniu, a nie zaksięgowaną wcześniej, Pewex będzie miał wykazane straty. A od tego tylko krok do upadłości. Wycofano się zatem z przeszacowania, co wyszło na jaw dopiero w śledztwie, gdy dwoje pracowników Peweksu – początkująca księgowka i kierownik działu inwestycji ujawnili, jakie otrzymali polecenie.

Mimo nieprawidłowości w bilansie, kreatywni finansisi nie urębowali firmy. Sąd zresztą nie zagłębiał się w tajniki tej wirtualnej księgowości, nie było to objęte aktem oskarżenia.

Świadkowie nie pamiętali liczb, dat, ale w ich głowach pozostała bufona da dyrektora-komisarza. Na sali sądowej nie padło ani jedno dobre słowo o oskarżonym. Jadwiga J. – w Peweksie przez piętnaście lat dyrektor do spraw osobowych i adiunktka (po odejściu z firmy już tylko bezrobotna) zapamiętała oprawiony w cztery strony ramki „program naprawczy”, który komisarz H. prezentował w Japonii. – To były ogłoszki, nie do zrealizowania – wreszcie pozwoła sobie na szczerość. – Nie wiem, jakie dokumenty szef zabral do Japonii, gdzie bawili aż trzy tygodnie. (Oskarżony twierdził, że tydzień). Po powrocie z delegacji służbowej nie składał sprawozdania, powiedział tylko, że wszystko poszło dobrze. Chwalił się, że kupił sobie na pamiątkę kałdanki.

W oczach Jadwigi J. dyrektor, choć wywodził się z ruchu związkowego, miał sfałszowaną satyrę. Wszelkie uzgodnienia strategii przedsiębiorstwa zapadały za zamkniętymi drzwiami w gabinecie H., otoczonego zausznikami i „miastem”. Kadra kierownicza nie była dopuszczana do strategii handlowej. Również jako komisarz Zbigniew

H. nigdy nie miał własnego poglądu na temat strategii przedsiębiorstwa. Chciał tylko sprzedawać majątek Peweksu, bo póki likwidował – zachowywał stanowisko.

– Ale my nie sprzeciwialiśmy się temu – zeznała była dyrektor od kadr. – Każdy wiedział, że to wszystko i tak wkrótce się rozpadnie.

Świadek dobrze zapamiętała posiadzenie w sprawie sprzedaży „Utraty”. Zostało zwołane w trybie natychmiastowym, trwało piętnaście minut. Tym razem ją zaproszono. – H. wychodził i wchodził, kładł jakiś dokument, potem go zabierał do innego pokoju, żeby stamtąd zadzwonić. To, co mówił o przedsiębiorstwie, było niespójne. On nie miał żadnych kwalifikacji, aby być szefem. Nie umiał zorganizować pracy ani kierować ludźmi – stwierdziła była szefowa kadr.

Odczucia Jadwigi J. wsparta swymi zeznaniami Ewa S., w 1993 roku radca prawni Peweksu. Też zapamiętała, że Zbigniew H. po powrocie z Japonii nie uznał za właściwe poinformowanie jej, do jakich doszło ustaleń z Mitsubishi. Potrzebne informacje wyciągnęła bezpośrednio od japońskich wierzycieli, gdy przyjechali do Warszawy. Rada prawni nie uczestniczyła w naradzie o ogłoszeniu przetargu na sprzedaż „Utraty”. Z protokołami posiedzeń zapoznana się później. Ale nie znalazła w nich odpowiedzi na interesujące ją pytanie: Na jakiej podstawie została ustalona cena „Utraty”? Również spisanie aktu notarialnego po sprzedaży tego obiektu odbyło się za plecami Jadwigi J.

Była dyrektor oddziału warszawskiego Peweksu Alicja K. przedstawiła szefowi centrali jako zarozumiałca, który nie przyjmował cudzych argumentów. Gdy sprzeciwiała się wchodzeniu w spółkę z amerykańską firmą Western Alliance Corporation, dostała natychmiastowe wypowiedzenie. Po dwudziestu latach pracy wkrótce się okazało, że utworzona nowa spółka Western Group korzystała z lokali sklepowych Peweksu, nie płacąc czynszu. Zaległości urosły do miliona złotych (po denominacji). Aby odzyskać pieniądze, Pewex skierował pozew do sądu, ale Amerykanie byli szybsi i ogłosili upadłość.

Oskarżony nie doczekał się dobrego słowa nawet od wierzycieli zagranicznych, którzy na bankructwie Peweksu zrobili niezły interes.

Bernard K., przewodniczący rady nadzorczej spółki Sanpro, uczestniczył w przebiegu za długą bazy „Utrata” (Pewex był winien tej firmie 8 mln dolarów). – Dyrektor H. i jego najbliżsi pracownicy lekceważyli nas jako wierzycieli, nie dążyli do porozumienia. Tak nie postępuje menedżer – zeznał przed sądem.



Ale nie umiejętności w zarządzaniu przedsiębiorstwem były oceniane przez sąd. Zbigniew H. został oskarżony o sprzedaż części majątku Peweksu po zaniżonej cenie. Zdaniem prokuratury, sprawca miał w znacznym stopniu ograniczoną zdolność rozpoznawania popełnionych czynów i kierowania swym postępowaniem. Postępowanie sądowe miało to zweryfikować.

Nie było to proste. Specjalista od badania bilansu Władysław T. na pytanie sądu, czy kwota 2 790 000 zł (po denominacji) uzyskana za bazę „Utrata” była adekwatna do rzeczywistej wartości magazynów wraz gruntem odpowiedział, że w sytuacji, gdy wpłynęła tylko jedna oferta, nie można wysnuć wniosku, czy była korzystna.

Więcej do powiedzenia miał ten biegły w kwestii tzw. przeszacowania wartości bazy. Z jego wyliczeń wynikało, że sprzedaż obiektu według wartości przed przeszacowaniem pozwoliła wykażać zysk z tytułu transakcji – prawie milion złotych na nowe pieniądze. Gdyby w księgowości wprowadzono kwotę po przeszacowaniu, wówczas Pewex poniósłby ponad dwa miliony złotych strat.

Zatem wycofanie się z przeszacowania, co autorytatywnie zarządził H., było celowe. Wykazywało, choć tylko na papierze, że jest skutecznym, dbającym o kondycję firmy komisarzem. Mieściło się też w granicach prawa. Bowiem konieczność przeszacowania dotyczyła tylko nowych nieruchomości, a magazyny na parceli „Utrata” kupionej niedługo od „Społem”, stały już od pewnego czasu.

Bardziej kategorycznie brzmiała opinia innego biegłego, Jana K., który w 1991 roku na zlecenie sądu gospodarczego ustalił wartość obiektu „Utrata”. Wtedy wyceńnię tę nieruchomości na ponad 51 miliardów starych zł (5,1 mln zł po denominacji). Skoro dwa lata później obiekt został sprzedany za 2,7 mln nowych złotych, to znaczy, że komisarz zażądał za mało. Czyli, działał na szkodę firmy, którą miał uratować od upadłości.

Sąd chciał, aby Zbigniew H. odniósł się do tych opinii, wyjaśnił, co ma na swoje usprawiedliwienie. Ale oskarżony nie stawił się na rozprawę, przed każdym terminem wysyłając usprawiedliwienie, że przeskoczył mu jakieś nadzwyczajne przy padłości losowe.

Tak lawirował do maja 2004 roku, kiedy sędzia uznała, że dla rozoznania sprawy nie wystarczy opinia psychiatrów z Lublińca wystawiona oskarżonemu w 1996 roku. Potrzebne jest aktualne badanie. Zwrócono się o to do biegłych psychiatry i psychologa ze szpitala specjalistycznego w Dąbrowie Górniczej.

W wywiadzie lekarskim 43-letni Zbigniew H. przedstawiał się jako człowiek od dawna mający problemy ze zdrowiem psychicznym. Ujawnił, że jest to w jego rodzinie dziedziczne. Jeden z braci był upośledzony umysłowo. Jemu, gdy był uczniem, upadła na głowę metalowa bramka na boisku.

Leczenie psychiatryczne podjął jeszcze przed 1996 rokiem (gdy trafił na obszar wację do szpitala w Lublińcu) – ale nie zachowała się dokumentacja z wizyt w prywatnych gabinetach. Szukał pomocy u specjalistów, gdyż był nerwowy, rozdygotany, miewał ataki złości. Przypuszcza, że wszystko to brało się z jego problemów zawodowych. Chciał za wszelką cenę uratować Pewex od bankructwa, a nie było to możliwe. W końcu został odwołany ze stanowiska. Gdy trzy lata później usłyszał zarzuty prokuratorskie, załamał się, sam zapukał do przychodni szpitala dla nerwowo chorych w Lublińcu. Przyjęto go na obserwację. Trochę podleczonej, po dwóch

tygodniach wrócił do domu z diagnozą poważnej choroby. Od tamtej pory wielokrotnie zmieniał posady, na coraz gorsze. Przez siedem miesięcy był na urlopie bezpłatnym – gdy wrócił do pracy, czekało na niego zwolnienie. Wtedy zdecydował się na prowadzenie własnej firmy dystrybucji towarów. Nie wyszło, wpadł w dług, musiał interes zlikwidować.

Obecnie nie układa planów na przyszłość. Nic go nie interesuje. Ma problemy z koncentracją.

Biegli psychiatrzy z Dąbrowy Górniczej nie znaleźli u Zbigniewa H. choroby psychicznej w rozumieniu psychocychozy oraz niedorozwoju umysłowego. Stwierdzili natomiast zaburzenia zachowania uwarunkowane zmianami charakteropatycznymi oraz depresją lękową (nie paranooidalną) o znacznym nasileniu. Zdaniem tych biegłych załmnięcie oskarżonego w areszcie może stanowić zagrożenie dla jego zdrowia. Nie ma natomiast przeszkód, aby uczestniczył w procesie sądowym.

Ale Zbigniew H. nadal nie stawił się w sądzie, choć zazwyczaj na kilka godzin przed rozprawą telefonicznie usprawiedliwiał swoją nieobecność. Od czasu do czasu wysyłał kserokopie wypisu z obserwacji na różnych oddziałach lecznictwa zamkniętego. Adresy wskazywały, że H. wędrował od szpitala do szpitala, nigdzie nie zatrzymywany na dłużej.

W październiku 2005 roku sąd zawiesił postępowanie przeciwko oskarżonemu z Peweksu do czasu ustabilizowania się kłopotów zdrowotnych byłego zarządcy komisyjnego. Uznano za konieczne dopuszczenie kolejnej opinii biegłych lekarzy.

Zazalenie prokuratury na to postanowienie skierowane do sądu wyższej instancji zostało uchylone.



Na badanie przez kolejnych biegłych oskarżony przyszedł z pełną teczką dokumentacji lekarskiej. Osobny pakiet kart chorobowych tego pacjenta wysłał do sądu różnie przychodnie i szpitale. Wynikało z nich, że od dnia, gdy prokurator przedstawił Zbigniewowi H. zarzuty, ciągle coś mu dolegało.

W roku 1996 w przychodni neuropsychiatrycznej w Opolu podał w wywiadzie, że ma „robaczki przed oczami, przerwy w rozumieniu, co się do niego mówi, oamy wzrokowe i słuchowe”. Gdy był dyrektorem i pracował osiemnaście godzin na dobę, lekcewazył te chwilowe niedyspozycje. W 1994 roku, po zwolnieniu go z Peweksu, zgłosił się do neurologa, który zalecił rehabilitację „i takie tam rzeczy”. Pomogło, ale na krótko. Wkrótce oamy słuchowe wróciły. I lęki, co z nim będzie.

W 1995 roku miał wypadek samochodowy, na krótko stracił przytomność. Ale nie było to nigdzie odnotowane.

Rok później, gdy prokuratura poszukiwała go listem gończym, ukrył się w szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu. Wypuszczono go po dwóch tygodniach z diałgnozą: nawracający zespół depresyjno-paranooidalny, myśli samobójcze.

Z roku 2000 oskarżony dysponował kartą informacyjną pacjenta oddziału kardiologii szpitala w Tykach. Stwierdzono nadciśnienie, hypercholesterolemię, otyłość polkarnową. Ale zdaniem lekarzy nie powinien zajmować łożka na oddziale chorich na serce, bo EKG miał w normie, podobnie jak zastawki aortalne. W wywiadzie lekarskim zaznaczono, że chory powołuje się na diagnozę psychiatrów z Lublińca o przebytym zespole depresyjno-paranooidalnym.

W latach 2001-2004 Zbigniew H. był częstym pacjentem poradni ortopedycznych. Uskarżał się na bóle kolana, jeden z lekarzy podejrzewał uszkodzenia łąkolek. Ale rentgen tego nie potwierdził. Natomiast zdjęcie kręgosłupa ujawniło nieznaczne zwężenie w wiązadle. W związku z widocznym płaskostopiem i koślawością palucha, ortopeda zalecił noszenie specjalnych wkładek do obuwi. W tymże 2001 roku Zbigniew H. niezadowolony z diagnozy kardiologów w Tykach zwrócił się o przebadanie go do specjalistów od chorób serca w szpitalu powiatowym w Olkuszu. Rozpoznano nadciśnienie tętnicze, niedomykalność zastawki mitralnej, cukrzycę, otyłość.

Otrzymał zaświadczenie, że w ciągu najbliższych tygodni nie może uczestniczyć w rozprawach sądowych.

W maju roku 2003 przedstawił w sądzie zwolnienie od ortopedy, który zgłaszane przez chorego dokładowe bóle barku określił jako nieznanego pochodzenia, gdyż badanie kręgosłupa nie wykazało odstępstw od normy. Daremnie też poszukiwano zmian patologicznych w obrębie stawu kolanowego – lekarz nie dopatrywał się żadnej choroby. W październiku 2003 roku oskarżony H. wielokrotnie był pacjentem Centrum Medycznego w Sosnowcu. Skarżył się na nadmierną potliwość, duszność. Dostawał po kilka dni zwolnienia na 1-4 dla sądu, w sumie uzbierało się 180 dni.

W 2004 roku był zarejestrowany w poradni dla cukrzyków. W kartotece tej przechodni nie odnotowano ani jednej recepty na insulinę czy zmiany dawek leków, co jest zasadą w leczeniu tej choroby.

Ponownie podejście Zbigniewa H. do kardiologów również nie przyniosło oczekiwanego przez niego efektu – i tym razem stwierdzono, że układ krążenia jest wydolny, nie ma cech niedomogi wieńcowej.

Natomiast dentysta wpisał do karty choroby zaawansowaną próchnicę.

Rok 2005 – na dwa dni przed terminem rozprawy sądowej Zbigniew H. zgłosił się do przychodni poradni ortopedycznej z silnymi bólami za mostkiem i ogólnym osłabieniem. Ale nie zgodził się – co odnotowano – na hospitalizację w celu znalezienia przyczyny dolegliwości.

W roku 2006 szukał u lekarzy pomocy głównie w związku z bólami kręgosłupa. Chciał się też upewnić, czy nie ma niedokrwiennej choroby serca (nie stwierdzono jej). Jak to robił od lat, w czasie pierwszej wizyty w kolejnej nowej przychodni przedstawił lekarzowi starą diagnozę ze szpitala psychiatrycznego w Lublińcu o stwierdzonym zespole depresyjno-paranooidalnym.

Tym razem w wywiadzie kardiolog zapisał: „Pacjent leczony psychiatrycznie, kontakt werbalny dobry, nastroj obniżony. Podaje, że od lat ma problemy z sercem. Ostatnio objawy się nasiliły. Narzeka na natłok przytkłych myśli, bóle głowy, urojenia, iluzje wzrokowe. Myśli o samobójstwie”.

Z pytaniem, czy Zbigniew H. może uczestniczyć w rozprawach, sędzia zwrócił się do biegłych: kardiologa, diabetologa, ortopedy, traumatologa i psychiatry.

Przyszła odpowiedź drugocząca dla oskarżonego, który nabrał wielkiej wprawy w omijaniu sądu: nie ma żadnych przeszkód zdrowotnych, aby stawiał się na wezwania.

Biegli zweryfikowali stare diagnozy, którymi posługiwał się Zbigniew H. Okazało się, że od dawna nie leczy się psychiatrycznie; ostatni raz był u lekarza tej specjalności przed sześcioma laty. Nie ma cukrzycy ani zmian patologicznych w kręgosłupie. Jedynie, co mu dolega, to otyłość, której nie wywołała żadna choroba, tylko nadmierna skłonność do objadania się.

Przewodnicząca składu sędziowskiego odetchnęła, bowiem wobec notorycznej, bez usprawiedliwionej zaświadczeniami lekarskimi absencji Zbigniewa H., postanowiono prowadzić dwa osobne postępowania sądowe: w sprawie byłego komisarza byłego specjalisty od inwestycji w centrali Peweksu. Powodowało to wiele komplikacji z przesłuchaniem świadków i niepotrzebne powielanie czynności procesowych. Najnowsza opinia biegłych pozwoliła na ponowne połączenie obu procesów, ponieważ „ustaly okoliczności poprzedniej decyzji”.

Z dwumiesięcznym wyprzedzeniem zawiadomiono Zbigniewa H. o terminie rozprawy. W przeddzień wokandy wysłał list: „W związku z otrzymaniem wezwania zwracam się o kopię lekarskiej opinii o stanie mego zdrowia w celu zapoznania się z jej treścią. Uprzejmie zawiadamiam, że obecnie jestem w trakcie leczenia, a ponadto nie mam jeszcze ustanowionego obrońcy. Na obrońcę z urzędu nie wyrażam zgody. Proszę o przełożenie rozprawy o 2-4 tygodnie w celu dokonania koniecznych ustaleń z adwokatem”.

Rozprawę przełożono.

H. odczekał, aż zbliżył się termin i wysłał do sądu dalekopis: – „Uprzejmie informuję, że doznałem urazu stopy (zaświadczenie w załączeniu) w związku z czym nie mogę się stawić na rozprawę. Zobowiązuję się dołożyć wszelkich starań, aby być obecnym w następnym terminie”.



Los mu sprzyjał. Ten następny termin okazał się odległy o prawie dziewięć miesięcy. Zastąpiła bowiem konieczność prowadzenia sprawy od początku, gdyż z przyczyn losowych zmienili się zespół orzekający.

W sierpniu 2007 roku nowa przewodnicząca składu sędziowskiego Dorota Radzińska poleciła, aby wezwanie na rozprawę wręczył Zbigniewowi H. osobiście

funkcjonariusz policji. Oskarżony pokwitował urzędowy druk i odwrotną stronę przesłał zwolnienie L-4 do końca miesiąca oraz kserokopię skierowania do szpitala. Uprzedził, że z uwagi na trwające akcje protestacyjne w służbie zdrowia uzyskanie dodatkowych zaświadczeń może się okazać niewykonalne.

Sędzia wyznaczyła kolejną rozprawę za dwa tygodnie. Oskarżony przyjechał z nowym adwokatem. Ponieważ wcześniej prosił o obrońcę z urzędu, na sali sądowej doszło do nerwowej sytuacji. Desygnowana przez sąd adwokat z urzędu poczuła się zlekceważona, bo nikt jej nie uprzedził, że nie będzie już potrzebna. Drugi mecenas wniósł o odroczenie rozprawy, gdyż nie miał okazji zapoznać się z aktami. Sędzia nie miała wyjścia, musiała wniosek uwzględnić.

Na następnej rozprawie (pod koniec października 2007 roku) znów zaszła zmiana – tym razem adwokat z wyboru złożył wypowiedzenie pełnomocnictwa Zbigniewowi H. Jak zwykle w takiej sytuacji przyczyna została określona enigmatycznie: „konflikt interesów”.

Luty 2008. Ponieważ proces toczył się od nowa, oskarżony Zbigniew H., który z zawodu już nie był technikiem leśnictwem, ale pedagogiem z dyplomem szkoły wyższej (omamy i paranoje nie przeszkodziły mu studiować) musiał ponownie odpowiedzieć sądowi, czy przyznaje się do zarzucanych mu czynów.

Otóż nadal się nie przyznawał. – Uważam – wyjaśnił do protokołu – że wszystkie decyzje na stanowisku dyrektora i komisarza Peweksu podejmowałem właściwie, konsultując je z ministrem handlu. Korespondencja między Peweksem a organem zaopieczniającym szła na bieżąco. Również program naprawy firmy, w tym sprzedaż Japończykom bazy „Utrata” za 1 750 000 dolarów był zaakceptowany przez szefa resortu. Nikt z członków komisji przetargowej nie składał zastrzeżeń. Podpisanie aktu notarialnego też odbyło się jednogłośnie.

Na tym oskarżony zakończył składanie wyjaśnień. Uprzedził, że w dalszym zakresie odmawia odpowiedzi na pytania stron.

Przez kolejne miesiące w sądzie go nie widziano – wysłał faksem własnoręcznie napisane usprawiedliwienia. Raz bolały go zęby, to znów nalożyły mu się terminy rozpraw, bo miał jeszcze jedną sprawę karną o niegospodarność w Peweksie, która toczyła się przed sądem w Krakowie.

Sędzia Radlińska niezadowolona kwitowała w protokole te czasami irytujące wybiegi i tak proces zmierzał do finału.

Niewiele już jednak sąd dowiedział się od ponownie wezwanych świadków. Prawie piętnaście lat, które upłynęło od sprzedaży bazy „Utrata” zatępiło w ich pamięci okoliczności tego wydarzenia. Zeznania brzmiały podobnie do złożonych przez Elżbietę Sz.: – Mało co pamiętam. W Peweksie byłam chyba specjalistką do spraw majątku. Zajmowałam się księgowaniem dokumentów, obliczaniem umorzeń długów, sprawdzałam inwentaryzację. Hasło „Utrata”? Nic mi to nie mówi.

Wielu świadków nie mogło się stawić z powodu ciężkiej choroby albo wyjazdu na stałe do rodziny za granicą.

Natomiast wezwani specjaliści od tak zwanego operatu szacunkowego nieruchomości, podkreślali w swych opiniach, że to, o co oskarżono byłego komisarza Peweksu zdarzyło się w szczególnym okresie transformacji. Wtedy firmy państwowe masowo plajtowały, na rynku pojawiło się wiele nieruchomości, na które nie było chętnych. Umowa z 1993 roku o sprzedaży „Utraty”, z dzisiejszego punktu widzenia może i niekorzystna dla Peweksu, wtedy mogła być uważana za koło ratunkowe dla tonącego w długach przedsiębiorstwa.

Zbigniew H. nie miał okazji usłyszeć tych argumentów, bo z zimną krwią recytował swoje stanowisko na rozprawach. Gdy wreszcie się pojawił, miał z sobą wniosek o zmianę obrońcy z urzędu. – Moją obronę dokonywana przez adwokatów z urzędu jest jedynie formalna i ogranicza się do uczestniczenia pełnomocnika w rozprawie. Obecny mecenas nie kontaktuje się ze mną w żadnej kwestii – wyjaśnił.

Zmiana adwokata nie poprawiła jednak absencji oskarżonego na rozprawach. Tak zeszło do stycznia 2009 roku.

Zadzwonił wówczas, że nie stawi się na rozprawie, bo są zaspasy, pociągi z Opola gdzie obecnie mieszka, mają opóźnienie.

W tym czasie sędzia zabiegała o opinię kolejnego rzeczoznawcy wartości rynkowej nieruchomości. Jedyny w Warszawie biegły sądowy, który gotów był przyjąć zlecenie, wyznaczył termin za trzy miesiące. Nie dotrzymał go, ostatecznie sporządził ekspertyzę z półrocznym opóźnieniem, pod koniec września 2009 roku.

Była korzystna dla komisarza H. Biegły oszacował wartość nieruchomości w dniu jej sprzedaży w lutym 1992 roku na 3,2 miliona zł, licząc w złotych po denominacji. Przed sądem zaznaczył, że jest to najbardziej prawdopodobna cena, jaką może być wówczas uzyskać. Nie uwzględniła preferencji ani gustów indywidualnych. Zatem kwota, za którą działka została przekazana nabywcy mieściła się w granicach ceny rynkowej.

Gdy w listopadzie 2009 roku sędzia ogłosiła, że zamyka przewód sądowy, oskarżonego na sali nie było. Wszedł później, przepraszając za spóźnienie. Zdążył usłyszeć, że prokurator, a następnie obrona wnoszą o uniewinnienie. I sąd wydał taki wyrok.

Zbigniew H. wyszedł z gmachu różnym krokiem. Żeby dostać się na pobliski Dworzec Centralny, musiał przejść podziemne skrzyżowanie ul. Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Tam, jak co dzień, przy schodach stały kobiety z torbami foliowymi na sprzedaż. Wśród reklamówek z krzykliwymi portretami Madonny innych celebrytów zawieruszyły się archiwalne „foliówki” ze skromnym małumkiem motyka w trzech kolorach i logo Peweksu. 10 złotych – to cena wywoławcza kompletu pięciu sztuk.

Nie wiadomo, czy lekki jak motylek Zbigniew H., uniewinniony od brzemienia przestępstwa, wydał te 10 zł na pamiątkę swego dyktorowania w stołcu...

Proszę nie stawiać inicjałów w miejscu mego nazwiska – powiedział prof. dr Jan Podgórski do dziennikarzy tuż przed rozprawą – chcę się bronić z otwartą przybitką.

Proces byłego szefa Wojskowego Instytutu Medycznego przy ul. Szaserów (dawnej Centralnego Szpitala Klinicznego WAM), kierownika Kliniki Neurochirurgii, oskarżonego o łapówkarstwo i fałszowanie dokumentacji medycznej toczył się przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie.

Acta prokuratorские sprawy profesora otwiera 20-stronicowy, napisany zapewne przez psychopatę, anonimowy donos z początku 2006 roku, poświęcony „nieprawidłowościom w szpitalu przy Szaserów”, w najmniejszym stopniu (!) dotyczący gen. Podgórskiego. Jednak minister Ziobro polecił zandarnierii oraz innym służbom rozpocząć akcję wyłączenie przeciwko profesorowi... Ówczesny szef CBA Mariusz Kamiński oświadczył na konferencji prasowej, że generał Jan Podgórski „organizował najgroźniejszym przestępcom w Polsce dokumentację medyczną, którą się posługiwali, aby uniknąć więzienia”.

Znanemu neurochirurgowi prokuratura postawiła siedem zarzutów. Najważniejsze, to fałszywe zaświadczenia lekarskie dla gangstera Andrzeja Z. ps. Słowik, bossa pruszkowskiej mafi. A także dla Patryka W. oskarżonego o przestępstwo gospodarcze.

Generała nie aresztowano – czego domagała się Wojskowa Prokuratura – gdyż sąd, nie przekonany do rzetelnego udokumentowania zarzutów, nie chciał wydać na to zgody. Jan Podgórski został natomiast pozbawiony funkcji szefa kliniki w szpitalu przy ul. Szaserów. I zwolniony z wojska. Jako cywil pracuje w prywatnym gabinecie.

Poza profesorem zarzuty postawiono czterem lekarzom ze szpitala przy ul. Szaserów i Wojskowego Instytutu Medycznego Lotniczej. Ponadto dwóm pacjentom, którzy wspierając się diagnozami ze szpitala MON usiłowali wyłudzić w ZUS świadczenia pieniężne oraz byłej żonie „Słowika”. Oprócz pieniędzy, korzyściami uzyskiwanymi od pacjentów były – według aktu oskarżenia – remont domu i obietnica nabycia samochodu na szczególnie ulgowych warunkach.

Profesor i pozostali oskarżeni lekarze z WIM nie przyznali się do winy w żadnej mierze. Jedynie współpracujący blisko z CBA oraz zandarnierią plk Robert J. – były kierownik Zakładu Rehabilitacji w Wojskowym Instytucie Medycznym Lotniczej, nie zaprzeczał aktowi oskarżenia. Obciążył też byłego szefa WIM oświadczeniem, że profesor za obejrzenie i zaopiniowanie dokumentacji medycznej starających się o rentę w ZUS w dwóch przypadkach przyjął kwotę 300 zł.

Poza podpułkownikiem J. na niekorzyść profesora zeznawał w śledztwie m.in. Jarosław R., znany gangster z Suwalki. Twierdził on, że w 2006 roku za przyjeżdżenie do kliniki, wystawienie zaświadczenia o leczeniu i przyspieszenie operacji zapłacił łącznie 4000 złotych.

Nad tym procesem, nim się zaczął, już wisiał medialny wyrok, że w szpitalu przy Szaserów dekowali się przed więzieniem przestępcy mafijni. Nie jest możliwe, twierdził dziennikarze, aby doktorzy z tego – trudno dostępnego w latach 90. dla pacjentów „z ulicy” szpitala – nie wiedzieli, kto ukrywał się na łóżku chorego. Z dochodzenia CBA wynikało, że za miejsce dla poszukiwanego gangstera lekarz utrzymywał nawet kilkadziesiąt tysięcy dolarów...

W tie rysował się horror z 1994 roku, kiedy do Centralnego Szpitala Klinicznego MON w Warszawie, trafił postrzelony Andrzej F. ps. Fłorek, ochroniarz bossa „Pruszkowa” o pseudonimie Pershing. Był on traktowany szczególnie – leżał w jednoosobowej sali. Wkrótce potem znalazł się tam inny przestępca z pruszkowskiej mafi – Jerzy W. ps. Żaba. Nic mu nie dolegało; ukrył się za szpitalnym parawanem, by uniknąć udziału w procesie gangru tzw. Rympatka. (Na warszawskim Ursynowie ze swoją bandą napadł na konwój z pieniędźmi i zrabował 1,2 mln zł).

Była też nagłośniona w mediach sprawa „Słowika”. W roku 2002, w czasie procesu gangru pruszkowskiego, przypadkowo wyszło na jaw, że chroniony przez antyterrorystów Andrzeja Z. nie może się doczekać wyroku od dziewięciu lat. Oskarżony już nawet nie pamiętał, co mu niegdyś, w roku 1993, zarzucano. (Chodziło o handel przemycałym z zagranicy spirytusem „Royal”).

Prokurator domagał się odpowiedzi, dlaczego ta sprawa nie została osądzona. Okazało się, że najpierw trafiła do Sądu Rejonowego w Nowym Dworze. Absurdalny powód: świadkowie z okolicy mają lepsze połączenie komunikacyjne z tym miasteczkiem niż z Warszawą. Pierwszy termin procesu został wyznaczony na początek 1994 roku. Ale do rozprawy nie doszło, bo „Słowik” nie stawił się w sądzie.

Mimoby dwa lata. Na ponaglenia z prokuratury sąd odpowiadał, że sprawdza miejsce pobytu oskarżonego. W 1996 roku akta sprawy przemytu spirytusu wyprodukowała prokuratura w Łodzi. Następnie tę samą operację powtórzyły organy ścigania w Szczecinie. I nadszedł 2000 rok. Zimą wybuchła afera z przedawnieniem sprawy opaleniu akt SB. Rozżalony minister sprawiedliwości zarządził w warszawskim sądzie generalny remanent pod kątem, jakże jeszcze zalegają akta, bliście przedawnienia. Postanowiono dla nich tzw. szybką ścieżkę. „Royal” na tej liście nie było. Sprawa nadal więc nie trafiła na wokandę. W lutym 2001 roku akta powędrowały do prokuratury warszawskiej, bo toczyło się śledztwo przeciwko „Pruszkowowi”.

Gdy w czerwcu 2002 roku wróciły do sądu, okazało się, że wkrótce nastąpi przedawnienie. Szybko wyznaczono termin procesu. Ale znów nie udało się zapelić ławy oskarżonych – „Słowik” siedział w areszcie ekstradycyjnym w Hiszpanii. Poza tym, gdzieś przepadł jeden tom akt; trzeba było go odtworzyć. Nim to się stało, prokurator wystąpił o umorzenie głównych zarzutów...

W czasie procesu „Pruszkowa” słynny już skruszony przestępca świadek kołomy Jarosław S. o ksywie „Masa” zeznał, że mafia, do której należał, miała też

przekupionych lekarzy, przygotowujących fikcyjne historie chorób lub też stawiających diagnozę, że podejrzanego nie można aresztować, bo tak jak np. herszt „Wolomina” N. pseudonim Dział, cierpi na klaustrofobię. Gangsterom służyli ordynatorzy i biegli sądowi. W Warszawie zwłazcza dwa szpitale miały się cieszyć wzięciem symulantów z „Pruszkowa” – wojskowy przy ulicy Szaserów i psychiatryczny w Tworkach.

„Masa” zeznał do protokołu sądowego: – „Słyszałem, że stan zdrowia „Słowika” jest dobry, a zaświadczenie lekarskie zostało kupione. Bolo (jeden z gangsterów „Pruszkowa”) mówił, że załatwienie dla „Słowika” zaświadczenia lekarskiego u doktora z Szaserów kosztowało nas 600 000 dolarów”.

Wracam jednak do dramatycznych wydarzeń w szpitalu wojskowym. W październiku 2000 roku leżał tam na oddziale rehabilitacji chirurgicznej Andrzej C. ps. Kikira. Herszt gangu z podwarszawskich Marek. Wracał z żoną z imprezy pod Wolominem, gdy jego bmw zostało ostrzelane z pistoletu maszynowego. Cudem uniknęli śmierci.

„Kikira” doskonale wiedział, że jest ofiarą mafijnych porachunków. Jego gang nie padał na tiry, ścigał haracze, porywał dla okupu. Dwa miesiące wcześniej przestępcy uprowadzili 17-letniego Kamila, syna przedsiębiorcy z okolic Wyszkowa. Za jego uwolnienie zażądali od ojca chłopaka miliona dolarów. Porwanie było czynem którego „żołnierze” „Kikira” dopuścili się na własną rękę. Ich herszt, gdy dowiedział się od policji o tej niesubordynacji, wpadł w szal. Gang się rozpadł. Ci, którzy się odłączyli, mieli uzasadnione obawy, że „Kikira” wkrótce ich pozabija.

Postanowili go uprzedzić, wrzucając granat do sali chorych, gdzie gangster leżał. Ale okazało się, że materiał wybuchowy był wadliwy i ostatecznie wyrok wykonał płatny zabójca „Alik” z Ukrainy – za 100 000 złotych. W sali, w której leżał samotnie Andrzej Cz., pojawił się w przebraniu księdza, oddał sześć strzałów. W drzwiach zderzył się z pielęgniarką.

Po dziewięciu latach przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga rozpoczął się proces o tę zbrodnię. Bez udziału bezpośredniego zabójcy, który wkrótce po wykonaniu wyroku na „Kikira” został zastrzelony przez nieznaną sprawców.

Są to dwa różne procesy, ale pewne wątki dotyczące systemu opieki nad chorymi w wojskowym szpitalu się nakładają.

◆ ◆

W procesie lekarzy ze szpitala przy ul. Szaserów prokurator usiłował podeprzeć akt oskarżenia zeznaniami, a właściwie pomówieniami, słynnego świadka koronnego „Masy”. Jako wiecei z drugiej ręki, ogólnikowe i zasłyszane od innego gangstera, nie mogły stanowić dowodu. Sądowa weryfikacja poszczególnych zarzutów prokuratorskich wykazała, jak bardzo były niesprawdzone. Po wysłuchaniu świadków i wyjaśnień oskarżonych padły jeden za drugim.

Zdaniem szefa CBA, prof. Podgórski sporządził dla „Słowika” sfalszowaną dokumentację medyczną, aby ten uniknął więzienia. Motorem oszustwa była rozważona z Andrzejem Z. Moniką B. i z tego powodu postawiono jej zarzut. Ale była żona „Słowika” od początku twierdziła, że naprawdę szukała w szpitalu przy ul. Szaserów pomocy dla osadzonego w areszcie ojca jej dziecka.

Tę wersję potwierdziło zeznanie Joanny P. Kobiety poznały się w latach 1998–2000, gdy przychodzili na widzenia z ich osadzonymi w areszcie mężami.

– Monika zwierzała mi się – powiedziała w sądzie świadek – że gdy „Słowik” wyszedł z aresztu na przepustkę, był w takim stanie, że „robił pod siebie”. Załamana, szukała dobrego lekarza. Dałam jej numer telefonu dr. Andrzeja M. ze szpitala przy ul. Goszczyńskiego. Nie wiem, czy Monika wręczała mu pieniądze. Pamiętam tylko, że gdy się umawiała na wizytę, to nie chcąc ujawnić głośnego już wtedy nazwiska męża powiedziała, że potrzebuje konsultacji do swojej chorej babci.

Dr Andrzej M. był także oskarżonym w tym procesie. Nie stawiał się na rozprawie z powodu depresji.

Został natomiast doprowadzony z więzienia – w charakterze świadka – Andrzej Z. pseudonim Słowik. Groźnego przestępcę w czerwonym kombinezonie otaczało kilku uzbrojonych po zęby antyterrorystów, co wywołało spore zamieszanie na wąskim korytarzu wojskowego sądu. Więcej było przygotowań zabezpieczających niż samej obecności świadka na sali rozpraw. Andrzej Z. skorzystał bowiem z prawa odmowy zeznań, jako były mąż oskarżonej.

Nie stronił natomiast od odpowiedzi prof. Jan Podgórski.

– W 1998 roku – wyjaśnił w pierwszym dniu sądowego przesłuchania – wydałem Andrzejowi Z., zgodnie z prawdą, jedynie zaświadczenie, iż był przeze mnie leczony ambulatoryjnie. Nie wzięłem za to żadnych pieniędzy. Później, gdy pacjent znalazł się w więziennym szpitalu, na prośbę jego rodziny i lekarza więziennego, uczestniczyłem w konsultacji medycznej. Orzekłem wtedy, że Z. kwalifikuje się do leczenia operacyjnego z powodu dyskopatii łądźwiowej, co potwierdziło kilku innych konsultantów, zaś pacjenta zoperowano w CSK MSWiA dopiero kilkanalet później.

Znany neurochirurg twierdził, że dopiero w areszcie przy ul. Rakowieckiej dowiedział się, że jego pacjent jest gangsterem z pruszkowskiej mafii. Nie miał też pojęcia, że inny młody mężczyzna, który zgłosił do niego z bólami krzyża to poszukiwany przestępca z Suwalk.

Ten pacjent – Jarosław R. – ani razu nie stawiał się na wezwanie sądu. Nie jest znany jego adres zamieszkania. Wiadomo tylko, że po złożeniu w prokuraturze zeznań obciążających lekarzy ze szpitala przy ul. Szaserów, a zwłazcza ordynatora neurochirurgii, szybko opuścił zakład karny. Z trzyletniego wyroku odsiedział tylko pół roku. Obecnie jest poszukiwany listem gończym, ale do innego postępowania.

Zeznawali inni świadkowie, a nawet współsprawcy pomówienia profesora.

Stawiła się Barbara T. lat 50, drobna, schorowana. Na rutynowe pytanie sędziego, co wie o sprawie, w której zeznaje, najpierw wymienia szereg swoich poważnych dolegliwości, od lat leczonych w warszawskim szpitalu na Bródnie. Potem uprzedziła, że nic nie będzie mówić, bo już raz prokuratorzy z niej wyduszali informacje, grożąc długoletnim więzieniem (siedziała wtedy w areszcie w związku z inną sprawą) i o mały włos nie przyplaccia tego życia. Z nerwów zapomniała wziąć insulinę, spadł jej cukier we krwi, była półprzytomna.

Zatem sędzia odczytał protokoł przesłuchania Barbary T. w śledztwie:

Z Jarosławem R. poznał ją jej ówczesny partner Marek M. To był rok 2006, Jarek zwierzył się, że jest na przepustce z więzienia, ma jeszcze kilka lat do odsiadki. Nie chce wracać za kraty, chciałby sobie zorganizować papiery ze szpitala, najlepiej z neurochirurgii.

Wtedy Marek powiedział, że on zna dr. Podgórskiego, który za pieniądze napisze Jarkowi, że niby miał operację i nie może leżeć w celi na pryczy. Żeby nie było podejrzeń, Jarek zarejestruje się w przychodni przy szpitalnej, a ordynator trochę przetnie skórę poddawionemu chłopakowi, który będzie podobny do R. i będzie nosił takie samo imię. Za fartygę poszukania zmiennika Marek dostał od Jarła 20 000 złotych.

— Moja rola — zeznała w śledztwie Barbara T. — miała polegać na tym, że pojedę z Jarkiem na Szaserów i pokażę mu, gdzie przyjmuje prof. Podgórski.

— Nie potwierdzam wyjaśnień składanych w prokuraturze — zeznała na rozprawie Barbara T. — Nie wlewn, dlaczego opowiadałam takie głupoty. Nie znam dr. Podgórskiego, w ogóle żadnego z lekarzy na ławie oskarżonych. Marek M. krótko był moim partnerem. Siedziałam z nim przy kawie, gdy podjechał R., przedstawił się jako Jarek. Nie było rozmowy o załatwianiu dokumentów ze szpitala. Marek powiedział mi, że Jarek nie jest z Warszawy i chciałby zapisać się do neurochirurgia w przychodni szpitalnej przy ul. Szaserów i zapytał, czy mogłabym mu w tym pomóc. Przecież wiem, jak się poruszac w szpitalu. Zgodziłam się. Później jeszcze raz spotkałam się z R., bo pożyczycy mi 400 złotych. Oddałam, gdy tylko przyszła renta z ZUS.

Nie mam pojęcia, skąd się wziął w moich zeznaniach przed prokuratorem ten chłopak, że niby był operowany zamiast R. Ja choruję na cukrzycę, jak nie weźmie w porę proszku, nie wiem, co mówię. Mam zaburzenia świadomości, teraz też mi się bardzo się skupić, aby odpowiedzieć na pytania. Nieprawda, że Marek dostał od R. 20 000 złotych. Ja go nie bromię, bo mnie zostawił, wyjechał za granicę i nie daje znaku życia, po prostu teraz mówię prawdę.

Zeznania Barbary T. uzupełnił przed sądem inny świadek, niegdyś kolega Jarosława R., twierdząc, że „historię z podstawionym rzekomym pacjentem Jarek wymyślił na czynieś polecenie”.

Z kolei powołany na świadka dr Maciej Rz. z kliniki neurologii WIM opowiadał, jak to było z przyjęciem na jego oddział Jarosława R. W relacji tego świadka w lip

cu 2006 roku podeszła do niego, wówczas lekarza o niewielkim strażu, pielęgniarka z informacją, że telefonuje dyrektor szpitala prof. Podgórski.

Dr Rz. usłyszał, że zgłosi się pacjent Jarosław R., który cierpi na bóle krzyża i powinien być zdiagnozowany na neurologii. Ale nie ma skierowania do szpitala. Prosiła profesora była taka, aby lekarz wypisał choremu to skierowanie. — Nie badałem pacjenta — zeznał Rz. — Polegałem na wiedzy profesora. Weryfikowanie rozpoznania tak wielkiego autorytetu medycznego byłoby nietaktem. Ale w czasie rozmowy z pacjentem coś mnie zaniepokoiło. Nim chorego przejął lekarz dyżurny Ryszard J., R. poprosił mnie o wypisanie zaświadczenia dla sądu w Suwalkach, że leży w szpitalu wojskowym. On mówił, że czeka go operacja na neurochirurgii, a ja odniosłem wrażenie, że wyolbrzymia swoje dolegliwości. Dr Ryszard J. też uważał, że wystarczy leczenie zachowawcze. Dlatego w zaświadczeniu dla sądu nie podałem informacji o stanie zdrowia pacjenta, a jedynie o jego pobycie w klinice.

— Czy zauważył pan oznaki bliższej znajomości między moim klientem a tym pacjentem? — zapytał świadek mecenas Marian Hilarowicz, obrońca oskarżonego Jarosława R. w Podgórskiego:

— Nie. Profesor wykazywał dużą życzliwość wszystkim chorym. Taką też miał w szpitalu powszechną opinię.

Po tym zeznaniu oskarżony skorzystał z prawa do złożenia oświadczenia. Wyjaśnił, że Jarosław R. przez kilka miesięcy umawiał się z nim w kwestii ewentualnej operacji — twierdził, że ma obszerną dokumentację swojej choroby.

— Ciągłe zmieniał termin, a ja tylko przeklejałem kartkę w kalendarzu przyjeżdżać do kliniki. Gdy wreszcie się stawił, poprosiłem go o pokazanie aktualnych badań — przede wszystkim zdjęć rezonansu magnetycznego, wykonanego w Szpitalu Bródnowskim, o którym mi wcześniej mówił. To, co zobaczyłem na kliszy, było nieadekwatne do skarg pacjenta, rzekomo cierpiącego na „straszliwy ból”. Nie mając podstaw, by go przyjąć do kliniki na operację, dla spokoju sumienia poszedłem poradzić się ordynatora neurologii prof. Adama Stępnia. On uznał, że skoro człowiek tak cierpi, trzeba go przebadac na neurologii... I dlatego zadzwoniłem do dr. Macieja Rz.

W tym momencie emocje oskarżonego wzięły górę nad jego opanowanym sposobem bycia. Profesor wyrzucił z siebie: — Przyszedł do mnie chory prosić o ulgę w cierpieniu, a potem okazało się, że to cwaniak, kryminalista.

Ryszard J., lekarz, który na neurologii prowadził Jarosława R., zeznał w sądzie, że rutynowo skierował chorego na zabiegi rehabilitacji i fizykoterapii. Tymczasem...

— Pacjent uprzedził mnie, że dostanę pismo z sądu w Suwalkach w jego sprawie i będzie musiał na nie odpowiedzieć. Rzeczywiście, przyszedł taki list z zapytaniem, jak długo skazany Jarosław R. pozostanie na szpitalnym łóżku i od kiedy może kontynuować odbywanie kary pozbawienia wolności. Odpowiedziałem sądowi jakie jest rozpoznanie (dyskopatia lędźwiowa i rwa kulszowa) i że nie wykluczam operacji,

bo chory miał takie kwalifikacje z neurochirurgii. To pismo pokazałem szefowi naszej kliniki, który na obchodzie doszedł jednak do wniosku, że chory symuluje i ka-zał go jak najszybciej wypisać. Na wszelki wypadek zrobiliśmy badania wyklucza-jące dyskopatię i rwę kuluszową. Jarosław R. za zaświadczenie do sądu wręczył mi w kopercie 400 zł. Ze słowami: – „Nie wiem, co pan doktor pije, proszę samemu so-bie coś kupić...”. Żałuję, że wzięłem te pieniądze...

Gdy sędzia odczytał Ryszardowi J. jego zeznania w śledztwie, świadek zaprze-czył niektórym słowom z protokołu. Przede wszystkim stwierdził, że dr Podgór-ski pomagał Jarosławowi R. uniknąć odpowiedzialności karnej.

– Chciałem powiedzieć, że oskarżony profesor został zmanipulowany przez gang-ster. Gdyby naprawdę zamierzał ułatwić Jarosławowi R. uniknięcie więzienia, to by go operował bez odsyłania na konsultację neurologiczną. Potem mogłoby wy-stąpić rzekome powikłania, następnie pół roku rehabilitacji i ewentualnie znów sil-ny zespół bólowy, trudny do wykrycia. Mówiąc w śledztwie o Jarosławie R. – jako protegowanym profesora – wyraziłem się nieprecyzyjnie. Fakt, że ordynator neuro-chirurgii dzwonił i prosił o przyjęcie tego pacjenta na nasz oddział, znaczy tylko ty-le, że miał wątpliwości, czy operacja jest potrzebna. Na neurologii wielokrotnie zda-rzają się dyskwalifikacje pierwotnej decyzji położenia pacjenta na stół.

Świadek zaprzeczył też, jakoby sugerował w śledztwie, że żona profesora pra-cująca w szpitalu przy ul. Szaserów jako radiolog, mogła podmienić klisze.

– Zapytali mnie – wyjaśniał na rozprawie – czy na radiologii można sfałszować opis rezonansu magnetycznego. Odpowiedziałem, że wszystko można sfałszować. A czy np. żona prof. Podgórskiego, która tam pracuje, mogłaby podstawić klisze in-nego pacjenta? Odpowiedziałem, że każdy mógłby to zrobić, ale ja nikogo nie po-dejrzewałem.

W chwili później oskarżony profesor zaprzeczył, by wspomniana lekarka była jego żoną.

Adwokaci wypytywali świadka, skąd u niego taka znajomość procesu tworzenia fikcyjnej dokumentacji lekarskiej. – Z życiowego doświadczenia – twierdził dr J. Z ta-ką praktyką spotkał się szczególnie w sytuacjach, gdy potrzebne były zaświadcze-nia lekarskie dla ZUS lub na prawo jazdy. Miał też do czynienia z czymś przestęp-stwem podmiany nazwiska na kliszy z rezonansu. To było zrobione w celu uniknięcia poboru do wojska. Akurat w tym przypadku fałszerz wpadł, bo podstawił zdjęcia 70-latkę ze zmianami zwyrodnieniowymi.

Prokurator usiłował uratować wiarygodność zeznań swego świadka w śledz-twie, ale Ryszard J. z uporem twierdził, że nie tak zeznawał. A dlaczego podpisał protokół? Bo czytał po łebkach, gdyż zapomniał wziąć okulary. I szczegółowo opo-wiadał, w jakich okolicznościach był przesiłuchiwany: jeszcze nim doszło do for-malnego spisania protokołu, poproszono go wraz z trzema innymi lekarzami, też z neurologii, na „prywatne” spotkanie z podpułkownikiem Żandarmerii Wojskowej

stawomirem Nowalciem w warszawskiej kawiarni „Wiedeńska”. Po podaniu kawy, oficer wyciągnął kodeks karny i zaczął im przeczytać przepisy dotyczące składania fałszywych zeznań. Mówił, że wie dużo, ale jeszcze nie pora, aby to ujawnić. Jego pytania dotyczyły różnych pacjentów, m.in. chodziło mu o leczenie głośnego afe-ryzisty Bogusława B.

– Gdy tłumaczyłem się niepamięcią – zeznawał Ryszard J. – pułkownik dał mi trzy dni na przypomnienie sobie, w przeciwnym razie zostanie wezwany na prze-słuchanie do żandarmerii. Zostawił numer swojego telefonu komórkowego, gdyby mi coś przyszło do głowy; radził, żeby tak to się skończyło.

Na drugi dzień koledy w klinice przypomineli mu o sprawie pacjenta Jarosła-wa R., więc zadzwonił. Wtedy pułkownik zaprosił go do hotelu Belweder. Odhaczył nazwisko R. w swoim notesie i zaraz potem padła ksywa „Słowik”.

– Zadrzałem, bo gdy powiedziałem, że nie znam nikogo takiego, widziałem po-jego twarzą, że mi nie wierzy. Ten funkcjonariusz groził, że będę zatrzymany w szpi-talu i wyprawadzony na oczach pacjentów. Wtedy szybciej sobie wszystko przypo-mną... Nie wiem czy był to szantaż, czy może taki żart.



Podobnej treści zarzut sformułowania fałszywej dokumentacji lekarskiej, aby za-mknąć w celi więzień mógł wyjść na wolność, prof. Podgórski otrzymał w zwią-zku z areztowaniem Patryka W.

Profesor znał tego pacjenta od 1986 roku. Wówczas osiemioletni Patryk doznał po-ważnych obrażeń w wypadku samochodowym. Chłopiec wracał z ojcem i kolegą z wakacji na Mazurach. Doszło do zderzenia pojazdów. Tak się złożyło, że neurochi-rurg ze szpitala przy ul. Szaserów był pierwszym, który ratował ofiary tej katastro-fy. W szpitalu w Nidzicy Patryk przeszedł operację nogi – niestety, nieprawidłowo zrekonstruowano kość udową. Miał niedowład stopy, a jego współtowarzyszowi z wypadku operowano krwiak wewnątrzczaszkowy. Zrozpaczony ojciec chłopca Krzysztof W. szukał ratunku dla swego dziecka. Dowiedział się, że w szpitalu MON przy ul. Szaserów pracuje wybitny neurochirurg prof. Jan Podgórski. W. był szczę-śliwy, gdy po konsultacji w szpitalu w Nidzicy profesor zajął się poszkodowanymi chłopcami. To była długa walka o odzyskanie sprawności nóg – z uwagi na wadę ser-ca ponowna operacja nie wchodziła w rachubę. Leczenie zachowawcze w szpitalu trwało prawie rok, a potem przez wiele lat już w prywatnym gabinecie profesora.

W 2002 roku 24-letni Patryk W. został areztowany. Prokuratura w Bielsko-Białej postawiła mu zarzut wyłudzenia podatku VAT. W więzieniu nasiliły się dolegliwo-sci związane z wypadkiem w dzieciństwie. Jak twierdził przed sądem Krzysztof W., jego syn krzyczał z bólu, a lekarz więzienny uważał, że to symulowanie choroby.

Ojciec areztowanego postanowił uzyskać od prof. Podgórskiego zaświadcze-nie o długoletnim leczeniu Patryka w szpitalu przy ul. Szaserów i w ten sposób

wyciągnąć aresztanta do domu. Pojechał do profesora, ale wstrząsł się przyszanę po co mu taki dokument.

– Za zaświadczenie nie zapłaciłem ani grosza, nie sugerowałem też jego treści. Nie pamiętam, jak wybrnąłem z odpowiedzi na pytanie lekarza, po co mi taka dokumentacja. W każdym razie dostałem opinię, choć szczerze mówiąc, byłem trochę rozczarowany zbyt lakoniczną treścią. Profesor powiedział, że nie może napisać więcej o pacjencie, którego nie widzi – zeznał Krzysztof W.

Zaświadczenie o chorobie nie przyniosło oczekiwanego skutku. Patryk W. odpowiedział z wolnej stopy dopiero po wpłaceniu 200 000 złotych kaucji.

– Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, dlaczego przesłuchano pana w sprawie lekarzy z Szaserów? I to pięciokrotnie? – zapytał świadek mecenas Hilarowicz. – Moim zdaniem ktoś postanowił kogoś skrzywdzić, kogoś, kto niczemu nie jest winien. Chcieli wymusić na mnie, abym powiedział do protokołu, że profesor brał łapówki. Ale ja nie mogłem tego poświadczyć za żadną cenę. Ani w CBA, ani w prokuraturze.

Adwokat: – Pan użył słów: „za wszelką cenę”. Jak mamy to rozumieć?

– Powiedział mi w CBA: „Nie jesteśmy w stanie posadzić cię za zarzuty gospodarcze, to pójdziesz siedzieć za wojsko”. Bo podczas przesłuchań mieszkanie сына znalaziono orzeczenie komisji wojskowej o jego niezdolności do służby i przepytujący mnie offer usiłował mi wmówić, że załatwiłem taki papier na lewo. Strasznie mnie walkowali, aż w końcu odmówiłem wizyt w CBA. Nie jestem strachliwy, ale ten terror psychiczny miał takie natężenie, że zacząłem się bać. Kiedyś funkcjonariusz powiedział mi: – Jedno moje pstryknięcie i drzwi się przed tobą otworzą, wyjdiesz wolny na miasto. Tylko potwierdź.

Wielu świadków mówiło w sądzie o nakłanianiu ich przez CBA do oskarżenia prof. Podgórskiego.



Zeznawali też pracownicy ZUS w związku z zarzutem fałszowania dokumentacji lekarskiej w celu otrzymania zasiłków zdrowotnych. W tej sprawie przed sądem stanęło dwóch oskarżonych rzemieślników – Mieczysław W. i Mirosław S.

Pierwszy zdanem ZUS wyłudził 4000 złotych. Drugi – 12 000 zł.

Gdy dostali decyzję odmowną, złożyli odwołanie, wsparte dokumentacją o uszczerbku na zdrowiu utrzymaną od dr. Roberta J. (obciążył prof. Podgórskiego twierdząc, że zapłacił dyrektorowi WIM za konsultację wyników badań własnie tych dwóch pacjentów, ubiegających się o świadczenie z ZUS). W śledztwie oskarżeni twierdzili, że placili pplk. Robertowi J., a o udziale prof. Podgórskiego w fałszowaniu dokumentacji lekarskiej nie mieli pojęcia.

– Nie musieli – pieczęćka wojskowego instytutu nadawała dokumentom rangę, a nazwisko profesora budziło respekt – replikował przed sądem Robert J.

– Dlaczego dr Robert J. pana oskarża? – sędzia Jacek Gurbierz zapytał profesora już na pierwszej rozprawie.

– Nie wiem – odparł Jan Podgórski. – Nigdy nie brałem od pplk. J. pieniędzy, choć przez wiele lat bezpłatnie pomagałem mu w stawianiu diagnozy. Nigdy też nie poświadczyłem nieprawdy w dokumentacji medycznej. Chyba nikt nie potrafi wyłudzić zachowania dr. J.

Znalazi się jednak na sali sądowej ktoś, kto twierdził, że zna odpowiedź. To obrońca oskarżonego profesora, znany adwokat Marian Hilarowicz. Zapowiedział, że wszystko się wyjaśni po powołaniu świadków, których CBA usiłowało nakłonić do złożenia zeznań godzących w profesora. I wystąpił o przesłuchanie byłego funkcjonariusza policji Pawła K., który powiedział w programie TVN Superwizjer, że w marcu 2007 roku funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego w Warszawie nakłaniali go do wręczenia kontrolowanej łapówki prof. Janowi Podgórskiemu. Wcześniej K. zeznał to w białostockiej prokuraturze.

Mecenas Hilarowicz domagał się też przesłuchania pplk. Sławomira Nowaka, o którego metodach zastraszania świadka mówił na rozprawie świadek dr Ryszard J.

Obrońca prof. Podgórskiego zwrócił uwagę Sądu, że w aktach prokuratorskich jego klienta znajduje się informacja o powiązaniach oskarżonego profesora z pracownicą służby zdrowia Stanisławą P. (nie występującą w tym procesie) w rzekomych wyłudzeniach 1 300 000 zł od chorej na raka Elżbiety L.

Przeciwko Stanisławie P. toczyło się postępowanie karne. Na skutek wniesionej przez nią apelacji od wyroku Sądu Rejonowego w Otwocku sprawa została przekazana do Sądu Okręgowego Odwoławczego Warszawa-Praga.

CBA dwukrotnie zwracało się do tego sądu o wydanie zezwolenia dwóm funkcjonariuszom Biura na widzenie z tymczasowo aresztowaną Stanisławą P. W uzasadnieniu służby śledcze podawały, że chodzi o przesłuchanie P. w charakterze świadka do sprawy Jana Podgórskiego, prowadzonej wówczas przez Wojskową Prokuraturę Okręgową w Warszawie.

Policjanci dostali taką zgodę. I niewątpliwie widzieli się z aresztowaną, o czym świadczy wystąpienie obrońcy Stanisławy P. na rozprawie apelacyjnej, który wniosł, aby funkcjonariusze CBA nie otrzymywali dalszych zgód na widzenia z jego klientką, gdyż skarży się ona, że jest przez nich „naciskana”.

CBA nie odstąpiło jednak od nękania Stanisławy P. i miesiąc później ponowiło wniosek tej samej treści, co poprzednio. I znów dostało zgodę na widzenie.

– W aktach sprawy przekazanej przez prokuraturę wojskową do tutejszego sądu – mówił zdecydowanym tonem mecenas Marian Hilarowicz – brak jakichkolwiek dowodów przeciwko profesorowi Janowi Podgórskiemu, nie naruszano obowiązującej prawa, a konkretnie – czy organa prowadzące postępowanie karne uwzględniły okoliczności przemawiające na korzyść tegoż oskarżonego? I, w konsultacji,

czy przestrzegano kardynalnej zasady procesu karnego, aby w jego wyniku osoba niewinna nie ponosiła odpowiedzialności?

Mecenas domagał się odpowiedzi na te istotne pytania również z uwagi na to, że do akt Jana Podgórskiego dołączono notatkę oraz karty choroby pacjentów profesora nie mające żadnego związku z prowadzonym postępowaniem. Natomiast zachodziło podejrzenie, że nie włączono dokumentów procesowych przemawiających na korzyść oskarżonego.

Kolejny wniosek mecenas Hilarowicza dotyczył odtworzenia przebiegu konferencji prasowej 23 sierpnia 2007 roku z udziałem ministra Zbigniewa Ziobro i ówczesnego szefa CBA Mariusza Kamińskiego.

Wydarzenia toczyły się następująco: Profesor został zatrzymany 22 sierpnia o godzinie 6.55. Przez cały dzień czekał na przesłuchanie. Wreszcie jego adwokat uzyskał informację, że podejrzany stanie przed prokuratorem następnego dnia o 7 rano. Ale nic takiego się nie zdarzyło, przesłuchanie zaczęło się dopiero o godzinie 15.35, czyli po 32 godzinach od zatrzymania. Wtedy zarzuty postawione profesorowi 20 sierpnia zostały poszerzone o poświadczenie nieprawdy w opinii lekarskiej dla słynnego gangstera Andrzeja Z. pseudonim Słowik.

Na konferencja prasowej, która odbyła się tego samego dnia, szef CBA oświadczył, że „generał Jan Podgórski organizował najgroźniejszym przestępcom w Polsce dokumentację medyczną, aby mogli uniknąć więzienia”.

– Nie wymaga uzasadnienia – mówił w sądzie mecenas Hilarowicz – iż uzupełnienie zarzutów już po zatrzymaniu profesora o jego przestępcze współdziałanie z Andrzejem Z. miało na celu uprawdopodobnienie przed dziennikarzami zasadności sporządzonego następnie wniosku o tymczasowe aresztowanie.

Sąd wniosku obroncy o przesłuchanie dodatkowych świadków nie przyjął, chciał natomiast wiedzieć, czy w szpitalu wojskowym często zdarzały się takie konsultacje, jakże prof. Podgórski świadczył np. koledze z WIML.

– To były i są powszechne praktyki – twierdził świadek prof. Krzysztof K., ortopeda ze szpitala przy ul. Szaserów – bo tylko w telewizji może występować dr House, specjalista w każdej dziedzinie medycyny. Ja też przychodziłem z moimi pacjentami do profesora. O pieniądzach za wystawioną po koleżeńsku diagnozę nie było mowy.

Prokurator: – Konsultacje dotyczyły pacjentów ze szpitala, czy też tych z ambulatorium?

Świadek: – Takich i takich.

Sędzia: – Czy pan słyszał, aby którykolwiek lekarz WIML płacił profesorowi Podgórskiemu za konsultacje?

Świadek: – Nie słyszałem. Znam profesora od dawna i nie wyobrażam sobie takiej sytuacji.

Sędzia: – Czy jest panu znana opinia, że profesor przyjmował każdego chorego?

Świadek: – Tak. Ja zachowuję się podobnie. Obowiązkiem lekarza jest reagować na sytuację, gdyż ciałowiek cierpi.

Sędzia: – Czy zdarzały się przypadki odsyłania pacjenta na inny oddział?

Świadek: – Wielokrotnie.

Również neurochirurg Andrzej K. potwierdził, że były dyrektor WIM, z którym pracował na oddziale szesnaste lat, nie odmawiał pomocy żadnemu choremu. I nigdy nie słyszał, aby profesor przyjął od lekarza pieniądze za udzielone mu konsultacje. To byłoby pogwałcenie zasad obowiązujących w środowisku medycznym, a dr Jan Podgórski jest z rodziny lekarskiej.

Mogło się natomiast zdarzyć wydanie opinii bez oglądania pacjenta, tylko na podstawie dokumentacji.

◆ ◆ ◆

już na jednej z pierwszych rozpraw lekarzy ze szpitala przy ul. Szaserów świadek Wojciech F., fizjoterapeuta w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, powiedział wiarygodność oskarżonego dr. Roberta J. Opowiedział przed sądem o pewnym wydarzeniu z okresu śledztwa:

Funkcjonariusze CBS odwiedzili zakład rehabilitacji, w którym F. był kierownikiem i zażądali dokumentacji lekarskiej Andrzeja Z. „Słowika”. Fizjoterapeuta przejrzał zawartość komputera swego szefa, ale tego, czego szukał, nie znalazł. Nie pamiętał też, aby zajmował się pacjentem o takim nazwisku.

Zatelefonował więc do dr. J., który był na urlopie, ale nie wyjechał z Warszawy. Przełożony uspokoił go, że wie, o kogo chodzi i zaraz odpowie śledczym, musi tylko coś sprawdzić w komputerze.

– Nazajutrz – zeznał świadek – mój szef bardzo wcześnie rano przyjechał do swego gabinetu. Po pewnym czasie wyszedł stamtąd z papierami „Słowika”. Zauważyłem, że ikony na pulpicie monitora były poprzestawiane. Zameldowałem o wszystkim dyrektorowi szpitala.

Fizjoterapeuta powiedział też na sali sądowej, że po jego zabiegach rehabilitacyjnych niektórzy pacjenci wchodzili jeszcze do gabinetu dr. Roberta J. – „Ich zachowanie, wygląd, ubiór mogły sugerować, że są z grupy przestępczej. Odnosiłem wrażenie, że prowadzą z moim szefem jakieś interesy”.

Oskarżony J. zareagował na to zeznanie oświadczeniem. Wyjaśnił, że wprawdzie Wojciech F. dysponował kluczem do gabinetu, gdzie stał komputer, ale ponieważ nie był lekarzem, nie miał dostępu do dokumentów medycznych. Zostały one utrzymane w specjalnym folderze. I dlatego nie mógł ich znaleźć.

A dlaczego kopie papierów „Słowika” znaleziono w mieszkaniu oskarżonego?

– Bo wtedy w moim gabinecie w szpitalu wymieniano wykładziny i istniała obawa, że karty mogą zaginać – tłumaczył oskarżony. – Ponadto potrzebowaliśmy dokumentację medyczną na wykłady dla studentów.

Dr Robert J. twierdził, że kiedy usłyszał, że CBS interesuje się kartą zdrowia niejakiego Andrzeja Z., nazwisko to z początku nic mu nie mówiło. Dopiero po przeszukaniu komputera przypomniał sobie, że miał takiego pacjenta.

Natomiast nie odnalazła nazwiska „Słowika” w komputerowej bazie danych sekretarza medyczna prof. Podgórskiego z kliniki neurochirurgii. – Polecenie odszukania tej karty chorobowej wydał mi funkcjonariusz służb śledczych – powiedziała w sądzie.

Oskarżony profesor opatrzył to zeznanie komentarzem, że być może przyjmując „Słowika”, nie dopełnił formalności. To mogło wynikać z chęci szybkiej pomocy cierpiącemu człowiekowi. Na konsultacje do kliniki neurochirurgii przychodziło bardzo dużo pacjentów. Sekretarka nie stawiała tamy w dotarciu do ordynatora.

◆ ◆ ◆

Kilka rozpraw zajęło sądowi dociekanie, jak wyglądała rejestracja chorych w klinikach oraz przychodni szpitala wojskowego. Z zeznań lekarzy i pracowników administracji wyłonił się obraz sporego bezholowia. Zwłaszcza do czasu, gdy szpital został całkowicie skomputeryzowany.

Zeznający lekarze nie za bardzo orientowali się, na jakich zasadach działał system bazy danych chorych. W klinice neurochirurgii nie było książki kolejności pacjentów do operacji, bo ta zmieniła się w zależności od okoliczności – czasem chory zrezygnował albo musiał ustąpić komuś, kogo trzeba było ratować natychmiast. Teoretycznie drzwi na oddział operacyjny otwierało skierowanie od lekarza pierwszego kontaktu. Ale jeśli pacjent był leczony przez ordynatora neurochirurga, mogli liczyć na uruchomienie „szybszej ścieżki”.

Nie była ściśle przestrzegana procedura przyjmowania na badanie rezonansem magnetycznym w trybie ambulatoryjnym. Czas oczekiwania na to badanie wynosił zazwyczaj 2–3 miesiące, ale zdarzały się „wejścia na cito”, i związane z tym kombinacje przy zapisywaniu nazwisk badanych. Nie chodziło tu o sfalszowanie diagnozy, ale o przesunięcie się w kolejce. Do roku 2006 procedura legitymowania pacjenta wyglądała tak, że pacjenci zobowiązani byli tylko do podania PSEI-u.

Od czasu, gdy „wojskowy kombinat szpitalny” utworzył szerzej swoje bramy dla wszystkich interesantów, w ambulatorium obu klinik nie dokumentowano przyjęć pacjentów. Napływający szeroką falą chorzy byli rejestrowani dopiero w chwili zakwalifikowania do operacji. Wtedy ustalano im termin zgłoszenia się na operację. Jeśli np. spotkanie z lekarzem ograniczało się do wypisania recepty czy zaświadczenia, to w dokumentacji szpitalnej mogło nie być śladu po tej wizycie. O przyjęciu chorego na oddział mógł też decydować wzywany na konsultację neurochirurg.

Obecnie, stwierdzili zarówno oskarżeni, jak i świadkowie, ten początkowy rozgardiasz wywołany zmianami organizacyjnymi, został opanowany.

◆ ◆ ◆
Przewód sądowy nie potwierdził zarzutów wobec większości oskarżonych. Sąd całkowicie i jednoznacznie uniewinnił prof. Jana Podgórskiego, wykazując m.in. rażąco błędy i zaniedbania prokuratury. Robert J. otrzymał wyrok – rok i sześć miesięcy pozbawienia wolności oraz grzywnę. Sędzia – płk Jacek Gurbierz – uzasadniając wyrok, zauważył, że był to proces skomplikowany, wielowątkowy. Sąd musiał się wypowiedzieć m.in. w kwestiach karnych dotyczących ustawy o zawodzie lekarza, a takich kwalifikacji przecież nie posiada.

POLITYKA

W TLE

U palne lato 2006 roku. Na kortach we Wrocławiu biega z rakietą tenisową Andrzej K. – radaca prawny, od paru miesięcy wiceprezes Telefonii Dialog. spółki należącej do kontrolowanego przez państwo KGHM. Właśnie wygrał tie break'a z Tomaszem Kurzewskim, prezesem firmy ATM Grupa, produkującej serie telewizyjne, m.in. *Świat według Kiepskich*. Andrzejowi K. imponuje towarzystwo znanego w medialnym świecie biznesmena. – Lubii szpanować – zezna dwa lata później w sądzie prezes ATM Grupa – kreował się na osobę wpływową, chwalił się, że pracował w kancelarii Lecha Kaczyńskiego (w rzeczywistości K. był szeregowym radcą prawnym w wydziale oświaty w warszawskim ratuszu).

Prawnika interesuje ziemia w pobliżu Wrocławia, którą można by „odrolnić”. Przekwalifikowanie na działki budowlane daje wielokrotne przebicie za hektar – zapewnia prezes ATM Grupa. Gdyby więc slyszal o takich terenach, prosi o wiadomość. Prezes odpowiada, że to nie jest biznes, w którym on się porusza z biegłością. Ale wskazuje pewien trop: jego druga spółka o nazwie „Topacz” zajmuje się między innymi nieruchomościami. I daje swemu tenisowemu partnerowi adres znajomego dewelopera Jacka W.

Do spotkania ze specjalistą od obrotu nieruchomościami dochodzi we wrześniu. Jacek W. odradza Andrzejowi K. interesy z odrobinieciem. Sposobną decyzję uzyskuje się w Ministerstwie Rolnictwa, wcześniejszy potrzebna jest zgoda gminy i marszałka województwa – za dużo starań. Sam też nie zamierza w to wchodzić.

Przy najbliższej wymianie setów na korcie prezes ATM słyszy od swego partnera w rozmówkę, że polecił mu kogoś niepowaznego.

Andrzej K. nie rezygnuje – przedstawia ofertę jeszcze kilku innym osobom. Wszystkim mówi o nadzwyczajnej okazji do zarobienia pieniędzy. Skąd taka pewność? Ma powody sądzić, że się uda, choć nie ujawnia tego potencjalnym współnikom. Otóż zatrudnił u siebie na dyrektorskim stanowisku (ds. logistyki i zakupów) Piotra K. byłego dziennikarza lokalnego radia Dialog, a wcześniej TVP. Wprawdzie zrobił to niejako przymuszony przez Jarosława Chmielewskiego, senatora rządzącej partii PIS, ale po rozmowie z protegowanym doszedł do wniosku, że kukulczaje jajo jest złote. R. K. też dobre układy z władzami Samoobrony, konkretnie z Lepperem, choć nie jest członkiem tej partii. Warto było się z nim zaprzyjaźnić – to ktoś, kto może załatwić odrobinie. Trzeba tylko znaleźć chętnego do wyłożenia pieniędzy na koszty interesu życia.

Andrzej K. nadal szuka.

Tymczasem komplikuje mu się sytuacja w Dialogu. Jesienią 2006 roku traci pracę Piotr R., podejrzany o wymuszanie obietnicy łapówek od firm stojących do przetargu na wyposażenie Telefonii. Dyrektor ds. logistyki i zakupów nie przyznaje się do winy. Dwa miesiące później musi się rozstać z fotelem Andrzej K. – Sprawa jest rozwojowa – zapowiada prokuratura.

W środowisku wrocławskich biznesmenów to sensacja. Nic więc dziwnego, że o tropach śledztwa rozmawiają prezes ATM Tomasz Kurzewski i nowy szef

Dialogu Andrzeja Olewnik, gdy 6 grudnia przypadkowo spotykają się w warszawskim hotelu Marriott.

Producent „Kiepskich” wspomina, jaką ofertę złożył mu latem na korcie Andrzeja K. Dla prezesa Dialogu to kolejny dowód kombinowania na boku. Przez znajomego ministra z kancelarii premiera Jarosław Kaczyńskiego zawiadania szefa CBA Mariusza Kamińskiego. Służby śledcze zajmują się sprawą za wiedzą i poparciem ówczesnego prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. Jest nadzieja na złapanie w zastawione sidła nie tylko jakiegoś prawnika-kombinatora, ale samego wicepremiera ministra rolnictwa Andrzeja Leppera – niewygodnego koalicjanta partii Kaczyńskich skompromitowanego aferą pracy za seks w Samoobronie i tzw. taśmami Beger.

Namawiają dewelopera Jacka W., aby przed Andrzejem K. odegrał rolę zainteresowanego odrolnieniem ziemi za łapówkę.

Kilka dni później obaj panowie spotykają się na karcie. Ukryty magnetofon dewelopera nagrywa zwierzenia radcy prawnego, że interesują go tylko grube sprawy. Na takie, na których mógłby zarobić zaledwie kilkudziesięć tysięcy złotych, nie marnuje czasu. K. jeszcze raz powołuje się na znajomości w resorcie rolnictwa. Ale nie wymienia żadnych nazwisk. Powtarza tylko: „Mamy taką możliwość”.

Deweloper obiecuje, że znajdzie kogoś zainteresowanego odrolnieniem.

Nie musi nikogo szukać. CBA ma już takiego człowieka – to podstawiony funkcjonariusz służb, który będzie udawał biznesmena z Austrii. Dostanie dowód tożsamości na nazwisko Andrzeja Sosnowski. Agent specjalny powie figurantowi Andrzeja K., że jest właścicielem 80 ha ziemi nad jeziorem w gminie Mrągowo. Potrzebuje decyzji o jej odrolnieniu, bo chce tam budować hotel. Jeśli wszystko pójdzie dobrze (to znaczy, będzie zgoda MR na przekwalifikowanie gruntu), na samym odrolnieniu zarobią 3,5 mln zł.

Nim dojdzie do pierwszego spotkania, CBA pozakłada podsłuchy wszystkim uczestnikom prowokacji: Andrzejowi K., Piotrowi R., Andrzejowi Lepperowi i posłowi Samoobrony Januszowi Maksymiukowi.



Czternastego stycznia 2007 r. Sosnowski po raz pierwszy spotyka się z Andrzejem K. w warszawskiej restauracji Chianti przy ul. Foksal. Jedzą obiad. Ich rozmowa jest nagrywana dzięki małemu urządzeniu w kieszeni agenta.

Andrzeja K.: – Akcja jest taka, że ja co prawda nie osobiście, bo broń Panie Boże, choć niektórzy mówią, że szkoda, że nie jestem członkiem Samoobrony, natomiast mam bezpośrednio, śmiem twierdzić, że nie wiem, czy nie najlepsze, powiązanie z osobą, która to podpisuje po prostu, czyli z Lepperem, on o tym decyduje. Ja proszę pana, mam bezpośrednio dotarcie face to face zarówno do Leppera, jak i Maksymiuka. Ja więcej panu powiem, ja to mam z nimi uzgodnione.

Kolejne spotkanie wyznaczają sobie cztery dni później we wrocławskim hotelu Best Western.

Zaraz po wyjściu z Chianti Andrzeja K. dzwoni do Piotra R. Opowiada mu o spotkaniu z biznesmenem z Austrii, ale przede wszystkim żali się, że po aferze w Dialogu został na lodzie. Choć „wszystkie siły wyłoża”, uruchomił znajomości w Prokuraturze Generalnej, w Kancelarii Prezydenta, nie ma konkretnej propozycji etatu. – „Obiecują, że zadzwonią i przypomną, że tak powiem, o mojej osobie, a potem cisza”.

Również R. po zwolnieniu z Dialogu nie ma pracy. – „Zakopali nas w piasku” – mówi o ich ustosunkowanych znajomych.

Obaj przyjaciele widzą ratunek dla siebie w zatłwieniu interesu z Sosnowskim. To ich ustawi na kilka lat.

Do restauracji hotelu Best Western we Wrocławiu Andrzej K. przychodzi więc z konkretną odpowiedzią: może zatłwić decyzję o odrolnieniu, rozmawiał z kim trzeba. Pytanie agenta, kto za nim stoi, zbywa żartem: „Baterie z komórek wyjąłeś?”. Jeszcze nie mówi, ile to będzie kosztować.

Prawniki piętrzą trudności w zatłwieniu sprawy – twierdzi, że wymaga to nadzwyczajnego obiegu papierów w Ministerstwie Rolnictwa. On jest w stanie uporać się z takimi trudnościami: – Po prostu moi ludzie uderzą wprost do właściwej osoby. Ale ten tryb nadzwyczajny jest do zrobienia tylko jeden raz. W związku z tym szkoda by marnować takiej okazji, chyba że jest wyjątkowo opłacalny zysk.

Blefuje – normalny tryb jest taki, że dokumenty składa w ministerstwie gmina wraz z opinią samorządu województwa. Resortowy departament gospodarki ziemią bada wniosek pod kątem formalnym, decyzję podejmuje kierownictwo ministerstwa, ostateczny podpis składa Lepper.

Sosnowski przytakuje prawnikowi ze zrozumieniem, równocześnie wymijając z portfela 10000 zł na pierwsze drobne wydatki przy zatłwianiu sprawy. K. ochoczo je bierze. Ze słowami: – Ja jestem poważnym członkiem i zakładam, że to się uda zrobić, ja te dziesięć wezmę w depozyt. Moje słowa to nie wiatr, szacuję ryzyko pro-milowo, nawet nie procentowo, jeżeli nie wyjdzie, to ja panu te pieniądze oddam.

Agent: – Nie było sprawy.

Andrzeja K.: – Dokładnie.

Podczas kolejnego spotkania z agentem pada cena za odrolnienie – 7–8 mln zł (taką kwotę kazał podać Piotr R., który nawiasem mówiąc odebrał Andrzejowi K. owe 10000 zł jako „honorarium za usługę”). Pieniądze byłyby podzielone na cztery części – dla Leppera (który, jak twierdzi prawnik, „poniżej dużej banki nie chce rozmawiać”), Piotra R., Andrzeja K. i kilku urzędników ministerstwa. K. podkreśla swoje poświęcenie: – Nie ukrywam, że ja niestety nie mam z tego tyle, ile bym chciał, tak to bywa, natomiast liczy się zatłwienie pewnej sprawy i robienie kontaktów po obu stronach. Biznesmen tego nie komentuje, prosi o trzy dni do namysłu. Chce się naradzić ze swymi współpracownikami.

Andrzej K. obniża cenę do 6,8 mln. Sosnowski nadal się waha. — Zadzwoń — mówi na odchodnym.

W umówionym terminie odpowiada, że znalazł tańsze dojście do ministerstwa. Powołuje się na pewnego działacza Samoobrony (co jest błędem).

K., zaniepokojony dzwoni do R., który nie traci zimnej krwi, mówiąc: — Ja mu to stópeduję, porozmawiam z Lepperem.

Ale nie trzeba niczego torpedować, bo po tygodniu droczenia się, a właściwie gry operacyjnej, agent wraca do rozmów z figurantem.

K. zapewnia go, że w resorcie wszystko już dopięte: — Byłem dzisiaj w Ministerstwie Rolnictwa, trochę poczekalem i uzgodniłem całą strategię, rozmawiałem też z pewnym działaczem z Samoobrony, z dwoma nawet, jeszcze na popołudnie mam jedno spotkanie, żeby nie było jakichś nieudomówień. Rozumiem, że całość na warunkach, o których mówiliśmy...

Agent jakby zmartwiony: — 6,8 mln zł to jednak kawał grosza jest.

Andrzej K. daje mu nadzieję, że może jeszcze trochę zejść z kosztów.

Po czym panowie zastanawiają się, jak załatwić przekazanie pieniędzy. Radca prawny nie chce, aby wszystko szło przelewem, część niech będzie gotówką. „znajdziemy na to podkładkę”.

Rozstają się z serdecznym uściśnięciem dłoni. K. w najbliższej bramie wystukuje numer komórki Piotra R. Wszystko mu na gorąco relacjonuje. Nie ma między nimi nieudomówień, wszak są przyjaciółmi.



Kolejne spotkanie K. z agentem. Jak zawsze w restauracji. Biznesmen Sosnowski namawia prawnika (figuranta, jak określa go w raportach), aby poznał go z tym kimś, kto ma bezpośrednio „przełożenie” na najważniejszą osobę w ministerstwie: — Jest możliwość, na przykład jakies takie zaaranżowane spotkanie z tym panem? On nie musi mi w oczy powiedzieć, że to jest do załatwienia, tylko...

Andrzej K.: — Pan próbuje mnie weryfikować?

Agent: — Nie no, od weryfikacji jest Macierewicz (śmiej...).

Andrzej K.: — Proszę pana, ja jestem bardzo poważnym człowiekiem. Ja się bardziej boję, że pan mnie wystawi, niż ja pana...

Agent już pojednawczo: — Jedziemy na jednym wózku.

— W związku z tym powiem w ten sposób: ja, żeby jeszcze była pełna jasność, także coś mam za sobą z innymi, może na mniejszą skalę, ale identyczne. I są ludzie, którzy wiedzą, że u mnie słowo jest słowem — łagodni spłécie prawnik.

Naciskany przez rzekomego biznesmena K. dzwoni jednak do Piotra R.: może spotkają się w trójkę. Ale przyjaciel odmawia. Chce pozostać anonimowy. W tej sytuacji prawnik sam zapewnia biznesmena z Austrii, że własną głową gwarantuje powodzenie operacji. — Mogę dużo, póki jest obecny układ. Jedyny moment, za który nie

ięcę, to gdy się rozpięrdala koalicja. No, bo tego już nie przeszkodzi, nie będzie miał kto podpisać i wtedy szkoda czasu. Ale na razie jest wszystko ładnie, grzecznie...

Agent: — Mhymn (...).

Przy deserze zmieniają temat.

— A co pan robi, tak formalnie rzecz biorąc na przykład, jakas firmę pan reprezentuje, czy co? — dopytuje prawnik.

— Handel stałą. Ogólnie import-export — pada wyczerpująca ten temat odpowiedź. Tego samego dnia wieczorem Piotr R. dzwoni do Andrzeja K.:

— I co, mów, udało ci się spotkać z nim dzisiaj?

— Tak, tak, udało się. Do piątku ma być odpowiedź, czy wchodzi w to. Szacuję szanse na 95%. Reszta szczegółów nie przez telefon.

— Aha. Wszystko jasne.

Ale nie wszystko. Bo agent specjalny zaczyna targować się o cenę łapówki. Stało na 3 000 000 zł gotówką lub 3 300 000 mln przelewem. Jeśli pieniądze pójdą przez bank, te 300 000 jest potrzebne na wypranie milionów. Mimo że kwota spada do połowy, Lepper i tak dostanie milion, bo, jak zapewnia prawnik, z „niższymi kwotami się do niego nie podchodzi”.

— Z poważnych osób — K. wyjaśnia Sosnowskiemu — które naprawdę chcą dużych pieniędzy, to na dobrą sprawę są trzy. Wymienia nazwiska znanych polityków Samoobrony: Leppera, Maksymlika i Filipka. Reszta „albo się obejdzie smakiem, albo dostanie ochłapy, łącznie ze mną w pewnym sensie, ale to nieważne, kontakty z nimi są ważne”.

Bo obiecali mu pracę — może wybierać w kierowniczych stanowiskach w NBP, Agencji Rolnej lub w TVP.

Ale jest moment, gdy K. wypada z roli pośrednika nie zainteresowanego walfizką pieniędzy. To zdarza się wówczas, gdy agent daje mu do zrozumienia, że interesów załatwianych za łapówki może być w przyszłości więcej.

Pada bowiem pytanie: — Kwota do zapłaty jaka by była?

Andrzej K. przypomina: — Trzy miliony złotych.

— Czyli my na pierwszym etapie nic nie zarobimy — zauważa jakby od niechcienia rzekomy biznesmen z Austrii.

Wtedy radca prawny z ożywieniem: — Pierwszy etap? Ja pana źle zrozumiałem prawdopodobnie.

Agent: — Odrohnienie tylko 12 ha z linią brzegową podniesie wartość gruntu o trzy miliony złotych.

— My jesteśmy w stanie załatwić całe 80 hektarów — prawnik łapie przynętę.

Agent: — ...no to wtedy jest już zupełnie inna rozmowa...

K. wymija kalkulator, liczy: — Mysię, że jestem w stanie wyszarpanąć dla pana...



Operacja specjalna CBA nabiera rumieńców. Pod koniec lutego Sosnowski i Andrzej K. często dzwonią do siebie. I spotykają się co kilka dni – zawsze przy obficie zastawionym stole. Najczęściej w restauracjach hoteli sieci Gromada. Czuli mikrofon ukrytego magnetofonu wychwytyje każde słowo biesiadników. Oprócz zapisu magnetofonowego z każdego takiego spotkania agent przygotowuje raport. Pierwszego marca donosi: „W hotelu Gromada przy ul. Żwirki i Wigury figurant powiada, że odrobinie załatwia mężczyzna o imieniu Piotr. Mówił też, że ten Piotr może mi załatwić wylot z delegacją Ministerstwa Rolnictwa do Chin. Figurantowi spodobał się mój telefon Nokia z tytanu, wartości 4 tysiące złotych. Wziął, nie mówił, że chce za niego zapłacić (...). Zamówiliśmy befszytk tatarski, pieczoną kaczkę i butelkę Finlandii.

Jak zwykle płaci agent i jeszcze bawi swego gościa anegdotami. Między innymi wyciągnął z lamusa historyjkę o pewnym profesorze z AGH, który w latach 80. protekcyjnie załatwiał miejsca na liście przyjętych na studia:

Agent: – Wie pan, było 15 czy 10 na jedno miejsce, jeszcze jakies punkty chore, takie historie. I on zbierał od wszystkich kasę, nie pamiętam, ile to było, na pół malucha, czy jedną trzecią malucha... I kto zdał...

Andrzej K.: – ...to przepadało.

Agent: – Okej, a kto nie zdał, profesor zwracał mu kasę i mówił, że się nie dało załatwić.

Andrzej K. śmiejąc się: – Cwaniak, świetnie się urządził, zawsze ktoś zdał, nie? Agent: – Właśnie (...).

Ale nie robi dalszych aluzji do interesu, jaki ubija z prawnikiem.

Dwa tygodnie później panowie przechodzą na „ty”. Zamawiają alkohol. Andrzej K.: – No nie wiem, czy dam radę pół butelki, ale trochę sobie drinknę.

Agent, pozornie wstawiony: – Mnóstwo jest ludzi ze świetnymi pomysłami, na których można fajnie zarobić. Do banku nie pójdą.

Andrzej K. nastawia ucha.

– Bo ich wysmieją – zarzucą „wędkę” Sosnowski – powiedzą: no nie, panowie, potrzebne są jakies gwarancje, depozyty.

– Jasne – przytakuje czujnie figurant.

– My już na tyle, że tak powiem, nabraliśmy do siebie zaufania – szepcze agent – że jakby jakis przedstawiciel komisji sejmowej coś pomógł, coś tam odpowiedział. Ale zrobimy to właśnie w ten sposób, że od twojej strony wszystko idzie przez ciebie, a od mojej strony wszystko przeze mnie. Wtedy jest bezpiecznie.

K. łapie haczyk, chwali się: – Mam w Sejmie znajomości, kilka ustaw mojego pióra jest, żeby było śmieszniej (...).

Agent: – Czyli, żeby coś gdzieś przepchnąć...

Andrzej K.: – ... jeśli są takie klimaty, można ze mną rozmawiać. Procentują ja ta pracy. Żona się na mnie wkurwiła, że chodziłem po różnych zebraniach, ludzi

AGENT Z BANKU W WALIZCE PIENIĄDZY

poznawalem. Człowiek bidował i nic z tego nie miał. Tylko że teraz ci, których ja poznałem 15 lat temu, są na górze. O, na przykład, taki przewodniczący komisji sejmowej, to mój kumpel.

Agent: – Kto konkretnie?

– Artur Z. (w oryginalnie pada nazwisko posta), ja z nim chlałem, różne rzeczy robiłem...

Mimo że K. wypił z Sosnowskim bruderszaft, Piotr R. nadal odmawia pokazania „biznesmenowi” swej twarzy. Ale przyjaciele utrzymują gorącą linię telefoniczną. Między 6 a 14 marca 2007 r. CBA zarejestrowało 913 rozmów i SMS-ów z aparatu Piotra R. Często też korzystają z budek telefonicznych.

Agent przekazuje 6 kwietnia Andrzejowi K. rzekomy wniosek Urzędu Gminy w Mrągowie wraz z załącznikami potrzebnymi do odrolnienia (CBA sfalszowało te dokumenty, ale okaże się wkrótce, że nie wszystkie podrobiło). Prawnik ma te papiery położyć na odpowiednim biurku w ministerstwie. Ugadniają, że tydzień przed wydaniem decyzji biznesmen dostanie „cynk, żeby dobrze zorganizować finał”. Gdy tylko zostaje sam, Andrzej K. dzwoni radosny do Piotra R., który jest we Wrocławiu.

– Wszystko okej, szczegółów opowiem, gdy przyjedziesz do Warszawy, teraz tylko rzucam hasło: jak wyplacasz pieniądze z banku, to czego oni używają?

R.: – Nie, nie wiem.

K.: – No, liczariki. Takie coś bardzo by się nam przydało.

R.: – Aha.

K.: – Bo bez tego ciężko będzie.

Mija jednak 20 dni i decyzji z ministerstwa nie ma. Zaniepokojony K. dzwoni do przyjaciela Piotra: – Słuchaj, on się dopytuje, kiedy sprawa będzie orientacyjnie. Czy ja mogę powiedzieć, że decyzja do 20 maja?

R.: – Wolałbym się tak nie wiązać terminowo. Powiedz mu, że wszystko jest pod kontrolą.

Ale agenta nie zadowala taka odpowiedź. Sosnowski straszy, że jego wspólnicy zażądadą zwrotu kosztów idących w setki tysięcy złotych.

K. staje się nerwowy. Na domiar złego nadal jest bez pracy, znów coś nie wyłaziło w układach, mimo obietnicy. Żali się przyjacielowi przez telefon (co służby CBA natychmiast nagrywają), że dają mu w zamian „dwie rady nadzorcze farmaceutyczne, ewentualnie rada nadzorcza w telewizji, ale niczego na papierze”. – A tak chciałoby się iść do przyzwoitej roboty – Andrzej K. wzdycha do słuchawki.

– Nie do przyzwoitej, tylko dobrze płatnej – poprawia go Piotr R.

Jest jeszcze jedna przyczyna, że K. wysiadają nerwy. – Miałem nieprzyjemne informacje z Dialogu – zwierza się przyjacielowi. – Ci z zarządu rozstępują o mnie plotki. Zapewne dlatego żaden headhunter się do mnie nie zgłosił.

R.: – Ale co, że oszust jesteś?

Andrzej K.: – No, same kłamstwa, że były jakies nieprawidłowości.

R.: – OK... Dobra, kończymy, bo od razu szczyryk mi się otwiera w kieszeni Nieprawidłowości. Najbliższe słowo IV RP.

Andrzej K.: – Muszę się jakoś ratować. Przecież ten skurczybyk pedał to nawet nie odebrał telefonu, gdy mu wysłałem SMS-a, że ja go pierdolę. No, nie mogę się doczekać, kiedy skończą się nasze wyboje i dostaną niektórzy w zęby, dosłownie. W rozmowie z żoną Andrzej K. stara się natchnąć ją optymizmem, że wkrótce ich sytuacja finansowa znacznie się poprawi.

– Zalatwiłem sprawy tej ziemi, finalizujemy.

Pani K.: – Ale powiedz, będą z tego jakieś pieniądze?

– Przecież inaczej bym tego nie pihnował. Spłynie powiedzmy kilkadziesiąt tysięcy złotych, chyba się opłaca, prawda? (jak się słychać, przed małżonką znacznie zanizła wysokość swych zysków z odrobinienia ziemi na jeziorze). Chciałbym jeszcze ze dwie rądy nadzorcze, najlepiej w zdrowiu i w telewizji i pieniądze by były. Rada nadzorcza TVP to przecież jest superprestżowe stanowisko. Bardzo bym chciał. I tego pihnuję. Tyłko że to jest skomplikowane, pewno wyrwę dopiero za pół roku, takie jest życie.

◆ ◆ ◆

Andrzej K. cieszy się podarowaną mu bajerancką komorą, a tymczasem urzędnicy w Ministerstwie Rolnictwa pochylają się nad wnioskiem Urzędu Gminy w Mrągowie w kwestii odrobinienia prawie 40 hektarów nad jeziorem w Muntowie.

Podrobione przez CBA papiery już sporo się nawędrowały. Najpierw dostał je od agenta Sosnowskiego Andrzej K. Przekazał – jak wyjaśni potem w śledztwie – Piotrowi R. za pośrednictwem posłanki z Samoobrony. Jego przyjaciel pilotował papiery z dużym zaangażowaniem. Wkrótce oddał mu je z informacją, że są niepełne, nie ma wniosku podpisanego przez wójta gminy Mrągowo.

Sosnowski informuje o przeszklodzie CBA: tam fabrykują stosowny dokument, ze sfalszowanym podpisem wójta Jerzego Krasńskiego.

Uzupelniony wniosek o odrobinienie 39,75 ha w Muntowie ostatecznie został zarejestrowany w ministerstwie w maju 2007 roku. Trafiła na biurko Agnieszki Z. 25-letniej urzędniczki, pracującej dopiero trzy miesiące. Ona przegląda, radzi się starszego kolegi, bo ma wątpliwości. Za mało załączników. Przede wszystkim brakuje wykazu właścicieli „odrabianych” działek z informacją, czy grunt został na byty od Skarbu Państwa. Dwa miesiące wcześniej minister Lepper wydał decyzję o niezbędności tego rodzaju dokumentu we wnioskach. Agnieszka Z. dzwoni więc do Urzędu Gminy, aby uzupełnił brakujące dokumenty. Ale wójt nie przypomina sobie, aby wysłał takie papiery do Warszawy. Prosi o przezakasowanie wniosku. W chwilę potem z osłupieniem patrzy, co mu spływa na biurko: jest to wniosek o odrobinienie z jego podpisem.

Z zeznania przed sądem Agnieszki Z.: – Prowadziłam tę sprawę jak każdą, ale wszystko, co się działo obok niej, nie było normalne, zgodne ze standardami. Inter-

wentowano z gabinetu politycznego ministra Jabłońskiego, stanem sprawy bardzo interesowała się dyrektor departamentu obrotu ziemią.

Również świadek Maciej Jabłoński potwierdzał w sądzie, że miał od Andrzeja Leppera kilka pytań w ciągu tygodnia o to odrobinienie. Wicepremier przedstawiał mu Piotra R. jako przedstawiciela gminy Mrągowo. Lepper zaprzeczył tym ze-
znanom.

Jest natomiast niepodważalnym faktem, że wbrew wszelkim procedurom urzędniczym na nazwisko Agnieszki Z. przysłała z biura nadawczego duża koperta bez nadawcy z uzupełnieniem wniosku o odrobinienie (przyniósł ją do resortu Andrzej K., o czym stażystka nie mogła wiedzieć – nigdy nie wdziała oskarżonych.)

◆ ◆ ◆

Telefony wysokich urzędników z Ministerstwa Rolnictwa do małej gminy niepokoją autorów intrygi w CBA. Może się wszystko wydać, przecież w Mrągowie nie wie-
dzą o siódmach zastawionych na Leppera. Denerwuje się Sosnowski. Piotr R. okazuje złość – jak twierdził w śledztwie Andrzej K. – domaga się, żeby wszystko, co doty-
czy gminy zalatwiać przez niego. (R. temu zaprzeczył).

K. powie później w sądzie, że gdy zrobiło się gorąco, chciał się ze wszystkiego wycofać, ale po rozmowie z Sosnowskim doszedł do wniosku, że ma do czynienia z małą. Ze strachu już się nie stawiał.

Agenci CBA postanawiają zapobiec katastrofie, wyprawiając się do gminy w Mrągowie. Jest początek czerwca 2007 roku.

Przedstawiają się Krasńskiemu jako funkcjonariusze CBŚ, prowadzący tajne śledztwo. Chcą, żeby poinformował ich, co Urząd Gminy zamierza odpowiedzieć na wniosek o odrobinienie gruntów w gminie Muntowo, który 25 maja 2007 r. wpłynął do Ministerstwa Rolnictwa. Po co ta mistyfikacja? Bo agentom CBA potrzebne są dodatkowe dane do uzupełnienia wniosku, który już leży w departamencie gospodar-
ki ziemią. A mianowicie: nazwiska właścicieli działek w Muntowie oraz informacja, kiedy ta ziemia przeszła w ręce prywatne.

Wójta J. Krasńskiego dziwi prośba stołecznego policjantów „pod przykryciem”. Ich akcja nie budzi jego zaufania. Dzieci się swymi obserwacjami z najbliższymi urzędnikami. Z każdej wizyty sporządza notatkę.

18 czerwca. Żywo zainteresowana skompletowaniem dokumentów do wniosku o odrobinienie dyrektor departamentu obrotu ziemią konstataje, że po ingerencjach w gminie jest już komplet. Kładzie te czkłę z tylni papierami na biurko Agnieszki Z. i każe jej szybko sporządzić wniosek o pozytywne zalatwienie sprawy. Stażystka nie jest zachwycona – właśnie kończy inną, pilną robotę. Ale z poleceniami przelo-
żonej się nie dyskutuje. Już po godzinach pracy znosi wniosek do gabinetu wice-
ministra Kowalczyka (któremu z urzędu podlega departament gospodarki ziemią). Drzwi otwiera jej kluczem sprzątaczką.

Z. przyniela w sady, ze nie bylo w ministerstwie zwyczajaj, aby dyrektor nosil za pracownikami dokumenty. Ani zeby doradcy wicepremiera osobiscie dzwoniли do gminy z prosba o uzupelnienie wniosku.

Tymczasem Andrzej K. wraca w rozmowie z rzekomyim biznesmenem do owych „klimatow” w robieniu pokatnych interesow. Widzi mozliwosc kupna za bezcen panstwowej ziemi, ktora ze wzgladu na swoje polozenie w niedlugim czasie bedzie warta wielokroć wiecej. Dokladniej – jego koleddy z Agencji Nieruchomosci Rolnych maja na dyskieterce wykaz dzierzawcowow gruntow z całej Polski, ktorzy nie placą czynszu. Te ziemię można przejąć po zerwaniu umow.

– Powiedzialam im – K. szepcze Sosnowskiemu między jednym a drugim daniem przy restauracyjnym stole – że jestem zainteresowany gruntami na obszarach o niekorzystnych warunkach zagospodarowania. To powinny być arealy do stu hektarów, bo wtedy przez 7 lat nie placi się podatku rolnego. Cena ziemi z lapówką nie może przekroczyć 7000 zł za hektar. Do takich gruntow przysluguje wyższa dopłata unijna. Chyba nie muszę dodawać, że trzeba mieć w resorcie zaufanych ludzi, z ulicy nikt tego nie załatwi.

Cisza. Biznesmen milczy.

– Jeżeli zabezpieczycie interes finansowo – sonduje go prawnik – to myślę, że się dogadamy. Tak, żeby obie strony były zadowolone. Pytanie wstępne: czy macie kapitał? Bo nam tego potrzeba.

Wreszcie pada odpowiedź: – Z tym nie ma problemu, może w każdej chwili dojechać.

– Jeżeli w to wchodzicie, to ja muszę w przyszłym tygodniu, po sfinalizowaniu sprawy w Mrągowie, umówić twoje spotkanie z człowiekiem, którego oficjalnie nie ma na liście plac w Ministerstwie Rolnictwa, natomiast tak naprawdę jest prawą ręką głównego szefa od takich nieoficjalnych rzeczy.

Agent: – Jakiś deser?

K. po oddaniu karty kelnerowi: – Teraz widzę, że nam wychodzi, jestem zainteresowany kontaktem z tobą, na rozmowy mogę przyjechać do twojej firmy w Łodzi, korona z głowy mi nie spadnie, he he. A co do przejmowanej ziemi...

Agent: – ...znajdź mi słupa, który od razu podpisze wszystkie kwity. Masz problem, jak to załatwić?

Naradzają się jeszcze, jak będzie wyglądało przekazanie pieniędzy za Mrągowo. Agent: – Dwóch gości przywiezie kasę. Ja wezmę w hotelu apartament, wiesz, parę godzin trzeba spędzić przy liczeniu. Oni wnoszą walizkę, pójdą sobie, potem ty się zgłaszasz. Sam. Ewentualnie może ktoś po ciebie przyjść, ale pod drzwi, niech nie wchodzi do pokoju. Ja ich nie oglądam, a oni nie oglądają mnie.

Zaraz po rozstaniu z Sosnowskim prawnik telefonuje do swego przyjaciela Piotra

– Jest jedna rzecz ważna, która nie może czekać...

– No, wal.

– Bo ja mu powiedziałem, że dzisiaj lub jutro podam konkretny termin podpisania decyzji w sprawie Mrągowa.

– Kurwa. Dobrze, zrobimy tak: Podjadę w jeszcze jedno miejsce i spróbuję osiągnąć języka. To wszystko jest niestety na niedoczasie.

– Przy następnych sprawach, o których wstępnie gadaliśmy, to już – niestety – sam będziesz musiał przejąć pałeczkę. Bo w jego mniemaniu wychodzę na pośrednika, który niewiele może i jest niepoważny – zastrzegam na koniec rozmowy Andrzej K.

Jeszcze przez chwilę rozmawiają o kobietach, z którymi, gdy zadać się bliżej, jest tylko kłopot. Bo „to k... rasa jakaś pojebana”.

Minęło zaledwie kilka dni, a nastroje obu panów sięgnęły dna. W rozmowach telefonicznych przekrzykują się, że „wszystko zupełnie się rozjechało”. Andrzejowi K. znów nie wypalilo z objęciem jaldiegoo lukratywnego stanowiska, gdzie jako prezes „trzymałby długopis”. Zali się przyjacielowi: – Prawdopodobnie nie uda im się mnie wepchnąć, ponieważ tam jest jakiś komunista (...). Podobno wiceminister, gdy usłyszał moje nazwisko powiedział: „O kim wy mówicie, przecież on ma zarzut prokuratorski”.

Nadal nie ma też decyzji ministerstwa w sprawie Mrągowa. Andrzej K. musi się z tego tłumaczyć przed Sosnowskim. Dzwoni do niego wieczorem:

– No wykrakałeś, sytuacja oczywiście wygląda nie najlepiej...

Agent: – Co się stało?

– Ja to chromolę. Już wiem, że jutrzejszy termin nie wypali. Nie wiem, co zdecydujesz, ale zobligowali mnie, żeby ci powiedział, że są dwie opcje do wyboru. Pierwsza taka, że kończymy sprawę, zamykamy temat, mów, jakie jest rozliczenie. Powiedziałem im, że pewno właśnie tak zdecydujesz. A oni, że jeszcze jest druga opcja, bo co z tego, że się przesunęło o trzy dni, urzędniczy tak działają... Ja to pierdolę, w ogóle już nie komentuj, bo jestem tak wkurwiony, że ręce mi się trzęsą... Nic już nie mów, po prostu zdecyduj...

Agent: – Odezwę się do ciebie jutro, dobra? Muszę się naradzić ze współnikami... Na razie.

K. natychmiast dzwoni do Piotra R.

– Przedstawiłem mu sytuację, powiedziałem, żeby w ogóle już mi nie komentował, bo jestem tak wkurwiony i w ogóle ręce mi się trzęsą... Czekamy.

Piotr R.: – Mhmmm.

O północy telefon od Sosnowskiego. Jeszcze raz namawia Andrzeja K., by poznał go z człowiekiem, który bezpośrednio załatwia sprawę Mrągowa w ministerstwie. Skoro są takie trudności.

Prawniki ma gotową odpowiedź: – Też chciałem tak zrobić, ale sobie zastrzegłem, że owszem, spotka się z tobą dopiero, gdy to wyjdzie. Ci, z którymi on współpracuje, boją się – nie wiem czego. CBA, prowokacji... Może i tak, bo jeżeli ty jesteś z CBA, to ja już siedzę.

Agent: – No dobra. Ja ci oddzwonię.
Nazajutrz uspokoją prawnika, że te kilka dni mogą jeszcze poczekać.
Piotr R. ma także dla przyjaciela dobre wieści: – Wygląda na to, że wszystko jest OK. Jutro powinno się wydarzyć. Musimy grać va banque.

◆ ◆

– Dziewiętnastego czerwca 2007 r. – wyjaśniał w śledztwie Andrzej K. – Piotr R. powiedział mi, że dziś Lepper podpisał decyzję. Umówiliśmy się na godzinę 17.00 w restauracji w pobliżu Ministerstwa Rolnictwa. Czekalem tam na dokument, który R. miał przynieść. Ale nie przyszedł. Jak mi później tłumaczył, sprawa stanęła w miejscu, bo na Wiejskiej ktoś z PiS zapytał Leppera czy to prawda, że puszcza bokiem odrobinienia.
Czy rzeczywiście tak to wyglądało? Agent zeznał, że tego dnia rano figurant Andrzej K. zadzwonił do niego spod Sejmu z prośbą, żeby włączył telewizor, bo jak Lepper skończy przemawiać, przyjedzie do Ministerstwa Rolnictwa i podpisze decyzję. Czekali na tę pieczętkę w pubie koło ministerstwa do godziny 17.00. Wtedy K. odebrał telefon, prawdopodobnie od Piotra R., że Lepper się przestraszył i wniosek musi przejść normalną procedurę.

Dwudziestego czerwca. Wójt Mrągowa znów ma wizytę dwóch panów z CBS. – Prosiłem ich o pokazanie legitymacji i identyfikatorów – zanotował w swym kalendarzu Jerzy Krasński. – Poinformowałem o moich wątpliwościach co do autentyczności podpisów i pieczętek. Nie chcąc być później posądzonym o zatajenie tego faktu, zapytałem, czy wystarczy, że zawiadomiłem ich o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Ledwo agenci zapewnili, że wszystko mają pod kontrolą, z ministerstwa zadzwonił kolejny urzędnik informując, że we wniosku o odrobinienie brakuje map. Wójt poczuł się zupełnie skołowany. Zapytał agentów (ciągle wtrząc, że są z CBS), co ma robić? A oni na to, że dla dobra śledztwa trzeba poczekać jeszcze kilka dni, ponieważ cała sprawa zakończy się najpóźniej 6 lipca.

Krasński następnego dnia zawiadomił prokuratora rejonowego, że nadchodzi go oszuści podszywający się pod CBS.

Tymczasem Piotr R. znów robi przyjacielowi nadzieję, że mimo kłopotów wkrótce będzie decyzja. Z podstachu CBA: – Słuchaj, puszczają papiery w obieg. Teraz Lepper jedzie do Barcelony na jakąś wystawę, a ja do Hiszpanii. Po powrocie podaję w przybliżeniu termin.

Andrzej K. upewnia się: – Znaczący mam im zadzwonić, że jest prawie gotowe, czekamy koło siedmiu dni, tak? To ustalmy jakiś hotel, w miarę sensowny. Nie ma sensu w mieście, a nuż coś nagrąją, a w motelu na obrzeżach to wątpliwe, aby była jakaś kamera. Aha, to będą cztery walizeczki, żeby ktoś na nas kurwa nie napadł. Jak byś to widział?

Piotr R.: – Powiem ci tak. Nie będę ciągał ze sobą nikogo. Ty chcesz z kimś to odbierać?

– Znaczący, ja bym tak zrobił. Drugie auto by przyjechało, ale tak, żeby oni nie wdzili. I później jednak ktoś by za mną szedł te 20 metrów dalej...

Radaa prawny dzwoni do „biznesmena”, że załatwianie troszkę się przeciągnie. Przeprasza go, że to tak długo trwa. Tłumaczy: – Oni się boją CBA, cholera wie kogo. Jakieś podpuchy, rozumiesz? Że wystarczy taka sprawa jak ze szpitala na Wołoskiej i tym doktorem jakimś tam, rozumiesz? Że nagle cała ekipa się zwali i będzie wielka afera.

Agent: – Ale przecież ja, też nadstawiam dupy, nie?

Andrzej K.: – Tak naprawdę to ty i ja nadstawiamy najbardziej.

Agent: – Oni to, kurwa, niczym nie ryzykują.

Andrzej K.: – No, ale chcą mieć zgodnie z procedurą, że jakby co, to pokażą, że przecież lege artis. Ale wiesz, co? Dla nas lepiej. Ja sobie to przemysłowałem jako prawnik. Jeżeli cokolwiek i kiedykolwiek się stanie, jakas NIK np., czy inna kontrola wtroczy, to nie będą mieli się do czego dopierdolić. Rozumiesz, o co chodzi?

Agent rozumie i wychodzi mu naprzeciw, decydując: – Ten tydzień jeszcze przełubujemy, ale po nim konieczny rozmowy.

Uradowany K. natychmiast dzwoni do Piotra R.: – Wkurwiony, pluje jadem, jednak wyduślił z siebie, że jeszcze przedłużą termin, ale to już naprawdę ostatni raz. Ale powiem ci, wszyscy wasi urzędnicy nadają się do zwolnienia, co za nieudolność!

– Masz rację, przekażę to do goiry – Piotr R. nadal trzyma fason prawej ręki Leppera. W prokuratorstwach aktach jest też poufne nagranie z 27 czerwca 2007 r. telefonicznej rozmowy R. z wiceministrem Jabłońskim:

– Cześć, cześć, Piotr z tej strony. Tam już wszystko jest dostarczone na biurko, a powiedz mi, wiesz już, kiedy macie wasze zebranie?

– Na pewno nie jutro.

– Mhmmmm. A kiedy będziesz wiedział? Dzień wcześniej, czy...

– W tym tygodniu. Weź mi dzisiaj albo jutro przypomnij czymś, e-mailem albo SMS-em. Ja się tutaj zorientuję, czy to może już stanąć. No, najlepsze, trzymaj się.

Andrzej K. wyjeżdża z rodziną na wakacje do Kolobrzegu, Piotr R. ma 6 lipca wyjechać do Chin z rządową delegacją. A sprawa odrobinienia nie jest zamknięta.

Prawniki dzwoni do przyjaciela: – Prawda jest taka, że jestem w tej chwili pod ścianą... Pracy nie mam, znów mnie wyrolowali, a to się wlecz...

Piotr R.: – Wjść tak mnu powiedz: wszystko jest według starych ustaleń, a pisma idą, bo są gdzieś urzędnicze hocki, dobra?

Andrzej K.: – Ale ja jestem autentycznie pod ścianą, oczywiście to ciebie nie interesuje. Przyczyną jest moja naiwność, ale w takim razie muszę cię prosić przed wyjazdem do Chin o rozliczenie ze mną, bo to przynajmniej zapewnia mi mniejsze śniadki na dupie.

Prawniki, chcąc uratować interes życia, proponuje „biznesmenowi”, że jego grupę zapłaci umowną karę za spóźnienie. Dają sobie 10 dni na załatwienie sprawy. Każdy następny dzień opóźnienia to 100 000 mniej z obiecanej łapówki.

– Możesz też zejść z trzech (w domyśle milionów złotych), jestem w stanie prze-
forsować, że nie dostanę tyle, tylko np. 2,7; 2,8, coś takiego. Mnie jest ganc poma-
da, i tak nic z tego nie mam – usiłuje załagodzić pretensje agenta.

Agent: – Yhumm.

Andrzej K.: – Chyba, że chcesz mi chociaż stówkę odpalić, to też będą zadowolony.

Agent: – No dobra, idę rozmawiać.

Następnego dnia informuje radcę, że wspólnicy przyjęli propozycję.



Piątego lipca dokumenty w sprawie Muntowa są wreszcie w komplecie. Dyrektor
departamentu gospodarki ziemią i wiceminister Kowalczyk podpisuje pod wnio-
skem „załatwić pozytywnie”. Jeszcze tylko parafka ministra, co jest już właściwie
formalnością... Ścisłe kierownictwo zbiera się nazajutrz, 6 lipca.

– R. kilkakrotnie pytał mnie o ten termin. Ale nie domagał się umieszczenia spra-
wy odrolnienia w porządku obrad. Zresztą, nie miał na to wpływu. Ona toczyła się
normalną ścieżką urzędową – zeznawał potem w sądzie wiceminister Jabłoński.

Owego 6 lipca 2007 roku działali się rzeczy dziwne w gmachu Ministerstwa Rol-
nictwa.

Świadek Andrzej Lepper opowiedział o tym na sali sądowej: – Ja wstaję wcze-
śnie, już koło godziny 6.30 byłem w biurze Samoobrony. Zadzwonił domofon – ktoś
prosił, aby go przyjąć, bo ma bardzo ważną wiadomość. Spojrzałem przez wizjer
– dobrze ubrany mężczyzna, krótko ostrzyżony. Wpuściłem. I ten człowiek mówi
od progu: – Panie premierze, wobec pana jest szykowana prowokacja, oni chcą pa-
na wykończyć, proszę uważać. Wychodząc, podał mi dłoń.

– Ja nie jestem strachliwy – skomentował to wydarzenie były wicepremier na
procesie. – Z biura mojej partii jak zwykle pojechałem do ministerstwa. Było po siód-
mej. Tam czekali na mnie posłowie i przewodniczący Samoobrony. Po kolei wszyst-
kich przyjmowałem. W pewnym momencie odezwał się telefon, jedna z moich sied-
miu komórek. Ten sam głos, który mnie ostrzegł wcześniej rano, przypomniał
o przygotowywanej prowokacji. Wtedy to już się zgenerowałem.

Lepper wzywa oficera BOR, nakazuje mu przeszukanie gabinetu. Niczego nie zna-
leżono. Komendant BOR chce go ubrać w kuloodporną kamizelkę, ale wicepremier od-
mawia. Potem odwołuje wszystkie zaplanowane na ten dzień spotkania, również z Pio-
trem R. (Oskarżony R. wyjaśnił w śledztwie, że umówił się z wicepremierem, bo chciał
mu przypomnieć o obowiązkach zaszczepienia się w związku z wyjazdem do Konga.
O żadnym odrolnieniu nie zamierzał rozmawiać. Prokurator w tę wersję nie uwierzył).

Lepper jedzie do Sejmu, gdzie musi być na głosowaniu kandydatury prezesa NIK.
Stamtąd szybko wraca na ul. Kruczą, do resortu rolnictwa, na zaplanowane kole-
gium, na którym – jak przewidywali autorzy operacji CBA – ma dojść do podpisa-
nia wniosku o odrolnienie gruntu nad jezioro w Muntowie.

Ale nie dochodzi. Z powodu wyjazdu wiceministra Kowalczyka do Brukseli spra-
wa nie widnieje w porządku obrad.

Kolegium jeszcze trwa, gdy w jednym z pokoi hotelu Fort na peryferiach War-
szawy witają się Andrzej K. z agentem Andrzejem Sosnowskim. Mają tu umówione
spotkanie. Ledwo usiedli, wchodzi z walizką rzekomy kierowca rzekomego biznes-
mena z Austrii, w rzeczywistości też agent CBA. Kładzie bagaż na szafce i znika.

Z zeznań agenta (jako świadka incognito): – W pokoju hotelowym Andrzej K. prze-
liczył pieniądze i zadzwonił do mężczyzny, który miał na imię Piotr. – Podbite? – za-
pytał. Z rozmowy wynikało, że ten ktoś nie ma teraz czasu, żeby sprawdzać, bo szy-
kuje się do zagranicznego wyjazdu. Panowie nie mogli się dogadać, jak mi udowodnić,
że papier jest gotowy. W końcu doszli do wniosku, że sam pojedą do Ministerstwa
Rolnictwa i tam zobaczą podpisany wniosek... Nagle K. przerwał telefoniczną roz-
mowę i bez słowa szybko wyszedł z pokoju hotelowego. Walizka z pieniędzmi została.

Andrzej K. wyjaśnił w śledztwie: – Przeliczyłem, zgadzało się: 2,7 mln zł w pacz-
kach banknotów po 50, 100 i 200 zł. R. chciał, aby w związku z tym, że akurat wy-
jechał do Chin, jego pieniądze zostały w sejfie hotelu Ford. Ale nie potwierdził, że
na pewno wszystko jest załatwione. Uznałem go za niepoważnego, postanowiłem
zerwać kontakt z obiema stronami.

Ale agent nie odpuszcza. Na polecenie przełożonych jeszcze tego samego dnia,
około godz. 17.00 telefonuje do K. z dobrą nowiną: – Jest decyzja Leppera. Skąd się
o tym dowiedział? Po prostu – wziął numer do ministerstwa z internetu i zadzwo-
nił. Jakaś urzędniczka potwierdziła. Zatem proponuje spotkanie w klubie „6/12” przy
ulicy Żurawiej. Walizka z zawartością będzie do odbioru.

Sosnowski blefował. Ale radca prawny nie mógł sprawdzić u R. prawdziwości
słów „biznesmena”, bo ten nie odbierał telefonu, był już z delegacją ministra bu-
downictwa na lotnisku. Pojechał więc do klubu i przed wejściem o godzinie 17.15
został zatrzymany w swoim nissanie x-trail. Pięć minut później taki sam los spotkał
na lotnisku Piotra R.

Andrzej K. tuż po zatrzymaniu napisał w wyjaśnieniu złożonym naczelnikowi wy-
działu II zarządu operacyjno-śledczego CBA, że chodziło mu tylko o „usprawienie
procedury administracyjnej pewnego wniosku o odrolnienie, żeby ta sprawa nie
utknęła u jakiegoś urzędnika”. Przyznał, że jest oszustem, bo biznesmenowi So-
snowskiemu obiecywał „złote góry”, sugerował, że w sprawę zaangażowany jest
sam Andrzej Lepper; zrobił tak dla zdobycia i trzymania klienta.

Ale następnego dnia zatrzymany prawnik uraczył funkcjonariuszy CBA inną wer-
sją zdarzeń. Łapówka naprawdę była dla wicepremiera. Miał mu ją zanieść Piotr R.
Trzy dni później premier Jarosław Kaczyński ogłosił na konferencji prasowej, że
Andrzej Lepper złożył dymisję, bo „znalazł się w kręgu podejrzeń”. Chodzi o wielo-
milionową łapówkę. To sukces akcji CBA. – Prawdziwej pięści władzy państwowej
w walce z korupcją – dodał szef Biura Mariusz Kamiński.



Jeszcze rok temu byli przyjaciółmi. Teraz, na ławie oskarżonych Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia siedzą odwrócony do siebie plecami. 36-letni Piotr R. białej sędziów. Starszy o cztery lata Andrzej K. dalej, tyłem do publiczności. Pierwszy chętnie rozmawia na korytarzu sądowym z dziennikarzami; chce, aby pisano o nim z podaniem pełnego nazwiska, bo domaga się procesu przy odsłoniętej kurtynie. Drugi przeciwnie – tylko inicjały, a proces powinien się toczyć z wyłączeniem jawności. I żądanych wywiadów – Andrzej K. ucieka od kamer. Oskarżeni odpowiadają z art. 230 k.k. – planna protekcja, choć ostatecznie łapówki nie wzięli. Oskarżenie o powoływanie się na wpływy nie wymaga dowodu, że rzeczywiście mieli takie układy. Półkurator Arkadiusz Dura napisał w akcie oskarżenia: „Nie ustalono przyczyn, dlaczego nie doszło do przekazania K. pieniędzy”.

Od początku wiadomo, że raczej nie zapadną wysokie wyroki. Dziennikarzy przyciągnęło co innego – perspektywa obnażenia prowokacji Centralnego Biura Śledczego, które, aby skompromitować Andrzeja Leppera, wymyśliło akcję z protekcjonalnym odwołaniem się do Mazurach.

Andrzej K. na pierwszej rozprawie chciał się wycofać z procesu, przyznając się do winy i prosząc o dwa lata więzienia w zawieszeniu oraz grzywnę. Gdy sąd odrzucił taką możliwość, oskarżony prawnik odczytał z kartki: „Jeśli chodzi o podstawowy zarzut, przyznaję się do jego popełnienia, lecz działo się to inaczej niż opisano w akcie oskarżenia. W moim przekonaniu sprawa miała być legalna i zgodna z procedurą. Byłem pewny, iż w wyłączenie gruntów z produkcji rolnej na Mazurach są zaangażowane inne osoby, z którymi bezpośrednie kontakty utrzymywał Piotr R.”. Obciążał swego dawnego przyjaciela: – Gdy powiedziałem Piotrowi, że jest taka osoba zainteresowana odwołaniem, on na to, że załatwienie będzie kosztowało 7-8 milionów zł. Pieniądze miały być podzielone na cztery części. Lepper, ja, R. i jeszcze ktoś. O podziale miał decydować R.

Andrzej K. nie wyjaśnił przekonującego, dlaczego nie wziął walizki z 2,7 mln zł i powiedział. Czy Piotr R. ostrzegł go, że Sosnowski jest agentem, czy też wystraszył się czegoś innego?

Piotr R. sugerował podczas procesu, że K., który w latach 1990-1991, pracował w UOP i ponoć przeszedł słynną szkołę agentów wywiadu w Kiejkutach, usłyszał od Sosnowskiego: „Ty jesteś ze służb, my służby, dogadajmy się”. A jeśli jego były przyjaciel nie jest agentem, to nikczemnikiem i kłamcą. „Bo albo uczestniczył w tej akcji służb specjalnych, albo został złamany i za cenę swojej wolności niegodną mężczyznę przyłączył się do nich”.

R. twierdził, że żył w przekonaniu, iż radca prawny K. ma klienta Sosnowskiego, zainteresowanego legalnym odwołaniem. Chciał pomóc koleźce, obiecał tylko dopływać się o jego sprawę w ministerstwie. – Moja rola sprowadzała się do sprawdzania, czy wniosek zawiera wszystkie niezbędne dokumenty. W rozmowie telefo-

nicznej z K., który stawiał się coraz bardziej nachalny, mówiłem, że zobaczę, co się da zrobić, ale tak naprawdę, nic nie robiłem. Owszem, padły z jego strony propozycje pieniężne – kosmiczne sumy, ale ja nigdy nie mówiłem, że oczekuję jakiegś kwoty.

Aż do końca procesu były dziennikarz, który nie przyznał się do zarzucanych mu czynów, trzymał się następującej linii obrony: padł ofiarą swojej naiwności. K. wykorzystał go, jako stojącego blisko Samoobrony. Nie bez powodu powiedziano mu w śledztwie, że to nie on sam jest celem, tylko Lepper, którego „trzeba zatopić”.

Wezwany na świadka Mariusz C., były więzień, który w areszcie przy ul. Rakowieckiej pracował w magazynie i odbierał od więźniów ich cywilną odzież, zeznał, że gdy wydawał więzienne sorty Piotrowi R., ten miał do niego prośbę. Chciał, aby zatelefonował do pani Eli (chodziło o posłankę Samoobrony Elżbietę Wiśniewską) i przekazał taką wiadomość: „Chcę, żebyś zajęła... Leppera, zrób wszystko, aby mnie stąd wyciągnąć, a ja będę dalej wiedział, co z tym zrobić. Ostrzeż Andrzeja”.

Mariusz C. zanim zadzwonił, skontaktował się jednak z CBA. (A może to CBA go wynajęło, aby udawał życzliwego wobec nowego aresztanta? Ten świadek wkrótce wyszedł na wolność, a gdy stanął w sądzie za barierką, zastrzegł, że na niektóre pytania nie będzie publicznie odpowiadał. Sąd wyłączył jawność rozprawy).

R. zaprzeczył, aby prosił magazyniera o pomoc. Dał mu tylko kontakt do posłanki. I podarował rzeczy, które musiał zdjąć z siebie: garnitur, koszulę, buty, a nawet spinaki, gdyż więzień pożałił się, że wkrótce pojedzie na rozprawę i nie ma w co się ubrać.



Mimo dość długiego procesu wiele zadanych pytań – zwłaszcza w mediach – pozostało bez odpowiedzi. Nie dano się ustalić, czy Piotr R. i Andrzej K. byli w znowwie z wysłankami urzędnikami w Ministerstwie Rolnictwa. Sąd uznał za wiarygodne wyjaśnienia Andrzeja K., gdy ten twierdził, że Piotr R. powoływał się na wpływy u Leppera. Wynikało to też z zeznań świadka Jabłońskiego. W trakcie procesu zostało udowodnione, że Piotr R. interweniował u wicepremiera w sprawie odwołania gruntów w Muntowie. I że Andrzej Lepper interesował się tą sprawą szczególnie. Lepper zdanem sądu nie mówił jako świadek całej prawdy. Zeznał, że Piotr R. przyszedł do niego z interwencją w sprawie zbyt słabozarnego załatwienia sprawy mazurek. Wtedy on poprosił ministra Jabłońskiego o zajęcie się tą sprawą, jeśli rzeczywiście coś się zatario w biurach Jablońskiego. Ale świadek Jabloński przedstawił tę rozmowę w gabinecie wicepremiera inaczej. Twierdził, że szef rekomendował mu Piotra R. jako pełnomocnika gminy Mrągowo, co przecież było nieprawdą.

Sąd nie przyjął jako wiarygodnych wyjaśnień Andrzeja K., że był szantażowany przez agenta Sosnowskiego w celu kontynuowania transakcji odwołania gruntów. Nie wiadomo też, czy doszło do ostrzeżenia Leppera przed prowokacją CBA. Czy w ogóle zdarzył się taki przeciek, bo może szef Samoobrony nie wiedział, że za wnioskiem o odwołanie kryje się korupcja (Janusz Kaczmarek, ówczesny szef MSWiA

publicznie i bardzo spektakularnie oskarżony przez zastępcę prokuratora generalnego Jerzego Engellinga, o to, że zdradził Lepperowi akcję CBA, został w końcu uniewinniony).

Warszawski sąd zajął się tylko tymi, którzy siedzieli na ławie oskarżonych.

Sędzia Dorota Radlińska szukała też odpowiedzi na pytanie – czy oskarżeni dopuściliby się przestępstwa korupcji bez interwencji CBA? Zdaniem sądu – tak. Andrzej K. szukał osoby, która byłaby zainteresowana odrobinieniem za odpowiedzialną łapówkę przed poznaniem rzekomego biznesmena, mając informację od Piotra R., że wiele może załatwić u Leppera. Ani Piotr R., ani Andrzej K. nie byli kuszeni przez służby specjalne do popełnienia przestępstwa.

Na 2,5 roku więzienia skazano w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia Piotra R. (od połowy procesu przeprowadzany był z aresztu, gdzie osadzono go w innej sprawie), a Andrzeja K. na grzywnę 54 000 zł.

W przypadku rady prawnej tak nadzwyczajne złagodzenie kary to nagroda za współpracę z prokuraturą – wyjaśnienia Andrzeja K. były oprócz materiałów z kontroli operacyjnej CBA i zeznań agenta kanwą oskarżenia. Poza tym Andrzej K. przyznał się i ujawnił korupcję we wrocławskiej spółce Telefonii Dialog, gdzie z rekomendacji PiS został wiceprezesem.

Wyroki są nieprawomocne. Ale niezależnie od tego, czy dojdzie do apelacji, nieudanej akcji CBA na Mazurach nie odłożono do archiwum.

W dwa miesiące po ogłoszeniu wyroku prokuratura w Rzeszowie zarzuciła Mariszowi Kamińskiemu, wówczas szefowi CBA, nadużycie władzy, gdy zdecydował o operacji specjalnej w sprawie afery gruntowej. Chodziło o stosowanie na szerszą skalę, nie tylko wobec osób później oskarżonych, różnego rodzaju podsłuchów. W kilku przypadkach odbyło się to nawet bez zgody prokuratora i sądu.

Ponadto funkcjonariusze CBA podrabiali też podpisy osób publicznych, np. wójta Mrągowa. A decyzyja o odrobinieniu, która miała zapaść w oparciu o spreparowane dokumenty naruszyłaby prawa właścicieli działek upatrzonych przez CBA.

Prokuratura w Rzeszowie odmiosła się też do faktu kontrolowanego wręczenia łapówki. Prawo zakazuje funkcjonariuszom organów śledczych testowania ludzkiej skłonności do popełnienia przestępstw. Zatem tego rodzaju działania operacyjne za zgodą byłego szefa CBA były podstępem do przestępstwa.

Trzydziestoletni Maciej Dowhyłuk idzie po pracy – jest grafikiem komputerowym w ulicą Tamka do domu. To już bardzo blisko. Nagle zza rogu kamienicy wystrzkuje dwóch zakapturzonych mężczyzn. Przewracają Dowhyłuka na chodnik, kopią podkutymi głanami.

– Ty lewacka kurwo, zabijemy cię! – krzyczy jeden z napastników.

Ofiara zasłania oczy, bo czuje na twarzy strumień gazu łzawiącego.

To ruchliwa ulica na warszawskim Powiślu – w miejscu napadu natychmiast robi się zbiegowisko. Ktoś krzyczy: – On ma nóż! Grafik już tego nie słyszy – związa się z bólu. Leży w coraz bardziej powiększającej się kałuży krwi. Ktoś zawiadamia pogotowie, w szpitalu już się szykują do operacji – ostrze noża przebiło płuco. Jest wieczór 16 maja 2006 roku.

– Pacjent miał szczęście – mówi po trudnym zabiegu chirurg. – Niewiele brakowało, aby cios okazał się śmiertelny.

Dwa dni później na stronie internetowej Redwatch info pojawia się informacja: „Teraz Maciej Dowhyłuk, jutro cały lewacki pomiot”. Ekipa policyjna, która szuka sprawców napadu, analizuje treści pojawiające się w tej witrynie – wizytówce neonazistowskiej organizacji „Blood and Honour” (Krew i Honor). Publikowane są tam zdjęcia, adresy i informacje o aktywistach organizacji i mediów lewicowych, osób ze środowisk anarchistycznych, gejowskich, a także działaczy na rzecz praw człowieka. Wśród tak napiętnowanych jest m.in. znany pisarz z Gdańska Paweł Huelle, a na drugiej pozycji Maciej Dowhyłuk jako: główny szef warszawskiej antify, pseudonim „Chirurg”, wzrost 185 cm. Dłuższe, przetluszczone włosy, mieszka w okolicy Tamki. Nie jest punkiem, jest lewakiem. Może być groźny w starciu.

Internauci odwiedzający tę witrynę czytają szczególny apel: Zapamiętaj miejsca, twarz zdajców, bo oni wszyscy zapłacą za swe zbrodnie. Niech tylko zaczyna swoją propagandową szopkę w obronie lewaka, który jest współodpowiedzialny za mordęstwo Adama. Sympatycy Redwatch info wiedzą, że jest to nawiązanie do tragicznej śmierci w 2001 roku na warszawskiej Starówce 18-letniego Adama Kuszewskiego. Barbakan to tradycyjne miejsce spotkań subkultur młodzieżowych. Śmiertelnie pobity Kuszewski był skinheadem. Według aktu oskarżenia, tego tragicznego wieczoru grupa punków zaatakowała skinów – swych ideologicznych wrogów. Jeden z nich podczas bijatyki rzucił butelką po piwie. Tak nieszczęśliwie, że rozprysła się na głowie Adama, który upadł na granitową kostkę i już nie odzyskał przytomności. Po trzech dniach zmarł. W śledztwie policja wytypowała sprawcę – to Mirosław B. Punk, a może raczej anarchistę. Przynal się. Jednak przed sądem odwołał wcześniejsze wyjaśnienia i stwierdził, że do obciążenia się został namówiony przez przestępujących go policjantów.

Świadkowie obrony forsowali całkiem odmienną wersję zdarzenia. Ich zdaniem było na odwrót – to skłini, dokładniej grupa „wolnościowców”, bojówka warszawskiej antify, otoczyli Barbakan, szukając okazji do starcia z punktami. Ich przywódcą jest Maciej Dowhyłuk.

Strona internetowa Redwatch info chętnie udziela gościnny ideologom NOP – Narodowego Odrodzenia Polski. To ich sympatycy odbijają nocą na murach w podziemnych przejściach szablony z hasłami: Polska dla Polaków, White Proud albo Jude rausl. Często pojawia się rysunek zgiętej ręki, która dzierży miecz. „Miecz – można przeczytać na Redwatch info – ma przeciąć zło i zgniliznę, toczące naród. Symbolizuje walkę z wrogiem: z komunizmem, nasilającą się inigracją obcych nam narodowo i rasowo elementów i masonsko-żydowskim spiskiem przeciwko narodowi polskiemu. Na razie zdobywamy siłę, to znaczy młodzież. Treścią naszego życia jest czyszczenie ulic z brudu. Brud: to Rumun, Murzyn, żyły, punk i anarchista. Tylko prawo pięści i system totalitarny zrobią w kraju porządek”.

Przesłanie na stronie Redwatch info sldania niektóre media do zainicjowania dyskusji na temat subkultur. W „Gazecie Wyborczej” wypowiedział się znany psycholog Wojciech Eichelberg. Twierdzi, że do tego typu subkultur najczęściej dołączają młodzi ludzie, którzy mają problemy z własną tożsamością, dzieci wychowywane w chłopskiej wartości i relacji. „Dlatego podciągają je grupy i środowiska, gdzie panują jednoznaczne cele, wyraża hierarchia podległości i wartości, nawet jeśli są to wartości wątpliwe. W takich grupach próbują się jakoś określić, dowiedzieć, kim są i ile są warte. Skinheadzi, przesiadkownicy ultrapravicową ideologią są w stanie zabić żebra. Skinheadzi i przynosi wstyd ojczyźnie. A przynajmniej święcie wierzą, że robią to z takiego właśnie powodu”.

Dyskusja wybuchła w gazetach gwałtownie i równie szybko zamiera, zastawiając inne tematy. A sprawcy napadu na Tamce nadal pozostają nieznanymi, choć zatrzymano 40 osób pod zarzutem publicznego nawoływania do ksenofobicznych nawiązań... W tej grupie jest 24-letni Marek B., syn warszawskich dziennikarzy, rozwiędzionych. Chłopak przez pewien czas mieszkał z ojcem, potem z matką, to znów z babcią. Ostatnio, od dłuższego czasu, z matką i jej nowym mężem. Podczas przesłuchania na policji powiedział, że jest zdecydowanym subkulturcem, jednak nie skinheadem. Nie pracuje, nie uczy się.

– W tej chwili odpoczywam – wyznaje – miałem zapalenie wątroby typu C. Czytam książki historyczne, interesuje mnie „ciężkie” granie, a ponieważ mam dużo czasu, jeżdżę na koncerty muzyki rockowej. Surfując po internecie sporadycznie wchodzę na stronę zawierającą treści faszystowskie.

O Macieju Dowhyłuku nigdy nie zamieszczał żadnych tekstów. Nie zna dziewczyny o imieniu Julia, kaszet owszem, posiada, ale kupił go do obrony. Nie chodzi po ulicach z nożem. Przyznaje, że był legitymowany po picciu alkoholu, zażywał marihuany i amfy. Na pytanie, co robił 16 maja 2006 roku na Tamce, odpowiada, że szukał apteki, chciał kupić hepatit. Zaznacza, że jest pod opieką psychiatry; leki, które brał na zapalenie wątroby mają skutki uboczne, wywołują depresję.

– Jest pan wolny – słyszy od przesłuchującego go policjanta.

◆ ◆ ◆

Trzy miesiące później wcześniej rano pod ostródek kolonijny „Marina Templariusz” w Czaplisku nad jeziorem Drawsko podjechał samochody z warszawską rejestracją. Wyskoczyli z nich ubrani na czarno policjanci w kominiarkach z okrzykiem: „Na ziemię!”. Obudzone dzieci z przylepionymi do szyb buziami zobaczyły, jak terroryści wyprowadzają skutego pana Marka, który w ośrodku naprawiał im huśtawki, czy uszkodzone zamki. Niektóre plakaty. Uspokoiły się dopiero w czasie śniadania, gdy wychowawczyńi powiedziała, że to takie ćwiczenia policji w Japaniu bandytów, czyli na niby.

W rzeczywistości aresztowano Marka B., o którym od tej chwili gazety często będą pisały per nożownik z Tamki. Bardzo to zabił rodzinę podejrzanego.

Sędzcy wiedzą już znacznie więcej o tragicznym wydarzeniu na Powiślu. Zgłoszono się wielu świadków. Widzieli, że temu z dwóch napastrników, który kopał leżącego mężczyznę, w pewnej chwili zsunął się kapłur i odstoni ogoloną na tyso głowę. Okazało się, że za uciekającym z miejsca wypadku pojechali kierowcy znajdujących się w pobliżu samochodów. Zobaczyli w biegu wyrzucany nóż, a następnie lateksowe rękawiczki.

Ranny Maciej Dowhyłuk pierwszy wskazał, że mógł to być Marek B. Gdy tylko jako tako wrócił do siebie po operacji – powtarzał, że padł ofiarą nienawistci faszystów. Napad kojarzył mu się ze stroną internetową Redwatch info.

A dlaczego Marek B. ? Bo jest wyznawcą tej ideologii, kiedyś z tego powodu doszło między nimi do spięcia. B. wiedział, gdzie mieszka Dowhyłuk. A poza tym chodzi o dziewczynę Julię, narzeczona Macieja, zna Marka B. jeszcze ze szkoły podstawowej. Kiedyś byli parą.

Przeszukano mieszkanie podejznanego B. Policja zarekwirowała m.in. twarde dysk z komputera, koszulkę z napisem „Skrewdriver”, „Blood Honor”, autorską płytę zespołu Awantura, grającego muzykę street punk, gazetę „Skinhead Magazine”, kaszet z kółkami. Przełomem w śledztwie stało się odczytanie rozmowy Marka B. na Gadu-Gadu z zarejestrowanym jako Janek lub Misielk. Oto niektóre jej fragmenty, włączone do akt prokuratorskich:

25.12.2005 r. Marek B.: – „Wyznałem „Chirurgia”, ale on się bał wyjść przed budynek. Ale jeszcze kurwę złapiemy (...).”

Kilka dni później B. chce, aby Misielk doradził mu w zakupie dobrego noża. W dalszej korespondencji sugeruje konieczność „przygazowania Tajiba”. „Myslałem też o takiej opcji, żeby jakiegoś cwela oblać podpałką do grilla i zajarzyć (...). Jak wreszcie ubijemy tego pedała, to urosniemy do rangi bogów”.

W kolejnej rozmowie B. wspomina o potrzebie „dojechania kogoś na ostrwo”. Tak, by poszła fama, że jesteśmy świrusami. Na tej opinii będzie można długo jechać”.

Wkrótce potem B. chce pożyczyć od Janka samochód na „akcję bojową”, skiero-waną przeciwko niejakiemu „Koskowi”, którego można dopaść na warszawskim

Dworcu Zachodnim, gdzie myje szyby. Z korespondencji wynika też, że na stronie internetowej Redwatch info umieszczono zdjęcie „Koska”. B. i Janek rozważają ewentualność przeprowadzenia „akcji na Żyda” („Koska”? – H.K.) i Taliba, czyli Macieja Dowhyłuka ps. Chirurg.

Czternastego stycznia 2006 roku B. chwali się Jankowi, że chłopcy namierzili na Allegro „Chirurga”, który podaje tam adres swojej firmy. Ale dochodzą do wniosku, że najpierw muszą się rozprawić z „Koskiem”. Sugestia Marka B.: – Najlepszymi dnia-
mi do ataku byłyby wtorek i czwartek. Bo wtedy on chodzi do szkoły.

Szóstego kwietnia B. opowiada Jankowi o akcji, jaką zamierzał przeprowadzić w rejonie klubu „Dwa Kotły”, gdzie miał się odbyć koncert lewaków. Jednak w ostatniej chwili się wycofał z uwagi na to, że „w rejonie klubu było zbyt dużo psów...”
– W każdym razie – decydują już grubo po północy – nadal aktualny jest plan, żeby „jedna fura czekała na Żyda, druga na Taliba, gdy będą wracali zmelanżowani z imprezy. Wtedy się natną”.

– Skąd będziesz wiedział, kiedy? – upewnia się Janek.

– Przeważnie taka impreza zdycha koło dwudziestej czwartej.

Jeszcze Janek: – Ostatnio z trzech różnych źródeł słyszałem, że lewaki z kosami biegają.

Te obawy tylko rozgrzewają Marka B.: – „Ja mam już włączoną opcję, ostatnio chciałem lać pod kefurum. Kurwa, jak „Koska” dorwę, to mu mamką łapy poobc-
nam. Albo jakąś inną kurwę lewacką, wszystko jedno”.

Pod koniec tej rozmowy B. narzeka, że od roku nikogo nie pobili (leżał w szpitalu) i ma nieodpartą potrzebę odrobienia straconego czasu. Chce rozpocząć rok od „moc-
nego pierdolnięcia”. Ostrzega Janka: gdyby złapała go policja, to w razie pytań z kim się koleguje ma mówić, że poznali się w czasie egzaminu na historię na uniwerku. Uspokaja, że „psy” się do niego nie przyczepią, bo w ewentualnym wywiadzie śro-
dowiskowym wyjdzie, że jest z dobrej, inteligentnej rodziny, żadna patologia.

Trzy miesiące później Marek B. żali się Jankowi, że zmarnował wieczór, bo oko-
lica „Kotłów” „była obstawiona, tam ich w pi... dę stało przy wejściu, na oko 60 sztuk, więc uderzyliśmy do centrum, gdzie pełno psów z okazji rocznicy śmierci pa-
pieża, ale wyczuliśmy trzech na przystankach, wystedliśmy, żeby ich zrobić, a te kundle do autobusu, no i ch... Przejeżdżaliśmy obok przystanku, a tam 3 mordy sta-
ły, między nimi „Chirurg” i jakaś dupa. Jak tylko zobaczyli, że biegniemy w ich stro-
nę, to spierdalali, jeszcze frajerzy dupę zostawili, czaisz? Goniliśmy ich kawalek, ale
te pedały pobiegły w stronę „Kotłów”, jak wróciliśmy do fury, zapadła decyzja, że
jedziemy do ch... do domu. Do pełni szczęścia brakowało złapania tej wszy, ale śmie-
chu było co niemiarą, jak się domyślasz. ... (W oryginalne słowa wulgarnie są w pe-
nym brzmieniu).

Innego wieczoru analizują na Gadu-Gadu zdjęcia ze strony internetowej Re-
dwatch info. Upewniają się, że jest ona aktualizowana. Janek informuje, że dal

komu trzeba cynk, aby na stronie znalazło się zdjęcie Macieja Dowhyłuka. Przeglą-
dają inne fotografie „zdrójców”.

– Tego cwela obczajam – pisze Marek B. – z oczu mu patrzy talcim sowieckim
ritukiem. Paru gnojom pewnego dnia z przyjemnością wstoczę na łeb. Chociaż wo-
ję białą broń.

– Zależy, co chcesz zrobić – zauważa Janek.

– Dorwać paru patałachów i uszkodzić ich konkretnie.

– Myślałem bardziej o cięciu i łamaniu, ale szkło to dupsko też można wsadzić.

W innej rozmowie obaj stwierdzają, że „Chirurg stał się częścią ich życia”

Janek: – Będzie smutno, jak się go pozbędziemy.

Marek: – Zostanie w mej pamięci. Będę tęsknił, ale tylko trochę, bo znajdę na-
stępnych.

Mają pewne obawy, czy aby po ich bojowej akcji „Chirurg” jako mężczyzna an-
tity nie znajdzie się „over the top”. „A to przestaje być śmieszne”.

Tak rozmawiają noc w noc, do 17 maja 2006 roku, czyli następnego dnia po za-
atakowaniu Dowhyłuka na Tamce. Ostatnie słowa Janka na Gadu-Gadu: – Przypo-
minam, jak by co, to żeśmy się nie widzieli, a poznaliśmy się na egzaminie na stu-
dia. Wtedy już w ich telefonach komórkowych był wysłany przez anonimowego
nadawcę SMS: „Chirurg został śmiertelnie pchnięty dziś nożem pod swoim domem.
Jeśli to wasza robota, to możecie sobie pogratulować”.

Kilka godzin później Janek przyszedł do domu Marka B. – Nie wiem, jak ty – po-
wiedział – ale ja wyjeżdżam za granicę, nie ważne dokąd. Od tej chwili wszystkie
moje telefony są nieaktualne.

Do dziś dotkliwy adres drugiego napastnika z ulicy Tamka jest policji nieznany.
Podobno mieszka w Anglii.



W czasie drugiego przesłuchania doprowadzony z aresztu Marek B. od razu przy-
znał się do napadci na Tamce. Żałował tego, co zrobił – wbrew temu, co wypisywał
na czacie, nie miał morderczych planów.

– Gdy zobaczyłem Dowhyłuka, powiedziałem do Janka: Dobra, psiknij gazem, a ja
go dziabnę w dupę. To by go skompromitowało w lewackim środowisku. Ale tylko tyle.

Gonili swą ofiarę, Janek użył gazu pieprzowego. W wytworzonej chmurze widać
było tylko zarys męskiej sylwetki i chybiony cios noza podszedł pod płuco. B. nie
pamiętał, aby potem kopali ugodzonego.

– Co podejrzany miał do Dowhyłuka? – chciał wiedzieć śledczy.

– To są stare porachunki – wyjaśnił B. – W 2005 roku bojówka lewaków od „Chi-
rurga” zaatakowała mój zespół muzyczny koncertujący w klubie „Dwa Kotły”. Na-
padli na nas z kijami bejsbolowymi, kastetami; kilku kolegów miało rany. Mnie uda-
ło się zabarykadować w jednym z pomieszczeń.

– Jednym z atakujących był Maciej Dowhyłuk? – upewniał się prokurator.
B. nie miał wątpliwości, choć dobitnie nie widział napastników. W lokalu powietrze zgęstniało od zapalonych świec dyymnych. Ale to „Chirurg” pisał na czatach w internecie: „Pojawiajcie się na koncertach, a wyjdziecie brzydzy”.

Marek B. na pytanie, jakie ma poglądy odpowiadał, że patriotyczne, jest „dużym wielbicielem prezydenta i premiera” (wtedy rządzą bracia Kaczyńscy). Dlatego nie nawidza go anarchiści i lewacy. A on nienawidzi komuny. Na jego płycie z muzyką rockową znajduje się „Piosenka o ofierze czerwonych skurwys...”. To stary człowiek, który przeharował całe życie w PRL-owskiej hucie, a obecnie jest nikomu niepotrzebnym biedakiem.

Prokurator doszedł do wniosku, że zranienie Macieja Dowhyłuka ma luźny związek z neonazistowską stroną Redwatch info. Głównym motywem napadu była zemsta. W akcie oskarżenia wyeksponowana została opinia biegłych z zakładu medycyny sądowej, że gdyby ofierze nie udzielono szybkiej pomocy, straciłaby życie. Marek B. musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo jak wynika z opinii psychologów, ma ponadprzeciętną sprawność umysłową. Ten komplement, o paradoksie, uwypuklił niekorzystne cechy osobowościowe oskarżonego: niedojrzałość uczuciową, egocentryzm, labilność emocjonalną, agresywność w trudnych dla niego sytuacjach. Podczas obserwacji psychiatrycznej stwierdzono też „objawy niepożądane występujące w trakcie leczenia wirusowego zapalenia wątroby typu C za pomocą interferonu alfa i rybawiryny”. Ale zdaniem biegłych wszystko ustąpiło po zakończeniu kuracji, czyli na ponad miesiąc przed tragicznym wydarzeniem na Tance. Dlatego prokurator uznał, że ma do czynienia z planowaniem mordstwa i nie zgodził się, aby Marek B. odpowiadał z wolnej stopy.

Swoje 23 urodziny B. spędza w celi. Zrozpaczona matka pisze mu list: „(...) Wczoraj układałam na półce twoje płyty, przedmiot naszej dumy. W moim przekonaniu jest to muzyka społecznie ważna dla Twojego pokolenia i dla wielu młodych pogubionych, których życie tak się ukształtowało, że prawo pięści wydaje im się jedynym, które obowiązuje. A tak nie jest synku.

Wiem, że nie umiałam ochronić Cię przed światem, poznananiem wielu jego złych stron. Ale wiem też, że w tym, co robisz, jest wiele dobra, miłości i wiary w siłę siłnica-wiatru, przyrody. Wiele szczytów jeszcze możesz zdobyć. A twój społeczny pazur obecny w lwych piosenkach, brak zgody na szaleństwo Europy, może się przydać innym.

Jesteś potrzebny synu po tej stronie. Masz obowiązek wobec własnego talentu. Brakuje ci synku tylko wiedzy duchowej, niekoniecznie religijnej, ale duchowej samoświadomości. Przypominam dekalog. Czci ojca i matkę swoją – podkreślam. Mam sobie za złe, że nie dbałam wystraszając o Twoje duchowe wychowanie, ale Ty mi zawasz umykałeś. Chodziłeś od najmłodszych lat swymi ścieżkami, aż znalazłeś się na jakichś strasznych peryferiach. Myślałeś, że zmieniając świat, a jesteś w rękach manipulatorów, którzy świadomie nاپuszczają jedną grupę desperowanych

na drugą, bardziej desperowaną. Filozofia przemocy może być czymś pasjonującym, ale warto najpierw poznać jej mechanizmy (...). Niestety, w twoim życiu puszczaly nerwy”.

W tej korespondencji matka przedstawia dzieje ich rodziny. Nie wiadomo, czy jest to pierwsze odsłonięcie rodowych tajemnic przed dorosłym już synem, czy też autorce listu chodzi bardziej o poinformowanie prokuratora (wszystko, co przychodzi z zewnątrz do arestanta, jest czytane), że jej dziecko z czytawych powodów nie może się podpisywać pod ksenofobią wityrny Redwatch info.

Pisze do syna – „Jakiś tego nie chciał, bardzo jesteś powiązany węzłami krwi także z innymi niż polska narodowościami”. Dalej wymienia, kto z najbliższej rodziny był starozakonnym, kto Polakiem, a kto Ukraińcem. – Ja wiem – kończy swój list pani B. – że Twoje poglądy dotyczyły niezgody na pewną intelektualną magię, na brak zasad, na chwiejność poglądów itd. że są polityczne? Właśnie dlatego bardzo dla Ciebie niebezpieczne”.

◆ ◆ ◆

Przed salą sądową tłum młodych ludzi. Właściwie są to dwi, wyraźnie odstające od siebie grupy, których członkowie patrzą na siebie nienawistnie. Wolna przestrzeń między nimi jest na tyle mała, że słowa z jednego zborowiska łatwo przelatują do drugiego. Słowa wzgardliwe, wrogie.

Wygląd młodych już na pierwszy rzut oka określa, do której z grup należą. Jedni mają papuzie irokezy albo skofunione dredy, charakterystyczne dla punków. Na barwianych koszulkach noszą napisy: You don't half dread to be rasta, co by wskazywało, że ich właściciele należą do ruchu rastafarianów, walczących o równouprawnienie. Również pod względem rasowym. To towarzystwo otacza wysokiego mężczyznę z półdługimi ciemnymi włosami, obok którego stoi ładna dziewczyna.

Druga grupa, podpierająca ścianę po przeciwnej stronie sądowego korytarza, wyróżnia się ogolonymi na tyso głowami mężczyzn w czarnych spodniach bojówkach. Większość ma podkute buty, tzw. glany i luźne bluzy z kapturami. Tak zazwyczaj ubierają się skinheadzi.

Za chwilę wszyscy wejdą na salę. Zaczyna się proces Marika B. – skłina-nazisty, jak już go zasznuflakowały niektóre media.

Proces obserwuje przedstawiciel Fundacji Helsińskiej, który siedzi obok tego wysokiego, teraz widac, że schorowanego mężczyzny, który na korytarzu stał z pukami. Na sali sądowej zajął miejsce dla oskarżyciela posiłkowego. To Maciej Dowhyłuk.

Lawę po drugiej stronie – tam, skąd najbliższej do oskarżonego, wypelnila rodzina Marika B. Jest matka, ojciec, ojczym, dziadek (niegdys znany reżyser), babcia, ciocia. Wszyscy starają się bodaj spojrzaniem, dyskretnym gestem wesprzeć bladego chłopca w otoczeniu policjanów, który czasem uśmiecha się do nich, jakby

zawstydzony. Gdy się patrzy na jego inteligentną, wrażliwą twarz, trudno sobie wyobrazić, że rok temu ogolony na zero, w głanach, biegł z nożem po ruchliwej ulicy, szukając swej ofiary.

Sąd ma – wydaje się – ułatwione zadanie. Jest ofiara, jest sprawca, który się przyznał do użycia noża. Nie ma tylko oczywistej odpowiedzi na pytanie, dlaczego. Czy to były porachunki ideologiczne?

Dowhyłuk twierdzi, że napad na niego nie był powiązany ze stroną Redwatch info. Protestuje przeciwko przypisywaniu mu poglądów ugrupowań punkowych – Organizacja antifa w Warszawie nie istnieje – twierdzi. – To media umieściły mnie pod tym hasłem, aby wskazać ofiarę ekstremy skinowsko-nazistowskiej.

Przypomina, że po awanturze w klubie „Dwa Kotły” na anarchistycznej stronie Centrum Niezależnych Mediów pojawiło się jego oświadczenie, że nie pobił Marka B. Choć zna osobiście swego wroga, a także jego demonstrowane poglądy rasistowskie. Kiedyś, podczas koncertu zwrócił mu uwagę na niestosowne zachowanie, bo wykonywał gest Heil Hitler. Marek B., powtarza za prokuratorem Dowhyłuk, należy do grupy skinheadów faszystów, której członkowie napadali na koncerty rockowe. Co drugi koncert był rozbijany przez ludzi w kominarkach i z kijami bejsbolowymi.

Ale na pytanie obrońcy oskarżonego, czy wśród napastników dojrzał Marka B. odpowiada, że nie wie, bo wszyscy byli zamaskowani.

Powołana na świadka Julia, niegdyś dziewczyna Marka B., dorzuca złowieszczo brzmiącą informację: – „Ktoś mi powiedział, że Marek dał swemu kotu na imię Hitler” (naprawdę ten kot nazywa się Thorgal).

Dodaje, że jej dawny chłopak ubierał się jak skin. Ale nie wie, czy działał w jakiejś bandzie. Jej to zresztą nie interesuje. Ona teraz boi się o narzeczonego Maćka, który figuruje na liście do sprzątnięcia, nie wiadomo, za co.

W ideologicznej otoczce wydarzenia na Powiślu o wiele bardziej zorientowany jest świadek, którego z racji jego zainteresowań nazywano na sądowym korytarzu etnologiem.

– Miałem kilka incydentów z oskarżonym – powiedział przed sądem. Dane mi było odczuć, jakie reprezentuje poglądy. Ja jestem członkiem Polskiej Partii Pracy, wcześniej PPS. Rzadko bywałem na koncertach muzyki rockowej, ale kiedyś mi się zdarzyło (podaje adres klubu). Zostałem tam rozpoznany jako element wrogi ideologicznie. W pewnym momencie zauważyłem szarżującego na mnie człowieka, który chciał mnie uderzyć w głowę, to był Marek B. Krzyczał: – „Ty jebany lewaku, czerwona k... Na szczęście uchyliłem się, nie zostałem uderzony. Między mnie a oskarżonego wpadło kilka osób.

– Ile pan ma wzrostu? – szybko przerwał tę dramatyczną opowieść adwokat Marka B.

– Około dwóch metrów.
– Oskarżony, proszę wstać – żąda sąd.

Wszyscy obecni na sali patrzają na niewysokiego chłopca, który uśmiecha się kpiąco. Z tylnych ław, gdzie siedzą irokezy, głośnie, zjadliwie komentarze. Aż sąd musi przywołać publiczność do porządku.

– To wszystko miało ciąg dalszy – zeznaje niespieszony etnolog. W następny piątek znów obrzucili mnie stekiem wyznisk. Jeden z nich miał nóż i się nim bawił. Tam też był B. Oni zasadzali się nie tylko na mnie, również na moich kolegów. Mówili o sobie, że są nazi.

– Czy jest pan osobą afiszującą się z poglądami lewicowymi? – pyta sędzia.

– Nie, ale nie ukrywam tych poglądów. Pojawiam się na manifestacjach, dyskutuję z ludźmi.

Oskarżony prosi o głos: – Ja tego świadka widzę po raz pierwszy.

„Etnolog”: – Być może oskarżony bije wiele osób i akurat tego incydentu nie pamięta.



Na kolejnych rozprawach sąd usiłuje rozszyfrować, dlaczego Maciej Dowhyłuk ma ksywę „Chirurg”. Świadek obrony Karol G. twierdzi, że ma to związek z brzytwą, której Dowhyłuk używa podczas bojek na koncertach dla grup subkulturowych: – Słyszałem, że pociął inne osoby nożem. Ale ja nie uczestniczyłem w tych akcjach – zastrzega się.

Dalsze zeznania Karola G. w kwestii ksywy tracą na procesowej wartości, raz po raz powołuje się on na opinie innych z drugiej ręki. – Mówiono mi o „Chirurgu”, że jest szefem bojówek lewicowych w Warszawie. Głośno zrobiło się o nim w 2001 roku, po śmierci skinheada Kuszewskiego na Starym Mieście. Podobno Dowhyłuk nadsiał na niego bojówkarzy.

Również na pytanie sądu, czy w słynnej już bojce w „Dwóch Kotłach” jednym z atakujących był oskarżyciel posiłkowy, świadek odpowiada, że nie wie. – Na pewno stał na czele 50-osobowej grupy, która chciała wejść na koncert. Uzbroidli się w idje, butelki.

Kto z nich konkretnie, Karol G. nie widział, bo w sali było pełno dymu, lała się krew. On też dostał czymś w głowę, ukrył się za sprzętem muzycznym.

Sugerowany sądowi obraz Dowhyłuka wymachującego brzytwą rozpada się na kawałki po zeznaniach świadka Roberta P.

Młody mężczyzna zaczyna od wyznania, że jest pierwszy raz w sądzie. Nawet się nie orientuje, kto jest pokrzywdzonym. Nie mieszka w Warszawie, nie czytał w gazetach o procesie. Z osób na sali zna tylko Dowhyłuka. Maciek, którego nie widział od dziesięciu lat, miał przewzisko Chirurg, tak się na niego mówiło od podstawówki. Wzięło się to stąd, że dzieciom na podwórku trudno było poprawnie wymówić nazwisko Dowhyłuk, Robert P. radził sobie w ten sposób, że mówił „doktor chirurg” z czasem tylko „chirurg”.

Kolejny świadek oskarżyciela prosi o wyłączenie jawności rozprawy. Boi się. W czasie przerwy grupa na tyso ogłoszonych mężczyzn robiła z telefonów komórkowych zdjęcia poszkodowanemu i jego świadkom. Fotki mogły się znaleźć na stronie internetowej Redwatch info albo posłużyć skłonom do zaatakowania namerzonej osoby.

Sąd przychyliła się do prośby, publiczność musi opuścić salę rozpraw. Rodzina Marka B. jest oburzona – przecież na korytarzu nic się nie działo, ktoś błysnął komórką, bo odbierał SMS-a. Stwarzanie aury zagrożenia, to celowe działanie oskarżyciela posilkowego, aby podgrzać atmosferę, stworzyć sugestię, że koleddy Marka są agresywni, mogą zaatakować.

Ale sąd decyzji o utajnieniu części procesu nie zmienia.



„Ogłoszenie wyroku w sprawie...” (sygnatura akt, pełne nazwisko Marka B.) – taka informacja widnieje na kartce przyczepionej do drzwi sali sądowej.

Już po wystąpieniu prokuratora i mowach obrońców. Oskarżyciel uznał, że przewód procesowy potwierdził słuszność postawionego Markowi B. zarzutu zaplanowania morderstwa:

– Ustytuowanie rany, jej głębokość wskazują, że Maciej Dowhyłuk został ugodzony z dużą siłą – stwierdził prokurator – i gdyby nie natychmiastowa pomoc lekarska, już by go nie było wśród żyjących. Tymczasem oskarżonego, że cios był przypadkowy, nie jest dla oskarżyciela wiarygodne. Sprawa, jako osoba o ponadprzeciętnej inteligencji musiał wiedzieć, że rozzerwana tętnica wykrwawia się szybko. Mimo to nie tylko nie pomógł rannemu, ale szybko uciekł, wyrzucając po drodze rękawiczki.

Prokurator poświęcił wiele uwagi zeznaniom tych świadków, którzy bali się oskarżonego. Uznał, że mieli powody, bowiem Marek B. traktował ludzi jak rzeczy, z wrogością odnosił się do wszystkich, którzy deklarowali inne poglądy polityczne niż on. Uważał ich za coś gorszego. Dlatego chciał wyeliminować człowieka, który był mu wrogi pod względem politycznym. Atak przygotował z premiedytacją, na zimno, w rok po bójce w klubie „Dwa Kotły” (w której udziału Dowhyłuka nie udowodniono) – w dzisiejszym świecie nienawiści politycznych, rasowych, państwo ma obowiązek napętlmować takie postawy. To próba zabójstwa z pobudek, które nasze społeczeństwo odrzuca – zakończył prokurator.

Jeden z dwóch obrońców jako podstawatową kwestię wyeksponował pytanie, czy Marek B. działał z zamiarem zabójstwa. Dowodził, że na sali sądowej nie uzyskano na nie odpowiedzi. Nie wyjaśnione okoliczności powinny działać na korzyść oskarżonego.

Zdaniem obrońcy, Marek B. chciał dać Dowhyłukowi tylko nauczkę na oczach publiczności, przez „dziabnięcie” go w pośladek. To miało być odpiacenie się za pobicie członków punkowego zespołu Awantura w klubie „Dwa Kotły”. Przyjście B. poglądów faszystowskich, jako pobudek działania, nie ma uzasadnienia.

Drugi adwokat oskarżonego odniósł się do skandalicznej rozmowy Marka B. z kolegą na internetowym Gadu-Gadu. – To taki sposób młodzieńczego kreowania się – przekonywał sąd. Mammy do czynienia z dużymi emocjami Marka B. One są chwiane przez kurację, jaką przeszedł po wirusowym zapaleniu wątroby.

Na spustoszenie emocjonalne wywołane chemioterapią powoływał się też oskarżony: – Cieszę się, że widzę pokrzywdzonego w dobrej formie. Nie jestem takim potworem, jak mnie przedstawiano.

Ponad godzinne oczekiwanie na orzeczenie sądu. Na korytarzu spekulowano: dwu – czy jednocyfrowy wyrok. Matka Marka B. przyszyła tego dnia na rozprawę z to-nikiem Herberta pod pachą. Miała w nim założony wiersz o procesie sądowym, w którym publiczność została przedstawiona jako gawiedz żądna krwi.

Wreszcie wezwano nas na salę sądową. Znow, jak na rozprawach, młoda publiczność swym wyglądem podzieliła się na dwie, wrogie sobie grupy.

Gdy sędzia odczytała wyrok – 10 lat więzienia, po prawej stronie sali, gdzie stała koleddy Marka B., rozległ się pomruk oburzenia. Ale nie towarzyszyła temu satysfakcja obserwatorów procesu po drugiej stronie, tej życzliwej poszkodowanemu. Zarz po wyjściu na korytarz mec. Mikołaj Pietrzak, który z ramienia Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka wspierał Dowhyłuka, zapowiedział apelację.

– Naszym zdaniem w uzasadnieniu sądu za mały nacisk położono na światopoglądowe tło zbrodni – twierdził.

Matka Marka B. nie powiedziała już ani słowa – w czasie odczytywania wyroku zemdała. Gdy również sąd apelacyjny utrzymał wyrok – 10 lat odosobnienia – wysłała do gazet obszerny list, zapowiedz złozenia skargi w Trybunale w Strasburgu. Informowała w nim, że nie została dopuszczona przez sąd jako świadek, a tylko ona wie, jak reagował syn na zastosowaną po zapaleniu wątroby typu C kurację interfeonem i rybawiryną. Mimo nalegań rodziny, pod koniec kuracji, a działo się to na niesiąc przed napaścią na Tamce, nie skierowano chorego na solidną obserwację psychiatryczną. Był on wprawdzie na lekach osłonowych, antydepresyjnych, ale samowolnie przetrwał ich stosowanie krótko przed tragicznym zdarzeniem. To, co Marek B. wypisywał na komunikatorze Gadu-Gadu, czynił w stanie depresji polekowej.

– Sądy – informowała media zrozzapaczona matka – konsekwentnie oddały wszystkie dowody naukowe obrony, że w trakcie tak drakonickiej kuracji interfeonem i rybawiryną mogły pojawić się myśli o popełnieniu morderstwa. W cywilizowanych państwach choroby, którzy pod wpływem tego typu leków wchodzą w konflikt z prawem, nie są traktowani jak przestępcy.

List nie znalazł odzewu w żadnej z gazet. Matka Marka B. twierdzi, że byłoby inaczej, gdyby rodzice, niewinnie jej zdaniem skazanego, nie byli dziennikarzami.

Ranek 26 czerwca 2001 roku. Do gabinetu wiceministra obrony narodowej Romualda Szeremietiewa zagląda jego rzecznik prasowy z pytaniem, czy szef mógłby przyjąć dziennikarzy Rzezy (tak potocznie nazwany jest dziennik „Rzeczpospolita”).

– Nagle, bez uprzedzenia? – dziwi się wiceminister, ale gdy rzecznik dwa razy powtarza, że mają ważną sprawę, zgadza się: dobrze, niech wejdą. Szeremietiewa nie na darmo żołnierze nazywali familiarnie Szarym Mietkiem. To człowiek pogodny, powszechnie lubiany, także przez podwładnych, co nie jest częste w relacjach pracownik-szef. Cztery lata przeżyte w więzieniu, gdzie trafił w styczniu 1981 roku, skazany w głośnym procesie kierownictwa Konfederacji Polski Niepodległej za „próbę obalenia ustroju przemocą”, nie zniszczyło jego wrodzonej życzliwości do ludzi.

Wchodzi reporterzy śledczy z „Rzeczpospolitej” Anna Marszałek i Bertold Kittel. Mają dla wiceministra bulwersującą wiadomość: w jego pionie biorą łapówki. Czy on coś o tym wie?

Wiceminister jest zaskoczony, mówi, że to niemożliwe. Wtedy pada nazwisko jego doradcy Zbigniewa Farmusa. – Bo my mamy taką informację – oświadcza twardo znana dziennikarka – że Farmus bierze od firm ubiegających się o kontrakty dla armii.

Szeremietiew kręci niedowierzająco głową. – Niemożliwe – przekonyuje dziennikarza. – Farmusa widzę na co dzień w pracy i znam od wielu lat. A w resortcie jest od maja 1998 roku. Żyje skromnie, nawet nie ma samochodu, mieszka w lokalu komunalnym. Gdyby brał, gdzieś by te pieniądze wypłynęły...

– A czy pan wie, że Wojskowe Służby Informacyjne odmówiły mu wydania certyfikatu bezpieczeństwa?

Znów zaskoczenie, bo wiceminister nie dostał takiej informacji drogą służbową. Wyjaśnia dziennikarzom: – Sprawa dostępu do informacji niejawnych wygląda tak, że po zmianie ustawy, osoby dysponujące wcześniej dopuszczeniami musiały ponownie wystąpić o certyfikaty. Nakazałem Farmusowi złożenie ankiety w WSI i równocześnie poleciłem wstrzymać mu dostęp do dokumentów niejawnych. Za to, czy siłą rozprędu nie wpadł w jego ręce jakiś dokument poufny, oczywiście nie rękę, bo w trakcie zmiany przepisów przecież nie siedział bezczynnie, pewne zlecenie mu zadania powinien był dokończyć. Ale to chyba nie problem, wielu wojskowych, również pracujących w otoczeniu ministra Bronisława Komorowskiego nie ma aktualnego certyfikatu bezpieczeństwa. To dotyczy osób, które były sprawdzane i wydanie nowych certyfikatów jest sprawą techniczną. Nie ma w tym żadnych zagrożeń.

Tłumaczy dziennikarzom, ale równocześnie w jego głowie pulsuje myśl – reporterzy mają tajne informacje, których on nie zna. W jaki sposób dotarli do nich, kto im je dostarczył?

Jest pewny uczciwości doradcy, prywatnie przyjaciela. Poznali się w Kanadzie w 1986 roku, gdy Szeremietiew pojechał do USA na stypendium naukowe. Jako niedawny więzień polityczny był rozchwytywany przez tamtejszą bardzo żywo

reagującą na wieści z kraju Polonię. Między innymi dostał zaproszenie z Kanady od Grażyny i Zbyszka Farmusów, którzy opuścili Polskę w 1966 roku. W Toronto prowadzili dobrze prosperującą firmę wydawniczą, wspierali Solidarność. Zbi-gniew Farmus był publicystą, aktywnym działaczem polonijnym i członkiem Rady Narodowej na Uchodźstwie.

Romuald Szeremietiew po powrocie do Polski utrzymywał z nim kontakt. Gdy w 1992 roku został wiceministrem obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego, mógł się zrewanżować za gościnę w Toronto, gdyż Farmus przyjechał do Warszawy wraz z prezydentem RP na obczyźnie Ryszardem Kaczorowskim. Na Zamku Królewskim uczestniczył w uroczystym przekazaniu prechowywanych w Londynie insygniów władzy państwowej nowo wybranemu prezydentowi Lechowi Wałęsie.

W czasie tego pobytu zdecydował, że na dobre wraca do Polski. Sprzedał swój reprezentacyjny dom w Toronto, samochody, ale z powodów rodzinnych nie opuścił w kraju korzeni. Żona i dzieci nie zdecydowały się na powrót i pozostały w Kanadzie. Dysponował jednak sporą kwotą pieniędzy i zastanawiał się, jak je zainwestować. Gdy Romualdowi Szeremietiewowi brakowało na kupno działki pod budowę własnego, wymarzonego domu, zaproponował mu pożyczanie 200 tysięcy złotych. Spisali umowę i Szeremietiew zarejestrował ją w urzędzie skarbowym w styczniu 1999 roku.



Ton pytań dziennikarzy śledczych z „Rzeczpospolitej” (znanych z odkrywania afer, w środowisku cieszących się sławą „kilerów”) zmienia się, jest ostrzejszy.

– Słąd miał pieniądze na kupno drogiego samochodu? A na budowę domu w atrakcyjnej podwarszawskiej miejscowości? Co ma na wy tłumaczenie, że Fundacja Niepodległości Polski, w której zasiada, jest miejscem dokonywania nielegalnych operacji finansowych?

Szeremietiew próbuje wyjaśniać, ale w odpowiedzi słyszy, że to nieprawda, „kilerzy” są coraz bardziej napaśthwi. Od stwierdzenia, że Farmus być może bierze, przez pewność, że na pewno bierze, doszli do oskarżenia, że wiceminister na pewno z tego korzysta, skoro kryje swego doradcę. Zdenerwowanie Szeremietiewa wzrasta, gdy słyszy poufałą radę od dziennikarza, który wielokrotnie mógłby być jego synem: – Dla pana będzie lepiej, jeżeli pan nas przekona, trzeba się postarać, panie ministrze.

Wrócił wspomnienie przesłuchań przez SB. Wtedy też słyszał takie słowa o przekonywaniu.

– Woni! – mówi do wysłanników dziennika.

Wyszli. – Nie ma zgody na publikację wywiadu – wiceminister uprzedza swego rzecznika.

Artykuł pojawia się kilka dni później, w dużym nakładzie wydania weekendowego, pod tytułem „Kasjer z Ministerstwa Obrony”.

Szeremietiew czyta: „Wiceminister w ciągu czterech lat urzędowania poczynił inwestycje, na które nie ma pokrycia w dochodach”. Z tekstu wynika, że prawdopodobnie pieniądze pochodzą z przestępczej działalności Farmusa. Anonimowy przedstawiciel „znanej polskiej firmy handlującej bronią” oświadcza w tekście: — „Dalem Szeremietiewowi pieniądze na kampanię AWS. — Ile? — Kilkadziesiąt tysięcy złotych. Kiedy jednak już jako wiceminister chciał ode mnie pieniądze na poczet przyszłych kontraktów z MON, odmówilem”.

Pierwsza reakcja spotwarzonogo: — Co za bzdury! Nie ma się czym przejmować — mówi zdziwionej i porzytowanej żonie — co pewnym czas wybuchają tego rodzaju afery, a potem wszystko okazuje się wyssane z palca.

Dwa dni po głosnej już publikacji Szeremietiew wie, że sprawa jest poważna. Wysłę list z wyjaśnieniami do premiera Jerzego Buzka, prosi o spotkanie. Premier nie reaguje, jego urzędnicy mówią, że nie ma czasu na rozmowę z wiceministrem. Gdy milczenie szefa rządu jest dostatecznie wymowne, Szeremietiew pisze do ministra sprawiedliwości Stanisława Iwanickiego. Też nie otrzyma odpowiedzi. Wreszcie dostaje pismo informujące o powołaniu przez premiera komisji do sprawdzenia zarzutów dziennikarzy. To mu w pewnym stopniu wiąże ręce. „Gazecie Wyborczej”, która zgłosiła się po wywiad, tłumaczy, że z dymisją czeka na wynik pracy komisji premiera. Nie chce odchodzić z MON z opinią lapownika.

Twierdzi, że artykuł w „Rzeczpospolitej” wkomponował się w tajne działania przeciwko niemu, a ich celem jest opóźnienie przetargu na samolot wielozadaniowy.

— „Kończy się kadencja i nastąpi zmiana ekipy. Można przypuszczać, że ktoś ten przetarg chce opóźnić lub stoperdować, by robili to już inni”.

I nadal konsekwentnie broni swego przyjaciela Zbigniewa Farmusa: — „To są absolutne bzdury, że w czasie przetargu na haubicę pan Farmus domagał się lapówki. Pochodzą od przedstawiciela koncernu, który przegrał przetarg, bo jego oferta była droższa, nie dawała prawa do sprzedaży haubicy do państw trzech, ani możliwości współpracy z przemysłem obronnym”. Podjrzewa (potem okaże się, że nie słusznie) firmę niemiecką, która przetarg przegrała.

Wykazuje, że w artykule nie zgadzają się daty — przetarg skończył się w lipcu 1998 roku, a autorzy „Rzeczpospolitej” donoszą, że na przetomie września i października 1999 r. ktoś domagał się lapówki za rozstrzygnięcie sprawy. Są też w tekście błędy, które mogą być korektorską pomyłką, ale też służą „podkreśleniu” atmosfery oskarżenia o korupcję — ot, choćby wartość kontraktu wyceniono na 500 mln dolarów, gdy w rzeczywistości jest to około 50 milionów.

Wywiad z Romanem Szeremietiewem został przeprowadzony o godzinie pierwszej w nocy 9 lipca. Następnego dnia w południe wiceminister odmówił jego autorzacji, powołując się na prośbę premiera o zachowanie ciszy w mediach. Mimo to artykuł się ukazał.

Dwa dni później wybuchła afery z Farmusem.

W relacji Romana Szeremietiewa było tak: gdy otrzymał pismo WSI odnawiające Farmusowi dostęp do informacji tajnych, polecił mu udać się na urlop na czas wyjaśnienia tej sytuacji. Okazało się, że Farmus miał zaplanowany wcześniejszy urlop. W planach był wyjazd do ośrodka wczasowego nad Bałtyk. Zbigniew Farmus nie miał zakazu opuszczenia kraju, nie było prowadzone przeciwko niemu żadne śledztwo, prokuratura nie interesowała się nim. Był tylko ten artykuł w „Rzeczpospolitej”. Ustalił, że gdyby okazało się, że będzie potrzebny do wyjaśnienia czegoś przed komisją premiera lub w prokuraturze, niezwłocznie zjawi się w Warszawie.

Wkrótce potem do Szeremietiewa zadzwonił minister Komorowski z pytaniem, gdzie jest Farmus. Indagacjom towarzyszyła tak nieprzyjemna, nerwowa atmosfera (wiceminister usłyszał od szefa, że go oszukuje), że Szeremietiew uznał za konieczne wydanie oświadczenia do PAP: doradca jest na terenie kraju i stawia się na każde wezwanie.

Dziś myśli, że była to pułapka zastawiona przez ministra, aby jego zastępca okazał się niewiarygodny i zaisnuwały powody do usunięcia go z MON. Bo gdy pisal oświadczenie, nie wiedział, że Zbigniew Farmus jest na promie płynącym do Szwecji. Komorowski już miał takie informacje. Na ten statek wsiadł też funkcjonariusze tajnych służb, aby namówić Farmusa do oskarżenia swego bezpośredniego zwierzchnika. Jeśli to zrobi, spokojnie doplynie do Szwecji, gdzie był umówiony z córką. Ale doradca Szeremietiewa nie zamierzał wyjeżdżać z Polski i nie chciał oczerniać Szeremietiewa. Odmówił. I wtedy zapadła decyzja o aresztowaniu go na Bałtyku.

Zgodę na taką operację musiał wydać premier. Minister Obrony Narodowej udał się do Jerzego Buzka i oświadczył, że Farmus jest szpiegiem i łąda moment będzie poza granicami Polski.

Premier dał zgodę na zatrzymanie uciekającego za wszelką cenę. Przyjął też wniosek ministra o dymisję jego zastępcy. Zaraz po tym odbywa się spektakularna, nagrywana przez telewizję akcja aresztowania Farmusa. Ponieważ prom pływał pod obłą banderą i już był na wodach Królestwa Szwecji, z UOP-u zatelefonowano do kapitana statku, który był polskim obywatelom, aby zawrócił na wody międzynarodowe.

Nad statkiem zawisł śmigłowiec. Opuszczono liny i komandosi UOP-u wciągnęli Farmusa ubranego w czerwoną kombinizon, jak dla niebezpiecznych przestępców, do śmigłowca. Odlecieli na lotnisko Marynarki Wojennej. Akcja została okraszona przez szefostwo UOP jako sukces w stylu Jamesa Bonda.

Tego samego dnia odbyło się pierwsze przesłuchanie Farmusa. Przed gmachem sądu (gdzie wydano nakaz tymczasowego aresztowania „ucielmiera”) zgromadzili się tłum fotoreporterów. UOP wyszedł im naprzeciw. Gdy podejrzanego wywożono do aresztu, samochód tych służb gwałtownie przyhamował i dziennikarze dostrzegli przez szybę Farmusa nakrytego kurtką. Można było robić zdjęcia.

Wydarzenia toczyły się bardzo szybko. Romuald Szeremietiew został odwołany ze stanowiska sekretarza stanu. Poinformowano go też o odsunięciu od przetargu na samoloty wielozadaniowe (był przewodniczącym komisji mieszanej, która negocjowała kontrakt), bowiem dwie prokuratury, wojskowa i cywilna, prowadzą śledztwo w sprawie podejrzenia korupcji w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Anna Marszałek i Bertold Kittel napisali, że przy Farmusie znaleziono cztery paszporty, a następnie dodali piąty, szwedzki, skoro płynął do Szwecji. Informowali, że w służbowym sejfie jego syna Miłosza (również zatrudnionego w MON) znaleziono dużą kwotę pieniędzy. Były starannie poukładane w kopertach z nazwami różnych firm.

Zdymisjonowany wiceminister zwołał na swój koszt konferencję prasową, podczas której zapewniał, że nic nie wiedział o licznych paszportach swego doradcy. Co do dostępu do tajnych informacji, to WSI powinny zadbać o to, by ktoś bez certyfikatu nie miał z takimi papierami kontaktu. Wychodząc z sali na pożegnanie rzucił dziennikarzom: – Ja do MON jeszcze wrócę.

W tym samym czasie w Urzędzie Skarbowym w Piasecznie zaczęło się sprawdzanie PIT-ów byłego wiceministra za ostatnie lata; poszukiwano przychodów ze źródeł nieujawnionych. W „Rzeczpospolitej” redaktor Marszałek napisał, że Szeremietiew zatęstrował umowę o pożyczce 200 000 zł od Farmusa dopiero po ukazaniu się jej głośnego artykułu z lipca 2001 roku. Nie dość, że była to nieprawda, to jeszcze zawierała bardzo szkodliwą dla pomówionego sugestię o jego lewych dochodach (w domyśle z łapówek), które chciał ukryć za zasłoną rzekomej pożyczki od podległego mu pracownika.

Kolejny artykuł znanych już Szeremietiewowi dziennikarzy śledczych miał jednoznaczny tytuł – „Korupcja w MON”. Zaraz po nim ukazał się następny, z małym, ale istotnym sprostowaniem: „W sobotniej »Rz« przedstawiliśmy fragment stenogramu rozmowy z przedstawicielem zagranicznego koncernu. Jak wynika z jego wypowiedzi nagranej na taśmie, jesienią 1998 roku (w tekście błędnie pojawił się rok 1999) Zbigniew Farmus, asystent Szeremietiewa, żądał od niego 100 tysięcy dolarów łapówki za wygranie przetargu na haubice, warte go oczywiście 50 mln dolarów, a nie 500 mln dolarów, jak przez pomyłkę napisaliśmy. Szeremietiew ręczył za swojego asystenta, tymczasem sam w ciągu kilku lat dokonał inwestycji, na które nie ma pokrycia w dochodach”.

Niby sprostowanie wytkniętych przez Szeremietiewa nielogiczności w stawianych zarzutach, ale i uderzenie w wiceministra.

To dopiero początek nagonki. „Rzeczpospolita” wspiera się artykułem prof. Andrzeja Kojdera z Uniwersytetu Warszawskiego, przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, który już wie, że: „Nad sprawą zdymisjonowanego niedawno wiceministra obrony i areztowaniem jego asystenta unosi się aura korupcji sięgającej najwyższych piętér władzy (...). Argumentacja [Szeremietiewa]

przypomina tłumaczenie rabusia, który winą za dokonaną kradzież obarcza kieszonkowe zamki w drzwiach oraz domowników śpiących zbyt mocnym snem”.

Zdymisjonowanego wiceministra niepokoi jeszcze jedno: w nocy poprzedzającej pojawienie się w MON słynnych reporterów śledczych, ktoś włamał się do jego biura poselskiego i mieszczącego się pod tym samym adresem lokalu Fundacji Niepodległości Polski (był członkiem rady Fundacji). Po wyjściu policji urzędniczka podziękując rzeczy stwierdziła, że złodziejnie wynieśli teczkę z dokumentami Fundacji, w której znajdowały się rozliczenia finansowe.

Gdy dziennikarze wtargnęli do jego gabinetu, Szeremietiew jeszcze nie miał informacji o włamaniu. A Marszałek z Kittlem już wiedzieli, pytali bowiem: – „Co ma pan na wytłumaczenie, że Fundacja Niepodległości Polski, której przewodniczy [nie przewodniczył] jest miejscem dokonywania nielegalnych operacji finansowych?”.

Wkrótce potem dowiaduje się, że wszczęto śledztwo w tej sprawie. Podejrzanymi o sfalszowanie podpisów na dokumentach FNP i defraudację 70 000 złotych są on i doradca Farmus.

Śledczy dziennikarze z „Rzeczpospolitej” nie ustają w atakach. W artykule pt. „Polityczny parasol nad myślwcem” (10 lipca 2001 roku) red. Marszałek donosi, że po zdymisjonowaniu swego zastępcy minister MON unieważnił przetarg dla firm konsultingowych, które miałyby zapewnić obsługę prawną zakupu samolotu wielozadaniowego. Wśród zgłoszonych firm była bowiem taka, która doradzała przy zakupie na zakup armato-haubicy.

Szeremietiew wie, że jest to nieprawda. Ale nie ma siły prostować. Nie widzi też sensu w zwolnieniu na własny koszt konferencji prasowych. Dziennikarze nie słuchają jego wyjaśnień, już wydali wyrok. Gdy na spotkanie z mediami w Centrum Monitoringu Prasy podwiózł go znajomy swoim mercedesem, odbyło się istne polowanie, aby sfotografować byłego wiceministra w luksusowym samochodzie. Nie udało się – Szeremietiew, widząc o co chodzi, odjechał taksówką.

◆ ◆ ◆

Chwila satysfakcji, takie małe zyg-zyg natrętom i znów psychiczna zapaść. Przed nowym domem byłego wiceministra, jeszcze posła (ciągle nie ma zarzutów prokuratorskich) w podwarszawskiej miejscowości koczują stacje telewizyjne. Zdjęcie domu jako dowód skorumpowania wiceministra pokazało się na łamach „Rzeczpospolitej”.

– Czuliśmy się z żoną napiętowani, zaszczuci – Romuald Szeremietiew wspomina po latach tamten fatalny okres w jego życiu. – Nie byłem w stanie wyjść za bramę. Nocami nie spałem, szybko chudłem. Bałem się włączyć telewizor. Miałem ogromne poczucie krzywdy. Wiedziałem, że jestem niewinny, ale to wszystko uderzało w moją żonę. Była kierowniczką publicznej biblioteki i do tego radną, twórczynią chyba jedynej w kraju komisji etyki samorządu. W lokalnej gazecie napisano,

że przewodnicząca komisji etyki ma „skompromitowane nazwisko”, jej mąż robi lewe interesy.

Z nas dwójga to moja żona okazała się silniejsza, bardziej zdeterminowana w odpiernaniu napaści. – Nie będę się kryła za zaciągniętymi zasłonami – zdecydowała któregoś dnia. I od tej chwili zachowywała się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Szybko przekonaliśmy się, że mieszkańcy naszej miejscowości są nam życzliwi. Ksiądz w czasie mszy niedzielnej powiedział od ołtarza: – „Kochani, nie wierzcie w winę naszego parafianina Romualda Szeremietiewa, tak jak ja nie wierzę”. Moja żona wywodzi się z zasiadłej tam, szanowanej rodziny. Znający ją od dziecka mieszkańcy mówili: – To niemożliwe, ona by nie wyszła za złego człowieka.

Ta przyjazna atmosfera łagodziła zdymisjonowanemu gorczy z powodu zamknięcia telefonu od prominentnych osób. A znał chyba wszystkich, na ty był z całą plejadą polityków od prawa do lewa. Gdy po artykułach w „Rzeczpospolitej” – ciągle ukazywały się nowe z oskarżeniami – dzwonił do biura kogoś dobrze mu znanego na ważnym stanowisku – sekretarka odpowiadała, że szef jest zajęty, ale się skontaktuje. I nie kontaktował się.

Przestał więc nasłuchiwać dzwonka telefonu. Inna rzecz, że coraz mniej miał na to czasu. Kursował między domem a prokuraturą. Był przesłuchiwany w charakterze świadka w lidkunasztu toczących się śledztwach. Ciągle jeszcze nie miał postawionych zarzutów.

Tymczasem skończyło mu się posłowanie, o następnej kadencji nawet nie miał co myśleć. Przed dostaniem się na Wilejską był adiunktem w Akademii Obrony Narodowej. Po oddaniu mandatu poselskiego wrócił na uczelnię, gwarantowała mu to ustawa. Ale słusznie nie liczył na przyjazne przyjęcie, mimo habilitacji. Nie dostał żadnego zajęć, choć płacili mu niedużą pensję; przy pierwszej okazji, gdy minął okres ochronny, został zwolniony. Potem obszedł większość warszawskich uczelni i wszędzie usłyszał, że nie widzą możliwości.

– Znalazłem się w trudnej sytuacji – wspomina – bo dom trzeba utrzymać, a żona jako bibliotekarka zarabiała niewiele.

Nieoczekiwanie wyciągnęli do niego pomocne ręce profesorowie Maciąg i Majchrowski z krakowskiej Szkoły Wyższej im. Frycza-Modrzewskiego. Szeremietiew, działacz prawicowy, został profesorem wydziału prawa uczeni uważanej za bastion lewicy. Miał ponad trzystu studentów i kilkadziesiąt, którzy pisali u niego prace magisterskie licencjackie. Na pierwszym wykładzie przedstawił się kim jest i co ostatnio wydarzyło się w jego życiu. Powiedział: – Jeżeli ktoś z państwa nie chce uczestniczyć w tych zajęciach, proszę bez skrępowania wyjść... Nikt nie wyszedł. To mu dodało sił.

Dwa lata później został dyrektorem Instytutu Prawa w filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Stalowej Woli.



inadal był wzywany do warszawskiej prokuratury apelacyjnej.

– Od samego początku tej afery twierdziłem – wyjawia mi w 2010 roku – że państwem ofiarą prowokacji zorganizowanej m.in. przez Wojskowe Służby Informacyjne. Podalem śledczym nazwiska dwóch podległych mi oficerów, którzy do tego przyłożyli rękę. Przedstawiłem oświadczenie jednego ze współpracowników, opisującego, jak usiłowano go szantażem zmusić do złożenia obciążających mnie zeznań. Mimo notatki służbowej i powiadomienia przez niego o wszystkim przełożonych, nikt nie chciał badać sprawy. Kilka lat zabiegałem, aby wszczęto śledztwo.

Wreszcie prokuratura, po interwencji Rzecznika Praw Obywatelskich, zajęła się sprawą. Stwierdziła, że istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa. A ponieważ w sprawie występował wojskowi, przekazano ją do wojskowej prokuratury. Ta badała zarzut prawie dwa lata i w końcu umorzyła postępowanie z powodu niemożności ustalenia prawdy, gdyż jeden z oskarżanych przez b. wiceministra oficerów WSI zniszczył dokumenty będące dowodami w sprawie. Po pewnym czasie Szeremietiew ustalili, że dwaj pomawiający go wojskowi to byli ci sami, którzy wprawdali mu do gabinetu niezapowiedzianych dziennikarzy z „Rzeczpospolitej”.

Pod koniec kwietnia 2004 roku ta para triumfalnie informuje czytelników: „Szeremietiew oskarżony o korupcję. Prokuratura Apelacyjna w Warszawie postawiła mu zarzuty: działania na szkodę interesu publicznego, przekroczenia uprawnień, ujawnienia informacji niejawnych osobom nieuprawnionym oraz żądania i przyjmowania korzyści majątkowych. Byłemu wiceministrowi grozi do 10 lat więzienia”. Śledztwo w sprawie korupcji w MON – przypominają autorzy artykułu – zostało wszczęte po naszej publikacji z lipca 2001 roku.

Na konferencji w Centrum Monitoringu Prasy red. Anna Marszałek wygłasza opinię, że uczciwy dziennikarz śledczy nie może drukować niesprawdzonych wiadomości.

Romuald Szeremietiew odrzucił stawiane mu zarzuty działania na szkodę interesu publicznego, co m.in. miało się przejawiać w uproszczonym trybie zakupu centralek telefonicznych dla wojska. Z punktu widzenia podejznanego wyglądało to tak: w połowie 1998 roku austriacka firma zaproponowała zakup swoich centrali telefonicznych. Dostawca, chcąc zachęcić klienta, zaproponował, że może za darmo wstawić urządzenia we wskazanych przez MON obiektach i pozostawić je do testowania. Propozycja brzmiała atrakcyjnie; ustalono dwa adresy do instalacji.

Używane centrali zyskały bardzo pochlebne oceny; odpowiedzialny za zakupy sprzętu łączności generał przekonywał wiceministra, że warto je kupić. Problemem było, co zrobić z urządzeniami zainstalowanymi. Zgodnie z przepisami należało je zdemontować, oddać właścicielowi, rozpiścić przetarg i z racji dobrej ceny zapewne ponownie kupić. Szeremietiew wybrał prosiąszą drogę – MON nabyło bez przetargu dwie używane centrali, uzyskując bardzo dogodną cenę, dużo niższą niż rynkowa.

Mimo to zdaniem prokuratora wiceminister, podejmując decyzję, działał na szkodę budżetu państwa. Szeremietiew dostał więc zarzut, ale o dziwo karząca ręka sprawiedliwości nie dosięgnęła generała, szefa zarządu łączności, choć to on wystąpił do wiceministra z wnioskiem o kupno centralek. Sprawę przeciwko generałowi umorzono z uzasadnieniem, że nie doszło do popełnienia przestępstwa.

Drugi zarzut korupcyjny dotyczył przyjmowania korzyści majątkowej w postaci nadzwyczaj korzystnie wycenionego samochodu w salonie dealera Fiata.

Wiceminister kupił samochód Lancię pod koniec 1998 roku za 30 888 zł.

Tę markę sprzedawano wówczas po około 98 000 złotych. Ale samochód Szeremietiewa nie był fabrycznie nowy. Dealer przez ponad półtora roku używał go jako tzw. demonstracyjnego.

Zdaniem zaprzysiężonych biegłych z listy PZMot, takie samochody tracą na wartości około 35 proc. po roku używania. Zatem rzeczywista wartość samochodu wiceministra to 64 000 złotych. W rozliczeniu Szeremietiew wstawił do komisji dealera swojego fiata Bravo, który został przez dealera sprzedany za 33 500 zł. Łącznie więc dealer uzyskał za lancję 64 388 złotych.

Na zdrowy rozum Szeremietiew specjalnego interesu nie zrobił, ale prokurator widział to inaczej – byli wiceminister od właściciela salonu, który startował w przetargu na dostawę dla MON, przyjął lapówkę w naturze wartości ok. 40 000 złotych. Tyle, że ten dealer nie uczestniczył w przetargu. Inna firma wygrała.

Jak się potem okazało w czasie procesu sądowego, jedyną podstawą, na której sformułowano zarzut, była opinia biegłego ze skarbówki, który nie miał pojęcia, jak się szacuje wartość pojazdów demonstracyjnych (początkowo twierdził, że „lapówka” wynosiła 60 000 i uważał, że w takim przypadku klient mógł dostać 300 zł upustu).

Inny zarzut korupcyjny dotyczył rzekomego domagania się od dyrektora Wojskowych Zakładów Lotniczych w Bydgoszczy, aby ten nawiązał współpracę z firmą Małgorzaty S., handlującą częściami do samolotów. Pani S. była działaczką AWS i z tej racji znała Szeremietiewa. Wiceminister miał liczyć na prowizję z transakcji. Prokuratora zapewniła, że został pomówiony przez byłego dyrektora WZL, którego zwolnił po wykryciu nieprawidłowości przy dostawach z Białorusi części do samolotów MiG-29 i Su-22.

Spśród kilku umorzonych postępowań było jedno, o którym warto wspomnieć. Za kraty usiłował wsadzić swego niedawnego szefa jego rzecznik prasowy, który w lipcu 2001 roku tak usilnie nalegał na przyjęcie niezapowiedzianych dziennikarzy z „Rzeczpospolitej”. Ów oficer w stopniu majora złożył zeznanie, że był obecny przy rozmowie Szeremietiewa z pewnym prawnikiem lobbystą z Poznania, podczas której wiceminister negocjował wysokość lapówki za to, że kancelaria lobbysty będzie obsługiwała kontrakt na samolot. Rzecznik twierdził, że przebijanie ceny zaczęło się od półtora miliona dolarów, a skończyło na osmiu.

– Wezwany na przesłuchanie zaprzeczałem, pomówienie było absurdalne – wspomina Romuald Szeremietiew – ale prokurator nie dawał mi wiary. Wtedy zmieniłem taktykę obrony. Założyłem – powiedziałem, że zarzut jest prawdziwy. Gdyby jednak kancelaria chciała dać mi tak wysoką lapówkę, to musiałaby te pieniądze skądś wziąć. Zatem jest pytanie – skąd?

Wnioskowałem, aby wezwano szefa logistyki wojsk lotniczych i zapytano go, ile pieniędzy z budżetu na obsługę kontraktu miał dowódca wojsk lotniczych. Przesłuchano generała, wymienił kwotę 20 mln złotych na wszystko. Z tego firma prawnicza mogła zarobić maksimum milion złotych – zatem 8 mln dolarów lapówki zabrzmiąło groteskowo. Postępowanie zostało umorzone.

Kolejny zarzut prokuratora brzmiał: – Ujawianie informacji niejawnych osobie nieuprawnionej – czyli Farmusowi – mimo że ten nie miał certyfikatu wydawanego przez WSI. Również w odpowiedzi na ten zarzut oskarżony przedstawił w prokuraturze wiele dowodów na swą obronę.

Nie mógł wyjść z nimi do mediów, bo obowiązywało go zachowanie tajemnicy w toczącym się postępowaniu. To ograniczenie nie dotyczyło dziennikarzy „Rzeczpospolitej”, którzy bez przeszkód nadal przedstawiali go na łamach swego dziennika jako lapownika.



Akt oskarżenia został przesłany do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia. Szeremietiew, aby mógł odpowiadać z wolnej stopy, musiał wpłacić 100 000 zł poręczenia majątkowego. Ponieważ takich pieniędzy nie miał, została ustanowiona hipoteka kaucyjna na jego domu.

Wcześniej w urzędzie skarbowym zakończyły się wszczęte zaraz po pierwszym ogłoszonym artykule w „Rzeczpospolitej” postępowania „w sprawie określenia przez podatnika Szeremietiewa zobowiązania w podatku dochodowym za lata 1996–2000” oraz „ustalenia wysokości przychodów nie znajdujących pokrycia w ujawnionych źródłach lub pochodzących ze źródeł nie ujawnionych”.

Po dwóch latach przesłania PIT-ów i innych dokumentów fiskus wydał postanowienie o umorzeniu obu postępowań „z uwagi na ich bezprzedmiotowość”. Potwierdziło się to, co wiceminister tłumaczył już dziennikarzom z „Rzeczpospolitej” – że pożyczkę 200 000 zł od swojego przyjaciela (później przyznał, że Farmusa) na zakup działki pod dom zarejestrował w Urzędzie Skarbowym i zapłacił należny podatek. Redaktor Marszałek kwestionowała ten fakt w kolejnym artykule. W rezultacie także Mazowiecka Izba Skarbowa, a następnie prokuratura apelacyjna badały rzetelność decyzji skarbowej i nie znalazły niczego nagannego. Została również zweryfikowana informacja tej dziennikarki w Radiu Tok-FM, że kierowniczką urzędu skarbowego w miejscu zamieszkania Szeremietiewa jest znajomą jego żony – co miało mieć zasadniczy wpływ na korzystną dla byłego wiceministra decyzję urzędu. Znajomości takiej nie potwierdzono.

Ale to nie była jeszcze pora na odechnięcie z ulgą, że najgorsze minęło. Szeremietiewa czekał proces sądowy. Prawie półtora roku wypatrywania historii szosa z wezwaniem na pierwszą rozprawę.

Wszystko szło jak po grudzie. Po roku procesowania (z nierychliwą częstotliwością raz na miesiąc) przewodnicząca sądu sędzącego poszła na urlop macierzyński i sprawa stała w miejscu przez dwa lata. Zmieniał się też prokuratorzy (podobnie zresztą jak w postępowaniu przygotowawczym, które prowadziło aż pięciu śledczych). Większość dyżurnych oskarżycieli nie znała akt sprawy.

Romuald Szeremietiew miał więc dużo czasu na zastanawianie się nad przyczynami wybuchu afery, której został głównym, negatywnym bohaterem.

Przed oczami stanęło mu pewne wydarzenie z początku 1998 roku w jego ministerialnym gabinecie (trzy miesiące wcześniej został wybrany do parlamentu z listy AWS). Oto jeden z jego najbliższych współpracowników przekazał mu zaproszenie na spotkanie z kierownictwem WSI. Kierowca zawiózł go jednak nie do biura WSI, ale do jakiegoś mieszkania, które musiało być tzw. lokalem operacyjnym. W środku przy zastawionym stole siedzieli wpływowi oficerowie wojskowych spec służb. Wiceminister nie zgodził się, aby rozmawiać w takich „nieoficjalnych” warunkach. Zbestał szefa WSI i lokal opuścił. Od tej chwili lista jego wrogów poszerzyła się o kilka wpływowych osób. Latem 2001 roku, po wybuchu afery w MON, członkowie sejmowej Komisji Obrony Narodowej sięgnęli do tajnych dokumentów, z których wynikało, że przez kilka lat wpływowi oficerowie WSI próbowali wszelkimi metodami odsunąć Romualda Szeremietiewa od wartych wiele milionów przetargów na dostawę sprzętu dla wojska.

Szeremietiew miał też inne powody przypuszczać, że stał się ofiarą służb specjalnych. Było wiadome, że Zbigniewa Farmusa zatrzymali na promie funkcyjarskie Urzędu Ochrony Państwa, choć w myśl przepisów powinna to była zrobić Żandarmeria Wojskowa. Jednak operacją dowodził zastępca szefa WSI do spraw kontrwywiadu, wcześniej oficer krakowskiego UOP. Całą akcję nadzorował osobiście szef WSI. Do akcji na promie użyto śmigłowca wojskowego. Nigdy wcześniej ani później nie zdarzyło się, aby w takim celu wykorzystano wojskową maszynę. Mógł więc ułożyć sobie listę nazwisk wrogów.

Zdawał sobie też sprawę, że jego dymisja latem 2001 roku, gdy już zaczynała się kampania wyborcza, spowodowała odłożenie kilku ważkich dla MON decyzji. To już nowy rząd (ym razem SLD) rozstrzygnął konkurs na samolot wielozadaniowy, kupiono amerykański F-16 za 18 mld zł, decyzyją SLD-owskiego premiera zakupiono od izraelskiej firmy Rafael pociski Spike (blisko 2 mld zł) i to już nowy rząd ostatecznie rozstrzygnął wart blisko 5 mld zł przetarg na kolowe transportery opancerzone dla wojska.

Szeremietiew zabiegał o interesy polskiego przemysłu, preferował zakup technologii i licencji, a nie gotowych produktów. Był nastawiony na właściwe negocjo-

wanie tzw. offsetu. Przy zakupach broni offset powinien dać polskiej gospodarce równe wartości inwestycje. Zatem, jeśli planowane przetargi miały jednak dojść do skutku, to taka postawa wiceministra mogłaby komplikować te zamary. Musiał więc być od nich skutecznie odsunięty. Musiał odejść w niesławie, aby jego ewentualne opinie nie brzmiały wiarygodnie.

◆ ◆ ◆

Do końca grudnia 2006 roku z listy liczącej siedemdziesiąt siedem nazwisk sąd przesłuchał zaledwie dziesięciu świadków. Wniósłi oskarżonego do prokuratury, sąd i ministra sprawiedliwości o oddalenie rozprawy nie odnosiły skutku. Główny motywowano względami bezpieczeństwa państwa. Nie było zgody nawet po trzech latach procesu, gdy z ministerie uložonej intrygi przeciwników Szeremietiewa pozostawało, jak to mówią adwokaci, siano.

Szeremietiewowi wytoczono dwie sprawy. Drugi proces dotyczył zdefraudowania pieniędzy Fundacji.

Zarzut został postawiony w 2004 roku, oskarżonemu groziło pięć lat więzienia. Przez następne dwa lata akta leżakowały w sądzie, choć zaszyły nowe okoliczności. W trakcie porządkowania biura likwidowanej przez założyciela Fundacji odnaleziono oryginalny rachunek opiewający łącznie na ponad 80 000 zł (okazało się, że wianymwarze skradli teckę z kserograficznymi odbitkami tych rachunków). Cenne dowody uczciwości swego klienta obrońca Szeremietiewa natychmiast złożył w sądzie. Mimo to przez następne sześć miesięcy nie został wyznaczony termin rozprawy głównej. Tylko dziennikarze „Rzeczpospolitej” opisali (artykuł „Przez fundację do sądu” z 31.03.2006 r.), jak to wiceminister ukrał społeczne pieniądze.

Zbulwersowany tą publikacją Szeremietiew napisał do Zbigniewa Ziobry, ówczesnego ministra sprawiedliwości:

„W dniu dzisiejszym red. Anna Marszałek na łamach dziennika «Rzeczpospolita» napisała o zarzucie, jaki wobec mnie i p. Zbigniewa Farmusa wysunęła prokuratura apelacyjna, a odnoszącym się do działań Fundacji Niepodległości Polity. Skoro zarzut przedstawiono na łamach ogólnopolskiego dziennika, to wymaga on pilnego wyjaśnienia. Zwłaszcza, że wg mnie sprawa nie jest trudna procesowo – wystarczy zbadać wiarygodność dowodów świadczących o niewinności oskarżonych. Tymczasem z przyczyn niezrozumiałych sąd od czerwca 2004 r. nie podjął żadnej decyzji. Proszę Pana Ministra o interwencję w tej sprawie. Z poważaniem”

Jesienią 2006 roku w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia rozpoczął się wreszcie ten proces w sprawie przywłaszczenia pieniędzy Fundacji.

◆ ◆ ◆

Po siedmiu latach, trzech miesiącach, dwóch tygodniach i dwóch dniach – jak obliczył Szeremietiew, Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia ogłosił wyrok uniewinniający go z oskarżeń korupcyjnych. Prokuratura nie złożyła odwołania.

Natomiast zarzuty przekroczenia uprawnień związane z wpływaniem na procedury przetargowe w MON, dotyczące zakupów central telefonicznych i samochodów zostały umorzone z powodu przedawnienia (ale toczone się w tych sprawach postępowanie dowodowe przed sądem nie potwierdzało oskarżeń prokuratora).

Uznano winę Szeremietiewa co do bezprawnego dopuszczenia Farmusa do czterech – a nie 50, jak chciała prokuratura – tajnych dokumentów. Orzeczono za to karę 3000 zł grzywny.

Szeremietiew przed ogłoszeniu wyroku powiedział dziennikarzom: – Zacząć od obalania ustroju PRL, skończyć oskarżeniem, że się jest złodziejem – coś takiego nie mógłbym wyobrazić nawet w złym śnie.

Ale raczej nie znalazł współzuchcia w oczach sprawozdawców sądowych.

Wspierali go natomiast anonimowi internauci wpisujący się na jego blogu. Jak np. (mag): „Sprawa, która zajmowała wszystkie media w 2001 roku, doczekała się swojego finału. Mimo to większość mediów milczy. Najwyraźniej wyrok, który zapadł, jest dla większości polskiego środowiska dziennikarskiego bardzo niewygodny. Milczenie mediów nakłada na nas obowiązek: zrobić wszystko, aby w oczach opinii publicznej zrehabilitować Romualda Szeremietiewa”.

Inny wpis: – „Nie udało się złamać Szeremietiewa, bo to postać wyjątkowa. Człowiek niezłomny i silny w dążeniu do wolnej i niepodległej Polski, za co niejednokrotnie siedział w więzieniu. To wielki mąż stanu i będzie ponownie ministrem obrony narodowej, bo tego chcą Polacy”.

– W tej sprawie nie było najważniejszą sprawą udowodnienie winy panu ministrowi R. Szeremietiewowi, lecz jedynie uwikłanie Go w ten temat. Zostało to bardzo zręcznie zrobione, za co rozdano już nagrody. Całkowite oczyszczenie w świetle prawa pana ministra czyni z niego dla pewnych środowisk zagrożenie. Wypuszczono więc nowe pieści do obszczekiwania”.

Na forum znalazły się i takie wpisy: „Fakt, że Szeremietiew nie zgnił jeszcze w więzieniu, potwierdza tylko, przynajmniej częściowo, teorię Kaczynskich o »układzie«. Ciekawe, kto dopuścił do przedawnienia w sprawie »przekrętów przetargowych«? „Pani Annie Marszałek należy pogratulować wytrwałości w śledzeniu tej sprawy”. (Makarow9mm)

Zdecydowanie jednak przeważały słowa wsparcia i to obligowało bohatera wyдуманey afery do informowania na swej stronie internetowej, co dalej dzieje się z jego procesem.

Pewnego dnia wyznał: – Nie mogę złożyć odwołania od grzywny, jaką ukarał mnie sąd rejonowy. Przewodnicząca składu sądującego nie napisała uzasadnienia do wyroku, a bez tego odwoływać się nie można. Tymczasem zajęty sprawami na uczelni

nie zauważyłem, że ktoś znowu „zagrał do tańca” dedykowanego mojej osobie. Oto 16 stycznia br. na łamach „Dziennika” pojawiły się teksty o zażywaniu kogoś określonego mianem „kasjer Pruszkowa”. Redaktorzy Robert Zieliński i Leszek Kraskowski w artykule pt. „Kasjer Pruszkowa zatrzymany i zwolniony” umieścili coś takiego: „Biznesmen dotąd unikał prawdziwych problemów z wymiarem sprawiedliwości. Sam przechwalał się, że pożyczal pieniądze na sfinansowanie kampanii w imieniu Romualdowi Szeremietiewowi, byłemu wiceministrowi obrony narodowej. Doskonale znał również asystenta wiceministra Zbigniewa Farmusa”.

Informację o finansowaniu mojego domu przez gangstera redakcja wydrukowała pogrubioną czcionką. Zaraz też smakowity temat rozwinęła znana specjalistka od „kasjerów” (przypominam jej tekst „Kasjer z MON”) obecnie publicystka „Dziennika” Anna Marszałek. Objasnia ona tak osobę „drugiego kasjera”, zresztą kumpla tego pierwszego z MON: „P. nie gardził żadną stroną sceny politycznej. Oficjalnie i półoficjalnie doradzał ministrom. »Byłem kimś« – mówił. To on także umożliwił spotkanie Zbigniewa Farmusa, asystenta Romualda Szeremietiewa z przedstawicielem koncernu zbrojeniowego z RPA, podczas którego miało dojść do żądania łapówki za przetarg na armato-haubice (...). »Pożytyłem Szeremietiewowi pieniądze, bo płakał, że nie ma na spłatę długów za ten swój dom« – chwalił się nam na korytarzu sądowym. Szeremietiew twierdził natomiast, że nazwisko P. nic mu nie mówi”.

Szeremietiew odpowiedział na swojej stronie internetowej: – W świecie ciemnych interesów działają osobnicy nazywani cynglami, którzy za odpowiednie wynagrodzenie likwidują osoby przeszkadzające opryszkom w interesach. W mojej ocenie red. Marszałek może być takim medialnym „cynglem”, likwidującym wskazane osoby „wystrzałowymi” artykułami. Mam też powody, by sądzić, że funkcjonariusze tajnych służb dostarczyli „amunicji” do jej rewolwerowego tekstu „Kasjer z MON” („Rzeczpospolita” z 7 lipca 2001 roku). Nie wiem, w jak zażytych relacjach pozostaje red. Marszałek z „kasjerem Pruszkowa”, że ten zwierzał się jej o rzekomo pożyczanych mi pieniądzech. Zastanawia mnie jednak, skąd Marszałek wie, że tej sprawy nie badały organa śledcze? Od „kasjera Pruszkowa”, czy może od gen. Hułni, czy jakiegoś innego dysponenta tajnych wiadomości? No i toż „W sądzie P. był jednak świadkiem obrony Farmusa”. Otóż świadek P. w sądzie nie zgłaszała obrona, lecz oskarżyciel. Tyle tylko, że nie potwierdził prasowych doniesień red. Marszałek o „negocjacjach” łapówkowych dotyczących armato-haubicy. Rekapitulując – mój „kasjer”, i ja sam, zostaliśmy uniewinnieni, ale że pojawiły się spekulacje o moim powrocie do polityki, więc może nadszedł czas, by wskazać nowego „kasjera”.

Odwolanie pełnomocnika Szeremietiewa mec. Bonifacego Bąka od kary grzywny (w procesie nie wykazano, by Farmus otrzymywał dokumenty, będące tajemnicą państwową. Tego się już niestety nie dowiedzie, bo dokumenty zostały

zniszczono) – spowodowało uchylene wyroku. W październiku 2009 roku sprawa wróciła do Sądu Rejonowego.

W tymże 2009 roku Sąd Okręgowy w Warszawie utrzymał wyrok uniewinniający Szeremietiewa wraz z Farmusem z zarzutu przywłaszczenia pieniędzy Fundacji Niepodległości Polski.

Pół roku później były wiceminister, broniąc się przed sądem w sprawie, w której został nieprawomocnie skazany na grzywnę dowodził, że to ówczesny szef MON odpowiadał za ochronę tajemnic w resorcie, bo jemu bezpośrednio podlegał kontrowersyjny wywiad WSI. – Dopiero minister mógł mi wskazać, że pojawiają się nieprawidłowości; jeśli nie wydawał zaleceń w tym zakresie, miałem prawo przypuszczać, że obieg dokumentów odbywa się zgodnie z prawem. Podkreślał też, że sprawa nie naraziła na szwank bezpieczeństwa narodowego.

Proces jeszcze się toczy, Szeremietiew liczy na uniewinnienie. Na swoim blogu zaczyna już umieszczać komentarze do publikacji w „Rzeczpospolitej”, które wywróciły całe jego życie. Trudno mu ukryć gorycz: – „Okazało się, że świadkowie oskarżenia kłamali, dowody były fałszywe (władza ekspertyza wartości swojego samochodu), a oskarżyciele stronniczo i nieprawdźliwie interpretowali fakty i to tyle.

Są jednak sprawy medialni wywołania tej „afery”, którzy otrzymali prestiżowe nagrody i cieszą się do dziś sławą docieśliwych dziennikarzy śledczych. Anna Marszałek z dziennika „Rzeczpospolita” otrzymała Grand Press i tytuł dziennikarza roku w konkursie miesięcznika „Press”. Nagrodzona statuetką Złotej Stalówki oraz 10 tysiącami dolarów. Została też wyróżniona unijnym tytułem Journalist of the Year. Nie gorzej wypada Bertold Kittel – także zyskał Laur Grand Press, dostał Główną Nagrodę Wolności Słowa SDP i dwa razy nagrody Fundacji Stefana Batorego promującej reportaż o wykrytej przez dziennikarzy korupcji.

I trzeba przyznać – ironizuje Romuald Szeremietiew – że oboje zapracowali na te zaszczyty. W archiwum „Rzeczpospolitej” znalazł 37 tytułów ich tekstów dedykowanych „Japownikowi Romualdowi Sz.”.

Były wiceminister wylicza koszty postępowań wywołanych „śladem publikacji” lotniczo-morska operacja porwania Zbigniewa Farmusa z promu, wyjazd UOP do RPA w celu przesłuchania świadka, kilkuletnia inwigilacja jego osoby i licznych znajomych, sprawdzenie dokumentacji z kilku tysięcy przetargów w MON, tłumaczenia z języków obcych, odzyskiwanie danych komputerowych, no i pensje kilkunastu prawników, trochę większej liczby funkcjonariuszy UOP, oficerów WSI... A przy tej okazji zniszczono życie osobom, których te aferalne zarzuty dotknęły...

– Ciekawi mnie – zastanawia się po ogłoszeniu wyroku o uniewinnieniu – jak się czuje autor z naukowym tytułem, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, który gdy „myśliwi” zaczęli polowanie, ochotniczo dołączył do nagonki na mnie.

Po oświadczeniu Rady Etyki Mediów zaniepokojonej kolejną kompromitacją dziennikarstwa śledczego uprawianego w „Rzeczpospolitej”, Anna Marszałek pozostała przy swoim zdaniu: – W sprawie Szeremietiewa, jako dziennikarke, zrobilibyśmy wszystko, co można było w tamtej chwili, żeby zweryfikować materiał – oświadczyła. – Nigdy nie odbył się żaden proces, który dotyczyłby tego artykułu. Romuald Szeremietiew nigdy nas nie pozwał, żaden sąd nie uznał, że popełniliśmy jakikolwiek błąd, że postąpiliśmy nierzetelnie lub stronniczo. Możemy z czystym sumieniem powiedzieć: żaden sąd nigdy tak nie powie, bo tekst „Kasjer z Ministerstwa Obrony” został napisany z zachowaniem najwyższych standardów dziennikarskich.

CZĘŚĆ DRUGA – SPRAWA FARMUSA

W finale głośnej akcji na promie, minister sprawiedliwości Stanisław Iwanicki powiedział do zgromadzonych dziennikarzy: – Nikt nie będzie drwił z państwa polskiego. Śledztwo w sprawie zamówień w MON jest rozwojowe, a korupcja to tylko jeden z wątków. Chodzi również o zagrożenie bezpieczeństwa państwa. Towarzyszący mu minister Patubicki dodał, że akcja na Bałtyku pokazała, iż dla rządu nie ma kolegow.

Zbigniew Farmus trafił do aresztu. W jego sprawie zgromadzono kilkanaście tomów akt, z których większość, to powielona dokumentacja z pionów podległych Szeremietiewowi, opisy stosowanych w MON procedur przetargowych itp. Kilkakrotnie zmieniano zarzuty. Z czasem ich liczba topniała. Ostatecznie otrzymał trzy.

Po pierwsze – brał łapówki. W tym celu ukrył kilku niejawnych dokumentów, m.in. wystąpienia do MON firmy Fiat Auto Poland, która skarżyła się na nierówne warunki konkurencji w przetargach na samochody dla wojska. Ujawnił jednemu z klientów oferty w przetargu na armato-haubice. Miał za to żądać 120 000 dolarów łapówki.

Zarzuty pokrywały się z postawionymi w lipcu 2001 roku w „Rzeczpospolitej” w artykule „Kasjer z Ministerstwa Obrony”. Dziennikarze powoływali się w swym tekście na rozmowę z przedstawicielem zagranicznego koncernu, który był nagabywany przez Farmusa o łapówkę. Twierdzili, że nagrali wywiad na taśmę. Ów biznesmen zobowiązał się do powtórzenia swoich słów przed sądem.

W artykule jeszcze inne osoby potwierdzały, że Zbigniew Farmus chciał pieniądze od firm handlujących bronią. Niektórym proponował płacenie łapówki pod pretekstem wspierania Fundacji Niepodległości Polski.

We wszystkich tych przestępstwach działaniach Farmus miał się powoływać na Szeremietiewa i twierdzić, że pieniądze są przeznaczone dla wiceministra.

Drugi zarzut dotyczył tego, że asystent wiceministra obrony, nie mając certyfikatu bezpieczeństwa w okresie wrzesień 2000 roku – styczeń 2001 roku, korzystał z informacji opatrzonej klauzulą „tajne”.

Oskarżony wyjaśniał, że właśnie wtedy skończyła mu się ważność tego rodzaju dokumentu, który miał od 1998 roku. Wówczas był zatrudniony w gabinecie politycznym Ministra Obrony Narodowej. Do wiceministra Szeremietiewa przeniesiono go 15 lutego 2001 roku. Oczywiście wystąpił, choć przyznaje, że z opóźnieniem, o nowy certyfikat. Nie dostał go, ale o tym Szeremietiew dowiedział się dopiero pod koniec czerwca od dziennikarzy „Rzeczpospolitej”.

Ani wiceminister, ani jego doradca nie widzieli w tym alarmującego problemu; byli przekonani, że wszystko się wyjaśni po powrocie Farmusa z urlopu. Wszak w okresie, gdy nie miał certyfikatu, uczestniczył w trzech tajnych naradach natowskich i za każdym razem otrzymywał specjalny certyfikat bezpieczeństwa WSI. Poza tym kontrola prawidłowości obiegu dokumentów w pionie wiceministra za czwarty kwartał 2000 roku potwierdziła, że wszystko jest w porządku. Podobnie brzmiało podsumowanie następczej, z marca 2001 roku.

Trzeci punkt oskarżenia dotyczył znalezionych w sejfie Farmusa dwóch dokumentów, których nie powinien tam trzymać. Była to wspomniana skarga koncernu Fiat Auto-Poland, ale ona nie miała klauzuli tajności. Drugi dokument, rzeczywiście tajny, dotyczył wydarzenia (pewnej konferencji rozbrojeniowej) już nieaktualnego. Prokuratura nie przedstawiła Farmusowi zarzutu próby ucieczki z kraju.

Wersja UOP, że asystent wiceministra uciekał do Szwecji przed aresztowaniem została obalona już podczas pierwszych dni śledztwa. Okazało się, że chciał przepłynąć Bałtyk, aby spotkać się w Sztokholmie z córką, która po jego przeprowadzce do Polski pozostała w Kanadzie.

Nie miał, jak doniosła „Rzeczpospolita”, pięciu paszportów. Nieprawdziwie okazywały się również informacje o wielkich pieniądzach znalezionych w jego sejfie w kopertach z nadrukami nazw różnych firm. Zagraniczne banknoty (w przeliczeniu na złote wartości około 1000 zł) były własnością syna Farmusa – Mitosza, również pracującego w MON, gdzie był bardzo przydatny z uwagi na znajomość języka angielskiego na najwyższym poziomie „native” i ukończony kierunek studiów na uniwersytecie w Toronto.

Te pieniądze to resztki z diet na służbowe delegacje zagraniczne – młody człowiek był bardzo skrupulatny i oszczędny. Owe guldeny, marki oraz liry układał w zużytych już kopertach po starej, nieaktualnej korespondencji.



Proces (tajny) Farmusa rozpoczął się 14 lutego 2003 roku. Oskarżony miał szanse odpowiadać z wolnej stopy, gdyby zgodził się na obciążenie swego szefa.

Romuald Szeremietiew dobrze pamięta ten moment: – Na samym początku procesu zostałem wezwany na świadka. Mimo smutnych dla nas okoliczności cieszyłem się, że zobaczę przyjaciele. Stawilem się w sądzie i wtedy okazało się, że Zbyszka nie przywieziono z aresztu. Nie wiadomo było, dlaczego. Potem dowiedziałem

się, że rano, przed wyjazdem na rozprawę przyszedł do niego funkcjonariusze ABW i powiedzieli, że natychmiast wyjdzie na wolność, jeśli obciąży mnie na sali sądowej, gdzie będę przesłuchiwany. Odmówił, więc „za karę” zostawił go w celi.

Słynni śledczy „Rzeczpospolitej” (gdy Anna Marszałek została wybrana Dziennikarzem Roku, udzieliła mnóstwo wywiadów gazetom i wiele pouczających rad na gościnnych wykładach dla studentów uczelni dziennikarskich) obwieścili 26 marca 2003 roku w swym dzienniku, że potwierdzili się ujawnione prze nich zarzuty o korupcji w MON. Podkreślali, że z akt prokuratorskich wyciera wstrząsający obraz patologii i korupcji w pionie MON kierowanym przez Szeremietiewa.

Tymczasem na zamkniętych dla publiczności rozprawach coraz trudniej było oskarżycielowi utrzymać zarzut żądania przez Farmusa łapówki od biznesmenów. Świadek Bogdan L. z koncernu Denel (RPA) zeznał, że spotkał się z Farmusem we wrześniu 1998 roku w warszawskim pubie Harenda. Rozmowa dotyczyła przetargu na armato-haubicę, w którym brał udział koncern Denel. Za udostępnienie tajnych dokumentów Farmus chciał ponoć 20 000 dolarów. Biznesmen z Afryki miał przekazać pieniądze przez pośrednika. Gdy sąd poprosił o wyciąg z konta, L. stwierdził, że nie jest w stanie go dostarczyć. Wskazany pośrednik nie dość, że nie przyznał się do przekazania łapówki Farmusowi, to stanowczo zaprzeczył, aby dostał pieniądze od biznesmena, którego nazwał wariatem.

Według L. doradca wiceministra przy kolejnym spotkaniu podbił stawkę i zażądał 100 000 dolarów bez gwarancji wygrania przetargu.

W sądzie głównymi świadkami oskarżenia mieli być informatorzy „Rzeczpospolitej”. Jeden z nich – przedstawiony w artykule jako „doradca prezesa jednej z największych firm handlu bronią” – mówił dziennikarzom: „Farmus zna w naszej branży niemal wszystkich. Słyszałem, jak od szefów konsorcjum francuskiego domagał się 200 000 zł dodatkowo, bo wiceminister jest niezadowolony, że dostał tak mało”.

Jednak w czasie śledztwa nie znaleziono żadnego takiego „doradcy prezesa”, który potwierdziłby słowa opublikowane w dzienniku.

Poza tym nie zgadzały się daty. Przetarg na wieże do armato-haubic zaczął się w 1996 roku i był prowadzony przez Hutę Stalowa Wola, a nie przez MON. Został podpisany w lipcu 1999 roku – wynikałoby z tego, że Farmus żądał łapówki za przetarg już rozstrzygnięty! W którym zresztą nie uczestniczył producent z RPA.

Inny świadek – przedstawiciel holenderskiej firmy Signall miał powiedzieć red. Marszałek, że rozmawiał z Farmusem w jego biurze przy ul. Klonowej w Warszawie, gdzie asystent żądał od niego 50 000 dolarów za ustawiony przetarg. Ale gdy sędzia kazał wstać oskarżonemu, aby świadek mógł mu się przyrzec, okazało się, że widzi go po raz pierwszy w życiu.

– Tamten człowiek wyglądał zupełnie inaczej i miał inny głos niż oskarżony – powiedział zaskoczony.

A Farnus nigdy nie miał biura przy ul. Klonowej.

W innym miejscu dziennikarka przytaczała rzekomą rozmowę posła AWS z wiceministrem Szeremietiewem: – „Powiedziałem Romkowi o docierających do nas sygnałach, że Farnus domaga się od zakładów zbrojeniowych łapówek, a bierze pieniądze nawet za umówienie z nim spotkania”. W aktach sprawy nie ma zeznań żadnego posła AWS.

Ani cytowanego w artykule „przedstawiciela znanej polskiej firmy handlującej bronią”, który miał powiedzieć, że po tym, jak dał Szeremietiewowi kilkadziesiąt tysięcy złotych na kampanię AWS, on ponownie, już jako wiceminister, próbował wyciągnąć od niego pieniądze na poczet przyszłych kontraktów z MON, (wtedy „przedstawiciel znanej polskiej firmy handlującej bronią” odmówił).

Nie potwierdziły się informacje o rozmowie dziennikarki z pewnym politykiem, współpracownikiem Lecha Wałęsy (znów w tekście anonimowym), który słyszał od biznesmenów na Śląsku, że przekazywali Szeremietiewowi pieniądze na kampanię Wałęsy.

W aktach sprawy nie ma zeznań na ten temat żadnego „współpracownika Wałęsy”

Nie wytrzymał konfrontacji sądowej kolejny fragment artykułu („Kasjer z MON”) „Znany poseł SLD przedstawił „Rzeczpospolitej” inną historię: – Szef jednego z ograniczonych koncernów, które przegrały przetarg w MON, mówi mi, i to w obecności dyplomatów ze swego kraju, że kupował od Farnusa dokumenty. W tym celu umówił się z Farnusem w jego gabinecie w budynku przy alei Niepodległości. Wymiana odbywała się niemal bez słów. Farnus przynosił żądany dokument i wychodził na pół godziny, a przedstawiciel w zamian przekazywał kopertę. Za każdy dokument dawał 10 000 dolarów. Miał w ten sposób zdobyć trzy dokumenty i zapłacił 30 000 dolarów. Kiedy mówiłem, że to niemożliwe i zapytałem o dowody, pokazał mi mikrofilm”.

Jedynym posłem SLD zeznającym w sprawie był Janusz Zemke. Pod przysięgą zaprzeczył doniesieniom red. Anny Marszałek.

Proces dowiódł, że Zbigniew Farnus nie miał przypisywanego mu wpływu na przetargi. Jego i szefa rozmowy z przedstawicielami koncernów na temat przetargów odbywały się w budynku MON; wejścia gości były dokumentowane.



W grudniu 2006 roku po blisko czterech latach utajnionego procesu Zbigniew Farnus został uniewinniony z zarzutów żądania i przyjmowania łapówek w łącznej kwocie 170 000 dolarów.

Jednak za ujawnienie tajnych informacji o przetargach skazano go na 2,5 roku więzienia – tyle, ile odsiedział w areszcie i na co skarżył się w Strasburgu (skarża została uznana za zasadną.)

Obie strony procesowe odwołały się od wyroku sądu pierwszej instancji.

Sąd Okręgowy uniewinnił Farnusa z zarzutu bezprawnego korzystania z tajnych informacji, za co skazano na 2,5 roku więzienia. Nakazał Sądowi Rejonowemu Warszawa-Śródmieście jeszcze raz zbadać jeden zarzut, 20 000 dolarów łapówki, która miała dotrzeć do Farnusa z RPA. Proces jest tajny, więc trudno powiedzieć, czy udało się znaleźć jakieś dowody na istnienie tej łapówki.

Szeremietiew uniewinniony prawomocnie z zarzutów korupcyjnych dochodzi przed sądem rejonowym zasadności wymierzonej grzywny. Wskazuje, że został ukarany za zdarzenie, które przestępstwem nie jest, o czym świadczy uniewinnienie Farnusa z zarzutu korzystania z tajnych dokumentów. Proces trwa. Mięło dziewięć lat od dnia, gdy Anna Marszałek i Bertold Kittel donieśli o wielkiej aferze korupcyjnej w MON.

Mężczyzna w średnim wieku, zacisnięte usta, niespokojne spojrzenie, przez całą rozprawę ucieka wzrokiem od patrzącej na niego powódki. — Ja już swoje powiedziałem wcześniej — odpowiada mrukiwie na pytanie sądu, aż trzeba go zdyscyplinować.

— To znaczy — niechętnie wyjaśnia — rzekam się praw wydawniczych do książki Pawła Jasienicy, które należą mi się w spadku po matce. Nadal nie patrząc na powódkę, szybko opuszcza gmach warszawskiego sądu.

Nazywa się Marek Obretenny, jest synem Zofii Neny O'Bretenny-Beynar, drugiej żony Pawła Jasienicy. Jego sądowy spór z córką pisarza wyniknął stąd, że zdaniem powódki nie żyjąca od 1997 roku Zofia O'Bretenny-Beynar, jest niegodną dziedziczką po mężu; odkąd poznała Pawła Jasienicę, aż do jego śmierci, szpiegowwała go, jako TW (tajny współpracownik) Ewa-Max, pisała na niego raporty do UB. Konsękwencją takiego stanowiska córki pisarza jest odmowa podpisywania z Markiem Obretennym umów wydawniczych na wznowienie książek Pawła Jasienicy. Oto powód tego, że twórczości historyka od lat nie można było spotkać w księgarniach.

Proces ciągnął się prawie cztery lata. Gdy wydawało się, że córka Jasienicy już nie ma szans na wygraną (jej roszczenia z prawnego punktu widzenia uległy przedawnieniu), Marek Obretenny wycofał się walkowerem.

◆ ◆ ◆

— Wystąpiłam o teczkę ojca z IPN — mówi Ewa Beynar-Czczott — bo chciałam wiedzieć, co naprawdę kryło się za słowami Gomułki, że w latach 50. Jasienica został wypuszczony z aresztu „z powodów, które są mu znane”. Przywódca PZPR wykrzyczał to publicznie w 1968 roku na zjeździe aktywistów partyjnych, wyraźnie sugerując, że mój ojciec doniósł na swoich towarzyszy broni od Łupaszki.

Córkę Pawła Jasienicy poraziła skala donosicielstwa — w IPN przyniesiono jej na biurko kilkanaście tomów. Z ich lektury wynika, że tajniacy otaczali pisarza wszędzie — w kościele, w kawiarni, we własnym mieszkaniu. Nawet na cmentarzu. Tak było przez całe jego życie w PRL, z krótkim wyciszeniem w 1956 roku. Osiem lat później inwigilacja z siłą lawiny osacza pisarza z związku z Listem 34.

To Antoni Słonimski przyniósł pewnego marca 1964 roku do kawiarenki PIW-u na Foksal (mała kanciapa, ale słynna; przesiadywali w niej opozycjoniści: Paweł Hertz, Jan Kott, Leszek Kołakowski) kartkę z tekstem: „Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrezenie cenzury, stwarzające sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję i zgodnych z dobrem narodu”.

Dzisiaj nie pobraźmiewa w tym nic bulwersującego. Ale w tamtych latach...

Słonimski informuje stałych bywalców kawiarni, że Andrzejewski zaprosił kilkunastu twórców, aby wspólnie zastanowić się, w jakiej formie zaprotestuują przeciwko temu wszystkiemu, co władza wyprawia z kulturą. Przyszli m.in. Maria Dąbrowska, Paweł Jasienica, Zygmunt Mycielski, Jerzy Zawieyski. Słonimski sam napisał projekt oświadczenia.

— Popadłeś pod zły wpływ Jana Józefa Lipskiego. Ale nlech będzie — ocenia Hertz w PTW-owskiej kawiarni. I obiecuje, że pomoże w zbieraniu podpisów.

Wkrótce mają autografy: Jasienicy, Wańkowicza, Stanisława Cata-Mackiewicza, Turowicza. Uzbierało się 34 znanych sygnatariuszy. Antoni Słonimski idzie do kancelarii premiera i w sekretariacie składa List 34 za pokwitowaniem. Gomułka wpadł w pasję: — „Wszystkim — powiedział — dać paszporty zagraniczne i wyrzucić z Polski”. Po kilku dniach milczenia, władza zatrzymuje na 48 godzin Jana Józefa Lipskiego. Sprawę nagłaśnia Radio Wolna Europa. Wtedy włączają się studenci UW, demonstrując poparcie dla sygnatariuszy listu na wiecu.

Do siedziby władz ZLP obojętnie udaje się, po raz pierwszy w życiu, Władysław Gomułka. Prezes Jarosław Iwaszkiewicz czapkuje I sekretarzowi od progu, od razu dystansując się od kolegów — sygnatariuszy Listu 34. Ocenia ich wyskok jako wysocze nierozsądny i niepolityczny. Ale Gomułce to nie wystarcza. Przyjechał, aby oskarżać.

Nazajutrz zaczyna się wzywianie pisarzy na czerwoną dywanik do KC PZPR. Przesłuchują Cyrankiewicz i Kliszko. Sygnatariusze Listu 34 słyszą polecenie: — Oddajcie, towarzyszu, partyjną legitymację. Jesteście zawieszony w prawach członka. Tak potraktowani Marian Brandys, Julian Strykowski i Wiktor Woroszyński urządzają sobie na pocieszenie — akurat zaczął się karnawał — huczny Bal Powieszonych.

◆ ◆ ◆

Ale wkrótce nie jest im do śmiechu. Bo oto został aresztowany 72-letni Melchior Wańkowicz. Podstawą aktu oskarżenia, jak wyjaśnia Jasienica w liście do córki mieszkającej wówczas w Bieszczadach, jest fotokopia brudnopisu przemówienia w sprawie Listu 34, przygotowywanego przez pisarza na zebranie w ZLP. Maszynopis wysłał przez „okazję” do córki w Ameryce. Tekst został odczytany w Radiu Wolna Europa. Wyrok — trzy lata więzienia, zredukowane na podstawie amnestii do połowy. Sąd po naradzie uchylił areszt. W środowisku literackim szerzy się bunt przeciwko zniewoleniu. Śledzący Jasienicę TW „Konrad” nagral mowę pożegnalną pisarza nad grobem Stanisława Cata-Mackiewicza: „Ostatnie lata, czas od chwili podpisania Listu 34 spędził w nieustającym zatargu. Żył w walce i płacił za to”.

W raporcie tajniaka znalazło się ostrzeżenie: figurant zamierza kolportować swoje przemówienie. Po śmierci Cata-Mackiewicza, z którym figurant był związany, przelał jego kontakty z Londynem i paryską „Kulturą”; zamierza tam przesłać pozostałe po Mackiewiczcu listy, w celu ich opublikowania.

Z każdego posiedzenia, odczytu, spotkania w kawiarni z udziałem pisarza, fabrykowano doniesienie TW, zakończone „zadaniami” i „przedsięwzięciami”, jakie wyznaczał agentowi prowadzący go officer MSW. Śledzących Jasienicę było co najmniej trzynaścioro. Zdarzali się nadgorliwcy, którzy pisali nie tylko to, co wiedzieli, ale i to, czego się domyślali.

— Około roku 1965 — opowiada w sądzie Ewa Beynar-Czczott — wstród donosieli pojawia się kobieta o pseudonimie Ewa. Bardzo pracowita agentka. Raporty pisze nawet dwa razy dziennie. Zorientowałam się, że to „Macusia”, bo tak nazywał się w rodzinie druga żona ojca. Zofię Nene z Darowskich primo voto O'Bretanny. W jej pierwszych raportach bardzo dużo było o „zacieśnianiu się znajomości wokół obiektu zainteresowań”. Że nie chce go zrazić. Wiele razy powtarzała się uwaga: „O więcej nie pytam, ażeby nie wzbudzić podejrzeń i nie spłoszyć”.

Ewa była wytrawna, sprawdzoną TW. Wcześniej mieszkała na Wybrzeżu, prawdopodobnie rozpracowywała tam m.in. Leonida Feligę (jak dotąd, dostęp do jej teczeki ma tylko jej syn). W Warszawie UB zatałwił jej etat w dziekanacie Uniwersytetu, aby mogła rozpracowywać środowisko studenckie i naukowe. Przychodziło jej to łatwo; była miła, komunikatywna, potrafiła dużo wypić i nawet gdy się jej plątał język, wiedziała, co mówi.

Pomysł osaczenia Jasienicy był iście szataniski: Agentka ma chodzić na wszystkie spotkania autorskie, siadać w pierwszym rzędzie i zwracać na siebie uwagę prelegenta nie tylko atrakcyjnym wyglądem, ale i inteligentnymi pytaniami, świadczącymi o znajomości tematu. Nad zestawem pytań pracowali historycy, pozostający na usługach MSW. Jasienica musiał się złapać na ten haczyk.



Oficjalną wersję, jak doszło do bliższego poznania pisarza, Zofia Beynar przedstawiła w 1991 roku w wywiadzie Marty Milkaszewskiej dla tygodnika „Kobieta i Życie”. Dziennikarka — żona mecenasa Jana Olszewskiego, przyjaciela Pawła Jasienicy, znała Nene z towarzyskich spotkań. Nie miała pojęcia, że również na nią pisze raporty dla bezpieki.

— Paweł Jasienica — zwierza się w wywiadzie Zofia Beynar — miał prelekcję w Klubie Księgarza na rynku Starego Miasta. Pamiętam dobrze datę — 19 maja 1966 roku. Szukałam materiałów do książki o najbardziej głośnym XVII-wiecznym romanse — chodziło mi o amory Halszki Ostrońskiej. Nie przypuszczałam wtedy, że to spotkanie stanie się początkiem największego romanсу w moim życiu. Po wieczorze autorskim podeszłam do niego na ulicy, uśmiechnęłam się, powiedziałam dzień dobry, nazywałam się tak i tak, ja w sprawie romanсу.

Czy był zdziwiony? On nigdy niczemu się nie dziwił.

Z wycinków prasowych zachowanych w bibliotece Domu Literatury wiadomo, że tego wieczoru Jasienica wyjaśniał, dlaczego piastowski król Bolesław nazywał

się Wstydlivy. — Słuchacze reagowali żywo — pisze dziennikarz „Życia Warszawy”, ukrywający się pod inicjałami agp. Może miał na myśli tę elegancką młodą kobietę w pierwszym rzędzie, która zasympa Jasienicę pytaniami. Sporo wiedziała. Na przykład, że Bolesław Wstydlivy pojął za żonę Kingę — córkę węgierskiego monarchy Beli IV z możnego rodu Arpadów, gdy miał trzynaście lat. A obhubbentca cztery.

— Podobno zapalał do siebie płomienną miłością — mówiła z wielce obiecującym uśmiechem wielbicielka pisarstwa Jasienicy. — Czyż nie mamy do czynienia z nad-dunajską wersją Tristana i Izoldy?

— Porzućmy — odpowiedział na to autor Polski Piastów — romantyczną opowieść o miłości po grób. Dla Bolesława małżeństwo z Kingą było szansą wywyższenia się ponad ciżbę walczących ze sobą piastowskich książątek i przywrócenia blasku księstwu krakowskiemu.

— Owszem — na to atrakcyjna pani z pierwszego rzędu — ale i dla Beli IV małżeństwo córki było ważne strategicznie. Spadkiem po Piastach interesowali się zarówno Węgrzy, jak i Czesi.

Jasienicy musi być bardzo przyjemnie, bo w wypowiedzi słuchaczki znajduje cytaty z Polski Piastów. Autorski wieczór przekształca się w dyskusję z jedną osobą, siedzącą naprzeciw. Ta pani chce wiedzieć, czy hagiografowie Kingi mieli rację, twierdząc, że księżniczka od początku wyznaczyła sobie jeden cel: chciała zostać świętą. Od dnia ślubu co roku, przez ponad 50 lat, ponawia prośby do małzonka, aby uszanował jej dziewictwo.

— Dlaczego Bolesław nie użył siły w skonstruowaniu małżeństwa? — pyta długonoga, najbardziej elokwentna uczestniczka wieczoru autorskiego. A może Kinga, za którą stała potęga Węgier i 40 000 grzywien złota posagu po prostu oniemiała księcia?

Jasienica traci głowę.

— Zaprosiłam go na kawę — opowiada Zofia Beynar red. Milkaszewskiej z „Kobiety i Życia”. — Powiedział, że wypadnie na pół godziny i... został na całe życie.

Tego pierwszego wieczoru mogło być tak: on chce wiedzieć o niej jak najwięcej. Ona jest na to przygotowana. W każdym szczególe. Na palcu nosi sygnet, twierdzi, że rodowy. Pokazuje zdjęcia kobiety w wieczorowej sukni i mędrzynny we fraku w pałacowej sali lustrzanej — to moi rodzice, wyjaśnia, na ręce u Mościckiego. Ojciec, kresowy ziemianin, popełnił megalans, żeniąc się z kasjerką. Biedną, jak mysz kościelną, ale bardzo ładną.

Gość spieszy z komplementem o genetycznej sukcesji urody. Ona śmieje się, doznacza uwagę, że brak talentu do pomnażania majątku, a wręcz pozbywanie się go, jest przypadłością klanu Darowskich. Czy słyszał o Marcelinie Darowskiej? Tak, tej z Jazłowca, założycielce zakonu Niepokalanek.
— Była moją ciotką.

Paweł Jasienica rewanżuje się swoją rodzinną historią. Też, co za zbieg okoliczności, z rubieży. Oto z Ekaterynburga, dzisiejszego Swierdłowska, jego rodzice stopniowo przesiadali się, jako bieżący, coraz bardziej na zachód. Na tej drodze najpierw było Maksatische w guberni Kwerskiej. Tam zastała ich rewolucja, zwana u nas październikową. Z burzliwego okresu został mu w oczach, jako dziecku przecież, powiódek rodziców, gdy pochyleni nad jakimś papierem, czy gazetą, dyskutują zawzięcie.

— Zaczęły mi o pamięć ich słowa, dotyczące tajemniczych spraw: zamarnięcia rzeka, czyjs kałosz porzucony na lodzie... Łatwo mi dziś rozszyfrować owe urwki wspomnień. Był to po prostu sam początek 1917 roku. Moi rodzice roztrząsali świeżo przyniesioną wiadomość o gwałtownej śmierci Grzegorza Rasputina.

Opuszczają spokojne jeszcze miasteczko, ciągnie ich, polskich bieżenców, w kierunku Polski. Zatrzymują się w Taraszczy na Ukrainie. — Pobiegłem na rogatkę miasta — pisarz opowiada Nenie — pogapić się na pobite oddziały Denikina, cofające się na południe. Deptyali im po piętach obdarte oddziały Armii Czerwonej. Na murach pojawiły się bolszewickie afisze. Ze zgrozą oglądaliśmy plakaty, na których widniały kolumny ludzi rozstrzelanych bez sądu, poradkiem krasnowo terrora.

Ale nie mówią przecież tylko o powstaniach, rewolucjach. Niedawno owdowiały Jasienica wreszcie dostrzeżga weselsze strony życia; jego atrakcyjna znajoma lubi wypić, pośmiać się. Opowiada jej pyszną anegdotę z lat studenckich, jeszcze z Wilna, o znanym w mieście hm... pensjonacie — tak go nazywa — Cioci Rózi przy Rajskim Zaulku. Właścicielka, posadzona na ławie oskarżonych pod zarzutem ciągnięcia zysków z nierządu, miała podobno przerwać prokuratorowi słowami: „Wysoki Sądzie! Jak! nierząd? Co nierząd? A pan wojewoda to rząd, czy nierząd? A pan starosta to rząd, czy nierząd?”

Klientami Cioci Rózi bywali również przybrani w dekle [czapki — H.K.] polityczni stróże cnoty. Miarodajną dla nich gazetą był endecki „Dziennik Wileński”, mieszczący się w rokokowej oficynie przy ulicy Mostowej. W drugiej, również stanowiącej własność redaktora, miała kwaterę konkurentka Cioci Rózi. Zdarzało się, że jej klientki przez omyłkę pukali do drzwi redakcji. — Niech będzie pochwalony... Czy tu dom publiczny? — Na wieki... Nie, naprzeciwno. — Zostanie z Bogiem. — Idźcie z Bogiem.



Młodsza od Jasienicy o 15 lat Nena ma też w swym życiorysie patriotyczny rozdział. Walczyła w Powstaniu Warszawskim, była w AK (plk. Jan Rzepecki, przyjaciel pisarza z czasów wojny sprawdził zasyłane nazwisko w archiwum Armii Krajowej — mówiła prawdę). Po powstaniu wywieziono ją do obozu w Rzeszy, gdzie poznała Irlandczyka, nazywał się O'Bretenny. Pobrali się, po wyzwoleniu wrócili do Polski, z tego związku jest syn Marek, następnie się rozwiedli, jak opowiadała Nena, z hukiem. Pisarz nie chce już mieć przed tą wpatrzoną w niego kobietą żadnych tajemnic.

Tajne. TW Ewa 3 maja 1966 roku. „W ciągu ostatnich dni widziałam się parokrotnie z Jasienicą. Rozmowy miały charakter dość osobisty: zwierzenia, w których opowiadał mi o własnych przeżyciach z okresu okupacji, czasów partyzantki u Łupaszk, następnie dość szczegółowo opisywał swój pobyt w areszcie na Mokotowie, przesłuchiwanie przez Różańskiego i tym podobne historie”.

Jasienica zruca przed rozumiejącą go w pół słowa przyjaciółką kamień z serca, który od dawna mu ciąży: Musi cofnąć się do roku 1944, gdy na okupowaną przez Niemców Wileńszczyznę wkroczyła armia polsko-radziecka. On, jako Leon Lech Berner, służy w sztabie AK. Ma pseudonim Nowina. Gdy do Wilna wchodzi Armia Czerwona, ucieka do puszczy. Postanawia dołączyć do ukrywającego się tam Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszko, dowódcy V Brygady Wileńskiej AK. W tej brygadzie są jego ziomkowie, wilmuicy, którym po wcieleniu Wilna do ZSRR, odebrano ojczyznę. W połowie listopada 1944 dochodzi do wsi, trzeba uciekać. Wkrótce są po polskiej stronie linii Curzona. W pobliskim Bielsku Podlaskim stacjonuje prawie 900 enkawudzistów. Niektórzy są w zażyłej komitywie z tubylicami. Właśnie na skutek donosu mieszkańców Narewki, Rosjanie rozstrzelali w Siemianówce grupkę polskich dezertersów z wojska. W tej białoruskiej wsi, bazie wypadowej NKWD, są osoby na stanowiskach, które wystąpiły do władz radzieckich o przyłączenie ich terenu do ZSRR. Łupaszka zna nazwiska zdrajców Polski od oficera zatrudnionego w konsulacie radzieckim w Białymstoku.

— Śmierć — zdecydowali przełożeni Łupaszk. W kwietniu 1945 roku brygada wileńska na rozkaz komendanta obwodu zabija w Narewce czterech konfidentów wskazanych przez miejscową organizację AK — AKO.

— Nie ja dowodziłem tą akcją w Boćkach i w Siemiatyczach. Nie spaliłem żadnej wioski białoruskiej, czy innej — zwierza się Nenie Jasienica.

Przy zabitych Białorusinach — PPR-owcach: wojcie, nauczycielu Aleksandrze Wolkowycim, gajowym i sekretarzu gminnym partyzanci Łupaszk zostawiają kartkę: „Rozstrzelani za zdradę ojczyzny”.

Szpica kolumny prowadzona przez Nowinę wchodzi 8 sierpnia 1945 roku do puszczańskiej wsi. Z zabudowań sygnie się grad pocisków. Nowina strzela stojąc. W pewnej chwili kula przebija mu udo. Druga przechodzi przez pelerynkę, przecinając na piersiach rzemyk od pistoletu. Upada. Spod ciągłego ognia wyciągnęła go sanitariuszka. Rannego przetrzucono za Bug, do miejscowości Jasienica, na prośbstwo księdza Stanisława Falkowskiego. Gdy pewnej nocy partyzanci napadli na posterunek milicji i księdzu groziły rewizje, Beynar postanowił wyjechać do Krakowa. Zamierzał pisać w „Tygodniku Powszechnym” pod pseudonimem przybranym od nazwy miejscowości, gdzie uratowano mu życie.

— Drugiego lipca około godziny 21.00 — Jasienica tłumaczy bliższej mu kobiecie, która uważnie słucha jego zwierzeń — poszedłem do mieszkania siostry Wiktora, mojej koleżanki uniwersyteckiej i tu wpadłem w kocioł, założony przez UB. Tę noc już

spędziłem w areszcie. Dwa miesiące później wezwał mnie z celem dyrektor Departamentu Politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i oznajmił: „Wydzie pan na wolność, zobaczmy, czy to się ojczyźnie opłaci”.

Dopiero po opuszczeniu aresztu dowiedział się, że o wypuszczenie z aresztu zabiegał Bolesław Piasecki, przywódca wspierającego rząd PRL katolickiego stowarzyszenia PAX. — Doceniał moje związki z hierarchią kościelną i liczył na organizacyjną współpracę — tłumaczy Jasienica Nenie, która w tamtych czasach była dzieckiem. — Nie mogłem okazać się niewdzięczny, przecież uratował mi głowę. Do połowy 1956 roku pisywałem do PAX-owskiego tygodnika „Dzisiaj i jutro”. Tuż przed październikiem uznałem, że spłaciłem swój moralny dług.



Zadanie oficera prowadzącego TW Ewę 19.02.1968 r.: „W dalszym ciągu obserwować, kto odwiedza P. Jasienicę. Jakie tematy są poruszane w czasie rozmów. Czy i jakie plany działania przewiduje się na najbliższy okres. Wykorzystując fakt odwiedzania Jasienicy przez J. Olszewskiego i M. Miłkaszewską, dążyć do ich bliższego poznania, zaprzyjaźnienia się z Miłkaszewską”.

To, co zdarzyło się w marcu 1968 roku, narastało przez kilka miesięcy. Po zerwaniu przez Polskę stosunków z Izraelem, Gomułka mówi o działającej w kraju „izraelskiej piątce kolumnie”. Zaczyna się „czyszczenie etniczne” inteligencji. W wydawnictwach umowy na nowe książki Stonimskiego, Brandysa, Dygata są odłożone — do wyjaśnienia — na górną półkę. Dziwne telefony odbiera Holoubek. Anonimowy głos radzi mu odliczać na palcach dni, dzielące go od nagłej śmierci. Ponieważ aktor chodzi na próby „Dziadów” do Teatru Narodowego, do domu odprowadzają go studenci PWST. Stonimskiemu podobną obstawę organizuje student historii Adam Michnik.

Premiera „Dziadów” Adama Mickiewicza w Teatrze Narodowym odbyła się 25 listopada. Po czterech dniach reżyser Kazimierz Dejmek jest wezwany do Ministerstwa Kultury, gdzie otrzymuje na piśmie polecenie, by to przedstawienie grać tylko raz w tygodniu, młodzieży szkolnej nie sprzedawać więcej, aniżeli w sumie 100 biletów i to wyłącznie po cenach normalnych. Wiłość o absurdalnych ograniczeniach rozchodzą się pocztą pantoflową — coraz więcej ludzi chce zobaczyć ten inkryminowany dramat. Tuż po Nowym Roku Wydział Kultury KC zawiadamia Dejmka, że sztuka ma spaść z afisza 30 stycznia.

Ostatnie przedstawienie. Rozgorączkowany tłum tarasuje schody, hall. Młodzież siada na schodach, balustradach balkonów, a niektórzy nawet przykucają na krzewy sceny. Ostatni dzwonek, gasną światła. Aktorzy grają w zupełnej ciszy, ale wydaje się, że powietrze drga od ukrywanego napięcia widzów. Taki spłot emocji musi się w pewnej chwili rozzerwać. W akcie trzecim, gdy Mistrz Ceremonii mówi: „Kto długo był w więzieniu, / widział, slyszal wiele / — a rząd ma swe widoki, ma

głębokie cele, / które musi ukrywać...”, okrzyki: „Racja!” spadają na scenę z zapelonionych młodzieżą balkonów. Po chwili, gdy Dama, przechylona w stronę pierwszych rzędów, pyta: „Czemu to o tym pisać nie chcecie panowie?” — reaguje już cała widownia. Drżą od okłasków kryształowe żyrandole. Okrzyki: „Dobrze mówili towarzyszą kwestii — „Coż my tu pocniem / patrzcie przyjaciele / Oróż, to jacy stoją na narodu czele”. A potem — po słowach Oficera rosyjskiego: — „Nie dziw, że nas tu przelidniają! Wszak to już mija wieki / jak z Moskwy w Polskę nasylają / Samych kajdaków stek” — oklaski i głośnie, szydercze śmiechy.

Sekretarz Gomułki Zenon Kliszko już tego nie widzi, bo ostantacyjnie wyszedł po II akcie. I tylko od swych zauszników dowiaduje się, że na ostatnim przedstawieniu Gustaw Holoubek — Konrad — na życzenie reżysera nie wygłosił już wiersza „Do przyjaciół Moskali”: „Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny / Niech zrzepali, nie was, lecz wasze okowy”.

Aktor po prostu stanął niemo na środku sceny. A ręce ma skute kajdanami. Gdy kurtyna opadła, przez kilka sekund trwa martwa cisza, a potem w to purpurowe silcno uderza ogromna fala braw, krzyków, szlochania, gwizdów. Od balkonów po parter ludzie skandują: „Niepodległość bez cenzury!”. Tej nocy śródmieście Warszawy nie śpi. Prosto z teatru tłum ze studentami na czele idzie na Krakowskie Przedmieście, pod pomnik Mickiewicza. Nad głowami ludzi chyboczą transparenty: „Żądamy więcej przedstawień Dziadów”.

Przyczajone w bramach kamienic sukły rozwozą prowodyrów do komisaratów.

Co myśli o tym wszystkim władza, przekazują usłuszne gazety. Władysław Machajek, redaktor naczelny „Życia Literackiego”, pisze: „Okłaskująca spektakl klaka opozycjonistów i frakcjonistów miała charakter antyradziecki i prosyjonistyczny. Syjonści to byli dzierzymordy, wyobcowani z narodu, czapkujący do obrzydzenia, chępli się tym, że rządzą wbrew narodowi”. Na popołudnie 29 lutego, w warszawskim oddziale Związku Literatów zapowiedziane jest nadzwyczajne zebranie. Jasienica jedzie rano na Cmentarz Powązkowski, aby w samotności rozmyślać o tym, co może się zdarzyć wieczorem. Postanawia, że złoży wniosek o tajne głosowanie nad rezolucją, potępiającą restrykcje władz wobec studentów.

— Zobaczyłem go pod ścianą — wspomina zebranie u literatów Marian Brandys w książce *Jasienica i inni*. — „Stał w uroczystym, czarnym garniturze i czarnym krawacie. Szykował się do wystąpienia i wyraźnie widać było, że jest zdenerwowany. Co chwila ocierał pot z czoła dużą, białą chustką”.

Jasienica był przede wszystkim zdeterminowany. Przeczytał na głos antysemitcki wierszyk, rozrzucał przez prowokatorów w formie ulotki na terenie uniwersytetu. Trzasnął kartką o mównicę: — „Dzisiaj, jatkolwiek akcent antysemityzmu, tego rodzaju wystąpienia, czy coś, co może być o to podejrzane, jest wiązaniem sobie kamienia młyńskiego na szyi, niczym więcej. Bo wystarczy rozjeździć się po świecie,

żeby się zorientować, że odbywa się wielki proces zdejmowanie odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie i przetrucania na nas. Hańbal

Kilka osób na sali odkrzyknęło: – Hańbal Zerwał się z krzesła Putrament, woła-
jąc, że to prowokacja. Jasienica: – Tak, prowokacja, ale czyja!? Na co Putrament:
– Widzę mnóstwo brudnych rąk. I wtedy Kisielewski wygłosił słynne potem zdanie
o dyktaturze ciemniaków...

Tydzień później, 8 marca, na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego naciera-
ją na studentów uzbrojeni w palki ORMO-owcy i partyjni aktywiści z fabryk. Aresz-
towania, relegowanie z uczelni, natychmiastowe powołania do wojska.

Kilka dni później dziennik telewizyjny pokazuje masówki w zakładach pracy.
W FSO robotnicy skandują: „Studenti do nauki, literaci do pióra”, w Hucie Warsza-
wa: „Mostek – agresor”. Spiker czyta listę burzonych załóg; wygląda to tak, jakby
miał przed sobą książkę telefoniczną firm. W „Kurierze Polskim” jego czołowy pu-
blicysta Ryszard Gontarz ogłasza, że na zjeździe literatów doszło do „skandalicznych
ataków na władzę ludową. Szczególną aktywność wykazywali: Paweł Jasienica, An-
drzej Kijowski, Antoni Słonimski, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski, Leszek Ko-
łakowski (...). Zwłaszcza Paweł Jasienica, pochwalając działanie wchryzycielskich ele-
mentów na uniwersytecie, nawoływał do rozszerzenia awantur”.

Mimo surowych restrykcji, studenci reagują na takie publikacje, demonstracyj-
nie paląc na ulicach dopiero co kupione egzemplarze gazet i skandując: „Prasa kła-
mie!” Ale partia dopiero czai się do skoku „na rozrabiaczy”. Kilka dni później znów
odzywa się Gontarz. Píše o Jasienicy, jako o zaciełym wrogu Polski Ludowej, któ-
ry w sierpniu 1944 roku zdezerterował z Wojska Polskiego i wstąpił do grasującej
na Białostocczyźnie bandy zbrojnej, dowodzonej przez Zygmunta Szendzielarza
ps. Łupaszko. Zagrzewał bandytów „Łupaszki” do mordowania białostockich chło-
pów, palenia wsi, grabieży. Nie unikał „mokrej” roboty, m.in. we wsi Narewka.

Tym artykułem dwa dni później wymachuje z wściekłością Edward Gierek na wie-
cu partyjnym w katowickim Spodku. I sekretarz KW PZPR krzyczy: – Owi Zam-
browscy, Staszewscy, Słonimscy i spółka w rodzaju Kisielewskiego, Jasienicy i in-
nych, to pogrobownicy starego ustroju, rewizjoniści, syjonисти – sługusy imperializmu
(...). Ślaska woda nie była i nigdy nie będzie wodą na ich miłą”.

Paweł Jasienica ogląda w telewizji rozkręcającą się spiralę pomówień. Jest prze-
rażony. A przecież najgorsze dopiero ma nadejść.

Dziewiętnastego marca do Sali Kongresowej PKiN zwieziono 3 tysiące partyjnych
aktywistów. Bojówki wchodzą na widownię z transparentami: „Precz z agenturą im-
perializmu – reakcyjnym syjonizmem!”. Na znak niewidzialnego dyrygenta hasła to
podnoszą się, to opadają – w zależności od słów przemawiającego Gomulki. I se-
kretarz już w drugim zdaniu atakuje Jasienicę, „ujawniając”, że naprawdę nazywa
się on Leon Beynar. Następnie powtarza to wszystko, co już napisał Gontarz. Od sie-
bie dodaje, że w śledztwie prowadzonym w 1948 roku, Jasienica przyznał się do

zbrodni. Kary uniknął „z powodów, które są mu znane”. Tym sformulowaniem, a tak-
że odpowiedzią mimiką, owym „ujawnieniem” prawdziwych danych osobowych
(a przecież od dawna widniały w leksykonie pisarzy), sugeruje, że Jasienica wydał
w śledztwie ludzi Łupaszki i w nagrodę za to uniknął losu swego zwierzchnika, czy-
li: kary śmierci.

Brutalne pomówienia powtarzają gazety, prześcigając się w nadgorliwości przy-
kłaśniania pierwszemu sekretarzowi.

Na swój rachunek intensywnie pracuje w tragicznym 1968 roku agentka Ewa. We
wspomnianym wywiadzie dla „Kobiety i Życia” (1991 rok), notabene jedynym, jakiego
udzieliła w swym życiu, opowiada, że wówczas była recepcjonistką w stołecznym
„Grand Hotelu”: – Ktoś z gości powiedział mi, że przyjeżdżają do Warszawy auto-
busy ze wzburzonymi mieszkańcami białostockiego. Mają oni likwidować fizycznie
tych, którzy pod koniec wojny napadali na miejscową ludność. Zadzwoniłam do bra-
ta, aby przywiózł Pawła Jasienicę do mojego mieszkania (...). Wieczorami wycho-
dziłam na Pocztę Główną i wysyłam osobom prywatnym i instytucjom napisany
przez niego „Fragment życiorysu” – prawdziwą wersję wydarzeń sprzed 23 lat.

Z teckej IPN wiadomo, że owo „likwidowanie fizyczne” Nena wymyśliła, aby ścia-
gnąć zdesperowanego pisarza do siebie.

Tajne. Źródło TW Ewa. 18 marca 1968 roku. „O 15 bm. mieszka u mnie Paweł
Jasienica. Nie wychodzi. Zofia Bartoszevska powiedziała mi o wiadomości, która
przyszła z PIW-u – wycofuje się z bibliotek publicznych na prowincji książki pisa-
rzy niebezpiecznych, jak Andrzejewski, Jasienica, Kijowski, Kisielewski. Niestety, po-
wduje to często wręcz odwrotny skutek, a mianowicie umacnia ich popularność”.

Głęboki sires po oszczerstwach Gomulki Jasienica przyplaca chorobą. Unieru-
chomionego w łóżku odwiedzają przyjaciele.

Tajne. Źródło TW Ewa. 25 kwietnia 1968 roku. „Byli u mnie wieczorem Jan Ol-
szewski, Marta Mildaszevska i Jan Konopka. Nastrój przygnębiający, bo Olszewski
i Konopka zostali zawieszani w swych czynnościach adwokatkich. Olszewski, widząc
się ostatnio w więzieniu na Mokotowie z J. Szpotanśkim przyniósł stamtąd – nie na
piśmie, tylko w głowie – tekst nowej ballady o krwawym Bednarze. Zaczyna się tak:
...M. Mikdaszevska zapowiedziała, że od maja urzęda w każdą drugą sobotę spo-
tkania towarzyskie”.

Tajne. TW Ewa. 28 kwietnia 1968 roku. „P. Jasienica zatelefonował ode mnie z do-
mu do Stefana Kisielewskiego, zapraszając go do siebie na wtorek 29.04. na godzi-
nę 18.00 po odbioru książek i małą wódkę. Postaram się w miarę możliwości do-
kładnie przytoczyć wypowiedzi Kisielewskiego”.



– Partia ma długie ręce – pogroził Gomulka w Pałacu Kultury i Nauki. Z Uniwersy-
tetu Warszawskiego odchodzi z wilczym biletem sześciu profesorów, m.in. Leszek

Kolakowski. Kilka dni później Tadeusz Konwicki traci posadę kierownika literackiego w Stowarzyszeniu Filmowców. Wymówienie z zespołu „Kadri” przyniesiono mu do domu o wpół do dwunastej w nocy. Na drzwiach jego mieszkania ktoś maże smolną słow „huj”. Wielu naukowców i ludzi kultury pochodzenia żydowskiego decyduje się emigrować. Opuszczają kraj z tymczasowym dowodem tożsamości ważnym w jedną stronę. Pożegnania z przyjaciółmi odbywają się zazwyczaj na Dworcu Gdańskim. Słoniński rzuca w obieg kolejne słydziałe zdanie – „Trzeba będzie na Gdańskim wywieźć słydzik. Ostatni gasi światło”.

Tajne wytyczne KC PZPR roku mówią wprost o „demaskowaniu i izolacji wrogich, opozycyjnych polityków w środowisku literackim”. Lista twórców na indeksie wydłuża się.

Tajne. Źródło TW Ewa. 1 czerwca 1968. „W piątek 30 maja dowiedziałam się od P. Jasienicy, że był u niego z wizytą płk. Jan Rzepecki i zreferował następującą sprawę: w ostatnich dniach na granicy czesko-enerdowskiej zatrzymano samochód, którym wracała do kraju para młodych Polaków przebywających na stypendium w Paryżu. W samochodzie znaleziono większą ilość „wydawnictw” „Kultury” oraz bibułę przedwyborczą wraz z imiennym wykazem, do kogo ma być dostarczony materiał. Powyższe wiadomości przyniósł Rzepeckiemu jego znajomy i współpracownik z okresu okupacji z komendy Głównej AK, który obecnie od szeregu lat jest pracownikiem Prokuratury (...). Na liście osób, do których miały dotrzeć wydawnictwa „Kultury” jest Jasienica z dodatkowym dopiskiem: „Ostrożnie z podchodzeniem”.

Aresztowani: Macej Kozłowski, Jankub Karpiński, Maria Tworowska oraz Krzysztof Szymborski, należeli do grupy tzw. taterników. Sąd uzna ich winę, wymierzając wyroki od trzech do czterech lat pozbawienia wolności.

– Wyglądało na to – powieździała mi po latach Ewa Beynar-Czczott – że ojciec też trafi do więzienia. Odbierałśmy wredne, anonimowe telefony. Tatę najbardziej dręczyło to, że nie mógł publicznie odpowiedzieć na oszczerstwa. Rozesłał do różnych redakcji oświadczenie, ale było to jak wrzucenie w głęboką studnię. Nic nie wypłynęło na wierzch.

Nena wywozi sfrustrowanego Pawła Jasienicę do Kazimierza. Niech oderchnie innym powietrzem. Naprawdę chodzi o to, że w ślad za pisarzem do miasteczka zjeżdża kilku opozycjonistów. Wszyscy chodzą tą samą trasą – wąwozy, kawiarnie, restauracja w Domu Architekta. Jest materiał na donosy. Wystarczy nie tylko dla agentki Ewy.

Doniesienie X (w materiałach IPN nazwisko agenta zamazane): „Kawę wypiliśmy w Domu Architekta, do którego J.P. zgodził się pójść dopiero wówczas, gdy ZO [Zofia O'Brieny – H.K.] sprawdziła, że nie ma tam żadnych „wrogów”. J.P. nie chce nikogo widzieć (...). Nawijając do rozmowy o Wańkowiczu, opowiedział o tym, jak Wańkowicz był u Gomulki i w rozmowie z nim wspominał nazwisko Jasienicy. Gomulka zachnął się i nazwał go obywatelstwem rosyjskim określeniem. Potem rozmowa

zeszła na temat Szpotanńskiego i jego słynnej opery, J.P. recytował jej fragmenty”. Zadania: „Pogłębienie przekazanych informacji w odniesieniu do osoby Z.O”. Przedsięwzięcie: „Uzyskanie informacji przekazane zainteresowanej jednostce operacyjnej”.

Tajne. TW Ewa. 1 października 1968. „Na rynku w Kazimierzu spotkałśmy 21 września mec. Słę-Nowickiego (...). Będąc z nami na kawie stwierdził, że towarzyszy w Warszawie nie dzieli się teraz na partyjnych i bezpartyjnych, lecz na ludzi potępiających agresję w Czechosłowacji i uważających tę interwencję za słuszną. Spytałam, do jakiej grupy on się zalicza. Natychmiast zerknął na zegarek i oświadczył: znam panią tylko pół godziny, to za mało na szczerość. Przed samym wyjazdem do Kazimierza Pj był u Władysława Bartoszewskiego, który dostał 1000 dolarów nagrody im. Irzykowskiego od Polonii amerykańskiej. 13 września wyjechał on z żoną do Wiednia na miesiąc, będzie mieszkał (tu adres). Spodziewa się spotkać w Wiedniu z ambasadorem Izraela i innymi wpływowymi żydami (...). Wspomnę jeszcze, że w czasie spotkania we wrześniu Pj z gen. Borutą-Piechowiczem ten ostatni oświadczył Jasienicy, że jego życiorys przesłał do Londynu. Jaką drogą, jeszcze nie wiem, ale się dowiem”.

Zadania: Uzgodniłem, aby w toku rozmów ze znanymi jej osobami dążyła do rozeznania zamierzeń oraz podejmowanych kroków przez literatów, znanych nam z negatywnego stosunku do naszego ustroju. Przedsięwzięcia: Jeden egzemplarz doniesienia zamierzam przekazać do wydziału IV dep. III MSW do wiadomości i wykorzystania z tego powodu, iż większość osób pozostaje w zainteresowaniu tego wydziału.

UB nadal grzebie w szufladach pisarzy. Adresy wskazują tacy gorliwi donosiciele, jak agentka Ewa.

Tajne. TW Ewa. 17.10.1968 roku. „Byli u mnie Jan Olszewski i Paweł Jasienica. Omawiali stosunki obecne między kościołem a państwem (...). Jasienica był na kołacji u pośła Stomny. Stomna ludzi Piaseckiego nazywa pałkarzami, zdolnymi do wszystkiego za odrobiny władzy”.

◆ ◆ ◆

W donosach TW Ewy od połowy 1969 roku pojawiają się informacje o piętrzeniu się trudności w jej dążeniu do zawarcia ślubu z Jasienicą. Bo najpierw nie zgadza się na to córka pisarza, potem jego matka.

To nie była prawda – prosiuje Ewa Beynar-Czczott – ojciec miał 60 lat, był wdowcem, dlatego mielibyśmy się wtrącać w jego życie? Zwłaszcza, że wybranka robiła na nas dobre wrażenie. Gdy ją poznałam, a był to rok 1967, pracowałam w Instytucie Techniki Budowlanej, po powrocie z budowy zapory wodnej w Solinie. Pewnego dnia tata uprzedził, że do mojego biura przyjdzie, żeby mi się przedstawić, bliska mu kobieta. No i pojawiła się. Przystojna, z tą szczególną zdolnością przystosowania swego zachowania do oczekiwanej osoby, której względy chciała pozyskać.

Ojciec był chyba zagubiony po napaści Gomulki na niego, może nie dość go wspierał. Ja ciągle w biegu, bo praca, małe dziecko... On też nie skłaniał się przed nami do wynurzeń. TW Ewa, pisząc o przeszkodach do małżeństwa, po prostu podbiła jako agentka swoją stawkę u przełożonych. Chciała, żeby uznali, że potrafi pokonać trudności, jest nie do zastąpienia. Co akurat, zważywszy na jej nadgorliwość, było zgodne z prawdą. Na przykład, w październiku 1969 roku jednego dnia napisała aż 3 raporty. Jeden dotyczył dopiero co zjedzonej kolacji u Marty Miłkowskiej.

Doszło więc do ślubu, w grudniu 1969 roku, z którego bezpieka otrzymała szczegółowy raport. Przede wszystkim spis gości, a były to nazwiska z pierwszej półki, jeśli chodzi o związki z opozycją, m.in. Jerzy Turowicz, Melchior Wańkowicz, Stanisław Stomma, Rzepeccy, Olszewski z Miłkaszewską, Jerzy Milke, Bogdan Cywiński. Ten szczególny donos – łącznie z menu – nie wyszedł spod ręki Ewy, notabene od dnia ślubu przemianowanej w kartotece na „Maxa”; na miódowy okres bezpieczeństwa dała jej tydzień urlopu. Raport napisał KO (kontakt obywatelski) Andrzej.

– Moje drugie małżeństwo było wspaniałe i tragiczne – zwierza się w 1991 roku na łamach „Kobiety i Życia” Nena Beynar. – Paweł po ślubie pokazał mi, gdzie są pieniądze i zapytał: – Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym brał stąd drobne kwoty na gazety, kawę i koniak? W pozostałe domowe zakupy nie będę się wtrącał.

Kazał mi jednak złożyć uroczystą przysięgę: mam ich obu – Pawła i Jerzego Andrzejewskiego, wykupywać z knajpy, gdy zajdzie taka potrzeba. A piło się wtedy dużo. I w ogóle życie towarzyskie kwitło.



Były trzy znane stoliki w Warszawie. W stołówce wydawnictwa „Czytelnik” przy ulicy Wiejskiej miał swoje stałe miejsce Gustaw Holoubek. W drugim końcu tej suterenu, przeznaczony na stołówkę dla pracowników „Czytelnika”, zorganizował konkurencyjny stolik Paweł Jasienica, który swoich fanów, a raczej fanki, rekrutował głównie wśród redaktorek wydawnictwa. Po których przerwie wakacyjnej oba stoliki się połączyły.

Był jeszcze stolik w piwnicy PIW-u, przy ulicy Foksal, z urzędującym przy nim Antonim Słonimskim. Zestaw gości ten sam, co na Wiejskiej, tylko u Słonimskiego bardziej politykowane, natomiast w „Czytelniku” nie różnił się w opowiadaniu kawałów G. Holoubek i sekundujący mu ze zwoźniczo ponurą twarzą T. Konwicki raz po raz wywoływali wśród przysłuchującym się im salwy śmiechu. Opowiadano, że czasem śmieli się nawet udający klientów księgarni tajniacy, którzy z obowiązku pełnili tam dyżury.

TW Ewa nie musiała wciącać się w rolę mola książkowego. Oficjalnie występowała przy boku Jasienicy, jako kochająca żona, wielbicielka jego książek. Możliwe, że w pewnej chwili, co prawda na krótko, odezwało się w niej sumienie. Wskazywałby

na to jeden z raportów, w którym jakby osłania męża i jego przyjaciela przed wszelką władną bezpieką, sugerując, że „oni teraz żalują swoich karygodnych czynów”.

Służby specjalne nie wierzyły Ewie do końca, czy aby jako żona, nie przejdzie na stronę męża. Złapały ją na pewnym kłamstwie:

Tajne spec. znaczenia. Naczelnik wydziału III Komendy Stołecznej MO 24 grudnia 1969: „Posiadamy sprawdzoną informację, z której wynika, że pozostająca w waszym zainteresowaniu Nena Darowska-Beynar w styczniu 1969 roku poinformowała Pawła Jasienicę, że w czasie, gdy mieszkał u niej po wydarzeniach marcowych, była czterokrotnie wzywana do MSW, gdzie musiała podpisać zobowiązanie, że dokąd Jasienica będzie przebywał w jej mieszkaniu, nie będzie się kontaktował z korespondentami agencji zagranicznych. Powiedziała też Jasienicy, że podczas którejś wizyty w MSW powiadomiono ją, że jeśliby miał zostać aresztowany, to ona zostawiaby o tym uprzedzona – tak, by zatrzymanie Jasienicy nastąpiło w jego mieszkaniu (...). Te insynuacje wysuwane przez Darowską pod adresem MSW o prowadzonych z nią rzekomo rozmowach nie polegają na prawdzie i mają charakter wyłącznie spekulatywny. Można mniemać, że Jasienica podzielił się ze swymi przyjaciółmi informacjami uzyskanymi od Darowskiej, gdyż po pewnym czasie w jego otoczeniu różnie to komentowano”.

Wiedziano o tym z nasłuchu telefonicznego. Tego rodzaju kilkuletnia operacja w mieszkaniu Jasienicy nosiła kryptonim „Kołodziej”. Protokół zniszczenia taśm z 1970 roku, po śmierci pisarza, podaje, że w ciągu jednego roku podsluchano 299 rozmów.

– Nena chyba czuła, że coś się koło niej dzieje – mówi Ewa Beynar-Czczott. Kiedyś, płacząc, zwierzyła mi się, że ma wrogów, którzy robią jej głębie donosiela na UB. Nie przywiązywałam wagi do tych słów. Ona łatwo rozczuła się nad sobą, łączyła zawsze miała na oczekaniu. O tym, że jest agentką, nikomu w naszej rodzinie nie przyszło do głowy.

Krystyna Goldbergowa, która przez wiele lat zajmowała się w wydawnictwie „Iskry” przygotowaniem do publikacji reportaży, jest zdumiona niewiedzą córki Jasienicy na temat podwójnej roli Neny. O tym, że druga żona Jasienicy jest agentką, Goldbergowa wiedziała od Melchiora Wańkowicza.

Tymczasem pisarz zaszywa się w swym dawnym mieszkaniu, które otrzymał jeszcze w latach 50. z kwaterekowej puli ZLP. W kuchni obok krząta się żona. Wie, że aż do popołudniowej dirzemki męża nie można mu przeszkadzać. Odpowiada jej to – też potrzebuje spokoju, aby produkować donosy. Stała się wygodna – po cięplutkie jeszcze raporty oficer prowadzący przychodzi do domu inwigilowanego. Mężowi przedstawiła go jako kolegę ze studiów. Jasienica nie jest podejrzliwy, jego głowę zaprzątają inne myśli. Pisze:

– „Poniedziałek, 5 stycznia 1970 roku. Rozpocząwszy przed dwoma miesiącami sódmy krzyżyk, zasiadłem do pisania mej dwudziestej pierwszej książki – Pamiętnika.

O wydaniu go nawet nie marzę. Nie jestem panem mojej szuflady i własnego biurka (...). Minie wkrótce 24 lat mej pracy literackiej (...). Heż wysiłku włożyłem w po-
nającą czynność wymijania przewidywanych zahaczeń".

Ala czytelnicy, zwłaszcza ci nastawieni antytrydowo, byli zachwyceni. Zygmunt III Waza, określany przez Jasienicę w Polsce Jagiellonów jako „ideologiczne tę-
pogłowie", „śluga doktryny", kofarzył się ze zmieniającym polityczny kurs Gomułka.
Najbardziej wyrazistym przykładem biegłości Jasienicy w stosowaniu ezopowego je-
zyka są pisane pod koniec życia, a wydane 14 lat później, rozważania o wojnie do-
mowej – esej o kontrewolucji w Wandei. Rzeczą dotyczy doktrynerskich rządów ja-
kobinów i okrucieństwa ich terroru, co doprowadziło do powstania partyzanckiego
chłopskiej. Wedle Jasienicy chłopci z Wandei zbudowali się, bo nie chcieli słuchać
namiestników przysyłanych z Paryża, którzy swoje porządki zaprowadzali kosztem
setek tysięcy zamordowanych, utopionych, spalonych i rozstrzelanych.

– Każda wojna domowa – dochodzi do wniosku w pisanym *Pamiętniku* – ma to
do siebie, że z biegiem czasu stępuje się coraz bardziej okrutna. Historia nie zna wy-
jątku od tej reguły. Ale przekonanie władzy, że się posiada prawdę absolutną, mi-
si skłaniać do sięgania po środki skrajnie radykalne, rozgrzeszać z ich użycia.

Ta książka jest odpowiedzią Jasienicy na atak Gomułka i zakłamaną kampanię pra-
sową na temat losów polskiego podziemia. I historyzoficznym testamentem.



Stres, jaki przeżywał, paczkami palone papierosy, przyspieszyły rozwój choroby no-
wotworowej płuc. Pisarz zmarł 21 sierpnia 1970 roku. Wdowa w głębokiej żalobie
stała nad grobem, obok matki zmarłego i jego córki. Podobnie jak w dniu zaślubin,
była zwolniona z pisania donosu. Urząd Bezpieczeństwa wydelegował na Powązkę
samego dyrektora departamentu III MSW. Jego ludzie zrobili 124 zdjęcia. Choć
w prasie nie było żadnej informacji o pogrzebie, w kondukcje szło około tysiąca
osób. Bardzo wiele literackich sław. Byli pułkownicy i generałowie AK. Redakcja „Zy-
cja Warszawy” odmówiła zamieszczenia nekrologu Pawła Jasienicy od przyjaciół i to-
warzy broni, odrzuciono również nekrolog PEN-Clubu. W *Między Jerzego An-
drzejewskiego* jest reporterski opis pogrzebu: „Kondukt długo i bardzo wolno się
posuwający, ponieważ trumnę nieśli przyjaciele i towarzysze broni. Ogromne tłumy
wzdłuż całej trasy konduktu (...). Po Parandowskim mówił Stanisław Stomma,
potem ja”. Przemówienie Andrzejewskiego odczytano w Radu Wolna Europa. Oto
jego fragment: „Nie od dzisiaj znamy gorzką prawdę, iż polskie groby bywają nie-
zmiernie ciężkie, bowiem ciężar śmierci, który się na nie ładuje, pomnożony bywa
ciężarem życia. Grób, przy którym stojmy, jest dla nas szczególnie dręczący, spo-
cznie w nim człowiek, którego życie ułożyło się według miary własnej, lecz rów-
nież według kondycji narodu, jego wald, twórczej chwały i nieszety, również we-
dług jego krzywdy i poniżenia. Gdzież, jeśli nie tu, nad tym grobem, powiedzieć

należy, iż za swoje przekonania, za odwagę ich wypowiedzania, Paweł Jasienica za-
płacił wysoką cenę. Oskarżony o czyny, których nie popełnił, i przewinienia, któ-
rych nie dokonał, znieważany i poniżany, nie miał żadnej możliwości obrony, od-
jęte mu zostało prawo druku, jego stare książki wycofano z księgarń, nowe nie
mogły się ukazać (...) został z początkiem roku 1968 z dnia na dzień zepchnięty na
margines życia publicznego, skazany na śmierć cywilną. Z bólem żegnają Cię Paw-
le, Wiemy, że twoje dzieło pozostanie trwałe i żywe. Ale pozostaje również twoja
krzywda, ponieważ nie była i nie jest tylko twoją krzywdą, przerosła ciebie same-
go, stając się krzywdą najcenniejszych wartości narodowych. Reszta niech pozos-
tanie milczeniem”.

Odspiewano hymn narodowy. Ci, którzy stali blisko rodziny zmarłego, pamięta-
ją, że w tym momencie wdowa zalkała.

– Jako wdowie – mówiła Zofia Beynar w 1991 roku – trudno mi było nieść po-
dwojny ciężar: swoją własną samotność i moralną odpowiedzialność za literacką
spuściznę po Pawle Jasienicy.

Dziś wiadomo, że w tydzień po śmierci pisarza spotkała się z oficerem bezpie-
czeństwa i ustalali, jak przeciwdziałać wydosztaniu się maszynopisów zaczętych ksią-
żek na Zachód.

– W pierwszych tygodniach po pogrzebie – opowiada bohaterka wywiadu Mi-
klasewskiej – była to ciągła ucieczka od śmierci, od wspomnień. Dlatego wyjecha-
łam do Paryża, tam spędziłam 6 lat, opiekowałam się pewnym bogatym właścicie-
lem kilku drukarni we Francji. Był samotny, wielkomy i częściowo sparaliżowany.
Lato spędzaliśmy w jego willi w Saint Tropez. Tam umarł.

– Nie ma wprawdzie na to twardego dowodów (dotychczas przepisy ustawy o IPN
nie pozwalały osobom postronnym zajrzeć do teczek tajnego współpracownika), ale
pisarce, którzy wówczas kontaktowali się z „kulturą” Giedroycia, są przekonani, że
słynna Nena została oddelegowana nad Sekwanę, aby śledziła tam rodaków z poli-
tycznej opozycji. Służba u miliardera to mit.

Wiadomo na pewno, że do Polski wraca w 1979 roku. Od swego oficera dostaje
kolejne zadanie – wejść w strukturę KOR-owskie. Najlepiej przez zbliżenie się do
Wojciecha Ziemińskiego. Nie będzie niczego podejrzewał, bo przyjaźni się z Janem
Olszewskim, jest to dawny krąg Jasienicy.

I rzeczywiście, długo nie podejrzewał. Ziemiński to dla bezpieczeństwa doskonale
adres. Może nawet tak dobry, jak przed laty Jasienica. Kilkakrotnie aresztowany, wy-
myślił Komitet Obrony Robotników. Założył też Ruch Wierności Rzeczpospolitej, aby
mógł powstać Pomnik Poległych i Pomordowanych na Wschodzie. Na sekretarza Ko-
mitetu Budowy powołał wdowę po człowieku, którego bardzo szanował – Pawle Ja-
sienicy. To Zofia Beynar zwierzał się, opowiadał o swej wizji pokazania miejsc mar-
tyrologii: Agentka Ewa-Max, neutniona w żalu wdowa po wybitnym pisarzu (gdym
w 1990 roku pokazano w telewizji film o Jasienicy, wystąpiła w głębokiej żalobie,

w doborowym towarzystwie Gieysztor, Turowicza i Stommy), donosiła o wszystkim UB i służby wiedziały, jak uniemożliwić Ziemińskiemu realizację przedsięwzięcia. Jeszcze w roku 1991 aktywnie działała w Komitecie Budowy Pomnika. W końcu Ziemiński zaczął coś podejrzewać i odsunął ją pod jakimś pretekstem. Ale nie był pewien, czy postąpił słusznie.

— Byłam przy jej ostatnich dniach — mówi Ewa Beynar-Czczcott. — Nena umierała w hospicjum Ojców Orionistów w Wolominie, w 1997 roku. Wcześniej zachorowała na raka piersi, potem dopadł ją wylew, paraliż, odjęło jej mowę. Jeździłam do niej z moją najstarszą córką. Kiedyś do szpitalnej sali, gdzie leżała Nena, zajrzał szpitalny kapelan. Wzrokiem, zamykaniem powiek, odwracaniem głowy, dała mi znać, że nie życzy sobie takiej usługi. Pochowaliśmy ją w Alei Zasłużonych na Powązkach. Bo tam spoczywał jej mąż, o co zresztą obojście zadbała.

W teczce z IPN ostatni donos o Pawle Jasienicy pochodzi z 1972 roku — z wietczoru pamięci o zmarłym. Odnotowano, że miłośnicy jego esejów narzekali, że nigdzie nie można kupić *Polski Piastów i Polski Jagiellonów*.

Po wygranych procesie córki pisarza z Markiem Obretennym o prawa autorskie te książki zostały wznowione.

U schyłku mego życia chciałbym, aby mnie w obecnej Polsce, niekomunistycznej, zrehabilitowano. W październiku 1947 r., już po raz trzeci od wejścia Armii Czerwonej, zostałem aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa. W latach najstraszszego stalinizmu skazano mnie na karę śmierci. To, że żyję, zawdzięczam amnestii 1956 roku” — napisał Andrzej Miłosz Świątopelk Colona-Walewski jesienią 1991 roku do sądu warszawskiego.

To był długi list. Oto jego fragment:

„W 1948 roku odbyła się rozprawa przed Sądem Apelacyjnym w Kielcach, prowadzona przez krwiożerczego sędziego Górskiego. Oskarżali mnie, że wydałem komunistów, napadałem na Żydów. UB przerobiło mi datę urodzenia tak, abym był starszy, pełnoletni i mógł otrzymać wyższy wyrok. Podczas strasznych tortur wypominano mi, że jestem hrabią i synem przedwojennego prokuratora. Nie wiem, co mi dali do podpisania, tak byłem udreńczony nieprzespanymi nocami, wylewaniem na mnie wiader zimnej wody. Skazano mnie na karę śmierci. Dziś domagam się uniewinnienia oraz rehabilitacji. Zamierzam wystąpić o odszkodowanie”.

Sądy dwóch instancji odmówiły powodowi prawa do rehabilitacji. Wtedy ówczesny minister sprawiedliwości spowodował, że sprawą zainteresowała się Prokuratura Generalna. Założono rewizję nadzwyczajną. Akta, przesłane do Sądu Najwyższego, znalazły się w rękach sędziego Bogustawa Nizińskiego, żarliwego zwolennika zmian politycznych w Polsce. Nad rozsypanymi się już teczkami pochylono się sześciu doświadczonych sędziów.

Hrabia co kilka tygodni przypominał listownie, że niecierpliwie oczekuje na werdykt.

Tymczasem sędziowie karta po karcie zapoznawali się z *curriculum vitae* człowieka, którego tylko amnestia z 1956 roku uratowała od kary śmierci. Ale i tak młodość zmarnował w kryminale.



Władza ludowa tropiła herbową rodzinę Colona-Walewskich już w 1946 roku. Mieszkali wtedy pod Kielcami. W grudniu instruktor powiatowego komitetu PPR w Tuczębach Jaworski wysłał poufny list do sekretarza gminy w Staszowie: „Prosimy o wiadomość w sprawie Colona-Walewskiego, obecny adres Staszów, wczesniej Rzędów. W 1939 roku, gdy wkroczyli Niemcy, syn tego hrabiego był w gestapo”.

Miesiąc później mjr Kula, były dowódca 13 okręgu GL i sekretarz PPR w Staszowie, pisze meldunek: „Ob. Stanisław Colona-Walewski i jego syn Miłosz byli na liście AL do likwidacji, bo obaj współpracowali z Niemcami [w pierwszych latach po wojnie słowo Niemcy pisano z małej litery — H.K.]. Wiosną 1943 roku jako bojówka AL poszliśmy wykonać wyrok, ale ani ojca, ani syna nie zastaliśmy w pałacu. Miłosz zachowywał się jak gestapowiec. Kilka razy zbil gumę mego sąsiada, bo

tamten odpowiedział coś, co paniczowi się nie spodobało. Nie dość, że skatował swego człowieka, to jeszcze zawiózł go na posterunek gestapo."

Józef Mazur, wójt Rzędowa, zeznał, że hrabia zalał wół dla swego syna powołanie do Wehrmachtu na usilne życzenie chłopaka. Gdy Miłosz powrócił z wojska, zaczął prześladować okolicznych mieszkańców.

— Widziałem na własne oczy — przysięgał Mazur w UB — jak młody hrabia z kolegą Filipowskim zatrzymali żyda na furmance i zbili go rzemiennym batem. Zabrali wszystko, co wiózi na handel do miasta.

Natomiast Stanisław Wójcicki, rytmarz ze Szaszowa, którego szwagier służył u hrabiosstwa, opowiedział bezpiece taką historię: — Pewnego razu przyjechał do jego wsi panicz Miłosz. Żeby coś wywęszyć (na przykład tajny ubój) i domieść na posterunek gestapo. Wieczorem okazało się, że nie ma już poclągu, którym mógłby wrócić do domu. Przyszła więc do Wójcickiego, aby go przenocował. — Gdy gość położył się spać, moja kobieta — zeznał rytmarz — obejrzała jego marynarkę i pod kąpą zobaczyła swastykę. Wcześniej szwagier mi mówił, że do majątku Colona-Walewskich gestapowcy przyjeżdżali na kolacje.

W styczniu 1948 roku Miłosz został aresztowany. Postawiono mu zarzuty: działał na szkodę Polaków, członków organizacji politycznych. Wstąpił do przestępczej organizacji Sicherheitsdienst (niemiecka służba bezpieczeństwa powołana do ścigania ruchu oporu na okupowanych ziemiach), wymuszał od obywateli polskich różne świadczenia.

Przed sądem PRL stanął też ojciec Miłosza oskarżony o wydanie w czasie okupacji Niemcom członka podziemnej GL, niejakiego Pakki, w następstwie czego ten człowiek został zamordowany. Ponadto hrabia miał odpowiadać za pisanie donosów do gestapo na Jana Bednarskiego, że uchylił się od kontyngentu. Było to powołanie służące zagrabieniu gospodarzowi jego majątku, który następnie za właszczył donosicieli.

Stanisław Colona-Walewski wszysłidemu zaprzeczał, a prokurator nie dysponował dowodami przestępstwa. Podczas rozprawy ujawniono list hrabiego do niemieckiego prokuratora i sądu specjalnego w Kielcach, napisany w 1940 roku. Brzmiał on następująco: „Mój syn Miłosz Andrzej został aresztowany i ma odpowiadać za przestępstwo przeciwko własności i stosunek do żydów. Wiadomość ta porusza mnie do głębi. Chłopiec od dzieciństwa wychowywał się w otoczeniu kulturalnych i inteligentnych ludzi. Jestem przedstawicielem jednego z najznakomitszych najstarszych rodów szlacheckich, spotrewniony z najznakomitszymi Niemcami i włoskimi rodami: von Frankesteinem, Sidorini Barberini, von Rüdiger, von Kurst. Od najwcześniejszego dzieciństwa syna kładłem nacisk, aby uczył się niemieckiego. On zawsze odznaczał się nienawiścią do żydów; już jako dziecko pisał im figle. Ta pogarda dla obcej rasy leżała mu we krwi. Dla mojego syna parę miesięcy aresztu oznacza więcej, niż dla przestępcy kilka lat więzienia. Proszę o wypuszczenie go na wolność i uniewinnienie."

List niewątpliwie kompromitował oskarżonego, ale nie był to jeszcze powód, aby go skazać. Za hrabią ujął się płk Masłanka, poseł i Al-owiec. Stanisław Colona-Walewski został uniewinniony.

Jego syn, który przez miesiąc siedział w aresztanciej celi był w gorszej sytuacji. UB znanymi metodami wydusiło z niego, że wiosną 1940 roku spotkał się z Janem Pająką współpracującym z Sicherheitsdienst w Busku. Otrzymał od niego propozycję inwigilowania członków nielegalnych organizacji.

Wkrótce potem młody hrabia napisał swój pierwszy, żarliwy raport: „Mam w Kielcach znajomego z czasów szkolnych o nazwisku Jeremi Nowak. Gdy ostatnio go odwiedziłem, zauważyłem, że przechowuje on ulotkę podjudzającą przeciwko Niemcom. Ponieważ pochodzi z rodziny folksdojców, zainteresowałem się tym. Po trzech tygodniach obserwowania wywiadziłem się, że Nowak dostał gazetkę od mojego dawnego nauczyciela Chmielowskiego. Żeby zdobyć jego zaufanie powiedziałem, że ja też jestem Polakiem-patriotą, jak to oni mówią..."

Z donosu wynika, że Miłosz zrobił wszystko, aby zadannuncjować swego nauczyciela. Wynajął pokoj obok inwigilowanego, świadczył mu drobne przysługi, aby wkraść się w łaski. Równocześnie zawiadomił gestapo, że ponosi nieprzewidziane koszty i w związku z tym potrzebuje stałego miesięcznego ryczałtu od swych Niemiecch mocodawców.

W kolejnym raporcie donosi o regularnych, trzy razy w tygodniu, spotkaniach Chmielowskiego z młodzieżą szkolną. Informuje, że jest to nie tylko tajne nauczanie, ale i podburzanie uczniów do nieuznawania oficjalnej władzy. Bierze w tym udział Nowak. Ale nie tylko on spiskuje. „Informuję, że tych z podziemia Chmielowski zazwyczaj przyjmuje w nocy, między godziną jedenaścią a pierwszą. Kiedyś zaszedłem tam później niż byliśmy umówieni i zastałem Stachowskiego oraz firmiana, podając ich adresy (...). Chmielowski wyprosił mnie z pokoju. Z podsłuchanej rozmowy zorientowałem się, że zamierzali przedko zrobić powstanie, bo jak mówili, Niemcy są już stabi. Cieszyli się, że niedługo przyjdzie polskie wojsko."

Kilka dni później agent „Collona", bo taki pseudonim przyjmuje Miłosz, informuje gestapo w Busku, że ponownie odwiedzili swego nauczyciela, zapytał, co słychać. A ten ułnie włączył przy gościu angielską radiostację.

„Gdy wyszedł na chwilę z pokoju — pisze informator — znalazłem tam ulotkę i gazetkę pt. „Walka". Ulotkę zabrałem, żeby ją dołączyć do raportu. Muszę ją szybko otrzymać z powrotem, aby nie ściągnąć na siebie podejrzenia. Chmielowski prosił mnie, abym przetłumaczył mu z niemieckiego pewną książkę. Zgodziłem się, bo będę miał pretekst, aby częściej do niego zachodzić i to o różnych porach."

W marcu 1941 roku (wiadomo to stąd, że Niemcy, uciekając z Buska przed Rosjanami, pozostawili w siedzibie gestapo pełną szafę papierów) „Collona" donosi, że niejaki Orzeł przechowuje w domu nielegalne czasopisma. Raport jest zaopatrzony

uwagą SS Scharführera Rennau: „Dalsze szczegóły są konfidentowi nieznane. Wykorzystać kartotekę III c”.

◆ ◆

Dwa miesiace później panicz Miłosz jedzie do majątku swej ciotki, położonego pod Łodzią. Pisze stamtąd do swych niemieckich chleboborców: „Ciotka Stanisława Kirstowa zabrała mnie z Kielc, ażeby, jak mówiła, zrobić ze mnie przyzwoitego Polaka. Ja nie miałem zamiaru jechać, ponieważ w Kielcach miałem obiecaną kartę folksdojczka, na którą moi rodzice wyrazili zgodę (...). Od początku noszę się z zamiarem ucieczki z majątku. Dziś składam następujący meldunek:

Do ciotki przyszedł niejaki Geniusz, polski oficer, który nie spełnił obowiązku zameldowania się władzom, że przebywa na tym terenie. Po obiedzie przekazywał wiadomości, pochodzące z nieprzyjacielskich radiostacji. Wyjął z torby nielegalne gazетки, które dawał ciotce. Nadmieniam, że moja ciotka jest zaprzyjężona w AK. Te nielegalne gazетки traktowały o siłach lotnictwa niemieckiego i angielskiego, ponadto zawierały odezwę do narodu polskiego, aby wziąć udział w ruchu oporu. W konspiracji Geniusz ma pseudo Adolfa. Podaje jego adres i opis: lat 35, stale nosi pierścionek z trupią główką, zalutowaną od środka, niewidoczną na zewnątrz. Buty długie, brzozy. Żeby ukryć swe prawdziwe działanie, przebiera się za handlarza starzyzną i w tym charakterze jeździ do różnych miast. W Warszawie spotyka się z kierowniczką Polskiego Przynosobienia Kobiet i od niej otrzymuje nielegalne gazетки. Jej nazwisko Zofia Prus. Ona często bywa u nas; ciotka mówi, że jest poszukiwana przez gestapo. Raz w tygodniu ciotka bierze udział w nielegalnych zebraniach odbywających się zawsze w innej miejscowości. Na swoje urodziny dostała od miejscowych podarunek z napisem: „Dla dobrej Polki”. Ciotka postanowiła wystawić mi dowód osobisty, nie powiadając o tym władz niemieckich. Dowód ten ciotka schowała, bo obawiała się, że jej ucieknę. Często zachodzi do niej wysiedlony z poznańskiego niejaki Szulczewski. Nie mogę z całą pewnością podać, czy jest on oficerem. Ale chyba tak, bo podlega mu trzech oficerów kurierów. Wiem, że poszukuje go policja niemiecka. Szulczewski mieszka w majątku Ossowiec. Słucha radiostacji angielskich i wiadomości powtarza ciotce. W Rawie 20 km od Tomaszowa pracuje telefonistka (tu nazwisko) ściśle współpracująca z Szulczewskim. Ona podsłuchuje rozmowy telefoniczne władz policyjnych. Wszystkie meldunki przekazuje do Ossowca.

Co do innych osób przyjeżdżających do ciotki – to informuję o sekretarzu gminy Holewińskim, który stale wydaje Polakom fałszywe dowody osobiste, Siennicy, ma kontakt z Intelligence Service i przywozi nielegalne gazетки i służącą Seredowej, łącznicze AK. Wiadomo też mi, że w ruchu oporu pracuje niejaki Mościcki, oficer WP zamieszkały w Mogielnicy. Jest zaprzyjaźniony z Geniuszem”.

◆ ◆

Wkrótce po wysłaniu tego raportu nastąpiły aresztowania. Gdy dworek opustoszał, 21-letni Miłosz wrócił do rodziców. Ciotka przeżyła obóz koncentracyjny i dopiero przed śmiercią, a były to lata 60., dowiedziała się, kto ich zdradził.

Miłosz zaraz po wyzwoleniu wyjechał na ziemie zachodnie. Tam często zmieniał adres, zawód. Żył z tego, co zdobył szantażem. W knajpach podchmielonym biadnikom przedstawiał się jako oficer AK. Upijał ich do nieprzytomności, a następnie dawał do podpisania oświadczenie następującej treści: „Ja, niżej podpisany, należę do Podziemnej Organizacji Wywrotowej Mikołajczykowski”. Gdy człowiek, który złożył swój cyrograf, wytrzeźwiał, gotów był zapłacić każdą cenę, aby tylko szantażysta nie złożył donosu do UB.

Zdarzało się też, że udejąc pijanego, opowiadał w znanej mu knajpie, że zbiera pieniądze, potrzebne podziemnej AK, bowiem w pobliskich lasach wylądowali ludzie Andersa i trzeba ich wesprzeć. I podchodził z czapką do stałych bywalców, a oni, patriotycznie nastawieni, wrzucali datki.

Colona-Walewski wpadł przez młodą żonę jednego z naciągniętych klientów wiejskiej gospody pod Wrocławiem. Gdy mężczyzna wytrzeźwiał, przyznał się w domu, gdzie stracił pieniądze i rozłoszczona kobieta doniosła o wszystkim na posterunek milicji. Śledztwo przejął UB. Podczas rozprawy sądowej przewinał się krowód ofiar oszuasta. Jedni nabrali się na rzekomo wysoką funkcję oskarżonego w podziemiu AK, drudzy na to, że jest szefem Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu albo prokuratorem wojskowym.

Rok spędzony za kratkami niczego szantażystę nie nauczył. Zaraz po wyjściu na wolność postarał się o pismo z Ministerstwa Obrony Narodowej do burmistrza Oleśnicy, który nie chciał mu przydzielić mieszkania.

„Takie postępowanie – napisał do władz miasteczka sam minister – jest niedopuszczalne. Obywatel Colona-Walewski przeszedł w czasie wojny z Niemcami cały szlak bojowy, aż do Berlina. Jest odznaczony najwyższymi medalami wojskowymi i ma piękną kartę walki o niepodległość. Sposób, w jaki potraktowaliście zdebielizowanego żołnierza może nas narazić na przykre konsekwencje”.

W 1947 roku Miłosza Colonę-Walewskiego, wówczas już właściciela największej wille w Oleśnicy, rozpoznał na stacji kolejowej jego sąsiad z rodzinnych stron, Jan Praksa. „Panicz” próbował unieszkodliwić świadka jego kolaboracji z Niemcami i domniast UB, że Praksa współpracował z okupantem, ale ten jakoś się wybronił. Natomiast w teście rzekomo walecznego żołnierza zaczęło przybywać coraz więcej dowodów na to, co robił w czasie okupacji.

Przesłuchano m.in. gestapowca Ottrona Bussingera, który za zbrodnie hitlerowskie odsiadywał wyrok w więzieniu w Kielcach. Okazano mu oryginalny raportów konfidenta „Collony”. Oświadczył, że złożony na nich podpis funkcjonariusza jest autentyczny.

◆ ◆

Wielu mieszkanców Kielecczyzny zeznawalo w 1948 roku na procesie znanego w okolicy potomka hrabiowskiego rodu. Wlascicielka zakladu fotograficznego w Kielcach, Stefania Bonikowska opowiedziala, ze pewnego dnia 1942 roku przyszedl do niej miody męzczyzna w butach z ostrogami i w zielonym mundurze niemieckiej sluzby lądnej. Chcial, aby zrobila mu zdjecie w dosc osobliwym przebraniu. Wyjaj z walizki wojskowa peleryne i zawiesil ja sobie na ramieniu. Do boku przyjal rewolwer, glowe okryl stalowym hełmem z pikielhabą. Do munduru miał wpięty znaczek ze swastyką, a na rękawie opaske z takim samym symbolem, budzącym strach u Polaków. Zapamiętala nazwisko osobliwego klienta - Andrzej Milosz Colona-Walewski.

Chyba najbardziej obciążyli oskarżonego zeznania adwokata z Sepólna Krajeńskiego, Jana Ornesa. W roku 1940 był on tłumaczem na procesie, jaki toczył się przed niemieckim sądem specjalnym w Kielcach za ograbianie z żywności Żydów, którzy usilowali sprzedac na targu kupione we wsiach produkty. Tym, który prześladowal „pachciarzy”, jak określił swe ofiary, był mlody Colona-Walewski. Ornes zapamiętał z procesu, że oskarżonemu zarzucano, iż przedstawiał się jako członek NSDAP, choc do tej zbrodniczej organizacji nie należal.

Przed sądem Colona-Walewski przyjal szczególną linie obrony. Tłumaczył, że pomylono go z inną osoba, bowiem w czasie okupacji w okolicy, gdzie mieszkal, gral w bandyta, noszący pseudonim dokladnie tak brzmiący jak jego nazwisko. Czlowiek ten potem wyjechal na Zachod i wszelki ślad po nim zaginal. Byly hrabia rzucil też celn podejrzenia na swoich krewnych.

- Nie moge gwarantowac - pisal z aresztanckiej celi do sędziego - również za swoich krewnych, którzy w czasie okupacji nie cieszyli się dobrą opinią. Jeden nawet ucielil do Anglii, widocznie miał cos na sumieniu.

Te i inne kłamstwa byly szycie grubą nicią - nic więc dziwnego, że oskarżony raz po raz dawal się złapac w krzyżowym ogniu pytań. Udowodniono mu, że to on napisal do gestapo donos na Chmielewskiego i Nowaka, co spowodowalo wywiezienie ich do hitlerowskiego obozu, a tam śmierc.

Broniąc się, Colona-Walewski uchwytil się jeszcze jednego pomyslu. Twierdzil, że był niepełnoletni, kiedy wpadl w sidla gestapo, nie wiedzial, co czyni. Jego mętryka zawierała zasadniczy bład - wpisano w niej rok urodzenia jego starszej siostry.

Kobieta wezwana na świadka potwierdzila słowa brata. Ale już pierwsze podchwytliwe pytanie sędziego wywołalo u niej takie zdenerwowanie, że zemdiala. W dokumentach UB, który interesowal się hrabiowską rodziną od zakonczenia wojny i zbieral o niej różne informacje, a także w księgach meldunkowych konsekwentnie przewijala się data 12 grudnia 1920 roku. Tylko jeden świadek obrony, poseł Masianka, który był zaprzyjaziżniony z ojcem Milosza zeznal pod przysięgą, że hrabia junior urodzil się w 1925 roku. Ostatecznie sąd odrzucil wątpliwość, związane z datą urodzenia oskarżonego. Uznal, że gdy zdecydowal się na wspolpracę z Niemcami, byl już pełnoletni.

A jego wina jest udowodniona. W uzasadnieniu wyroku nie bylo się bez ideologicznej wykładni, typowej dla lat 50. w Polsce: „Mając na wzglądzie sposob i okoliczności dzialania skazanego w czasie okupacji, jego postępowanie po wyzwoleniu, pochodzenie społeczne, należy dojść do wniosku, że był rzadkim okazem zepuszcia i degeneracji moralnej, produktem rozkladu pewnych klas społecznych”.

Prosto z sali rozpraw przewieziono skazanego do ciężkiego wiezienia we Wronkach. Po roku, gdy na skutek rewizji Sądu Najwyższego nie grozila mu już kara śmierci, jego żona napisala do prezydenta Bierut: - Zwracam się do Towarzysza jak do naszego Przyjaciela i opiekuna młodzieży z usilną prośbą, aby wszedl w moje ciężkie polozenie, moje lzy i to, co się dzieje w moim sercu schorowanej, slabej kobiety, jestem od dluzszego czasu zetempowską córką szarego robotnika i z trudnością, ze względu na stan zdrowia, pracującą społecznie oraz zawodowo. Mój mąż pelnil przestępstwo w rzeczywistosci nie mając 18 lat (to sprawa sfalszowanej metryki). Czy tak już musi być, aby on całkowicie stracil życie w wiezieniu? Przecież w ukochanej naszej ojczyźnie wychowuje się ludzi, a on byl w Partii od 1946 roku. Wiem i ufam, że Ojczyzna Ludowa jest silna, bo wspólnie budowalismy ja i budujemy. Wiem, że hojność jej, dobrodusznosc i humanitaryzm nie zna granic, bo sama buduje spoldzielnie produkcyną. Dlatego jeszcze raz proszę o ulaskawienie schorowanego męża”.

List, podobnie jak i inne skierowane do prezydenta, pozostal bez odpowiedzi. Nie odmiesl też skrutku (zmniejszenie wyroku) donos Colona-Walewskiego na wspolwienznią, który „szkaluje obecne wladze”. Nie pomogla skarga na miejscowego prokuratora: „Raz wszedl do mej celi ob. Inspektor nazwiska nie znam. Powiedzial, że w duzej mierze jestem ofiarą Światły i jego popieczników, którzy wyzbywali się naszych ludzi”.

Nie pomoglo dotęczenie listu od siostry: „Kochany Braciszku. Zmarl ojciec. Zostalismy z mamą same - zrozpaczone, bezradne, pogrążone w dlugach. To dlatego nie wysylam Ci tych kilku złotych, które dotąd otrzymywales (...). Nie mamy domu ani majątku, ani wszystkiego, co stanowilo kiedyś treść naszego życia. Lepiej, że Ojciec zakonczyl swoję wędrownę ziemską, bo cierpiel bardzo. Byl czlowiekiem honoru, kochal swoję zawod, a stracil wszystko (...). Dla nas życie stalo się koszmarem. Zostalismy w ciasnym poloku, w którym wszystko na kazdym kroku przypomina nam Ukochanego Zlosniaka”.

Amnestia z roku 1956 skrócila skazanemu wyrok do siedmiu lat. Milosz Colona-Walewski nadal występował do Prokuratora Generalnego i Rady Państwa o darowanie mu kary. Pisal, że występek, który zaprowadzil go do wiezienia, zdarzył się, gdy miał lat 16. Czy powinien odpowiadac za bezmyślnosc wielku dziecięcego? To ciotka sfalszowala metrykę, gdy wyrabiala mu dowod osobisty. A czyny, które mu zarzucano w ogóle nie miały miejsca.

◆ ◆

Na starość Miłosz Colona-Walewski zamieszkał w Warszawie. Po wyborach 1989 roku stał się gorącym orędownikiem nowego ustroju. Zapisał się do „Solidarności” i Światowego Związku Żołnierzy AK. Jego wniosek o rehabilitację i odszkodowanie, żarliwie poparty przez lokalnych szefów obu organizacji, wpłynął do sądu nazajutrz po uchwaleniu ustawy.

Ponieważ autor wniosku usilnie zaznaczał, że w czasie dochodzenia UB sfalszowało mu metrykę, sędzia Nizieński postanowił ostatecznie tę kwestię wyjaśnić.

Napisał do parafii Świętego Krzyża w Warszawie, gdzie Miłosz był chrzczony. Nie stety, wszystkie dokumenty spłonęły w czasie powstania. Z pytaniem, jaka jest prawdziwa data urodzenia zdemobilizowanego żołnierza Miłosza, sędzia zwrócił się o pomoc do Centralnego Archiwum Wojskowego MON. Poprosił też o informację, jak stopień wojskowy ma autor wniosku. Własnoręcznie pisane życiorysy Miłosza zawierały na ten temat różne dane; skala wojskowych dystynkcji była rozległa – od szeregowego do pułkownika.

Odszukano wszystkie osoby w całej Polsce, które miały jakąś wiedzę na temat okupacyjnego i powojennego życia byłego panicza. W miarę, jak zwiększała się wiedza przewodniczącego składu sędziowskiego, zainteresowanie Miłosza Colony-Walewskiego zrehabilitowaniem go wyraźnie malało. Na ogłoszeniu wyroku już się nie pojawił.

Sąd ostatecznie odrzucił wniosek o uznanie wyroku z 1948 roku za bezprawny. – Choć był to czas stalinowskiego terroru – przypomniał sędzia Bogusław Nizieński – nie wszystkie orzeczenia sądowe wydawano z pogwałceniem prawa. Wiadomo, że Miłosz Colony-Walewski jest udowodniona. Można tylko żałować, choć nie zmieni to kwalifikacji czynu, że nie zostały w odpowiednim czasie ustalone losy wszystkich osób, wydanych przez Miłosza gestapo. W świetle dochodzenia, przeprowadzonego w roku 1992, autor wniosku o rehabilitację, amator wysokiego odszkodowania za uwięzienie jawi się – stwierdziło dziesięciu sędziów – jako człowiek podły, który jeszcze raz, u schyłku życia, wykorzystując postępowanie przed Sądem Najwyższym, oczernił matkę chłopca z jego winy zakatowanego przez gestapo. Jako oszust, który nie tylko kłamał w roku 1948, podając nieprawdziwą datę swych narodzin, ale również w późniejszych latach bezkarnie zmieniał w swej metryce dane i tak sfalszowanymi dokumentami postępuje się do dziś.

◆ ◆

W chwili ogłoszenia wyroku w ławach dla publiczności stałam tylko ja. Postanowiłam wtedy, że pojedę do Rzędowa, gdzie w czasie okupacji żyła familia Colona-Walewskich. Może to, co nie udało się sądowi – ustalenie losów ofiar autora wniosku o rehabilitację – uda się mnie reporterce.

Jednakże w miarę zbliżania się do opłotków wsi, odpowiedź nasuwała się sama. Paremnie byloby szukać świadków. W latach 70., gdy panowała prosperita na siarkę i kopalnie tego surowca pojawiły się pod Tarnobrzegiem, wysiedlono cały Rzędów. Mieszkańcy rozproszyli się w miejskich blokach lub wyjechali w rzeszowskie, gdzie jeszcze można było kupić kawałek ziemi. Wielu przedwcześnie zmarło, bo nim doszło do zaorania ziemi, kopalnia zniszczyła im zdrowie, codziennie sypiąc siarką w oczy. Majątek hrabiego już nie istniał. Wprawdzie ominęła go nacjonalizacja, bo był na to za mały, ale stary hrabia po wyjściu z więzienia sprzedał go po kawałku.

ZAPACHU

PIENIĘDZY

Zimowy wieczór 2005 roku. Godzina 21.30. Krzysztof K. akurat jest w łazience, gdy w przedpokoju odzywa się dzwonek telefonu. – Gdy wyszedłem – zeznał potem w prokuraturze – zobaczyłem na komórcie dwa nieodebrane połączenia od pana Zdzisława. Próbowałem oddzwonić, ale już nie odbierał. Trochę mnie to zaskoczyło.

K. mieszka w Wołominie. Od ponad dziesięciu lat jest „złotą rączką” dla znanego malarza Zdzisława Beksinińskiego. Czasem pomaga w zakupach. Żona K. co tydzień sprząta u artysty. Klient dobrze im płaci.

Krzysztof K. dokładnie zna rytm dnia Beksinińskiego. Musiało się zdarzyć coś nadzwyczajnego, że o tej porze malarz sięgnął po telefon.

Zaniepokojony, dzwoni do szwagra malarza. Umawiają się, że mimo późnej pory, ciemności i mrozu na dworze, spotkają się pod blokiem, gdzie mieszka Beksiniński. K. musi przedtem wywołać przez komórkę 19-letniego syna Roberta, któremu pożyczył nowy samochód na krótką przejażdżkę. To dobre dziecko – posłusznie odstawia wóz i obiecuje, że przed północą pojedzie na stację kolejową po matkę, którą wraca z pracy podmiejskim pociągami.

W tym czasie Krzysztof K. naciska dzwonek w zamkniętych na klucz drzwiach malarza. Cisza. Wystukuje numer jego telefonu. Razem ze szwagrem artysty słyszą melodyjkę komórki – dźwięki dobiegają z wnętrza mieszkania. Ale żadnego odzewu. Jest godzina 23.15. K. postanawia wykuć w ścianie otwór i wczolgać się do mieszkania. Walenie młotkiem w ścianę budzi lokatorów bloku.

Obaj mężczyźni dostają się do przedpokoju. Na czystej, jeszcze wilgotnej od zmywania podłódze widzą odciski męskiego obuwia. Poza tym wszystko jest po staremu. Żadnych śladów walki, włamania. Wiszą obrazy. Również te dwa ulubione przez gościa artysty. Na jednym, mrocznym, z wysokiego wzgórza błotna apokalipsa wypłukuje cmentarz. Szkielety, trupie czaszki. Pęknięte grobowce płyną prosto na widza. Wydaje się, że słychać huk toczących się kamieni. A obok stoi inny obraz, jakby dzień po eksplozji. Jest cisza i wielkie krwawe niebo, na którym kołysze się balon z napisem „never more”. W dole, na topniejącym śniegu, pod którym oddycha step, stoją dwa chude, żarłoczne wilki.

Nie ruszono drogich komputerów, książek. Na półce bieleje koperta. Jak od trzech lat. Jest tam testament Beksinińskiego. „Złota rączka” zna jego treść. „Będąc w pełni władz umysłowych na wypadek śmierci czynię jedynym swym spadkobiercą Muzeum Historyczne w Sanoku”.

Jedynie, co nie leży na swoim miejscu, bo na zlewozmywaku, to komórka.

Właściciela mieszkania nie ma.

– Sprawdzić jeszcze balkon! – radzi ktoś z korytarza. Idą tam.

– O Boże! – słychać drżący głos Krzysztofa K. – on nie żyje. Trzeba zawiadomić policję.

Ciało malarza jest prawie nagie. Kilka godzin później biegły od medycyny sądowej policjcy rany od noża – siedemnaście.



Śledczy rozglądają się po mieszkaniu ofiary. Marszałek Dmochowski zauważył, goscząc kiedyś u Beksińskiego, że tak tu chyba mieszka technik budowlany, a nie artysta. Bo jego klient był perfekcjonistą w pracach ręcznych. Potrafił godzinami budować skomplikowaną sztalugę, a potem niszczył ją i zaczynał wszystko od początku tylko dlatego, że w jednym miejscu powstała 1,5-milimetrowa szparka.

– W końcu z wykształcenia jestem inżynierem – tłumaczył.

Podobało mu się, gdy pewien reżyser telewizyjny porównał wnętrze tego mieszkania do architektury łodzi podwodnej: nie ma w nim rzeczy zbędnych. Jest za to sporo dziwnych urządzeń, bo Beksiński uwielbiał eksperymenty techniczne. Kiedyś obliczył, że aby nawilżyć zimną nagrzaną powietrze w mieszkaniu (gdy wilgotność spadała do 11%, dostawał swędzącej wysypki) musi wpompuwać w ten lokal codziennie 14 litrów rozpylonej wody ze specjalnym zmiekkczającym proszkiem. I zrobił taki eksperyment. Niestety, minerały wytrącające się z wody z kranów wywoływały u artysty zapalenie spojówek. Ostatecznie zrezygnował z tej metody i założył specjalną klimatyzację. Swoje fascynacje techniką określał tak: – „Czuję w sobie potrzebę małego chłopa. Chciałbym mieć w mieszkaniu migające wszędzie diody, syntetyczne głosy, skomputeryzowane gadające roboty i automaty do granic możliwości. A w kranach cołą, dostarczaną rurami wprost z wytwórni. Podobnie hamburgery. Dobry Boże, jak byłoby fajnie!”

Policja przeprowadza wywiad środowiskowy, zbiera wszelkie informacje o ofierze. Obraz, jaki się z tego wyłania, nie tylko nie przystaje do upiornej tematyki obrazów, ale w ogóle do stereotypu artysty.

Zdzisław Beksiński prowadzi bardzo regularny, wręcz monotony tryb życia. Wstaje zawsze o godzinie 7, włącza na cały regulator radia we wszystkich pokojach. Po śniadaniu mierzy sobie ciśnienie (zapisuje pomiar w notatniku), potem siada do komputera, odpowiada na nocne e-maile. Następnie schodzi po gazety do kiosku. Kupuje „Newsweek”, „Wprost”, „Forum”, „Politykę” i „Przekroji”. Dzienników nie uznaje. Nie ogląda też telewizji.

– Ostatni raz – napisali w e-mailu do Liliany Śnieg-Czaplewskiej, dziennikarki „Vivy”, który znalaziono w komputerze artysty po jego śmierci – oglądałem wiadomości, EuroNews i CNN oraz czytałem „Gazetę Wyborczą” jeszcze za życia mej żony i robiłem to tylko dla towarzysztwa.

Nie koloryzował. Naprawdę był głuchy na wszelki szum informacyjny. Gdy w korespondencji z dziennikarką (wymienił ponad 600 e-maili) pojawiło się nazwisko Hausnera – wówczas wicepremiera, zapytał, czy chodzi jej o niezłyjącego austriackiego malarza o tym nazwisku, reprezentanta neomanieryzmu.

Ale wracając do jego rytmu dnia. Po powrocie z kiosku Beksiński zabierał się do malowania. Ku utrapieniu sąsiadów nie mógł tworzyć bez głośniejszej, ostrej muzyki. Chciał dopiero w porze obiadowej.

Posiłki artysty nie były wyszukane – zazwyczaj składały się z ugotowanej torebki ryżu, wołowiny z puszką i sosu Uncle Ben's. Do tego garść piérznu i sporo galid muszkatołowej. Wołowinę kupował hurtowo z rocznym terminem ważności (nie cierpiał robienia zakupów) i cały zapas trzymał w trzech ogromnych lodówkach.

Czasem zamawiał danie na wynos z Pizzy Hut. Zawsze to samo, bo nie znosił nowych kulinarnych. Nie rozumiał, jak można jeść kraby, ostrugi, a nawet ryby. – „Zwykle, gdy na jakimś filmie widzę to na straganie lub na stole, zamykam oczy i czekam, słuchając dźwięku, czy przestana pokazywać. Do tego stopnia budzi mnie odrazę – napisał w jednym z e-maili – wzdriągam się na samą nazwę kuchni francuskiej. To jedna z przyczyn, że nie lubię turystyki”.

Wśród jego znajomych krążyła anegdota, jak zamawiał stek w pewnej wykwintnej restauracji. Poprosił kelnerkę, by kucharz smażył mięso tak długo, aż zobaczy na patelni szczerzniętą, twardą podszewkę i będzie się wstydził podać coś takiego na stół. Najprawdopodobniej dopiero wtedy on da radę zjeść to ze smakiem. W przeciwnym wypadku zostawi na talerzu.

– „Wiem, że mam gust prymitywny, zwierzał się dziennikarce z „Vivy” – ale nie pretenduję do znawstwa w tym zakresie. Przykrą i upokarzającą czynność jedzenia lubię odwalić jak najszybciej i z jak najmniejszym wysiłkiem”.

O godzinie 23.30 Beksiński brał kąpiel. To też rytuał. Bez polewania się na przemian zimną i gorącą wodą (w salonie powiesił 200-litrowy zbiornik podłączony do instalacji z napisem: „Na wszelki wypadek, gdyby zabrakło w rurach”) oraz intensywnego przewietrzenia mieszkania nie mógłby położyć się do łóżka. Sen przychodził zawsze dokładnie o północy.

Ten rytm dwa razy w tygodniu zakłócała młoda rehabilitantka, której masaże pomagały na bóle kręgosłupa. Bardzo zaprzyjaźniona z artystą. Tak bardzo, że Beksiński, który nie znosił psów, pozwał jej przychodzić z kundlem. Ale to nie były relacje damsko-męskie. Artysta cenił sobie uzdrowicielskie ręce, a mimo to skarzył się znajomemu, że gdy ta kobieta go dotyka, szczywnieje, poci się. – „Czuję, jakbym miał niewidoczne kolce (jak u jeża) na długość około 1 metra i gdy ktoś narusza tę granicę, robi się to uciążliwe”.

Śledczy przypuszczają, że zabójca musiał być dobrze znany Zdzisławowi Beksińskiemu, skoro wpuścił go do domu. Jeden z przyjaciół artysty przedstawił policji rytuał przyjmowania gości w tym mieszkaniu: Wizytę zawsze zapowiadał się telefonicznie, potem rozmowa przez domofon, następnie Beksiński sprawdzał tożsamość danej osoby w kamerze (pokazywała tylko tego, kto naciska dzwonek. Nie miała rejestratora do zapisywania obrazu na taśmie) i dopiero wtedy decydował, czy otworzy ciężkie, antywłamaniowe drzwi.

Ludzie, którzy chcieli z artystą nawiązać znajomość, często zwracali się najpierw do jego nielicznych dobrych znajomych, bo bali się kontaktu z Beksieńskim sądząc, że to dziwak. Niepotrzebnie. – On w gruncie rzeczy był dla wszystkich bardzo życzliwy – twierdził Wiesław Banach, dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku – i starał się nikogo nie urazić. Nie było w nim też żadnego artystowskiego pozerstwa. Tyłko że znosił wszelką wścibskość. Gdy pewnego dnia zaczął go na przystanku autobusowym młody człowiek, chwalać się, że wie, co mistrz aktualnie maluje, bo obserwuje go przez lornetkę z sąsiedniego budynku, Beksieński następnego dnia obudował swój balkon do sufitu.



Policjanci podejrzewają, że morderca był już kiedyś w mieszkaniu swej ofiary. Prawdopodobnie ścierał ślady krwi z podłogi mopem, który, jeszcze mokry, beżbiędnie odłożył potem na swoje miejsce.

Czy motywem mógł być rabunek? Po bliższych oględzinach mieszkania stwierdzono, że zginęły dwa aparaty fotograficzne warte około 4000 zł.

Ale sejf, w którym leżało 100 000 zł pozostał nienaruszony. Zatem to chyba nie złodziej był mordercą.

Rozważa się też powód homoseksualny – w chwili, gdy ktoś zamierzył się na Beksieńskiego nożem, artysta miał na sobie tylko krótkie spodnie. Może napastnikiem był zazdrosny kochanek?

Po rozmowach ze znajomymi Beksieńskiego trzeba ten trop odrzucić. Malarz zwykł pracować w temperaturze 28 stopni. Żeby obrazy lepiej schły, zamontował dodatkowe ogrzewanie. Z nawilżaczem. To dlatego do znajomych wychodził ubrany jak na plażę. Zdarzało się, że mężczyźni szczególnie z nim zaprzyjaźnieni, jak np. szwagier, po przekroczeniu progu tej sauny zrzucali spodnie, pozostając tylko w bieliznie.

Jeśli nie homoseksualista, to może zazdrosna albo odrzucona kobieta? Beksieńskiego, odkąd został wdowcem, nękały panie, chcące się nim zaopiekować do końca życia. Gdy się od nich opędał, wyznawwały miłość przez telefon, nagrywały się na automatyczną sekretarkę. Przekonywały go, że źle się odżywa, za dużo używa cukru; słowem, potrzebuje kobiety, która by się nim zajęła.

Były w różnym wieku, również bardzo młode. 76-letni Beksieński nie miał złudzeń, że to, co najbardziej pociągało admirałki jego skromnej osoby, to konto bankowe. Napisał kiedyś w e-mailu do Liliany Śnieg-Czaplewskiej: – „Znajoma panienska, od roku pracownik naukowy, dzwoniła wczoraj, że chciałaby dostać ode mnie obraz, bo mam już 75 lat i mogę nagle umrzeć. Jeden już ma – dostała go jako nagrodę pocieszenia przed dwoma laty, gdy nie przyjąłem jej oświadczeń. ... Ostatnio pewna młoda, nawet atrakcyjna dziennikarka z telewizji regionalnej zapowiedziała, że po wzięciu w mojej pracowni chce wydziergać na własną dupię mój obraz. „Ja poniałem waszu tioniuku alurzu, ale nie mam ochoty na współpracę – odpowiedziałem”.

◆ ◆
Mógł też stać się ofiarą swojej twórczości. Malował sceny z obsesyjnymi motywami: czaszki, szkielety, ukrzyżowania, rozkład ciała. Latami obcował z pokazywaną na sztalugach śmiercią. Na jego obrazach szkielety spółkują, peizają, zalegają na polojowiskach. Ludzkie twarze są zdeformowane bólem, często mają rysy autora. Wiądać wiele symboli samotności – jak choćby wieże z wizerunkami twarzy rozplywające się w dziwnym, onirycznym krajobrazie. – Taka sztuka działa na chorych ludzi, schizofreników, nadwrażliwców – zauważył malarz Edward Dwurnik. – Może się z kimś takim zaprzyjaźnił? Otworzył przed nim drzwi?

Przeanalizowano w szczegółach artystyczną drogę malarza.

Zaczynał od fotografii. Pierwsze prace pokazał w warszawskiej galerii „Krzywe Koło” w czerwcu 1958 roku. Już wtedy uważał, że aparat fotograficzny nie służy tylko do rejestrowania pięknych plenerów. Razem z dwoma innymi fotografikami – Lewczyńskim i Schlabsem – grali z widzem w skojarzenia, posługując się często obrazami codzienności: rozbebeszonego zegarka, szkolnego zeszytu, czyjś zdjęcie portretowego.

Jeśli zabląkały się w tym fotografii realistyczne, to widoki ruin budowli czy peizaż ogołoconych z liści drzew, wśród których błąka się widmowa ludzka postać. Twórcza grupa rozpadła się, gdy Beksieński wyprzedził się z rodzinnego Sanoka do Warszawy; wówczas jego wyobraźnią zawiadnęło malarstwo abstrakcyjne. – „Zapytywanie mnie – wyznaje w jednym z wywiadów – co znaczą sytuacje anegdotyczne na niektórych moich pracach, mija się z celem. Sam po prostu tego nie wiem, co więcej, zupełnie mnie to nie interesuje. Moim celem nie jest ani straszyc, ani niczego przepowiadać. Malarstwo służy do oglądania, tak jak książki są do czytania, a muzyka do słuchania i tak należy je traktować”.

Szybko zyskuje rozgłos w świecie. Jako jedyny Europejczyk ma stałą ekspozycję w muzeum sztuki w Osace.

Nie zamierzał objaśniać tematyki swych obrazów, wręcz irytowały go takie pytania, ale nie uciekał od ujawnienia swych poglądów na temat ludzkiej egzystencji: – Zdaję sobie sprawę z nicości wszelkich naszych poczynań i myśli w stosunku do ogromu wszechświata. To wszystko jest bez znaczenia. Bo już teraz jest tak, jakby mnie w ogóle nie było.

Brzmiało to nihilistycznie, ale z drugiej strony miał dystans do swej twórczości: w korespondencji e-mailowej z zaprzyjaźnioną dziennikarką (ostatni list napisany w dniu śmierci) pisze: „Dla mnie ten typ pozy na obrazach, zainspirowany ruchem Niki z Samotraki jest czymś, co nazywam «wieszakiem». Wielokrotnie używałem i używam tego samego wieszaka, tylko każdorazowo wieszam na nim nieco inną formę. Krzyż, katedra, morze, obłoki, to tylko kilka innych wieszaków”.

A innego wieczoru: – „Ja nie daję w ogóle tytułów. Co to jest za zwierzę, ta forma. Trudno w paru zdaniach wyjaśnić. Wiśi u mnie obraz, który był w założeniu

krzyżem, ale w trakcie walki o formę, poziome ramię okazało się zbyt przytłaczające dla delikatnej roślinności u dołu, po prostu zamykało sztywno przestrzeń u góry, więc je w końcu zamalowałem. Po ukończeniu obrazu i powieszeniu, zacząłem zbierać pochwały w stylu uczonych bredni o kompozycji faliżnej”.

Miał uczniów. Najwyraźniej to widać u Tomasza Beksńskiego w jego oscarowej *Katedrze*. Ale walczył z zaszafaowaniem do malarzy posępnych, zafascynowanych rozkładem materii, śmiercią, barokowym przesłaniem vanitas vanitatum (marność nad marnościami).

W e-mailu do red. Śnieg-Czaplewskiej opowiedział anegdotę o tym, jak papież wzruszony sonetami Petrarki, postanowił zwolnić jego wybrankę ze ślubów zakonnych, aby miłość się dopełniła. Wtedy poeta napisał do papieża, żeby się wstrzymał z decyzją, bo on ma pomysły na jeszcze kilka innych sonetów, jednym słowem – skomentował to Beksński – utwór jest dla twórcy czymś milion razy ważniejszym niż jakaś tam idea, której rzekomo służy.

W ostatnich latach fascynowały go cyfrowe fotomontaże, grafika komputerowa. Inna technika, ale motywy przeniesione z dawnych płócien: sanna koszmarny architektoniczne, płonące katedry, zdeformowane dzięki zwierzęta, bestie.

Z jego korespondencji komputerowej: „Jestem facetem, który maluje dla siebie. Z czego bierze się to, że ładnie w moich obrazach widzą czaszki i kości? Może stąd, że maluję głowy bez włosów, ale robię to dlatego, że występują tu pewne problemy techniczne. Włosy maluje się bardzo łatwo, ale przy zastosowaniu innej formy kładzenia farby”.

Śledczy rezygnują z dalszych konsultacji z historykami sztuki. Beksński nie miał zdeklarowanych zawistników; jeśli już szukać wrogów, to raczej wśród tych krytyków, którzy dopatrywali się w dziełach malarza ewidentnego kiczu. Ale nie zabija się z tego powodu.



Kolejny trop mimochodem wskazuje Wiesław Banach, dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku. Panowie byli zaprzyjaźnieni od lat. Banach wiedział, jak mocno Zdzisław Beksński przeżył śmierć żony i samobójstwo syna.

– Może – sugeruje śledczym – w chwili załamania sam odebrał sobie życie, porzućąc zbrodnię? Wcałe bym się nie zdziwił – dodaje.

Ten tok rozumowania uznaję jednak za zupełnie nieprawdopodobny Grzegorz Gajewski, szkolny kolega syna artysty. Po tragicznej śmierci Tomasza Beksńskiego – dziennikarza radiowego, tłumacza *Draculi Coppoli* i wszystkich filmów o Jamesie Bondzie, często odwiedzał ojca utraconego przyjaciela. Z czasem był traktowany jak ktoś z rodziny. Gajewski wysłuchał wielu zwierzeń artysty, również wypowiedzianych w chwilach największej rozpacz. – Pan Zdzisław by tego nie zrobił – zdecydowanie zaprzecza sugestii o samobójstwie. – Po śmierci syna powiedział, że nic gorszego nie

może go już spotkać. – Teraz mogę tylko żyć” – powtarzał. Również przesłuchiwanym jako świadek Piotr Dmochowski, wieloletni marszałek i przyjaciel Zdzisława Beksńskiego zwrócił uwagę oficera dochodzeniowego, że Beksński miał obsesyjny lęk niestnienia. – Jego pogodne usposobienie było tylko maską człowieka, który dygocze z lęku przed śmiercią. Na pewno nie popełniłby samobójstwa – zeznał do protokołu.

Ale prowadzący dochodzenie nie od razu odrzucają ten trop. Są powody, by twierdzić, że w ostatnich tygodniach przed śmiercią malarz miał nastroje depresyjne. W opublikowanym już po pogrzebie Beksńskiego w „Tygodniku Powszechnym” wywiady z artystą znalazło się takie wyznanie: – „Sądzę, że jeżeli miałoby być coś po śmierci, to znaczy, że to coś jest teraz. Nie ma przed i po, jest tylko czas, który pozostawiamy. Ale może się mylić i się okaże, że nagle po śmierci zobaczę swoich bliskich i wszystko będzie tak samo fajne...”

Będzie fajnie. A jeśli nasza go taka mroczna chwila, że sam sięgnął po nóż? Bo poczuł się nieodwracalnie samotny? Mógł tak myśleć. Najpierw odeszła na zawsze żona Zofia. Wierna towarzysza, która jak nikt inny rozumiała, co przeżywał, gdy jedyny, ukochany syn raz po raz zapowiadał, że popełni samobójstwo. To na jej prośbę co wieczór Zdzisław Beksński wchodził na dach bloku, w którym mieszkali i przez lornetkę obserwował mieszkanie syna. Czy palił się lampą. Tomasz zwykł nazywać swoją kawalerkę na dziesiątym piętrze wielkopłytowego wieżowca krypią i zapowiadał, że jeśli zdecyduje się na ostateczny krok, na pewno pogasi światła.

Tomek zdecydował się w wigilię Bożego Narodzenia 1999 roku. Zdradził się ze swymi planami przed bliską mu kobietą, ta zadzwoniła do malarza. Po złożeniu tradycyjnych życzeń powiedziała: – „Proszę tam pójść. To chyba dzisiaj”.

Ale Beksński nie mógł znaleźć kluczy od mieszkania syna, więc spanikowany, pobiegł tam, aby tylko zapukać do drzwi. Nikt mu nie odpowiedział. Starał się odgonić paralizujący lęk. Dlaczego miałoby się coś stać? – pocieszał się. – Przecież syn odwiedził go poprzedniego dnia, zostawił płytę, aby ojciec mu nagrał telewizyjną audycję. Pewnie teraz pije wino u znajomych. To przecież dorosły mężczyzna, zbliża się do czterdziestki. Albo poszedł do swojej dziewczyny, ostatnio coś się między nimi psuło, może z okazji świąt się pogodzili.

Zdzisław Beksński spędził wigilię samotnie. Obsesyjnie myślał o swoim dziecku, jaki był szczęśliwy w Sanoku, gdy mieszkali w drewnianym domu dziadków. Sięgnął do szafy po amatorsko nakreślony w tamtym czasie film. Uruchomił tekoczący projektor. Na czarno-białych klatkach pojawia się ładna buzia kilkulatniego chłopczyka, który całuje trzymanego na ręku pleska.

Kolejne wspomnienie: jak mały Tomek prosi ojca, by namalował mu skrzydlatego smoka. Pokazuje pierwowzór z książeczki dla dzieci. Beksński bierze deskę i pod ujętando junióra szkicuje długi i gruby dziób, wystające zęby, potężne pazury jak upterodaktyla, wampiryczny wzrok. Chłopczyk nie czeka, aż farby wyschną, zabiera smoka do swego pokoju.

Nigdy się z nim nie rozstanie, mimo przeprowadzek z miasta do miasta.
- To od tego potwora wszystko się zaczęło - zapisał w swych notatkach malarz w samotny wigilijny wieczór.

Ostatnim obrazem, jaki przed snem przywołała wyobraźnia, było tragiczne wspomnienie dnia, gdy znalazł 17-letniego Tomka w mieszkaniu pełnym gazu z odciętych kurków w kuchni. Tym razem udało się samobójcę uratować. Ale syn nadal igrał ze śmiercią. W rok później - jeszcze mieszkali w Sanoku - zamówił w drukarni klepsydry ze swoim imieniem, nazwiskiem, datą pogrzebu. Rozwiesił je w całym miasteczku i patrzył, co się dzieje: bardzo go to wszystko bawiło. Kondolencje składał rodzicom, wieniec pogrzebowy od klasy (te szarfy!) zamówiony w kwiaciarni. Ale w zeszytach-pamiętniku chłopiec zapisał już bez wygłupiania się: "We mnie leży marny anioł, jedynie diabeł zna moje myśli. Tak! Ta nicość mnie pociąga. Starych bio- rę jednak pod uwagę".

Dla udręczonego ojca jedyną pociechą, że Tomek nie zrobi TEGO było przeświadczenie, że tak naprawdę, syn boi się śmierci. Kiedyś leciał „Antonowem” z Warszawy do Rzeszowa. Samolot miał krakę, zginęła pasażerka. Młody Beksiński nigdy później nie wsiadł do żadnego samolotu.

Nazajutrz rano poszukiwane klucze do kawalerki syna same weszły malarzowi w ręce. Od razu pospieszył pod znany adres. Za późno. Tomasz Beksiński nie żył od kilku godzin.

Na biurku leżał list do ojca: - „Nie wiem jak zacząć. Od przeprosin nie wypada, bo zaźbrzmiałoby to idiotycznie. Choć właściwie chcę Cię przeprosić za wszystko. A już w szczególności za swój parszywy egoizm i brak zrozumienia dla Ciebie. Twój list z sierpnia wisi w tej chwili nad moim sumieniem jak topór... ale niestety, jestem zbyt słaby, aby poradzić sobie z nim i ze sobą. Żywię głęboką nadzieję, że już się nie zbudzę (...).”

W komputerowej poczcie pozostał wysłany o drugiej w nocy e-mail do przyjaciela w Krakowie: - „Zrób dla mnie jedną rzecz. Powiedz wszystkim, że po prostu nie widziałem siebie w XXI wieku i czuję, że urodziłem się 100 lat za późno, więc po prostu postanowiłem wyrównać rachunki. To dziwne, ale naprawdę czuję, jakby nie było jutra. Tak, jakby droga tutaj się kończyła. Boję się, bardzo się boję (...). Wierzę, że to naprawdę koniec. Tego właśnie pragnę. Tomek”.

Śledczy liczy lata, które upłynęły od pogrzebu Tomasza Beksińskiego. Ponad pięć. Po takim czasie już chyba nie przeżywa się intensywnie żaloby? Trzeba szukać innych tropów.

Ekipa dochodzeniowa jest poinformowana, że Beksiński był swego rodzaju guru dla satanistów. Zespoły heavy-metalowe umieszczały na okładkach swoich płyt fragmenty obrazów artysty. Ponoć nie przestrzegano praw autorskich, sztykował się proces, ale ostatecznie malarz wycofał pozew.

Satanisci co jakiś czas wykonują rytualny mord na guru. Ofiarę zabija się nożem, im więcej cięć, tym lepiej. To może być kolejna poszlaka - wszak na jednym z ob-

razów Beksińskiego jest postać zakuta nożem. Właśnie siedemnaście cięć. Może to jakiś kod? Może artysta był satanistą, wszak używał typowej dla tej sekty heliografii - techniki polegającej na zamalowywaniu czarną farbą szkła, wydrapaniu rysunku, a następnie zrobieniu odbitki, jak z negatywu.

Policjanci rezygnują z podążania tym tropem dopiero wówczas, gdy poproszony o konsultację historyk sztuki tłumaczy im, że podobną techniką, zwaną *cliche-verre*, posługiwał się Bruno Schulz. A przecież nie miał nic wspólnego z satanistami.

◆ ◆ ◆

Jiliana Śnieg-Czaplewska udostępniła policji wszystkie e-maile od artysty. W jednym z nich Zdzisław Beksiński wspomina o pewnym pijaczku, mieszkańcu jego bloku. Wyraża się o nim per „śmierdziel”.

Ten mężczyzna często puka do drzwi artysty z prośbą o 20 zł, rzekomo na chleb. Widzę go w monitorze kamery, zapłutego, jak się chwije. Boję się go - pisze Beksiński do dziennikarki.

Ale „śmierdziel” ma alibi.

Jednakże trop - wyludzacze pieniędzy od artysty - jest wart zainteresowania. Janina B. dobra znajoma ofiary zeznała, że wyznawał on pogląd, iż skoro jest człowiekiem majetnym, nie może odmówić komuś, kto potrzebuje pomocy. Artysta regularnie, od 10 lat, wspierał kilka fundacji charytatywnych. Raz w roku wręczał obywatelom pieniądze, od 16 lat przekazywał swoje prace na aukcje „Blizniemu swemu” Towarzystwa Brata Alberta. Przesłuchiwany jako świadek Emil Jurkiewicz, prezes Towarzystwa zeznał: - Pan Beksiński pozwalał zdejmować ze ścian te prace, które mi się podobaly. Kiedy ostatnio dzwoniłem do niego w grudniu, zapewniał, że ma przygotowane nowe obrazy na kolejną naszą aukcję.

Stosunek artysty do pieniędzy był znany jego przyjaciołom. Generalnie nie przywiązywał większej wagi do stanu posiadania. Twierdził, że pod tym względem usiłuje sprostać pewnej idei z dzieciństwa, gdy myślał, że całe zasoby finansowe ojca znajdują się w jego niezgłębionej - jak mu się wydawało - portmonetce. Gdy raz zapytał, ile pieniędzy ma w portmonetce, rodziciel odpowiedział, że nie wie. - Stało się to moim cichym marzeniem - powtarzał - nie wiedzieć, ile ma się forsy.

Ale ten luźnacki stosunek do własnego konta to pozory.

W gruncie rzeczy Beksiński panował nad swymi rachunkami i nawet usiłował wyprowadzić w pole urzędników skarbowki. „Używając niepowtarzalnego stylu księdza Jakuba Wujka - pisał w e-mailu - położyłem nieprzyjazną między mną a finansem, między nasieniem moim a nasieniem jego. On pragnie zetrzeć głowę moją, a ja czyham na jego. Amen. W związku z powyższym, odliczenia od podatku tak wykorzystuję, że moje roczne dochody są 5 razy niższe niż działalność charytatywna. Jak to możliwe? W końcu to Polska wydała na świat matematyka Banacha”.

Był też bardzo oszczędny w zakupach odzieży. Twierdził, że jeśli dzimys mają za ledwie 10 lat, to absolutnie nadają się do noszenia. I nie ma co myśleć o nowych. Co innego, gdyby w jakimś sklepie ukazał się zegarek na rękę, będący zarazem, jak sobie żartował, telefonem, radiem, urządzeniem radiolokacyjnym, komputerem do ściągania i odwarzania plików MP3 i aparatem fotograficznym. Tak, żeby zorientowanie się, która jest godzina, wymagało sporej sprawności manualno-intelektualnej i orlego wzroku, a zaprogramowanie całości zajmowało cały dzień. Wtedy nacychmiast by to cacko nabył.

Czasem naciągano go i on o tym wiedział. Skarzył się w e-mailu przyjaciółce: – Wczoraj telefonicznie molestował mnie pewien staruszek, że konieczne chce 35 zł na prezenty dla jakichś sierot. Cały dzień ukrywałem się za sekretarką, a on dzwonił raz po raz.

Oburzał się, ale w końcu uległ. Taka sytuacja: zatelefonował malarz bardzo średniej klasy z warszawskiego Ursusa. Zaczął, płacząc rzewnymi łzami, od kondolencji w związku z samobójstwem syna (tychło w czas, pięć lat po tej tragedii). I następnie poprosił, aby Beksiński kupił od niego – po raz kolejny – obraz za 5000 zł. Po targach stanęło, że dostanie tysiąc złotych. Zjawił się natychmiast (jakby już stał pod drzwiami) i na odchodnym wyłudził dodatkowo 50 zł na taksówkę do Ursusa.

Ktoś inny, o nieznanym nazwisku, przedstawił się jako młody historyk sztuki i naciskał, aby artysta podarował mu pieniądże na bilet do Nowego Jorku, bo chce tam napisać książkę o malarzach abstrakcjonistach, m.in. o Beksińskim.

To znów zwrócił się o bezwrotną zapomogę w wysokości 60 000 zł mąż zmarłej kuzynki artysty. O dziwo, dostał te pieniądże.

Tylko ofiarodawca, patrząc na siebie z dystansem, pytał zdumiony – Coż to ja jestem, mucholapka dla niendaczników?

I usprawiedliwiał się, że widocznie taki się urodził. Wspominał, jak w jego rodzinnym Sanoku koło domu rosła grusza. Latem dzieci przystawiały przy płocie i prósiły, aby poczęstował je owocami. On biegł z gruszkami od drzewa do ogroduzenia szczęśliwy, że może obdarowywać. A gdy zabrakło owoców, poleciały w jego stronę wyzwiśka i ogryzki.

Niczego go to nie nauczyło. – Wobec tych, co mają ode mnie gorzej – powiedział po przepracowaniu siedemdziesiątki – czuję się winny. I nie oczekuję wdzięczności za wsparcie.

Byłby chyba zdumiony, gdyby się dowiedział, że to podopieczni schroniska w Sanoku, które też wspomagał, zaciągną ostatnią wartę przy jego trumnie.



Temat – pieniądże, pożyczki, zwraca przez moment uwagę śledczych na Krzysztofa K., „złotą rączkę” i jego żonę. Wieloletni znajomy zamordowanego malarza ujawnił, że małżeństwo K. niedawno pożyczyciło od Beksińskiego kilkadziesiąt tysięcy zło-

tych na nowy samochód. Dług miała odpracować pani K., która za 250 zł tygodniowo sprzątała malarzowi mieszkanie. Czasem wyręczała się w tej robocie 19-letnim synem Robertem, ale młody człowiek irytował gospodarza. Odkąd zaczął się pojawiać z mieszkaniem gniły drobny pieniądże, która zwykle leżały w koszyczku, aby Beksiński, amator pizzy, miał je na podorędziu, gdy przychodziła zamówiona dostawa. Ostatecznie problem rozwiązano w ten sposób, że Krzysztof K. (który nie wiedział, że malarz podejrzewa o kradzież Roberta) zamontował w ścianie sejf.

A może morderca pochodził z Sanoka, gdzie malarz spędził dzieciństwo? I po latach stał się ofiarą jakichś sięgających pokoleń porachunków z jego rodziną?

Policja zebrała wywiad środowiskowy. Nic nie wskazywało na to, żeby Beksińscy mieli w miasteczku wrogów. Dziadek artysty był właścicielem firmy autobusowej, późniejszego, po upaństwowieniu, Autosanu. Zdzisław na żądanie ojca skończył architekturę w Krakowie. Przez jakiś czas zatrudniony był na pół etatu w Autosanie, zaprojektował dwa autobusy, prawie całe przeszklone. Nigdy nie weszły do produkcji, ale pozostawił po sobie opinię zdolnego pracownika.

Po kolei wszystkie te tropy uznano na policji za fałszywe.

I wtedy sąsiadka Beksińskiego przypomniała sobie, że tragicznego wieczoru widziała na klatce schodowej młodego mężczyznę w niebieskiej kurtce, który chował przed nią twarz. To nie był mieszkaniec tego bloku.

Niebieską kurtkę ma Robert, syn Krzysztofa K. Przesłuchują go. Chłopak początkowo twierdzi, że od południa był u swej dziewczyny. Ale ona zaprzecza – już się nie spotykają, zerwali ze sobą. Nazajutrz 19-latek przyznaje się do zabojsstwa. Opowiada, jak do tego doszło.

Beksiński wpuścił go, gdy przez domofon powiedział, czym jest synem. Ledwo wszedł do mieszkania, wyjął cel niespodziewanej wizyty. Chce pożyczyc pieniądże, dużą sumę. Malarz ponoć zareagował gniewnie: – Co ty sobie szczeniaku wyobrażasz, twój ojciec wie o tym? Zaraz się z nim skontaktuję. I wystukał w swojej komórce numer telefonu do Krzysztofa K. Ale nie zdążył się porozumieć, choć prawdopodobnie słyszał dzwonek z tamtej strony. Umiarat od ciosów noża napastnika.

Robert ujawnia, że do Zdzisława Beksińskiego pojechał z 16-letnim kuzynem Lukaszem K., który został na dole. Po zamordowaniu malarza przywołał Łukasza SMS-em. Kazał mu chwycić ofiarę za nogi tak, aby mogli przemieścić ciało na balkon. Beksiński był swoim zwyczajem tylko w krótkich spodniach i Łukasz początkowo wzbierał się przed dołknięciem zakrwawionego ciała. Potem, pod dyktando kuzyna, który nazywał go mięczakiem, ciotą, wyrwał mopem zakrwawioną podłogę.

Robert ukradł z mieszkania dwa aparaty fotograficzne i kilkadziesiąt płyt CD. Po powrocie do Wołomina zakopał ten sprzęt w pryzmie śniegu na podwórku domu Łukasza. Bez jego wiedzy.



Na co potrzebna 19-latkowi duża kwota pieniędzy? Początkowo twierdzi, że nie miał konkretnego celu. Trzy miesiące później pisze z aresztu list do matki, w którym wyjaśnia, że był szantażowany. Korespondencję ujawniono podczas rozprawy.

– „Mamo! Teraz b. żaluję tego, że wam nie powiedziałem. Wtedy na pewno nie doszłoby do tego, co się stało (...). Gdy w II klasie nie zdałem poprawki z polskiego, to zawałam mi się świat. Wtedy wiedziałem, że zawiódłem wasze oczekiwania i wtedy siadła mi psychika, ale przenieśliem się do drugiego liceum i poznałem nowe osoby.

Poznałem wiele osób, ale też i takie, przez które zacząłem mieć problemy. Wcześniej nie mogłem tego powiedzieć, bo się bałem i nadal się boję, bo w dzisiejszych czasach samemu nic nie zdziałasz. Przemyslałem to wszystko i doszedłem do wniosku, że nie chcę teraz siedzieć w więzieniu i dlatego chcę o wszystkim opowiedzieć wam. Lecz i tak nie wiem, czy to coś pomoże.

Na imprezie w Wołominie od poznanych tam chłopaków pożyczyłem 200 zł. Tydzień później czekali na mnie. Powiedzieli, że przyjdą po pieniądze, ale to nie będzie 200 tylko 500. Przychodzili pod szkołę. Chciałem im oddać 200 zł, bo udało mi się wygrać w zakładach sportowych, ale gdy im dawałem 200, to walnęli mnie w twarz. Wzięli ode mnie pieniądze, a jeden z nich powiedział że brakuje 2800 zł. Mijały miesiące, wcześniej powiedzieli mi, że mam siostry i oni się zemszczą na moich siostrach. Miałem czas do końca lutego, namawiali mnie, abym kogoś okradł. Płakałem w nocy, bo suma urosła do 10000. Pomyślałem, że może pan Beksiński mi pomoże, ale on nie chciał słuchać, chciał o tym powiedzieć tacie. Chciałem popełnić samobójstwo. Proszę was, zrobcie wszystko, żeby mnie stąd wyciągnąć. Proszę! Ja nie chcę siedzieć tyle lat, nie wytrzymam. Ja nie jestem taki zły, jak przebywający tu niektóre osoby. Nie chcę iść na badania psychiatryczne, bo tam są świry”.

Oskarżony K. twierdzi, że po przyjeździe do Warszawy przez półtorej godziny krążyli z Łukaszem pod domem malarza i planowali, co zrobić. Prokurator uznaje, że Robert bez pomocy 16-letniego Łukasza nie dopuściłby się zbrodni. Są jeszcze inne fakty obciążające nieletniego: po powrocie do Wołomina użyczył Robertowi swojej czystej kurtki, przechował zakrwawione ubranie kuzyna, ukrył narzędzie przestępstwa. A ponadto – od chwili, gdy dowiedział się o zabójstwie, aż do zatrzymania nie wydał Roberta. Milczał dwie doby.

Chłopcy są skierowani na obserwację psychiatryczną.

Z badań Roberta wyłania się obraz osoby rzeczowej, zamkniętej w sobie. Popelnione morderstwo ocenia słowami: – „Wyszło, jak wyszło”. Ale mówi też, że żałuje. W schronisku dla nieletnich, gdzie początkowo przebywał, chętnie zgłasza się do różnych zajęć. M.in. jest tzw. korytarzowym. Za tę aktywność dostaje regulaminowe nagrody.

Nad czytanie książek, od czego zdecydowanie stroni, przedkłada gry komputerowe. Po dziewięciu miesiącach aresztu pisze do prokuratora prośbę o zwolnienie go do domu: – „Jest pani kobietą, może matką (nie wiem), ale na pewno wie pani, jak

taka rozłąka między dzieckiem a rodzicami wpływa niekorzystnie na człowieka. Gdyby chciała się pani ze mną spotkać i porozmawiać, to jestem do pani dyspozycji. Niech się Pani nad tym zastanowi, o co proszę”.

Prośba nie zostaje uwzględniona.

Łukasz wypada w opinii psychiatrów na chłopca wrażliwego, bojaźliwego, skłonnego do zmiennych nastrojów, niepewnego siebie, łatwo ulegającego wpływom. Ma niewielkie oczekiwania wobec życia, dlatego podporządkowuje się życzeniom innych, za wszelką cenę unikając konfliktów. Z wywiadu wynika, że bez wiedzy rodziców nie dołączył do kolegów. Nie chodził do dyskoteki, nie palił. Chętnie pomagał matce, opiekując się niepełnosprawną młodszą siostrą, dużo rozmawiał z ojcem. Ale o tym, co zdarzyło się w mieszkaniu Beksińskiego, nie powiedział rodzicom ani słowem. Zamknął się w swoim pokoju, udawał, że boją go zęby.

W schronisku często placze, trzęsą mu się ręce, gryza paznokcie. W czasie rozmowy z wychowawcą wykręca palce.



Dochodzi do procesu.

– Przeróżające, że życie człowieka stanowiło dla oskarżonych równowartość idliku drobiazgów – podsumowuje mowę oskarżycielską prokurator. Dla Roberta K. zabójstwo z premedytacją żąda 25 lat więzienia. Dla Łukasza – 5 lat. Uznaje go winnym „pomocnictwa psychicznego”, przejawiającego się nie tylko w tym, co zrobił w mieszkaniu malarza, ale i w jego wcześniejszej odzywce w samochodzie. – „No co, stchórzysz?” – miał zapytać Roberta, gdy waha się, co robić.

Obrońca Roberta żądanie kary 25 lat ocenia za rażąco surowe ze względu na wiek, dobrą opinię i skrucą oskarżonego.

– Nie ma dowodów, że oskarżony planował zabójstwo – przekonuje sąd.

Pełnomocnik Łukasza prosi o uniewinnienie dla swego klienta. Przypomina, że gdy Robert powiedział kuzynowi w samochodzie, że jada „kropnąc Beksińskiego”, ten nie uwierzył. Myślał, że to taki szpan starszego krewniaka. Zabrał się z nim, bo w domu nic się nie działo. Nie obchodziło go, po co jada do malarza. Nie wiedział, kto to jest. W drodze do Warszawy grała głośno muzyka, Robert się wyglupiał. Owszem, widział u niego nóż, ale specjalnie go to nie zdziwiło, różne rzeczy trzyma się samochodzie.

Zdaniem obrońcy, Łukasz, zahukany nastolatek, który dopiero drugi raz w życiu był w stolicy odległej o 30 km od Wołomina, został zabrany tylko do towarzystwa. Nie zawiadomił potem policji o zbrodni, której był świadkiem, bo sparalizował go strach. To przerażenie nadal go nie opuszcza, choć od tragicznego wieczoru minęło wiele miesięcy. Po każdej rozprawie wyrzuca ubranie, w którym stawał przed sądem, wydaje mu się, że dzięki temu będzie mniej rozpoznawalny w rodzinnym Wołominie.

W ostatnim słowie Robert przeprosza, wspomina o wyrzutach sumienia i zagadkę zabójstwa, której nie potrafi wyjaśnić. – Wzięcie nie zmienia ludzi na lepszych, chciałbym jak najszybciej opuścić to miejsce i pomagać innym – mówi. – W areście codziennie modliłem się, przepraszałem Boga i pana Beksińskiego, żeby mi wybaczył i pozwolił zrozumieć, dlaczego to się wydarzyło. Teraz wiem, że aby być do-
brym, trzeba do tego dążyć. Chciałbym po odbyciu kary pomagać mamie i tacie, bo oni mają coraz mniej siły i tak przeze mnie cierpią.

Tym słowom towarzyszy rozpaczliwy płacz rodziny oskarżonych.

Łukasz do pomocy w zbrodni się nie przyznaje. – Bardzo wszystkiego żałuję – to jego ostatnie słowo.

Wyrok w pierwszej instancji: 25 lat więzienia dla Roberta, 5 lat dla Łukasza, który do uprawomocnienia się wyroku pozostanie na wolności. Sąd nie jest jednomyślny w kwestii młodszego oskarżonego. Różne zdania dotyczyły kwestii, czy nieletni świadomie pomógł w zabójstwie, czy też pod wpływem kuzyna brał udział tylko w zawieraniu śladów.

Obydwaj obrońcy składają apelację.

W sprawie faktycznego mordercy jest ona nieskuteczna. Sąd apelacyjny orzekł, że sam młody wiek sprawcy nie jest okolicznością, która nakazywałaby wymierzać łagodniejszą karę. W tym przypadku motyw zabójstwa (pieniądze), sposób zachowania się po zbrodni, nie równoważą tego, że Robert K. się do niej przyznał.

Więcej wątpliwości nasuwa zachowanie Łukasza.

Adwokat zarzuci sądowi rejonowemu, że wyrok skazujący w tej sprawie w znacznej mierze oparty jest na jednym dowodzie – wyjaśnieniach Roberta. Nie przeanalizowano treści opinii biegłego psychologa. Łukasz nie uciekł z bloku, gdy zorientował się, że uczestniczy w zabójstwie, tylko dlatego, że pierwszy raz w życiu był w Warszawie, bez rodziców, nie miał pieniędzy nawet na bilet autobusowy do Włotomina, nie wiedział, gdzie są dworce. A wokół ciemna, zimowa noc. Nie jest prawdą, że czekał pod blokiem na sygnał od Roberta, aby pomóc mu w morderstwie. Na górę wjechał z kilkuninutowym opóźnieniem. Wskazuje na to analiza billingów rozmów telefonicznych obu oskarżonych.

– A może – sugeruje pełnomocnik nieletniego Łukasza – Robert celowo obciąża swego kuzyna, bo jest to zemsta na wujku skonfliktowanym z jego ojcem?

Sąd apelacyjny uchyla wyrok w sprawie Łukasza i przekazuje ją do ponownego rozpoznania przez sąd okręgowy.

Na ponownej rozprawie Robert występuje jako świadek, choć w kajdankach. Z o wiele większym zdecydowaniem niż w czasie śledztwa i na pierwszych rozprawach, zrzuca winę na kuzyna.

– Wziąłem nóż, bo Łukasz tak kazał.

– W trakcie jazdy Łukasz zapytał mnie, czy mam nóż i gdzie go trzymam. Powiedziałem, że w kurtce. Łukasz wyjął go, aby sprawdzić. Wychodząc z samochodu

du włożyłem obie ręce do kieszeni kurtki i wtedy okazało się, że jest w niej nóż. Nie wiedziałem, że Łukasz tam go schował.

– Mówił, że chce ze mną wejść do Beksińskiego. Nie wiem, po co. Jakby Łukasz tam nie było, to bym nie wszedł do tego mieszkania.

– Pan Beksiński sam przewrócił się na krzesło, ja mu ciosów nie zadawałem. To policja mi sugerowała, że uderzałem po skosie.

– Mówiąc przedem na rozprawie, że chodziliśmy pod blokiem i planowaliśmy, jak dokonać zabójstwa, to nie wiem, czy to odpowiada prawdzie.

Zapytany, dlaczego w śledztwie mówił co innego, Robert twierdzi, że policja go biała, założyła mu worek na głowę. Więc wyjaśniał tak, jak chcieli.

Łukasz powtarza to, co w śledztwie.

Adwokat dołączył nową opinię biegłego: chłopiec zrezygnował z nauki, bo wstydził się wyjść z domu. W relacjach społecznych zawsze się podporządkowywał. Osobie dominującej ufa, że będzie torować drogę. Nie nauczył się w swym środowisku, że mogą być ludzie nieofajni, wykorzystujący go. Z psychologicznego punktu widzenia źle to rokuje w przyszłości; gdy będzie sytuacja krytyczna, załamie się. Jest to bardzo niebezpieczny człowiek, w stanie wymagającym terapii. Palce ma nadal obryzane, poszarpane, w czasie rozmowy narasta drżenie rąk i mieni szkieletowych.

Sąd Okręgowy w Warszawie zmienia 12 grudnia 2007 roku wymiar kary dla młodszego oskarżonego na łagodniejszy – 4 lata pozbawienia wolności. Jego pełnomocnik ponownie składa apelację, zaskarżając wyrok, jako oparty na jednym dowodzie – zeznaniach Roberta. Ale te składane pod koniec procesu były zasadniczo odmienne od wyjaśnień w postępowaniu przygotowawczym. I tak: w pierwszych wyjaśnieniach Robert stwierdza, że zaplanował zabójstwo. Potem – przyznał się do morderstwa, bo był przerażony, że podejrzenia są kierowane na jego ojca, a poza tym liczył na to, że gdy się przyzna, będzie mógł odpowiadać z wolnej stopy.

Również udział Łukasza w przestępstwie jest różnie przedstawiany przez zabójcę Beksińskiego.

Najpierw Robert twierdzi, że jego kuzyn wiedział o planowanym zabójstwie. Na kolejnych rozprawach, gdy się zorientował, że obciążając Łukasza wiedzą o zbrodni, tym samym wskazuje na siebie, jako co najmniej uczestnika zabójstwa, zmienia wyjaśnienia: nie planował zabójstwa, a kiedy do niego doszło i wezwał na górę Łukasza, którego zabrał do Warszawy dla towarzysza – ten był zaskoczony i spaniakowany. Innym razem informuje sąd: – Ja tylko powiedziałem Łukaszowi, że dźgnąłem Beksińskiego nożem i nie opowiadałem mu szczegółów. Ustaliłszy, że nie będziemy na siebie kapować. Nie wiem, dlaczego wzięłem nóż. Chyba, żeby zabłysnął przed Łukaszem.

Ale wcześniej twierdził, że młodszy kuzyn nigdy mu nie imponował.

Rozbieżność dotyczy też rozmowy, którą obaj oskarżeni mieli prowadzić przed wyjazdem. Raz Robert twierdzi, że zabójstwo zaplanował z kuzynem. Potem, że „gadka była taka, żeby coś wziąć. Ja nie mówię, że mam dług do oddania”.

Kiedy indziej: „Nic nie mówiłem przed blokiem, że wejdę do Beksińskiego i użyję wobec niego przemocy”.

W kolejnych zeznaniach: – „Chodziliśmy koło bloku godzinę i zastanawialiśmy się, jak zdobyć pieniądze”.

Tymczasem, jak wynika z analiz bilingu ich rozmów przez komórki – do takiego spaceru na dworze w ogóle nie doszło. Zatem, która z wersji Roberta jest prawdziwa? Pełnomocnik Łukasza nie godzi się też z twierdzeniem sądu, że brak jest podstaw, by Robert celowo obciążał Łukasza. A jeśli oskarżony opowiedział się po stronie konfliktu jego ojca z rodzicami Łukasza? Sąd pominął kwestię przetruczenia aparatu na posesję kuzyna. W jakim celu oskarżony chciał skierować podejrzenie na krewnego?

Ponowna apelacja nie została jeszcze rozpatrzona.



Na ścianie bloku, w którym mieszkał Zdzisław Beksiński, powstał mural, upamiętniający słynnego artystę. To jakby komiksowy tryptyk, składający się z portretu Beksińskiego, profilu jego sylwetki przy sztaludze i obrysowanej białym konturem ręki, jak to zwykle robi śledczy, zaznaczając położenie zwłok.

Obrazy Zdzisława Beksińskiego pojechały, zgodnie z testamentem twórcy, do Muzeum Historycznego w Sanoku.

I zaczęła się walka dyrektora Banacha o część tej spuścizny z Piotrem Dmochowskim, który od lat mieszka we Francji.

Wystawca twórczości tragicznie zmarłego artysty twierdził, że wprowadzić od dawna nie doszło między nimi do żadnej transakcji, ale nadal dużo korespondowali. Wymieniali e-maile. Beksiński wysyłał mu fotografie swoich nowych obrazów.

I właśnie ta internetowa korespondencja stała się podstawą pozwu Dmochowskiego przeciwko muzeum. Były marszand domagał się, aby sanockie muzeum sprzedało mu z kolekcji dzieł Beksińskiego dwa obrazy za 22 000 zł każdy, czyli za cenę, jaką osiągały za życia artysty. Uważał, że ma na to zgodę autora, zawartą w korespondencji e-mailowej. Wiesław Banach sprzeciwił się, twierdząc, że jest to niezgodne z testamentem zmarłego.

Sprawa trafiła na wokandę Sądu Rejonowego w Sanoku. Ale tego samego dnia wpłynął przeciwko Dmochowskiemu pozew z muzeum. Bowiem w internetowej korespondencji zmarłego malarza z francuskim marszandem, którą znany ze skrupulatności artysta zachował na osobnym dysku, znalazła się wzmianka o obrazie z 1989 roku. Wynikało z niej, że przesłał on swe dzieło Dmochowskiemu, ale ten odpisał, że obraz mu się nie podoba i go nie chce. Nigdy go jednak nie oddał.

Będę wieczorem, szkoda, że Paweł nie ma czasu – powiedział dr Wacław Januszewicz* do żony w niedzielę o piątej rano. Był już gotowy do drogi. Z podwarszawskiego miasteczka, w którym mieszkali, do wsi na Mazurach, gdzie często spędzał z wędką weekendy, było około stu kilometrów. Nie zatrzymywała go, choć wolała, gdy na ryby wybierał się z przyjaciółmi.

Mąż miał upatrzone miejsce, na którym łowił – male jezioro, z dala od głównej turystycznej trasy. Mógł tam napawać się kojącą ciszą, gdy godzinami sam jeden tkwił w plastikowej łódce. Wraz z cichym płuskaniem fal odpływały problemy, z którymi codziennie musiał się zmierzyć, gdy brał do ręki skalpel. Doktor Wacław Januszewicz miał opinię lekarza, który walczył o cudze życie do końca. Rodziny ciężko chorych uważały go za cudotwórcę. Zastudzona sława napędzała pacjentów, zdarzało się, że w czasie jednego dyżuru przeprowadzał aż trzy operacje, po których dosłownie śmiała się na nogach. Wyjazd w weekend na ryby to było ładowanie „akumulatorów” na cały tydzień.

Pani Januszewiczowa rozumiała potrzebę takiego odpoczynku męża, nie musiała jej o tym mówić nie tylko dlatego, że byli udanym, Kochającym się małżeństwem. Sama również pracowała jako lekarz i podobnie jak mąż ordynator miała na głowie cały szpitalny oddział.

Jezioro leżało na skrajnie popegeerowskiej wsi Zakole. Januszewicz od lat był muwierzny. Miejscowi wiedzieli, że w razie choroby pospieszcy z pomocą, ulatwi przyjęcie do szpitala, położony na operacyjny stół. Doktor, chcąc nie chcąc, znał ich życie od podszewki. Był świadkiem upadku PGR, bezradności pozostawionej samej sobie żalagii, która nie potrafiła odnaleźć się „na swoim”. Widział, jak z roku na rok dawni robotnicy coraz bardziej zatracali się w picie i na taki los skazywali swoje dorastające dzieci. Gdy wieczorem przyplwiał do brzegu, aby rozpalic ognisko, zazwyczaj czekało na niego kilku wyrostków chętnych do skoczenia po piwo. Wiedzieli, że to się opłaca, bo „doktorek”, jak między sobą nazywali potężnej postury Januszewicza, dawał zwykle 20 złotych i nie żądał reszty. Co śmielsi, bardziej wyścwanieni, przymawiali się do zapłaty (wedle stawki: „jak tam pan uważa”) za pilnowanie samochodu. Naciągali go, wiedzieli to, ale miał dla chłopaków miękkie serce. Nie dostawali od swych notorycznie pijanych ojców kieszonkowego, a przecież ciągnęła ich sobotnia zabawa w remizie strażackiej.

Smażąc ryby na ognisku, wdawał się z nastolatkami w pogawędkę. To były kafele rozmowy, kawalerka starała się nie używać przy „doktorku” za często słowa na k... , ale bez tego wytrychu nie potrafiła się wysłowić. Czasem, w bluzgu przekleństw zaplątała się wiadomość, że ojciec, dawny oborowy z pegeerowskiego majątku, zapił się na śmierć, a inny skończył życie na suchej gałęzi. Doktor dowiadywał się też, która z panien urodziła bękartą i kogo zsymano na pogotowiu po dyskotocie w pobliskim miasteczku. Słuchał tego z kamienną twarzą, bez komentowania, bo nikt nie oczekiwał jego rad. Był z innego świata, nie tylko z powodu

dobrego samochodu. A ponieważ nie mógł pospieszyc z żadną praktyczną radą, nigdy nie pytał siedzących z nim przy ognisku o plany na przyszłość. Zjadali usmażone ryby, zasypywał piachem ognisko i ruszał na szosę warszawską. W domu żalili się żonie: nie dają mi spokoju. Ale co robić? Przegonić? A cóż oni winni, tak ich wychowano, potrafią tylko wyciągnąć rękę po cudze. Jedyny sposób na intruzów to kwienie przez cały dzień na łódce posrodku jeziora. Ale kiedyś trzeba dopłynąć do brzegu.

◆ ◆

Tamtej tragicznej niedzieli też długo zwlekał z powrotem na ląd. Ale nie z powodu spodziewanego na brzegu nieproszonego towarzystwa. Szło na burzę i ryba świetnie brała. Przeszał zarzucić wędkę, gdy wodę osrebrzył księżyc.

Nie był zaskoczony, gdy ciągnąc łódkę po trawie usłyszał w ciemnościach czyjeś kroki. Po chwili zza krzaków wyłoniły się dwie męskie sylwetki. Zaszwiecili w ich stronę latarką. Nie mylił się w przypuszczeniach – to miejscowi chłopcy. Stare, wytarte dzinsy, tandetne bluzy z bazaru. Wyższy, o kośćistej twarzy częściowo zasłoniętej kapturem zapytał ochryplym głosem, czy ryba brała. Doktor odpowiedział mu zdawkowo: – „Na patelnię wystarczy”. Nie chciało mu się gadać, spieszył do samochodu.

– Może pomóc? – znów odezwał się ten wyższy i nie czekając na odpowiedź chwycił za bok łódki, którą Januszewicz już wciągał na bieżnik auta.

Z wyjątkiem w prokuraturze niższego chłopca o imieniu Bartek: – Nad jezioro poszliśmy z Jarkiem. On miał za paskiem siekiere, którą wcześniej kazal mi przynieść z chlewika. Gdy doktorek już włożył łódkę na dach samochodu, Jarek zamachnął się obuchem. Doktorek chyba nie wiedział, co się dzieje, bo gdy upadł i próbował się podnieść, powiedział do nas: „Co jest, panowie”. Jarek drugi raz się zamachnął. I jeszcze kilka razy, nie zawsze trafiał, bo było zupełnie ciemno. Ja chciałem uciekać, w butach chłupotała mi krew, ale Jarek krzyknął: Wróci! Miał taki głos, że się go wystraszyłem.

Potem łódkę i siekiere wrzuciliśmy do wody. Przeszukaliśmy kieszonki lekarza, znaleźliśmy kluczyki do samochodu. W portfelu było prawie 300 złotych. Jarek przebiegł i uciekł się, że tyle pieniędzy. Ciało dociągnęliśmy do krzaków. Gdy przyspywałem go liśćmi, słyszałem, że jeszcze trochę oddychał, jakby chrapał. Ale nie było czasu na zastanawianie się, Jarek już odpałał samochód doktorka, to było audi. Po drodze powiedział, że jeśli go wydam, to mnie zabije.

◆ ◆

Januszewiczowa była coraz bardziej zdenerwowana. Dochodziła północ, a mąż nie wrócił z ryb. Jego komórka milczała. Takie spóźnienie nigdy mu się nie zdarzyło, przecież w niedzielniek o siódmej rano zaczyna odprawę w szpitalu. Nie chcąc

denewrować dzieci – córka mieszkała osobno, syn student akurat był w Warszawie, zadzwoniła do przyjaciela domu – Pawła. Uprosiła go, aby jeszcze tej nocy pojechali nad jezioro; może Wackowi coś się stało, potrzebuje pomocy?

Godzinę później byli na miejscu. Paweł znalazł dojsca do wody, bo wielokrotnie łowił razem z Januszewiczem.

Wołali, świecili latarką, rozpalili ognisko, przeszukiwali przybrzeżne krzaki. W pewnej chwili kobieta dostrzegła na trawie brunatne plamy.

– Co to? – szeptała wystraszona, dotykając lepkiej mazi z białymi kłaczkami.

– Pewnie tutejsi sarni skusowali. Żyją z zasilku, pieniądze nie mają, to szukają mięsa w lesie – pospieszył z wyjaśnieniami jej towarzysz. Ale uważnie rozejrzał się wokół, aby zapamiętać to miejsce. Ślady krwi bardzo go zaniepokoiły. Obszedł jeszcze okoliczne krzaki, niczego jednak nie zauważył.

A ciało doktora, przysypane liśćmi, leżało kilka kroków dalej.

Prosto znad jeziora pojechali na posterunek policji. Już dniało.

O tej samej godzinie z popegeerowskich bloków wyszła z wildinowym koszykiem matka Jarka. Zamierzała nazbierać grzybów i stanąć z nimi na skraju szosy, może ktoś kupi. Była zła na syna, że jak poszedł w sobotę na wesele kuzynki, to jeszcze nie wrócił. Liczyła na to, że zajmie się sprzedażą, może będzie miał większe szczęście i zatrzyma się przy nim samochód. Nie zabierałaby mu tych paru złotych, niechby sobie uskladał na rower, stary nadawał się już tylko na złom.

Ale Jarek nie wrócił na noc.

– Pewnie zapił i śpi gdzieś pod drzewem, żeby się tylko nie przeziębził – martwiła się, chodząc po lesie. Z synem od kilku już lat były same kłopoty – marnie się uczył, ledwo dociągnął do ostatniej klasy podstawówki. Do roboty miał dwie ręce; gdy przez znajomości dostał się na pomocnika tynkarza do firmy budowlanej, po tygodniu urwał się, nawet dniówki nie odebrał. Chciała jakoś na niego wpłynąć, przekonąć, że życie sobie marnuje, ale nie dopuszczała jej do słowa; co zaczęła, to odpowiadać było trzaśnięcie drzwiami i już go w domu nie było.

Gdyby jej Józek żył, zmusiłby syna do roboty; Jarek bał się jego ciężkiej ręki. Choć ciał, ostatnio coraz mniej. Chłopak zorientował się, że od czasu, gdy zamknęli PGR, ojca nic już nie obchodziło. Od rana pił, a gdy kończyły się pieniądze z zasilku, brał na kreskę w spożywczym. W końcu w pijackim zamroczeniu zawiązał pętlę na głowie i się powiesił.

Maria Pacułowa westchnęła ciężko – ile jeszcze lat będzie dźwigać ten krzyż? 19-letni Jarek najstarszy, jeszcze dwie córki ma na wychowaniu. Dobrze, że chociaż one chętne do nauki, zwłaszcza Julka, może nawet pojdzie do liceum?

Uzbierała głównie masłaków, bo na prawdziwki było w lesie za sucho. Żeby stać na warszawskiej szosie, musiała przejść przez wieś. Spieszyła się, aby zająć najlepsze miejsce, za zakrętem, ale raz po raz zatrzymywał ją jazgot koguta na milijnym wozie.

– Utonął ktoś, a może pobili się na weselu u kuzynki? Żeby tylko Jarek coś nie narozrabiał, drużba był, pewnie wypił sporo, a wtedy nosi go, wszystkich by po krakach rozstawiał – nagle się zaniepokoiła.

Podeszła do sklepu, koło którego, choć jeszcze zamknięty, stała grupka ludzi. Niektórzy, ci z dalszych okolic, mieli ze sobą rowery.

Zapytała, co się stało.

– Letnik zaciukany leżał nad jeziorem. Ten doktor, co tu stale przyjeżdżał – powiedział dawny kumpel jej męża. – Wszystkich chłopaków we wsi przepytują, bo samochód też przepadł. Twój Jarek w domu?

– A gdzie ma być? Wesele u Jadźki odsypia – udała zdziwioną i szybko chwyciła za kosz. Nie pójdzie na szosę. Pośle z grzybami Julkę. Dręcząca myśl o nie wiadomo gdzie pętającym się Jarku kazała jej wracać do domu.

Syna nadal nie było, choć od wesełników po sąsiedzku goście dawno wyszli. Pojechała rowerem nad jezioro, ale niczego się nie dowiedziała. Wszystkie dojsca do wody obstawiała policja; mundurowi przeganiali gapiów.

Tej nocy nie zmużyła oka. Cały czas nasłuchiwała, czy nie trzaśnie furtka przed domem, nie zagrzyta klucz w drzwiach. Ale nie doczekała się powrotu syna. W poniedziałek o wpół do ósmej rano zadzwoniła do Roksany Bieluch, dziewczyny Jarka, mieszkającej w sąsiedniej wsi – może ona wie, gdzie jest teraz.

Niczego się nie dowiedziała. Roksana na każde pytanie odpowiadała w kółko tak samo – od wakacji nie spotyka się z Jarkiem, bo zaraz ma autobus do szkoły. przeprasza, musi kończyć, bo zaraz ma autobus do szkoły.

Pacułowa domyśliła się, że dziewczyna nie jest sama w domu i dlatego kłamię. Widziała ją przecież kilka dni temu na przystanku autobusowym, jak całowała się z Jarkiem.



Roksana rzeczywiście nie powiedziała prawdy. W nocy z niedzieli na poniedziałek dostała SMS-a od Jarka. Żeby wyjechała przez okno. Natychmiast uchyliła framkę – pod furtką na zgazonych świątłach stał, jak zeznała potem, wypasiony samochód, a o jej maskę opierał się jej chłopak.

– Taką brytką pojedziemy do Olsztyna – ponownie wysiał jej na komórkę wiadomość. I jeszcze: „Pa pa pa, całusów sto dwa”.

„A ja tyśiąc dwa” – odpisała i pomachała mu na pożegnanie.

Rano była zaspana i jeszcze ten kłopotliwy telefon do Pacułowej, odebrany w kuchni, pod surowym spojrzaniem matki. W przelocie chwyciła naszykowane kanapki do szkoły, przepędziła od furtki psa Puszka, który chciał ją odprowadzić na przystanek. Goniła ją pytanie matki, ile ma dziś lekcji, bo nie wie, na którą robić obiad.

Nie poszła do szkoły. Nie miała takiego zamiaru – w jej plecaku nie było ani jednego zeszytu. Włożyła tam kilka bluzy, 160 złotych i wszystkie swoje zdjęcia,

Jakże znalazła w domu. Co do fotografii, był to pomysł Jarka. — Mogą wysłać za nami listy gończe — powiedział jej w dniu, w którym zaplanowali ucieczkę. — Niech więc sobie rysują portret z pamięci.

W poniedziałkowy rano Roksana wysiadła z autobusu na przeciw swego liceum, ale zamiast kierować się w stronę bramy, skręciła za róg, gdzie już czekał Jarek w samochodzie.

— Chwila — powstrzymała go, gdy zapalał silnik. Pobiegła do sklepu po drugiej stronie ulicy, kupiła cztery pączki. Ekspedientka znalazła ją, jak większość uczniów z pobliskiej szkoły. Gdy kilka dni później pojawili się w sklepie funkcjonariusze policji i wy pytawali o zaginioną Roksana, od razu przypomniała sobie te pączki. Dokładnie też opisała wygląd samochodu marki Audi, do którego biegła dziewczyna. Bo wyszła na próg, gdy powietrze rozdarł ryk startującego na najwyższych obrotach auta. Jedynym klient w sklepie, który też obserwował „rajdowy” popis, zaklął ze zdenerwowania, zycząc szalonemu kierowcy, aby za najbliższym zakrętem nadział się na drogówkę. Nie, nie przyjrzał się twarzy kierowcy. To wszystko działo się tak szybko.

◆ ◆ ◆

Żona zamordowanego chirurga zeznaje w prokuraturze, że z palca prawej dłoni miał ktoś zdart obrączkę. Nie ma też zegarka, portfela, dokumentów.

Przyjaciół domu ułożył listę mieszkańców Zakola, którzy kręcili się, koło samochodu Januszewicza, gdy lekarz przyjeżdżał nad jezioro. To były głównie nastolatki, polujące na kilka złotych za pilnowanie rzeczy wędkarzy pozostawione na brzegu. Na liście nie ma chłopca o wyglądzie Jarka Pacuty; widocznie nie rzucił się warszawiakom w oczy.

Policja podąża tym tropem, który, jeśli chodzi o nazwiska, okazuje się mylący. Ale w ostateczności pozyteczny; do akt śledczych trafia wiele informacji o walęsiących się młodych mężczyznach z okolicznych wsi. Takich, którzy nie chodzą do szkoły, a przysłowiowi piasek w rękawach, uniemożliwia im zabranie się za jakąkolwiek robotę.

— A skąd pieniądze na dyskotecki? — docieka policjant przesłuchujący jednego z wyjątkowo rozgadanych chłopaków.

— Mało to w okolicy daczy, altanek? — dziwi się 16-latek — pójdzie się, coś zwędzi i opyli na bazariku. Na piwo wystarczy.

— A policja was nie łapie? — wypytuje młody funkcjonariusz, który w tej pooperowskiej wsi jest po raz pierwszy.

— Frajerów czasem łapie — odpowiada ze wzruszeniem ramion przesłuchiwany. Tak Jarek od Pacutów na przykład wpadł za trzecim razem i teraz pójdzie siedzieć. Jak nie ucieknie — chłopak dodaje z cwany uśmiechem.

Posterunkowy, zapisując nazwisko Jarka, stawia przy nim wykrzylnik. Jeszcze tego samego dnia puka do drzwi mieszkania Pacułowej.

A tam placz matki i jej dwóch córek: jak wyszedł dwa dni temu na wesele, jeszcze nie wrócił, może się utopił albo spotkało go inne nieszczęście? Pacułowawa już obezła wszystkich jego kolegów, nikt nic nie wie. Teraz cała nadzieja w policji.

Funkcjonariusz zakłada arkusz przesłuchań świadka Marii Paculy. Spisuje wszystkie informacje o weselu kuzynki Jarka — kto się tam bawił, kto ostatni go widział. Te zeznania to początek nitki z kłębka. Kilka godzin później śledczemu jest już wiadomo, że w niedzielę wieczorem młody Pacuta wszedł do mieszkania święto posłubionej kuzynki, gdzie w kuchni ostatni goście zapijali kłosem weselnego kaca. Przy stole kiwał się smętnie drużba, 17-letni Bartek Józefiak.

— Chodź ze mną — powiedział do niego Jarek i chłopak posłusznie wyszedł z izby. — Przytniesz mi z chlewika siekierę, leży na pieńku — padło kolejne żądanie.

To też zostało spełnione, bez wścibskiego pyrania, po co w dzień poprawin siekiera.

◆ ◆ ◆

Bartek Józefiak śpi, gdy matka potrząsa jego gołym ramieniem, krzyżąc mu do ucha: wstawaj, policja do ciebie.

Jeszcze nie całkiem obudzony otwiera jedno oko i widzi tłum przy swoim łóżku. Siedmoro młodszego rodzeństwa, a nad tym drobiazgiem górującego policjanta.

— Całą poprzednią noc nie mogłem usnąć, tak się bałem, co teraz będzie — to pierwsze słowa podejrzanego 17-latkę, jakie zapisano na posterunku, gdzie prosto z łóżka zawiózł go milicyjny radiowóz.

Przesłuchiwany grzecznie i gorliwie odpowiada na pytania śledczego. Potwierdza, że w niedzielę był na poprawinach razem ze swoją dziewczyną — Elką Pacutą, siostrą Jarka. Potem poszedł z Jarkiem w kierunku jeziora.

— Zapytałem, gdzie idziemy, a on, żeby ukraść samochód. Bo chce wyjechać z Polski, nim mu przywalą więzienie za włamanie się do domu wczasowego po sezonie. Ukrał rower, taczkę i jakieś meble. Prokurator powiedział, że teraz już nie będzie wyroku w zawiasach — recydywiście odroczenie nie przysługuje.

Józefiak twierdzi, że mieli tylko pobieć „doktorka”. Do nieprzytomności, żeby dać się obszukać kleszenie i wyciągnąć z nich kluczyk do samochodu.

— Na samochód nie liczyłem, bo Jarek chciał go zabrać, żeby uciec z Roksana, ale mogły trafić się pieniądze albo rzeczy, które da się sprzedać.

Jakkolwiek Józefiak nie przyznał się do udziału w morderstwie Januszewicza, prokuratura postawiła mu taki zarzut.

Następnie policja dociera do domu Roksany Bieluch. A tam rozpacz — jedynego dziecko uciekło z domu.

— Dlaczego nam to zrobiła? — płacze matka — kto ją zbalamucił? Przecież była dobrą uczennicą, chcieli, aby poszła na studia. Pierwsza w rodzinie.

Nie zostawiła żadnego listu pożegnane, z domu zabrała wszystkie swoje zdjęcia. Dłaczego? Aby wymazali ją z pamięci?

Policjant pyta, jak dziewczyna była ubrana w dniu, gdy rzekomo pojechała autobusem do szkoły. Matka pamięta każdy szczegół garderoby: bawelniany sweter w niebiesko różowe poprzeczne pasy, biała spódniczka, podkolanówki w różyczki, srebrzyste adidasy. Na lewym uchu dwa kolczyki, na prawym cztery. Krótka, postępująca grzywka. Włosy Roksana ostatnio tleniła na blond, z rudymi pasemkami.

Tak, wzięła ze sobą komórkę na kartę, ale jej numer nie odpowiada.

- Błagam - prosi Bieluchowa - szukajcie mojego dziecka.

Policjant pyta o najbliższą przyjaciółkę zaginionej. Owszem, jest taka, ma na imię Monika, chodzi do jednej klasy.

Dziewczyna jest wystraszona, pierwszy raz zeznaje przed umundurowanym funkcjonariuszem, ale ostatecznie okazuje się gadatliwa. Tak, widziała, kto zjechał pod szkołę zielonym audi. To był Jarek od Pacułów. Nawet zdziwiła się, bo on dotychczas poruszał się rozklekotanym rowerem, nawet pedały w nim odpadły. I rzecz jasna, nie miał prawa jazdy. Żadnego chłopaka w ich wsi nie stać na prawo jazdy. Pod liceum przyjeżdżał codziennie, Roksana nawet się denerwowała, że jeszcze ktoś doniesie do jej rodziców, którzy zabronili jej spotykać się z Jarkiem.

- Czy Roksana mówiła, gdzie jadą?

- Nie, tylko, że zaczyna nowe życie. Była bardzo szczęśliwa, odjeżdżając posłała mi całusa, takiego filmowego, co to niby sfluwa z dłońmi.

Policja gubi trop. Po tygodniu chybionych poszukiwań Roksany i Jarka pojawiają się listy gończe. Drukuje je kilka gazet, pokazuje też regionalna telewizja.

W tym czasie zakochana para zamyka się w kawalerce na olsztyńskim osiedlu mieszkaniowym. Roksana już wie, że jej chłopak jest mordercą. Dowiedziała się o tym pół godziny po opuszczeniu Zakola. Zjedli pączki, ustawili z kasety (Jarek zabrał z domu wszystkie, jakie miał) ostrą, rąbaną muzykę rodem z heavy metal i nagłe chłopak, przekrzykując ulubionych Scorpions wyznał, że zabił człowieka.

Ona najpierw oniemiała, potem zaczęła płakać, ale gdy powiedział, że to niechęć, musiał zdobyć samochód, aby mogli uciec w świat, zdecydowała, że od tej chwili są ze sobą na dobre i na złe. Razem będą się ukrywać. Więcej do tego tematu nie wracali.

Jak zeznała potem na policji, lokum w nieznanym im Olsztynie znaleźli od razu. Ledwo wjechali na rynek, podszedł do nich, „mężczyzna o wyglądzie dopiero co wypuszczonego z więzienia” i zaproponował użyczenie swej kawalerki - za pomalowanie jej. Farbę miał dostarczyć właściciel.

Od razu się zgodzili, ale przez cały tydzień nie zabrali się do roboty, bo ten człowiek się nie pokazał. Gdy wreszcie przyszedł, miał w ręku miejscową gazetę z wydrukowanymi listami gończymi. Kazał im natychmiast się wynosić. Ledwo wyszli na ulicę, zatrzymała ich policja.

Taka była wersja Roksany pierwszego dnia przesłuchań. Wtedy jeszcze twierdziła, że przyjechali samochodem wujka Jarka, co się o tyle zgadzało, iż zielone audi doktora zostało znalezione pod blokiem na olsztyńskim osiedlu, w którym mieszkał ów krewny Pacuły.

Dziewczyna początkowo usiłowała wybielać swojego chłopaka. W pierwszych godzinach po zatrzymaniu twierdziła nawet, że przypadkowo spotkała go w Olsztynie, a uciekała z domu z kimś innym, poznanym w internecie. To kłamstwo było jednak tak nieporadne, szyte grubymi nićmi, że po kilku nieudanych próbach odbijania krzyżowych pytań śledczego z placem przyznała się do konfabulacji. Okazało się, że ów nieznamy dobroczyńca z olsztyńskiego rynku był dobrym znajomym wujka Jarka, i to on przygotował bratankowi ucieczkę z Zakola.

Inaczej wyglądało przesłuchanie Jarosława Pacuły. Z początku stawił się, zaprzeczając wszystkim, twierdził, że o morderstwie lekarza usłyszał po raz pierwszy od policjantów. Stanowczo domagał się oddania mu pieniędzy - 248,85 zł - które zostały zarekwirowane, jako prawdopodobnie ukradzione doktorowi.

Po nocy spędzonej w areszcie przyznał się do morderstwa. Potem usiłował zbiec z komendy, funkcjonariusze użyli siły. Tę sytuację opisał później z aresztu w liście do kolegi: „Na policji na samym wejściu dostałem gnatem od tego rozjechała mi się szczęka i kichawa”.

Roksane z kilkunastu dni uwiecznienia odebrał ojciec. Była przerażona. Już w obecności policjantów przeproszała go za to, co zrobiła.

Jarek został w celi, skąd pilnie wysyłał listy do mieszkańców rodzinnej wsi.



Prokurator potraktował tę korespondencję jako materiał dowodowy; w czasie przesłuszenia listy zostały odczytane w sali sądowej.

Jarosław Pacuła do Marcina, kolegi z jego wsi:

„Siemka ziomo.

Na początek pisanie wyjeżdżam ci z ręką do przywitania. Zostałem zatrzymany i przebywam w pierdlu. Jestem oskarżony o zabijanie jakiegoś doktora z Warszawy i wypożyczenie jego audycy. Zagonił mnie ta k... Bartek który zeznał że zabiłem i nawet nakręcił wizję lokalną. Ja do niedzieli byłem na wolności i zająbisty był ten tydzień na wolności. Sam na sam ze swoją panienką na swoim kwadracie z kasitą też nie było problemu. Miałem zająbiste. Było czego to ja nie jadłem. Westy się paliło, browary codziennie, bo było mnie na wszystko stać. Brakowało to się wyskoczyło do sklepu. A tak, to cały czas leżałem z kobitą (...) było 15 razy dziennie na wesoło i w nocy jak się przebudziłem. Teraz wszystko się urwało ale biorę to lajtwo. Nie wiem czy czytałeś o mnie w gazetach chyba we wszystkich i w szkiełku. Byłem sławny”. (W oryginale wyrazy wulgarne w pełnym brzmieniu i liczne błędy ortograficzne, dotyczy to wszystkich cytowanych listów).

Kartka jest upstrzona rysunkami potwora z wliczonymi łdami. Przypomina to ma-

zanie sprayem w mrocznych tunelach dworcowych.

Do Rokasny:

Siemka mała

Na początek mego pisania przesyłam uściski do przeczytania. U mnie to co dzień pobudka apel śniadanie później leżę do obiadu a po obiedzie leżę do kolacji. Teraz jest trochę przejebane, bo chcieli mnie zawiesić po tym buncie. Ta k... Bartek mnie wrobił i na razie mu się udaje. Ale mam nadzieję że sąd będzie po naszej stronie i uważaj to on zabił człowieka. Ja robiłem różne rzeczy nieraz kolegów pobiliem nie raz coś skradłem, ale nie byłbym zdolny do zabicia człowieka i nawet na komendzie powiedziałem, że Józefiak to zwyrodnialec.

W piątek grałismy w d... jeb... przegrałem parę szlugów a w sobotę bitem się z tym, który mi się naraził. Teraz mam zakaz wychodzenia na spacerniak. Ale to nie szkodzi leżę w kojlu i patrzę na ciebie zdjęcie mam z gazety tej, w której psy wypuścili za nami listy gończe.

Pa, pa, pa, catusów sto dwa.

Do matki:

Siemano. To, co piszą w tej gazecie to nieprawda, to pierdolony Józefiak zabił a mnie w ogóle nie było tam. Ja tylko jeździłem samochodem, bo mi go dał. Powiedz małej niech się przyzwyczaja do mojej nieobecności, bo tak szybko to nie będzie. Po-
 kolk może se wziąć i niech się opiekuję szcunkiem. Powiedz jej niech wymiennie mo-
 je zdjęcie z wycieczki z ramki, bo nie chce być razem z tą parową Bartkiem. Powiedz jej że żeby nie ta k... to bym nie siedział.

"Mała" z listu, to młodsza siostra Ela, dziewczeczyna Bartka Józefiaka. Jarek wyróżniał ją spośród swego rodzeństwa, ona ani przez moment nie wierzyla, że brat ma na sumieniu morderstwo. Zarówno w czasie śledztwa, jak i na sali sądowej Ela broniła oskarżonego. Gdy któryś ze świadków powiedział, że młody Pacula kolekcjonował różnego rodzaju noże i zawsze miał jakiś przy sobie, dziewczeczyna wyjaśniła, że "tak mu się zrobiło" po samobójczej śmierci ojca. Bardzo przeżył tragedię, przez tydzień nie wychodził z domu, głównie leżał na łóżku i patrzył w sufit. A potem ubzdural sobie, że musi chodzić z nożem, aby w razie czego zdążyć z odcięciem jakiegoś niedoszłego samobójcy.

Inna rzecz, że w Zakolu kłiku byłych pegeerowców odebrało sobie w pijanym wi-

— Jarek w głębi duszy był całkiem inny niż na wierzchu — przekonywała sąd Ela — miał czułe serce, opiekował się szcunkiem hodowanym w klatce. Nawet z aresztu pisał do mnie, abym nie zapominała nakarmić zwierzaka. A gdy malował coś w zeszyście, często puszczał sobie kasety z bajkami.



po oskarżeniu brata o najcięższe przestępstwo Ela musiała wybierać — albo uwie-

rzy prokuratorowi, albo Jarkowi. Brat wbrew temu, co zeznał na policy, pisał do sio-

stry, że nie miał nic wspólnego z morderstwem. Całą winę zrzucił na Józefiaka.

Dzieweczyna uwierzyła bratu. W miesiąc po zabiciu doktora napisała do swego

chłopaka zamkniętego w areszcie:

Siemal

Nie spodziewałbym się tego po tobie to wszystko przez ciebie chciałeś bronić swo-
 ją dupę i myślałeś że ci się uda a tu nicy z tego każdy to powie. Nie pisz więcej listów,
 bo cię zniemawdziliam za to co zrobiłeś mojemu bratu a po drugie mam już chłopaka
 który od dawna za mną szalał na pewno będzie lepszy od ciebie o 100 procent.

Na końcu listu narysowała czerwona szminką krwawiące serce, które przekre-

siła na krzyż.

I jeszcze słowa: Kiedyś byłeś w moim sercu ale już nie jesteś.

Bartek na list nie odpisał. W tym czasie spotkało go jeszcze jedno nieszczęście
 — był dręczony przez współwięźniów w celi. Zrobili z niego tzw. cwela. Miał w tym
 udział wujek Jarka, aresztowany pod zarzutem pomagania bratankowi w sprzeda-
 niu samochodu zamordowanego lekarza.

Wkrótce po osadzeniu w celi — w tej samej, w której siedzi Józefiak, przemyca

Jarkowi gryps:

Siemna. Bartek to k... ty weź on nam wszystkim ubliża. Pier... o naszych spra-
 wach klawiszom ja tego k... nie daruję, napisz mi czy jednac mu przez lipę nie zro-
 bie tego sam tylko porozmawiam z chłopakami tu jest kłiku ziomali.

W grypsie wujek radzi też Jarkowi, aby przed prokuratorem udawał psychicz-

nego („cały czas swirny”).

Jarek daje wujkowi zgodę na pobicie Bartka i zapowiada, że jego też on popa-
 męta. „Teraz tylko jedno myśle i nie mogę się doczekać spotkania z tą parową a dla-
 czego to pomyśl. Nawet i po ćwiartce dopnę swego”.

„Ćwiarta” — to w więziennym mowie 25 lat za kratkami. W miarę zbliżania się pro-
 cesu, Pacula przypuszczał, że w najgorszym razie może otrzymać taki wyrok.

Bartek do maltretowania go w celi przyznał się dopiero na sali sądowej. Wcze-
 śniej, w listach wysyłanych z aresztu, udawał przed kolegami, że wszystko w po-
 rzadku. Zdawał sobie sprawę, że nikt mu nie będzie współczuć. W jego środowisku
 bohaterem był twardziel. Najlepiej po wyroku. Jego korespondencja z rówieśnika-
 mi była oszczędna i do wszystkich taka sama, jak przez kalkę:

Do Rafała:

„Co tam porabiasz Harry, bo ja jakoś żyję. Chyba wiesz że ten ch... Jarek wszyst-
 ko chce na mnie złożyć zwalić że to wszystko zaplanowałem. Harry co tam u ciebie
 słychać, bo u mnie same nudy. Teraz musielismy oddać telewizor jedynę co zosta-
 ło to radio. Co pewnie chłbieasz co Harry? Będę powoli kończył ten krótki list Harry.
 Odpisz szybko. Pozdrów chłopaków.”

Z ławiny ofert Jarek wybrał Milenę.

Na początku mojego pisania przesyłam ci moc uścisków do przywitania. Nie gniewaj się że cię zapomniałem ale ja mam taką kur... pamięć. Co jak co ale muszę ci napisać, że zjebicie wyszłaś na tym zdjęciu. Teraz mam je przyklejone koło koja. Mam już kilka zdjęć na ścianie same dziewczyny z Zakola. No widzisz nie przysłałaś mi weszliśmy roku zaproszenia na urodziny to nie pojechałem, bo mówię nie będę się wpraszał. Teraz żałujesz, bo ze mną byłoby fajnie. Ale nie kumam... Raz przeczytałem, że ciągle mnie wspominasz ale wszyscy wiedzą jak jest powód drugi raz wypytujesz się Roksany, Ch... wie o czym ona ci gada. Weź i dopier... jej tak żeby wyglądała jak jej kolega, z którym się puszcza. Jej kolega Andrzejek ma już na rękach pamiątkę to i ty ją potnij. Ale wyjebane mam. Ja nie chcę jej oglądać i żadnych listów od niej niech się dyma, blać.

Ostatnio tego frajera Bartka przerzucali tam gdzie siedzą moi ziomkowie i mają razem spacer. Powiedziałem jednemu żeby kazał tej parowie spać na kiblu. Nie pisz do tej k... y bo nie warto to będzie cwel a z cwelom nikt nie będzie się zadawał.

Co mi dziękujesz że zacząłem mówić do ciebie Miłenka ja to się dziwię że wcześniej mnie nie zjebałaś za to że wcześniej tak nie mówiłem. Narysowałaś mi koniada i podpisałaś nie pękaj. Jesteś zajejbista.

◆ ◆ ◆

W czasie rozprawy Jarosław Pacuła zachowywał się butnie. Dogadywał świadkom, na pytania prokuratora odpowiadał: — Panu to ja już podziękuję.

Roksana Bieluch wezwana jako świadek na widok oskarżonego zemdlała. Na kozyrtarzu sądowym troskliwie opiekował się nią jej nowy chłopak.

Sąd wymierzył Pacule karę dożywocia; z warunkowego odbycia kary może skosztować po 40 latach. Jest to wyrok prawomocny. Józefiak został skazany w pierwszej instancji na 25 lat. Tę karę w sądzie apelacyjnym zmieniono na 12 lat.

Ostatni list Jarka do Roksany:

Siemasz

Słyszałem że ładnie się bawisz. Od początku wiedziałem że pójdziesz się jeb... Teraz nienawidzę cię najbardziej na świecie. To ty mnie namówiłaś, byłem gotowy wszystko dla ciebie zrobić. I dlatego tu się znalazłem. Ale na każdego z nas czeka wyrok. Odsiedzę swoje i wyjdę a ten wyrok, co zapadł na ciebie jest nie do zmiany. Muszę widzieć strach w twoich oczach. Pozdrów Milenę ona jest 1000 razy lepsza od ciebie.

* Nazwiska i nazwa miejscowości zostały zmienione

◆ ◆ ◆

Co innego Pacuła. W areszcie wiele czasu spędzał nad kartkami wyrwanymi ze szkolego zeszytu. Najwięcej listów dostawała Roksana. Najmniej miał do powiedzenia matce. Zazwyczaj korespondencja ograniczała się do upominania się o paczkę. Zawsze kończyło ją polecenie: „J utrzymuj kontakt z Roksana bo ja jeszcze chce ją zobaczyć”.

Matka swoje listy do syna komuś dyktowała — może starszej córce? Wyzierała z nich nieporadność w wyrażeniu uczuć i jakby lęk przed rozmową z Jarkiem. Potwarzała się prośba, aby chciał zeznawać przed prokuratorem. Bo miłczenie nic tu już nie da, tak jej powiedział adwokat. W każdym liście zapewniała, że przypomniała Roksanie, aby wiernie czekała.

O sobie Pacułowemu nie wspominała ani jednym słowem. Choć miałaby do przekazania synowi szczególną nowinę — oczekiwania narodzin dziecka. Jego ojciec, mieszkający w pobliżu wsi, właśnie się do niej przeprowadził. Może wstydziła się późnego macierzyństwa, zwłaszcza, że we wsi gadali: jeden syn jest już na zmarnowanie to sobie drugiego zrobiła.

Jarek czas za kratkami mierzył swoją miarą. W listach do Roksany roztaczał przed nią plany, co będzie, gdy wyjdzie na wolność:

Na początku mego listu pragnę ci przesłać cmokasa wielkiego. Wiesz słonko że cię Kocham łasknie za tobą. Pójdę do ciebie i nie będę zwracać uwagi na przeszłość jak poniesiony byk. Nie martw się o to, co ci teraz mówią. To się zmieni. Jak wyjdę będą z daleka do ciebie krzyżać dzień dobry pan... A jak zobaczę że idę to wszystkie te k... będą spier... do swoich bud jak psy.

Możesz być ze mnie dumna słonko mnie tu szanują a największy szacunek bierze się stąd, że ja grypsuję. Moja cęła jest najgłośniejsza śpiewamy jabu dąba da dostatek za to już drugi kwit ale mam przejebane. My tu razem z innym więźniem znęcamy się nad dwoma frajerami. Jedne skur... siedzi za pobicie żony a ja jestem uczulony na takie rzeczy. Ten drugi za znęcanie się nad rodziną przez niego 15-letnia córka się trula.

Roksana odpisywała, że będzie czekała na „swojego misia” nawet 25 lat. On miał chyba jednak chwile zwątpienia, bo po którymś takim zapewnieniu dziewczyny odpowiedział, że na „wszelki wypadek jak k... wyjdę a ty będziesz miała męża i dzieci, to wymyśliłem już co zrobić, jak tak będzie. Bo ja mam zrytą psychikę na twoim punkcie”.

Chyba to był przełomowy moment, aby 17-letnia Roksana uswiadomiła sobie, że jest dziewczyną mordercy. Zaczęła się go bać. I zaprzestala pisanie listów. A na widok Pacułowej przechodziła na drugą stronę ulicy.

Więści o tym szybko rozniosły się wśród młodzieży Zakola i do aresztu na adres Pacuły zaczęły napływać miłosne listy od jego kolezanek. Wszystkim adresat jawił się jako macho; chcieli z nim chodzić, gdy tylko wyjdzie na wolność, a póki co, obiecywały przyjeżdżać na widzenia.

Jadę dorobić klucze – powiedział Waclaw Sikorski* do żony Krystyny, właśnie obierającej ziemniaki. – Poczekał trochę ze wstawianiem kartofli, wrócić za pół godziny. Już był w drzwiach, gdy przypomniał sobie, że nie wziął pieniędzy. – Daj mi jakiś grosz – zawołał.

Wyciągnęła z portmonetki 100 złotych.

– Coś ty taka skąpa, na dziewczynyś nie starczy – zaśmiał się i pocałował żonę w policzek.

Stała przy oknie, gdy wyszedł z klatki bloku. Spojrzał w górę, w kierunku ich mieszkania na pierwszym piętrze. Pa, pa, pomachał ręką. Patrzyła, jak wsiada na pobliskim parkingu do samochodu. Nie od razu zapalił. Odkręcił szyby, pootwierał drzwi, w ten upalny dzień wóz był mocno nagrany. Na kuchence bulgotało, ale nie odchodziła od okna. Wreszcie zapalił się światła cofania, potem lewy kierunkowskaz. Ruszył. I w tym momencie rozległ się huk, błysnęły płomienie, ktoś na ulicy krzyczał, coraz więcej ludzi biegło w stronę parkingu.

Zamknęła okno, zdjęła kuchenny fartuch. Zosia, 14-letnia córka, wyszła ze swego pokoju. – Idziemy – powiedziała, matka. – Chyba, że nie chcesz oglądać.

Sikorski zdołał wyczołgać się z płonącego samochodu. I zaraz upadł. Był żywym pochodem. Parkingowy odciągnął męczącą od płomieni, usiłował zerwać z niego ubranie. Niestety, koszula ze sztucznego tworzywa wtopiła się w skórę. Poparzony jęczał, prosił o wodę. Nim ją przyniesiono, przyjechało pogotowie. Na pytanie sanitariusza do zgromadzonych gapiów, czy jest ktoś z rodziny ofiary, nikt się nie odezwał.

Sikorski zmarł w szpitalu trzy godziny później. To było 20 czerwca 1995 roku.

Wieczorem do drzwi jego mieszkania zapukała sąsiadka Elżbieta Butek. Znalali się od kilkunastu lat. Samotnie żyjąca Elżbieta uznała za swój obowiązek pocieszyć wdowę. Siedziały do trzeciej nad ranem. Krystyna płakała i inartwiała się, jak sobie teraz poradzi z dwójką dzieci. Nie miała wykształcenia, ukończyła tylko szkołę podstawową. Doin utrzymywał mąż; od lat wyjeżdżał ze swoim przedsiębiorstwem budowlanym na kontrakty do Niemiec.

Był wykwalifikowanym spawaczem, dobrze zarabiał w markach, które miały w Polsce bardzo korzystny przebieg. Krystyna zastanawiała się, czy ten wybuch nie wiązał się z faktem, że kilka miesięcy wcześniej wykupili na bazarze budkę do handlowania wędlinami. Ale interes nie szedł, szybko się wycofali. Może mąż się z kłmą nie rozliczył?

Ojciec Sikorskiego chciał pochować syna w rodzinnej wsi na Mazowszu. – Zgódź się, Krysto – prosił. – Ja ledwo chodzę, do Warszawy mi za daleko, nawet nie będę się mógł pomodlić nad grobem jedynego syna. Tobie łatwiej do nas przyjechać, przy okazji wmułk nam przywieziesz.

Obruszyła się: – Jakby to wyglądało, tato. Przecież tu wszyscy w bloku nas znają, jakże ja bym sobie świadectwo wystawiła!

Niczego nie załatwił, a jeszcze wyciągnęła od teścia całą emeryturę, którą dopiero co odebrał od histonosza. Plakała, że nie ma za co pochować Wacka. Wszystkie oszczędności włożyła na przedpłatę za nowy samochód; jeśli teraz wyjmie, przepadną procenty.

Na pogrzeb przyszło bardzo dużo ludzi. Chyba pół warszawskiego osiedla – koledzy Sikorskiego z pracy, delegacja ze szkoły. Krystyna bardzo rozpacziała. Ani na moment nie ustawało jej kłanie dochodzące spod czarnego welonu zarzuconego na wierz. Trząsł się od placu 10-letni Michaś, syn zmarłego. Tylko Zosia nie uroniła ani jednej łzy; gdy otwarta jeszcze trumna była wystawiona w kaplicy, nawet nie podeszła do niej. Cały czas stała w drzwiach.

– Biedne dziecko, zamknęła się, nie wiadomo, jak do niej dotrzeć – szeptały do siebie w drodze na cmentarz kobiety z bloku, w którym mieszkał Sikorski. Wszyscy wspominali go jako uczynnego, pogodnego lokatora. I w takich męczarniach zginęła Policja odczekala taktownie dwa dni i przeszukała wdowę. Było już wiadomo, że w samochodzie została podłożona bomba. Nieznany tylko pozostawał sprawca.

◆ ◆ ◆

Krystyna Sikorska wskazała na pewien trop. Zaraz po wyjściu męża zadzwonił telefon. Ktoś powiedział: „Zginiesz k...marnie”. Nie zdążyła zareagować, gdy połączenie zostało przerwane. Nigdy nie słyszała takiego głosu. Wystraszona, podeszła do okna, chciała zawołać męża, aby wrócił, ale on już był przy samochodzie. Wydłapała jej zupa na płytę kuchennej, zajęła się wycieraniem. I w trakcie sprzątkania usłyszała huk.

– Jestem przekonana – powiedziała – że śmierć męża ma związek z napadem z bronią na nasze mieszkanie w nocy z 15 na 16 czerwca. Mnie przy tym nie było, pojechałam z dziećmi do moich rodziców. Poprzedniego dnia parokrotnie odezwał się głucho telefon. To, co zdarzyło się później, w szczegółach wiem od męża.

I opowiedziała o tej napaści: Waclaw Sikorski drzemał przy włączonym telewizorze, gdy usłyszał chrobot klucza w drzwiach. Wiedział, że żona z dziećmi jest na wsi, dopiero co telefonowała stamtąd. Nie zapalając światła, poszedł na palcach do przedpokoju i w tym momencie drzwi na klatkę schodową otworzyły się. Zobaczył dwóch młodych mężczyzn, nie byli zamaskowani. Jeden z nich włożył stopę w szparę między framugą a drzwiami i zaczął strzelać.

Sikorskiemu udało się ukryć w łacie. Staral się nie wpuścić napaści, a równocześnie wołał o pomoc. To wystraszyło bandytów, uciekli. Szybko przyjechała wezwana policja.

– Właśnie po napadzie – wdowa zaniosła się płaczem – mąż zmienił zamki na solidne, patentowe. Chciałam, aby dorobił jeszcze jedną zapasową parę kluczy, ale to można było wykonać tylko w Śródmieściu. Dlatego poszedł na parking.

W notesie policjanta jest jeszcze jedna informacja związana z napadem. Zaraz po ucieczce napaści w mieszkaniu Sikorskiego odezwał się telefon. Obecny tam

policjant podniósł słuchawkę i usłyszał: „Wiem, kto tu był przed chwilą, możemy się dogadać, mam na ciebie zlecenie”. – Ale kto mówi? – zapytał funkcjonariusz i wtedy połączenie zostało przerwane.

Sikorska nie wspomniała w czasie przesłuchania o tej dziwnej propozycji.

Policja szuka wśród osiedlowych meneli osób, mogących mieć coś wspólnego ze śmiercią spawacza. Może skusił ich wypchany markami portfel ofiary?

Pierwszym zatrzymanym jest Eugeniusz Rączka. Rencista, stale prześiaduje w barze „Urocy zakątek”. Przepytywany, co robił 15 czerwca, w Boże Ciało, odpowiada, że jak zwykle. Spotkał znajomego na Dworcu Południowym PKS. Kupił kilka piw, dwa wina owocowe i pojechali nad Jeziorko Czerniakowskie. Wypili, wrócili na osiedle, posiedzieli na ławce, trochę drzemiąc. Wieczorem, gdy upał zelżał, poszli na piwo do „Uroczego zakątka”. O północy właściciel kazał im wychodzić.

– Czy zauważył pan może w barze jakichś dziwnych gości? – wypytuje śledczy. Nie zauważył. Chociaż, chwileczkę, jednego. Pierwszy raz go widział. Taki ciemnowy, wyglądał na Araba. Prawie wbiegł tuż przed zamknięciem baru, od razu kupił wódkę, całą butelkę.

– Ja też się chciałem napić – opowiada Rączka – ale już nie miałem za co. Podszedłem do tego gościa i mówię: postaw kolego na zapoznanie się. Ale on twardy, spier... mówię. Spróbowałem jeszcze raz go namówić, ssalo mnie, może i byłem trochę namolny. Złapałem go za rękę. On się wtedy szarpnął, odwinęła mu się kurtka i zobaczyłem pięstolet z kaburą. Zaraz potem wybiegł. Ja się teraz panie władzo przyznam, że wziąłem do kieszeni jego butelkę ze stoliika, niedopita była. Opróżniłem ją w drodze do domu.

– A co z butelką? – zainteresował się policjant.

– A leży u mnie pod zlewem. Jak się ueziera worek, zaniosę do punktu skupu. Zbadano odciski palców na szkle. Jedne z nich należały do karanego już Pałestynczyka o ksywie „Ciemny”. W Polsce jest od kilkunastu lat, skończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. Nie wiadomo, z czego żyje. Można go spotkać na stacji 10-lecia.

Policja przesłuchuje też sąsiadów Sikorskich. Najwięcej do powiedzenia ma Elżbieta Butek, która z wdową po tragicznie zmarłym mieszka drzwiami w drzwiach.

Pięćdziesięcioletnia pani Elżbieta od kilkunastu lat prowadzi pamiętnik. Bardzo regularnie – wieczorem, w porze dziennika telewizyjnego (którego mimo włączytego odbiornika nie ogląda) notuje, co wydarzyło się w ciągu dnia. Ponieważ w jej samotnym życiu nie dzieje się nic ciekawego, Butek opisuje w 60-kartkowych zeszytach wszystko, co wie o sąsiadach. To okazuje się bardzo przydatne w czasie nie spodziewanej wizyty policjanta w jej mieszkaniu.

Na pytanie, jak było z małżeństwem Sikorskich, Elżbieta Butek potrafi nie tylko wyrazić swoje zdanie („jak to w małżeństwie, raz lepiej raz gorzej, ale to był dobry

maż, zawsze kupował jej róże na 8 marca”), ale i precyzyjnie podać, że trzy razy w ciągu minionych kilkunastu lat była u sąsiadów awantura. Ma to zapisane z datą i godziną.

I tak – 23 listopada 1990 roku o godz. 22.05 Sikorski, który tego dnia wrócił z zagranicznego kontraktu, wpadł w szal i siekierą poodcinał na korytarzu sąsiadom kable do dzwonków. – Poszło o to – tłumaczy przestępczyni – że w czasie jego nieobecności dorobiliśmy drzwi do części korytarza i jakos tak wyszło, że akurat ten lokator miał zapłacić za większą robotę.

Zrobiło się wiele krzyku; tym bardziej że oboje Sikorscy byli po kielichu („owszem, przy uroczystych okazjach lubili sobie pociągnąć z butelki”), ale następnego dnia on wszystkich przeprosił i do tego trochę niesprawiedliwego rachunku już nie wracał.

Kolejne dwie awantury – w odstępie kilku lat – kończyły się ostentacyjnym wyprawdaniem się pani domu. Pakowała walizki, ścigała dzieci ze szkoły i fru... do rodziców na wieś. Raz nawet wóz meblowy zamówiła. Ale zawsze przedtem, żeby mężowi wstydu narobić, chodziła z placzem po klatce i pytała sąsiadów, kto mógłby dać jej schronienie na jedną noc, bo ona progę własnego mieszkania już nie przekroczy.

– Trochę narwana jest – zauważa Butek – lubiła, żeby ją na oczach wszystkich przepraszał.

A Sikorski już następnego dnia jechał po żonę na wieś, nigdy z pustymi rękami: a to futro miał na pogodzenie się, to znów coś od jubilera. Wracał, trzymając się za rączkę. Potem on na kontrakt do Niemiec, a pani Krystyna zapraszała sąsiadki z piętra na kawkę z czymś mocniejszym, żeby prezenty pokazać.

– A czy po śmierci męża przyjmowała kogoś? – wypytuje funkcjonariusz.

Butek waha się, czy odczytać, co tam ma zapisane w zeszytach. Ale dobrze, prawie całą prawdę. Wdowa już trzeciego dnia po pogrzebie balowała. Wieczorem odwiedził ją taki młody, chudy mężczyzna, z kobietą i dwuletnią dziewczynką. Pani Elżbieta pierwszy raz go widziała, ale widać znajomy, bo sobie „na ty” mówili. Kolejnej nocy ze śmiechem wszyscy wytoczyli się do windy, jeszcze 14-letnia Zosia była z nimi. Ale małego dziecka nie zabrali. Zamówiona taksówka czekała pod blokiem. Nie minęła godzina, a do drzwi Butekowej zapukał wystraszony Michaś. Obudził go płacz tej dziewczynki w ich sypialni. Nie wiedział, co robić, a mamy i starszej siostry nie ma.

Pani Elżbieta wstała z łóżka i poszła do mieszkania Sikorskiej. Siedziała z dziećmi do czwartej nad ranem, póki nie przyjechała, podpita zresztą, gospodyni. Z gościami. I nawet nie powiedzieli jej dziękuję.

Policjanci dępczą Pałestynczykowi po piętach. A on, nie domyślając się, że jest śledzony, nie zmienia rytmu dnia. Zawsze w południe zachodzi do pubu piwnego nad Wisłą i tam spotyka się ze znajomymi, dobija interesów. Ostatnio – zdradza właściciel knajpki – najwięcej czasu spędza z niejakim Saturninem Hardym. Niezły nygus

z tego Hardego: w ciągu całego swojego życia jednego dnia uctwiwie nie przeprowadził. Ma kilkaset złotych renty, nie wiadomo, z jakiego powodu. Gdy wpadnie mu trochę lewego grosza, lubi się zabawić, mogą być panienki, ale do chłopców też go ciągnie.

Przesłuchiwany Hardy nie ma nic do powiedzenia. Palestynańczyka, owszem zna, ale dawno go nie widział, o bombie podłożonej w samochodzie wie tylko z telewizji. Pytany o innych znajomych wymienia m.in. nazwisko swej dawnej przyjaciółki Barbary Zaremby. Nie chce odpowiadać na dalsze pytania, jest bardzo zdenerwowany. — Mysłicie — krzyczy — że jak człowiek raz siedział pod całą, to już ma na sumieniu każde przestępstwo w tym mieście! Okazuje się, że jako 19-latek dostał wyrok za zbrojowy gwałt.

U Barbary Zaremby policja zjawia się rano, gdy młoda kobieta jeszcze śpi. W czasie jej pospiesznego ubierania się z szafy wraz z kłębem pogniecionych ubrań wypada kilka pistoletów.

— Nie moje — gorączkowo wyjaśnia Zaremba. — To Hardego. Już kilka razy mówiłam mu, żeby zabrał żelastwo, ale on nie ma czasu, bo gzi się tą k... Bożeną, podobno ślub biorą.

I kobieta wybuchła płaczem. Ledwo otarła łzy, oświadcza, że teraz powie coś bardzo ważnego. Otóż dziwnakz Hardy jest platynym mordercą. Sam jej to powiedział w ubiegłym tygodniu, kiedy jeszcze mieszkał u niej.

Policjanci zamieniają się w słuch.

— Mówię szczerą prawdę — zarzeka się dziewczyna. — Pytał mnie, czy widziałam w telewizyjnej Panoramie wybuch na Mokotowie; chwalił się, że to jego robota. I że przetem mieli z „Ciemnym” zastrzelić gościa, ale nie wyszło, więc Saturnin podłożył bombę.



Śledztwo nabiera tempa. Prokurator wydaje nakaz aresztowania Hardego — niestety, podejrzany ukrywa się. Wystane są za nim listy gończe. Jeden z takich listów Krystyna Sikorska widzi w dzienniku telewizyjnym.

Wkrótce potem znów puka do niej funkcjonariusz z wydziału śledczego policji. Pokazuje jej tablicę pogładową ze zdjęciami różnych mężczyzn, m.in. Hardego. Może któregoś z nich widziała? On stanowczo zaprzecza. Wtedy policjant informuje ją, że z jej mieszkania w drugiej połowie czerwca ktoś wielokrotnie łączył się telefonicznie z Saturninem Hardym. Świadczą o tym bilingi.

Sikorska zaczyna płakać. Szlochając wyznaje: — Do tej pory mówiłam nieprawdę, bo prosił mnie o to świętej pamięci mąż. On dobrze znał Hardego, ale zapowiedział, że jeśli kiedykolwiek powiem o tym policji, skroci mi o głowę.

Przesłuchiwana nie wie, jakie robił interesy. Gdy mąż z nim rozmawiał, kazał jej wyjść z pokoju. Ona od dawna podejrzewała, że chodziło o nielegalnie sprowa-

dzane z Niemiec samochody i handlowanie nimi („Mówiłam: człowieku, co ty robisz, a on — pilnuj swojego nosa”). Pan Saturnin mógł być pośrednikiem.

Nazajutrz znowu przesłuchanie.

— Jeszcze raz powie nam pani dokładnie, powtarzam — dokładnie — wszystko, co wie o Saturninie Hardym — żąda śledczy.

— Czyli, jaka była ostatnia nasza rozmowa?

— Nie tylko ostatnia. Od początku, kiedy pani pierwszy raz zobaczyła Hardego.

— Po raz pierwszy na początku czerwca. Przyprowadził go do domu mój mąż. Po prostu powiedział: — Krysiu to jest mój serdeczny kolega i masz go przyjąć, jak byśmy się znali od dłuższego czasu. Wypili po kawie, potem postawiłam pół litra. Rozmawiali po prostu cicho w drugim pokoju i potem Hardy poszedł. Po kilku dniach spotkali się na parkingu samochodowym. Ostatni raz dwa dni przed tym wypadkiem. Po prostu ja podejrzewam, że łączył ich nielegalny handel zlotem i samochodami. Dlatego w czasie rewizji znaleźli panowie u nas dużo umów samochodowych typu kupno—sprzedaż.

— Ale to są papiery z lat 1992-1993, a teraz jest rok 1995. Według pani Hardy powinien pojawić się w życiu pani męża w ostatnim czasie? — Tak, w tym roku.

— Jakże teraz mąż robił interesy z Hardym?

— Wiem tylko tyle, że gdzieś szli. Czasem na całą noc. Gdy pytałam: — Gdzie idziesz, odpowiadał, że to nie moja sprawa. Po prostu. Zaraz po tym napadzie na nasze mieszkanie mąż kilkakrotnie dzwonił do Hardego, co jest przecież udokumentowane w bilingach, które policja zamówiła.

— Po co telefonował?

— Chciał się zorientować, czy on nie ma coś wspólnego z tym napadem. Mąż bał się, bo miał pewne niezalatowane sprawy.

— Czy mam rozumieć, że był zadłużony?

— Musiał być komus winien pieniądze. Ale nie wiem komu. Po prostu nie chciai takich tajemnic zdradzić. Kilka razy, gdy siedzieliśmy wieczorem, ja mówię: „Wacek, może ty masz jakieś zobowiązania? W końcu ktoś przyjdzie i nas powysztrela. Tu są dzieci na wychowaniu”. „Nie wtrącaj się w moje sprawy, ja wiem, co robię” — taka była odpowiedź. I jeszcze jak to się pospolicie mówi, odbywało mi się za ciekawość.

— A czy Hardy odezwał się po śmierci pani męża?

— Tak. Powiedział: pamiętaj, żebyś na policji nie wymieniała mojego nazwiska, bo możesz być skrocona o głowę.

— I pani nie jest mu winna jakichś pieniędzy?

— Żadnych, nawet złamanej złotówki.

— Czy to przestraszenie skutkowało tym, że pani na początku przesłuchania twierdziła, że nie zna Hardego?

— Właśnie.

- Czy nie sądzi pani, że jak na osobę zastraszoną, to dziwne, że pani po śmierci męża gościła Hardego? I jego narzeczoną?

- Ja? Jak Boga kocham, nigdy...

- To było wtedy, gdy pani Butek zaopiekowała się w nocy płaczącym dzieckiem w pani mieszkaniu. Ona rozpoznała na tablicy pogładowej Saturnina Hardego jako pani gościa.

- Przyznaję, to był Hardy, ale gdy wróciliśmy z nocnego sklepu, ja powiedziałam do niego: "Słuchaj, w tych okolicznościach, gdy zginął mój mąż, ojciec moich dzieci, żadnych kontaktów bliższych z tobą nie chcę".

- I co?

A on na to, że kontakty będą i jak powiem na policji, to zostanie skrócona o głowę. Wtedy ja zapytałam: „Saturnin, dlaczego chcesz mnie pozbawić życia i dzieci zostawić sierotami?”. On się tylko zamyślił. Potem wszyscy poszliśmy spać. Przysięgam, że teraz powiedziałam prawdę. Najprawdziwszą.

◆ ◆

Trzy tygodnie później policja zatrzymuje ukrywającego się Hardego. On od razu zgłasza chęć współpracy z prokuratorem. Twierdzi, że zrozumiał, jak głupie, przestępstwa prowadził życie, chce je zmienić. Zwłaszcza, że niewiele już mu zostało. Od dziś sięciu lat jest nosicielem wirusa HIV. Zamierza w areście wziąć ślub z kobietą, z którą był u Krystyny Sikorskiej. Przyjmie też jej nazwisko.

Dwudziestopięcioletni Hardy zaspjuje śledczego zeznaniami. Gdy funkcjonariusz miliczy, odpowiada, o co jeszcze można go zapytać.

W jego wersji z zaboju Sikorskiego było tak:

Przed sklepem spożywczym spotkał się z kolegą jeszcze z podstawówki, Jaskiem Zubą. Też chwilowo niepracującym. Wypili po kilka piw i Zuba, trochę już niewyraźny, zapytał, czy nie zna kogoś, kto by zabił za pieniądze. Jest zlecenie od pewnej kobiety.

- Mnie to tak zaskoczyło, że się nie odezwałem - wyjaśnia Hardy.

Następnego dnia kolega ponowił pytanie. Hardy akurat szukał okazji, by kogoś naciągnąć na forszę, miał dług. Powiedział Jaskowi, że chce z tą kobietą porozmawiać. Umówili się na osiedlu przy piekarni. Okazało się, że zna ją z widzenia, kiedyś sprzedawała na bazarze. Zaraz przeszli na ty. Ona się skarżyła, że mąż pijak bije ją i dzieci. Po prostu potwór. Powiedział, że jej pomoże, bo jest na te sprawy uczulony. Ale tak naprawdę, to myślał, że naciągnie kobietę na zaliczkę i koniec sprawy.

Sikorska obiecała 5000 dolarów, z tego tysiąc „przed wykonaniem roboty”. Dała mu zdjęcie męża. Miała już je przygotowane, wydarte z dowodu osobistego.

Na następnym spotkaniu opisała samochód, czerwone renault, którym mąż jeździł po mieście. Chciała, aby zrobić tak, że w samochodzie włączy się fałszywy alarm, najlepiej na jakiejś bocznej uliczce. Sikorski zatrzyma się, wyskoczy z wozu i wtedy „można go załatwić”.

Saturnin Hardy szybko wydał zaliczkowe tysiąc dolarów („pobawiłem się trochę na mieście”) i zapomniał o sprawie. Ale nie zleceniodawczyni. Wydzwaniała z pytaniami „kiedy to zrobi”, on ją zwodził. Z czasem nie miał gdzie się ukryć przed coraz bardziej namolną kobietą, zwłaszcza gdy dowiedziała się, gdzie mieszka. Poza tym - znów brakowało mu pieniędzy.

Pomyślał o „Ciemnym”.

Palestynczyk chwalił mu się kiedyś, że przed laty, w miasteczku na północy Polski miał knajpkę i zabił kogoś z mafii, gdy przyszli po haracz. Poza tym Hardego z „Ciemnym” wiązała pewna tajemnica: kilka miesięcy wcześniej napadli nocą na arabskiego współwłaściciela średniej wielkości kawiarni.

Czekali na niego w ciemnym (wykręcili zarówno) korytarzu budynku, w którym mieszkał. Hardy miał przy sobie pistolet gazowy, ampułkę z eterem i kawałek materiału do nasączenia. Arab wrócił o godzinie pierwszej w nocy. Wyskoczyli do niego. Hardy usiłował przyłożyć mu do twarzy szmatkę z eterem, ale w szamotaninie wszystko upadło na podłogę. Poza tym napadnięty zdolał im zerwać kominiarce, głośno wzywał pomocy. Usłyszeli tupot nóg na schodach, złapali torbę i uciekli. Byli w niej klucze do samochodu marki BMW, notes elektroniczny, księga rachunkowa i 6000 złotych.

Hardy bał się, że okradziony rozpoznał go - czasem zachodził do tej kawiarni, zaczepiał młodych mężczyzn. Po dwóch dniach jako anonim zadzwonił do Araba z informacją, że torba jest w skrytce na Dworcu Centralnym. Podał jej numer i szyfr. Właściciel odzyskał wszystko, poza pieniędzmi. Wobec niewykrycia sprawców prokuratura umorzyła dochodzenie.

- Zapytałem „Ciemnego” - zeznał Hardy śledczemu - czy zabije za cztery tysiące dolarów? Powiedział, że nie ma sprawy, jak kupię pistolet. Spotkałem się ze swoją ciotką, która handluje na Stadionie 10-lecia. Załatwiła pistolet od Ruskich, kosztował 450 dolarów...

Pozostało już tylko uzgodnienie z Sikorską terminu. Ponaglała - nie ma na co czekać, mąż szykuje się do wyjazdu na kolejny kontrakt.

Hardy uprzedził ją, że przyjdzie ze współniklem.

Spotykają się na schodach stacji metra „Politechnika”. Sikorska jest z 14-letnią Zosią, która wie o wszystkim. Dała im klucze do mieszkania. Sama zamierza pojechać do znajomej, poprosić ją, aby mogły tam przenocować, bo pijany mąż wyrzucił ją z domu razem z dziećmi. Zatem - jutro po południu. Akurat szykuje się mecz w telewizji, mąż, zapewnia Krystyna Sikorska, na pewno będzie oglądał, upije się, usnie. Raz dwa uwiną się z robotą.

◆ ◆

Jadą do tego bloku. Ale przedtem za dużo wypili w pubie nad Wisłą i nie mogą sobie dać rady z otwarciem zamków. Sikorski słyszy, że coś się dzieje za drzwiami,

otwiera je. Zaskoczeni usiłują wepchnąć go do mieszkania. „Ciemny” strzela na osiepi, Sikorski głośno woła o pomoc. Napaściny uciekają, każdy w swoją stronę. Saturnin Hardy ma jeszcze jeden pomysł na łatwe zdobycie pieniędzy – dzwoni z budki telefonicznej do Sikorskiego. – „Wiem, kto dał zlecenie...” – zaczyna mówić. Telefon odbiera mężczyzna, który przedstawia się jako funkcjonariusz policji. Hardy w panice rzuca słuchawkę.

Następnego dnia spotkał się z „Ciemnym”, Palestyńczyk powiedział mu, że go nił go policjant, więc wyrzucił pistolet. Ale to nie była prawda. On sprzedał broń za 600 dolarów.

A zaraz potem do Hardego zadzwoniła p. Krystylna z pretensjami, że zdementowali mieszkanie, a mąż żyje. Ale zlecenia nie cofnęła. Przeciwnie, ponagala, żeby coś wymyślić, bo termin wyjazdu męża tuż, tuż. Hardy zaproponował bombę, podłożoną w samochodzie. – Szkoła wozu – ona na to. Ale ostatecznie się zgodzila.

Ciołka, która miała budkę na stadionie, chciała za ruską bombę zegarową 1400 złotych. Ze zdalnie sterowanym pilotem kosztowałoby to o trzysta złotych więcej. Sikorska wybrała wersję droższą.

Był problem z zamontowaniem urządzenia. Wtajemniczona handlarzka podała kontakt do kogoś, kto zna się na tym i za pieniądze pomaga w wykonaniu zlecenia. Ten fachman skompletował części: detonator, pilot, przewody. Pokazał, co i jak trzeba podłączyć. Zaproponował, że za 10 000 dolarów dopilnuje wszystkiego do końca. Ale Hardy nie chciał się dzielić pieniędzmi z kolejnym współnikiem.

Na generalną próbę Sikorska przyjechała renaultem z Zosią. Bomba tkwiła pod tylnym fotelem.

Pojechali w odludne miejsce, kobieta wystąpiła sygnał uruchamiający ładunek wybuchowy (miała też możliwość natychmiastowego wyłączenia tej funkcji), ale nie zadziałało. Probę zdetonowania ładunku podejmowali jeszcze kilka razy. Bez skutku. Trzeba było ponownie sprowadzać specja od wybuchów. Okazało się, że gąbka izolowała sygnał z nadajnika. Za dodatkowe 500 złotych powiedział, jak zamontować ładunek bez użycia pilota. Umieścił go w lewym kierunku skazie. Sikorska wróciła samochodem na osiedlowy parking. Przez całą drogę jej córka pilnowała, aby matka nie użyla w czasie jazdy niebezpiecznego migacza.

Nazajutrz Wacław Sikorski zginął.

Koperty z kolejną ratą za wykonanie zlecenia przywoziła Hardemu Zosia. Dostał też nowy samochód osobowy fiat 125, który wdowa kupiła już po śmierci męża.

Byli więc rozliczeni i zaczęli spotykać się jako dobrzy znajomi. Którejś soboty Saturnin wyciągnął Krystylnę i 14-letnią Zosię na dyskotekę. Okazał się świetnym kompanem. Gdy Sikorska miała urodziny (skończyła 40 lat), zaprosiła Hardego z narzeczoną i jej dzieckiem na kolację. To wtorek w środku nocy pojechali po alkohol na miasto i placzącą dwuletnią dziewczynką zaopiekowała się Elżbieta Butek.

Hardy wesolo spędzał czas nie tylko z wdową po Sikorskim. Ciągłe jeszcze mając wypchany portfel (starych długów nie pooddawał), przenosil się z lokalu do lokalu: w ciągu jednej nocy potrafił ich zaliczyć sześć.

– Po piątku trochę gadalem przy barze, że mam coś wspólnego z wybuchem na Mokotowie. Powiedziałem też rodzinie. Krystylna zrobiła mi awanturę, że mam za długi język. Zażądałem 10 000 złotych za milczenie. Poddaliśmy się, nie chciała mnie znać.

◆ ◆ ◆

Następnego dnia po zatrzymaniu Saturnina Hardego do aresztu trafiła Krystylna Sikorska.

Tym razem w czasie przesłuchania przyznała się do współudziału w zbrodni, choć twierdziła, że pomysł wyszedł od Hardego. Przedstawiła motyw – chęć uwolnienia się od męża, który znęcał się nad nią i nad dziećmi i nie zgadzał się na rozwód.

Szeroko cytując rzekome wypowiedzi jej dręczyciela, opisała prokuratorowi, jakie zgotował jej piekło.

– A ch... mnie obchodzicie, masz tak zapier... , żebym nie musiał na was tyrać – zwykł odpowiadać, gdy prosiłam go o pieniądze na jedzenie. Któregoś dnia klęknęłam i modliłam się: – Panie Boże, proszę, zabierz go, dłużej już nie wytrzymam.

Przesłuchiwana Zosia nie powiedziała ani jednego dobrego słowa o ojcu. Zeznając, że ojciec pił, często tygodniami. Nienawdził syna, raz chciał go udusić, przyciskając do ściany tapczan, na którym chłopiec spał. Kiedy indziej gonił Michała z nożem, krzycząc, że podżre mu gardło. W ostatnią Wigilię ojciec przyszedł pijany i zamierzał wyrzucić z balkonu ukochaną morską świnkę dzieci.

– Naprawdę nie było innego wyboru, jak zlikwidowanie takiego ojca – orzekła 14-letka. – Pojechałam z mamą na spotkanie z tym Hardym, żeby było jej różniej.

Obraz ojca tyrana w żaden sposób nie pokrywał się z zeznaniami innych świadków. W opinii rodziny i sąsiadów było to zgodne małżeństwo (ona może trochę histeryczna), a Michał nie mógł się doczekać przyjazdów ojca z zagranicy. Jeśli ktoś w tej rodzinie podnosił rękę na dzieci, to matka. Ale to z powodu potywczego charakteru: gdy mijala jej złość, zaraz potem przytulała, dopieszczała.

Nadal więc nie było odpowiedzi na pytanie, dlaczego Krystylna Sikorska postanowiła zabić męża.

Oskarżona konsekwentnie trzymała się wersji – miała okrutnego męża. Z każdą nową jej korespondencją do prokuratora przybывało barwnie opisyanych przykładów znęcania się okrutnego ojca i męża nad rodziną:

Biegiał za nią z nożem, wielokrotnie zmuszał do picia jego mocz, gdy broniłam się, wylewał mi na twarz.

Straszył brzytwą.

Córkę chciał wyrzucić przez balkon.

Molestował ją (ze strachu nie zawiadamiiała policji).

Każdy list kończył się prośbą oskarżonej – chciałaby odpowiadać z wolnej stopy jest przecież matką wychowującą samotnie dwoje dzieci. Gdy ona siedzi w celi, syn nek zrywa się w nocy, wykrzykuje: „Gdzie jest moja mama, którą tak bardzo Kocham!”

Pisze też do prokuratury Zosia: „Spotkała nas wielka niesprawiedliwość. Nagle została zatrzymana nasza Kochana mamusia. Tylko powrót najukochańszej mamusi do domu może mnie powstrzymać od próby samobójczej”.

Prokurator zarządził środowiskowy wywiad kuratora. Raport nie potwierdza alarmujących wieści w listach od oskarżonej i jej córki. Dzieci mają zapewnioną opiekę – są u dziadków, stosunkowo jeszcze młodych, samodzielnych finansowo. W tym samym siedlisku mieszka z rodziną brat oskarżonej. Wszyscy oni są wobec Zosi i Michasia bardzo serdeczni.

Nie ma zgody na zmianę środka zapobiegawczego.

Krystyna Sikorska wysyła też prośbę o zwolnienie z aresztu do Ministra Sprawiedliwości.

W jej opisach eskaluje doznane w małżeństwie cierpienie: mąż kopał ją po głowie i gonił po mieszkaniu z naładowanym pistoletem. Dzieci były zrywane w nocy, aby pokazały zeszyty, a on je rwał i kazał przepisywać do świtu. Gdy syn otrzymał negatywną ocenę, ojciec chciał go powiesić na linie od bielizny. Kilka razy potłukł na twarzy Sikorskiej butelki po alkoholu, żeby nie mogła wyjść z domu.

Wielokrotnie próbował zadać synowi cios nożem. Gdy Michaś płakał z przerażenia, jego ojciec krzyczał, że powinien zdechnąć. – Dziecko potem mnie pytało – pisze oskarżona – dlaczego tato nie weźmie mnie na kolana, nie przytuli, tylko każe umierać.

Ostatnio mąż pił od rana do wieczora, miał po tym przywidzenia, że chodzą mu po nogach robaki.

W tej korespondencji podaje wyjaśnienie, dlaczego nie szukała pomocy na policji. To pytanie zadał jej wcześniej śledczy, ale zbyła go wzruszeniem ramion. Teraz ma gotową odpowiedź:

Nie widziała znikąd pomocy. Gdy domowy tyran pierwszy raz wyrzucił ją z dziećmi na mróz, zadzwoniła na komisariat z budki na osiedlu. Kazali czekać, aż zgłoszenie będzie przyjęte. Trzy godziny stała w zimnej piwnicy, nikt nie przyjechał. Prosiła też o pomoc swoich rodziców, ale bezskutecznie. Matka odpowiadała: – Skoro sobie takiego męża wybrałaś, to cierp. Ja cię do Warszawy nie wyrzucalam. Mogłaś zostać na gospodarstwie.

– A w ostatnie Boże Narodzenie – pisze do ministra Krystyna Sikorska – mąż pił od rana i potem powiedział słowa, których nie zapomnę do końca życia. Brzmiały one tak: „W dniu dzisiejszym nadeszła godzina waszej śmierci. Pozabijam was wszystkich”. Przystawił mi pistolet do głowy.

Po tej awanturze poszła do Hardego. Zapytała, czy może wynająć jakiś skromny pokój oraz zwrócić pożyczone wcześniej pieniądze. On na to: – Po co ci mieszkanie, nic innego nie wypadła zrobić, jak zabić takiego łobuza.

– Przecież to jest człowiek.

–W każdej chwili może cię pozabawić życia.

Po tej rozmowie, „nie zdając sobie sprawy, co może się stać później”, wyraziła zgodę.

„Szanowny Panie Ministrze. Otworzyłam przed Panem serce i napisałam swój problem. Chciałabym przebywać z rodziną do uprawomocnienia się wyroku”.



Sikorska i Hardy zostali przebadani przez psychiatrów-biegłych sądowych.

Opinia o oskarżonej: Osobowość ekstrawertyczna o cechach nieprawidłowych, typu psychopatycznego. Jej patologiczny charakter naśla się w sytuacjach o dużym ładunku emocjonalnym, których racjonalne rozwiązanie jest dla badanej za trudne ze względu na możliwości intelektualne. Wysoki stopień samozadwoleńia i samooceny ma wyraznie nieprawidłowy charakter. Zaburzenie uczuciowości wyższej – konsekwencje wynikające z naruszania norm wzbudzają u niej poczucie krzywdy, co uruchamia takie mechanizmy obronne jak kłamstwo, zaprzeczenie. Niedostatek uczuciowości wyższej również w kontaktach interpersonalnych.

O Hardym: Iloraz inteligencji odpowiada przeciętnej umysłowości. W czasie pobytu w areszcie trul się lekami, zaproszał sobie oczy szkłem, ogłaszał głodówkę. Ma liczne tatuaże: na ramionach „wydziergane” dystynkcje podpułkownika, świadcząca o przynależności do subkultury więziennej, kropki w okolicy lewego oka, a na czole i klatce piersiowej widnieją miłosne zwroty.

W celi siedzi z narkomanami; nie zgadza się na takie sąsiedztwo. Domaga się pojedynczej celi, bo „w sytuacji, gdy ktoś jest oskarżony o artykuł 148 ktk, powinien być traktowany poważniej niż byle gigant, znajdujący się tu z powodu ukradzionej paczki kawy”.

Grozi, że jeśli jego żądanie nie zostanie spełnione, „odejdzie z tego świata, zabierając ze sobą tych, którzy mu tu przeszkadzają”.

Stwierdzono encefalopatię z zaburzeniami charakterologicznymi, ale to nie znosi ani nie ogranicza zdolności rozpoznania znaczenia czynu, o który jest podejrzany.



Podczas procesu sądowego wyrok pierwszy wydaje publiczność: oskarżona cały czas kłamie. Takie głośne uwagi słyhać na każdej rozprawie.

Sikorska chętnie odpowiada na pytania sądu, chce też polemizować z zeznaniami świadków. Od czasu śledztwa przypomniata sobie wiele przykłądów na okrucieństwo

męża, choćby taki: bił ją również dlatego, że chciał, aby wzięła od brata splatę za przejęte przez niego rodzinne gospodarstwo.

– Co ty opowiadasz? – woła z ostrońskiego rzędu matka Sikorskiej. – Przecież do stałaś ode mnie pieniądze na „malucha”, a kto ci kupił meble?

Oskarżona nie reaguje na te odzywki, wylicza kolejne winy męża: raz syn był tak siny po pobiciu, że szkoła wezwwała rodziców, grożąc zawładnięciem policji. Ojciec dziecka nie stawiał się na rozmowę, wołał się upić.

Sąd postanawia zwrócić się o wyjaśnienia do szkoły. Na następnej rozprawie zostaje odczytane oświadczenie dyrektora gimnazjum. Krystyna Sikorska była zwyczajna z powodu bardzo złych ocen Michała i Zofii. Dzieci często bez usprawiedliwienia opuszczaly lekcje, matka nie reagowała na alarmujące listy od wychowawcy. Ponadto zaniebdywała obowiązkowe szczepienia. Rozmowa z nią „sprawiała wręcz żenie nieszczerej”.

Sikorska słucha tego z nieruchomą twarzą. Myślni jest gdzie indziej. Podnosi rękę na znak, że chce coś powiedzieć. Sąd pozwała.

– Mam takie uczucie, że mąż chciał sobie ułożyć życie z inną kobietą...

Gdy dochodzi do wylizzeń, ile razy oskarżona uciekała z domu z dziećmi przed mężem, „bo chciał ją udusić”, słychać głosy tych osób, które rzekomo udziały w maltretowanej schronienia.

– Kłamstwo. Takiej sytuacji nie było. Jak można powiewierać pamięć człowieka, który już się nie obroni – oburza się znajoma Sikorskich, powołana na świadka.

Pomnik dezaprobaty dochodzący z ław dla publiczności wzmacnia się, gdy oskarżona mówi, że córka była molestowana przez ojca. Kilka osób wychodzi z sali, trzaskając drzwami. Na twarzy Zosi, która cały czas przysłuchuje się rozprawom, nie widać żadnego uczucia. Patrzy tylko na matkę. Skorzystała z prawa do odmowy składania zeznań i konsekwentnie milczy. W czasie przerwy stoi na korytarzu osobno, całą sobą zdaje się mówić – nie podchodźcie do mnie.

Z akt wiadomo, że dziewczyna mieszka na wsi z babcią i chodzi do szkoły zawodowej, uczy się na kucharke.

Trzy lata po wybuchu bomby na Mokotowie zapada nieprawomocny wyrok w sądzie rejonowym: Krystyna Sikorska – 25 lat więzienia, tyje samo Saturnin Hardy. Pałestynczyk – 12 lat.

W uzasadnieniu wyroku dla wdowy sąd stwierdził: „Pewne negatywne zachowania Wacława Sikorskiego wobec rodziny nie mogły w istotny sposób usprawiedliwić zachowania oskarżonej, zwłaszcza gdy się zważy, że nie była osobą mało zaradną życiowo. Mąż często był za granicą i to dawalo jej możliwości rozwiązania problemów małżeństwa zgodnie z prawem (...). Trzeba też zważyć na takie okoliczności popelnienia przestępstwa, jak brak skrupuły ze strony osoby skazanej, jej udana rozpacz, utrzymywanie kontaktów towarzyskich z osobą, która spowodowała śmierć męża”.

Sąd Apelacyjny zmniejszył karę – do 17 lat – tylko Hardemu. A to z powodu jego aktywnej współpracy z organami śledczymi, dzięki czemu udało się szybko wyjasnić okoliczności popelnienia przestępstwa.

Kasacja wyroku w Sądzie Najwyższym została odrzucona.

Krystyna Sikorska opuściła warszawski areszt na Rakowieckiej, osadzono ją w zakładzie karnym dla kobiet w Grudziądzu.

Nigdy nie była tam karana dyscyplinarnie. Pomagała w kuchni, potem została szwaczka.

Z opinii wychowawcy: – Nie chce być objęta programem kształcenia zawodowego, mówi, że jest to jej niepotrzebne. Liczy na ulaskawienie. Na temat popelnionego przestępstwa wypowiada się niechętnie.

Prośb do kolejnych prezydentów o prawo hasli Sikorska napisała siedem. Ostatnie podanie nosi datę 20 czerwca 2008. Jest to kolejna rocznica zamordowania Wacława Sikorskiego. We wszystkich podaniach skazana szeroko opisuje, jakim potworem był mąż. I że nie miała wyjścia, musiała go zlikwidować.

W 2001 roku odwołuje się do własnie przeczytanego artykułu w „Gazecie Wyborczej”, że prezydent ulaskawił zabójcę kochanki w ósmym miesiącu ciąży. – Gdzież więc jest sprawiedliwość? – pyta. Morderca pozbauił życia dwie istoty ludzkie, a ona tylko dała się omoać pewnemu pozabawionemu skrupułów narkomanowi. Czy jako samotna matka nie powinna mieć większych praw do darowania jej kary?

W trzeciej prośbie o ulaskawienie – rok 2005 – zwierza się prezydentowi, że posłubiła w więzieniu byłego skazanego, zmieniła nazwisko. Chciałaby wyjść przedterminem na wolność, głównie z uwagi na schorowanych, starych rodziców. Dozgonna opieka nad nimi to jej obowiązek.

Biuro prezydenta zleca sądowi wywiad środowiskowy. Nie jest dla skazanej kożystny. Zarówno matka, jak i ojciec Krystyny są przekonani, że córka nie wywiąże się z deklarowanych obietnic. Oni zresztą mają opiekuna – mieszkającego na tym samym podwórku syna. Nie liczą też na pomoc dzieci Krystyny. Wnuczka, gdy tylko dostała dowód osobisty, opuściła dom dziadków bez słowa pożegnania, nawet nie znając jej obecnego adresu. A przecież zajmowali się nią troskliwie. Są prostymi ludźmi, ale czują, że to dziecko nie potrafi odróżnić zła od dobra. Coś straszniego dzieje się w jej głowie, każde widzenie z matką tylko pogarsza ten stan. Już i nauczycielka mówiła, że to jest sprawa dla psychologa. Z wnukiem też są problemy.

Sąd negatywnie zaopiniował prośbę o ulaskawienie.

W podaniu z roku 2007 skazana pisze: „Pomimo krzywdy, jaką mi mąż wyrządził, bardzo go kochałam. Często odwiedzala mnie w snach i niejednokrotnie czuję jego obecność. Wiem, że mnie nie wini za to, co zrobiłam, bo u mnie wzięł górę strach”. Również Zofia prosi prezydenta o łaskę dla matki. Informuje, że wyszła za mąż, ale wzięła tylko ślub cywilny, z kościelnym poczeka na mamę. „Aby mogła mnie pobłogosławić”.

– Pańska żona mówi świętą prawdę – pisze do prezydenta – mamy nikt nie za-
stąpi.

Ostatnia prośba o ulaskawienie Krystyny Grzelećkiej (dawniej Sikorska) jest
z kwietnia 2008 roku.

Pisze, że od podpisu prezydenta zależy jej życie. Czeka ją operacja gardła, ale ona
nie zgadza się na wykonanie jej w warunkach więziennych. Gdyby darowano jej
resztę kary, miałaby pewność, że gdy obudzi się po narkozie, koło jej łóżka będą sta-
li mąż i córka.

Odpowiedź brzmi: – Skazana nie zasługuje na prawo łaski.

W tym samym czasie służby policyjne zwróciły się do sądu o odebranie z par-
kingu deponowanego wraku samochodu renault stojącego tam od 1995 roku. Kosz-
ty przechowywania są już bardzo duże. Sąd odpowiada, że nie jest władny do po-
dejmovania takich decyzji.

• Wszystkie nazwiska zostały zmienione

POCIĄGNIĘTA ZA SOBĄ BRATA

Na salę sądową wchodził szybko, z rękami w kajdankach, nie oglądając się na
boki. Chyba nie łudził się, że wśród publiczności jest ktoś z rodziny czy zna-
jomych. I miał rację. Po zakończeniu rozprawy był wyprawiany przez milicjantów,
uzbrojonych policjantów i nikt nie biegł za nim na „dofek”, gdzie oskarżony zwy-
kle zamienia kilka słów z bliską mu osobą. On od razu lądował w policyjnej „suce”.

Jego samotność na ławie oskarżonych. Mało rozmawiał ze swoim adwokatem;
jeśli nie składał wyjaśnień, z bolesnym wyrazem twarzy nieruchomo patrzył przed
siebie. Ale tak, aby ominąć wzrodem siedzące po przelotnej trzy kobiety: matki ofiar
i żonę jednego z zamordowanych. To nie było łatwe, bo w ławach dla publiczności
znajdowało się zaledwie kilka osób, a zdarzały się dni, gdy tylko jedna, którą przy-
padkowo zainteresowała akurat ta wokanda.

Może się nawet dziwił, że jego los nie budzi medialnego szumu. Ponad 10 lat te-
mu, gdy sądona była jego siostra, prowadzono ją w szpalerze uzbrojonych anty-
terrorystów. Na rozprawy została wyznaczona największa sala sądowa, a i tak trud-
no było domknąć drzwi.



W 1998 roku była to sprawa bardzo głośna w Warszawie. Na ogłoszenie wyroku
przyszło nie tylko kilkadziesiąt osób z miasta, ale i sędziowie z innych wydziałów kar-
nych. Przed gmachem sądu rodziny ofiar wywiesiły transparent: „Polska stała się
krajem mordu i bezprawia, żądamy kary śmierci dla zbrodniarzy...”. Obok stały, zro-
bione ze styropianu, jakby tablice nagrobne dwóch ofiar: 31-letniego Pawła Suli-
kowskiego i 25-letniego Piotra Aniolkiewicza, dealerów PTC Era GSM.

Tłustym drukiem biło w oczy nazwisko głównej oskarżonej Małgorzaty Rozu-
meckiej (sąd zgodził się na ujawnienie wizerunku oraz danych osobowych jej i in-
nych oskarżonych).

Rozumecka została skazana na dożywocie i ten wyrok podtrzymały sądy kolej-
nych instancji, z Sądem Najwyższym włącznie. Ten ostatni odrzucił kasację jako
„oczywiście bezzasadną”. Kary więzienia dla pozostałych oskarżonych zmniejszały
się w miarę składanych apelacji. Najmłodszy, Krystian M., został po czterech latach
więzienia uniewinniony.

Przez cały czas trwania procesu prokurator twierdził, że na ławie dla oskarżo-
nych brakuje jeszcze jednego sprawcy – brata Małgorzaty Rozumeckiej, Pawła.

Kilka miesięcy po ujawnieniu zbrodni wyleciał on legalnie do Meksyku. Wcze-
śniej był przesłuchiwany w prokuraturze, ale został wypuszczony bez stygmatu po-
dejznanego. Listy gończe rozesłano za nim znacznie później, gdy jeden z oskarżo-
nych, Marcin T., powiedział, że „to chyba strzelał Paweł”.

Rozumecki twierdzi dziś, że nic o listach gończych nie wiedział.

Wkrótce po opuszczeniu Polski osiadł z matką w Nowym Jorku. Miał legalną pra-
cę (hydraulika), udzielał się w parafialnym środowisku miejscowej Polonii. Mijały

lata. Gdy poszedł do ambasady polskiej odnowić paszport na wjazd do Polski, do-
wiadział się, że jest poszukiwany.

Został deportowany pod zarzutem współudziału w morderstwie dealerów Ery-
jego proces w roku 2007 wymagał szczegółowego odtworzenia, z udziałem spraw-
ców i świadków tragicznych wydarzeń w podwarszawskim Komorowie 18 czerw-
ca 1997 roku.

◆ ◆

Piotr Aniołkiewicz znalazł 22-letnią Małgorzatę Rozumeczką z miejsca pracy. – Przez
krótki czas była zatrudniona w PTC Era GSM, ale szybko się z nią rozstał. Aniołk-
iewicz właśnie wrócił ze służbowego stażu w Ameryce, rozszalała go energia, po-
trzeba była przedsiębiorczym. W tym stanie euforii spadła na niego niecodzienna
propozycja Małgorzaty – Dyskusyjny Klub Filmowy, któremu patronuje mieszka-
jący w Komorowie aktor Bogusław Linda, chce kupić dla swych członków 32 telefony
komórkowe. Jeśli Aniołkiewicz wystąpi w tej transakcji w roli dealera, może liczyć
na dużą prowizję. Aparaty były warte ponad 53 000 zł (w 1997 roku posiadanie w Pol-
sce telefonu komórkowego jest jeszcze luksusem).

Aniołkiewicz wciąga do interesu kolegę z pracy Pawła Sulkowskiego. Biorą z ma-
gazyru firmy kartony z „komórkami”, jada do zalesionego Komorowa, do wili Lin-
dy. Nigdy do niej nie trafią. Aktor o niczym nie wiedział, taki klub w ogóle nie ist-
niał, rzekoma transakcja, to była przynęta, aby zwabić ich do lasu z atrakcyjnym
towarem.

Obaj mężczyźni wpadli w zasadzkę zastawioną przez Małgorzatę Rozumeczką.
Czekal już na nich wykopany dół na polanie. Zostali zastrzeleni. Przystępcy prosto
z miejsca zbrodni pojechali pod Pałac Kultury, gdzie handluje się na całego, rów-
nież towarami telefonicznymi. Sprzedali „komórki” za 36 000 złotych, podzielili się pie-
niędzmi. O wszystkim zdecydowała Rozumeczka.

Zabójstwo zostało odkryte kilka godzin później dzięki przypadkowemu świad-
kowi (w procesie będzie występował jako incognito). Zawiadomili policję i na dro-
dze do zakopanego dołu z ciałami ofiar ułożyli z patyków strzałkę. Miejsce zbrodni
latwo odnaleziono również dlatego, że mordercy zakamuflowali je bardzo niesta-
ranie. Gdyim okiem było widać święto kopaną ziemię, na niej ślady krwi. Kilka me-
trów dalej leżały przeciwistoneczne okulary i kluczyki do samochodu.

Podczas sekcji zwłok nie udało się rozpoznać, z jakiej odległości celowano do
ofiar. Nie znaleziono też broni.

◆ ◆

Na procesie Pawła Rozumecckiego świadkowie niewiele pamiętają z tragicznych wy-
darzeń sprzed ponad dziesięciu laty. Gdy sąd odczytuje ich zeznania w śledztwie,
zazwyczaj mówią: – Możliwe, że tak powiedziałem, ale dziś nie wiem, dlaczego.

Niegdys skazani (poza Rozumeczką wszyscy już wyszli na wolność), a dziś
w roli świadków odnoszą się do pytań sądu z wyrazną niechęcią, a często i non-
szalancją. Celem swym zachowaniem zdają się mówić: – Dostę się nacierpia-
łem, nie będę sądowi pomagał w rozstrzygnięciu wątpliwości, to już nie moja
sprawa.

Wszyscy czekają, co powie Małgorzata Rozumeczka. Gdy rozpoczął się jej proces,
uparcie twierdziła: – Ja na pewno nikogo nie zabiłam. To nie było w planach. Chcie-
liśmy tylko przewalić Piotra Aniołkiewicza.

„Przewalić” – znaczy w złodziejskim żargonie obrabować. Jako zabójcę wskaza-
ła niepełna 17-letniego wówczas Krystiana M.

– „Usłyszałam dwa strzały, a potem jeszcze jeden, gdy podbiegłam, Piotrek i Pa-
wel leżeli twarzą do ziemi. Krystian miał w ręku broń” – mówiła o samym momencie
zabójstwa. Potem pomogła zasypać zwłoki.

W połowie 1999 roku, tuż przed zakończeniem procesu o zabójstwo dealerów
Ery, Rozumeczka nieoczekiwanie złożyła sensacyjne oświadczenie: – Krystiana M. nie
było na miejscu zdarzenia, w ogóle nie było go z nami.

Wszyscy śledzący proces zniechęcenieli.

– A kto był zamiast niego? – zapytała szybko sędzia.

– Nie będę odpowiadała na to pytanie. Dealerów zabito na zlecenie, na miejscu
zabójstwa był ktoś trzeci.

Trzy lata później (proces wrócił z sądu apelacyjnego do okręgowego – chodziło
o wyjaśnienie, czy Krystian M. brał udział w zabójstwie) Małgorzata Rozumeczka na-
wet nie chciała się odnieść do swoich wcześniejszych zeznań, odczytywanych przez
sędziego.

– Niczego nie potwierdzam, niczemu nie zaprzeczam, nie zamierzam brać udzia-
łu w tym procesie. Nawet nie mam ochoty tego słuchać – powiedziała i zrobiła w tył
zwrot, w kierunku drzwi. Antyterrorystki zagrodzili jej drogę.

Zamieszanie wykorzystał adwokat Krystiana M. – Apeluję do pani sędzienia
– krzyknął – jaka jest prawda?

– Nie można apelować do mojego sumienia, bo ktoś stwierdził, że go nie mam
– odparowała.

Pytanie – kto strzelał, pozostało otwarte.

Prokurator konsekwentnie wskazywał na Piotra Rozumecckiego. Nadal były ak-
tualne wysłane za nim w 1997 roku listy gończe. Gdy na początku 2007 roku został
złapany i deportowany do Polski, nie przyznawał się, odmówił też składania zeznań.
Wyjaśnienia złożył pod koniec września 2007 roku, gdy już była przesłuchana w tej
sprawie siostra.

Nie widział jej równo 10 lat.

◆ ◆

Zapewne docierały do niego informacje z jej procesu. Prokurator w mowie końcowej charakteryzował oskarżoną jako „władczą, egocentryczną, nie liczącą się z innymi, predestynowaną do przewodzenia przestępczej grupie”.

Od ciężko pracujących rodziców dostała pieniądze na zaoczne, prywatne studia o kierunku resocjalizacja. Ale jej było tego za mało. Szukała znajomości ze światem przestępców z grubymi portfelnymi. Uważała, że do takich świat należy.

Lubiła prowokować skandaliczne sytuacje, aby o niej mówiono. Miała niespełna 19 lat, gdy oskarżyła o próbę gwałtu jednego z szefów pruszkowskiej mafii. 40-letni P., dobrze znany policji, ale zawsze cało wychodzący z opresji, na skutek doniesienia Małgorzaty trafił do aresztu. Kilka dni wcześniej widziano go, jak niczym sztabek czekał w swoim bajeranckim samochodzie na maturzystkę Rozumeczką pod jej technikum.

Sprawa gwałtu szybko trafiła na wokandę. Oskarżycielka przez miesiąc chodziła tryumfująco z policyjną obstawą. A gdy doszło do procesu, odwołała swoje zeznania – żadnego gwałtu nie było. P. został skazany na grzywnę. Częściowo ją odsiedział. Małgorzata odwiedzała go w więzieniu.

Dwa lata później, gdy jako oskarżona była na obserwacji psychiatrycznej w szpitalu w Tworkach, usiłowała stamtąd uciec pilnującym ją policjantom. To był „numer” godny opowieści wśród pruszkowskich gangsterów.

W sądzie jej wersja odbiegała od tego, co zeznał pomagający w ucieczce ojciec, Jan Rozumeccki. Twierdziła, że to ona namówiła go, aby skontaktował się z pewnym mieszkańcem Ozarowa, który podrabiał paszporty. Gdy dokumenty były gotowe i biulet wykupiony, wcześniej rano wyszła ze strzeżonego oddziału przez drzwi ewakuacyjne, do których poprzedniego dnia ów tajemniczy znajomy dostarczył jej klucz.

Właśnie przechodziła przez dziurę w parkanie, skąd tylko kilka kroków dzieliło ją od czekającego samochodu, gdy została zatrzymana przez policjantów.

Jej ojciec twierdził, że najpierw znalazł w skrzynce anonimowy list z informacją, że „jest szansa na uwolnienie Małgorzaty, zgłosi się do ciebie człowiek”. Charakter pisma sugerował, że mogła to napisać żona, mieszkająca wówczas z synem Pawłem w Meksyku.

Zgodnie z instrukcją nawiązał kontakt z owym łącznikiem, który przygotował fałszywe papiery dla córki. On też wyznaczył dzień ucieczki.

Rozumeccki nie wierzył w przypadek, jak to przedstawił w sądzie policjanci: owej nocy po cywilnemu patrolowali tę część Tworek, wypatrując włamywaczy. Zwróciła ich uwagę rozerwana siatka w ogrodzeniu szpitalnym. Zaczaił się przy dziurze i... w ręce wpadła im Rozumeczka. Potem zrewidowali czekający na nią samochód i znaleźli tam paszport na fałszywe nazwisko ze zdjęciem oskarżonej oraz bilet na samolot do Meksyku.

Sprawozdawcy sądowi okrzyknęli tę 22-letnią wówczas kobietę królową zbrodni. Chyba jej to pochlebiało – na rozprawy wchodziła majestatycznie (mimo skucia

raż kajdankami), wachlując się aktem oskarżenia. Silna, posągowo zbudowana, w dniu ogłoszenia wyroku zarzuciła na ramiona koronkową czarną chustę. Żegnając się z placującym ojcem (wkrótce zmarł na zawał), po meczynemu głaskała go po policzku.

Osiem lat później na procesie jej brata już nie ułatwiała fotoreporterom zadania. Pochylała głowę w taki sposób, że fala gęstych, ciemnych włosów zastaniała prawie całą jej twarz.

– Mój brat – powiedziała, nie patrząc na Pawła – nie jest winien tamtej śmierci, ja jestem odpowiedzialna za to, co się stało. Wymyśliłam scenariusz nie do końca prawdziwy. Do dziś nie wiadomo, kto strzelał, ja tego nie wyjawię.

Prokurator naciskał: – Czy pani brat był na miejscu, gdy padły strzały? Kto tam był? Jak to wyglądało?

Rozumeczka: – W czasie oddawania strzałów były trzy osoby. Dwie wymienię – ja i Marcin T. Osoba, która strzelała, miała na twarzy kominiarkę, więc nie ma możliwości, aby została rozpoznana. Mój brat przyjechał, gdy Paweł i Piotrek już nie żyli.

Gdy wyprowadzali ją z sali, jej oczy zatrzymały się na kredowobiałej twarzy brata. On też utkwił w niej nieruchome spojrzenie. Ale po chwili zrobił taki ruch ramionami, jakby ciężyla mu marynarka. Nerwowo przy tym tarł czoło ręką. Siostra zniknęła za drzwiami, otoczona fotoreporterami. Usiłowała ich wyminąć – ciężkim krokiem (w więzieniu przytyła), z całkowitą obojętnością.

Różnie komentowano na sądowym korytarzu to zeznanie. Przeważał pogląd, że Małgorzata Rozumeczka postanowiła osłonić brata. Adwokat Jacek Brydak, obrońca Pawła Rozumecckiego uważał, że taką wypowiedzią siostra tylko zaszkodziła oskarżonemu. Uchylając się od odpowiedzi kto zabił, wmawiając sądowi, że na miejscu zbrodni był tajemniczy ktoś trzeci w kominiarce, dawała do zrozumienia, że nie może jej przejść przez gardło imię brata, ale właściwie, to o niego chodzi. Pomówiła go – uważał mecenas Brydak.

Trudno odmówić racji wytrawnemu adwokatowi. Na sali sądowej odnosiło się wrażenie, że Rozumeczka skazana na niebyt, po 10 latach więzienia chciała jeszcze raz wystąpić w roli rozdejującej karty; osoby, od której wiele zależy. I zrobiła to. A przy okazji pociągnęła za sobą brata...



Równie ważnym świadkiem na procesie Pawła Rozumecckiego był Marcin T. W roku, gdy zginęli dealerzy, miał 20 lat. To z powodu jednego zdania, które powiedział w śledztwie („Chyba strzelał Paweł Rozumeccki, ale nie jestem pewien”), prokuratura wystąpiła za bratem Małgorzaty listy gończe. Zeznał też, że na miejscu zbrodni „Paweł był bardzo zdenerwowany. Gośka głaskała go po głowie, chciała go uspokoić”.

W 1998 roku, gdy doszło do procesu, rozdygotany Marcin T. nie mógł wykrztusić jednego całego zdania. Z ulgą na twarzy przyjął decyzję sędzi, że będzie czytała na głos jego zeznania, a on potwierdzi lub zaprzeczy. Po każdym fragmencie autometrycznie kiwał potakująco głową. Aż sąd musiał go pouczyć, że na rozprawie odpowiada się werbalnie.

W pewnej jednak chwili – było to już po konfrontacji z podejrzanymi Adamem B. i Krystianem M. zdecydowanie zaprzeczył temu, co mówili w śledztwie. Teraz twierdził, że „ten drugi nie brał w całej sprawie udziału”, a to, co on powiedział na początku śledztwa, wymusiła na nim policja. – Zmieniłem zeznania – wyznał – bo miałem wyrzuty sumienia.

To wywołało poruszenie na sali sądowej, bo oskarżenie opierało się głównie na wyjaśnieniach Marcina T. Zdenerwowany prokurator nazwał go wówczas „człowiekiem słabym, ulegającym wpływom”. Dodał, że gdyby T. wytrwał przy pierwszej, oskarżycielskiej wersji, mógłby liczyć na nadzwyczajnie złagodzenie kary. W nowej sytuacji prokuratura żądała dożywocia. Sąd wymierzył T. karę 12 lat więzienia. Wyrok został podtrzymany w kolejnej instancji.

Na procesie Pawła Rozumieckiego świadek Marcin T. nie krył niezadowolenia, że go wezwano do sądu. – Odsiedziałem pod całą 8 lat z zasądzonego mi wyroku, chciałem już to wszystko wymazać z pamięci, a tu każą mi przypominać sobie wszystko od początku.

Sędzia: – Czy był pan obecny przy strzelaniu do Aniołdewicza i Sulikowskiego?

Świadek: – To bodajże będą ci zastrzeleni, tak? Byłem na miejscu zbrodni, bo później zawiozła mnie tam policja. Z tego, co sobie przypominam, to wcześniej nie.

W odpowiedzi na kolejne pytania też zaskakiwał się niepamięcią.

Sędzia nie bez irytacji poddyktowała do protokołu: „Wobec wyraźnej niechęci świadka do składania zeznań sąd odczytuje jego wyjaśnienia z akt śledczych: – „W mojej wcześniejszej rozmowie z Rozumiecką nie było mowy o zabójstwie – wyjaśniał przed prokuratorem Marcin T. – Małgorzata mówiła, że chce tylko tych z Ery zwabić do lasu i zastraszyc ich pistoletem. W lesie zobaczyłem dwie osoby w kominarkach, to był Krystian i Paweł. Strali w brzakach”.

Na pytanie śledczego jak ich poznał, skoro byli zamaskowani, podejrzany odpowiedział, że Krystian trzymał w ręku kominarkę.

– Czy pan to dzisiaj potwierdza? – chciała wiedzieć sędzia w 2008 roku.

Świadek wzruszył ramionami: – Te wyjaśnienia przed policją, to stek bzdur. Krystiana tam nie było. Policjanci namówili mnie, żebym tak gadał, to nie pójde siedzieć. Dlatego skłamałem. Na sali sądowej odwołałem wyjaśnienia.

Sędzia czytała dalej ze starych akt: – „Po zdenerwowaniu Pawła wydawało mi się, że on strzelał, ale pewności nie mam. Paweł słuchał się Małgorzaty we wszystkich, był u niej na posylki. Po tym zajściu na działkach ja, Paweł i Krystian zmieniliśmy buty, aby nie było zapachu”.

– Czy pan potwierdza czytany protokół?

– Do dziś nie wiem, kto strzelał. Nie pamiętam, kogo wtedy wskazałem jako uczestnika zajścia. Skoro tak jest napisane, to możliwe, że Pawła. Nie chcę tu mówić o jego roli. Prawdopodobnie strzelał. Nie chcę odpowiadać na pytania sądu.

– Czy świadek ma spokojne sumienie?

– Mam, bo na chwilę obecną mało pamiętam.

– Ale czy pan wie – to pytanie adwokata oskarżonego – że dzisiejszym zeznaniem może pan zaszkodzić Pawłowi Rozumieckiemu?

– Jeszcze raz powtarzam; nie wiem, kto strzelał. Nie przypominam też sobie, żebym zobaczył dwa trupy.

Wiączył się prokurator: – Czy jest pan pewien, że w miejscu zdarzenia była Rozumiecka i jej brat?

– Tam mogły być inne osoby. Chociaż wydaje mi się, że jednak oni.

Sąd pyta: – Czy pan brał dziś jakieś środki farmakologiczne?

– Nie.

◆ ◆

Kolejny świadek na procesie Pawła Rozumieckiego jest najstarszy spośród stojących przed barierką. To były taksówkarz z Pruszkowa, dziś 40-letni Adam B. On również całą swą postawą, tonem głosu, protestuje przeciwko pytaniu go o „tamte sprawy”, jak powiada. W pewnej chwili wyrzuci z siebie swą gorycz: przez Marcina T., który go obciążył kłamliwymi sugestiami, niewinnie odsiedział za kratami 5 lat. Prokurator chciał go nawet skazać na 25 lat. A co on był winien? Został wmanewrowany. Zawiózł z Komorowa stałą klientkę z jakimś pudłami na bazar w centrum Warszawy. Sąd mógł wiedzieć, że w kartonach były telefony komórkowe ukradzione zamordowanym? Konskwencje tego najdłuższego, jak mówi świadek, kursu w jego życiu, odczuwa do dziś – jako karany nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie. Nie chce odpowiadać na pytania prokuratora, oskarżyciela posilkowego, sądu. Wszystko wymazał z pamięci.

Sędzia: – Nic pan nie pamięta?

– Nic a nic – upiera się świadek.

– Czy pan bierze może jakieś leki, które mają wpływ na stan umysłu?

– Nie.

Odczytano wyjaśnienia Adama B. z akt sądowych sprzed dziesięciu lat. Pada rutynowe pytanie, czy świadek potwierdza to, co kiedyś zeznał?

– Ja mam dosyć tego! – krzyczy B. – ja nie słyszałem żadnych strzałów. W tak-sówce była włączona muzyka. Rozumiecka z T. wyszli z lasu, wsiadli do mojego samochodu. Tyłem wiem o sprawie, w której skazano mnie na 5 lat!

Świadek chce już wyjść z sali rozpraw, ale sędzia się nie zgadza, ma dalsze pytania.

pruskowskiemu osiedlu różniło się o aresztowaniu Rozumieckiej, uciekł z domu. Ze strachu, że po niego też przyjdą, przez cztery miesiące się ukrywał.

Wytopiony, z uwagi na młodociany wiek, zamiast do aresztu, trafił na prawie rok do schroniska dla nieletnich. Objęty ścisłym dozorem nie mógł się tam ani uczyć, ani pracować („Bardzo butny wychowanek” – napisano mu w opinii na odchodne). Gdy po tej izolacji składają wyjaśnienia na sali sądowej, prokurator nie krył zdziwienia, że oskarżony co do szczegółów pamięta, co robił 18 czerwca 1997 roku.

– To też niedobrze? – zapytał zaczepnie chłopak, wyraźnie buntowniczo nastawiony do wszystkich, którzy uważali, że jest jednym z zabójców.

Twierdził, że choć widział jak Małgorzata spod swego domu wsiada wraz z dwoma dealerami do białego samochodu Ery, nie tylko nie przyłączył się do nich, ale nawet nie podchodził bliżej.

– Jak oskarżony zatem wytłumaczy, że zebrano w aucie jego indywidualny ślad zapachowy? – napierał prokurator.

– Nie znam się na wytłumaczeniach – usłyszał odpowiedź.

Obrońca Krystiana M. usiłował zachęcić swego klienta do większej rozmowności. Zapytał: – Dlaczego Rozumiecka twierdzi, że był pan na miejscu zdarzenia? I to z bronią?

Siedemnastolatek wzruszył ramionami: – To jest jej problem.

Pod koniec tamtego procesu – w listopadzie 1998 roku, Krystiana M. obciążyli zeznania dwóch nowych świadków, u których Małgorzata kilka tygodni przed zbrodnią chciała zamówić broń. (W śledztwie twierdził, że „palną”, przed sądem mówił o „gazówce”). Gdy nazajutrz po zbrodni spotkali się z oskarżoną na stacji benzynowej, była z jakimś chłopakiem. W śledztwie wydawał im się podobny do Krystiana M. Na rozprawie sądowej w 1998 roku przypuszczali, że mógł to być brat Małgorzaty – Paweł.

Ostatecznie, co do winy M. (prokurator nie miał wątpliwości, żądał 25 lat więzienia) przekonała sąd ekspertyza zapachu w samochodzie, którym sprawcy odjechali po zbrodni. To był zapach tego Krystiana M.

Obrońca oskarżonego nastolatka kwestionował wyniki ekspertyz osmologicznych. Sąd nie uznał tych argumentów. Sugerował się zeznaniami świadków incognito. Od jednego z nich M. miał pożyczyć w przeddzień zabójstwa łopatek, potrzebną do wykopania dołu. Drugi świadek – określony jako „nr 5” widział i rozpoznał Krystiana M., jako uczestnika egzekucji. Podał wiele szczegółów dotyczących przebiegu zabójstwa, które obserwował ukryty w wysokiej trawie na łące.

Zeznania „numeru 5” podważył jednak obrońca oskarżonego i wymógł wizję lokalną. W terenie opinie przewodniczącej składu sędziowskiego i adwokata były krańcowo rozbieżne. Zdaniem mecenasa świadek znajdował się zbyt daleko, a widoczność ograniczały mu krzaki. Sąd uznał, że wizja lokalna przemawia na korzyść zeznań tego świadka incognito.

– Czy Rozumiecka była zdenerwowana?
– Tak, gdy rozmawiała z kimś przez telefon.

– Czy pan widział Pawła Rozumieckiego?
– Tak sobie kojarzę, że on podjechał białym samochodem, nie pamiętam, czy była z nim Rozumiecka. Z tego samochodu Paweł przeniósł paczki do mojej taksówki. Potem odjechałmy.

– Czy oskarżony Rozumiecki zachowywał się nietypowo?
– Nie zauważyłem nic szczególnego. Może trochę go złościło, gdy ten biały samochód nie chciał odpalić. Chcę oświadczyć, że nic mnie nie łączy z tym zabójstwem. To wszystko, co mam do powiedzenia.
Ale sąd jeszcze nie rezygnuje z tego świadka. Odczytuje kolejne strony ze stałych akt. Jest widoczne, że w miarę rozwoju śledztwa, pruszkowski taksówkarz zmieniał wersję swych zeznań. W jednym był konsekwentny: gdy sugerował, że zamordowany Piotr Aniolkiewicz robił w Erze „przełkręty”, a zabójstwo odbyło się na zlecenie. W jego obecności Rozumiecka odebrała telefon, którego treść potem mu powtórzyła: „Gośka, odwaliałaś kawał dobrej roboty, firma będzie ci wdzięczna”. Ona zresztą jeszcze przed zabójstwem mówiła o Aniolkiewicz, że to „jedyny człowiek, z którym się robi dobre interesy”.

B. potwierdził tę informację na rozprawie sądowej w 1998 roku. Ku oburzeniu rodzin ofiar. Dodał też, że po zabójstwie Krystian M. powiedział: „Jedyna dobra rzecz z tej sprawy, to dwa miliardy dla nas” (na stare pieniądze). Obciążył tym samym najmłodszego z oskarżonych, jak się później okazało, skazanego niewinnie, bo w ogóle nie było go na miejscu zbrodni.

Kolejne kłamstwo taksówkarza wydało się, gdy na świadka, że to on, a nie Marcin T. mówi w tej sprawie prawdę, wezwał Adama M., też pruszkowskiego taksówkarza.

M. w krzyżowym ogniu pytań obrońców całkowicie się pogubił, w końcu zeznał, że powtarza tekst, którego nauczył go szwagier Adama B. Tak naprawdę, to on o zabójstwie dealerów dowiedział się na postojach taksówek.

◆ ◆

Krystian M. – najmłodszy z oskarżonych, o twarzy dziecka – w czasie pierwszego procesu niespełna siedemnastolatek, już na procesie Rozumieckiej nie przyznawał się do niczego. Początkowo, gdy musiał wyjaśnić na sali sądowej, był tak roztrzęsiony, że aż się jąkał. Powiedział, że Małgorzatę Rozumiecką poznał półtora miesiąca przed zbrodnią w Komorowie. Właśnie rzucił szkołę, całymi dniami szlifował pruszkowskie bruki, wałęsając się po mieście i z nudów czasem wpadał na „trawkę” do Małgorzaty. Kiedyś mu się zwierzyła, że zamierza odebrać komus siłą większą partię telefonów komórkowych i sprzedać je na bazarze. Byłaby z tego niezła kasa. Namawiała go, żeby jej pomógł. Ale M. to nie interesowało. Mimo to, gdy na

Do tej wersji wydarzeń nie pasował obraz zdarzeń przedstawiony przez świadka incoognito nr 2, który twierdził, że widział mężczyzn wyższych od Rozumckiej, tymczasem nastoletni Krystian był od oskarżonej niższy o pół głowy. Sąd orzekając w 1999 roku o winie nie uwzględnił tych zeznań. Skazał 17-letniego wówczas Krystiana na 15 lat więzienia. Choć w chwili zbrodni do skończenia 17 lat brakowało mu dwóch miesięcy, sędzia tłumaczył surowy wyrok m.in. tym, że oskarżony jest „osoba wysoce zdemoralizowana”.

Obrońca złożyła apelację. — „Wszystkie nieusunięte wątpliwości sąd rozstrzygnął na niekorzyść oskarżonego. Tajnemu świadkowi, który wskazał Krystiana M., nawisł zasugerował sąd”.

Sąd Apelacyjny zdecydował o zwroceniu sprawy do pierwszej instancji. Proces zaczął się od nowa. W najbardziej bulwersującej i luczowej kwestii śladów zapachowych w samochodzie starli się wybitni biegli: Gwidon Sutowski, ekspert policyjny, autor ekspertyzy (na psi nos) sprzed pięciu lat i profesor kryminologii Tadeusz Tomaszewski, dziekan Wydziału Prawa UW. Profesor zdecydowanie podważył opinię Sutowskiego. Twierdził, że „nie jest do końca naukowo zbadane, jaka jest natura fizyczna i chemiczna śladu zapachowego; nie wiadomo, czy ludzki zapach spełnia kryteria śladu kryminalistycznego, to znaczy, czy jest niepowtarzalny i niezmienny. Nauka nie dysponuje narzędziami, które pozwalałyby obiektywnie identyfikować zapach — szkolone psy, które są do tego wykorzystywane, to narzędzie niedoskonałe”.

W tym drugim procesie sąd uniewinnił Krystiana M.

Za 4 lata za kratami niewinnie skazany w pierwszej instancji i potem przetrzymywany w areszcie dostał 180 000 zł odszkodowania (zamiast żądanych 500 000 zł). Ale dorastanie w celi, wśród zdemoralizowanych przestępców nie minęło bez echa. W 2008 roku Krystian M. wezwany na proces Pawła Rozumckiego jako świadek został wprowadzony na salę w kajdanach.

Sąd niewiele się od niego dowiedział.

— Chciałbym rodzinę Rozumckich wynagrodzić z pamięci — zeznał. — Wydaje mi się, że Małgorzata usiłowała odwrócić oskarżenie od brata lub od jej współnika i kryjąc kogoś, rzuciła podejrzenie na mnie. Ale to tylko moje przypuszczenia. Nie mam wiedzy na temat tego zajścia, bo mnie tam nie było.

Sąd nie uzyskał też wiążącej opinii od biegłego w kwestii oddanych strzałów: — W trakcie badania nie ustalono modelu broni — zeznał specjalista od balistyki. Nie można wykluczyć sytuacji, że była w użyciu broń automatyczna. Strzały w latkę piersiową Antokiewicza całkowicie wykluczają zadanie ran jedną serią.

Na pytanie adwokata, czy mógł paść przypadkowy strzał, biegły odpowiedział: — Często w swojej praktyce spotykam się z takimi przypadkami.

◆ ◆ ◆

Wersja Rozumckiego w wyjaśnieniach złożonych na sali sądowej wyglądała następująco:

Marcin T. przyszedł rano do Małgorzaty, zamknęli się w pokoju. Gdzieś telefonowali, chyba palił marihuanę, w mieszkaniu czuło się siódkawy zapach tego narkotyku. Potem odezwał się domofon, oboje wyszli na podwórko, przed blok. Piotr Rozumcki widział przez okno, że siostra z jej kolegą Marcinem wsiadają do białego samochodu.

— Wcześniej Małgorzata pytała mnie — wyjaśnił oskarżony — czy bym jej nie mógł w sprzedaniu większej partii telefonów komórkowych. Powiedziała, że gdy zakończy jades transakcję, pojedziemy do Warszawy, aby sprzedać ten towar. Miałem czekać w domu na jej telefon, potem wziąć taksówkę i przyjechać w okolice działek pracowniczych w Komorowie. Znalłem to miejsce, urządziłszy tam kłedyś grillowanie.

Gdy podjechałem na działki, zobaczyłem znajomego B. w jego taxi. Usiadłem na chwilę koło niego, żeby zapytać, co tu robi. Powiedział mi, że czeka na moją siostrę, są umówieni. Widział ją, jak jechała samochodem Ery. Wsiadłem w wozu, bo taksówkarz zapalił papierosa, a jaستم uczulony na dym nikotynowy. Przepacerowałem się w stronę do lasu i gdy wychodziłem, zobaczyłem siostrę przejeżdżającą tym samochodem, którym odjechała spod domu. Nie zatrzymała się, ale B. dostał telefon, że widziała nas i chce, abym na nią poczekał. W chwilę potem padły dwa strzały, a następnie jeszcze jeden z kierunku, w którym jechała siostra. B. poszedł zobaczyć, co się stało, ja też pobiegłem w tamtą stronę. Zobaczyłem, że Małgorzata w pośpiechu wsiada do tego białego samochodu, a zza trawy widać stojącego Marcina T. Podszedłem do wozu. Siostra była za kierownicą, próbowała zapalić silnik. Nie widziałem u niej broni.

— Stało się nieszczęście — powiedziała mi — pomóż Marcinowi. Nie wiedziałem, w czym. Ale gdy wyszedłem na polanę i zobaczyłem leżących na trawie dwóch niezwykłych mężczyzn, zrozumiałem, że mam pomóc T. w zakopaniu ciała. Podbiegłem do siostry, niemal z płaczem, że nie chce, nie mogłbym dotknąć zmarłego. Wtedy oni oboje zabrali się za zakopywanie. Ja od razu odjechałem w kierunku, gdzie stał Adam B. Przeładowałem te telefony do bagażnika taksówki. Następnie pojechałem samochodem ohar na teren działki i kilka minut czekałem na siostrę przy bramie. Myślałem, że wrócimy do domu. Ale Małgorzata kazala taksówkarzowi wziąć kurs na Pałac Kultury w Warszawie. W czasie jazdy wykonała kilka telefonów. „Komórki” kupili umówieni handlarze z bazaru.

W trzy tygodnie później Paweł Rozumcki został o świcie zatrzymany. Na policję dostał cios w twarz, bo wchodząc do policyjnego samochodu zaśmiał się, że jak tak można jeździć, ze stluczoną lampą. Wsadzono go na kilka godzin do metalowej szafy, śledczy czekali, aż zmieni. Mimo że miał 16 lat, był przestuchiwany bez udziału rodziny, psychologa. Nazajutrz wypuszczono go, bez postawienia

zarzut. Dziewiątego października 1997 roku legalnie wyleciał samolotem do Meksyku, gdzie czekała matka.

Kilka miesięcy później, po przesłuchaniu Marcina T., który powiedział, że wydał mu się, że to Paweł strzelał, wysłano za Rozumeckim listy gończe. Poszukiwany mieszkał już wówczas w Nowym Jorku. Nie ukrywał się. Wielokrotnie dzwonił do najbliższej rodziny w Pruszkowie. Małgorzata, gdy została zatrzymana podczas niedanej ucieczki z Tworek, miała przy sobie amerykański adres matki i brata.

— To, co teraz mówiła moja siostra na temat jakiegoś tajemniczego zabójcy, to bzdury — powiedział na rozprawie Paweł Rozumeccki.



Mowa obrońca mec. Jacka Brydaka była wnikliwą analizą całego procesu rodzeństwa Rozumeckich.

— Akt oskarżenia jest nieporozumieniem, zawiera niedopuszczalne domniemania, domysły — powiedział. — Potwierdza klęskę wymiaru sprawiedliwości w tej sprawie. Choć od zdarzenia minęło 11 lat, nadal niewiele wiemy. Sprawa była dwa razy w sądzie okręgowym, dwa razy w apelacyjnym, raz w najwyższym. Obecny sąd nie miał szans dojścia do prawdy.

Obrońca Pawła Rozumecckiego przypominał, że również na poprzednim procesie obrońcy kwestionowali logikę wyводу prokuratora, podkreślali ten sam słaby punkt oskarżenia — nie ustalono, kto strzelał, jak przebiegało zabójstwo. Na sali sądowej upadały kolejne wersje śledczych. Oskarżeni pomawiali się nawzajem, przedstawiali fałszywe alibi, zmieniali zeznania, bądź korzystali z prawa do odmowy składania zeznań.

Nie udało się ustalić, czy z premedytacją zamierzali zabić swe ofiary, czy może chcieli je tylko postraszyć wykopanym dołem? Może na skutek kłótni na polanie, którą ponoć widział jeden ze świadków incognito, doszło do popełnienia czynu nieplanowanego, nie objętego wcześniejszym zamierem?

Mecenas Jacek Brydak skłania się do tej ostatniej wersji. Prawdopodobnie miał to być rabunek. Przecież kroś, kto od kilku dni planuje zabójstwo, nie wybiera na dokonanie takiego czynu miejsca widocznego z daleka, koło którego przechodzi wielu działośników. Zazwyczaj zaciera się ślady morderstwa — a tam na trawie była niestarta krew, leżały kluczyki do samochodu i inne przedmioty. Przy zmarłym pozostawiono kilkanaście złotych w portfelu (na nowe pieniądze) i drogi zegarek, wartości jednej piątej tego, co zarobili, sprzedając zrabowane „komórki”. To jak wizytówki dla policji. Wszystko więc wskazuje na to, że sprawcy wpadli w panikę.

Nie wiadomo, kto miał broń i jak — wywoził adwokat. — Małgorzata Rozumeccka została prawomocnie uniewinniona od tego zarzutu. Biegły uznał, że mógłby być każdy z rodzajów broni. Nie zostało ustalone, w jakich okolicznościach oddano strzały. Wiadomo, że nie padły z bliska, bo na ciałach zabitych nie znaleziono śladu pro-

chu. Łuska, która wylatuje na odległość 1,20 m leżała 1,40 m od dołu, do którego wrzucono ofiary. Z tego faktu prokurator nie wysnuł wniosków.

Mecenas wyliczył inne, poważne zastrzeżenia do prowadzonego śledztwa:

Na miejscu zbrodni znaleziono niedopałki papierosów, ale nie badano ich DNA. Małgorzata Rozumeccka została zatrzymana po kilku godzinach od przestępstwa pod zarzutem udziału w zabójstwie dwóch osób. Trzymano ją w areszcie 16 godzin, aby skruszała, jak to się mówi w policyjnym slangu. Każdy specjalista od kryminalistyki wie, że jeśli w niedługim czasie po oddaniu strzałów włoży się rękę podejrzaną osoby w parafinę, można uzyskać odpowiedź, czy strzelała. Ale w przypadku Rozumecckiej tego nie zrobiono.

Zamiast zadbać o dowody pomocnicze dla sądu, sięgnięto po tzw. chwyt niekonwencjonalny. Pod zarzutem zabójstwa zostało zatrzymanych 9 osób. Nieletni Paweł Rozumeccki był przesłuchiwany bez rodziców i psychologa. Marcin T. zeznał, że policja mówiła mu, co ma mówić. Aby wymóc na 17-letnim Krystianie M. przyznać się do morderstwa, policjanci wrzucili go do dołu, gdzie leżały zwłoki. Był bity, poniżany.

Rzeczono zabezpieczono ślady zapachowe, jednakże te badania to fałszywy trop. Znalazł się tam zapach Krystiana M., którego, co zostało udowodnione, nie było wśród sprawców.

— Jak można bazować na twierdzeniu oskarżonego T., któremu się wydaje, iż strzelał mężczyzna, bo „zwykle strzelają mężczyźni?” — dziwił się mecenas.

Podważył też wiarygodność świadków incognito. Jeden z nich, oznaczony numerem 5 twierdził, że obserwował zabójstwo z odległości 500 m i dostregł tam Rozumecckiego oraz ... Krystiana M. W czasie wizji lokalnej okazało się, że w tym miejscu trawa dochodzi do 1,80 m — jak zatem z półkiometrowej odległości można rozpoznać rysy człowieka?

Również wyjaśnienia Marcina T., który rzekomo widział strzelającego Pawła Rozumecckiego na polanie, są zdaniem mecenasa niewiarygodne. Nie pamięta, czy zakopywał zwłoki, nie słyszał strzału, nie widział zabitych. — Czy to są dowody — pytał mecenas Jacek Brydak, na których można opierać wyrok? Ten człowiek sztydzi z sądu albo przeżył ogromny stres i nie bardzo wie, co mówi.

— Akt oskarżenia jest grubymi niemi sztyty, prokuratura nie przedstawiła ani jednego wiarygodnego dowodu. Oparta się na pomówieniach Marcina T. i skazanej siostry — mecenas domagał się uniewinnienia. Nic nie wskazuje na Pawła Rozumecckiego, jako współsprawcę morderstwa. Nawet nie ma poszlak.

Prokurator od początku miał tego świadomość. To dlatego nie aresztował go kilka lat temu, gdy w kieszeni Małgorzaty, próbującej uciec z obserwacji psychiatrycznej za granicę, znaleziono kartkę z adresem brata w Nowym Jorku.

Oskarżony w ostatnim słowie również prosił o uniewinnienie. Jak zwykłe, na sali sądowej nie było nikogo z jego rodziny, przyjaciół, przyjaciół. Naprzeciw siedziały matki

zamordowanych i żona Sulikowskiego. Choć występowały w roli oskarżycieli posilkowych, nie miały pytań.

◆ ◆ ◆

Sędzia odczytała wyrok: 25 lat więzienia.

Z oskarżonym działa się coś dziwnego: gwałtownym ruchem zdjął odświętną marynarkę, rozpiął kołnierzyk od koszuli, jakby mu brakowało powietrza. Jego ruchy były nieskoordynowane, chaotyczne. Poruszał barkami, jakby opadło go coś gryzącego. Bardzo zbladł.

Sędzia ogłosiła, że wbrew ocenie procesu przez obronę, sąd poradził sobie z ustaleniem stanu faktycznego. Zeznania świadków incognito są wiarygodne, choć słowa tego z nr 5 trzeba było potraktować wybiórczo, bo fantazjował mówiąc, że na miejscu zbrodni widział Krystiana M.; zdaniem sądu mogło to wynikać stąd, że ów świadek miał jakieś porachunki z oskarżonym. Natomiast świadek nr 2 zasługiwał na pełne zaufanie; zauważył, że strzelała osoba najwyższa, czyli to był Rozumiecki. Podnoszenie przez obronę okoliczności, że T. nie jest pewien czy strzelał Rozumiecki, sędzia uznała za chybione. „Prawdopodobnie ten świadek kierował się jakąś solidarnością w stosunku do oskarżonego” – oceniła.

Gdy sędzia przeszła do kolejnych zarzutów obrońcy (manipulacje z próbkami zapachowymi) stwierdziła, że sąd wobec popełnionych niesciśłości, te dowody pominał. Wtedy ktoś z tylnych ław powiedział półgłosem: „Wszystkie wątpliwości na niekorzyść Pawła”.

W chwilę potem Rozumiecki zerwał się ze swego miejsca z okrzykiem do sędzi: – „Wychodzę...”. I padły obelżywe słowa, niezwykłe w ustach młodego mężczyzny, za którym z Nowego Jorku przysłała opinia kulturalnego, aktywnego parafianina we wspólnocie katolickiej miejscowej Polonii, odpowiedzialnego ojca małego syna.

Oskarżony prosto z sali sądowej trafił do karceru – na siedem dni. Mecenas Janek Brydak zapowiedział apelację.

◆ ◆ ◆

Podnósł w niej, że sąd okręgowy założył niejako a priori, że Małgorzata Rozumiecka i Marcin T. nie strzelali do pokrzywdzonych, gdyż takie były ustalenia sądów, które poprzednio orzekały w sprawie. Ale to nie powinno być wiążące dla aktualnego składu sędziowskiego.

Sąd okręgowy nie uwzględnił wniosków dowodowych obrony o przesłuchanie osoby, która miała być bezpośrednim obserwatorem zdarzenia oraz dokonania oględzin miejsca, gdzie zginęli dealerzy. Tymczasem przeprowadzenie wizji było wręcz niezbędne do oceny zeznań podstawowego zdanem Sądu Okręgowego dowodu, dostarczonego przez świadka incognito nr 2. Podał on, że zza krzaków skąd obser-

wował wydarzenia na polanie, dobrze widział, kto strzelał. Ale świadek ma 170 cm. wzrostu; natomiast krzaki, które tam rosły były co najniższej tej samej wysokości, a nawet, jak wynika z przedstawionych sądowi zdjęć, w niektórych miejscach górowały nad mężczyzną. Niewiele mógł więc zobaczyć, a na pewno nie miał możliwości rozpoznania twarzy strzelającego.

W obszernym uzasadnieniu apelacji obrońca Pawła Rozumieckiego twierdził, że w zgromadzonym materiale dowodowym nie znajduje się ani jeden pełnowartościowy dowód, a nawet poszlaka, które by pozwoliły na stwierdzenie, że oskarżony strzelił do Pawła Sulikowskiego i Piotra Aniolkiewicza. O pełnowartościowym dowodzie winy oskarżonego można mówić dopiero wtedy, gdy na jego podstawie wyklucza się inne wersje zdarzenia.

Sąd okręgowy nie mógł dojść do prawidłowych wniosków – twierdził adwokat – bowiem w wielu istotnych miejscach sprzecznie kojarzył okoliczności, a odczytując dowody, popełniał błędy w zakresie logicznego rozumowania. A mianowicie, wynikając z nich rzeczywistość zastępował interpretacjami nie znajdującymi odzwierciedlenia w faktach. Oto przykłady: w plany zabójstwa i bradzieży M. Rozumiecka wtajemniczyła brata Pawła, Marcina T. i Adama B.

Wszyscy temu zaprzeczali.

Zdaniem sądu na polanie mieli oczekiwać na przyjazd M. Rozumieckiej z dealerami Marcin T. i Paweł Rozumiecki. Zarówno siostra, jak i brat zaprzeczali temu, natomiast Marcin T. przyznał, że jechał wraz z M. Rozumiecką oraz pokrzywdzonymi jednym samochodem na miejsce przestępstwa.

W samochodzie zidentyfikowano ślad daktyloskopijny palca Marcina T. Jednak sąd nie wysnuł z tego faktu wniosku.

Sąd odmiennie ustalał wykonanie czynności przenoszenia telefonów z samochodu ofiar do taksówki. Najpierw sędzia napisała w uzasadnieniu wyroku, że telefonny przepalował Paweł Rozumiecki (co jest zgodne z jego wyjaśnieniem i Adama B.), po czym na dalszych kartach pojawia się stwierdzenie, że gdy z lasu wyszli M. Rozumiecka i Marcin T. wszyscy wspólnie zaczęli przenosić te aparaty.

Paweł Rozumiecki miał się odłączyć od zakopujących zwłoki i odjechać samochodem pokrzywdzonych. Ustalenie to sąd czyni na podstawie zeznań jego siostry. Tymczasem Małgorzata nie stwierdziła, aby brat brał udział w tej czynności. Podobnie zeznawał Marcin T.

Dałej z treści ustaleń sądu wynika, że Rozumiecki jednocześnie był w dwóch miejscach, tzn. w samochodzie oraz przy zakopywaniu zwłok. Zauważyć należy, że tę samą czynność sąd przedstawia odmiennie, w zależności od potrzeby.

Raz sprawcy „szybko i nerwowo” zaczęli zakopywać zwłoki, a ponadto P. Rozumiecki „szybko i nerwowo” odjechał samochodem. Te stwierdzenia miały wykarzać, że z uwagi na ogromne zdenerwowanie, sprawcy pozostawili na miejscu przestępstwa drogie przedmioty i dowody dokonanego przestępstwa oraz ślady

pozwalające na natychmiastowe ustalenie tożsamości ofiar. Natomiast w dalszej części uzasadnienia, gdy sąd omawia najsurowszy wymiar kary, określa zachowanie sprawców jako bezwzględnych w działaniu, skrupulatnie realizujących plan nawet w pewnym rozluźnieniu...

Jedynym dowodem służącym do ustalenia sądu było zeznanie świadka incognito nr 2 jako obserwatora zdarzenia. Sąd kilkakrotnie stwierdzał, że świadek ten bardzo dobrze widział, że na pewno strzelał najwyższy wzrostem mężczyzna.

— Tymczasem — dowodził w apelacji mecenas Brydak — gdyby sąd przeanalizował ten podstawowy dla swoich ustaleń dowód, musiałby dokonać całkowitej innej oceny: Świadek nr 2 nie mógł widzieć z całą pewnością osoby strzelającej, bowiem sam zeznał: ... „nie widziałem, kto strzelał. Ja zwróciłem uwagę na nich po strzałach. Mogę się domyślać, że to chłopak strzelał... Ale nie mogę powiedzieć na 100 procent”.

Tenże świadek incognito wskazał na istotną okoliczność, której sąd nie zauważył. A mianowicie stwierdził, że „w momencie zajścia nie było białego samochodu. Nadjechał kiedy już nie było osób, które coś zasyppywały”.

Białym samochodem odjechał P. Rozumcki — to okoliczność nie budząca żadnych wątpliwości. W tej sytuacji z zeznań świadka nr 2 wynika w sposób oczywisty, że w chwili oddawania strzałów oskarżonego nie było na miejscu zdarzenia.

Również kilkakrotnie powtarzane ustalenie sądu, że strzelał najwyższy wzrostem mężczyzna nie znajduje potwierdzenia w zeznaniach świadka nr 2 (tak na marginesie, należy dodać, że P. Rozumcki nie był najwyższym wśród osób na polanie).

Konkluzja adwokata: Nie sposób zrozumieć, jak w takich warunkach dowodowych Sąd Okręgowy potrafił z całą pewnością ustalić, że Paweł Rozumcki strzelał do pokrzywdzonych. Równie trudno zrozumieć argumenty, że „bezsprzeczną tak tyką siostry w kolejnych procesach była ochrona brata przed odpowiedzialnością karną”. Sąd nie dostrzegł, a więc i nie wysnuł wniosków z faktu, że między rodzeństwem Rozumckich istniał poważny konflikt. Natomiast przedstawił oskarżonego w jak najgorszym świetle, co zapewne miało potwierdzać jego udział w popełnionym przestępstwie.

Obrońca zauważył też wewnętrzną sprzeczność w ustaleniach sądu: Z jednej strony sędzia przyznaje, że Rozumcki nieprzeczuwający niczego złego, a na pewno nieświadomy tego, że przed laty wysłano za nim list gończy zwrócił się do Komendanta Generalnego RP w Nowym Jorku o wydanie nowego paszportu (chciał odwiedzić Polskę z żoną i małutkim dzieckiem). Z drugiej, sędzia uzasadniając wyrok zadaje pytanie: — Jeśli nie jest winien, to przed czym się ukrywał i to skutecznie przez 10 lat?

Zdumienie adwokata budziły ustalenia dotyczące wykorzystanie broni palnej w przestępstwie. Zdaniem mecenasa Jacka Brydaka sędzia w sposób mechaniczny i bez zrozumienia balistyki powieliła pewne stwierdzenia o locie kuli. — Sąd zdaje

się opierać swoją wiedzę na faktach filmowych, a konkretnie na westernach — do szedł do wniosku obrońca Pawła Rozumckiego po wnildowej i bardzo fachowej analizie kwestii balistycznych w uzasadnieniu wyroku.

Podsumowując: permanentnie naruszana była zasada *in dubio pro reo*, ponieważ wszelkie nie dające się rozstrzygnąć wątpliwości sędzia rozstrzygała zawsze na niekorzyść oskarżonego.

Rok później sąd apelacyjny w całości zgodził się z argumentami obrońcy i zwrócił sprawę do ponownego rozpatrzenia przez sąd niższej instancji. Uzasadnienie wyroku było druzgocące dla sędzi XVIII wydziału Sądu Okręgowego w Warszawie. Stwierdzono dowolne ustalanie pewnych faktów, wiele sprzeczności w wykorzystaniu materiału dowodowego i rażące naruszenie prawa oskarżonego do obrony.



Między kolejne dwa lata. Przed salą rozpraw Sądu Okręgowego tłoczą się dziennikarze, jest kilka kamer. Konwojenci wprowadzają na salę skutego Pawła Rozumckiego — będzie ogłoszony wyrok po ponownym rozpatrzeniu sprawy w wyniku apelacji.

Sędzia każe wstać... Padają najważniejsze dla oskarżonego słowa: 15 lat więzienia oraz pozbawienie praw publicznych.

Z uzasadnienia: „Postępowanie nie pozwoliło na ustalenie, kto oddał strzały do dealerów Ery i w jakim momencie Paweł Rozumcki w tym uczestniczył. Nie wiadomo, od kiedy oskarżony miał świadomość, że dojdzie do zabójstwa i na czym polegało konkretne działanie oskarżonego”.

Tych niewyjaśnionych okoliczności w uzasadnieniu wyroku jest tak dużo, że mecenas Jacek Brydak zapytany przez dziennikarzy, co sądzi o wyroku, komentuje krótko: „mój klient dostał 15 lat za to, że był świadkiem morderstwa”.

I zapowiedział ponowną apelację.

Adwokat wnosil w niej o uwiesnienienie Pawła Rozumckiego. Wskazywał w niej sprzeczne z logiką fragmenty uzasadnienia wyroku Sądu Okręgowego:

— „Zgromadzony materiał dowodowy nie pozwolił na ustalenie, jakie czynności sprawcze wykonywał oskarżony. Paweł Rozumcki miał jednak pełną świadomość, w jakim przestępstwie uczestniczy, skoro pokrzywdzeni zostali zwiabienie w miejscach, gdzie zostały wykopane uprzednio doły (sąd nie zdołał ustalić przez kogo), których wielkość jednoznacznie musiała wskazywać z jakim przeznaczeniem je wykonywano”.

— „Z dowodów ujawnionych na rozprawie wynika, iż nie można jednoznacznie określić, jaki był zakres czynności sprawczych poszczególnych uczestników zdarzenia”.

— „W przedmiotowej sprawie okoliczności zdarzenia wskazują jednoznacznie, iż oskarżony, jego siostra i nieustalony sprawca działali w bezpośrednim zamiarze pozbawienia życia (...)”.

... Podnieść należy, że Paweł Rozumiecki wypełnił znamiona rozbojów w postaci kwalifikowanej, choć postępowanie dowodowe nie pozwoliło na ustalenie, które konkretnie osoby oddały strzały do Piotra Ahtiokiwicza i Pawła Sulikowskiego? - „Przeprowadzone postępowanie nie pozwoliło jednakże na ustalenie w jakim zakresie oskarżony uczestniczył w przygotowaniach do przestępstwa. W ocenie Sądu oskarżony obejmował wszystkie znamiona przypisanych mu czynów i chciał ich popełnienia”.

- Niektóre istotne ustalenia Sądu Ołęgowskiego, na których oparto wyrok stwierdził meenas Brydak - są wręcz niezrozumiałe. Brak jest np. jakiegokolwiek przekonującego dowodu, że Paweł Rozumiecki wiedział o wykopaniu dołów i ich przeznaczeniu.

Z tych, którymi dysponował sąd wynikało, że Małgorzata Rozumiecka wciągnęła 16-letniego brata w tragiczne wydarzenie w ostatniej chwili, w momencie, gdy odjeżdżała samochodem swych ofiar wraz Marcinem T. W tych warunkach nie mógł być informowany o zamiarze zabójstwa, nie mógł wiedzieć o wykopaniu dołu. Oskarżony konsekwentnie wyjaśniał, że siostra poprosiła go o pomoc w sprzedaży telefonów i poleciła, żeby przyjechał do niej na łękę obok działek. Trudniła się sprzedażą „komórek” - nie miał więc powodu zastanawiać się nad tą propozycją.

To Marcin T. brał udział w przygotowaniach, pojechał samochodem z M. Rozumiecką i dealerami na miejsce przestępstwa, widział doł, musiał być przy zabójstwie, z Małgorzatą Rozumiecką zakopywał zwłoki, otrzymał od niej po sprzedaży telefonów 10 000 zł. I wobec takich faktów Sąd Ołęgowski przyjął, że tego oskarżonego należy skazać tylko za zabój mienia. Paweł Rozumiecki włączony w zbrodnię siostry w ostatniej chwili, dostał od niej tylko 2500 zł. Czy tak by wynagrodziła udział w morderstwie?

Sąd Ołęgowski uznał, że nie jest możliwe, aby oskarżony Rozumiecki pojawił się na miejscu zdarzenia w kilka sekund po strzałach. Zatem - „z całą stanowczością” był jednym z zabójców. Tymczasem pomiary dokonane na podstavie skali zamieszczonyj na policyjnym szklcu po znalezieniu zwłok wskazują, że odległość, jaka dzieliła go od miejsca śmierci pokrzywdzonych wynosiła 80 m. Taki dystans sprawy 16-latek potrafi pokonać w kilkanaście sekund. Sąd pierwszej instancji dowodu tego nie rozważył. Jak również zeznań świadków nr 2 i 5, którzy twierdzili, że obserwowane przez nich osoby pod lasem po strzałach zachowywały się bardzo nerwowo. Zatem podbiegnięcie tam jeszcze kogoś nie musiało być zauważone - szczególnie, że ci świadkowie incognito nie mieli zbyt dobrej widoczności. Zresztą w kolejnych zeznaniach zmieniali liczbę dostrzeżonych osób.

Konkludując: pomimo że Sąd Ołęgowski czterokrotnie rozpoznawał sprawę przeciwko Małgorzacie Rozumieckiej, nie wiadomo, kto i dlaczego strzelał do pokrzywdzonych, nie zostali ustaleni wszyscy sprawcy, nie wiadomo kto wykopał doł i w jakim celu, nie znaleziono broni palnej i nie wiadomo, jaka była to broń, dlaczego

sprawcy zostawili dokumenty pozwalające na natychmiastowe zidentyfikowanie pokrzywdzonych, nie zabrali samochodów i innych wartościowych przedmiotów - nawet gotówki i drogiego zegarka.

W procesie Pawła Rozumieckiego dodatkowo nie ustalono: w jakim zakresie uczestniczył on w przygotowaniach do przestępstwa, czy w ogóle brał w tym udział i co konkretnie wtedy zrobił.

- Tego rodzaju sytuację procesową - dowodził w apelacji obrońca Pawła Rozumieckiego - należy uznać za stan „niejącej się usunąć wątpliwości”, do którego musi być zastosowana reguła określona w art. 5 § 2 kpk. (Wątpliwości na korzyść oskarżonego). Dlatego domagał się uniewinnienia.

W chwili oddania książki do druku ponowna apelacja nie została jeszcze rozpatrzona.

Nie od razu poszli do sądu; myśleli, że zaszło nieporozumienie, które zapewne samo się wyjaśni. Wszyscy lokatorzy z kamienicy przy ul. Tykocińskiej 40 pamiętają, że Irena Krzeszewska była w karakulach. Może dlatego, że oni bez płaszczy, w kapturach, marzli na strychu, gdzie ich zgoniła, aby od drzwi wykrzyknąć, że jest właścicielką tej kamienicy, dotychczas komunalnej, a przed wojną należącej do Florentyny i Rocha Krzeszewskich. To było zaraz po Bożym Narodzeniu 2002 roku.

— Ja się zapytałam — wspomina Hanna Mocheczka — czy na spotkanie zapoznawcze nie stać ją na wynajęcie lokalu? A nie, żeby na stojąco, w kurzu poddasza, gdzie hula lodowaty wiatr. — To wyście powinni mnie zaprosić do któregoś z mieszkań, bo tu wszystko jest moje — odparowała. — Ta kamienica i cztery następne, wedle numerów: 30, 36, 38, 42. I jeszcze przy Hożej, Wspólnej. Wszystko dostaliśmy z mężem w spadku po cioci Florentynie Krzeszewskiej.

Zrobiło się nieprzyjemnie, bo gdy zaczęła mówić: ciocia to, ciocia tamto, ja pytam: — A gdzie państwo byli, gdy pani Flora była chora i potrzebowała opieki? Wtedy Karakulowa znów na mnie naskoczyła, co to za pytanie, ona sobie nie życzy takich poufattości, chyba się nie orientuję, z kim mam do czynienia, jest właścicielką kilku domów w Warszawie, wkrótce odzyska plac w Ursusie; ten, na którym dziś stoi fabryka ciągników.

— Krzyżowała — dodaje mieszkająca piętro wyżej Barbara Grzeszykowska — że podnosi nam czynsz. Chciała wejść do każdego mieszkania, zobaczyć jak jest urządzone, bo od tej pory, zapowiedziała, nie wolno już niczego zmieniać bez jej zgody. Odpychała nas, ale nie pozwoliliśmy jej przekroczyć progu. A gdy nazajutrz dozorczyni przyniosła nowe umowy, nikt nie podpisał. Była w nich mowa o wóndach, antenach zbiorczych, których jak świat światem, na Tykocińskiej nie widziano. Potem usiłowała nas podjudzać przeciwko sobie. Nie udało się.

Niby jeden zero dla nich, ale niepokój został. I trochę nadziei. A może tylko te czarne brajtszwance na Krzeszewskiej były prawdziwe? Może udawała, że ma pałac, że jest właścicielką? Na nią i jej męża Mirosława? Przecież nikomu ich do ręki nie dała. Trzeba sprawdzić — zdecydowali.

Najlepsza będzie do tego Hanna Mocheczka. Jest radną, niejedną trudną sprawę na warszawskim Targówku przepchnęła. A poza tym, nikt w urzędach jej nie zarzuci, że występuje w swoim interesie, gdyż mieszkanie ma wykupione.

Kilka dni później skrzyknęli się z całej uliczki, bo Hanka (zasiedzieli mieszkańcy znają się od dziecka, mówią sobie po imieniu) miała dla nich ważne wiadomości.

— Jest gorzej, niż myślałam — zaczęła. — Ci Krzeszewscy dostali kamienie w stamencie pani Flory, spisany przez nią w 1982 roku, na kilka miesięcy przed śmiercią. Na wszystko są orzeczenia sądowe. Oni te dokumenty załatwiali przez 12 lat. Krok po kroku.

Mocheczka wyjęła notatki: Rok 1990 — postanowienie Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi o nabyciu spadku po zmarłym w 1951 roku Rochu Krzeszewskim,

mężu Florentyny przez jego żonę i bratanka Franciszka K. z Bedlna. Sądowi wystarczył wypis z przedwojennej hipoteki potwierdzający, że w 1902 roku Roch na był działki budowlane przy ulicy Tykocińskiej.

— Ciekawe — zauważył ktoś z obecnych — czy o tej spadkowej sprawie wiedziała Jola...

— Ale gdzie ją znaleźć?

Jola, dziś koło siedemdziesiątki, mieszkała ze swoją ciotką Florentyną Krzeszewską przez 16 lat, aż do wyjazdu do Wrocławia na studia. A i potem, razem z siostrami, Elżbietą i Martą, były na każde zawołanie owdowiałej krewnej. I do końca życia ciotki w 1983 roku tylko one z rodziny pojawiały się na Tykocińskiej.

Radna znów sięgnęła do swoich notatek z dokumentów w dzielnicowej radzie. Wynikało z nich, że następnie Mirosław K. wystąpił o sądowe ustanowienie prawa do spadku po zmarłym ojcu Franciszku. Poszło gładko. Potem jest 6 lat przerwy, jakoby zainteresowany spadkiem po Florentynie bał się zrobić następny krok. Ale w końcu informuje Sąd Rejonowy dla Warszawy-Pragi, że jest jedynym spadkobiercą po zmarłej Florentynie. Na dowód przedstawia testament. Pomyślnie dla siebie postanowienie dostaje kilkanaście minut później.

— Czy wiadomo, jak brzmiał ten testament? — zapytała lokatorka, która od 1945 roku była sąsiadką Florentyny i zapamiętała słowa starszej pani, że gdyby kiedyś państwo zwracało majątek zabrany dekretem 1945 roku, to ona wszystko oferuje kościółowi.

— Wiadomo — zapewniła radna. Zdobyła kopię odręcznie napisanej ostatniej woli Florentyny Krzeszewskiej z 1982 roku: — „(...) Będąc świadomą, zapisuję cały swój majątek na rzecz mojego kuzyna Mirosława Czesława K. syna Franciszka”. Uwagi zgodniono przez sąd testament utworzył drogę bedniałom do stołecznego Urzędu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast. Domagają się unieważnienia orzeczenia Prezydium Rady Narodowej, jakie Florentyna Krzeszewska otrzymała w 1965 roku. Wtedy odebrano jej prawo własności tak do gruntu, jak i nieruchomości. Prezes Urzędu stwierdził 16.05.2001 r., że wywłaszczenie w czasach PRL nastąpiło z pogwałceniem prawa. W ślad za tą decyzją burmistrz Gminy Warszawa-Targówek cofnął skutki dekretu z 1945 roku i przyznał dzieciom Franciszka K. — Mirosławowi, Jerzemu i Krystynie prawa użytkowania wieczystego gruntu pod kamienicą przy ul. Tykocińskiej 40. Administracja Domów Komunalnych Targówek przeniosła na spadkobierców prawa własności budynku. Na marginesie swej decyzji burmistrz nieśmiało zaznaczył, że w latach 1982–1983 kamienica przeszła remont kapitałowy, m.in. została nadbudowana jedna kondygnacja. Część mieszkań sprzedano do tymczasowym użytkownikom.

— To już z nami koniec. Ja na tak wysoki czynsz, jak ta w karakulach zapowiada, na pewno obrazami nie zarobię — zmartwił się artysta malarz z sąsiedniej kamienicy, która też przeszła w ręce spadkobierców z Bedlna.

Mocheckiej nie dawała spokoju jedna myśl. Zastanawiała się na głos: – Jak to się mogło stać, że pani Flora właśnie Mirosławowi zapisała cały swój majątek? Czy to jakaś rodzinna tajemnica? Kto na Tykocińskiej słyszał o krewnych z Bedna? Na naszej krótkiej uliczce nie dało się przemiłnąć niepostrzeżenie. Gdy ktoś szedł do mnie, a ja wcześniej wybrałam się na miasto, zaraz wychylała się z okna głowa sąsiada, aby poinformować, o której godzinie przekreślałam klucz w zamku.

– Nie ma innego wyjścia – powtórzyła Barbara Grzeszykowska – musisz Hanka znaleźć tę Jolę. Tylko ona może coś wiedzieć.



Doktor Jolanta Kisielewska jest anestezjologiem w jednym z warszawskich szpitali. I tam wpadają sobie z Mochecką w ramię. Bratanica pani Florentyny ze zdziwieniem wysłuchuje opowieści swej dawnej koleżanki z podwórka. Nigdy nie słyszała o krewnym z Bedna.

– Przecież ja mam w domu testament cioci – mówi.

Jeszcze tego samego dnia radna dostaje do rąk poźółki już papier z inwokacją w górnym rogu: „Jezu ufam Tobie”. Czyta: – „Spadkobierczynią moją ustanawiam bratanicę Jolanę Elżbietę Kisielewską, córkę Gustawa i Marii, aby wykonała moją ostatnią wolę i uszanowała moje intencje, obdarzając niżej wyszczególnione zgromadzenia religijne oraz charytatywne, a mianowicie:

1. Jeżeli będzie można utrzymać odszkodowanie za plac, ewentualnie za zburzony dom przy ul. Wspólnej 75 (hipoteka nr ...) zapisuję je na Kościół Uniwersytet Lubelski.
 2. Odszkodowanie za oficyrę upaństwowioną 1 X 1956, częściowo zburzoną przy ul. Hożej 1a (hip. ...) zapisuję na Kościół Seminarium Diecezjalne w Warszawie.
 3. Dom przy ul. Tykocińskiej 30 (hip. ...) Praga Północ zapisuję dla osób starszych nie otrzymujących renty, mieszkających pod adresem S.S. Albertynki, Warszawa, ul. Kawęczynska.
 4. Dom przy ul. Tykocińskiej 36 (hip. ...) zapisany mnie przez męża Rocha Krzeszewskiego w testamencie z dnia 28. VIII 1950 roku zapisuję czcigodnym O.O. Karmelitom Bosym Dzieło Miśtynie Wrocław.
 5. Polowe domu przy ul. Tykocińskiej 38 (hip. ...) zapisanego mnie przez męża Rocha Krzeszewskiego zapisuję czcig. S.S. Zgromadzeniu św. Alberta Albertynkom z siedzibą ul. Kawęczynska 4a.”
- Podpis i data – 3 VI 1979 r.”

– Nie wykonałam testamentu – tłumaczy Jolanta Kisielewska, bo odzyskanie majątku byłoby dla mnie bardzo kosztowne. Porozumiałam się w tej sprawie z prawnikami władz kościelnych, którzy poradzili poczekać na ustawę reparywacyjną. Radna Mocheczka wie, co ma teraz zrobić – zawiadamia Prokuraturę Rejonową Praga-Północ. Prosi o wdrożenie postępowania w sprawie o domniemanie sfalszowania

testamentu. Musi się dobrze nachodzić, nim przekona organy ścigania, że są powody do alarmu. Na szczęście, zmienia się prokurator i od tej pory jest już z góki.

Przede wszystkim zostały zamówione ekspertyzy rzekomego testamentu Flory z 1982 roku. Specjaliści z kilku niezależnych ośrodków badawczych byli zgodni, że wielek liter na papierze może być określony jedynie wówczas, gdy minie mniej niż 18 miesięcy od ich zapisania. Zatem jednako brzmiące słowa z roku 1982 i z 1979 będą nie do rozróżnienia. Trzeba szukać innych tropów.

Ostatecznie biegli doszli do wniosku, że podpis Krzeszewskiej z 1982 roku, choć wygląda na autentyczny, został sfalszowany na podstawie jej prawdziwego podpisu z roku 1922, kiedy jako młoda wówczas kobieta parafowała akt notarialny. Testament prawdopodobnie został sporządzony poprzez zeskanowanie poszczególnych liter, które wyszły spod ręki Florentyny, ułożenie z nich w programie komputerowym tekstu, następnie przekopiowanie wydruku na kartkę przez szybę. Litera nie występujące w podpisie, a potrzebne w tekście testamentu usiłowano dopasować do pierwowzoru.

I to była pierwsza wpadka fałszerza.

Następnie podnął się na drobnym błędzie. Zapomniał, że pismo każdego człowieka nie jest w ciągu jego życia stabilne. Zmieniają się skoki linii, kąt nachylenia liter. Tymczasem rzekomy testament z 1982 roku nie był odzorowywany na próbie pism ofiarodawcy z końca 70., gdy miała już trzęsącą się starczą rękę, co widać na kartkach pocztowych, adresowanych do bratanicy Joli.

Zatem sfalszowany – ale przez kogo? Kazano Mirosławowi K. napisać pod dyktando kwestionowany testament. Mozolił się bardzo, stawiał kulfony, sadził grubie błędy ortograficzne. W czasie przesłuchania określili swoje wykształcenie jako podstawowe, ale wyglądało na to, że chyba nie ukończył nawet siedmiu klas. Stało się jasne, że to nie on podrobił testament. Pytanie kto, pozostało bez odpowiedzi. Do sądu wpłynął akt oskarżenia przeciwko Mirosławowi K... O to, że w 1996 roku posłużył się sfalszowanym testamentem twierdząc, że jest jedynym spadkobiercą po zmarłej Florentynie.

Szykował się trudny, poszlakowy proces. Lokatorzy kamienic przy ul. Tykocińskiej na warszawskiej Pradze nie zamierzali opuścić ani jednej rozprawy.

Tymczasem oszustom zaczął się usuwać grunt spod nóg. Pod znalezionym testamentem stało się wiadome, że w sprawie o plac i kamienice w Śródmieściu Warszawy, przy ulicach Wspólnej i Hożej samozwańców spadkobierców zgubiła chciwość. Gdyby zadowolili się kwotą, którą akceptował Urząd Mieszkalnictwa, miałby milion złotych w kieszeni. Ale oni chcieli jeszcze więcej, odwolali się, wchodząc w sądowy spór ze Skarbem Państwa. Nim doszło do wyroku, wyplłynęła sprawa sfalszowania testamentu. Wówczas prezes Urzędu Mieszkalnictwa zawiesił postępowanie administracyjne i anulował swoje poprzednie decyzje; postanowiono rozpatrzyć wszystko od nowa.

Zachłanne ręce krewniaków z Bedna zawłaszczyły natomiast rodzinny grobowiec Rocha i Florentyny Krzeszewskich. Zabytkowy obiekt, wyremontowany z kwasy na cmentarzu Bródzińskim, krył trumny jeszcze z ub. wieku. „Spadkobiercy” usunęli ludzkie prochy. Administracja cmentarza wpisała Mirosława jako właściciela.



Młyny sprawiedliwości miały powoli, zwłaszcza w sądach warszawskich. Dwie pierwsze rozprawy odroczone ze względu na nieobecność oskarżonego. Kolejna spada z wokandy, gdyż pozwany zmienił adwokata. Mirosław K. robi wszystko, aby odwlec wyrok. W międzyczasie sprzedaje jeden ze spadkowych domów swojej córce. Lokatorzy z Tykocińskiej solidarnie stawiają się na każdą rozprawę. — Tu chodzi o prawdę — zarzeka się malarz Kozłowski — o wolę zmarłej, którą jacyś przyszywańcy sponiewierali. Na Targówku wszyscy wspominają panią Florentynę z szacunkiem. Tyle w życiu przeszła i jeszcze po śmierci ktoś chce ją skrzywdzić.

Konkretna w robocie Mochecka przynosi od Jolanty Kistelewskiej kopię testamentu męża pani Flory. Treść tego dokumentu spisanego w 1950 roku w obecności notariusza wskazuje, że „przyszywańcy” go nie znali. W przeciwnym razie inaczej wyglądałaby ich pokrętna droga do zawłaszczenia cudzego majątku. Niestety, nie wykazał się doświadczeniem sąd, gdy swą pieczęcią ustanowił Mirosława K. spadkobiercą majątku Florentyny. Notariusz zapisał bowiem: „Ob. Roch Krzeszewski, aczkolwiek chory na cieple, jest zdrowy na umyśle i podyktował swój testament w osnowie następującej:

1. Na wypadek mojej śmierci zapisuję na własność żonie mojej Florentynie (...), nieruchomości w Warszawie: połozoną przy ul. Wspólnej nr 75, połozoną przy ul. Tykocińskiej nr 36, niepodzielną połowę nieruchomości przy ul. Tykocińskiej nr 38 oraz cały majątek ruchomy i wszelkie należności, jakie przypadają będą na mnie od osób trzecich.

2. Na własność wnuczce mojej Wiktorii Annie Florentynie Matyaszko zapisuję nieruchomości przy ul. Tykocińskiej nr 40.

3. Niepodzielną drugą połowę nieruchomości przy ul. Tykocińskiej nr 38 zapisuję na własność w równych częściach siostrzenicom moim: Stanisławie z Jędrzejczaków Kilanczyk, Ewie z Jędrzejczaków Ossowskiej — córkom Leokadii z Krzeszewskich Jędrzejczak i Helenie Kwiatkowskiej, córce Łucji z Krzeszewskich. Na wyżej wymienione wkladom obowiązek konserwacji grobu rodzinnego znajdujacego się na Cmentarzu Bródzińskim na Pradze”.

— Zatem — tłumaczy radna — oszuści dostali od administracji kamienice, które pan Roch podarował w testamentie komu innemu.

Radna poszukiwała Wiktorii Matyaszko. Jednakże, mimo usilnych starań, trafiła tylko na jeden ślad — zapis chrztu w kościele.

Tymczasem K. z Bedna sprzedał kolejne domy przy ul. Tykocińskiej swoim córkom i ich mężom.



Wreszcie dochodzi do procesu. Oskarżony chce, aby rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych, sąd nie widzi powodu do aż tak daleko posuniętej dyskrepcji. W ławach dla publiczności siadają prawie wszyscy mieszkańcy kamienic przy ulicy Tykocińskiej. Mirosław K. nie ucieknie od ich niezwykłych spojrzeń, kpiących uśmiechów, zdumionych min. Ta widownia będzie weryfikowała każde jego słowo. A także przyprowadzonych świadków.

Lokatorzy domyślają się, dlaczego zarówno adwokat, jak i żona oskarżonego pilnują, aby nie powiedział czegoś, co mu zaszkodzi w procesie. Z daleka widać, że to człowiek prymitywny, sprawia wrażenie, jakby nie rozumiał, czego sąd od niego chce. Męcenas jest wyraźnie spięty, gdy jego klient podrywa się, aby spontanicznie odpowiedzieć sądowi; przytrzymuje go ręką i z przytępieniem do twarzy uśmiechem szepcze do ucha coś, co wygląda jak reprimenda.

Oskarżony sprawia wrażenie porażonego niemotą, zaś jego żona wręcz przeciwnie, wyrzuca z siebie lawinę słów.

— Jak to było z testamentem od cici? — pyta sąd.

— Ano — opowiada pani Irena — wybrałiśmy się kiedyś do znajomych w Warszawie, to był rok 1982, tuż przed Bożym Narodzeniem. Mąż mówi, że przy okazji odwiedzi ciotkę Florę. Przygotowałam paczkę, wiadomo, jakie wtedy były czasy, wszystko na kartki. I pojechał na Tykocińską — sam, bo ja tej ciotki nie znałam, tylko jej męża, gdy za moich panińskich czasów przyjeżdżał do Bedna poodychać wiejskim powietrzem. Czekam, czekam, już się zrobiło ciemno, a mojego Mirka nie widać. Wreszcie dzwonek do drzwi. Wrócił. I gdy na chwilę zostaliśmy sami, szepnął mi: chodź na spacer, coś ci pokażę. Na dworze wyjął z kieszeni kopertę. Przeczytał, prosi... (pomruki z law — „Przecież było ciemno, srodek zimy, chyba pod latarnią czytali”).

— ...Ja się patrzę — ciągnie niezrażona Irena Krzeszewska — a to testament.

— Czy ten? — upewnia się sędzia, pokazując „Ostatnią wolę” Florentyny z datą 1982 rok. — Tak. Ja, proszę wysockiego sądu, nie przywiązywałam do tego papierka wagi. Powiedziałam, że bardzo ładnie, ale co nam z tego przyjdzie, przecież place i kamienice w Warszawie są upaństwowione. Mąż chciał od razu testament podrzeć i wyrzucić do kosza, ale mówię: — Schowaj na pamiętkę. I po powrocie do domu włożyliśmy kopertę do skrytki. Aż gdzieś w roku 1995, może trochę później, obejrzelśmy program telewizyjny, w którym jakiś pan ogłosił, że w Warszawie powstało stowarzyszenie kamieniczników i żeby się tam zgłaszały osoby zainteresowane zwrotem własności zagrabionej przez komunistów. Pojechaliśmy na spotkanie. Tłok był wielki, przyszło około 500 osób. Sami poszkodowani. Tak jak my, mieli przedwojenne kamienice, ale na papierze. Męcenas, którzy też tam byli, uczyli nas, jak postępować, żeby odzyskać swoją własność. Przeszliśmy, proszę wysockiego sądu, ciernistą drogę, bo wszędzie, w sądach i urzędach trzeba było wykazać rodzinne korzenie.

– Kim byli rodzice spadkodawczyni? – pyta sędzia.

– Tego to ja nie wiem.

– Czy pani pisała listy do Florentyny Krzeszewskiej, może zachowała się jakaś korespondencja?

– Raz na jakiś czas posłało się kartkę. Ale za to często dzwoniłam do cioci (wła-
wach ironiczne uśmiech, dogadywania. Niby szepciem, ale niesie po sali: – „Chyba
na pocztę, bo pani Flora nie miała telefonu”). Ostatnie pytanie tego dnia: – Kto to
jest pani Jolanta?

– Dokładnie to nie powiem.

Na kolejnej rozprawie Mirosław K., nadal potwierdzając swą niewinność, opo-
wiada, jak wyglądało przekazanie mu testamentu.

– Zwyczajnie, włożyła mi do kieszeni kopertę, powiedziała, że taka była wola
wujka Rocha. I jeszcze dodała, że może mi się to kiedyś przyda.

– A czy pani Florentyna była osobą wierzącą?

– Trudno powiedzieć. Chyba tak, jak to na starość, proszę wysokiego sądu.

– A jak wyglądała jej mieszkanie?

– Same stare graty.

– Proszę opisać dokładnie. Na przykład, czy była łazienka, jak urządzona.

– Nie specjalnego. Kafelki, terakota (z ław dla publiczności dochodzą do stołu sę-
dzowskiego pomruki oburzenia. I komentarze: „On tam nigdy nie był!”).

Sąd chce wiedzieć dokładnie, w jaki sposób Florentyna Krzeszewska zawiadomiła
oskarżonego, że przekaże mu testament. Mirosław K. jest na to pytanie przygoto-
wany, ma świadków.

◆ ◆ ◆

Stawia się Piotr P., lat 66, jest sąsiadem Mirosława K. Mówi, że w latach 50. często
widział pana Rocha w Bednie.

– Latem, proszę wysokiego sądu, sąsiedzi przyjmowali gości z Warszawy w ogro-
dzie pod jabłonią. A ja jako dziecko podglądałem zza płotu. Zapamiętałem, jak się
nazywa ten starszy pan, bo gospodarze często wznosili toast za jego zdrowie i wte-
dy padało nazwisko Krzeszewski (Szum w ławach. – „Co on za bzdury pleciel Pan
Roch, taki dystyngowany, człowiek starej daty, nie napiby się wódki pod drzewem!”).
Kolejny świadek – Zygmunt G., w tym samym wieku, co poprzedni. Też z Bed-
na. Opowiada, że jego tato i ojciec Mirka, znaczy oskarżonego Mirosława, służyli
w latach 50. w wojsku na Cytaдели w Warszawie i na każdej przepustce jeździli na
Tykocińską. Zygmunt G. wie o tym, bo jego tato często opowiadał przy kielichu, jak
to było, gdy go wzięli w kamasze (sędzia zwraca uwagę publiczności, że na sali roz-
praw obowiązuje cisza).

Na kolejnej rozprawie świadek Zdzisław B. zeznaje, że w roku 1982 roku pracował
w firmie zabawkarstwej, rozwoził towary do chałupniczek. Gdy był w Warszawie

u jednej z kobiet, przysła babulenka, pamięta, że miała na imię Flora. Poprosiła, aby
szybko zawiadomił w Bednie jej krewnego Mirosława K., bo ona musi się z nim na-
tychmiast zobaczyć. Świadek nie pamiętał adresu, pod którym mieszkała ta chałupniczka.
Ale Stawomir S., kolejny sąsiad oskarżonego, znał dalszy ciąg prośby „babulen-
ki”. Zeznał pod przysięgą, że w 1982 roku właśnie siedział u Mirosława K. w kuch-
ni, gdy wszedł pewien młody człowiek i powiedział gospodarzowi, że ma się zgło-
szyć do Warszawy do jakiejś pani Florcy w pińnych sprawach rodzinnych.

◆ ◆ ◆

Żadna z tych opowieści nie wytrzymała konfrontacji z zeznaniami mieszkańców
– byłych i obecnych – domu przy ulicy Tykocińskiej. Najważniejszy świadek – Jolan-
ta Kistelewska, która likwidując po śmierci ciotki jej mieszkanie, przeglądała szu-
flady, okazała sądowi znalezione tam różne dokumenty, zapiski, a także notes
z telefonami. Choć roło się w nim od różnych nazwisk, nie było krewnych z Bed-
na. – Przechowuję dużo listów, które ciocia otrzymywała od znajomych i nigdy nie
przewinął się w nich nazwisko oskarżonego – powiedziała pani doktor.

Świadek Henryk Żelazewski, który z Florentyną Krzeszewską przyjaźnił się przez
wiele lat i po sąsiedztwu zaglądał do niej niemal codziennie, nigdy nie widział męż-
czyzny siedzącego w ławie oskarżonych. Nawet w pobliżu mieszkania starszej pa-
ni. Wie, że na pewno nie wyleżała z mężem do Bedna. Jeśli już udawała się na
wiesć, to do rodzinnego domu świadka, który w ten sposób spłacał dług wdzięczno-
ści. Bowiem pani Flora pomogła mu zadomowić się w Warszawie, a następnie, gdy
często zachorowała jego żona po porodzie, pielęgnowała noworodka.

Zarówno Żelazewski, jak i inne osoby stojące za barierką dla świadka, jedno-
myślnie zeznawały, że w mieszkaniu pani Florentyny nie było wanny, glazury i tym
podobnych „lukusów”. Żyła bardzo skromnie, do mycia miała miskę, gotowała na
starej kuchence elektrycznej. Pan Henryk czuł się w obowiązku łatać przepalające
się sznury. A co do religijności Florentyny Krzeszewskiej, to określenie oskarżone-
go, że „chodzila do kościoła, jak to człowiek w starszym wieku” świadczy o zupeł-
nej nieznajomości tej kobiety.

Zeznał ks. prof. salezjanin Marian Graczyk: – Znałem panią Florę od 1971 roku,
gdy już nie mogła chodzić, nosiłem jej komunię. Była głęboko wierząca, oczekywa-
ła ode mnie dysputy na tematy biblijne. Dużo czytała, zadawał pytania głębokiej tre-
ści. Do końca życia zachowała jasność umysłu. Parę razy mówiła mi, że chce prze-
kazać swój majątek na KUL oraz seminarium Archidiecezjalne w Warszawie.
Niestosownością jest nazywanie jej babulenką.

◆ ◆ ◆

Lokatorzy walczyli w sądzie o prawdę, bo bali się samozwańców, pazernych wła-
ścicieli kamienic, ale też targali nimi złość, że kobieta, która żyła wśród nich przez

prawie 40 lat i nikt nigdy nie mógł powiedzieć na nią złego słowa, jest ponieważ rana po śmierci. Bo jakże to – nie uszanować ostatniej woli, ukraść majątek, który był przeznaczony dla kogo innego?

Z tego, co opowiadają, wyłania się obraz osoby nieprzeciętnej. Hanna Mohećka mówi, że jeśli jeszcze dzisiaj ktoś samotny, stary, niedołężny, a mieszkający przy Tykocińskiej może liczyć na to, że sąsiadki każdego dnia przyniosą mu zupę, poprawią poduszkę na łóżku, jest to zasługa pani Flory. Uczyla przykładem.

– Moi rodzice, którzy się z nią przyjaźnili, zawsze mi powtarzali, że mamy na Targówku anioła dobrotliwego – mówi radna. – To prawda – przytakuja bratanice Florentyny Krzeszewskiej: Jolanta, Elżbieta i Marta.

– Ale mylili się ten – zauważa Elżbieta – kto by sądził, że z naszej kochanej ciotki spływała sama słodycz. To była silna kobieta, wcale nie lukrowana, z mocnym charakterem, jak czołg, gdy dążyła do swego celu. I wcale nie tak znów otwarta wobec obcych. Życie bardzo ją mocno doświadczyło. Wśród nielicznych fotografii, jakie przetrwały pożogę Powstania Warszawskiego znajduje się małe zdjęcie w kolorze sepii. Widać na nim idące energicznym, równym krokiem dwie kobiety w eleganckich kostiumach i modnych kapeluszach-kubełkach. Zakiet tej starszej jest ciemny, stosowny do wieku, rozjaśniony dodatkami. Twarz oświetlona rondem roześmiana, szczęśliwa. Młodsza, bardzo urodziwa, ma ten sam szeroki uśmiech. Elegancki angielski kostium z miętko układającej się welny zdradza rękę pierwszorzędnego krawca. Od obu kobiet bije radość i aura rozumienia się w pół słowa. Chciałoby się im żywić, aby przez całe życie przeszły szczęśliwie tym samym zgodnym, mocnym krokiem. Podpis na odwrocie zdradza przekorność autorki. Brzmi zagadkowo: „Tyranizacja bezrobotna, nie ma kogo tyraniżować”.

Tak w roku 1937 pisze o swej matce Danuta Krzeszewska córka Florentyny. Właśnie zdała maturę w renomowanym Prywatnym Liceum Nazaretanek i wybiera się na filozofię na Uniwersytet Warszawski im. Piłsudskiego. Po latach jej szkolna koleżanka, Ilona Korompay, tak wspomina dom rodzinny Danuty przy ul. Wspólnej 75: – Często tam byłam, razem odrabiałymy lekcje. Mieszkanie bardzo obszerne, pięć pokoi dostatnio urządzonych, ale bez przesady. Ład i umiar panował we wszystkim. Pani Florentyna rozpoczynała dzień nucieniem psalmów. Budziła Danusię, dawała polecenie Władzi – pomocy domowej i spieszyła na mszę na godz. 7 do kościoła św. Barbary. Następnie odwiedzała tych spośród swoich lokatorów, którym trzeba było pomóc. Bardzo często dawała im pieniądze na opłacenie czynszu, aby nie sprowadzili sobie na głowę komornika. Danusia szła w ślady matki. Do szkoły brała teczkę wypchaną słodyczkami i kanapkami z drugim śniadaniem. Potem w branie wsuwała czekoladkę dziecku dozorcy, które nie znalo słodyczy, bo ojciec popijał, to znowu wkładała obłożone wędliną kromki chleba staremu kalece, wyczekującemu na nią od rana. Nim doszliśmy do szkoły, po śniadaniu nie pozostał nawet okruszek. Przez całą drogę towarzyszyły nam zdrowaśki obdatowywanych.



Danuta była oczkiem w głowie rodziców. Wcześniej przeżyli tragedię – dwie córki zmarły w dzieciństwie. Śmierć kilkuletniej Krysi, a także nagłe wymarzenie 800 drzew w sadzie pod Warszawą sprawiły, że Roch Krzeszewski zrezygnował z prowadzenia wielkotowarowego gospodarstwa na wsi. Kapitał zainwestował w nieruchomości. W 1922 roku kupił na wynajem okazałą kamienicę w centralnym punkcie stolicy przy ul. Hożej 1a, tuż przy placu Trzech Krzyży. Budynek był, jak na owe czasy, bardzo nowoczesny. Miał sześć wysokich pięt, windę i inne udogodnienia techniczne, wcale wówczas nie takie powszechne (dziś w tym miejscu jest tylko plac, nadal ogromnej wartości). Sami Krzeszewscy osiedli w swej drugiej śródmiejskiej kamienicy, przy ul. Wspólnej 75, w pobliżu parku.

– Pan Roch – wspomina sędziwa Ilona Korompay, świadek na procesie Mirosława K. – był demokratą. Zdaje się, że pod wpływem twórczości Żeromskiego rozpoczął wznoszenie „szklanych domów” na wynajem dla robotników po prawej stronie Warszawy, na Targówku. Mieszkania miały być tanie, ale z wygodami. Osobiście pilnował tej budowy. Wstawał codziennie przed szóstą, odspiewywał godzinki do Najświętszej Marii Panny i jechał na drugą stronę Wisły, na Tykocińską. Miejsce na budowę czterech kamienic było starannie wybrane. Patriota Roch wyobrażał sobie, że z okolic Tykocińskiej będzie promieniowała nowa cywilizacja na warszawską Pragę.

To był dobry adres. Choć wokół gęstwa ogrodów, docierał do nich głuchy dźwięk dzwonu przy ul. Radzymińskiej, sygnalizujący odjazdy pociągów z dworca Warszawa Wileńska. Właśnie ukończono budowę wąskotorówki, która łączyła Targówek z podwarszawskimi miasteczkami, żyjącymi z pracy w stolicy: Zacziszem, Markami, Drownicą, Radzymininem.

Krzeszewscy czuli się odpowiedzialni za rozwój dopiero co odrodzonej Polski. Jolanta Kisiełewska odnalazła po śmierci ciotki w jej papierach poświadczenie Ministerstwa Skarbu II RP wydane 8 lipca 1920 roku, gdy trzeba było wspomóc armię, wycieńczoną wojną bolszewicką: „Zaświadcza się, że Wielmożna Pani Florentyna Krzeszewska złożyła w dziale rachunkowym tutejszego Ministerstwa następujące przedmioty i monety: 3 złote pięćciorublowki, 7 obrączek złotych ze złota dukatowego z inicjałami, 3 złote pierścionki, dwa sygnety złote starej roboty, dwa złote kolczyki, złotą dewizkę męską, złoty zegarek damski, złoty zegarek firmy Patek, łańcuszek złoty damski długości dwa i pół łokcia, zegarek srebrny o 3 kopertach, medal srebrny z napisem (...), łyżeczki srebrne 83 sztuki, 88 sztuk półrubliówek, bilion srebrny wyliczony” itd.

W 1930 roku Krzeszewscy kupili rozległy plac pod budowę kościoła i parafii przy ul. Tykocińskiej. Florentyna dosłownie traktowała napis na warszawskim kościele św. Michała: „Bogu z Jego darów”. W 1923 roku dała spore kwoty biednym siostronom zakonnym Skrytkom w Chotomowie, w 1926 roku otworzyła męzowski portfel dla ks. proboszcza Marcellego Ryniewicza, który sam w obdarłej sutannie, grosz po

groszu, zbierał na budowę kościoła przy ul. Łazienkowskiej. Nieraz widziała go, jak z wielką torbą na plecach przemierzał wysypiska w poszukiwaniu kawałka błachy czy gwoździ przydatnych na budowie.

Świątynia powstała, ale ksiądz zmarł z wycieńczenia.



Wybuch wojna. Danuta nadal nosi ciężki warkocz w rzadko spotykanym kolorze popielaty blond, ale już jako studentka trzeciego roku filozofii. Jest młodszą asystentką w katedrze prof. Władysława Tatarakiewicza. Zna cztery języki. Już po wojnie profesor tak ją będzie wspominał: „Cechowała ją niepojęta szybkość rozwoju, niespotykana w tych młodych latach dojrzałość i szerokość umysłu. Najgłębsze jej zainteresowania leżały w granicach filozofii i sztuki. W *Zagadnieniach filozofii* opracowała rozdział o estetyce, podjęła pracę o filozoficznych założeniach A. Huxleya. Zespółiły się w niej i spotęgowały wszystkie własności tego grona: najprzedniejsza kultura umysłu otwartego na wszystko i wszystko rozumiejącego, polet myśli zadnym dogmatem nieobciążonej, głęboki stosunek do życia, a zarazem zupełna, godna filozofa o nie niedbalstwo, a z tym wszystkim – mimo zrozumienia i odczucia urorków życia, beznadziejny smutek, pełno nieszczęścia, jakby instynkt pokolemia, któremu sądzona była zagłada”.

I wielka odwaga. Gdy we wrześniu 1939 roku pionie uniwersytecka biblioteka, studenci siedzą ze swymi wykładowcami w schronie. Nikt nie odważa się pod gradem pocisków ratować cennych książek. Danuta jako jedyna wybiega na nieosłonięty dziedziniec. Ta determinacja pociąga innych. Panna Krzeszewska dostaje Krzyż Walki.

A potem Florentyna wielokrotnie słyszy w domu: – Matku (bo tak pieszczotliwie zwracała się do niej córka), trzeba pomóc. No, nie ma wyjścia. I mieszkanie przy Wspólnej staje się schronieniem dla siostr. Nazaretanek, ks. Mieczysława Sypulowskiego, który był w AK i musiał uciekać z łodzi, dwóch rodzin żydowskich lekarzy poznanych przed wojną w sanatorium w Truskawcu i innych jeszcze osób, które pojawiały się i znikaly, ulokowane w bezpiecznym miejscu.

Gdy wybuch powstanie, Danuta wraz narzeczoną, Tadeuszem Rosenhauchem (pseudonim Graszewski), który jest lekarzem, opiekują się chorými w Wojskowym Szpitalu Małkowskim. Do budynku szpitala przy ul. Senatorskiej wtargnęły 14 sierpnia 1944 roku oddziały własowców i Niemców. 280 rannych oraz 800 pogorzelców z Woli i Starówki znalazło się na ulicy. Pielęgniarki i lekarze przeprowadzili lub przemieszli na noszach chorych przez Ogród Saski do szpitala wojskowego w podziemiach gmachu PKO przy ul. Jasnej, dla lżej rannych zmontowano łóżka w gmachu przy ul. Zgoda. Danuta była z nimi.

Poszła do powstania za wiedzą matki. Dla obu było to oczywiste. Florentyna wyszła znacznie starszego od niej męża na wieś i jako komendantka terenowej ochro-

ny przeciwlotniczej czuwała nad bezpieczeństwem mieszkańców kamienicy przy ul. Wspólnej 75. Ktoregós dnia zobaczyła przez okno, że w ich kamienicę wymierzone jest działo (warszawiacy nazwali je krową, bo przed uderzeniem ryczał). Wybiegła na korytarz, ściągnęła lokatorów do schronu. Z piwnic było przejście pod inne budynki. Zostało przekopane wcześniej, na żądanie Florentyny. Dzięki temu 15 sierpnia wszyscy wydostali się na ulicę, kilka minut przed runięciem ich domu.

Florentyna znalazła dach nad głową u siostr. Zmartwychwstanek przy ul. Mokotowskiej, gdzie znajdował się powstańczy szpital. Wśród konających była młoda kobieta z trzymiesięcznym synkiem. Gdy umarła, pani Flora zaopiekowała się niemowlęciem. Oddechowała je, karmiąc kleikiem ze zmielonych ziaren pszenicy, które dostawała od zakonnic (zdobycie mleka było niemożliwe). Już po powstaniu znalazła się ciotka chłopczyka i zabrała dziecko, jak własne. W nowych rękach dziecko zmarło.

Ale to wszystko zdarzyło się kilka tygodni później.



Trwa powstanie. 4 września okolice ul. Jasnej są szczególnie mocno ostrzeliwane z moździerzy. W szpital trafia pocisk artyleryjski, upada między piętami. Gmach pionie. Ranni ewakuowani są do budynku firmy wydawniczej Gebethnera i Wolffa oraz na skwer przed szpitalem. Tadeusz z Danutą wynoszą ranną. Ginę wraz z nią. Gdy do Florentyny dociera tragiczna wiadomość, łapie dwie poduszki i biegnie na Jasną. Cudem wyciąga spod gruzów ciała córki i jej narzeczonego, podkłada im pod głowy jaśki. Ale za chwilę jest następny nalot i na dziedziniec spada ściana kamienicy, grzebiąc odszukane zwłoki. Florentyna po raz drugi szuka w gruzach, tym razem bezskutecznie. Szukała i po wojnie, gdy w Warszawie trwała ekshumacja zwłok. Gdy już straciła nadzieję, przypomniała sobie o poduszkach. Zaczęła krążyć wśród robotników ekip sanitarnych pytając, czy może widzieli unoszące się w powietrzu pierze. Komus utkwiły w pamięci fruujące białe piórka.

Ciała Danuty i Tadeusza wygrzebała w ostatnich chwilach, tuż przed wejściem buldożerów. Pochowała ich razem na Powązkach. Po roku Rosenhauchowie postanowili przenieść prochy syna na cmentarz żydowski w rodzinnym Krakowie. Florentyna była przy ekshumacji zwłok. Wełniany samodziąłowy kostium, który Danuta miała na sobie, zachował wszystkie kolory.

Po powstaniu Krzeszewska wyszła razem siostrami zakonnymi do Pruszkowa. A potem wróciła z mężem do Warszawy, ale już nie do Śródmieścia, tylko na peryferiję ul. Tykocinska. Akurat w jednej z ich niedgdy upaństwowionych kamienic był wolny pokój z wnąką kuchenną. I tak zostali lokatorami we własnym domu. Płacili czynsz, przestrzegali regulaminu wywieszzonego na klatce. Gdy z pustymi rękami zjawili się na Targówku, jeden z sąsiadów dał im garnek, drugi misę do mycia. Stara szafa została po poprzednich mieszkańcach.

– Nigdy nie żaliła się na swój los – twierdzą zgodnie mieszkańcy kamienicy przy ul. Tykocińskiej. Mówiła, że ta bieda nie obchodzi jej. Tak jak nie obchodziło jej przed wojną bogactwo. – Trzeba sobie radzić, powtarzała. – Nie mam pieniędzy na ciasto? To kupię kawalek najtańszego sera i posypię cukrem.

◆ ◆ ◆

Ale chwilami musiała być jej bardzo ciężko. Gdy Jolanta Kisielewska likwidowała mieszkanie ciotki po jej śmierci, w szufladzie znalazła spisana „Prośbę o wytrwanie”: „Dobry Boże. Proszę Cię o tę łaskę, abym w największym cierpieniu umiała powiedzieć: Bądź wola Twoja, tak, Ojcze. Chcę pamiętać o tym, że ten wielki krzyż, który mi dałeś, jest dowodem twojego zaufania do mnie. Proszę pokornie, daj mi siły do wytrwania, bo ty najlepiej znasz moją słabość i nędzę”.

Już do końca życia musiała się liczyć z każdą złotówką, bo z powstania wyszła tak, jak stała, nieruchomością zabrano im dekretom, a mąż już w podeszłym wieku na żadną etatową pracę nie mógł liczyć. Nianczyła dzieci w rodzinie zaprzyjaźnionej jeszcze przed wojny.

Gdybyż jeszcze te zarobione grosze przeznaczała na swoje potrzeby. Ale nie. Wyznawała zasadę, że musi wspomóc biedniejszych od niej, mniej zaradnych.

– W mieszkaniu ciotki był ruch jak na dworcu. Jedni przychodzili, inni wychodzili – śmieje się pani Elżbieta, siostra Jolanty Kisielewskiej. Przy drzwiach stał taboret, na nim paczki, z którymi biegaliśmy na pocztę. Albo sąsiad pan Henryk, póki ciotka się na niego nie obraziła, gdy po raz kolejny reperując jej stary sznur do maszyny elektrycznej wyrzucił go do śmieci i sprezentował nowy. Miała pretensje, że wydała pieniądze na luksusy, a przecież można było jeszcze pokleić i za zaoszczędzone złotówki kupić coś biednym dzieciom, którymi zajmowali się polscy franciszkanie w Indiach.

Paczki, obszyte białym płótnem, z adresem wypisanym kopiającym ołówkiem, szły do misjonarzy w różne egzotyczne strony świata. Wolno było wysłać do 10 kg, więc wszystkie produkty były skrupulatnie ważone i starannie dobierane, ciasteczka pieczone według specjalnej receptury, żeby się nie zepsuły w czasie długiej podróży, zazwyczaj drogą morską.

Osobne wsparcie dostawały zakony w Polsce. Florentyna, mimo zerwania kontaktów z wielkomięską Warszawą, miała mnóstwo znajomości. Zwłaszcza w kręgach kościelnych. Należała do Towarzystwa Przyjaciół KUL-u, spotykała się z wykładającymi tam profesorami. Gdy wyjeżdżała z Warszawy, stęskniony mąż pisał jej listy wierszem: „Czekałem na Ciebie wczoraj/ Czekałem od rana do rana/ Wiodła mnie w pole tęsknota/ Miłością pijana. (...)// Powiem ci prosto i szczerze/ Ty moje dzwigne kochanie, /Choćbym wieki miał czekać, /Dość sił mi na to stanie./ Bo cóż mam czynić mój Boże, jak tylko czekać do końca/ Wszak tyś moim zachodem i wschodem mego słońca”. Podpisywał się – Roszek. Florentyna przeżyła go o ponad 30 lat.

W kamienicy lokatorzy zwracali się do niej jak do właścicielki; gdy ktoś chciał przeprowadzić generalny remont, pytał panią Florę, czy zezwala. A ona odpowiadała, że bardzo proszę, dzięki temu mieszkanie będzie miało większą wartość. Było to jak puszczanie oka do kogoś, kto rozumie bez słów. Tak naprawdę, nikt nie wierzył, że wróci stare prawo własności. Lokatorzy chcieli w ten sposób wynagrodzić krzywdę Dobrej Pani – jak ją nazywali między sobą – którą, gdy chorowali, zawsze miała pod ręką lecznicze zioła i robiła im zastrzyki, żeby nie wydawali na pielęgniarkę. Stałe ktoś pukał do jej drzwi ze swoim zmartwieniem, a Flora znajdowała sposób, jak wybrnąć z kłopotu. Tylko w wigilię chciała być sama. Nawet bez bratanicy Jolanty. Nikt z rodziny nie wie, jak Florentyna Krzeszewska spędzała ten szczególnie wieczór. Czy szykowała kolację, stała puste talerze dla swych drogich zmarłych? Bo że była z nimi, to mówiła wprost do bratanic. Na stole zawsze stała fotografia roześmianej Danusi w czarnej sukience.

Nie bała się śmierci. Gdy kardynał Wyszyński ciężko zachorował, za jego zdrowie ofiarowała Bogu swoje życie. Potem mówiła: – Moja ofiara została odrzucona.

Nosiła w sobie stały ból, że Danuta odeszła bez ostatniego sakramentu i będzie musiała przejść przez czyszczenie. Zaprzyjaźniony ksiądz pocieszał, że jeżeli ktoś ginie za ojczyznę, od razu jest zbawiony.

◆ ◆ ◆

Oskarżony Mirosław K. uchwycił się ostatniej deski ratunku – zażądał trzeciej ekspertyzy grafologicznej, tym razem na dowód, że sfałszowany testament otrzymał z rąk Florentyny. Brzmiało absurdalnie, mimo to sąd zgodził się na kolejną kosztowną ekspertyzę. Różne kartki zapisane ręką ciotki zostały odesłane do analizy. Prof. Tadeusz Tomaszewski z Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, biegły sądowy, badał poszczególne litery przy pomocy lampy emitującej promienie ultrafioletowe, a także mikroskopu stereoskopowego, stokrotnie powiększającego obraz. Szczegółowa opinia przesłana do sądu na kilkunastu stronach maszynopisu potwierdziła wcześniejsze ustalenia prokuratury.

Sąd uznał, że oskarżony, który do końca twierdził, że jest niewinny, co najmniej współdziałał w zleceniu podrobienia testamentu. Podwyższył karę, jakiej domagał się prokurator. Zamiast dwóch lat z warunkowym zawieszeniem, trzy lata bezwzględnie pozbawienia wolności.

Lokatorzy kamienicy przy ul. Tykocińskiej odetchnęli z ulgą. Nabrali przekonania, że nad wszystkim czuwa z góry pani Florentyna. Szkoda tylko, że jak zwykłe, nie zadbała o pieniądze. Oskarżony przedstawił się w sądzie jako biedny rolnik z minimalną emeryturą, w związku z tym sąd zwolnił go od kosztów. Tymczasem oni zobaczyli w Bedlinie na posesji tego rzekomo wegetującego w nędzy chłopca luksusowy zajazd z hotelem. Swoje usługi Mirosław K. ogłasza w internecie.

Wyrok nie jest prawomocny. Mirosława K. nadal jest sądownie uznanym właścicielem majątku, pozyskanego mocą rzekomego testamentu. Działa się rzecz paradoksalna – żeby spełnić ostatnią wolę Florentyny K., jej bratanica musiała wnieść sprawę cywilną o zmianę postępowania dotyczącego stwierdzenia nabycia spadku. To zapowiada długą drogę procesową.

Tymczasem lokatorom, którzy nie chcą płacić czynszu nowemu właścicielowi – ich zdaniem złodziejowi – grozi eksmisja. Równocześnie nie mogą się doprosić kon- ta depozytu sądowego, gdzie mogliby lokować swoje należności, żeby potem nie trzeba było załdadać kolejnej sprawy o odzyskanie kwot wpłaconych niewłaścicielowi osobie.

Gmina powinna się bić o te kamienie – mówi Grzeszykowska, przewodnicząca powołanego przez mieszkańców stowarzyszenia do obrony ich praw – zwłaszcza o dom pod numerem 40., który w testamencie przypadł wnuczce Rocha. Do uprawomocnienia się wyroku ani Mirosławowi K., ani jego żnięciowi, który ten budynek bezprawnie od teścia nabył, nie wolno czerpać zysków z czynszów. Tymczasem ludzie, którzy podszyci się pod spadkobierców, odebrali duże odszkodowania od gminy za mieszkania, wcześniej sprzedane lokatorom.

Aleksandra Gudzowatego zastają przy pisaniu kolejnego felietonu na swój blog. Ma czas i satysfakcję – w interesach zastój, a wpisy internetów żywo reagujących na jego refleksje są zdumiewająco liczne. Inna rzecz, że nie bardzo chce mu się dziś myśleć o biznesie. Jutro jedzie do Krakowa, gdzie w przyklas- tornych kościele siostr Norbertanek weźmie ślub z Danutą Korycką, jego wielo- letnią towarzyszką życia. – To będzie bardzo dla nas ważna, ale dyskretna uro- czystość – zapowiada Gudzowaty, nie kryjąc radości. – Czytała pani mój list do Wielkiego Elektryka?

Czytałam na blogu biznesmena. To wyznanie 72-letniego niegdyś agnostyka, któ- ry przewartościował swój światopogląd i próbuje, już z pozycji wątpiącego, ułożyć się z... Wielkim Elektrykiem od świątości.

Ale nie o tym będziemy rozmawiać. Interesuje mnie całkiem inna strona cha- rakteru człowieka, ciągle z pierwszej dekadzie najbogatszych Polaków w rankingu tygodnika „Wprost” – jego gotowość do walki z przeciwnikiem. Świadczy o tym liczba procesów, które wytoczył pomawiającym go w opinii pu- blicznej, czy też podstępnie szkodzącym jego interesom.

He ich było? Policzny najważniejszych wśród pozwanych (każdy do osobnej spra- wy): Konstanty Młodowicz, Marian Błędniał, Witold Michalowski, Piotr Nałmski, Lech Kaczyński, Tomasz Wróblewski, kierownictwo rosyjskiego Gazpromu. – Nie mam natury pieniacza – tłumaczy prezes Bartimpexu – ale nie mogłem mil- czeć, gdy chcieli mnie wdeptać w ziemię tylko dlatego, że się dorobiłem. Oszczer- ców nie interesowała moja praca, a wyłączenie stan konta.

A przecież nic mi w życiu nie podano na tacy.



Kiedyś w Moskwie, a także na Syberii, był noszony na rękach. To odległa epoka Związku Radzieckiego, rok 1973. Gudzowaty był wtedy pełnomocnikiem ds. eksportu Państwowej Centrali Handlu Zagranicznego Textilimpex. Wydelegowali go do Mo- skwy, aby sprzedawał polską konfekcję i bistor z łódek fabryk Koszmarnego „ela- stiku” upchnął Moskwie za 30 mln dolarów, Rosjanie płacili bawelną. Potem, jako dyrektor Kolmexu, centrali handlującej głównie maszynami kolejowymi, upłyniał na wschodzie wagony. W barterze za gaz.

O tym, jak się dogadywał z Rosjanami, powstały legendy. Te umowy, podpisy- wane z dyrektorami w saunie, imprezy promocyjne nad Bajkałem organizowane z ułamską fantazją... Z okazji 8 marca prezenty w postaci złotych krzyżyków cer- kiewnych dla szanownych małżonek rosyjskich oficyali...

Towar za towar, ale rozliczany w twardej walucie. Jeszcze w grudniu 1990 r., gdy kraj Rad już się rozpadał, załatwił barterowy kontrakt na sprzedaż w głębi Rosji kil- ku tysięcy wagonów (obiecane towarzyszom dostarczyć cysterny kolejowe, bez których nie mogli się obejść, pod warunkiem, że potrafią skłonic Moskwę, aby zamówienie

wprowadziła na listę zobowiązań rządowych). Za cysterny Polska dostała miliard metrów sześciennych gazu.

Prawdziwy talent zaprezentował w okresie, kiedy Rosjanie stosowali wskaźnik rubel za dolara. Zaproponował w negocjacjach ten sam przelicznik w odniesieniu do polskich towarów i oni się zgodzili. Gudzwaty wrócił do Warszawy z opinią nieprawdopodobnie sprytnego negocjatora.

Zaraz też odezwali się zawistnicy. Ktoś puścił plotkę do mediów, że szef Kolmexu ma w umowie o pracę premię w wysokości dwóch promili od zysków. Skoro więc załatwił duży kontrakt, to znaczy, że dobrze na nim zarobił. – Jak to się ma do nędżnych kwot „na pasku” górników? – zapytał komentator z czolowego dziennika.

I Gudzwaty stracił państwową posadę. Jak potem wielokrotnie opowiadał w wywiadach, będąc bezrobotnym, godzinami leżał na tapczanie i słuchał przeboju radiowej jedynki „Wio koniku, a jak się postarasz?”. Aż któregoś dnia się zerwał, wyszedł na taras, nasytał na własne grządkki i raz na zawsze pożegnał etatowe posady.

Otworzył prywatną firmę Bartimpex – do handlu przetartym już szlakiem z Rosjanami. Był rok 1991, w imperium za Bugiem brakowało żywności. Zaproponował Moskwiem kontrakt na 100 000 ton pszenicy.

Zarobione pół miliona dolarów wpakował w wystawę polskich towarów w Pałacu Geologa w Tiumeniu, miejsce za kołem podbiegunowym u nasady półwyspu Jamal, gdzie są ogromne złoża gazu ziemnego. To był show, jakiego w tym mieście nigdy nie widziano. Po eskpozycji oprowadzały urodziwe polskie hostessy, a czterdziestu tancerek znał Wisły (czyli „z zapada”) uwodziło ze sceny zgromadzonych handlowców. Śpiewała pełną pierśią Zdzisława Sośnicka. Kolorowa ekipa odwiedziła też inne szare socrealistyczne domy kultury pod biegunem.

W czasie tej podróży Gudzwaty spotkał się w saunie w Orenburgu z Remem Wiachiriewem, szefem koncertu gazowego Gazprom.

Wkrótce potem Gazprom zażądał od Polski natychmiastowej zapłaty za dostawę gazu. Nie było mowy nawet o miesięcznej zwłoce. A tymczasem państwowy importer Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG) miał nie tylko deficyt w kasie, ale i spory – 280 mln dolarów – dług wobec Rosjan. Dyrektor Gazpromu nie rzucił słów na wiatr. Przez tydzień kurek od gazowej rury był prawie zamknięty...

Wtedy to Gudzwaty zaofertował się jako pośrednik w międzynarodowych rozmowach. Zaproponował Moskwiem (Gazprom był poniekąd agendą Kremia) dostawy żywności i innych towarów. Na pieniądze od PGNiG zgodził się poczekać nawet rok. I gaz ze wschodu popłynął... A polskie fabryki maszyn, porcelany, konserw, żup w proszku, mebli itd. dzięki eksportowi via Bartimpex – nie splątały. Władza w Polsce to doceniła.

Jeszcze w 1994 roku Jan Olszewski przypominał w Sejmie rolę Aleksandra Gudzwatego w rozwiązywaniu gazowego kryzysu z zimy 1992 r.: – Oto znalazł się człowiek opatrnościowy, któremu trzeba w tym miejscu oddać hold – grzmiał poseł

– bo potrafił z Gazpromem załatwić to, czego nie mógł dokonać właściwy minister, ba, cały rząd, łącznie ze mną, wówczas premierem.



Ale wróćmy do roku 1993. Jest już po porozumieniu się Wałęsy i Jelcyna w sprawie budowy przez terytorium Polski 650 km gazociągu jamalskiego.

Polski odcinek ma wybudować spółka EuRoPol Gaz, w której współnikami są po połowie państwowy importer i dystrybutor gazu PGNiG oraz rosyjski Gazprom. Tuż przed ostatecznym uzgodnieniem statusu przyszłej spółki okazuje się, że umowa zawiera błąd prawny. Mianowicie, obowiązujący ówczesnie kodeks handlowy przewidywał, iż spółka akcyjna musi mieć co najmniej trzech założycieli.

PGNiG na trzeciego założyciela (4% akcji w EuRoPol Gazie) proponuje spółkę Gas Trading, w której jedną czwartą udziałów ma Bartimpex Aleksandra Gudzwatego. Przedstawiciel polskiego rządu porozumiewa się ze stroną rosyjską, Wiachiriewem się zgadza.

Gas Trading, podobnie jak Bartimpex, miał być pośrednikiem w handlu rosyjskim gazem. Mógł sprzedawać rocznie PGNiG do 2 mld metrów sześciennych i zarabiać na marży dzięki upustom, jakie dostawał od Rosjan.

Budowa pierwszej nitki gazociągu jamalskiego (druga nadal pozostała tylko w projektach) skończyła się we wrześniu 1999 roku. Do tego czasu Bartimpex miał interesy z „wielką rurą” na kilku frontach: jako udziałowiec (przez Gas Trading), bezpośredni wykonawca gazociągu oraz warszawskiej siedziby EuRoPol Gazu, pośrednik handlowy i dostawca.

Aleksander Gudzwaty stał się miliarderem. Dzisiaj mówi, że do zasobności portfelu nie przywiązywał zbytnej wagi. Taką postawę wyniósł z domu. Jego ojciec studiował przed wojną filozofię w Rzymie, ale w PRL był magazynierem w Widszewskiej Fabryce Maszyn. Matka pracowała jako pielęgniarka. Sam był zaskoczony, gdy nagle w rankingu stu najbogatszych Polaków we „Wprost” uplasował się w roku 1993 na drugiej pozycji.

– I w tym momencie – ocenia dzisiaj Aleksander Gudzwaty – upatrzyła mnie na swój cel „łoża minus pięć”.

Proszę o konkrety, może będzie mi łatwiej rozszyfrować tajemnicze hasło. – Nie wszystko mogę ujawnić – gospodarz na to – ze względu na swoje bezpieczeństwo. Ale kilka zweryfikowanych już przez prokuraturę przykładów...

Oto Konstanty Miodowicz, ówczesny szef kontrwywiadu, wysłał do premiera Waldemara Pawlaka nieprawdziwą opinię UOP o Bartimpexie, rzekomo powiązanym z rosyjską mafią, handlującym czerwoną ręką, materiałem używanym w reakcjach jądrowych. Anatemę z biznesmena zdjął dopiero nowy szef UOP Gromostaw Czempinski.

– Odetchnąłem – wspomina Gudzwaty – ale ledwo na miesiąc. Bo wtedy do premiera Pawlaka przyszedł drugi donos na mnie, tym razem od Mariana Biedniaka.

Kim był Błędniak? – nieudany konkurent Gudzowatego w handlu z Rosją. Kiedyś pracowali biurko w biurko w Textilimpexie, obaj byli kandydatami na placówkę w Kraju Rad. Ale tylko jeden pojechał. Błędniak nigdy nie wybaczył swemu koleźce kariery w Moskwie. Ponownie próbował się z nim zmierzyć jeszcze raz w latach 90., gdy założył firmę do handlu z Rosją. Ale znów przegrał z Gudzowatym i musiał się ze wschodniego rynku wycofać. W 1994 r. wysłał list do premiera Waldemara Pawlaka z informacją, że w EuroPol Gazie „języczkiem u wagi decydującym o większości głosów” stał się Gas Trading. A to narusza międzynarodowe porozumienie, wedle którego miało być tylko dwóch partnerów. Błędniak straszyl: „W praktyce może dojść do tego, że polski odcinek rurociągu stanie się zagranicznym korytarzem na terytorium naszego kraju”. Konkurent Gudzowatego zaproponował renegotjowanie składu akcjonariuszy EuroPol Gazu i wprowadzenie do niego dwóch innych polskich firm – w tym jego własnej.

Do renegotjacji składu akcjonariuszy w EuroPol Gazie nie doszło, bo w 1994 r. Gazprom zagroził wprowadzeniem tury przez Baltyk lub Czechosłowację. A dwa lata później, za rządów Cimoszewicza, szefowie PGNiG i Gazpromu zawarli kontrakt „stulecia” o dostawach gazu z Rosji do Polski do 2022 roku. Dla Gudzowatego była to gwarancja stabilnych dochodów, co uwiódłocniło się na liście najbogatszych Polaków we „Wprost”. Zajmował tam pierwsze miejsce. W tym czasie „Home & Market” szacował wartość majątku właściciela Bartimpexu na ponad miliard dolarów. A amerykański miesięcznik finansowy „Global Finance”, który opublikował listę 600 najbardziej wpływowych ludzi świata, umieścił Gudzowatego jako jednego z trzech Polaków.

W 1995 r. Gudzowaty wpłacił na kampanię prezydencją Wałęsy 20 mld starych złotych. Lewitowa „Trybuna” sugerowała, że skoro Bartimpex tyle zarobił na handlu z Rosją, żeby finansować „elektryka z Gdańska”, to ma zapewne liczne powiązania z politycznymi oligarchami Rosji. I czy tylko z politykami? Może po prostu – to tylko zawalowana sugestia – jest agentem na usługach rosyjskich służb?

Ci z prawej strony sceny politycznej też kopali. Ale biznesmen oddawał ciosy. Gdy Antoni Macierewicz oświadczył w TVP, że materiały dotyczące Aleksandra Gudzowatego zostały przez WSI zniszczone tuż przed powstaniem komisji weryfikacyjnej, wytoczył mu sprawę o zniesławienie. I wygrał.

Ale zwycięstwo w sądzie nie powstrzymało „łóży” przed atakami. Gudzowaty: – Z kilku źródeł dostałem ostrzeżenia, że jeśli nie wycofam się z rynku paliwa, do Polski przyjedzie dwóch płatnych morderców z Ukrainy, aby mnie zabić. Zawiadomilem UOP. Niespecjalnie się tym przejęli. Musiałem sam zadbać o swoją ochronę i na własną rękę szukać na Ukrainie tych kilerów.

Na liście swych wrogów wpisuje Witolda Michałowskięgo, wydawcę fachowego pisma „Rurociągi”, z zawodu inżyniera, który pracował przy budowie rurociągu „Przyjaźń”. Adwersarz twierdzi, że Gudzowaty stoi na czele lobby związanego

z Gazpromem, które jest groźne, bo zmusiło polskich urzędników do zawarcia niekorzystnego dla Polski kontraktu stulecia z klauzulą „bierz albo plac”.

Gudzowaty pozwał Michałowskięgo do sądu o ochronę dóbr osobistych i wygrał.

♦ ♦ ♦

Gdy premier Jerzy Buzek tuż po powstaniu jego rządu w 1997 r. stwierdził, że Polska nie powinna być uzależniona wyłącznie od jednego dostawcy gazu, Gudzowaty zaproponował, że zbuduje 28 km gazociągu ze Szczecina do Berlina (dokładnie do Bernau), który połączy nas z systemem gazowym UE. Inwestycją mieli się zająć Bartimpex i niemiecka firma Ruhrgas, powiązana kapitałowo z Gazpromem.

Ale rząd Jerzego Buzka zaczął bezpośrednio rozmowy z Norwegami. Gudzowaty, widząc, że interes wymyka mu się z rąk, nie ukrywał irytacji. Coraz głośniejszymi, że jego firma jest dyskryminowana.

W czerwcu 2000 r. nadarzyła się okazja do wywleczenia tych pretensji na międzynarodowym forum podczas Światowego Kongresu Gazowego w Nicei. I wtedy Piotr Naimski – ówczesny doradca premiera, a następnie wiceminister gospodarki – powiedział prezesowi firmy Ruhrgas, że dopóki w projekcie Bernau-Szczecin będzie Bartimpex, nie uzyska on poparcia rządu. – „Z Gudzowatym mieliśmy już problemy na wschodzie, nie chcemy ich teraz mieć na zachodzie” – miał też stwierdzić były szef UOP.

Po powrocie do Warszawy biznesmen złożył w warszawskim sądzie prywatny akt oskarżenia przeciwko Naimskiemu, zarzucając mu „rozpowieszanie nieprawdziwych informacji o firmie i dyskredytowanie jej w oczach opinii publicznej”. W procesach przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia i późniejszej apelacji toczono spór o to, czy Naimski prezentował w Nicei stanowisko rządu, czy też z szefem niemieckiej firmy rozmawiał prywatnie. Po sześciu latach pozwany został uniewinniony, choć sąd przyznał, że wypowiedź doradcy premiera Buzka mogła dyskredytować Bartimpex, ale nie można jej uznać za zniesławiającą. Wyrok został podtrzymany w apelacjach łącznie z Sądem Najwyższym.

– „Łoża minus pięć” odniosła sukces – rozgoryczony Gudzowaty podsumował sprawę rurociągu Bernau-Szczecin – storpedowała projekt budowy i wyeliminowała ją mnie z obrotu gazem.

Znów zapytałam, co konkretnie kryje się pod tą dziwną nazwą. – Że windą w dół na poziomie minusowe – westchnął. A potem sygnęły się oskarżenia jak lawina: – Cały czas mojemu biznesowi towarzyszą ludzie ze służb specjalnych i politycy. Dla tej swojej małej doskonałej pożywką jest polski, ogólnie ciągle słaby, biznes. Oni mogą działać tylko destrukcyjnie. Nawet, gdy wyrzucili mnie z rynku gazowego, nie potrafili zająć tego miejsca. Przecież deklaracja z lipca 2000 r., podpisana przez premierów Polski i Norwegii, na dostawę pięciu mld metrów sześciennych norweskiego gazu rocznie, pozostała tylko na papierze. Ktoś nabijał rząd polski w butelkę.

- Tak, mam poczucie krzywdy - wyznał mi wprost Aleksander Gudzowaty. - Człowiek, który płaci tak wysokie podatki jak ja, choćby z tego powodu powinien być przez państwo szanowany. Miałem przekonanie, że postępuję prawidłowo. A byłem podstępnie atakowany. Na domiar złego pojawiły się groźby wobec mojej rodziny. Gdy dostarczyłem prokuraturze na to dowody, przyczepiono mi łatkę oszpeconą na tle służb specjalnych.



Jeszcze raz się poderwał do walki o te 28 km gazociągu. To był rok 2004, czas nerwowych rozmów o dywersyfikacji źródeł gazu (po zakręceniu przez Rosjan kurka w rurach na Białorusi).

- Do przyszłego roku konsorcjum Bartimpeksu oraz niemieckich partnerów Gazpromu chce poprowadzić gazociąg z Bernau pod Berlinem do Szczecina - zapowiedział Aleksander Gudzowaty na konferencji prasowej. - Ale dla zabezpieczenia kredytu na budowę potrzebny jest kontrakt na odbiór gazu przez PGNiG. Razem z moim niemieckim partnerem mamy nadzieję, że nowy rząd w Polsce [właśnie premierem został Marek Belka - H.K.] zgodzi się wreszcie na tę rurę.

Mniej więcej dwa tygodnie później jeden z ogólnopolskich dzienników podał, że w 2003 r. Gudzowaty miał dostać propozycję ułatwień dla budowy gazociągu Bernau-Szczecin za 3 mln dol. łapówki dla syna ówczesnego premiera Leszka Millera. Dochodzenie prokuratorskie wprawdzie umorzono, ale na okładce „Wprost” ukazał się wymowny kolaz: zdeptana skóra białego niedźwiedzia z głową Gudzowatego. Tytuł: „Koniec świata Gudzowatych”. W domyśle - socimperatorów, którym w pełnym splendorze bogactwa udało się przeskoczyć z socjalizmu do kapitalizmu.

A analogia z syberyjskim niedźwiedziem była o tyle trafiona, że trudno takiego kolosa dobić od razu jednym strzałem. Polowanie na Gudzowatego to wiele nagonek, zasadzek, trwających do dziś. Ci, którzy brali udział w osaczeniu wędzieli, gdzie jest środek tarczy - Gas Trading.

Janusz Steinhoff, wicepremier i minister gospodarki w rządzie Jerzego Buzka, nie pozostawił Gudzowatemu złudzeń, gdy oświadczył w rozmowie z dziennikarzem „Gazety Wyborczej” w pierwszych dniach swego urzędowania: - Mam nadzieję, że to nie szef Bartimpeksu, prywatnej firmy konkurencyjnej wobec państwowego PGNiG, będzie teraz kreował politykę energetyczną państwa. Do tej pory nie jest jasne, dlaczego ta spółka zyskała 4% akcji EuRoPol Gazu”. Gudzowaty wysłał do redakcji „Gazety Wyborczej” dementi. Tłumaczył, że to nie Rosjanie narzucili Polsce pośrednictwo Bartimpeksu, spółki prywatnej i Gas Tradingu, spółki polsko-rosyjsko-niemieckiej, ale konieczność prawna. Dzięki udziałom Gudzowatego polski kapitał w EuRoPol Gazie uzyskał większość i, co ważne, możliwa stała się uproszczona procedura pozyskiwania gruntów pod budowę rurociągu. Gdyby było inaczej, trzeba by było starać się o około 3 tysiące indywidualnych zezwoleń MSWiA na wykup poszczególnych działek

W odpowiedzi redakcja poinformowała czytelników, że prokuratura przygotowuje akt oskarżenia przeciwko dwóm ministrom w rządzie Suchockiej - Kazimierzowi Adamczykowi i Wacławowi Niewiaromskiemu. Zarzuca im się, że w 1993 r. zaakceptowali statut spółki EuRoPol Gaz, chociaż był niezgodny z polsko-rosyjskim porozumieniem rządowym.

Wkrótce potem nastął rząd Millera i właściciel Bartimpeksu zaczął szukać sprzymierzeńców wśród lewicy. Niebezpieczeństwo wyeliminowania Gas Tradingu z interesu zostało zażegnane, ale chwilowo. Wszak szykował się proces owych ministrów. Przesłębstwa, o które ich oskarżono były zagrożone karą do dziesięciu lat więzienia.

Prawnicy Gudzowatego zdawali sobie sprawę, że jeśli sąd udowodni oskarżonym winę, tym samym uzna włączenie trzeciej spółki do PGNiG za bezprawne.



Choć w roku 2000 było jeszcze daleko do końca procesu oskarżonych ministrów, Aleksander Gudzowaty nie wychodził z sądów. Nie odpuszczał, gdy w mediach ktoś godził w jego reputację.

Między innymi nie darował Lechowi Kaczyńskiemu, ówczesnemu prezydentowi stolicy, który w Radiu Zet, a następnie TV Puls, odnosząc się do śledztwa w sprawie udziałów Bartimpeksu w PGNiG powiedział: „Układ, który powstał wokół tej inwestycji jest chory i paranoiczny (...). Bo to, żeby polskie przedsiębiorstwo - wszystko jedno, prywatne czy państwowe - reprezentowało w większym stopniu interesy drugiej strony niż Polski, to rzecz, która zakrawa na paranoję”. Gudzowaty uznał, że zostało naruszone jego dobre imię i skierował pozew do sądu.

Lech Kaczyński przegrał w sądzie rejonowym z szefem Bartimpeksu. Gdyby się to powtórzyło w drugiej instancji, musiałby odejść z ratusza i złożyć urząd prezydenta miasta. A już przymierzał się do ogólnopolskiej kampanii prezydenckiej...

Niespodziewanie Gudzowaty przebaczył swemu adwersarzowi. - Niech nasza ugoda stanie się przykładem dla innych - mówił, potrząsając ręką Kaczyńskiego w świetle kamer sali konferencyjnej hotelu Hyatt. Prezydentura kandydata PiS przestała być zagrożona. Na Bartimpexie też już media nie mogły wieszać psów, bo w razie czego groziła im powtórka z procesu prezydenta Warszawy. Gudzowaty trochę odetchnął, choć zmartwienia się nie skończyły - rok 2003 firma zakończyła strącić. Deficyt był skutkiem odmowy Gazpromu, aby Bartimpex mógł płacić za gaz wysłąk żywności do Moskwy.

Gudzowaty odwołał się do sądu arbitrażowego przy Krajowej Izbie Gospodarczej. Domagał się od Gazpromu około 50 mln dolarów odszkodowania za zerwanie umowy barterowej. Przeciwnik procesowy odpowiedział pozwem, w którym zażądał 47,2 mln dol. zapłaty za dostarczony gaz. Ostatecznie właściciel Bartimpeksu wyszedł z sali sądowej z tarczą.

Ledwo wykonano wyrok, zaczął się (rok 2002) proces oskarżonych ministrów. Kazimierza Adamczyka i Władysława Niewiaromskiego.

Do przesłuchania było kilkunastu świadków.

Gudzwowaty: – Ciągłe się mnie poniewiera za udział w Gas Trading. Jestem traktowany jak oszust, który kuchennymi drzwiami wkradł się do PGNiG. A przecież zapadł prawomocny wyrok, zatwierdzony przez wszystkie instancje sądowe, który uznał tych ministrów za niewinnych. Czyli – nie przywieziono mnie do PGNiG w teście z Moskwy. Gas Trading objął 4% akcji w EuroPol Gazie zgodnie z prawem. I z korzyścią dla strony polskiej – bo tym samym objęła większość udziałów.

◆ ◆ ◆

Nawet jeśli interesy nie szły dobrze, miejsce w pierwszej dziesiątce rankingowej listy najbogatszych Polaków było magnesem dla kolorowych pism podglądających rezydencje miliarderów. Włości Gudzwowatego bardzo dobrze nadawały się na rozkładówkę do takich magazynów. Nie tylko pałacowe wnętrza w Marielwie, ale też dziwne obiekty na terenie parku: kaplica ekumeniczna z witrażami na cztery strony świata, symbolizującymi największe religie, piramida bez ścian do nalaadowania się energią, towarzystwo ooczonych szczególnie miłośnią gospodarza zwierząt – lam, danieli, pawi, osłów. I, co oczywiste, psów oraz koni.

Niektórym tabloidom udawało się nawet podpatrzeć Gudzwowatego w jego arkadii prowansalskiej nad Morzem Śródziemnym. To wszystko nie mogło ująć bezkarnie.

Tygodnik „Newsweek Polska” wydawany przez Axel Springer Polska jako cover story 7 marca 2004 roku opublikował artykuł pod tytułem: „Bogacze na stos” autorstwa Stanisława Zunderlicha. Na okładce było zdjęcie Gudzwowatego, jako lidera rankingu najbardziej zmienawidzonych polskich miliarderów. Listę dopełniali: Jan Kulczyk, Zygmunt Solorz, Wanda Rapaczynska, Ryszard Krauze, Piotr Niemczycki, Mariusz Walter, Zbigniew Niemczycki, Henryk Stoklosa i Sobiesław Zasada.

– Krętażce, skorumpowani, powiązani z mafią. Trzeba rozliczyć ich z majątku – do takich wniosków doszła redakcja, interpretując badanie przeprowadzone na jej zlecenie przez Agencję Badania Rynku Sesta.

Ankieterzy przepytali w ciągu dwóch dni zaledwie 200 (!) mieszkańców Warszawy (renomowane polskie agencje badania opinii publicznej prowadzą je na grupie co najmniej 1000 osób). Pytania były postawione w taki sposób, by nie można było udzielić odpowiedzi pozytywnej. Respondentom przedstawiono 30-osobową listę opracowaną przez dziennikarzy „Newsweek Polska”. Badani mieli wybrać co najmniej 10 osób, które znają lub o których słyszeli. Potem opiniowali, jak „bogacze doszli do majątku”: ciężką pracą, dzięki szczęściu, krętażctwu lub mactactwu, wykształceniu lub wiedzy, układowi, dziedzieleniu lub pochodzeniu z bogatej rodziny. Następnie oceniali wskazaną osobę – czy jest nieuczciwa, ma skłonności do korupcji, jest powiązana ze światem przestępczym oraz czy manipuluje mediami.

By znaleźć się na czarnej liście dziesięciu najbardziej niechętnych Polaków, kandydat musiał być wymieniony przez co najmniej 40 osób.

Redaktor Zunderlich ocenił wyniki ankiety dotyczące Gudzwowatego (nazwanego „królem gazu”) następująco: „Jest najbardziej nieuczciwym, skłonny do korupcji biznesmenem w kraju, (...) może mieć powiązania ze światem przestępczym, manipuluje mediami, działając na szkodę Polski”.

W Gudzwowatego uderzał też redakcyjny komentarz do ankiety. Związszca taki fragment: „Polscy bogacze są zapatrzeni w mit Rockefellera. Sęk w tym, że dostrzegają tylko jedno oblicze swojego idola – że zromadził fortunę. Ale Rockefeller (...) był też przekonanym, że jego majątek musi służyć dobru publicznemu. A ja-żak to misję realizują polscy biznesmeni, przypominający postacie z *Komedii Ludzkiej* Balzaka? Czytają samouczki, pozwalając rozjechać się w winach, uczą się palić cygara, jeżdżą luksusowymi samochodami, kupionymi w leasingu, budują rezydencje, który z nich uświadamia sobie, że posiadanie majątku nakłada na człowieka powinności moralne”.

Właściciel Bartimpexu poczuł się pomówiony. Wszak od lat wspiera wiele akcji charytatywnych. W 1997 r. założył Fundację Cresendum Est Polonia, która finansuje stypendia dla najzdolniejszych młodych ludzi. – Działam zgodnie z prawem, każdy dochód mam udokumentowany, płacę podatki w Polsce. Nie posiadam firm zarejestrowanych za granicą, gdzie w fiskusie obowiązuja niższe stawki. W mojej firmie każdy nowoprzyjmowany dostaje 23 stronicową książeczkę *Kodeksu etyki* i zasad postępowania grupy Bartimpex. Dalej jest 12 punktowa ankieta z pytaniami do kandydata, jak się zachowa w konkretnej sytuacji. Odpowiedzi mają istotny wpływ na ostateczną decyzję o zatrudnieniu danej osoby. A mimo to zostałem potraktowany jak oszust.

„Król gazu” wystąpił do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy z prywatnym aktem oskarżenia przeciwko Tomaszowi Wróblewskiemu, wówczas redaktorowi naczelnemu tygodnika „Newsweek Polska”. Pełnomocnikiem Gudzwowatego został adwokat Wojciech Tomczyk. W uzasadnieniu pozwu mecnas przedstawił okoliczności powstania artykułów zniesławiających jego klienta:

Zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Wprost” Anna Moczulska 24 lutego 2004 r. wysłała e-mail do Tomasza Białkowskiego wiceprezesa Agencji Badania Rynku Sesta: „Panie Tomku, pomysł radykalnie się uprosił. Teraz chodzi nam o wybranie z listy 30 najbogatszych dziesięciu najbardziej zmienawidzonych bogaczy. Nie interesuje nas status respondentów, więc chyba wystarczy najprostszca ankietę telefoniczną. Interesuje mnie tylko (...) jakie pytania Państwo zadacie badanym. Załączam listę 30 nazwisk”.

Ten e-mail, to konsekwencja decyzji kolegium redakcyjnego, na którym postanowiono egzemplifikować najsłabsze wyniki badań OBOP o stosunku (na ogół nieprzyjaznym) Polaków do ludzi bogatych.

Pełnomocnik Gudzowatego złożył apelację (jest już rok 2008).

Zarzucił sądowi obrazę przepisów postępowania, gdyż nie chciał powołać na świadka m.in. wydawcy „Newsweek Polska”, który mógłby zeznać, że tylko redaktor naczelny jest odpowiedzialny za publikację materiałów prasowych. Poza tym sąd nie ujawnił na rozprawie głównej (w roku 2004) odpowiedzi Tomasa Wróblewskiego na akt oskarżenia, w której redaktor naczelny nie kwestionował, że wyjącznie w jego gestii pozostawała decyzja o koncepcji i zawartość numeru pisma.

Gdy doszło do przedawnienia karalności czynu (czyli w roku 2007) Wróblewski diametralnie zmienił linię obrony (nie był już wtedy redaktorem naczelnym „Newsweeka”) – całkowicie odciął się od redagowania kwestionowanego numeru, całą odpowiedzialność zrzucił na Ewę Wilcz-Grzędzińską. Wiedział, że nic jej nie grozi, wszak nie była oskarżona.

Mecenas Tomczyk był oburzony. – Zmiana linii obrony przez oskarżonego – napisał w apelacji – zawsze powinna implikować konieczność szczególnie wnikliwego przeprowadzenia postępowania dowodowego. Zwiąszcza, gdy na skutek zaniegowania przez oskarżonego popełnienia danego czynu proces nabiera charakteru poszlakowego. Sąd tego nie zrobił. Dla sądu liczyło się tylko oświadczenie T. Wróblewskiego, że nie czytał owego cover story, jak również komentarza redakcyjnego (podpisanego jego nazwiskiem), choć nie wynikało to z zeznań żadnej z przeszukiwanych osób. A przecież współczesne warunki komunikowania się pozwalają kontrolować bieg sprawy bez względu na szerokość geograficzną.

Pełnomocnik Gudzowatego wskazał też na polityczny aspekt kwestionowanej publikacji. Bowiem przygotowana przez „Newsweek” nagonka na oligarchów nie pojawiła się tylko dlatego, że OBOP przeprowadził jakies badania. Ów wstępniak przygotowywał grunt dla wypowiedzi Mariusza Kamińskiego przed objęciem urzędu szefa CBA. Brzmiała ona tak: „Niech Gudzowaty, Kulczyk i Krauze, pierwsze pozycje ze znanego rankingu w „Newsweeku” nie liczą na względy. Przyjrzyjmy się, jak powstały ich fortuny”.

W lipcu 2009 r. Sąd Olgęgowy w Warszawie wydział IX Karny Odwoławczy odrzucił apelację od niekorzystnego dla Aleksandra Gudzowatego wyroku sądu rejonowego. Mecenas Wojciech Tomczyk sliderował kasację do Sądu Najwyższego. Nie ma jeszcze rozstrzygnięcia.



Od czasu słynnej czarnej listy w „Newsweeku” pole działalności biznesowej Aleksandra Gudzowatego znacznie się zawężilo. W 2006 roku sprzedał akcje firmy CIGNASTU ubezpieczającej gazociągą oraz przewóz towarów do Rosji. Rok później pozbył się 80% akcji Banku Współpracy Europejskiej, powołanego do obsługi rosyjskich transakcji. Stracił też krajowy rynek biopaliw.

Z dużych przedsięwzięć biznesowych pozostał miliarderowi jeszcze tylko Bar-timpex, mający swe udziały w EuRoPol Gazie.

Wielkie więc poruszenie w firmie wywołała wypowiedź premiera Rosji Władimira Putina na temat umowy gazowej rządów Polski i Rosji z 1993 r.: – „Okazało się, że fizyczna osoba ma 4%, chociaż cały projekt sfinansował Gazprom. Trzeba przyrzec się korupcyjności tej decyzji, i to z obu stron, bo nie można było jej podjąć bez zgody Rosjan”. Słowa Putina cytowały międzynarodowe agencje prasowe.

Wzburzony Gudzwatwy napisał dla mediów oświadczenie: – „Zostałem przez Władimira Putina niezasiłowanie zaatakowany, i to w bardzo niewybredny sposób. Kto miał taki tupet, by premiera Rosji wprowadzić w błąd?”

Ale sprawy o zniesławienie już nie założył. Wkrótce potem do Moskwy poleciała delegacja rządowa, aby negocjować z Gazpromem nowy kontrakt gazowy. Rosja zawarła porozumienie na dostawy paliwa uzależniała od tego, czy Polska zgodzi się na anulowanie długu. Pojawiło się gorące pytanie: – Czy w imię niezaogniania stosunków z monopolistą darujemy Rosjanom niewywiązywanie się z płatności za przesyłkę gazu na polskim terytorium i na tym skończą się ustępstwa, czy też jeszcze bardziej pójdziemy Putinowi na rękę? I trzeba będzie poświęcić firmę Gudzwatwego?

Aleksander Gudzwatwy już wie – to koniec jego dużych interesów z gazem. Po- stanowił uporządkować swoje sprawy osobiste. Punkt numer jeden – zawarcie słu- bu kościelnego z matką jego dziecka. Dyskretny, żadnych dziennikarzy.

A jednak zjawił się fotoreporter i to wcale nie z polującego na celebrytów ma- gazynu kobiecego. W zajadle walczących z Kościołem „Faktach i Mitach” ukazał się artykuł red. Anny Tarczyńskiej pt. „Kardynał do wynajęcia?”. Wyeksponowano w nim informację, że metropolita krakowski ks. Stanisław Dziwisz dostał od Alek- sandra Gudzwatwego 50 000 zł za odczytanie listu pochwalnego do nowożeńców.

Redakcja podaje rzekome źródło informacji – anonimowego księdza z Krakowa. Autorka asekurancko zastrzega się, że nie wierzy w te banialuki. Zatem informacja o rzekomej cenie za list metropolity jest niezwyfikowana. Intencje redakcji są czy- telne – utwierdzenie swych czytelników w przekonaniu, że człowiek bogaty może w polskim Kościele kupić wszystko, nawet z pogwałceniem kanonicznego prawa. Tekst roi się od obraźliwych sformułowań pod adresem nowożeńców i metropolity krakowskiego.

Aleksander Gudzwatwy nie zwlekał z podjęciem decyzji o skierowaniu do sądu pozwu w celu ochrony dóbr osobistych jego i małżonki.

Domaga się publicznego przeproszenia i zasądzenia od wydawcy „Faktów i Mi- tów” 100 000 zł na rzecz Fundacji Crescendum Est Polonia.

Tak oto zaczyna się ósmy proces miliardera, który nie będąc piniaczem, bije re- kordy zakładanych spraw w sądzie.

ZEROWAN NA NAZWISKU LEGNIDARNEGO BARDA

Zygmunt B. patrzy z ławy oskarżonych na sędziego współczującym wzrokiem, znać się z fragmentem aktu: „W czym mogę pomóc?”. Gdy podchodzi bliżej, aby zapo- wie każdej jego wypowiedzi towarzyszy otwarty, przyjazny ruch ręki.

Oskarżony, z zawodu technik budowlany, lat 54, przedstawiał się chorym jako profesor, liderujący zespołem naukowców specjalistów od nowatorskich metod zwal- czania komórek rakowych. Miał gabinety we Włochach i na Ursynowie, a swój rze- zomy lek o nazwach antyra i derax (jak wyjaśnił w sądzie, różniły się tylko gęsto- snością), produkował w wynajętych garażach i piwnicach.

Mikstura, w którą uwierzył również cierpiący na raka krani solidarnościowy bard jacek Kaczmarek nie była tania: dzienna porcja kosztowała około tysiąca złotych, a należało ją zażywać przez wiele miesięcy. Prokuratura ustaliła, że w rzeczywistości był to płyn ze sfermentowanych buraków, czosnku i różnych ziół.

W ciągu sześciu lat uprawiania szamańskiego proceduru, Zygmunt B. wyludził od ciężko chorych co najmniej 1 877 000 złotych. Policji udało się dotrzeć do 32 ofiar lub ich rodzin.

Oszust został zatrzymany dopiero po sześciu latach działalności, gdy jedna z „le- czących się” u niego kobiet zgłosiła się na policję w Gorzowie Wielkopolskim.

Prokurator postawił B. zarzut wielokrotnego narażenia chorych na niebezpie- czeństwo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Taki skutek miało nakłanianie ich do od- stawienia leków zalecanych przez onkologów i przerwania chemioterapii. Ponadto Zygmunt B. jest oskarżony o prowadzenie działalności lekarskiej bez stosownych uprawnień oraz pranie brudnych pieniędzy. Grozi mu kara do 10 lat więzienia.

Oskarżony nie przyznał się do żadnego z zarzutów. Twierdzi, że dzięki jego na- ukowym badaniom udało się uratować „wiele ludzkich istnień”. A Jackowi Kacz- marskiemu, który przyszedł do niego w bardzo ciężkim stanie, przedłużył życie o dwa lata. Z tego powodu oczekuje gratulacji, a nie wyroku.

– Bowiem powiedziałano na forum ONZ – wygłosił w sądzie – że kto ratuje jedno życie, jakby cały świat uratował (siedząca obok mnie starsza kobieta, której syn po wykryciu u niego raka płuc leczył się tylko antyrą – niestety już nie żyje – szepnę- ła: „Złodziej, nawet nie wie, że cytuje Stary Testament”).

◆ ◆ ◆

– Moja metoda badawcza – wyjaśnia na rozprawie Zygmunt B. – nad uzyskaniem leku przeciwko rakowi była niekonwencjonalna. Nie zawierała chemikali.

Sędzia Piotr Schab: – Co oskarżony rozumie pod pojęciem chemikalia?

B.: – To są te wszystkie związki, z których robi się chemioterapię. Ja do produk- cji leku używałem tylko surowców naturalnych.

Niechętnie wylicza, jakich konkretnie. Twierdzi, że nie wszystkie zioła, jak okre- śla składniki antyry, pamięta. Na pewno były to: czosnek, huba, nagietek, arnika,

owoc bzu, żywokost, liście pięciornika, kłącze tataraku, babka lancetowata, szyszki chmielu, jopian, bratek. I wiele, wiele innych. O burakach, bazie swego „leku” nie wspomina.

W jakich proporcjach? Na wyczuć.

Oddzielnie przygotowywał zestaw z ziół suchych i oddzielnie z moczczu, potem „to się łączyło”.

— W jakich proporcjach? — sędzia powtarza pytanie.

— Nie pamiętam dokładnie. Sięgałem do opracowań moskiewskiego prof. Borysewa (nie wyjaśnia, kto zech). Ale też do innych przepisów zielarskich. Pehno ich w księgarniach, w bibliotekach. Miałem dostęp do ksiąg z XVI, XVII i XVIII wieku. To znaczy do ich streszczeń, bo to przecież starodruki.

Sędzia wypytuje, jak powstawała antygra.

Dowiadujemy się, że mieszanie suchych ziół i soku z moczczu trzeba było kłócić. Przez co najmniej trzy lata. Gdy B. uznał, że kwasowatość jest osiągnięta (sprawdzał „na język”), przerywał fermentację. Potem w wirówce do prania pió produkt nabierał konsystencji torfu, który następnie dojrzewał przez sześć miesięcy. I po tym czasie esencja wszystkich związków, jak powiada, potrzebnych do zwalczania raka była gotowa.

Sędzia chce dokładnie wiedzieć, jakie to były związki.

B. się złości: — Jak to, jakie? Lecznice.

— To znaczy?

— Mikroelementy, sole mineralne.

— W jaki sposób pan sprawdził występowanie tych elementów?

— Co miałem badać, przecież wiem, co tam wkładałem. Ale na temat ściślej technologii nie będę mówił, bo to tajemnica handlowa.

Według wyjaśnień oskarżonego, na sporządzenie gotowego leku trzeba prawie czterech lat. Właśnie w tym naturalnym dochodzeniu do doskonałości miała tkwić tajemnica cudownego środka na zabijanie komórek rakowych. Tymczasem badanie próbek antytry sprzedanej jednemu z pacjentów wykazało obecność kwasu mlekowego.

— Skąd się tam znalazł? — pyta sędzia.

B. najpierw kluczy, zaskania się niepamięcią, w końcu przyznaje, że chciał przyspieszyć fermentację metodą stosowaną w przemyśle spożywczym przy kiszeniu ogórków. Dolewał kwasu mlekowego. Ale to przecież nic szkodliwego. Kwas mlekowy jest dobry, czysti krew. A antytrę podał badaniom laboratoryjnym, wyniki są pozytywne.

— Badaniom na co? — sędzia jest dociekliwy.

— Czy nie zaszkodzi po spożyciu.

— I taki wynik wystarcza do rozprowadzania specyfiku jako leku na nowotwory?

— Na pierwszym etapie tak. Prowadziłem też badania laboratoryjne dla udowodnienia tezy o podobieństwie struktur pleśni i nowotworu. Sprawdziłem

działanie mojego leku na owadach. Zanurzałem zieloną muszkę w antytrze i ona bręzowiła, co znaczy, że ją wypaliło. To samo działo się z pleśnią, która jak rak rozrasta się w kształcie pajęczyny

Sędzia upewnia się: — Według pana struktura raka jest podobna do struktury pleśni?

B. zniecierpliwiony: — Przecież mówiłem! Pleśń polana tym preparatem była miszczona, znaczy się, on działał.

— Ale pan nie miał zgody różnych organów, m.in. Głównego Inspektoratu Sanitarnego na produkcję leku.

— Nie szkodzi, to by się dało przeszkodzić — oskarżony bagatelizuje problem.

— Można zarejestrować jako „suplement diety” i ja zamierzam tak zrobić.

— Ale GIS pewnie chciałby się zapoznać z technologią nowego specyfiku. Jak zamierzał pan ten problem rozwiązać?

— Każda firma ubiegająca się o koncesję ujawnia tylko część swej technologii, reszta jest ukryta ze względu na konkurencję.

◆ ◆ ◆

Sędzia przygląda się załączonej do akt wizytówce oskarżonego. — Pan tu wydrukował informację — zauważa — że metoda leczenia pochodzi ze starożytnego Egiptu. Na czym to polega?

B. odmawia udzielenia wyjaśnień. Może powiedzieć tylko tyle, że przez wiele lat pobierał nauki od mistrzów medycyny naturalnej Wschodu, zwłaszcza chodziło o ściąganie energii z kosmosu. To z tego powodu pacjenci zwracali się do niego per panie doktorze, czy profesorze.

Następne pytania dotyczą leczenia choroby nowotworowej.

Sędzia: — Jak pan ordynował antytrę?

Oskarżony: — W zależności od masy ciała pacjenta. No i od stopnia zaawansowania choroby.

— A po czym pan poznawał zaawansowanie choroby?

— Chorzy często mieli wypisane w papierach ze szpitala, że to już ostatni etap raka. To bzdura, że nakłaniałem moich pacjentów do przetrwania konwencjonalnego leczenia. Gdy przychodzili do mnie, nie było już co przerywać, bo zwykła medycyna ich strześliła. Najczęściej przeszli chemię, która nic nie dała. Tylko ja jeszcze mogłem pomóc.

Sędzia chce wiedzieć, na jakich przesłankach oskarżony opierał swą diagnozę, że leczenie konwencjonalne zostało zakończone.

Dla B. jest to oczywiste: Jeżeli ktoś ma skierowanie do hospicjum, znaczy, że już położył na nim krzyżyk. Tymczasem on uratował 20% spośród tych, którzy byli w stanie terminalnym, po nieskutecznej chemii i napromieniowaniu. Wśród chorych z mniejszym zaawansowaniem raka miał jeszcze większe sukcesy — co drugi wracał do zdrowia.

Ale nie tylko takich pacjentów miał w swoim gabinecie. Pierwsza chora, którą uleczył, nie pamięta jej nazwiska, cierpiała na wole.

Sędzia: — Co to jest wole?

— Taka narośl, o tu — oskarżony dotyka swej szyi.

— Czy pan wie, co powoduje tę chorobę?

— W tej chwili wyleciało mi z głowy. W każdym razie, ponieważ byłem bliskim znajomym syna tej pani, on mnie poprosił o antyję. Po dwóch tygodniach wole się zmniejszyło i kobieta wyzdrowiała. Później wiele razy udało mi się wyleczyć chorych na raka albo przynajmniej przedłużyć ich życie o dalsze trzy miesiące, co za wodowi onkologów uznaliby za sukces. Ale ja miałem większe plany — nie trzy, ale sześć miesięcy — wtedy pisaliby o mnie w fachowych biuletynach.

Pamięta chorą na raka płuc, jej nazwisko również wyleciało mi z głowy, miała przerzuty do węzłów chłonnych. Była taka słaba, że nie mogła się nawet pochylić. — Zatrzymałem rozwój śmiertelnego mięsaka — twierdzi. — Ale prawdopodobnie już wtedy, gdy przyszła do mnie, miała przerzuty do mózgu. Gdy to odkryłem, sam jej powiedziałem, aby zgłosiła się do onkologa. Nie wiem, co się z nią potem działo, zdaje się, że dała jej jeszcze jakieś naswietlenia.

— Czy którykolwiek z pana pacjentów mówił, że ten preparat go wyleczył? — po raz kolejny docieka sędzia.

B. — ponownie robi unik: — Gdy człowiek wyzdrowiał, to już się do mnie nie zgłaszał, bo i po co. Ja tych nazwisk nie zapisywałem. Ale skład by ludzie wiedzieli o leczniczych właściwościach antyry? Właśnie ze słyszenia, że uratowałem albo przynajmniej przedłużyłem komuś życie. Wielu pacjentów przyszło za namową Jacka Kaczmarekiego; byli wśród nich również sędziowie i wysoko postawione osoby z Izraela.

O słynnym pieśniarzu, kojarzącym się z „Solidarnością” stanu wojennego, znał chor mowi jako o swym najlepszym przyjacieliu:

— W Centrum Onkologii powiedzieli Jackowi, że ma przed sobą trzy miesiące życia. On wierzył, że ja go z tego wyciągnę, brał antyję przez dwa lata. Gdy minął rok, wiele gazet napisało o mojej cudownej substancji. Jacek został propagatorem tego preparatu. Byłem bliski całkowitego wyleczenia go, guz w krtani już się rozpadł, wydzielając bardzo nieprzyjemną woń. Ale poszedł do szpitala na przecyszczeniurki, którą miał w gardle i nie obudził się z narkozy.

◆ ◆

Sędzia bez słowa komentarla przechodzi do kolejnego zarzutu postawionego oskarżonemu — czerpania korzyści materialnych z uprawianego procederu.

— Pan powiedział kiedyś rodzinie pacjenta, że ten produkt leczący raka nie jest na kieszeń emerytów czy rencistów. To znaczy, że cena jednego opakowania była wysoka?

B. — Niczego nie sprzedawałem. O emerytach mówiłem w takim sensie, że na razie mam produkcję na małą skalę i z tego względu kosztowną. Ale gdy ją rozwinię, cena wytwarzania antyry bardzo się obniży i lek będzie dostępny dla wszystkich. To jest logiczne myślenie biznesowe.

— Badania naukowe kosztują — zauważa sędzia — skąd pochodziły pieniądze?

B. jest przygotowany na takie pytanie. — Dorobiłem się w PRL — wyjaśnia.

Chociaż z zawodu jest budowlanem, a żona Urszula (też siedzi na ławie oskarżonych) elektromonterem, handlowali w „szczęce” przed Halą Mirowską w Warszawie. Towar był od pośredników z byłego Związku Radzieckiego. Najlepiej szedł im kawior z Astrachania, brali go kupcy niemieccy. Tonami. Zygmunt B. nie ma z tego okresu żadnej dokumentacji celnej czy bankowej. Pieniądz, jak twierdzi, szedł z ręki do ręki. Gdy upadła komuna, miał schowane 2 miliony dolarów.

Nie pamięta nazwy banku, w którym wymieniał tę walutę.

Wszystkie oszczędności wpakował w produkcję leku na raka. I wszystko stracił, gdy policja zabrała mu na zamrażanie 1,5 tysiąca wielkich stoi z półproduktem antyry. I to w momencie, gdy pewne osoby za granicą chciały rozpocząć produkcję specyfiku na szeroką, przemysłową skalę, w fabryce z prawdziwego zdarzenia.

Dodatkowo chciał wspomóc finansowo tę inwestycję prowadzeniem robót budowlanych, miał już prawie w ręku kontrakt na kilkaset tysięcy złotych, ale wspólnik go oszukał. Teraz jest bez grosza.

— W akcie oskarżenia — przypomina sędzia — wymieniono prawie milion dziewięćset tysięcy złotych, które pan uzyskał ze sprzedaży chorym antyry.

B. demonstuje wzburzenie. Oto ludzka niewdzięczność. Żadnych opłat nie żądał. Jeśli coś położyli z własnej chęci na stole, mówił: „Bóg zapłać”. Owszem, dawał ogłoszenia do prasy, że ma „fenomenalny preparat nowej generacji niszczący raka. Bardzo sprawdzony na wielu przypadkach”. Rozrzucił też podobnej treści ulotki na oddziałach onkologicznych w szpitalach. Ale i bez tego ludzie dzwoniłi, napraszali się. A teraz oczerniają. Chociaż, z drugiej strony, nie dziwi się, że rodziny pacjentów obciążły go w sędztwie. Jeśli przesłuchanie wyglądało tak, jak u niego, gdy straszone go nawet bronią...

Sędzia pyta o przypadek Anny G., Zygmunt B. nie przypomina sobie takiej pacjentki. Wobec tego zapoznaje się z załączonym do akt listem tej kobiety, pisany w czasie, gdy przyjmował chorych. Błaga o obniżenie ceny antyry lub rozłożenie jej na raty, bo nie ma tyle pieniędzy na ratujący życie lek.

— To mi nic nie mówi — stwierdza stanowczo oskarżony.

Sędzia zarządza przerwę. Zygmunt B., zadowolony, że mógł mówić, co chciał, wychodzi ze swym adwokatem na korytarz. Stara się szybko zejść z oczu oskarżycielom posilkowym. Gdy się mijają, nie pada ani jedno słowo, jednak rozpacz na twarzach osób, których bliscy uwierzyli w cudowną moc antyry, ich widoczna nawet w ubiorze żaloba, zapowiada, że na sali sądowej padną dramatyczne zeznania.

— Obym tylko dożyła — martwi się ubrana na czarno Czesława W., która już dwa razy podchodziła w czasie rozprawy do sędziego z prośbą o wysłuchanie jej przed innymi świadkami. Niestety, musi poczekać na swoją kolej.

Na korytarzu ta wiekowa już kobieta pokazuje mi zniszczone od ciągłego, nowego wyjmowania z torebid kartki, na których opisała swoją matczyną tragedię. Jej syn, ekonomista na poważnym stanowisku, zachorował na raka. Gdy wyczytał w prasie o uzdrowieniu Kaczmarńskiego, pojechał do gabinetu „profesora” Zygmunta B.

— Ten oszust — płacze zrozpaczona matka — kazał synowi odstać chemię i pięć trzy razy dziennie antyrę. Zapożyczyliśmy się na 100 000 złotych, bo jedna porcja leku kosztowała 240 złotych. Syn brał to świątowo ponad cztery miesiące, ale było z nim coraz gorzej, w końcu pogotowie zabrało go do szpitala, gdzie umarł. Gdy zadzwoniłam do B. i powiedziałam mu, że to co robi, jest zbrodnią, nawymyślał mi.

Inna kobieta, która już zeznawała, dyskretnie podaje mi karteczkę. Prosi w niej, abym w raporcie z procesu nie ujawniała jej danych. Rozmawiamy po wyjściu z gminu sądu.

— Taki wstyd — ona szeptem. — Jestem po farmacji, prowadzę aptekę w dużym mieście, a nabijałam kieszenie znachorowi. Człowiek w rozpaczy traci głowę. Mąż umierał i gdy ten oszust przyjechał do niego do szpitala i po zaizolowaniu w oczyma powie, że choroba się wycofuje, bardzo chciałam w to wierzyć...

Ostatnie słowa świadka dusi płacz. Od dwóch lat jest wdową.



B. po złożeniu wyjaśnień w pierwszym dniu procesu nie chce dłużej w nim uczestniczyć. Nie interesuje go, co będą mówili przed sądem pokrzywdzeni. Na kolejnej rozprawie wychodzi zaraz po przesłuchaniu jego pracownicy. Ostentacyjne trząśnięcie drzwiami wywołuje gwałtowny protest jednego ze świadków oskarżenia.

— Chcę temu oszustowi spojrzeć w oczy — krzyczy kobieta w żalobie. Ale sędzia nie może zatrzymać oskarżonego, który odpowiada z wolnej stopy. Na miejscu pozostał jego adwokat.

Jeśli Zygmunt B. oczeekiwał, że Joanna J., młoda kobieta z Pruszkowa, która przez sześć lat kupowała dla niego na targu warzywa — główne składniki rzekomego leku na nowotwory, będzie osłaniała przed sądem swego pracodawcę, to się pomylił.

— Robiłam tak, jak szef kazał. Oberabam buraki, marchew, chrzan, czosnek. Następnie dodawałam zioła — zeznaje bezbarwnym tonem.

Jakże? Zwyczajnie, nie było tam zagranicznych. Wie stąd, że Zygmunt B. kupował je od plantatorów w dużych papierowych workach; na każdym były napisy po polsku.

— Wszystko mieszałam patykami i wlewałam do słoików. W każdej pokrywie była dziurka na rurkę — taką, jakiej się używa przy robieniu w domu wina.

Jak długo zaczął fermentować? Pół roku, czasem rok. (Jej szef twierdził na pierwszej rozprawie co innego: na sporządzenie gotowego „leku” trzeba było czekać czterdzieści lat. Właśnie w tym naturalnym dochodzeniu do doskonałości miała tkwić tajemnica cudownego środka na zabijanie komórek rakowych).

— Pan Zygmunt wachał i mówił, które słoje można otwierać. Czasem ja wybieżałam. Po odwirowaniu przelewałam płyn do buteleczek. — Joanna J. przedstawia poszczególne czynności w fabryce antyry.

— Czy to był lek na raka?

— Tak zostało powiedziane — świadek wbiła wzrok w podłogę.

Ale na pytanie sędziego, czy poznała także osoby, którym antyra pomogła, robi wątpliwą minę. — Ja tam nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że na antyrę i dexax, które zresztą niczym się nie różniły, był duży zbyr. Szef otwierał coraz to nowe mieszca składowania słoje z półproduktom.

Mimo podejrzeń, że chlebobdawca jest oszustem, pracownica Zygmunta B. rozrzuciła na oddziałach onkologicznych w szpitalach ulotki o „fenomenalnym preparacie nowej generacji niszczącym raka, bardzo sprawdzonym na wielu przykładach”.

— Wstydziłam się, ale co było robić? Po maturze nie mogłam znaleźć w Warszawie pracy — zeznaje przed sądem.

Najgorsze było dla niej to, że szef kazał podchodzić do chorych spacerujących na korytarzu kliniki, zagadywać. Gdy już ktoś taki się pożałił na nieszczęście, które go spotkało, wręczała mu materiał reklamowy, gdzie była wizytówka B. jako profesora, dyrektora prywatnego ośrodka badawczego.

Musiąta też umieszczać ulotki pod wycieraczkami samochodów.

— Pan Zygmunt chciał, abym wyszukiwała droższe auta, ale ja wkładałam jak leci, żeby jak najszybciej pozbyć się tej makulatury.

Teraz nazywa to makulaturą, choć na początku wierzyła, że szef prowadzi bardzo ważne badania i wszyscy w laboratorium muszą pilnować, aby inni naukowcy nie podkradli unikalnej receptury. Dlatego pracownicy chyłkiem opuszczali zakład. Mieliby uważnie się rozglądać, czy nikt ich nie obserwuje, nie robi zdjęć.

Pomyślnie szefa w reklamowaniu antyry nie było końca. Chciał na przykład, aby pracownica, niby to przyypadkowo, przechodziła przez korytarz, gdy odprowadzał do drzwi rodzinę chorego. Miała potwierdzić własnym przykładem to, co mówił pacjentowi w gabinecie: że jej chorą na raka matkę wyleczyła antyra. Gdy Joanna J. odmówiła wykonania polecenia, wymógł na niej, aby napisała na forum internetowym, że ma w rodzinie kogoś, komu jego cudowny lek uratował życie.



Wszyscy świadkowie zeznający przed sądem czuli się ofiarami misternej siatki kłamstw rzekomego profesora. Wpadli w nią niepostrzeżenie dla samych siebie.

kosztowna, bo składniki leku sprowadzane są z całego świata, z pustyni i różnych mórz. Ale syn na pewno wróci do zdrowia.

W tej sytuacji Regina K. nie liczyła się z kosztami kuracji. Gdy zabrakło jej pieniędzy, zorganizowała spoleczną zbiórkę na drogie leki od „profesora”.

Również zrozpaczona stanem swej siostry Hanna J. odetchnęła z ulgą, gdy towarzysząca Zygmuntowi B. pracownica, w chwili podawania pacjentowi próbnej dawki antyry (jeśli w czasie picia robiło mu się gorąco, był to znak, że lek niszczy raka) potwierdziła listę osób uleczonych.

A prawdziwym balsamem na serce było zapewnienie, że „nie takich stawiał na nogi”. Dopiero na sali sądowej dowiedzieli się, że identyczną deklarację B. składał każdemu, kto znalazł się w jego gabinecie.

B. nie wypierał się zresztą tych słów przed sądem. — Wiele razy udało mi się wyleczyć chorych na raka — twierdził. — Byli wśród nich sędziowie, znany dziennikarz z TVN i wysoko postawione osoby z Izraela. Ja tych nazwisk nie zapisywałem, bo i po co.

Tylko niektórzy z pacjentów chcieli wiedzieć, dlaczego wydrukował na swej witrynie informacje, że jego metoda leczenia pochodzi ze starożytnego Egiptu. I na czym miałyby polegać?

B. zastaniał się ochroną jego genialnej receptury przed konkurencją. Andrzejowi P., który dotarł do B. z chora na raka matką zwierzył się, że jego firma zatrudnia wielu biochemików, ale się nie ujawniają, bo nie chcą być zniszczeni przez lekarzy i koncerny farmaceutyczne.

— Mówił tajemniczo — wspominał świadek — że przez wiele lat pobierał nauki od mistrzów medycyny naturalnej Wschodu. Twierdził, że do wynalezienia antyry doszedł w badaniach laboratoryjnych nad podobieństwem struktur pleśni i nowotworu.

Ale nie to było dla rodzin chorych najważniejsze. Liczyła się chęć „profesora” spienienia im z pomocą. Musiało być coś magnetycznego w jego zachowaniu, że tak mu wierzone. Ujmujący sposób bycia, z troskaniem na twarzy, gdy pochylał się nad chorym. Wspominali o tym świadkowie, niektórzy ciągle jeszcze zdumieni, że stali się ofiarami oszusta.

Gdy w swym gabinecie B. cicho pytał: „W czym mogę pomóc?”, odbierali te słowa jak tonący deskę ratunkową. Zwłaszcza, że wielu wyniosło przykre doświadczenie z kontaktów z onkologami.

Córka Anny K. miała wszczepioną w szpitalu MSWiA endoprotezę. Bóle po operacji nie ustępowały, lekarze nie znajdowali istotnej przyczyny aż takich dolegliwości, w końcu zniecierpliwieni uznali, że mają do czynienia z pacjentką hipochondryczną, roszczeniową. Matka chorej nie dała jednak za wygraną. Poszukała pomocy w Instytucie Onkologii. I tam stwierdzono złośliwy nowotwór, na który był tylko jeden sposób — amputacja nogi aż do biodra. Chora chciała poznać szczegóły

Prawniczka Monika M., która walczyła o życie swego chorego ojca uwierzyła, że B. jest profesorem biochemii, który badając właściwości unikalnych afrykańskich ziół wynalazł genialną miksturę niszczącą komórki rakowe. Mówił, że ten preparat skutkuje nawet w przypadkach, gdy medycyna jest bezradna. Z jedynym wyjątkiem — nie leczy raka wątroby. Na razie, bo jego zespół naukowców ma szanse pokonać i ten problem.

Owszem, zapytała, dlaczego nie opatentował antyry. Tłumaczył, że chciałby doprowadzić kompleksowe badania do końca, żeby nikt się nie podsył pod jego wynalazek i nie rozpoczął produkcji antyry na skalę przemysłową. Zwłaszcza środowisko naukowców żydowskiego pochodzenia czyhało na jego pomysły.

To wszystko brzmiało tak optymistycznie, że Monika M., mimo swego ciężkiego smartwienia, uśmiechnęła się, słysząc, jak profesor ironizował: Ach, z czegoż będą żyli onkolodzy, gdy moja antyra wejdzie do apteki!

Jej samopoczucie poprawiło się jeszcze bardziej, gdy przed wejściem do domu, gdzie mieścił się gabinet Zygmunta B. spotkała dwie młode kobiety, które zwierzyły się jej, że chorowały na raka i dzięki leczeniu u tego cudownego profesora po nowotworze nie ma ani śladu.

Poczta pantoflowa — to obok ulotek był najprostszy i najbardziej skuteczny sposób Zygmunta B. na ściągnięcie kolejnych ofiar swej szarlatanerii.

Anna K. dowiedziała się o antyryze od ciotki w Białymstoku, która z kolei słyszała od znajomej, że do B. jeździ po jakis nadzwyczajny lek córka kogoś z jej rodziny.

Były też inne tropy: Hanna J. z Ostrowa Wielkopolskiego, z zawodu ekonomistka, przeczytała w piśmieku „Wilkakora” (notabene propagującym leczenie nowotworów pewnym ziołem z Ameryki Południowej) wywiad z Jackiem Kaczmariskim, który jako pacjent prof. Zygmunta B. zachwalał antyry. J. pomyślała, że może to być ratunek dla jej siostry chorej na raka kości udowej, która mimo trzech poważnych operacji, miała coraz większe trudności z chodzeniem. Gdy jeszcze obie kobiety natknęły się w szpitalu na reklamę laboratorium profesora B., postanowiły szukać u niego ratunku.

Fryzjerce Hannie K., której mąż cierpiał na nowotwór kręgosłupa, klientka dała telefon do kogoś, kto znał bliżej pewnego lekarza pierwszego kontaktu w przychodni. A ten przekazał adres gabinetu Zygmunta B. jako lekarza biochemika, współpracującego z prof. Borysewem w Moskwie. Tylko prosił o zachowanie jego pośrednictwa w tajemnicy.

Już samo zdobycie zastrzeżonego telefonu do gabinetu B. było jak złapanie Pana Boga za nogi. Wszyscy pokrzywdzeni w tej sprawie tak to odczuwali. A Zygmunt B. ich w tym utwierdzał.

Reginie K., której 18-letni syn cierpiał na nowotwór jądra powiedział, że ma szczęście, iż do niego trafiła (z polecenia Jacka Kaczmariskiego), gdyż może wyleczyć tylko trzy osoby w ciągu roku, tak skomplikowana jest produkcja jego antyry.

tak poważnej ingerencji w jej organizm. Usłyszała od kienującego ją na operację do-
centa, że nie będzie wyjątkiem, bo i tak nie zrozumie. Jeśli zdecyduję się na ampu-
tację, o terminie zabiegu zostanie powiadomiona. Należy czekać.

W międzyczasie matka chorej dowiedziała się o Zygmuncie B. Pojechała z córką
do słynnego „profesora”. Zapytały o radę w sprawie operacji. B. był stanowczo prze-
ciwny. Powiedział, że pracował w Instytucie Onkologii na oddziale chirurgii i było
to traumatyczne przeżycie. Rany pooperacyjne wręcz gnily, w salach panował strasz-
liwy fetor. Nikt nie miał szans na powrót do zdrowia.

— To przesądziło — zeznała Anna K. — że córka nie zgodziła się na amputację. Za-
wierzyła Zygmunta B., który ją zapewniał, że bez skłębela postawi ją na nogi. Od-
mówiła też — na jego polecenie — brania antybiotyków. Robiła natomiast podczas
kuracji antyrą badanie USG u lekarza polecanego przez „profesora”. Zygmunt B. wi-
dział na zdjęciach wyraźne cofanie się nowotworu.

Córka Anny K. zmarła po trzech miesiącach zażywania „cudownego” preparatu.
Farmaceutka Dorota Cz. trafiła do znachora po zamamaniu, jakie przeżyła, gdy no-
wotwór złośliwy w mózgu jej męża odrósł po operacji. Co prawda, jeszcze przed
zabiegiem chirurg uprzedzał, że może dojść do takiej sytuacji. Telefon do B. dosta-
ła od brata mieszkającego w Zakopanem. A jemu ten kontakt zostawił pewien wczu-
sowicz, który przyjechał na narty. Kazał się powołać na niego.

Zygmunt B. był bardzo niezadowolony, że chory zdecydował się na operację. Po-
wiedział, że trudno, ingerencji skłębela nie da się już cofnąć, natomiast można i trze-
ba zrezygnować z radioterapii. Antyra traci swe cudowne właściwości, gdy równo-
cześnie stosuje się nasświetlanie.

— Zapytałam — zeznała świadek w sądzie — na czym polega działanie tego pre-
paratu. Profesor odpowiedział, że jest to wzbogacona biomateria z roślin. W orga-
nizmie działa selektywnie, wzmocnia zdrowe komórki, a niszczy chore. Po destruk-
cji organizm sam wydala obumarłe komórki rakowe.

Świadek nie dociekała, co to jest ta „wzbogacona biomateria”.

— Byłam w strasznym stresie. tłumaczenie o selektywnym działaniu antyry wy-
dawało się logiczne. A poza tym ujęło nas, że B. tak bardzo przejmował się stanem
mojego męża.

Ledwo dojechali do domu, on już dzwonił, pytał jak się chory czuje po wypiciu
pierwszej porcji antyry. Zapewniał, że po 100 uderzeniowych dawkach będzie zdro-
wy. Tylko żeby pod żadnym pozorem nie brać chemii. Później godzinami rozmawiał
telefonicznie z mężem Doroty Cz., aby podtrzymał go na duchu. Ciępliwie tłuma-
czył, dlaczego jego preparatu nie stosuje się w szpitalach — bo jest zbyt kosztowny,
na razie tylko dla wybranych. Ale wkrótce, we współpracy z pewnym instytutem
w USA ruszy produkcja antyry na skalę przemysłową.

To było tak krępujące, że przez moment Cz. naprawdę czuł się lepiej, wierzył że
odzyska sprawność w nogach, którą utracił po operacji.

Jednak wkrótce potem pojawiły się pierwsze, jeszcze mało wyraźne, napaady pa-
deckowe. Zygmunt B. tłumaczył, że tak nerwowo działają zrosty w mózgu, po-
wstające po zniszczeniu się komórek rakowych.

— Dziś wiem, że był to rozwój choroby, prowadzący do śmierci. Może udałoby
się ją powstrzymać, gdyby mąż nie zrezygnował z chemii — powiedziała, ocierając
lzy, wdowa Dorota Cz.

Jej rozpacz była tym większa, że wcześniej wysłuchała zeznań Reginy B., matki
18-letka chorego na nowotwór jądra. Owszem, dawała swemu Mariuszowi antyrę,
ale równocześnie, w tajemnicy przed Zygmuntem B., chłopiec był poddawany w szpi-
talu chemioterapii.

— Syn żyje — zakończyła swe zeznanie Regina B. — a ja dziękuję Opatrzności, że
nie posłuchałam tego szarlatana do końca, gdy odciągał mnie od kliniki onkolo-
gicznej opowieścią, jak wykończył Jarka Kaczmarskiego.

Regina B. była jak dotąd jedynym świadkiem wśród poszkodowanych, która nie
dała się namówić na zrezygnowanie z konwencjonalnej terapii stosowanej w le-
czeniu nowotworów. Inni ulegali sugestii rzekomego profesora, gdy mówił im, że
„nie podałby chemii nawet swojemu koch, bo to jest trucizna”.



Zygmunt B. potrafił uśpić czujność nawet dociekliwych pacjentów.

Katarzyna J., specjalistka od zarządzenia, trafiła do oskarżonego z mamą chorą
na raka płuc. Znachor przekartkował dokumentację lekarską, chwilę podumał, utrzy-
mując w napięciu oczekujące ratunku kobiety i wreszcie obwieścił, że „poradzimy
sobie, nie takie przypadki wyleczyłem”. Uprzedził tylko, że kuracja jest, niestety, dro-
ga, bo zioła sprowadza z Afryki.

Katarzyna J. była tak szczęśliwa słysząc, że matka wyzdrowieje, iż nie zwraca-
ła uwagi na koszty. Okazało się, że za trzy folki zużywane dziennie trzeba zapła-
cić 750 złotych, a musiała kupić antyrę na co najmniej 10 dni. Nie żalowała jednak
wydanych pieniędzy (wzięła pożyczkę z banku), bo matka już po wypiciu pierw-
szej dawki poczuła się lepiej. Zniknęły stany depresyjne, zaczęła układać plany na
przyszłość.

Aby zyskać pewność, że rak się cofa, Katarzyna J. po miesiącu brania antyry zro-
biła mamie rentgen płuc. Bez uzgadniania z „profesorem”. Wynik był dramatyczny
— nastąpiły przerzuty na drugie płuco. Wtedy zwierzyła się klinicznemu onkologo-
wi z aplikowania chorej antyry. Lekarz poradził jej, aby zapytała Zygmunta B., ja-
kich ziół używa w produkcji swego specyfiku.

Kilka dni czekała, aż B. wreszcie podyktował jej przez telefon skład antyry. Była
to bardzo długa lista ziół — same nazwy łacińskie. Onkolog uznał, że pojedynczo za-
żywane nie powinny zaszkodzić, ale nie ręczy za miksturę po fermentacji. Co do jed-
nego był pewny — nie jest to sposób na zniszczenie komórek rakowych.

- Lekarz był oburzony postępowaniem producenta antyry - powiedział przed sądem Katarzyna J. - ale rozumiał ją, bo ludzie łapią się różnych możliwości ratowania bliskiej osoby. Nawet nie wspominał, że o hochsztaplerstwie powinno się zawiadomić organy ścigania.

Podawała matce antyrę przez 2,5 miesiąca. Potem stan zdrowia chorej pogorszył się na tyle, że trzeba było ją zawieźć do szpitala. B. odradzał, zarzucał córce brak konsekwencji. Uprowadzał przecież, że kuracja musi potrwać; teraz cały jego wysiłek pójdzie na marne. I w tej nierozważnej decyzji córki widział potem przyczynę śmierci jej matki.

O wiele bardziej zdecydowanie zwalczała działania rzekomego profesora Ewa K., psycholog kliniczna w warszawskim Centrum Onkologii. Gdy zobaczyła B. w domu chorego na nowotwór 30-letniego Kuby, jak wlewa konającym już, do ust ową antyrę, nie zapanowała nad nerwami, wybuchła gniewem. Niestety, oszust przyjechał na zaproszenie zrozpaczonej matki, notabene lekarza.

Kuba wkrótce zmarł i Ewa K. jedyne, co mogła zrobić, to przestrzec innych pacjentów, aby nie ufali hochsztaplerowi. Związka, gdy namawia do zrezygnowania z chemioterapii, na co miała dowód w postaci nagranej na dyktafon rozmowy pewnej chorej z B. w jego gabinecie.

Ale nie znajdowała posłuchu.

Mąż Hanny K. zmarł z powodu pęknięcia wrzodu na dwunastnicy. Choć jego organizm bardzo źle znosił antyrę, ufał w ozdrowieńczą moc specyfiku. Za poradą B. zrezygnował z chemioterapii. Gdy czasem u tego chorego odzywały się wątpliwości, czy stuszenie robi, rezygnując z medycyny konwencjonalnej, B. tłumaczył mu, że przecież on też jest lekarzem, profesorem, choć nie lubi używać tytułów naukowych. Cenią go za granicą, zapraszają na międzynarodowe sympozja. Ma duże sukcesy w leczeniu raka. Jeśli tylko znajdzie wolną chwilę, umówi państwa K. na rozmowę z kimś, kto był w znacznie gorszym stanie i został antyrą wyleczony (nigdy do takiego spotkania nie doszło).

Również Krystyna W., której syn cierpiał na guza mózgu, dała się zwieść opowieściom B. o cudownych uzdrowieniach. Choć była zaskoczona, że znachor nie chce zająć się z kliniczną dokumentacją choroby syna, bada jego stan jedynie dotknięciem głowy. Kupiła 65 buteleczek antyry, po 1000 zł jedna. Syn wypił połowę z tego, zmarł. Gdy po pogrzebie swego jedynego dziecka wytyczyła znachorowi prosto w twarz, że jest oszustem, Zygmunt B. odpowiedział, żeby skierowała pretensje do Pana Boga.

Rzekomy profesor zwykł mówić: „postawię pana na nogi, ale to będzie drogie leczenie”. Opłaty za buteleczkę z tym samym, rzekomo życiodajnym płynem różniły się w zależności od widzimisię znachora. Mogła wynosić 1000 zł, 500, 480, a nawet tylko 6 dolarów.

Joanna J. (ta od mieszania półproduktu) zeznała w sądzie, że za zestaw buteleczek na jeden dzień kuracji kasowała od interesantów 720 zł. Szef sprzedawał

płyn co najmniej na 10 dni. Widziała, jak klienci płacą jednorazowo 20 000-30 000 zł. Często przyjeżdżali rano, gdy B. jeszcze nie było w gabinecie i wtedy antyrę wydawali im pracownicy z produkcji. I oni odbierali koperty z pieniędzmi dla szefa.

Na procesie poszkodowani podliczali, ile pochłonęła kuracja antyrą.

Anna K. matka chorej na raka Joanny kupowała buteleczki przez trzy miesiące, aż do śmierci córki. Było to 11 porcji, każda za 4800 złotych.

Andrzej P. wydał w sumie 140 000 zł, co może potwierdzić dokumentami z banku, bo na kupno specyfiku wziął kredyt. Chora żona zmarła. Katarzyna J. wydała na bezskuteczne leczenie mamy 65 250 złotych. Dorota Cz. - około 100 000 złotych.

Gdy kuracja trwała wiele miesięcy (B. przestrzegał przed jej przerwaniem, bo wtedy wszystko pójdzie na marne!), rodziny niektórych chorych prosiły o rozłożenie płatności na raty, bądź obniżenie ceny antyry.

W takiej sytuacji znalazła się Regina B., którą jednodniowa porcja preparatu kosztowała 500 zł. Po kilku tygodniach już nie miała pieniędzy. Prosiła B. o litosć. „Profesor” wspaniałomyślnie kazał jej napisać podanie do SMB - fundacji o takiej nazwie, której jest prezesem. Obiecał poparcie prośby. Odpowiedź przyszła pozytywna - można zejść z ceny zestawu do 200 zł. Regina B. nie miał odwagi zapytać, co ten skrót - „SMB” oznacza. Ani gdzie jest siedziba owej fundacji.

Ale Zygmunt B. nie dla wszystkich swych patentów był tak łaskawy.

Powiedział kiedyś rodzinie pacjenta, że produkt z jego laboratorium nie jest na kieszeń emerytów czy rencistów. A Hannie Z., która w gabinecie B. zostawiła 100 000 złotych, a on namawiał ją na kupowanie kolejnych porcji antyry poradził, że jeśli nie ma już pieniędzy, niech zmieni pracę.

◆ ◆ ◆

- Zamykam przewód sądowy - oznajmił sędzia Piotr Schab i prokurator mógł ogłosić, jakiego oczekuje dla oskarżonego wyroku. Po podliczeniu wszystkich kar wyszło siedem lat pozbawienia wolności oraz grzywna.

Znachora na sali sądowej nie było. Od dłuższego już czasu nie raczył przychodzić na rozprawy - reprezentował go adwokat. Mecenas w mowie obrończej podkreślał socjologiczne tło sprawy, która jego zdaniem dotyczy sprzedaży nadziei. Niestety, za duże pieniądze.

- Taki proceder - twierdził - otacza nas ze wszystkich stron. Z telewizora płyną oszukańcze informacje o suplementach diety, powodujących natychmiastowe schudnięcie, cudownych kremach na odzyskanie młodości, pigułkach na seksualny wigor itd. I jest na to społeczne przyzwolenie. Zygmunt B. do przestępczej działalności został zachęcony przykładem - szedł drogą wytyczoną przez potężne koncerny farmaceutyczne.

Pełnomocnik oskarżonego wprawdzie nie negował obciążających jego klienta zeznań poszkodowanych, ale zwracał uwagę sądu, że B. do swego gabinetu nie ciągnął

chorych siłą. On tylko odpowiadał na pragnienia ludzi, chcących kupić nadzieję na wyzdrowienie ich bliskich. Iluzoryczną, gdyż w rzeczywistości zdawali sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna.

— Trudno mi to tak nazwać, ale powiem — zastrzegł się adwokat — mieszanki ziołowe były na wagę ofiarowanych miesięcy życia. Dlatego Zygmunt B. tak wysoko je cenił.

Usprawiedliwiająć oskarżonego, mecnas uderzał w lekarzy, którzy w większości nie negowali postępowania B. Tak zachowywał się farmakolog, który leczył pieśniarza Kaczmarzkiego. Prawdopodobnie uznał, że dodatkowa, alternatywna kuracja choremu nie zaszkodzi. A Kaczmarzki, który brał antyrę do końca życia i zarliwie reklamował wytwórcę tego specyfiku, dzięki wierze w ziołową terapię zyskiwał siły do walki z nowotworem.

Owszem, zdarzyło się, że któryś z onkologów nazwał antyrę solidem z ogórków i buraków, ale i on nie powiedział choremu wprost — odstawić. Możliwe, że lekarze postępowali tak z litości dla zrozpaczonych rodzin osób chorych na raka, które nie były w stanie bezczynie patrzeć na powolne umieranie ich bliskich.

Z faktu, że oskarżony, który udając profesora, biochemika, czy po prostu lekarza, nie potrafił w sądzie nawet podać proporcji ziół w jego miksturach, mecnas wysnuł wniosek, że Zygmunt B. nie był cynicznym oszustem. Zdaniem adwokata jego klient nadal wierzy w antryakowe właściwości swego preparatu i ubolewa, że na skutek procesu tyle poszło na zmarnowanie. Gdyby nie miał tego przekonania, nie marnowałby selek mylników podczas mielenia półproduktu. Mógł przecież z tym samym skutkiem sprzedawać zabarwioną wodę.

Mecenas wyraził ubolewanie, że podczas procesu nie padło pytanie o kondycję natury człowieka. Zygmunt B. uwierzył, że jest cudotwórcą. Nie on pierwszy w dziejach świata. — Nie chciałbym — apelował do sądu — aby mego klienta potraktowano jak zwykłego naciągacza. Sprzedawanie ludziom nadziei, to nie jest typowe oszustwo. Zarzut, że B. udawał lekarza, mecnas potraktował jako „raczej uboczny”. Kolejny — że narażał ofiary swego przestępczego działania na utratę życia — jako nieuzasadniony.

— Zygmunt B. nie czuje się przestępcą, a to nakłada na mnie obowiązki wystąpienia z wnioskiem o uniewinnienie — zakończył.

Sędzia odroczył wydanie wyroku o kilka dni ze względu na, jak wyjaśniał, zażyłość prawnie tkwiącą w istocie postawionych zarzutów.



Odczytano wyrok — siedem lat więzienia. Ponadto Zygmunt B. musi zwrócić niekórym poszkodowanym (jeśli o to wystąpił do sądu) wyłudzone od nich pieniądze wraz z odsetkami. To jest długa lista, zawierająca kilkadziesiąt nazwisk. Sumy — od kilkunastu tysięcy złotych do kilkuset.

Oskarżony, który do końca procesu utrzymywał, że jest niewinny, na ogłoszenie wyroku nie przyszedł.

— Mamny do czynienia z oszustwem — uzasadnił surowy wyrok sędzia Piotr Schab. — Oskarżony reklamował preparat jako rewelacyjną metodę sprawdzoną na wielu osobach, ale nie potrafił przedstawić choćby jednej, którą wyleczył. Oszukiwał dla pieniędzy, i to dużych. Jedyną właściwie okolicznością łagodzącą jest wieloletnieżonego.

Sąd był zgodny z prokuratorem co do wysokości kary; kontrowersje dotyczyły prawnej kwalifikacji czynu. Oskarżyciel domagał się 7 lat więzienia nie tylko za oszustwo, ale też za inne przestępstwa: narażenie pacjentów na niebezpieczeństwo (poprzez nakłanianie ich do rezygnacji z tradycyjnego leczenia), leczenie bez uprawnień, pranie brudnych pieniędzy.

Sąd uwolnił Zygmunta B. z tych trzech ostatnich, bowiem: dwie mogły mieć zastosowanie tylko wobec kogoś, kto naprawdę jest lekarzem. A co do prania brudnych pieniędzy, nie udało się w toku procesu ustalić ich źródła. Prawdopodobnie pochodziły z przestępczej działalności, ale prokuratura tego nie weryfikowała.

Odezwał się dzwonek u furtki. Profesorowa wyszła na ścieżkę prowadzącą od jej willi między rabatami. Był słoneczny lipcowy ranek i kobieta z uśmiechem wypatrywała, ktoż to ją niespodziewanie odwiedza w tej podwarszawskiej arkadii. Koło parkanu stał młody mężczyzna w skórzanej kurtce, obok niego motocykl harley. Ktoś od Magdy? – idąc w kierunku furtki pomyślała o córce, która na stałe mieszkała w Niemczech.

Nieoczekiwany gość miał arogancką, butną minę. Bąknął swoje nazwisko, po czym zatoczył ręką szeroki łuk w kierunku lewej części ogrodu, mówiąc: „Jestem nowym właścicielem tej nieruchomości, jutro będę odmierzać swoją część, radzę nie przeszkadzać, bo ze mną nie wygracie”. I chciał otworzyć furtkę.

W tym momencie podszedł do ogrodzenia Jan G., 78-letni emerytowany profesor politechniki. Uprzedził intruza, aby nie robił następnego kroku, bo może się to źle skończyć.

Gdy psy leniwie podniosły się ze swych legowisk, harleyowiec szybko odjechał, ale wkrótce zjawił się z geodetą. Wtedy profesor wezwał policję i zażądał od intruza dokumentu potwierdzającego, że rzeczywiście posiada jest jego własnością. Młody mężczyzna okazał tylko akt notarialny na część parceli, w którym – co profesor po dokładnym obejrzeniu zauważył – numer repeytorium na stronie pierwszej nie zgadzał się z numerem na ostatniej. Nie był to oryginalny, lecz kopia. Zawiadomiona policja kazała najędźcom opuścić teren.

Profesorowa zatelefonowała do córki – niech ratuje rodzinne gniazdo. Ojciec jest załamany, przecież na kupno tej parceli i budowę domu wydał oszczędności całego życia.

Do przyjazdu Magdy Jan G. już trochę rozeznał się w nowej sytuacji. Przede wszystkim, sprawdził wpis parceli do ewidencji gruntów w gminie – z przerażeniem zobaczył, że obok jego nazwiska jako właściciela domu i połowy nieruchomości, druga część jest przypisana do spadkobierców Ferdynanda Ludwika Krola* – Jana Krola i jego zameżnej siostry Jadwigi.

Profesor zawiadomił prokuraturę o popełnieniu oszustwa. Przesłuchano odpowiedzianą za wpisy urzędniczkę. Stwierdziła, że w 2001 roku zgłosił się do gminy znany warszawski adwokat z wnioskiem o ujawnienie w ewidencji gruntów jako nowych właścicieli rodzeństwa Krolów, spadkobierców Erwina – jedynego brata Ferdynanda Ludwika Krola. Mecenas przedstawił dokumenty: postępowania spadkowe i osobliwe pismo z sądu ksiąg wieczystych, gdzie w pierwszym akapicie potwierdzono zniszczenie przedwojennej księgi wieczystej nieruchomości, którą zakupił w 1936 roku Ferdynand Ludwik Krol, a w drugim podaje treść owego nie istniejącego wpisu.

Innych dokumentów, stwierdzających czarno na białym co naprawdę dziedziczą Krolowie, nie było.

Potem wypadki potoczyły się szybko. Po złożeniu przez profesora zawiadomienia o przestępstwie, sporna część parceli została błyskawicznie odsprzedana. Jak się

później okaże, za jedną trzecią wartości i z wpisaną hipoteką. Zakładanie księgi wieczystej dla nowej właścicielki, Beauty T., trwało zaledwie trzy dni.

Następnie jej adwokat wezwał pismem procesowym Jana G. do „wydania nieruchomości w ciągu pięciu dni; w przeciwnym razie wystąpi z powództwem o eksmisję i odszkodowanie”. Profesor wytropił, że nękający go mecenasi to ta sama kancelaria. A harleyowiec, który zamierzał kupić od Beauty T. ową działkę, jest właścicielem dużej agencji nieruchomości w Warszawie.



– Wszystko się wyjaśni, odkręci, dajcie mi tylko trochę czasu – Magda pociesza zalanych rodziców i zaczyna przeglądać domowe archiwum. Do tej pory niewiele wiedziała o historii rodzinnego domu. Była przekonana, że stoi na jednej dużej działce.

Sprawdziła się do niego, gdy miała kilkanaście lat, bo choć ojciec kupił parcelę w 1975 roku, czyli zaraz po urodzeniu się jedynej córki, budowa domu ciągnęła się do 1992 roku.

– Tato, nie mogę znaleźć w twoich papierach dokumentu kupna – to było pierwsze zaskoczenie Magdy.

Profesor dysponował wyciągiem z księgi wieczystej na pół parceli. Co do drugiej części (faktycznie granicy między nimi nie było) pokazał umowę, spisana na krakowskiej kartce papieru z datą 15 września 1975 roku:

„Niniejszym zaświadczam, że sprzedałam p. doc. dr. Janowi G. (...) nieruchomości w ... położoną przy ul. (...) obejmującą działki leśne nr 392 i 394 wraz ze wszystkim, co się na nich znajduje... (dalej jest informacja, że działka nr 392 ma księgę wieczystą i w oparciu o nią nastąpiło przeniesienie własności. Natomiast sytuacja działki o numerze 394 jest bardziej skomplikowana).

„Wobec braku pomiarów geodezyjnych, które zaginęły z ksiąg hipotecznych znaczą, że sprzedana nieruchomość ogrodzona jest siatką drucianą częściowo zniszczoną i graniczy z... (tu szczegółowy opis). Zaznaczam, że teren ten dziedzi-czę po mojej siostrze Janinie z domu Z. Podpis – Stanisława K.”.

– Tato, czyli tę część naszego ogrodu, gdzie nie ma zabudowań kupiłeś nieformalnie?!

– Nie mogłem inaczej. Trudno było parcelę rozdzielać. Miały wspólny ogród, plot, pośrodku jedną furtkę. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że całość należała do Janiny Z. Kupowałem od jej siostry, a jakimi drogami działka trafiła w jej ręce, nie wnikałem. Zapłaciłem za wszystko 190 000 zł, wówczas duży pieniądże. Podatek gruntowy płaciłem jeden, myślałem, że jest od całości. W gminie okazało się, że tylko od tej części, na której stoi nasz dom.

Magda jedzie do Archiwum Państwowego m.st. Warszawy. Udaje jej się potwierdzić informacje, że w 1936 roku tę nieruchomość zakupił od hrabiego Branickiego niejaki Ferdynand Ludwik Krol. Niestety, księga wieczysta zaginęła. Z aktu

kupna sporządzonego przez notariusza Adama Branickiego wiadomo, że nowy właściciel mieszkał w Warszawie (jest podana ulica). Więcej informacji typu: data urodzenia, imiona rodziców nie zamieszczono.

Magda pyta ojca, czy słyszał od siostry Janiny z. o Ferdynandzie Krolu. Nigdy. Ponownie udaje się do gminy. Chce wiedzieć, skąd zjawili się spadkobiercy. Okazuje się, że dokumenty dotyczące dziedziczenia przysły z Dohego Śląska. Trop prowadzi do sądów w województwie dolnośląskim.

Trzeba by zobaczyć te akta. Dla Magdy to trudna wyprawa, bowiem dopiero co przeszła ciężką chorobę. Ale determinacja w dotarciu do prawdy dodaje jej sił.

Zatem – kierunek Wrocław.



Musi się przekopnąć przez akta sądowe gromadzone od dziewięciu lat.

Zaczyna się od tego, że w 1993 roku Sąd Rejonowy dla m. Wrocławia Wydział Cywilny pozytywnie rozpoznał sprawę z wniosku Jadwigi Krol o stwierdzenie nabycia spadku po mężu Erwinie zmarłym 20 lat wcześniej.

Żona Erwina umiera w 1995 roku. W tym samym roku jej dzieci – Jadwiga i Jan zgłaszają we wrocławskim sądzie, że ich ojciec miał jedynego brata Ferdynanda Ludwika. Chcą odtworzyć krewnemu akt urodzenia, gdyż USC we Wrocławiu z niewiadomych przyczyn odmówił.

Wnioskującym wiadomo, że stryj Ferdynand zmarł w czasie wojny. Brak jednak jakichkolwiek na to dokumentów. Mają tylko zaświadczenie z USC w B. pod Łodzią, że akt urodzenia Ferdynanda Ludwika Krola nie istnieje. A oni twierdzą, że stryj na pewno się tam urodził.

Dochodzi do rozprawy. Pani Jadwiga (z zawodu nauczycielka, co w oczach sądziego dodaje jej wiarygodności) podaje, że po wojnie rodzina bezskutecznie szukała Ferdynanda. Nie wie, czy był żonaty. Jej brat Jan nigdy nie widział stryja.

Tylko na podstawie zeznań wnioskodawców i aktu małżeństwa dziadków, bez okazywania jakichkolwiek dowodów potwierdzających istnienie Ferdynanda Ludwika Krola, sąd uznał sprawę za dostatecznie wyjaśnioną. Usralono treść metryki Ferdynanda: urodzony 08.05.1905 r. w B. Imię ojca: Gustaw Adolf, imię matki: Juliana. Nazwisko panienske matki: Buff.

Rok później Jan i Jadwiga z pomocą warszawskiego adwokata specjalizującego się w odzyskiwaniu kamienie w Warszawie, występują do Sądu Rejonowego w K. z wnioskiem o uznanie za zmarłego Ferdynanda Ludwika Krola.

Jan Krol zeznał na rozprawie, że z Ferdynandem miał kontakt tylko we wczesnym dzieciństwie. Dokładnie pamiętał, że stryj mieszkał w Warszawie, podał nazwę ulicy. W rodzinie mówili się, że ten krewny do końca życia pozostał kawalerem. Chyba był na wojnie; rodzice opowiadali, że walczył na wschodzie, a potem, podobnie jak Erwin, w armii Andersa. Później ślad po stryju zaginął. Jan pamięta, że ojciec

szukał swego brata zaraz po wyzwoleniu, również za pośrednictwem Czerwonego Krzyża – ale bezskutecznie.

Jadwiga ostatni raz widziała stryja tuż przed napaścią hitlerowców. Od ojca wie- dział, że spotkał się z Ferdynandem w czasie wojny na terenach radzieckich.

Sąd nakazał zamieścić w „Kurierze Polskim” wezwanie do zaginionego Ferdynanda Ludwika Krola rodem z B., aby się zgłosił w ciągu trzech miesięcy, bo w przeciwnym wypadku zostanie uznany za zmarłego. Gdy upłynął stosowny termin, sąd uznał sprawę za wyjaśnioną; Ferdynand Ludwik Krol zmarł 9 maja 1946 roku o godzinie 24. Taką datę wpisano do aktu zgonu.

Magda wertując akta sądowe zauważyła, że dane osobowe Erwina są rozbieżne z przedstawianymi w akcie urodzenia Ferdynanda, stworzonym w 1995 roku. Erwin ma matkę Julianę Słowińską, ojca Jana Krola. Ferdynand natomiast urodził się Juliana Buff, a jego ojcem jest Gustaw Adolf. Mimo to sąd uznał Ferdynanda za członka „tych” Krolów.

Po tym orzeczeniu w sprawie nastąpiła cisza. Krewni jakby się zadowolili samym aktem zgonu, nie zrobili następnego kroku. Dopiero w 1999 roku od Jadwigi i Jana wpłynęło do Sądu Rejonowego w K. osobliwy wniosek – o zmianę danych Erwina Krola.

Imię jego ojca zostało poprawione z Jana na Gustawa Adolfa, nazwisko panienske matki, z Słowińskiej na Buff...

Jak to uzasadniono? W protokołach z rozpraw nie ma wyjaśnienia. Sąd, mimo rażących rozbieżności, uznał obu mężczyzn za braci z tej samej matki i ojca.

Od tego momentu sprawa spadkowa ruszyła z kopyta.

W maju 2000 roku Jan Krol zeznał przed sądem, że jego ojciec, choć mieszkał na drugim końcu Polski, w celu odzyskania nieruchomości kilkakrotnie jeździli do podwarszawskiego miasteczka.

– W latach 90. – wspominał – ja też kilka razy się tam wybrałem. Parcela po stryju to właściwie kawałek lasu. Ale oddzielnie ogrodzony, z bramą wjazdową. Działka sąsiednia, na której znajdował się budynek mieszkalny, była tuż za plotem. Kiedyś zadzwoniłem do gminy i uzyskałem potwierdzenie, że jedynym właścicielem figurującym w ewidencji gruntów jest Ferdynand Ludwik Krol.

Trzy miesiące później sąd w K. uznał sprawę za dojrzałą do rozstrzygnięcia: spadek po Ferdynandzie dziedziczą jego jedyni krewni, Jadwiga i Jan. Jako dowody założono postanowienia spadkowe po Erwinie, jego żonie, odpisy aktów urodzenia Ferdynanda i jego brata Erwina.

Na mocy tego prawomocnego orzeczenia, adwokat spadkobierców wystąpił do podwarszawskiej gminy o wpisanie do ewidencji gruntów prawowitych właścicieli parceli: Jana Krola i jego siostrę Jadwigę.

Profesor i jego rodzina nadal o niczym nie wiedzieli.



Magda postanawia na stałe przeprowadzić się do Warszawy. Trzeba pomóc starszemu ojcu w sprawach sądowych. Wprawdzie harleyowicz więcej już się nie pokazał, ale dziewczyna nie może spać spokojnie. Przecież gdzieś na Dolnym Śląsku toczy się przed sądem proces, w którym jacyś ludzie twierdzą, że należy im się połowa ogrodu rodziców (tak naprawdę już nie są „jacyś” – poznała ich na rozprawach w K. Jan Krol, mówiąc przed sądem o Ferdynandzie Ludwiku Krolu, raz po raz wyrażał się o nim „kochany stryj Fredzio”, a i w rozmowie z Magdą na wspomnienie F.L. Krola używał tego pieśzczołiwego zdrobnienia).

Za namową córki emerytowany profesor wystąpił do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Praga Południe o stwierdzenie, że nabył sporną działkę przez zasiedzenie. Trzeba długo czekać na rozpoczęcie procesu. Tymczasem – jest rok 2005 – stan zdrowia profesora się pogarsza. Musi używać wózka inwalidzkiego. Przed sądem reprezentuje go córka.

Na rozprawę o zasiedzenie stawia się Jan Z. od urodzenia mieszkający w tej samej miejscowości, co profesor. Świadek jest kuzynem nieżyjącej już Janiny Z., której siostra sprzedała profesorowi sporną parcelę. Opowiada, że jego ciotka i Ferdynand Ludwik Krol byli przed wojną zaręczeni, zamierzali się pobrać. Zachowało się ich zdjęcie ze spaceru po Warszawie: ona młodzianka, o prezencji panielki z dobrego domu (szary kostium, biała bluzka z kołnierzykiem zapiętym pod szyję, krótkie skórczone włosy, w sam raz do noszenia beretu), siedzi na ławce obok pani w średnim wieku, ubranej równie nobilitwie. Może to jej matka? Dziewczyna uśmiecha się lekko, jej rozmarzone spojrzenie skierowane jest przed siebie. On stoi obok i patrzy tylko na nią. Smukły, z początkami łysiny, przystojny.

Nim jednak doszło do ślubu, w 1936 roku kupili sąsiadujące ze sobą dwie nieruchomości. Ogrodzili wspólnym płotem, kazali zrobić jedną bramę. To miało być ich siedlisko.

Potem wybuchła wojna. Ferdynand wstąpił do Wehrmachtu. Na odchochodnie powieździł narzeczonej, że jeśli nie wróci, jego działka należy do niej. Pożegnali się i od tej pory słuch o nim zaginął.

Po wyzwoleniu Janina założyła rodzinę, zmieniła nazwisko. Nie szukała przedwojennego narzeczonego. Może nie mogła mu wybaczyć hitlerowskiego mundurku? Aż do swej śmierci w 1956 roku zarządzała całą parcelą. Następnie nieruchomości przejęła jej siostra Stanisława R. Postanowieniem sądu z 1974 roku stała się jedyną jej właścicielką.

A dlaczego w latach 50. nie uregulowano praw spadkowych? Zdaniem Jana Z. na przeszłość stała antykomunistyczna działalność członków jego rodziny zaraz po zakończeniu wojny. Poza tym – brat Janiny walczył w dywizjonie 301 i pozostał w Anglii. Te fakty „obciążały” obie siostry, wołały nie przypominać się ówczesnej władzy.

– Czy możliwe było – dociekał sąd – aby siostra pani Janiny sprzedała profesorowi dwie działki jako swoje, choć miała prawa tylko do jednej?

– Nasza matka – zeznały dorosłe dzieci pani R. – była kobietą o wysokim morale. Na pewno wzięła pieniądze tylko za jedną nieruchomości, tę z księgą wieczystą.

Magda nie była zbytnio zbulwersowana mijaniem się z prawdą potomków Stanisławy R., oczywiście dla jej rodziców; wszak widziała piśmne jej oświadczenie o zbyciu dwóch nieruchomości i wycenę sprzedawanych parceli. Była pewna, że ojciec, płacąc 190 000 zł, kupił całość. Dla niej istotne było to wszystko, co po raz pierwszy usłyszała o Ferdynandzie Ludwiku Krolu, a mianowicie, że wstąpił do armii niemieckiej. Czy w tej sytuacji rzekoma rodzina z Dolnego Śląska „stryjka Fredzia” mówiła prawdę?



Poszukiwania zaczyna od internetu. Jako informatyk porusza się tam z dużą biegłością. Znajduje drzewo genealogiczne rodu Krolów. Na jednej z gałęzi rodowych widnieje Ferdynand (bez drugiego imienia) urodzony w 1899 r. w W. koło Grodziska Mazowieckiego. – Skoro Ferdynand był w Wehrmachcie – zastanawia się Magda – to powinniśmy odnaleźć więcej informacji o nim w bazach archiwów niemieckich.

Wpisuje do wyszukiwarki interesujące ją hasła w różnych wersjach i dowiaduje się, że niejaki Ferdynand Krol, żołnierz hitlerowskiej armii, został pochowany w Warszawie, w zbiorowej mogile na Cmentarzu Północnym. Jedzie tam. Odszukuje nazwisko: Ferdynand Krol ur. 1899, zmarł w 1944. Trafi ją niepewność, czy ten Ferdynand, którego odnalazła, miał na drugie Ludwik. Ponieważ archiwa mieszkańców W. znajdują się w Grodzisku Mazowieckim, tam szuka aktu urodzenia Ferdynanda. Dociera do metryki (po rosyjsku), a w niej, cennej informacji: nie miał brata, tylko siostry! A co najważniejsze, na drugie dostał na chrzcie Ludwik. Tłumaczy dokument na polski i do sprawy o zasiedzenie dołącza sugestię, że w postępowaniu spadkowym doszło do oszustwa. Sąd Rejonowy w Warszawie ignoruje te dowody, tłumacząc, że rozprawa dotyczy zasiedzenia, a nie postępowania spadkowego. Sąd uznaje, że profesor działał w złej wierze. Wprawdzie nawet tzw. zła wiara umożliwia zatrzymanie własności, ale musiałoby minąć 30 lat od przejęcia działki. A Janowi G. brakowało roku, aby znalazł się w takiej szczęśliwej sytuacji. Zasiedzenie zostało bowiem przerwane przez Beatę T., gdy wystąpiła z powództwem do profesora o wydanie nieruchomości.

Sąd Rejonowy w Warszawie oddalił wniosek profesora o zasiedzenie. W uzasadnieniu stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Ferdynand Ludwik Krol zmarł 6 maja 1946 roku, spadek po nim odziedziczył jedyny brat Erwin, a następnie jego dzieci Jadwiga i Jan. W 2002 roku założyli oni dla tej części parceli księgę wieczystą. Rok później dokonano wpisu aktem notarialnym. Następnie rodzzeństwo Krolów odsprzedało działkę Beatce T. Miało do tego prawo, wszak

profesor w żadnej mierze nie był właścicielem drugiej części parceli, bowiem nigdy za nią nie zapłacił.

Magda wnosi apelację – sprawa ponownie wraca do sądu rejonowego „ze względu na bardzo dużą ilość dowodów wskazujących na możliwość przedstawienia spadkobierców”. Ale czekanie na rozprawę to już nie miesiąc, lecz lata.

Córka profesora nie siedzi bezczynnie. Postanawia nadal zbierać informacje o Ferdynandzie.

Następny krok wykonuje całkowicie w ciemno, pod wpływem impulsu: a może ten Ferdynand studiował przed wojną na Politechnice Warszawskiej? Ponieważ sama jest absolwentką tej uczelni napisała, jak do swoich, czego szuka.

Po tygodniu odzywa się telefon. – Mammy takiego – mówi chętna do pomocy archiwista, ale on nie skończył studiów. Zachowało się 7 podań o urlopy dziekańskie i ponowne przyjęcie. Z życiorysami. Początkowo student Król pięknie je kaligrafował, z biegiem lat stracił tę umiejętność.

Magda starannie ogląda pozostałe papiery. Porównuje sposób stawiania liter z podpisem Ferdynanda Ludwika Kroła na akcie kupna parceli od notariusza Branickiego. Widzi duże podobieństwo. Miarodajnie jednakże mógłby się wypowiedzieć tylko grafolog.

W międzyczasie przychodzi z Bundesarchiv dokumenty Ferdynanda Ludwika Kroła z jego zdjęciem i szczegółowymi informacjami: Syn Ludwika i Katarzyny Haebel, ur. 11.01.1899 r. w W., chrzczony w tamtejszej parafii ewangelicko-augsburskiej. Miał tylko siostry: Joannę, Apolonię, Annalę, Adolfinę. W latach 1910–1915 uczęszczał do szkoły realnej w Warszawie. W latach 1916–1918 uczył się w Charkowie, następnie studiował na Politechnice Warszawskiej. Wówczas mieszkał kolejno przy ulicach (...). Wiadomo też, jaki miał wzrost (164 cm), wagę (60 kg), kolor oczu (szare), uszczerbki w zębach.

Natomiast w danych z Deutsche Dienststelle podana jest data, miejsce i przyczyna śmierci Ferdynanda Ludwika Kroła, strzelca wyborowego z niemieckiego batalionu policyjnego kompanii Monnek: 02.08.1944 r., na ul. Górnośląskiej w Warszawie, w czasie walki z powstańcami.

Zatem wszystkie dane osobowe Ferdynanda z archiwów polskich, niemieckich, z Politechniki Warszawskiej i aktu urodzenia – zgadzają się.

Magda dociera do przedwojennej księgi wieczystej kamienicy na warszawskim Mokotowie, gdzie przed wojną mieszkał Król. Niestety, takie nazwisko tam nie figuruje, choć ten adres Ferdynanda widnieje w akcie notarialnego zakupu nieruchomości od hrabiego Branickiego. Wypytuje o wojenne losy budynku w Muzeum Powstania Warszawskiego. Wiadomo tylko tyle, że mieściła się tam od 1939 r. główna siedziba gestapo.



Na rozprawie o zasiedzenie córka profesora porównuje dane osobowe „jej” Ferdynanda z danymi przedstawionymi przez spadkobierców. Na swój użytek tego drugiego, z utworzoną w sądzie metryką i aktem zgonu, nazywa fantomem.

Wygląda to tak:

Ferdynand nr 1 (ten od Magdy) urodził się 11.01.1899 r. Ferdynand fantom – 08.05.1905 r. Pierwszy w W. na Mazowszu, drugi w B. woj. łódzkie. Imiona rodziców tego pierwszego: Ludwik, Katarzyna. Drugiego – Gustaw Adolf i Julianna. Nazwisko panińskie matki u pierwszego: Haebel. U fantoma – Bufl.

Pierwszy miał wyłącznie siostry, drugi jak podają rzekomi spadkobiercy, tylko brata Erwina. Pierwszy studiował na Politechnice Warszawskiej; co do wykształcenia fantoma zabiegający o spadek nie mają żadnej wiedzy.

Gdy Niemcy zajęli Polskę, pierwszy służył w Wehrmachcie; drugi, jak sugeruje jego rodzina, był w armii Andersa.

Pierwszy zginął 02.08.1944 r. w walce z powstańcami na ulicy Górnośląskiej, drugi – 09.05.1946 r., miejsce śmierci nieznane.

Pierwszy ma grób na Cmentarzu Północnym w Warszawie; co do drugiego nie ma w tym względzie żadnych danych (kochająca rodzina nie zadbała o postawienie stryjłkowi chociaż krzyża?).

Magda zadaje na rozprawie pytania:

Czy mogło istnieć dwóch Ferdynandów Ludwików Krołów o tym samym adresie w Warszawie, równocześnie kupujących od hrabiego tę samą nieruchomość? Dlaczego od pięćdziesięciu dwóch lat nikt nie interesował się sporną dziś nieruchomością? Dlaczego Erwin Król, skoro od roku 1945 był przekonany, że ma parcelę po nie żyjącym jedynym bracie (rzekomo oglądał ją przez plot) nie odwrócił aktu urodzenia Ferdynanda, ani nie przeprowadził postępowania spadkowego?

Na dowód, że Ferdynand kupujący od Branickiego ziemię w owej podwarszawskiej gminie to ten sam, który wcześniej pisał podania o urlopy dziekańskie na Politechnice, Magda okazuje na rozprawie 6 dokumentów z archiwum uczelni. Adwokaci strony przeciwnej wybiera dwa pierwsze, pisane kaligrafą. Na ich podstawie grafolog nie może stwierdzić, czy litery na pismach studenta i na akcie notarialnym nakreśliła ta sama osoba. Magda nie daje za wygraną i występuje o wykonanie ekspertyzy wszystkich dokumentów z politechniki i aktu notarialnego do wybitnego grafologa, biegłego sądowego prof. Tadeusza Tomaszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. Sąd wniossek o powołanie tego specjalisty ignoruje; profesor wykonał więc obszerną, liczącą 18 stron ekspertyzę na zamówienie prywatne.

Konkluzja jego badań: wszystkie teksty „zostały nakreślone przez tego samego wykonawcę”.

Ekspertyza jeszcze nie wpłynęła do sądu, gdy Jan Król oznajmia na rozprawie, że jego zdaniem było dwóch Ferdynandów Ludwików o tym samym nazwisku. I on dochodzi spadku po urodzonym w B. Skoro profesor Jan G. doszukiwał się właściciela

rodem z W., to znaczy, że spór toczy się o dwie różne osoby. Zatem rodzina Magdy nie ma w sprawie interesu prawnego.

Takie stanowisko zajęł też sąd.

Ale Magda nie poddaje się. Aby udowodnić, że drugiego Ferdynanda Ludwika Krola nigdy nie było, zaczyna poszukiwania genealogiczne od strony Erwina i jego rodziny.

„Czepia się” dwóch informacji, które podał w sądzie Jan. Otóż na pytanie, dlaczego niektóre dane osobowe jego nieżyjącego już ojca we wniosku spadkobierców z 1999 roku były inne niż w pierwotnej metryce wyjaśnił, że Erwin sfalszował za życia swoje dane, chciał w ten sposób zatuszować przed służbami bezpieczeństwa pobyt w Anglii.

Ponadto, Jan przedstawił akt małżeństwa Erwina z parafii rzymskokatolickiej z Wyszogrodu.

Magda jedzie zatem do Wyszogrodu, gdzie Erwin Krol przed wojną brał ślub i gdzie urodziła się dwójka jego dzieci: Jan i Jadwiga. Dzięki pomocy kierowniczki USC odnajduje kopię aktu małżeństwa, akty urodzeń dzieci. W księdze parafialnej nie ma wzmianki, że nastąpiła zmiana obrządku.

Od dyrekcji Szkoły Podstawowej w Wyszogrodzie dowiaduje się, że Erwin miał, owszem, brata – ale Gwidona, a nie Ferdynanda. Pojawia się kolejna zagadka: w 1958 roku Gwido, podobnie jak Erwin, zmienił sobie dane w akcie urodzenia. Od tej chwili nazywa się Krol. A matka jest z domu Sowińska. Dlaczego? Trudno znaleźć wyjaśnienia dla tych decyzji. Zapewnienia Jana Krola, że jego ojciec chciał zatuszować pobyt w armii Andersa, nie trzyma się logiki, gdyż Erwin w księdze meldunkowej podawał jako poprzednie miejsce zamieszkania Anglię. Niczego nie ukrywał.

Magda zwraca się do Ministry of Defence w Anglii (gdzie zachowało się archiwum żołnierzy Andersa) o ujawnienie jej dokumentów Erwina Krola. Otrzymuje odpowiedź, że człowiek, o którego jej chodzi, służył w Wehrmachcie, a wyjechał do Anglii dopiero po wojnie, po wyzwoleniu przez Andersa żołnierzy niemieckich zamkniętych w obozie jenieckim we Włoszech.

Jeszcze jedno oświadczenie Jana złożone na sali sądowej nie wytrzymuje weryfikacji: że Erwin po wojnie szukał brata Ferdynanda przez PCK. Anna dostaje z tej instytucji odpowiedź na piśmie: „W imiennej ewidencji spraw prowadzonych przez PCK takie zgłoszenie nie figuruje”.

◆ ◆ ◆

W siódmym roku walki córki profesora o zachowanie rodzinnego gniazda, zaczęły się pojawiać pierwsze sukcesy.

Przede wszystkim państwo G. wygrywają sprawę o zasiedzenie.

Ale są i przegrane. Jak ta przed Sądem Rejonowym Warszawa-Praga o uchylenie aktu urodzenia Ferdynanda (powstałego w wyniku zabiegów Jana i Jadwigi Krolów).

Po półrocznym czekaniu na pierwszą rozprawę, Magda wysłała do sądu prośbę o przyspieszenie terminu ze względu na kalendarz wakand w kwestii postępowania spadkowego po Ferdynandzie Ludwiku Krolu. Całkowity brak odpowiedzi skłonił ją do złożenia skargi do prezesa sądu. W rewanżu jej wniosek o uchylenie aktu urodzenia F.L. Krola został całkowicie oddalony na posiedzeniu niejawnym.

W uzasadnieniu napisano, że podnoszone uwagi, jakoby Ferdynand urodził się z innych rodziców, w innej miejscowości i innego dnia to nic innego, jak „drobne uchybienia”. Ponadto sędzia nie wiedział, który akt ma być w końcu uchylony i zasugerował drogę administracyjną prostowania ewentualnych błędów popełnionych w czasie procesu sądowego.

Natomiast złożony w Sądzie Rejonowym w K. na Dolnym Śląsku wniosek o uchylenie postępowania spadkowego został oddalony „ze względu na brak interesu prawnego ze strony prof. G.”. Orzeczenie wydała ta sama sędzia, która w roku 1996 roku uznała Ferdynanda Ludwika Krola rodem z B. za zmarłego. Magda złożyła w imieniu swego ojca apelację.

Zawiadomiła też o całej aferze z wydarciem majątku jej rodziców przez podstawionych spadkobierców Prokuraturę Rejonową w Warszawie. Po kilkakrotnych interwencjach zainteresowano się w końcu tą sprawą.

Również Prokuratura w Kamiennej Górze rozpoczęła śledztwo, po zgłoszonym przez Magdę zawiadomieniu o przestępstwie spadkowym popełnionym przez Jana i Jadwigę Krolów, którzy „zapomnieli” o istnieniu brata Gwidona.

Choć nikt już nie zabierze ogrodu – dumy profesorowej G., Magda nie odłożyła jeszcze na półkę swych detektywistycznych tropów. Na portalu „Nasza klasa” odkryła córkę Gwidona Krola. Dorosła dziś kobieta kategorycznie zaprzecza istnieniu w jej rodzinie Ferdynanda.

Zdobyła też metryki dzieci Julianny z domu Buff i Augusta Karola Krola. Są to: Natalia ur. w 1901 roku; Artur ur. w 1903 r. i Alfred ur. 1905 r. Wbrew temu, co Jan i Jadwiga Krolowie twierdzili w sądzie, nie było Ferdynanda! No i Erwina.

* Nazwiska zostały zmienione

KSYWA

ZAMIAST

NAZWISKA

Płacil pan podatków? – pyta w czasie procesu pruszkowskiego gangu adwokat innego oskarżonego. – Nie pamiętam.

– Ale PIT-y wypełniał pan?

– Coś tam było, gdy fikcyjnie zatrudniłem się w Mercedes Benz jako szef ochrony.

– To był PIT wyłącznie z miejsca pana zatrudnienia, nie obejmował innych dochodów, prawda? – naciska pełnomocnik.

– No tak.

Mecenas nie ustępuje: – Jaki majątek zgromadził pan na rok 1999 i jakie było źródło jego pochodzenia?

– Nie pamiętam. Mój stan faktyczny, to posiadanie domu w Komorowie, dwóch aut i paru groszy.

– Willa jakiej wartości?...

– Nie jestem rzeczoznawcą.

– To proszę ją opisać. Jaka powierzchnia? Czy są marmury, basen, z czego jest ogrodzenie.

– Czteryśta trzydzieści metrów kwadratowych. Jest basen. I marmury.

– Marki samochodów...

– Mercedesy klasy S. Ale prosiłbym, żeby mnie nie pytano o sprawy finansowe, bo to nie było tematem śledztwa.

Tej rozmowy nie mogli usłyszeć dziennikarze. Odpowiadający na pytania adwokata, to najbardziej znany świadek koronny w Polsce, Jarosław S. pseudonim „Masa”. Nie życzył sobie na sali rozpraw obecności pismaków, jak nazwał reporterów sądowych. Kilkadziesiąt tomów akt przeczytałam, gdy wysłano je do archiwum.

Ze wszystkich przesłuchań przebija wielka pewność siebie, żeby nie powiedzieć buta, Jarosława S. Czuje się bezkarny, wszystkie przestępstwa zostały mu darowane. Wie też, że za nim stoją prokuratorzy, którzy oparli akt oskarżenia przede wszystkim, a właściwie wyłącznie, na zeznaniach tego świadka koronnego. Na sali sądowej on jest najważniejszy. Popisuje się.

– Czy byłby pan łaskaw trochę pogłównkować w sprawie ścigania haraczy przez pruszkowską mafię? – prosi sędzieza.

„Masa”: – Gdym był łaskaw pogłównkować, to bym pogłównkował w toku śledztwa.

– Proszę jednak pana, aby pan był uprzejmy pogłównkować.

– W tej chwili, proszę wysłanego sądu, nie jestem w stanie pogłównkować.

A gdy adwokat jednego z oskarżonych (siedzi ich na ławie czterdziestu dwóch – godna reprezentacja gangu pruszkowskiego) pyta: – Na jakiej podstawie pan twierdzi, że oskarżony R. ksywa „Bolo” nakłaniał pana do zabicia N., znanego pod pseudonimem „Dziad”? „Masa” nie kryje rozbawienia:

– Bo wysłał mnie tam z bronią. Chyba nie po to, abym ustrzelił doniczki w oknie domu pana N.

Po czym wpada w irytację: — Proszę wysokiego sądu, pan mecenas mówi nie wyraźnie, ja połowy z tego nie rozumiem. Bardzo bym prosił, aby ktoś mi tłumaczył te pytania, bo to jest po prostu bełkot...

I tak to wyglądało każdego z osiemnastu dni, kiedy na pytania sądu i adwokatów odpowiadał Sławomir S. Wyluzowany, bo wówczas nie musiał się bać o swoje życie. Nad bezpieczeństwem cennego świadka koronnego czuwał sztab ludzi.

Na salę rozpraw konwojowało go 96 antyterrorystów. Co kilka minut policjanci mieli obowiązek meldować specjalnym szefem zwierzchnikom, do którego miejsca dotarli. Szczegółowo rozpisana operacja przewidywała, że jeśli dowódca konwoju w określonej sekundzie nie połączy się z centralą i nie odpowie na wywołanie, zostanie wszczęty alarm.

Miejsce procesu też nie było zwyczajne. Teren po byłej jednostce wojsk nadwładziński został otoczony betonowym ogrodzeniem, umocowanym zwojami drutu kolczastego. Wybudowano dwie stalowe śluzy. Dziedziniec dla samochodów — „więzniarek” — otoczył ponad 4-metrowy mur. W drzwiach wejściowych zamontowano detektor metalu, tzw. bramkę pirotechniczną. Wszystkie pomieszczenia zostały naszpikowane kamerami. Sala rozpraw miała okna tylko od strony publiczności. Czterdzieści dwóch oskarżonych weszło na salę rozpraw korytarzami pod ziemią — bez kontaktu z publicznością, świadkami, sędziami. Czekali na nich boksy osłonięte poczwornie klejonymi szybami trzycentymetrowej grubości. Adwokaci mogli porozumiewać się z oskarżonymi tylko przez interkom.

Okolice budynku sądu obstawili policyjni komandosi z kompanii antyterrorystycznej.

Jedynie, na co mogli sobie pozwolić oskarżeni wobec świadka koronnego, to obrzucić go na sali rozpraw jak najgorszymi wyzwiskami.

Z notatek policjantów: W trakcie zeznań świadka koronnego oskarżony S. używał takich określeń, jak: k... i tak będziesz gryzł piach, ch... zdrajco, zginięsz, ale przedtem cię wyrucham. I wykonywał gest świadczący o chęci wykorzystania seksualnego. Natomiast oskarżony P. wstał z ławy i zaczął krzyknąć do świadka koronnego: — Ty ruro, wczoraj sąd mi zwrócił uwagę, gdy powiedziałem, że „Masa” to bandzior, teraz powiem, że to największy pedał i on wszystkim obciąża”.



Od wielu lat żyje w strachu. Jego kolejne mieszkania są kryjówkami, do których jest przeprowadzany w pośpiechu, pod osłoną nocy i gotowych do strzału policyjnych pistoletów. Razem z nim biegną żona i dzieci oraz ich osobisty terapeuta. Miejsce ukrycia, to najbliższej strzeżona tajemnica w programie ochrony świadka koronnego. Adresu nie znają nawet prokuratorzy, którzy chcą go przesłuchać. Dokład ich dowiedziano, dowiadują się na miejscu.

Jarosław S. „Masa” nie przeszedł operacji plastycznej, ale ci, którzy widzieli go niedawno twierdzą, że jest nie do poznania. Z potężnego mężczyzny — stąd pseudonim — został wór. Schudł kilkadziesiąt kilogramów. Nosi mocno krzaczącą brodę. Ze swojej kryjówki wychodzi tylko na przesłuchania.

Co jakiś czas wóród niedobitków „Pruszkowa” rozchodzi się alarmująca wieść, że „Masa” krąży po okolicy. Podobno dzwonił do któregoś z gangsterów, pozostających jeszcze na wolności. Panika, bo skoro świadek koronny się odzywa, to znaczy, że będzie sypał. Ktoś nawet widział S. rozpartego w ubłobionej przez małe restauracji w Ursusie.

Oficerowie ze sztabu ochrony świadka koronnego śmieją się z tych pogłoszek: — „Masa” nie jest samobójcą. Jeśli chce zadzwonić, jedzie kilkadziesiąt kilometrów od miejscowości, w której akurat ma swoją bazę. Gdy przypadkowo zobaczy na ulicy kogoś, kto go zna, natychmiast zapada decyzja o zmianie adresu kryjówki.

Jego rodzina myślała, że skończy prowadzić życie na walizkach wraz z uprząmochieniem się wyroku. Sąd Najwyższy oddał kasację w procesie małego pruszkowskiej. Przestępcy o pseudonimach „Malizna”, „Bolo”, „Kajtek”, „Parasol” i „Wańka” pozostali w więzieniach, skazani na odsiedzenie sześciu, siedmiu lat. Wyroki zapadły niskie, bo oskarżonym nie udowodniono popełnienia zorganizowanych morderstw.

Ale rola ich niedawnego kumpła nie skończyła się wraz z ogłoszeniem w dzienniku telewizyjnym, że „świadek koronny »Masa« zamknął Pruszków”.

W czasie procesu stało się jasne, że maci najsierniejszego w Polsce gangu sięgają daleko poza ich główne siedliska. Dlatego S. jest wzywany na inne mafijne procesy toczące się w innych miejscach w Polsce. Grupa pruszkowska była powiązana z podobnymi gangami w Olsztynie, Łodzi, Poznaniu, Trójmieście. Tych rozpraw jest nadal tyle, że dla oszczędności czasu byłego gangstera często wozi się śmigłowcem. Zdarzają się miesiące — twierdzi adwokat skazanego „Boła” — gdy najsierniejszy świadek koronny nie ma ani jednego wolnego dnia w kalendarzu. — Obwozą go po kraju jak niedźwiedzia w klatce — mówi mecenas.

Czasem sąd korzysta ze zdobyczy najnowszej elektroniki. Na procesie łódzkiej „ośmiornicy” „Masa” zeznawał z wielkiego ekranu, który stanął w sali rozpraw. Podobny sprzęt z kamerą i monitorem ustawiono w utrzymywanych w tajemnicy miejscu pobytu świadka koronnego. Kontakt między obiema „końcówkami” zapewniało cyfrowe łącze telefoniczne.

Nowe dane osobowe S. dostanie dopiero po zakończeniu wszystkich procesów w sprawie pruszkowskiej. Może nawet wtedy zmienić pieć. Będzie miał zagwarantowaną pracę lub wyjazd za granicę.

Ale to nieprędko nastąpi. Na razie jest skazany na nieodłączne towarzystwo antyterrorystów, nawet posilki jedzą wspólnie. Dzienna dieta to 40 złotych. S. to nie wystarza, dokłada ze swojego portfela.

◆ ◆ ◆
 Prokuratorzy nie mają wątpliwości, że warto inwestować w najsłynniejszego świadka koronnego, bo wie dużo. Nie tylko rozbił „Pruszków”. To dzięki „Masie” szczebiński sąd poznał tajemnicę zastrzelenia w 1999 r. w Szwecji młodziutkiej Moniki Hanssen. Mordercą okazał się Jacek N., „Kato” z gangu pruszkowskiego, prawa ręka bossa szczebińskiego podziemia Marka M., „Oczki”. „Kato” miał zgładzić narzeczonego dziewczyny, gdyż ten, od lat związany z mafią, zamierzał wycofać się z nielegalnych interesów. Ale chybił. Na linii strzału znalazła się Monika. Szczebiński zleceniodawcy wydali na niego wyrok śmierci. Wynajęli mieszkanie w Niemczech, do którego mieli zwać przysięgłą ofiarę. Wszystkie ściany okleili folią, bo „przy krojeniu – tłumaczyli w sądzie – jest jak w jacie”. Dzięki aresztowaniu „Kato” uratował życie.

„Masa” wysypał też Krystiana. Sz. ps. „Młody Simon”, syna szefa śląskiej mafii. Sprawa dotyczy wydarzenia sprzed lat, kiedy „Młody Simon” był studentem prywatnej Wyższej Szkoły Administracji w Warszawie. Gdy z zajęć wracał do domu w Katowicach, wiozł amfetaminę i marihuanę, kupione od gangstera „Rympalka”. Narkotyki sprzedawano w śląskich dyskotekach, kontrolowanych przez „żolnierzy” Zbigniewa Sz. – „Starego Simona”, ojca owego niepozornie wyglądającego studenta, w rzeczywistości organizatora nowego kanału przemytu narkotyków z Pruszkowa.

Policja już deptała Krystianowi Sz. po piętach, gdy wyjechał za granicę. Wrócił cztery lata po śmierci ojca, który w ramach porachunków z gangsterami zginął od kuli w Będzinie, pod własną knajpą „Zielone Oczko”.

„Młodemu Simonowi” nie groziło więzienie, choć ciążył na nim zarzut handlu narkotykami i udziału w porwanu biznesmena. Katowicki sąd wystawił mu gwarantujący nietykalność list żelazny. Proces ciągnął się długo, ale nawet po ogłoszeniu wyroku (trzy lata) Krystian Sz. nie trafił za kratki. Każdego popołudnia można go było spotkać w „Zielonym Oczku”, a wieczorem w innych znanych katowickich lokalach. Lubił się bawić, a potem po pijanemu szarżować po ulicach swoim dżipem.

Sąd odrzucił skazanemu wykonanie kary, bo: urodziło mu się dziecko albo został jedynym żywicielem rodziny, gdyż konkubina musi spłacać kredyt za mieszkanie, następnie z powodu bólu kręgosłupa.

Dopiero obciążające zeznania świadka koronnego zmusiły sąd do wystawienia „Młodemu Simonowi” nakazu stawienia się w myślowickim areszcie.

Najsłynniejszy w Polsce świadek koronny przyłożył też rękę do uwięzienia tzw. II ligi „Pruszkowa”. Po wyłapaniu i osadzeniu głównych watażków, przyszedł bowiem czas na tych, którzy stali w cieniu bossów: „Bysia”, (szefa podległej „Masie” podgrupy tzw. bryndziaków), „Burzyna”, „Petracha”, „Kofleta” – dwudziestu sześciu bandytów. Zostali oskarżeni o handel narkotykami i bronią. Tym razem prokurator nie miał trudności ze znalezieniem, poza koronnym, innych świadków. Stawili się ofiary: m.in. dręczony restaurator, u którego gangsterzy za darmo się stołowali (do-

polki nie wpadł na pomysły, aby w tym samym czasie gościć policjantów), właściciel stacji benzynowej, w której od lat tankowali za darmo.

Kilka miesięcy później CBS uderzyło w odrodzony zarząd pruszkowskiej mafii po raz drugi. Został zatrzymany ze swoimi ludźmi Adam D. ps. „Młody Wańka”, syn siedzącego już w więzieniu Leszka D. Prokuratura wysłała do sądu akt oskarżenia przeciwko 57 „pruszkowiakom”. Na tym nie koniec. W czasie przesłuchania „Młody Wańka” ujawnił krajową siatkę nowych powiązań mafii. Oficerowie śląskiego CBS wkroczyli do kilkunastu mieszkań i firm w Piekarach Śląskich, Bielsku-Białej, Opolu, Częstochowie i Warszawie. Zatrzymano 14 osób. Do niejako tradycyjnych już zarzutów doszedł nowy: odrodzona mafia zaczęła wykupywać firmy, które wprowadziłyby złe wyniki finansowe, ale ciągle jeszcze dobrą reputację: placify podatki, nie miały zaległości w ZUS-ie, nie figurowały w rejestrze dłużników. W rękach nowych właścicieli-oszustów, przedsiębiorstwa te żerowały na uśpionej czujności kontrahentów. Zamawiały np. drogę meble, uzgadniając za nie odroczone termin płatności, po czym sprzedawały towar i nie spłacały zobowiązań. Tak między innymi zostały oszulkane znana fabryka w Swarzędzu oraz firma Kler.



„Masa” o mało co nie zmierzył się ponownie na sali sądowej z gangsterami „Pruszkowa”, którzy po odsiedzeniu dwóch trzecich wyroku liczyli już dni do wyjścia.

Zaszły nowe okoliczności. Zbigniew Ziobro pod koniec sprawowania rządów w Ministerstwie Sprawiedliwości niespodziewanie zwołał konferencję prasową, aby ogłosić, że wszczyna śledztwo na podstawie dotychczasowych zeznań „Maszy”. Prokuratorzy zadawali się wyrokami tylko za przestępstwa typowo bandyckie. Nie ruszono innych wątków, zwłaszcza dotyczących powiązań gangsterów z politykami i władzą poprzedniego układu. Również majątki członków mafii są nie zajęte do dziś.

Na konferencji została wyciągnięta na światło dzienne opowieść „Maszy” o tym, co zdarzyło się w czerwcu 2000 r., tuż po zaprzysiężeniu go na świadka koronnego: Wywieziony z aresztu w przebraniu antyterrorysty, mógł przez kilka minut po być z rodziną we własnej willi w Komorowie, a następnie, razem z nieodłącznymi oficerami z programu ochrony świadka koronnego wsiadł do strzeżonego samochodu, aby dojechać do innej kryjówki.

I wtedy w kieszeni dowódcy odezwała się komórka. „Masa” podsłuchał, jak oficer tłumaczył komus po drugiej stronie linii, że nie robi tego, co mu każą.

O co chodziło? O wywiezienie świadka koronnego na szosę katowicką i pozostawienie go tam samego, bez samochodu. Po co? Żeby wpadł w ręce zdradzonych gangsterów.

Niesubordynowany policjant sprawił, że o dziwnym telefonie dowiedział się ówczesny minister sprawiedliwości, Lech Kaczyński. – Uratował świadkowi koronnemu życie – stwierdził na konferencji Zbigniew Ziobro.

I zadał publicznie pytanie: – Komu mogły zaszkodzić zeznania „Masy”?

W atmosferze kampanii przedwyborczej do sejmiku zabrzmiąło to sensacyjnie. Minister uderzył pięścią w stół, zapłonęły mu w świątym oburzeniu policzki, a obecni na konferencji młodzi reporterzy pospiesznie przygotowali sensacyjnego newsa. Trudno mieć do nich pretensje – minister prokurator generalny ani słowem nie wspominał, że serwuje odświeżane kofeiny.

Jego poprzednik na tym stanowisku Lech Kaczyński (w latach 2000–2001) również zapowiadał obnażenie korupcyjnych układów poprzedniej (Lewicowej) władzy z gangsterami. W gazetach padły nazwiska. Skończyło się na przeproszeniach pomówionych, m.in. Zbigniewa Siemiątkowskiego.

Zabiegający w tym czasie o status świadka koronnego „Masa” w swojej długiej wypowiedzi przed prokuratorami rzeczywiście ujawnił kilka tego rodzaju spraw. Po paru dniach jednak wycofał się tłumacząc, że to tylko oblio mu się o uszy, podstępnie chat rozmowę „starych” (tzw. zarządu „Pruszkowa”) albo ma informacje od osób trzecich. Żeby jednak wiedzieć, co ostatecznie „Masa” zeznał prokuratorom (a nie było to tematem rozprawy sądowej) informatorzy ministra powinni byli przeczytać akta sprawy pruszkowskiej do końca. Czyli kilkadziesiąt tomów. To wymaga sporo czasu. Następnie należałoby poszukać dalszego ciągu niektórych z tych spraw w stenogramach sejmowych poprzednich kadencji (były wnoszone jako interpelacje), a także na łamach gazet w rubrykach ze sprostowaniami. Są też wątki nierozwikłane do końca, których tajemnicę zabrał „zmarły w niewyjaśnionych okolicznościach” do grobu. Wreszcie, należałoby przypomnieć publicznie, że chodzi o domniemane przestępstwa z czasów, gdy resortem sprawiedliwości kierował Lech Kaczyński. Dlaczego wtedy nie została uruchomiona machina sprawiedliwości? Albo w okresie, gdy pod godłem państwa zasiadł prokurator generalny Zbigniew Ziobro, który dawno już mógł nadać bieg doniesieniom „Masy” sprzed lat.

W prokuratorstwie zeznaniach Jarosława S. znajduje się na przykład taki trop: – „Ponieważ był problem ze znalezieniem w Warszawie dla „Pruszkowa” dobrej położonego lokalu na nową dyskotekę, spotkałem się z Mieczysławem J. i on powiedział, że może załatwić lokal przez Tyszkiewiczza [wówczas przewodniczący Rady Warszawy, z rekomendacji Uni Wolności. Zginął zamordowany przez znajomego o podejrzanej reputacji – red.]. Nie wiem czy Tyszkiewicz wziął łapówkę, ale za pewnikiem mnu 15% udziału w zyskach dyskoteki”.

Gdy Jarosław S. obciążał w śledztwie Mieczysława J., na prokuratorze nie zrobiło to specjalnego wrażenia, gdyż ten „finansista” pruszkowskiego gangu siedział już za kratkami. Został aresztowany pod zarzutem kierowania 15-osobową grupą przestępczą, w której była jego konkubina – Iwona Z., wówczas zastępca dyrektora biura ds. informatyki gminy Warszawa-Centrum. Według prokuratury razem z J. uczestniczyła – posługując się sfałszowanym czełkiem na 410000 zł – w oszustwie na szkodę firmy Optimus.

Natomiast sprawa Tyszkiewiczza odżyła dopiero na kilkanaście dni przed słynną konferencją ministra Ziobry. Został bowiem zatrzymany Paweł B., jeden z architektów tzw. układu warszawskiego – samorządowej koalicji SLD-PO rządzącej Warszawą do 2002 roku. B. był burmistrzem Woli, potem zastępcą prezydenta w gminie Centrum. Nadzorował duże przetargi na komputeryzację miejskiego systemu informacji. Tam współpracował z Bogdanem Tyszkiewiczem i z tej racji należał do ścisłego otoczenia ówczesnego prezydenta Warszawy Pawła Piskorskiego. Partijną karierę zaczynał w Porozumieniu Centrum, partii braci Kaczyńskich, potem związał się Unią Wolności i Platformą Obywatelską, następnie został bezpartyjny. Z kolei objął się jako doradca spółki Biuro Miss Polonia: razem z władzami z Ratusza czuwał nad zorganizowaniem w Polsce wyborów Miss Świata.

Minister Ziobro miał problem, gdy zaszła potrzeba wyjaśnienia dziennikarzom, czlowikiem jakiego układu jest aresztowany.

Nie był też newsem wątek z zeznań słynnego świadka koronnego o automatach do gry. W 2000 roku, gdy prokuratorem generalnym był Lech Kaczyński, „Masa” ujawnił, że w Warszawie właściciele lokali, którzy chcieli wstawić na salę tzw. jednorękich bandytów, płacili „Pruszkowowi” 1000 marek za miejsce i od 100 dolarów miesięcznie, w zależności, ile było tych automatów. Nie wszyscy dystrybutorzy automatów musieli płacić haracz. – „Któregoś dnia – twierdzi S. – »Parasolk weszłam i dał mi listę sześciu firm, które miałem zostawić w spokoju. Powiedział, że są finansowane przez SLD”.

W ciągu ośmiu minionych lat wiele gazet żywiło się tą aferą. Żadne dochodzenie nie zostało jednak wszczęte. „Masa” nie miał wiarygodnych informacji. Ziobro, szukając w archiwach haka na prominentów starego układu, wzniewcił tylko tumany kurzu.

Nieczym nowym nie była zapowiedź kontroli, a może nawet dochodzenia prokuratorstkiego w urzędach skarbowych, wyjątkowo niechętnych prześwietlaniu majątków gangsterów. Domagała się już tego, wskazując na wysokie koszty wprowadzenia instytucji świadka koronnego, Barbara Piwnik, minister sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera. Bezsłusznie.

Mafijne majątki dawno zostały ukryte przed niepożądanymi kontrolerami: pracował nad tym sztab wynajętych przez gangsterów prawników i finansowych doradców. Człowiwy herszt gangu w Wolominie ps. „Dziad” zwierza się w swej biografii (którą napisał w więzieniu), że urząd skarbowy, owszem, „prześwietlał” go. – „Za każdym razem musieli mi oddać dwa razy tyle podatku, ile zapłaciłem. W końcu przestali mnie wzywać”.



– Prywatna inicjatywa – zeznał „Masa” w 2000 roku – chętnie pożyczala u mafii nieograniczone kwoty. Nie wymagalismy zrybantów i papierów z banku, ale nie każdy,



nawet z listy najbogatszych w Polsce opublikowanej we „Wprost”, mógł także pieniądze dostać.

Ireneuszowi Sekule, gdy był prezesem Głównego Urzędu Cei, pożyczali pieniądze z dostawą do domu. Wszyscy w „Pruszkowie” wiedzieli, że prezes jest „na ty” z bossem mafii Wybrzeża – „Pershingiem”. Ale nawet Sekula musiał kiedyś oddać mafijne pieniądze. Gdy okazało się to niemożliwe, popełnił samobójstwo. Być może, że z czyjąś pomocą.

Sekula był człowiekiem lewicowego układu. To nazwisko przydało się b. ministrowi sprawiedliwości, gdy w doniesieniach „Masy” tropił powiązania gangsterów z postkomunistami. Ale pojawił się pewien problem – „Pruszków”, korumpując ludzi władzy, nie patrzył na ich legitymacje partyjne. Równie zażyła i interesowna jak z lewicowym Sekulą była znajomość „zarządu” z posełem Tadeuszem K. z Radomia (najpierw PC, potem BBWR), założycielem fundacji Bezpieczeństwo, sponsorującej za pieniądze przestępców radomską policję. Gdy rządziła prawica, K., jako członek Politycznego Komitetu Doradczego przy Ministrze Spraw Wewnętrznych wybronił wielu gangsterów przed aresztowaniem. M.in. na prośbę „Pershinga” poręczył za Stanisława M., aresztowanego pod poważnymi zarzutami. Dwa lata później Tadeusz K. zginął w wypadku drogowym pod Puławami.

A jak usytuować w „zbiorowym” układzie stałego bywalca salonów „Pershinga” – niezależnego senatora Gawronika? Związcza w kontekście jego interesów ze słabszym posełem AWS Marciem Kolasiniskim? Z zeznań „Masy” wiadomo, że w 1998 r. Kolasinski był winien senatorowi sporo pieniędzy, sprzedał mu więc swoją firmę ItalmarCa, handlującą głównie winem mszalnym. Obydwaj kontrahenci, a także zasiłający ich finansowo „Pershing” od początku potraktowali firmę jako przykrywkę w staraniach o zezwolenie na otwarcie wzdłuż zachodniej granicy sieci placówek, zajmujących się zwrotem podatku VAT. Przekupieni celnicy podbijali fikcyjne faktury z nadrukiem ItalmarCa, według których RP opuściły tysiące kartonów papierosów oraz butelek wódki. Na podstawie tych dokumentów senator otrzymywał dziesiątki milionów złotych tytułem zwrotu podatku VAT.

Dzisiaj z tej trójki żyje tylko dwóch. „Pershing” został zastrzelony pod koniec 1999 roku. Mordercę wynajęli szefowie „Pruszkowa”. Gawronik, skazany na 8 lat więzienia, niedawno wyszedł na wolność. W celi pisał wiersze na poetyckie konkursy dla skazanych. Marek Kolasinski na kilka dni przed wygaśnięciem poseselskiego immunitetu umknął przed depczącymi mu po piętach policjantami. Po niespełna roku CBS namierzyło go w słowackim kurorcie narciarskim. Nie pomogły protesty, że jest niewinny. Został skazany nieprawomocnie na 9 lat więzienia i milion złotych grzywny. Powiedział wtedy do dziennikarzy, że padł ofiarą spisku politycznego.

W kolejnym procesie – o wyłudzenie 4 mln kredytu z banku – otrzymał wyrok: 3 lata pozbawienia wolności.

Innych skorumpowanych biznesmenów „Masa” sobie nie przypomina.

W oskarżających zeznaniach świadka koronnego znalazło się też nazwisko Andrzeja W., oficera z byłego kierownictwa Komendy Głównej Policji, wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. – „Brał ode mnie pieniądze – zeznał „Masa”, który od 1994 roku jest tajnym informatorem policji – za informacje o przygotowywanych aresztowaniach członków mafii. Kiedyś, nie doczekawszy się mnie w knajpie „La Cucuracha”, gdzie miałem mu wypłacić dolę, opróżnił butelkę wódki i z 10-krotną policjantami podjechał pod mój dom. Żona podniosła słuchawkę i usłyszała: – Otwierać k..., policja! Na monitorze kamery zobaczyła naczelnika W. z pistoletem w dłoni. Usiłowała skontaktować się z komendą, ale W. już wtargnął na posesję, na szczęście wywalił się na schodach i można go było rozbroić”.

O tej historii „Masa” opowiedział na sali sądowej w 2003 roku. Andrzej W. wszystkiemu zaprzeczył.

W zeznaniach świadka koronnego można doszukać się też innych nazwisk funkcjonariuszy policji, którzy byli na mafijnych listach plac. Dziś są już albo na emeryturze, albo zmienili zawód. Gdyby za rządów ministra sprawiedliwości Lecha Każyńskiego te doniesienia zostały nagłośnione, może i doszłoby do czystki kadrowej w służbach mundurowych, przynajmniej na Mazowszu. Bo „Masa” opowiadał historię bułwersującą. Niejaki G. z komendy w Pruszkowie, który dorabiał sobie do pensji, biorąc od mafii pieniądze za informacje o akcjach policyjnych, często wypowiadał się w telewizji, jak to bezwzględnie policja walczy z gangsterami. Inny funkcjonariusz o nazwisku H. miał w domu magazyn narkotyków. Nie bał się naganu policji – jego ojciec był wysokim stopniem oficerem policji w Pruszkowie i zawsze go ostrzegano, żeby schował trafny towar, bo będzie miał rewizję. Kiedyś nie chciało mu się wynieść paczek z amfetaminą, bo miał nimi zastawiony cały pokój, więc wpuścił policjantów do mieszkania, a ci musieli udawać, że nie widzą, o co się potykają.

Na niewiele też przydały się po latach zeznania pomocniczego świadka koronnego w sprawie „Pruszkowa”, Igora Ł. ps. „Patyk”.

Ten zawodowy złodziej samochodów (pochwalił się prokuratorowi, że w ciągu trzech lat ukradł 500 aut o wartości 50 mln zł, m.in. mercedesa postanki Barbary Bliedy) również twierdził, że mafia miała wtyczki w Komendzie Stołecznej Policji. „Patyk” opowiadał o policjantach z komisariatu na Ursynowie, którzy w 1998 r. wywieźli z policyjnej oblawy ukrytego w radiowozie członka pruszkowskiej mafii o ps. „Zabba”; o funkcjonariuszu, który, aby dostać się na policyjny „dołek”, gdzie miał za zadanie przerzucić telefon komórkowy zatrzymanej osobie, zgarnął z ulicy przypadkowego przechodnia i osadził go w areszcie; policjancie z Mokotowa, który za 7500 dolarów sprzedał nazwisko świadka incognito i treść jego zeznań.

„Patyk” przyznał się do wręczenia ok. 20 000 dolarów łapówki dziesięciu policjantom. Podał obowiązujące w czasie procesu „Pruszkowa” stawki: udostępnienie

telefonu komórkowego podczas zatrzymania złodzieja samochodu – 100 dol.; informację o rozmieszczeniu patroli – 100–200 dol.; odstąpienie od skonfiskowania tzw. łanaków (narzędzia do wyłamywania zamków w autach – 200 dol.; informacja, czy jest się na liście poszukiwanych lub podejrzanych – 300 dol.; przerzucenie komórki do celi – 500 dol.; puszczanie wolno po przyłapaniu w kratydzionym aucie – 400 000 dol.; nierozpoznanie złodzieja podczas tzw. okazania – 2000 dol.; przekazanie informacji o planowanym przesłuchaniu: 1000–2500 dol.; nielegalne zwolnienie z policyjnej izby zatrzymań – 10 000 dol.; odstąpienie od ścigania – 5500 dol.; informacja, kto jest świadkiem incognito i udostępnienie jego zeznań – 7500 dolarów.

Dla prokuratora smakowitym materiałem, ale mocno nieświeży. Akurat ci funkcjonariusze, na których donieśli świadkowie koronni, zostali ukarani. Poza jednym wyjątkiem – wspomnianym naczelnikiem Andrzejem W. – były to plottki.

„Masa” scharakteryzował ich, nie owijając w bawełnę: – „Miałem do czynienia tylko z samymi przekupnymi jęłopami. Stałe siedzieli u mnie w kleszeni. Gdy popliem do tego stopnia, że nie mogłem utrzymać pionu za ławernicą, wchodziłem w Pruszkowie na komendę, kopałem w dyżurkę i kazałem się wieść radiowozem na sygnale do hotelu Polonia w Warszawie. Kosztowało mnie to dwójkę (dwa tysiące zł) na łeb”.



„Masa” opowiadała dużo i chętnie, świadczą o tym zapisane tonny akt. Ale, czy wając o status świadka koronnego zawsze mówił prokuratorom prawdę? Przy takim słowotoku trudno weryfikować każdą informację. Zresztą, z niektórych świadków koronny wycofał się na sali sądowej.

Tak było w znanej sprawie utaskawienia „Słowika” przez prezydenta Wałęsę. W prokuraturze Jarosław S. opisał rozmowy na ten temat prowadzone w gronie gangsterów, którzy ustalili, że „należy nawiązać kontakt z wysokimi rangą urzędnikami Kancelarii Prezydenta”. „Słowik” miał zebrać na ten cel 150 000 dolarów.

Świadek koronny twierdził też, że już po utaskawieniu „Słowika” odbył się w Aninie bankiet, gdzie najważniejsi z zarządu „Pruszkowa” wznosili toasty za Wałęsę, Falandysza i Wachowskię. Jednakże, gdy „Słowik” zaprzeczył wszystkiemu w sądzie, „Masa” nagle przypomniał sobie, że tę historię zna tylko ze słyszenia.

Talich wypadek słynnemu świadkowi koronnemu zdarzyło się więcej. Mimo to w łęgach prokuratorstich nie wypada mówić o nim: gangster. A jeśli już, to koniecznie z dodatkiem: „słuszony”.

Ten epitet mocno przyłgnął do Jarosława S. – stał się jakby drugim członem jego nazwiska. A przecież „Masa” nie przyszedł do prokuratury na kolanach. I na żadnej z osobistej parafowanych kartek jego wielotomowego zeznania, nie ma pokajania się gangstera. „Masa” zawarł z prokuratorem kontrakt – uratują jego głowę, on za to wyda kumpi od rozbojów. Postanowili ich sypać, bo bał się o swoje życie. Zarząd „Pruszkowa” wydał na niego wyrok śmierci. I to nie były czcze pogroźki.

Oto bieg wypadków:

Koniec listopada 1999 r. gangster „Pershing” odbiera telefon od kupionego przez mafię policjanta. – „Polują na ciebie (funkcjonariusz ma na myśli szefów „Pruszkowa”), lepiej, żebyś nie jechał na narty. „Masa” będzie następny”. Jarosław S. dowiaduje się o tym godzinę później i przerażony od razu dzwoni do gangstera „Malizny”, pytając czy to prawda. – A jak ty k... uważasz? – słyszy w odpowiedzi.

Piątego grudnia „Masa” dostaje z Zakopanego wiadomość, że przed chwilą na Polanie Szymoszkowej ktoś zastrzelił „Pershinga”, gdy wysiadał ze swego mercedesa. Dziewczyną, z którą przyjechał, 21-letnią studentką ze Szczecina, zaraz po strzałach wyjęła z komórki zamordowanego kartę SIM i przełamała ją, by utrudnić odtworzenie zakodowanych tam numerów telefonów.

„Masa” wpada w panikę. Gdy „Pershing” wyprowadził się z Pruszkowa na Wybrzeże, Jarosław S. był częstym jego gościem, imponowało mu towarzystwo, w jakim obracał się niedawny kumpel od „haraczowania”. artyści estradowcy. Zarząd „Pruszkowa” orientował się, że „Masa” wiele wie o lewych interesach „Pershinga”. Z niektórymi jego firmami – prahniami brudnych pieniędzy – jest powiązany. A bosowie chcą właśnie przejąć te interesy. I w drodze do góry pieniędzy usuną każdą przeszkodę. Choćby się nazywała „Masa”.

S. ucieka do znajomych w Bytomiu. 31 grudnia 1999 r. wygarnia go z tej kwiłwki warszawskie CbS. Zostaje zatrzymany w areszcie pod zarzutem wyłudzenia od właściciela sklepu z elektroniką ok. 500 000 dolarów haraczu. „Masa” jeszcze nie wie, że to tylko pretekst. Choć trochę dziwi się – tylko jeden zarzut, taka białhy? Więcej ma na sumieniu. Ale nie musi długo łamać sobie tym głowy. Wkrótce wszystko się wyjaśni. W jego celi gwałniają się dwaj prokuratorzy, od pewnego czasu krząjący wokół sprawy „Pruszkowa”. To już jest otwarta rozmowa: albo zezna wszystko, co wie o mafii i wtedy dostanie ochronę przed mścicielami, albo wkrótce opuści areszt, ale nikt mu nie zagwarantuje, że nie padnie od kuli zaraz po przeloczeniu więziennnej bramy. Prokuratorzy nie oczekują natychmiastowej odpowiedzi. „Masę” czeka jeszcze wizyta żony. Opowiada mu z placzem, że gdy jechała z synem odebrany ze szkoły, „starczy” (tak określa ją między sobą władze pruszkowskiej mafii), gonili ją samochodem. Tym razem udało się zmylić pościg. Ale co zdarzy się jutro?

– Powiedz mojemu adwokatowi, że będę śpiewał – decyduje się gangster.

Warszawski sąd rejonowy zaprzysięga Jarosława S. na świadka koronnego 17 czerwca 2000 roku. Ale wcześniej były jego zeznania. I w ich konsekwencji aresztowania „zarządu” pruszkowskiej mafii. Nie obeszło się bez pewnego fałstartu. O czwartego rano „Malizna”, „Żabka” i „Słowik” otrzymują telefon od gangstera „Kajlika”, aby uciekali. Udaje im się wyrwać z obławy. „Masa” komentuje tę nieudaną akcję krótko: – „Policja spier... A mówięm, żeby postępowali według moich wskazówek”.

Mimo wszystko jest to sukces: pod aresztanctwem kluczą najgroźniejsi: „Wańka”, „Bolo” oraz „Parasol”. Calej trójce prokurator stawia zarzut udziału w związku

o charakterze zbrojnym. Za pozostalymi bossami gangu prokuratura wysyła listy gończe. Skutecznie. Najdłużej na wolności pozostaje „Słowik”, bo uciekł za granicę. Mija półtora roku. Świadek koronny jedzie na proces. Jest maj 2003 rok.

„Masę” czeka przykra konfrontacja z dawnymi kumplami od napaści i wypitki. Adwokaci oskarżonych dążą do jednego – odebrania S. statusu świadka koronnego. Byłoby to możliwe, gdyby udało się go obciążyć zarzutem morderstwa. „Słowik” przygotowuje w całej kasetę, którą jego żona zanosí do prokuratora. Jest tam nagrane jego oświadczenie, że w 1996 r. „Masa” zlecił zabójstwo „Kielbasy”, członka „Pruszkowa”, notabene jego najbliższego przyjaciela. Ponadto oskarżeni twierdzą, że świadek koronny organizował zabójstwo szefa polskiej policji Marka Papali. Ale prokurator nie daje temu wiary.

„Masa” jest wiarygodny, bo skruszony.



Z zawodu kierowca po szkole zasadniczej. Ale nie rwał się do siedzenia za kółkiem. Próbowal sił w boksie, był ochroniarzem w nocnych klubach. W jego rodzinnym Piastowie pod Warszawą tacy młodzi mężczyźni jak on – z rodzin na zasiłku dla bezrobotnych, trzymają się razem, rodzinami szlifując bruki na miejscowym deptaku. Ich przepustką do świata przestępczego był w połowie lat 90. handel walutą pod kantonami. Jeśli potrafił oszukać klienta, wciskając mu paczkę pociętych gazet za miast dolarów, zdobywali mir wśród swoich. Nie uważali tego procederu za przestępstwo. „Masa” zdziwił się w sądzie, gdy adwokat oskarżonego zarzucił mu łamania prawa: – „Przecież nawet dzielnicowy się u mnie zaopatrywał”.

Ale wkrótce wystawianie pod kantonami przestało się opłacać, „Masa” i jego kumple coraz dłużej nudzili się. Wyrośniętego nad wiek mięśniaka, jak się wtedy mówiło o Jarosławie S., dostrzegł „Barabasz”, znany już przestępca z Pruszkowa. Właśnie organizował szajkę napadającą na tiry, a także do włamań, ściągania haraczy i długów.

– To był czas – wyznał po latach „Masa” – kiedy im większa fura, im czarniejsza kurtka ze skóry, tym bardziej charakterny gangster. Takiemu się czapkowało.

On poczuł się wyróżniony przez „Barabasza”. Co złupili, przepijali w „Uroczej” – restauracji przy rynku w Pruszkowie. Fasonem było wydać ostatni grosz, aby nazajutrz z kijem basebolowym w rękę ruszyć na nową grabież. Do gangsterów szych anegdota przeszła opowieść, jak splotany „Barabasz” za rachunek w knajpie zapłacił kawalkiem złotej obrączki. Obcęgami odciął jedną trzecią i dał kelnerowi.

To w „Uroczej” Jarosław S., który doczekał się ksywy „Masa”, przeszedł „na ty” z większością policjantów Pruszkowa. Wieczorami wspólnie okupowali stoliki. Im bliżej było północy, im więcej opróżnionych butelek po wódce na stole, tym więcej komitywa z mundurowymi.

„Barabasz” nie zdążył nauczyć swego zdolnego ucznia wszystkich znanych mu gangsterskich chwytów – roztrzaskał się samochodem na drzewie w czasie szaleńczej jazdy po pijanemu. Ale tajemnice okradania przemysłników spirytusu, odsłonił. Młodego S. wprowadził ostatecznie do pruszkowskiego gangu „Kielbasa”, u którego dorabiał jako ochroniarz.

„Masa” opowiedział prokuratorom, jak załatwiali przemysłników, proponując im odkupienie tręfnego towaru. Żeby uspić czujność swej ofiary, umawiali się z nią w restauracji i tam pokazywali paczkę pieniędzy na zakup towaru. Uspokojony „kontrahent” telefonował do swego współnika z poleceniem wyjechania z tzw. dziupli z towarem. Gdy ciężarówka była w drodze, „żołnierze” pruszkowskiego gangu napadali na kierowcę, wyrzucali go zakneblowanego do rowu, a towar wraz z samochodem odjeżdżał w siną dal. Oszukany przemysłnik albo dowiadywał się całej prawdy, albo dostawał tzw. kanapkę (pocięte gazety obłożone dwoma banknotami) i zła wiadomość docierała do niego trochę później. – „Mnie honorarium wypłacał „Kielbasa” – zeznał „Masa” jako świadek koronny – około 125 000 dolarów za jeden przejęty transport”.

Z czasem usprawnili metodę zawiąszczenia nielegalnego spirytusu. Zaproponowali przemysłnikom, że wezmą ich pod swoje skrzydła. Za to oczywiście trzeba będzie się opłacać... Ograbiani próbowali niekiedy zrzucić ze swoich pleców ciężką łapę „Pruszkowa”.

– Pewien przemysłnik – opowiadał „Masa” – zapłacił raz albo dwa i zniknął. Szukaliśmy go. Ktoś nas poinformował, że jego znajomy paser robi interesy z tym facetem i właśnie dwa zapakowane tiry dojeżdżają do dziupli w Raszynie. Poczekaliśmy tam na szubrawca. Na dzień dobry „Słowik” walnął go pięścią w twarz. Wykręcił mu palce. Potem wsadzili go do bagażnika, zawieźli do domu „Kielbasy”. Najpierw dostał deską. W pewnym momencie Czarek wyszedł i wrócił z wiertarką elektryczną. Powiedział złodziejowi, że przewierci mu dupę i kolana. Spietryany przemysłnik przyznał się do sprowadzenia kilkunastu tirów za naszymi plecami. Zaproponował, że odda dług na raty. Dziełiliśmy się tymi pieniędzmi – ja dostałem kilka tysięcy dolarów. Na koniec, gdy zostało do spłacenia tylko 80 000 dolarów, powiedział, że już nie ma kasy i musi zarobić na kolejnym przemyśle. Jak się uda, podzielimy się forszą na pół. Ale zrobił nas w bambuko, bo wpadł na granicy, poszedł za kratki.

Okolo roku 1993 „Pruszków” zaczął handlować narkotykami. Na jaka skalę, można się zorientować po osądzonej już w Warszawie sprawie tzw. szlaku kokainowego. Do Polski wracał z Wenezueli statek „Jurata”. Po drodze zawiął do portu koło Liverpoolu. Tam w 48 beczkach ze smołą, brytyjscy celnicy znaleźli kokainę wartości 370 mln dolarów. Policja potajemnie wydobyla narkotyki i porozumiała się z Centralnym Biurem Śledczym. Puste już beczki przypłynęły do Gdyni. Wyładowano je i przewieziono pod Warszawę, gdzie natychmiast zgłosili się bossowie gangu z Pruszkowa. Narkotyki miały trafić na zachód Europy. Tym razem się nie udało.

W 1994 roku zarząd „Pruszkowa” – do którego „Masa” już należał – w czasie na-
 rady w hotelu pod Międzyzdrojami postanowił prac Brudne pieniądze w legalnych
 interesach. Najbardziej oplacało się prowadzenie nocnych klubów i agencji towa-
 rzyskich, gdzie można było upłyniać podrobiony alkohol. „Masa” stworzył
 w Pruszkowie restaurację „La Cucaracha”. Na ogół stółki stały puste, ale właściciel
 wykazywał ogromne obroty. „Malizna” zarejestrował firmę doradztwa podatkowe-
 go w noblowej dzielnicy Warszawy – na Saskiej Kępie.

Poza tym pruszkowiały, za przykładem „Pershinga”, który właśnie wyniósł się
 na Wybrzeże, gdzie założył jedną z największych w kraju tłoczni płyt kompaktowych
 (głównie z muzyką disco polo), zaczęli po pińacku produkować miliony płyt z mu-
 zyką w rodzaju „Biały Miś”. Mafią nie zgłaszała piosenek do ZAIKS-u, ale oplacała
 telewizyjnym prezenterów muzycznych, którzy jansowali towar z nielegalnych wy-
 twórni. Związki z mediami zacieśniały się. Doszło do tego, że w warszawskim klu-
 bie „Deladent” odbyła się wspólna uroczysta kolacja zarządu „Pruszkowa” oraz
 dziennikarzy Teleekspresu.

Nadal wymuszano kłajami bejsbolowymi haracze od właścicieli lokali, hurtowni,
 sklepów – Dolna granica haraczu – zeznawał w prokuraturze „Masa” – to 1000 do-
 larów miesięcznie. Tyle żądali od skromnej hurtowni serów w Milanówku. Firma
 Multiplay, zajmująca się dystrybucją automatów do gry, musiała opłacać się 20 000
 dolarów miesięcznie.

„Masa” nie oszczędzał się w egzekwowaniu haraczy, dzięki czemu wkrótce awan-
 sował w hierarchii. – Po aresztowaniu „Rympałka” – zeznaje – wezwał mnie zarząd:
 „Wanka”, „Szwarc”, „Malizna”, „Parasol” i „Słowik”. Oznajmili, że teraz będę odpo-
 wiedzialny za zorganizowanie ludzi do zbierania opłat z agencji towarzystkich i re-
 stauracji. System był taki, że każdy dowódca grupy połowę zdobytych pieniędzy
 dzielił między swoich żołnierzy. Następnie, połowę swojej dołi oddawał mnie, a ja
 z kolei połowę z tego musiałem wpłacić starym. Miesięcznie zostawało mi na czy-
 sto kilkadziesiąt tysięcy złotych. Tak samo dzieliliśmy zysk z handlu narkotykami.

Gdy tuż przed zaprzysiężeniem „Masy” prokuratura podliczyła przestępstwa kan-
 dydata na świadka koronnego, do których dobrowolnie się przyznał, lista okazała
 się długa. Były na niej m.in.:

- Udział w napadzie stulecia na warszawskim Ursynowie w 1995 r.;
- Ściąganie przez prawie 10 lat haraczy (np. od właściciela kantoru w hotelu War-
 szawa S. wziął 120 000 dolarów; od właściciela warszawskiej restauracji „Bambola”
 – 70 000 dol.; z dyskoteki Trend tylko w ciągu dwóch lat – ok. 50 000 dol.);
- Nielegalny zakup broni w dużej ilości;
- Oszukiwanie hurtownika Wojciecha K. na 400 000 zł;
- Paserstwo na handlu co najmniej 350 kradzionymi samochodami, co dało zysk
 ok. 650 000 dol.;
- Oszustwa, rozboje, wymuszenia, w wyniku czego zdobył co najmniej 750 000 zł.;

„Masa” nie bił się z tego powodu w pierś. Obciążał kryminalne środowisko.
 – „Wychowałem się w takim społeczeństwie, gdzie szło się siedzieć za stanie na kra-
 węźniku”. Ochocko opowiadał prokuratorom (jego zeznanie to prawie monolog), jak
 wyglądał zwykły dzień członka mafii:

– Godziennie spotykaliśmy się w warszawskim lokalu P., biznesmena z listy naj-
 bogatszych we „Wprost”. Mielśmy z nim różne interesy. Potem przedsiębiorca roz-
 mawiał z klientami, a my na zapleczu omawialiśmy, kogo napaść, żeby zarobić.

Drugim stałym tematem była „rozkminka” – czyli rozprawienie się z kimś, do
 kogo akurat mieli pretensje. Raz był to odmawiający zapłacenia haraczu badylarz
 z Ożarowa. Wywieźli go do lasu, podstawił głowę pod samochód i w tym czasie
 buksowali kołami. Po kwadransie już się nie stawiał. Albo przypadkowy, szuka-
 jący zacepki pijaczek, który akurat stanął na drodze charakternemu „pruszko-
 wiakowi”.

– Kiedyś do „Kielbasy” zadzwonił „Szwarc” – opowiada „Masa” – żebyśmy pod-
 jechali do Warszawy w pobliżu ronda Wiatraczna, bo taki jeden ubliżył jego kum-
 plowi. No to wsiadliśmy w piętastu w nasze mercedesy. Kumpie mieli kije bejsbo-
 lowe. Ja swojego nie wzięłem, bo jestem bardzo silny, nie jest mi potrzebny.
 Podjechaliśmy pod kamienicę, do której wszedł pijaczek. „Kielbasa” wyważył drzwi.
 Przewrócił się na kobietę, która pewnie nasłuchiwała, kto idzie. Zrobiłszy kom-
 pletną rozpiertuchę. Tam był jakiś bełkoczący po piątku dziadek, to „Kielbasa” nie
 sprawdzając kto, nawymyślał kumplowi, złapał telewizor i nabij mu go na głowę,
 aż poszły iskry. Potem Zbyszczek zdjął staremu spodnie i wepchnął w d... świecę. Nikt
 z nas nie miał z tego powodu kłopotu.

Za broń łapali szybko, jak na westernowych filmach.

– Siedzimy kiedyś u P. – wspomina „Masa” – i „Kielbasa” niechcący wyciągnął
 z kieszeni nalaadowany pistolet typu Colt 38. Broni wystrzeliła i pocisk uderzył w pod-
 łogę, potem rykoszetem odbił od trzech ścian. Myśleliśmy, że już po nas. Albo że
 trafi w klientów, którzy byli w sąsiednim pokoju.

Były też „rozkminki” z konkurencją w gangsterskim fachu. Na przykład takie zda-
 renie pod Makro-Cashem:

Syn „Sajmona” (duża figura w mafijnym swiataku) chciał kupić 2 kg amfy od hr-
 dzi z gangu „Dziada”. Do spotkania nie doszło, bo „Młody Sajmon” w ostatniej
 chwili wycofał się z interesu. Wtedy ludzie „Dziada” orzekli, że niesolidny kon-
 trahent musi zapłacić karę. „Pruszków” miał z „Wolominem” od dawna na piętno
 (kiedyś razem napadali). Przyczyną konfliktu było porwanie przez „Dziada” jed-
 nego z zarządu „Pruszkowa”. Za uwolnienie go trzeba było zapłacić ponad 100 000
 dolarów.

„Młody Sajmon” poszukiwał pomocy u „Masy”. Ten zebrał swoich żołnierzy i siłą
 odebrali narkotyk dealerowi „Dziada”. Potem wrzucili go do piwnicy, gdzie siedział
 kilka dni związany sznurem, aż szczur odgryzł mu pół palca.

że – jak niegdyś – odbierać swojego kłjem bejsbolowym. A poza tym – zawsze chciał robić legalne interesy.

Tyle, że ta droga do legalu, jak mówi, była siałomem wśród paragrafów.

Zatartwili na przykład w Państwowym Urzędzie Regulacji Energii, dla kontrolowanej przez siebie firmy z Dąbrowy Górniczej, koncesję na obrót paliwami. Zdobycie takiego dokumentu to Mount Everest dla wielu przedsiębiorców, gdyż każdy wniosek jest szczegółowo weryfikowany. „Pruszków”, jak zeznaje „Masa”, po prostu dał łapówkę. I wcale nie zamierzał handlować benzyną. Mafia wystawiała fikcyjne faktury, aby zarobić grube miliony na zwrocie VAT. Ten przekręt mieli przećwiczyć.

Kiedys, na przykład, sprzedali potężny transport czapek wojskowych dla ukraińskiej armii. Pech chciał, że w drodze, jeszcze w Polsce, samochody stanęły w ogniu. Jedna z katowickich firm ubezpieczeniowych wypłaciła z tego tytułu „Pruszkowski” ponad milion złotych odszkodowania. A potem wydało się, że pożar był sfinansowany, zamiast czapek splonęły stare szmaty kupione na wagę.

Handlowali też bronią. Marek C., gangster o pseudonimie „Baca”, działający wprawdzie na Podbeskidziu, ale w ścisłym kontakcie z „Pruszkowem”, przetrzącał karabiny kałasznikowy i pistolety maszynowe typu skorpion, na stronę czeską. „Baca” miał przygotowany dla swych klientów specjalny katalog z ofertami. Otwierało go zdjęcie siedmiu jego żołnierzy rozpartych na fotelach mercedesa cabrio. Każdy trzymał w ręku inny karabin.

„Masa” dostarczył prokuratorom kilkaset zdjęć gangsterów. Bardzo dużo fotografii twarzy z profilu i en face, ale także z uroczystości rodzinnych, wspólnych partytów na wczasach (w Polsce ulubionym miejscem pobytu pruszkowskiej mafii był ośrodek rządowy w Łańsku), popijaw w restauracjach.

Na amatorskich fotografiach widać wnętrza willi nowobogackich – pałacowe żyrandole z kryształów, obrazy na całą ścianę (często z motywem „pod Matejkę”). Wielkie szafy z egzotycznego drewna pełne kaset filmowych. Dzięki spisowi zarekwirowanych przedmiotów w czasie rewizji po rozbiciu „Pruszkowa” wiadomo, co „zarząd” oglądał. Powtarzają się tytuły: „Batman Forever”, „Ostatni Mohikanin”, „Powrót Jedi”, „Okup”, „Ktoś musi zapłacić”, „Tygrys Maledyżji”, „Uprowadzenie Marianny”, „Piękna i bestia”.

Kobiety gangsterów są zdumiewająco do siebie podobne – młode, zgrabne, z tlenionymi włosami, obwieszone złotem. Ubrane w stylu Aleksis z telewizyjnego serialu „Dynastia”. Lubią się fotografować oparte o zderzaki wielkich limuzyn, stojących na ich posiadłościach, koniecznie z basenem w tle. Natomiast ich dzieci wyglądają jak księżątka z Disneyowskich bajek. Tylko mężczyźni nie dbają o swój wygląd. U wielu tłuste brzuchy wylewają się spod smoków, czy z dresów z lampasami. Nawet na zdjęciach z sylwestrowych przyjęć w warszawskim hotelu „Victoria” niektórzy z zarządu „Pruszkowa” wznoszą noworoczny toast w dresie i adidasach.

– Ci, którzy nie przestrzegali mafijnych reguł – tłumaczył „Masa” prokuratorom – wychodzili z grupy w skarpetkach i nie mogli już zarobić pieniędzy. A poza tym placili karę, od której nie było odwołania.

Niezdyscyplinowanym mówiło się: – Jesteś winny na dzień dobry dychę papieru. To znaczy 10 tysięcy dolarów. Gdy ktoś chciał się wymigać, miał tylko jedno wyjście: przechodził do „Dziada” w „Wołominie”. Ale musiał się bać, że dostanie kulkę od tych, których zdradził. Bo w obu gangach obowiązywał zasada: wet za wet. Gdy „Wariat” – brat „Dziada” – próbował porwać pruszkowskiego gangstera „Wankę”, ludzie „Pruszkowa” tak długo na niego polowali, aż go dopadli pod nocnym sklepem i zastrzelili. Przy okazji, od podkładanych bomb zginęło kilka dziesiąt osób.

W rewanżu „Dziad” podłożył bombę pod restaurację „Multi Pub” na Saskiej Kępie, gdzie spotykała się grupa „Pershinga”.

W swojej autobiografii „Dziad” chwali się, że w jego zakładzie kamieniarskim zrobiono już ponad siedemdziesiąt nagrobków dla zastrzelonych mafiosów.

Nie żyjący już „Dziad” napisał w więzieniu trzy książki. Założył nawet własne wydawnictwo. Ostatnia publikacja nosi tytuł *Krwawy napad na Kredyt Bank*. Autor czyni wyznanie: – „Nie bawię się w jakies kloctki, że liście fruwiąją, słonce zachodzi, wiatr gałęziami rusza. Tylko jadę po kolei, zwiędze: kto porwał, kto zabił, kto zastrzelił. Kto dostał. Tam jest szczegółowo opisane, dlaczego brat wyszedł, jak go kiedys zamykali. No wiadomo, sędzia wziął kwiatarnię w Śródmieściu. Wszystko na zwiskami leci”.

◆ ◆ ◆

Ze swego ukrycia „Masa” zapewnia (w wywiadzie dla „Życia Warszawy”, co prawda nieautoryzowanym), że zawsze zamiast gangsterki wolał biznes.

– „W gangu zarabiałem, a inwestowałem gdzie indziej. Zostałem współwłaścicielem dyskoteki na warszawskiej Woli. Miałem też udziały w znanej firmie produkującej solki owocowe.

Złożył pozew cywilny przeciwko dwóm bytomskim biznesmenom, swym niedyjszymszym współnikom. Twierdzi, że nie zapłacił mu za luksusowe mercedesy wartości miliona złotych, które w roku 2000 zostawił w ich komisie, obawiając się, że prokuratura zajmie mu majątek.

Pozwani odpowiadają, że rozliczyli się z „Masą”. Proces nieprędko się skończy, bo sąd nie ma adresu świadka koronnego. Wszystkie powiatki procesowe musi wysłać na adres: „Zespół Ochrony Świadka Koronnego. Centralne Biuro Śledcze. Komenda Główna Policji”. Bardzo kłopotliwe jest też pojawienie się powoda w sądzie. Trzeba zamienić gmach w twierdzę, odwołać wszystkie wokandy.

W składanych zażaleniach „Masa” pisze, że nie obchodzą go techniczne kłopoty wymiaru sprawiedliwości. Jako świadek koronny musi przestrzegać prawa i nie mo-



W wywiadzie z dziennikarzem „Życia Warszawy” Rafałem Kaszelańskim, świadek koronny S. zwierzył się, że po sześciu latach izolacji zmienawidził świat przestępczy, tych brutalnych zwyrodniałców z prasko-wiejskim akcentem”. Wzdychał – „Jak ja bym się wykazywał, gdybym dostał blachę i broń. Nawet pensji bym za to nie brał”. Tylko do polityki bym się nie brał”.

W ogóle o politykach nie chce mówić. Bo – „bandziory mnie nie dosięgną, ale politycy na pewno. Mają do tego narzędzia”.

„Masa” już raz, choć nikt go wtedy nie pytał o zgodę, służył politycznej sprawie, jako króliczek z kapelusza prestidigitatora. To był sierpień 2000 roku. Gdy tylko sypnął kumpi mafi, sprawa „Pruszkowa” znalazła się w łdipie wyborczym Mariana Krzalewskiego, startującego w wyborach na prezydenta III RP. Następnym, który go wyciągnął z prokuratorskiej teczki na światło był minister Ziobro. „Masa” nie mógł zaprotestować nawet króliczym pistetem.

Lista bliskich „Masie” poległych gangsterów

- Janusz S. ps. „Dzik” – zastrzelony w 1994 roku we własnej restauracji w Otwocku.
- Czesław K. ps. „Cerber” („kasjer”, „Dziada”) – zginął w zamachu bombowym 13 marca 1995 roku.
- Wojciech K. ps. „Kielbasa” – zastrzelony w 1996 roku na ulicy w Pruszkowie, gdy wychodził z zakupami ze sklepu mięsnego. Zginął z ręki kumpaków, bo, jak mówi były „żołnierz” gangru, chciał wyrosnąć za wysoko.
- Wiesław K. ps. „Szwarcenegger” – zastrzelony w Gdańsku w 1997 roku.
- Artur G. ps. „Krećlappka” – zginął w 1997 roku w zamachu bombowym na warszawskiej Pradze.
- Andrzej G. ps. „Junior” – zastrzelony w 1998 roku w podziemnym przejściu pod warszawskim hotelem „Marriott”.
- Janusz K. ps. „Malarz” – zastrzelony przed swoim domem w Międzyzlesiu w grudniu 1998 roku.

- Wiesław N. ps. „Wariat” – zastrzelony w 1998 roku prawdopodobnie przez ludzi „Pruszkowa”. Zabójca podobno dostał 250 000 dolarów.
- „Nikoś” – zastrzelony w kwietniu 1998 roku, bo nie chciał się podporządkować ludzom „Pruszkowa”. Wykonawcy egzekucji nie odnaleziono. Policjant z CBŚ, który niegdys tropił „Mikosia”, widywany był w marynarkach ofiary, bowiem związał się z wdową po „Mikosiu”.

- Marian K. ps. „Klepek” i Ludwik A. ps. „Lutek” – zastrzeleni wraz z trzema innymi gangsterami z grupy wołomińskiej w kwietniu 1999 roku w barze „Gama” na warszawskiej Woli.
- Zbigniew Sz. ps. „Simon” – zginął w 1999 roku od kuli w Będzinie, pod własną knajpą „Zielone Oczko”.
- Andrzej K. ps. „Pershing” – zabity 1999 roku z polecenia „Pruszkowa”. Uwazany za ojca chrzestnego mafi pruszkowskiej, przeniół się kilka lat wcześniej na Wybrzeże, gdzie prowadził na pozór legalne interesy: otworzył restaurację i zainwestował w centrum rozrywkę. W rzeczywistości chodziło o pranie brudnych pieniędzy, pochodzących z przestępcstw.

Bartłomiej Wyszłak* obudził dzwonek u furtki jego rodzinnego domu w Węgrowie. Było parę minut po godzinie szóstej, ostatni dzień września 2004 roku. Dopiero świtało. Zaspany jeszcze 25-letni Bartek wyjrzał na podwórko przez szparę w okiennej roletcie; zobaczył przy parkanie trzech nieoczekiwanych gości. W szarowocześnie błyszczącej żółtej literze POLICJA na odbłaskowych kamizelkach dwóch funkcjonariuszy. Trzeci mężczyzna miał cywilne ubranie.

– Tata! – krzyknął do ojca. – Jacyś mundurowi. Mam ich wpuścić?

– Poczekaj, tylko się ubiorę, wyjdę do nich.

Senior Jerzy Wyszłak podszedł do furtki i wtedy jeden z mężczyzn pokazał mu nakaz przeszukania domu. Gospodarz niewiele mógł przeczytać, bo otwiane chmury zasłoniły wschodzące słońce. Na pytanie, o powód tej rewizji usłyszał, że jako właściciel sklepu motoryzacyjnego jest podejrzany o paserstwo metalami kolorowymi.

Wówczas wpuścił policjantów na dziedziniec.

W holu jeden z nich założył chirurgiczne rękawiczki. Kazał obu Wyszłakom, zskoczonym dziwnym zachowaniem się policjantów, usiąść przy stole w kuchni. Gdy w chwilę potem ojciec z synem zostali skrzepowani taśmą, nie mieli już złudzeń, że są ofiarami bandytów przebranych za funkcjonariuszy. Syn właściciela sklepu usiłował zerwać pęta, ale wtedy najwyższy z napastników, wyróżniający się sumiastymi wąsami, strzelił w stronę szamoczącego się mężczyzny. Na szczęście nie trafił, pocisk potoczył się po podłodze, a związany Bartłojem przewrócił się razem z krzesłem. Nikt go nie podniósł.

Gorszy los spotkał jego ojca. Napastnicy wywlekli Jerzego Wyszłaka do piwnicy i tam – jak później zeznawał – bijąc metalowym młotkiem po nogach żądali ujawnienia szyfru sejfu. Opierał się, półki nie usłyszał, że chcą włączyć grzałkę elektryczną. Po otwarciu skrytki skradli stamtąd 150 000 zł. Odjechali samochodem vento w kolorze szarym.

Gdy tylko młodemu Wyszłakowi udało się rozerwać taśmę, zawołał sąsiada, a ten wezwał policję. Jęczącego z bólu właściciela sklepu zabralo pogotowie. W szpitalu stwierdzono czterokrotne silne uderzenie czymś twardym w okolice stawów nóg i rąk.

Następnego dnia policjanci z miejscowej komendy okazali Wyszłakom album ze zdjęciami domniemanych przestępców. Na żadnej z fotografii nie rozpoznali twarzy napastników (nie sporządzono koniecznego w takiej sytuacji protokołu – dlatego w późniejszym śledztwie, a także na sali sądowej nie można było ustalić, kto był na fotografiach).

Wyniknęły też niejasności co do liczby bandytów – poszkodowani mówili o trzech. Dwóch przebranych za policjantów, trzeci w cywilnym ubraniu, ale nie pamiętali nawet koloru odzieży. Natomiast przechodzień, spacerujący 30 września przed godziną 7 rano z psem koło domu napadniętych, widział tylko dwóch „policjantów”.

„cjantów”. Usłyszał też, jak jeden z rzekomych funkcjonariuszy (włosy ciemny blond, twarz bez zarostu, niewysoki) powiedział do swego towarzysza, odcepiającego ta-blicę rejestracyjną w stojącym obok polonezie: – „Nie zdejmuj k...teraz tego”.

Istotna informacja dotarła tego dnia od pewnego sierżanta z Węgrowa, który ja-dąc do pracy autobusem PKS zauważył w miejscowości Stara Wieś samochód mar-ki suzuki na polnej drodze. Wsiadało do niego dwóch wysokich mężczyzn objuczo-nych torbami. Kilka dni później ów policjant znalazł w pobliżu tego miejsca porzucony samochód vento, z szarą karoserią, z którego wydobywał się ostry za-pach octu. Ustalono, że pojazd miał sfalszowane tablice rejestracyjne.

W komendzie policji skojarzono ten fakt ze zgłoszoną 10 września kradzieżą pojazdu tej marki przez mężczyznę, który dopiero co kupił go w Holandii. Kiedy 30 września okazano mu cuchnący octem samochód, rozpoznał swoją własność. Tylko znaleziona na tylnym siedzeniu granatowa czapka bejsbolówka nie należa-ła do niego.

Gdy Jerzy Wyszłak opuścił szpital, zaczęły się częste wezwania na policję, gdzie oczekiwano, że pomoże w ustaleniu sprawców napaści.

Spotkanie z ekspertem od portretu pamięciowego sprawców zakończyło się fia-skiem, bowiem ani właściciel sklepu, ani jego syn nie pamiętali twarzy bandytów. W czasie kolejnej wizyty w miejscowej komendzie musieli przyrzec się tzw. tabli-cy pogładowej z fotografiami różnych mężczyzn. Tym razem wskazali na poszuki-wanego listem gończym Roberta M. z Białej Podlaskiej. Ale nie byli do końca pew-ni. „Tak na 70 procent” – zanotował funkcjonariusz. Szybko się okazało, że jest to fałszywy trop.

Nic nie dało daktyloskopijne badanie kawalków taśmy, którą byli skrzepowani oby-dwaj Wyszłakowie – nie odbiły się na nich żadne linie papilarne. Podobnie jak na łusce z wystrzelonego naboju. Śledztwo w sprawie napadu w Węgrowie zakończy-ło się w 2004 roku nie przynosząc oczekiwanych rezultatów.

◆ ◆ ◆

W tym czasie policja w Białej Podlaskiej szukała też sprawców innego rozboju. Ofia-rami była rodzina Baliszków ze wsi M. pod Terespołem.

O Baliszkach wiadomo było w okolicy, że siedzą na pieniądzach. Nie były to gro-szowe oszczędności odłożone z marnej pensji Jerzego Baliszuka pracującego w przy-granicznych zakładach taboru kolejowego. „Życzliwi” od dawna donosili w anoni-mach policji, że ów kolejarz wspólnie ze szwagrem handluje z Rusktami, skupując alkohol, papierosy, a wszystko bez znaków towarowych. To z tych lewych pienię-dzy postawił okazały dom, ma dwa samochody, a córkę stać na studia na prywat-nej uczelni. Niech więc policja się tym zajmie.

I oto 21 października 2004 roku od rana w M. nie mówilo się o niczym innym, niż o napadzie na willę kolejarza.

Była 6 rano, w kuchni Baliszuków paliło się światło, bo żona kolejarza, Barbara, szykowała się pracy.

Nagle usłyszała dzwonek u furtki i głos w domofonie: — „Proszę otworzyć, policja. Mamy nakaz rewizji”. Odchyliła firankę — przy parkanie stało w szarawce trzech mężczyzn w kamizelkach odbiaskowych. Za nimi samochód polonez z kims w środku. Wystraszona, obudziła męża, który miał zwołanie lekarstwie w związku z urazem nogi. Szybko się ubrał, wyszedł z kluczami na podwórko. Ona czekała na niespodziewanych gości w przedpokoju.

Łedwo przekroczyli próg, Baliszuk usłyszał od rzekomego policjanta (wysokiego, z czarnymi wąsami): „ch... , sprzedali cię”. Dostał silny cios w brzuch, wykręcił mu ręce, oczy zakleili taśmą. Poczuli łufę koło skroni. Ale nikt nie strzelił. Tylko gospodarz podkoczył, jakby porażony prądem. Gdy się przewrócił, jeden z bandytów zawiązał go w chodnik.

Do Barbary Baliszuk podszedł mężczyzna, którego wygląd w protokole policyjnym określiła jako „świński blondyn”. Nalożył jej na ręce kajdanki, pchnął na fotel, oczy i usta zakleili taśmą. A potem zrzucił unieruchomioną kobietę na podłogę.

Żądali pieniędzy. Baliszuk pokazał, gdzie leży portfel z 22 000 zł; zabrali gotówkę, krzycząc, że to za mało. — Gdzie jest sejf, gadał, bo ci zgwalę żonę i córkę, wolał „ten z wąsami”, biegnąc po spleądrowanym już mieszkaniu — jak wnioskował po charakterystycznym głosie napastnika zawinięty w chodnik kolejarz.

Baliszuk zaklinał się, że więcej pieniędzy nie ma.

Wtedy zaczęli się pastwić nad jego żoną, Barbara dostała w twarz cios pięścią, wybili jej dwa zęby, uderzali po nogach tłuczkiem do mięsa. Gdy narzucili kobiecie koc na głowę, jeden z napastników zdartł z niej bieliznę, obnażył się.

Córka Baliszuków, 19-letnia Aneta, zobaczyła przez okno swego pokoju na poddaszu dwóch „policjantów” stojących przy furtce. — Zbiegłam do kuchni w chwili, gdy nad rodzicami pastwiło się czterech zbitów — zeznała w czasie przesłuchania. — Jeden z nich — jasny blondyn („świński”), jak się wyraziła o spiczastym nosie, wciągnął ją siłą na górę, rzucił na łóżko. Leżała na brzuchu, ręce miała skute, słyszała dochodzące z dołu krzyki: „K... , gdzie są pieniądze?”. Po chwili wbiegli do pokoju mężczyzna z czarnymi wąsami i taśmą zakleili jej oczy. Mocnym, wręcz tubalnym głosem wykrzykiwał to samo pytanie, co na dole: — Gdzie są pieniądze? Kręciła głowę na znak, że nie wie.

— Podnieśli mi nogi, ściągnęli majtki, na głowę zarzucili koszulę nocną. Któryś obnacywał mi piersi. — Zaraz zobaczmy, jaką ma p... dę — powiedział. Gdy się broniłam, dostałam kilka razy w twarz. Poczuliam pistolet, przyłożony do pośladków.

Bandytom nie udało się wyciągnąć od kolejarza więcej pieniędzy niż te, które ukradł z portfela. Ich łupem stała się też złota biżuteria kolejarzowej oraz jej tele-

fon komórkowy. Dom opuścili przed godziną siódmą. Wtedy Baliszuk doczołgał się do tarasu i zaalarmował sąsiada. Pierwsza jego prośba brzmiała: — Ściągnij tu mego szwagra, on zdecyduje, czy wzywać policję.

Szwagier uznał, że trzeba zawiadomić posterunek i pogotowie ratunkowe. Lekarz na wiadomość o zgwałceniu Anety odwiedził ją do szpitala na badanie ginekologiczne.

Gdy przyjechali policjanci, dowiedzieli się, że napastnicy byli polonezem koloru zgnia zieleni. Zmaltretowany kolejarz niewiele mógł powiedzieć o wyglądzie bandytów: mężczyzna w samochodzie, którego twarzy nie widział, miał krótkie, jasne włosy. Był po cywilnemu, ale jak wyglądało jego ubranie, Baliszuk nie zapamiętał. Gdy szli od furtki do domu zauważył, że drugi bandyta ma około 170 cm wzrostu i jest raczej pyzaty. Trzeci — wyraźnie wyższy od pozostałych, wyróżniał się szpakowatymi włosami i czarnymi sumiastymi wąsami z siwym nalotem. Nie zapamiętał żadnych cech charakterystycznych twarzy ani głosu. Czwarci mężczyzna, który jako ostatni wysiadł z samochodu, siedzi za nimi.

Informacja o zdarzeniu została przekazana wszystkim policjantom w okolicy i tego samego dnia do prowadzących postępowanie wpłynęła notatka od funkcjonariusza z Siedlec, że w Zawadach zatrzymał do kontroli drogowej zbyt szybko jadący samochód golf kierowany przez Jacka W. Jego pasażerem był Dariusz S. Obaj notowani za przestępstwa kryminalne. W samochodzie nie znaleziono niczego podobnego. W tym samym dniu policjant zameldował, że w czasie służby widział na drodze poloneza koloru zgnia zieleni, a w nim czterech pasażerów. Jeden z nich miał ciemne włosy i także wąsy. Samochód ten znaleziono dwa dni później w lesie koło miejscowości M. Pobrano ślad z kierownicy do zbadania DNA.



Podczas badania ginekologicznego Anety Baliszuk lekarzka nie dostrzegła obrażeń typowych dla gwałtu. Dziewczyna wróciła do domu. W trakcie sprzątania kuchni znalazła nie znaną jej torbę z pistoletem.

Kilka godzin później policjanci z Biłej Podlaskiej przyjechali do Baliszuków, aby odebrać tę broń i sporządzić portrety pamięciowe bandytów. Nim jednak przystąpili do pracy, pokazali ofiarom napaду tzw. zdjęcia sygnalityczne mężczyzn, których można było podejrzewać o napad (podczas procesu sądowego nie udało się ustalić, na czyje fotografie spoglądali Baliszukowie). Ani córka, ani jej matka nie rozpoznały w albumie oprawców. Natomiast na portretach pamięciowych sporządzonych na podstawie sugestii ofiar, według Barbary, napastnik z wąsami nie był wysoki, zdanem Anety, wręcz krępy, natomiast Jerzy Baliszuk zapamiętał go jako zwalstszego mężczyznę.

Trzy tygodnie po rozboju w M. śledczy pomyśleli o szukaniu śladów kryminalistycznych na tłuczku do mięsa, którym, jak twierdziła Baliszukowa, została pobita.

Ale wszelkie linie papilarne były już zatarte. Podobnie jak na resztkach taśmy samoprzylepnej.

W Nowy Rok 2005 Baliszukowie życzyli sobie, aby bandyci, którzy ich napadli, zostali złapani.



Adam Kozłowski miał w podwarszawskich Markach skład sprzętu budowlanego. Dla własnej przyjemności hodował konie.

Piątego stycznia 2005 roku wieczorem, tuż po kolędzie, pojechał do stadniny sprawdzić, czy zwierzęta są nakarmione. Właśnie wstuchiwał się w rzenie ulubionego ogiera, gdy do stajni wtargnęli mężczyźni w kominiarkach. Na oczach kobieńskiego ogiera, gdy do stajni wtargnęli mężczyźni w kominiarkach. Na oczach kobieńskiego przewrócili Kozłowskiego na ziemię, związali mu ręce, skrępowali nogi. – Nie drzyj mordy – jeden z bandytów uciszał właściciela stadniny, gdy wleki go do samochodu, którym szybko odjechali. Kilka minut później Artur, 20-letni syn Adama Kozłowskiego odebrał telefon od dobrego znajomego ojca, że ojciec został porwany.

Przez całą noc rodzina Kozłowskich szukała adresu detektywa Rurkowskiego. Nie zdążyli nawiązać kontaktu, gdy rano 6 stycznia ktoś zatelefonował do Artura, żeby przygotował 100 000 dolarów. – Będzie kasa – powiedział – ojciec wróci żywy.

– To niewykonalne – płakał do słuchawki syn porwanego – mogę uzbiierać najwyżej 70 000 zł.

Ktoś po tamtej stronie słuchawki zapowiedział, że zadzwoni ponownie. I nie raził powiadamiać policji.

Dzień później znów ten sam schrypinięty głos w telefonie: – Teraz będzie mówił Adam Kozłowski. Powie ci, co masz zrobić.

– Odniosłem wrażenie – zeznał na policji Artur – że jest to nagranie z taśmy magnetofonowej. Ojciec prosił, abym słuchał panów, którzy go porwali. Potem włączył się do rozmowy ten schrypinięty i zapytał, ile już mam pieniędzy na okup. Odpowiedziałem, że 80 000 zł. On na to, że taka suma go nie interesuje. Zaproponowałem 120 000 złotych, ale że potrzebuję 3–4 godziny na pożyczzenie brakującej sumy. Zgodził się.

Syn wpłacił żądany okup, a porywacze oddali mu ojca.

Gdy Adam Kozłowski doszedł do siebie, opowiedział śledczym, co się z nim działo od momentu uprowadzenia ze stajni.

Skrępowanego porywacze zawieźli na jakąś posesję i zostawili na podwórku. Sami poszli do pomieszczenia, które wyglądało na opuszczony warsztat. Była już noc. Kozłowski nie mógł się zorientować, gdzie jest. W pewnej chwili zobaczył przechodzącego za parkanem mężczyznę – błagał go, aby pomógł mu wydostać się na drogę. Ten zaczął wypytywać, o co chodzi i wtedy wybiegli porywacze z łkajami. Biłi porwanego po głowie, aż upadł, a podnosząc się, zerwał kajdanki. Usiłował do-

biec do furtki, równocześnie rzucając kamieniami w kierunku swych oprawców. Ale złapali go, wrzucili do furgonetki, został dotkliwie pobity. Dojechali do budynku na pustkowiu. To było jego więzienie. Nogi i ręce miał skrępowane, leżał na wyriku twarzą w dół, moc oddawał pod siebie. Nic nie widział, ale domyślił się, że ktoś go pilnuje, bo skrzyiała podłoga. Bardzo marzył – ściana, której dotyczyła, była pokryta szronem. Stracił rachubę czasu.

Ósmego stycznia kazali mu wypić trzy szklanki wódki na czczo i zawieźli do lasu. Pijanego posadzili pod drzewem, po czym odjechali. Gdy wyrzeźwił, po kilku godzinach dotarł do drogi. Wtedy już wiedział, że przeżyje.

Niespełna dwa tygodnie po uprowadzeniu Kozłowskiego niejaki Mirosław Sz. przyznał się do udziału w tym przestępstwie i doprowadził policję do wsi Boża Wołła, gdzie przetrzymywano porwanego. Nad tym, aby nie uciekł, czuwał Daniel K., człowiek z marginesu społecznego, karany już za pobicia i kradzież.

Sz. ujawnił też kolejne ważne nazwisko z listy piętnastu porywaczy: Dariusz S. Twierdził, że to on wraz ze swym kolegą, prowadzącym punkt skupu Jarosławem Z., wpadli na pomysł porwania biznesmena z Marek. Oskarżył też swego współnika o zamiar zabicia Kozłowskiego (już po wpłaceniu okupu), aby zatrzeć ślady. Ostentycznie pieniądze z okupu miały trafić za pośrednictwem Grzegorza P. (to ten, który negocjował z młodym Kozłowskim wysokość okupu za ojca) do mafii z Marek.

Odrożmy sprawę Kozłowskiego na bok, bo choć nazwiska niektórych oskarżonych pojawiają się w śledztwie dotyczącym napadu na Wyszlaków, Baliszuków i Rurano-wiczów, było to osobne postępowanie i inny skład sędziowski w Sądzie Okręgowym dla Warszawy-Pragi wydawał wyrok. Zapadł on w 2007 roku. Wszyscy sprawcy znaleźli się za kratkami.

Ale na razie jesteśmy w 2005 roku.



W materiałach dochodzeniowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie, dotyczących przestępstw w Węgrowie, pod Terespołem i w Markach coraz częściej pojawiały się te same nazwiska sprawców. Zwłaszcza, że śledczy nader chętnie słuchali skorego do „współpracy” Mirosława Sz. A on, chcąc skorzystać z nadzwyczajnego złagodzenia kary, gorliwie wyjaśniał.

Twierdził, że o napadzie na Baliszuków dowiedział się od Roberta F., który lubił się przechwalać, gdy tylko sobie podpił, jak „oprawiał” swe ofiary, m.in. używając paralizatora. Napad pod Terespołem miał „wystawić” Marek P., w jego stajni były przechowywane ubrania policyjne i nakazy rewizji.

Głównie w oparciu o te zeznania funkcjonariusze Komendy Miejskiej w Białej Podlaskiej przygotowali tablice pogłądowe z fotografiami domniemanych bandytów i w połowie lutego 2005 roku wezwano poszkodowane rodziny z Węgrowa i spod Terespoła na ponowne rozpoznanie sprawców. Dzieje się to kilka miesięcy

po napadzie, gdy ofiary mają już za sobą wielokrotne okazywanie im fotografii domniemych sprawców.

W komendzie Baliszukowie i Wyszałkowie oczekiwali na zaproszenie do pokoju śledczego na korytarzu i śkracając sobie czas, opowiadali, co przeżyli.

W odróżnieniu od poprzednich okazali, to było dla policji nader owocne. Baliszukowa bez wahań rozpoznała S., jako oprawcę z czarnymi wąsami, który uderzył ją pięścią, wybił dwa zęby. Wybrała też fotografię Mirosława Z. (zależał jej taśmą usta i oczy) oraz jednego z braci F., jako najbardziej agresywnego, który przystawił jej pistolet do czoła i wołał: „Dawaj pieniądze, stara k...”

Jerzy Baliszuk też wskazał na S. i F., ale miał trochę wątpliwości. Również zawahał się przy fotografii Mirosława Z., mówiąc, że może jest podobny do bandyty, ale tamten miał „dziobatą twarz”, że nie chciałby nikogo pomawiać, i że dobrze byłoby zobaczyć tych ludzi na żywo – zauważył na koniec.

Natomiast Aneta Baliszuk była prawie pewna, że zgwałcił ją typ nr 2, czyli Mirosław Z. W przypadku Dariusza S. i F. zawahała się. Następnie poszkodowani mogli spojrzeć przez lustro weneckie ma osoby, które wytypowali, wymieszane z innymi, nie mającymi nic wspólnego z napaścią. Wysocki, postawny Mirosław Z. z sumiastymi wąsami wyróżniał się w otoczeniu łysych i zniszczonych alkoholizmem bezdomnych, których „wypożyczono” z noclegowni. Aneta Baliszuk od razu wskazała na niego, mówiąc: – To on mnie zgwałcił. Na pewno.

Jak odnotowano w protokole, dostała spasmów.

Gdy przyszedła kolej na jej matkę, kazali Z. zawołać: „Oddaj stara k... pieniądze”. Powtórzył, a kobieta krzyknęła: – „Tak, to ten, poznaję jego głos”. Pani Baliszukowa rozpoznała też wśród przedmiotów zabranych z mieszkania podejrzanego swój zegarek i złotą biżuterię.

Tego samego dnia na Mirosława Z. jako bandytę, który napadł na jego ojca, wskazał też młodszy Wyszałk.



Czterdziestosiemioletni Mirosław Z. był wówczas właścicielem warszawianka w jednej z hal targowych w Warszawie. Po śmierci żony wychowywał samotnie dwie córki w wieku szkolnym. Nigdy nie był karany.

Szesnastego lutego 2005 roku części swój samochód ze śniegu, gdy nagle obokoczyli go policjanci, przewrócili w błoto, skuli. Potem prowadzili ubrudzonego, w kaidankach, ulicą, gdzie wiele osób znalo go od urodzenia. W mieszkaniu, na oczach dzieci i matki, dostał kilka ciosów w brzuch, bo ciągle twierdził, że zaszcza pomylka. Gdy do jego przerażonej matki trzeba było wzywać pogotowie, dziewczynki usłyszały, że pójdą do domu dziecka.

Jak wynika nie tylko z zeznań Z. na procesie, ale i z dokumentacji lekarskiej, policjanci znęcali się nad nim w czasie przesłuchania. Skuternu, kazali usiąść na krze-

śle, złożyli na głowę czarny worek plastikowy, po czym został kopnięty w klatkę piersiową tak, że spadł na podłogę. I z tej pozycji odpowiadał na pytania, co robił w październiku 2004 roku pod Terespołem. Ponieważ zaprzeczał, aby kiedykolwiek znalazł się w tamtych stronach, bili go dalej. W pewnym momencie trzeba było zawięz przesłuchiwane na pogotowie. Tam lekarze uznali, że pacjent kwalifikuje się do szpitala.

W klinice lekarz po zrobieniu USG najpierw sprzeciwił się wysłaniu go do aresztu, ale uległ argumentom policjantów, że miejsce groźnego bandyty i gwałciela jest za kratami. Doktor chyba miał jednak wyrzut sumienia, bo pod dia-gnozą: „Brak przeciwwskazań do zastosowania aresztu” podpisał się nieczytelnym zygalkiem.

Z ceili oskarżony napisał do prokuratora: – „Nie przyznaję się ani do napadu, ani do gwałtu. Jestem normalnym facetem, nie erotomanem. Mógł się, aby te kobiety doznały ośmienia, bo mnie bardzo oczerniają. Zegarek i kolczyki zabrane z mojego mieszkania są starszej córki, natomiast sygnet kupiłem na bazarze, on jest z tom-baku. Nie chcę się zapoznawać z aktami, ja nic nie mam do czytania w obcej sprawie. Proszę o ponowne przeprowadzenie konfrontacji. Stanę twarzą w twarz, niech te panie mi się przyrzę. W wigilię 2003 roku kupiłem samochód, zacząłem handlować warzywami z moim dobrym znajomym Jackiem W. Wien, że był karany za rozbój. Za jego pośrednictwem poznałem Dariusza S., który czasem coś u mnie kupował. 21 października ub. roku pożyczylem przyjacielowi samochód, bo chciał coś przewieźć. Nie pamiętam, co tego dnia robiłem, pewnie handlowałem na bazarze. Jestem tam znany pod ksywą »Mistrzu«”.

Następnego dnia po aresztowaniu Z. w jednym z tabloidów ukazał się artykuł pt.: „Zwyrodnialcy”. I wielkie zdjęcie zdjęcia Mirosława Z. (podano pełne nazwisko) z podpisem: – „Najbardziej brutalny z bandy”. Z artykułu wynikało, że Z. zgwałcił matkę i córkę, paraliżując je łufą pistoletu. Starszej wybił młotkiem wszystkie zęby. Dzięki wysiłkom policjantów z wydziału terronu kryminalnego Komendy Stołecznej Policji jest już za kratkami.

W kolejnym tekście, który ukazał się dwa dni później w wydaniu weekendowym, redakcja znów wyeksponowała zdjęcie i nazwisko mężczyzny o pseudonimie „Mistrzu”. Z podpisem: – „Nie ma jakichkolwiek zahamowań, czernie radość z zadania niewinnym ludziom bólu i stosowania przemysłowych tortur – tak mówią o nim policjanci z wydziału terronu kryminalnego”.

Autor kolejny raz, opisując Z. i jego współników w zbrodni, podparł się anonimową wypowiedzią funkcjonariusza Komendy Stołecznej Policji. Na koniec ujawnił, że Z. należał do mafii niejakiego „Salaputa” z Marek.

Rodzina Baliszuków była zaskoczona po lekturze artykułu. Zwłaszcza Jerzego poniosły nerwy, bo jego zdaniem Mirosława Z. nie było w bandzie, która napadła na ich dom. Oburzony, zadzwonił z pretensjami na komendę policji w Białej Podlaskiej.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem przyjechali do jego domu funkcjonariusze wraz z powiatowym prokuratorem. Baliszukowie pochylili się nad powiększonymi zdjęciami nowego podejrzanego – Roberta D. Byli po obróbce komputerowej w wersjach z broda, bez brody, z wąsami, bez wąsów...

Anecie Baliszuk już na pierwszy rzut oka D. wydał się najbardziej podobny do mężczyzny, który ją zgwałcił. Odwołała to, co wcześniej mówiła o Z. Gdy jeszcze raz przyjrzała się krzaczastym brwiom Roberta D. i jego bliźniom na twarzy po trądziku, nie miała już wątpliwości, że to on ją skrzywdził.

Natomiast jej matka odwołała oskarżenie Z. o kradzież złota. Biżuteria, znaleziona w czasie rewizji w domu właściciela stoiska warzywnego w niczym nie była podobna do jej własności.

Dwa dni później zwolniony z aresztu Mirosław Z. wrócił do domu jako niewinny nie posądzony. Ale jego dramat się nie skończył. W dzielnicy, w której mieszkał, egzemplarze tabloidu z jego zdjęciami podpisanymi: „zwyródnialec, gwałcieciel”, z tytułem: „Musi zgnić w więzieniu”, krążyły od domu do domu, a w nocy ktoś je przylepiał na stoisku, gdzie sprzedawał. Poszła też wieść, że nie puścili go do domu za darmo, pewno się wykupił pieniędzmi z rozbojów. Stali klienci zaczęli go omijać szerokim łukiem. Musiał zamknąć budkę, choć o inną pracę było trudno.



To nie koniec konfrontacji u Baliszuków. Gdy kobiety przyznały się do pomyłki z Mirosławem Z., poproszono je o ponowne obejrzenie zdjęć poglądowych, na których byli Marek P., Dariusz S. i Mariusz Z.

Aneta wskazała na zdjęcie Dariusza S., mówiąc: – „To ten, który mnie skrupował i krzyczał, gdzie są pieniądze”. Stwierdziła, że wyróżniał go „krogulczy nos”.

Także jej matka była przekonana, patrząc na fotografię Dariusza S., że to on ją bił. Natomiast pistolet do głowy przykładał jej Mariusz Z.

Najwięcej wątpliwości, jak zwykle miał Jerzy Baliszuk, ale i on w przypadku Dariusza S. nie wahał się. Był przekonany, że z ręki tego przestępcy został porażony prądem.

Te zeznania – zwłaszcza kobiet – przesądziły, o oskarżeniu prze prokuratora Dariusza S. o napad pod Terespołem i znęcanie się nad ofiarami.

Osadzony w areszcie, nie przyznawał się do rozboju, a po kilku dniach chciał się powiesić. W porę go odratowano.

Zatrzymany też został Marek P., właściciel stadniny koni w Warszawie. Pierwszego dnia zaprzeczał, że miał coś wspólnego z napadem na Baliszuków. Następnie napisał dziwny list do prokuratora z prośbą o przedłużenie mu aresztu (właśnie upływało 48 godzin od zatrzymania). Gdy podanie o pozostawienie go w celi zostało rozpatrzone pozytywnie, opowiedział, że w szopie jego tajni gang ukrywał mundury policyjne. Zgodził się na to ze strachu, bo grozili mu pobiciem, spaleniem. Na tablicy poglądowej rozpoznał Roberta D. jako tego, który razem z Ro-

bertem F. i Dariuszem S. spakowali któregoś dnia owe mundury oraz kilka par kajdanek.

– Z ich rozmowy domyśliłem się, że wezmą jeszcze Mariusza Z. i pojedą w okolice Białej Podlaskiej. Wcześniej kazali mi napisać na maszynie „prokuratorski nakaz przeszukania”. Podpisałem się pod tym, ale nieczytelnie – dodał na koniec.

Sledczy ponownie wezwali ofiary napadów, aby przyjrzały się portretom domniemyanych przestępców.

Dziewiętnastego grudnia 2005 r. Barbara Baliszuk wskazała na zdjęcie Roberta F. jako tego, który przykładał jej pistolet do głowy i „biegał z paralizatorem po mieszkaniu jak wściekły”. Również Aneta pokazała go przez lustro weneckie. Jerzy Baliszuk na nikogo nie wskazał, bo obawiał się, że posądzi kogoś niewinnego.

Aresztowany F. przyznał się do napadu pod Terespołem. Postawiono mu też zarzut gwałcenia kobiet.

Policja ustaliła, że czwartym bandytą w domu Baliszuków był Dariusz S., który był też oskarżony o uprowadzenie Kozłowskiego.



Czwartego lutego 2005 roku Renata Ruranowicz wróciła do domu około ósmej wieczorem, po zamknięciu sklepu w Izabelinie. Ledwo zdjęła kurtkę, ktoś zastukał do drzwi. Otworzyła, nawet nie patrząc przez wizjer. W progu stało trzech policjantów. Powiedzieli, że szukają skradzionego towaru. Był napad w Grójcu na hurtownię, prawdopodobnie brał w tym udział jej brat Robert. Zachnęła się, że rewizja ma być u niej, zażądała pokazania legitymacji. Wtedy przewrócili ją, zakneblowali, ręce i nogi zwiążali taśmą. Gdy ciągnęli ją do piwnicy, słyszała krzyk matki mieszkającej w drugiej części willi.

Początkowo nie odpowiadała na pytania napastników, gdzie przechowuje pieniądze, ale gdy przystawili jej pistolet do głowy, wyznała, że są na górze, w kryształowym wazonie. Pobiegli tam.

Udało się jej trochę uszkodzić samoprzylepną taśmę na rękach, ale nie wyswobodziła się z więzów, gdyż jeden z przebranych za policjanta bandytów wrócił do piwnicy, krzycząc, aby ujawniła następne skrytki z pieniędzmi i złotem. Mimo że bił ją młotkiem, uparcie twierdziła, że nie ma już w domu ani grosza. Okłamała go mówiąc, że zaraz będzie wymiotować, niech się odsunie. Zostawił ją leżącą na boku i poszedł do swych kumpi demolujących mieszkanie. Wtedy wyskoczyła przez okno na ciemne podwórze, dobiegła bosą do szopy. Szczęśliwie już drugi samochód zatrzymał się na jej rozpacze gesty. Jechał nim pewien poseł. I on zawiózł Renatę Ruranowicz na najbliższy posterunek.

Razem z funkcjonariuszami wróciła do domu, gdzie już zdążył dojechać jej brat. Uspokoił ją, że rodzicom nic się nie stało. Twierdził, że widział wybiegającego

z domu obcego mężczyzną. Kobieta poinformowała policjantów, że bandy ci zrabowali 20 000 zł i złotą biżuterię.

Następnego dnia policyjny ekspert sporządził na podstawie relacji poszkodowanych cztery portrety pamięciowe. Okazano im też tablice poglądowe z 16 zdjęciami domniemyanych sprawców. Była tam m.in. fotografia Roberta D. Ani Renata Ruranowicz, ani jej brat nie zauważyli podobieństwa tego mężczyzny do napastników. Na następnych tablicach Ruranowicz wskazywała na Dariusza S., choć policyjnie było wiadomo, że nie mógł uczestniczyć w napadzie, gdyż w tym czasie prześluchiwanego w Komendzie Stołecznej Policji.

Miesiąc później jej brat Robert zauważył na tablicy poglądowej Roberta D. jako tego, który uciekał w chwili, gdy wjeżdżał na podwórko rodziców. Jego zastrzeżenia odnosiły się tylko do wleku bandyty. Tamten, widziany na żywo nocą, wyglądał na młodszego.

Robert D. został zatrzymany. Następnego dnia Renata Ruranowicz mogła go zobaczyć przez weneckie lustro. Tym razem widziała pewne podobieństwo, jak złamany nos, choć miała wrażenie, że mężczyzna, który się nad nią znęcał, był bardziej rudy. Robert D. nie przyznał się do żadnego z napadów: w Izabelinie, pod Terespołem i w Węgrowie.

Czternastego kwietnia 2005 roku okazano Ruranowiczom Huberta D. Nie rozpoznali go. Ale mężczyzna sam się przyznał do rozboju w Izabelinie. Jednak następnego dnia na rozprawie w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia, gdzie zdecydowano o jego areszcie odwołał wszystko, co mówił w czasie przesłuchania. Twierdził, że poprzednie wyjaśnienia były wymuszone biciem. Z akt sprawy nie wynika, aby wywołało to jakikolwiek reakcję sędziego.

Prawie rok później Renata Ruranowicz została wezwana na ponowne okazanie policyjnych zdjęć, wśród których znajdowała się fotografia Huberta D. Ponownie nie rozpoznała nikogo. W innym albumie, który oglądała, znajdowało się zdjęcie Dariusza S. Już pokazywano jej tę fotografię tuż po napadzie i wtedy nie dostrzegła podobieństwa owego mężczyzny do napastników. Po upływie roku od dramatycznego zdarzenia wskazała na Dariusza S. jako tego, który „chodził po moim domu i sprawdzał, czy nikogo więcej nie ma. Później ciągnął mnie do piwnicy”.

Następnie okazano jej fotografię Piotra K. – stwierdziła, że w piwnicy przystawił jej do głowy lufę karabinu.

Zarówno Piotr K., jak i Dariusz S., mimo że nie przyznali się do popełnienia przestępstwa, zostali aresztowani.

◆ ◆

Dwudziestego czwartego lutego 2005 roku ojciec i syn Wyszlakowie mogli zobaczyć przez lustro weneckie kilku mężczyzn, wśród których stał podejrzany Robert D. Młodo-

demu Wyszlakowi żaden z okazanych nie kojarzył się z napastnikami. Natomiast jego ojciec twierdził, że D. jest худзяко podobny do bandyty w przebraniu policjanta, który przewrócił go na ziemię, okleił ręce i nogi taśmą i mocno bił.

Okazano też Wyszlakom Dariusza S. O ile na pierwszych tablicach poglądowych – gdzie też było aktualne zdjęcie tego mężczyzny – ani ojciec, ani syn nie widzieli jego podobieństwa do napastników, to w pół roku później Jerzy Wyszlak rozpoznał S. jako szczególnie okrutnego oprawcę...

Podobnie było z Mariuszem Z. Dopiero po kilku miesiącach Wyszlak senior poznał go na policyjnym zdjęciu jako tego, który wchodził do domu ostatni. Ale nie utknęła mu w pamięci wzrokowej szeroka biżna w pobliżu oczu podejrzanego. Również Bartłomiej Wyszlak nie zauważył tej charakterystycznej sznary.

◆ ◆

W Prokuraturze Okręgowej w Warszawie zapadło postanowienie o połączaniu postępowań przygotowawczych dotyczących rozbojów w Węgrowie, Izabelinie i koło Terespoła. Akt oskarżenia był gotowy 13 lutego 2006 roku. Przed sądem mieli stanąć: Robert D., Mariusz Z., Dariusz S., Marek P., Robert F., Jacek W., Hubert D., Dariusz S., Piotr K. Żaden z oskarżonych nie przyznał się w śledztwie do popełnienia zarzucanego mu przestępstwa.

Proces sądowy (przewodniczącą śladu sędziowskiego została sędzia Barbara Piwniły) wykazał wiele nieprawidłowości na etapie śledztwa.

Przykłady: świadek Robert K., który w śledztwie obciążył Roberta D., że jako-by chwalił mu się – gdy przez dwa lata siedzieli w jednej celi – sadystycznym okrucieństwem w gwałceniu i maltretowaniu ofiar napadu pod Terespołem, sam podważył swoją wiarygodność. Na pytanie sędzi, ile miał postawionych zarzutów karnych w ostatnich latach, odparł lekko – nie wiem dokładnie, chyba około stu. Handel narkotykami, wymuszenia, podkładanie ładunków w wybuchowych. Samych podpałów chyba z dwadzieścia. W więzieniu wypisują mi na ścianach, że jestem konfidentem.

Zaskakujące zeznanie złożyła na rozprawie Renata Ruranowicz: – Wychodzi na to, że zrobiliam z siebie idiotkę. Co innego mówiłam w śledztwie, co innego teraz – wyznała.

Miała na myśli rozpoznanie Roberta D. Raz dostrzegła, że wyróżnia go skrzywiony po złamaniu nos, to znów zaprzeczyła, aby miał coś charakterystycznego w wyglądzie.

Wątpliwości budziły też zeznania poszkodowanej o ucieczce boszo z piwnicy do domu. Była zimna, na drodze lód, a na zdjęciu, które zrobiono, gdy dotarła na posterunek nie widać, aby miała pokaleczone stopy.

Z kolei Jerzy Wyszlak opowiadał sądowi, jak wyglądało w Komendzie Stołecznej Policji rozpoznawanie bandytów. Na tę chwilę czekał wraz z synem dość długo

w korytarzu, siedząc obok rodziny Baliszuków. Wymieniali się wrażeniami o nie-
szczęściu, które ich spotkało. Zapewne dlatego wszystko potem w ich zeznaniach
się wymieszalo, poplątało. Nie tylko co do wyglądu przestępców, ale i takich szcze-
gółów, jak czym ich bito. Jerzy Wyszlak powiedział w śledztwie, że młotkiem, ale
teraz prosiuje – dostał po nogach kluczem francuskim. To pod Terespołem był w uży-
ciu młotek.

– A dlaczego początkowo w śledztwie wskazywał w albumie z poglądowymi zdję-
ciami na Mirosława Z., jako najbardziej podobnego do oprawcy? – dociekała sędzia.
– Bo słyszałem – wyjaśnił – jak policjanci między sobą rozmawiali o tej fotografii.
I wymieniali nazwisko. Później jednak doszedłem do wniosku, że nie był to Z.

– Z biegiem czasu niektóre rzeczy się zmieniły – brzmiała refleksyjna uwa-
ga starszego Wyszliaka na pytanie, czy potwierdza odczytane mu zeznania
z śledztwa.

Barbara Baliszuk błędne wytypowanie Mirosława Z. jako najbardziej agresyw-
nego napastnika w jej domu tłumaczyła zasugerowaniem się artykułem w gazecie.

Jej córka Aneta nie odpowiedziała na pytanie sądu, czy przeczytana wcześniej
publikacja wpłynęła na rozpoznanie przez nią Dariusza S. Nie miała natomiast wąt-
pliwości co do jednego – gwałcił ją Robert D. Nie mogła sobie tylko przypomnieć,
czy zgłaszała, że napastnik miał krzywy nos.

Natomiast jej ojciec twierdził, że wbrew temu, co mu odczytano na sali sądowej
z protokołów śledztwa, na pewno nie powiedział, patrząc przez lustro weneckie na
Mirosława Z., że to na sto procent człowiek, który napadł na ich dom.

Co do Dariusza S., którego wcześniej określali w rodzinnych rozmowach jako
„świńskiego blondyna”, to nie pamiętał, czy najpierw zobaczył jego fotografię pod-
czas okazania na policji, czy w tabloidzie.

Zbiorowa amnezja dotknęła w sądzie wezwanych na świadków funkcjonariuszy
policji. Policjant operacyjny, który typował sprawców, nie rozpoznał, kto siedzi
w ławie dla oskarżonych. Na pytanie, czy Hubert D. odpowiadał chętnie w cza-
sie przesłuchania w śledztwie, czy też trzeba było go przekonywać do udzielen-
ia odpowiedzi, funkcjonariusz zeznał: – Gdy mówił, że czegoś nie pamięta, to
dla przypomnienia podawało mu się jakies fakty z zeznań innych świadków, al-
bo z technik operacyjnych (słowa te zostały skwitowane zbiorowym śmiechem
oskarżonych).

Na pytanie sędzi, jak zareagował na skargę D., że w czasie przesłuchania był po-
bity przez policję do utraty przytomności – świadek odpowiedział, że nie przywią-
zywał do tych opowieści wagi.

Z kolejnych zeznań śledczego wynikało, że pomyłono Roberta D. z Robertem F.,
choć, co przyznał, ci mężczyźni w ogóle nie są do siebie podobni. Policjant nie po-

trafil też odpowiedzieć na pytanie, na jakiej podstawie ustalił, kto dokonał napadu
na rodzinę Ruranowiczów.

W maju 2009 roku proces przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga dobiegł koń-
ca. Prokurator domagał się po 15 lat więzienia dla Roberta D. i Dariusza S.; 12 lat
dla Mariusza Z.; 10 lat dla Roberta F., po 8 lat dla Marka P., Huberta D., Dariusza S.,
Piotra K., a 6 lat dla Jacka W.

Tymczasem sąd uniewinnił oskarżonych od podstawowego zarzutu dokonania
robojów. Wywołało to wielkie poruszenie na sali sądowej. Przewodnicząca sądu
sędzia Barbara Piwnik długo tłumaczyła, dlaczego tylko taki mógł zapasć wyrok.

Oto najważniejsze z argumentów pisemnego uzasadnienia (211 stron zapisanych
małą czcionką!):

Jesli jest bodaj podejrzenie, że wyjaśnienia oskarżonych lub zeznania świadków
były składane z pogwałceniem swobody wypowiedzi, obowiązkiem sądu jest
w pierwszej kolejności ustalenie, czy istotnie do tego doszło, a dopiero potem moż-
na rozważać, czy dowody są wiarygodne.

Na przykład w przesłuchaniu podejrzanego przez prokuratora nie może uczest-
niczyć policjant, który uprzednio to robił. Również wielokrotne nieuzasadnione prze-
stuchwanie tej samej osoby na te same okoliczności może być traktowane jako wy-
muszanie na niej zeznań.

Mirosław Sz., na którego zeznaniach w dużej mierze został oparty akt oskarże-
nia, nie był przesłuchiwany w żadnym z oddzielnie toczących się postępowań w po-
wiatowych prokuraturach zajmujących się sprawami Baliszuków, Wyszlaków i Ru-
ranowiczów. Mimo to, jego wyjaśnienia (jako podejrzanego o uprowadzenie
Kozłowskiego, czym zajmowała się prokuratura w Warszawie), rzutowały na czyn-
ności śledczych w terenie. W tej sytuacji Mirosława Sz. przesłuchiwano jako świad-
ka w sprawie, w której równoległe był podejrzanym.

Gdy 33-letni Sz. zaproponował warszawskiej prokuraturze „współpracę”, nie
miał czystej kartoteki. Był karany jeszcze przed zatrzymaniem w sprawie o upro-
wadzenie Kozłowskiego. Zabiegając o status świadka koronnego, starał się zro-
bić na prokuraturze wrażenie osoby świetnie zorientowanej w światku prze-
stępców. Ale podczas procesu stało się widoczne, że w jego wyjaśnieniach było
bardzo dużo sprzeczności, których w materiale dowodowym nawet nie próbo-
wano rozwikłać.

Przesłuchanie Sz. trzy miesiące po zatrzymaniu, w kwietniu 2005 r., w którym
po raz pierwszy przyznaje się do ukrywania w domu narkotyków i amunicji („do-
tychczas nie mówilem o tym policji, bo nie było wiadomo, jak zostanie potrako-
wana moja skrucha i współpraca”), wskazuje, jak dalece instrumentalnie traktow-
wał on składanie wyjaśnień. Od tego dnia jak najęty „nadawał” o przestępstwach

swolich i kumppli. Mówił o napadach na TIR-y, od kogo brał mundury policyjne, którzy z funkcjonariuszy zdradzał mu informacje o terminach nalotów policyjnych i danych świadka incognito do innego zdarzenia, w które był zamieszany, jak we współpracy z policją podrzucił gangsterom z Pruszkowa trefny samochód, aby skierować na nich podejrzenie.

Sz. słusznie liczył na zwolnienie go z aresztu.

— To oczywiste, że chęć odzyskania wolności sprawia, że taka osoba będzie bardziej skłonna kierować się oczekiwaniami prokuratora niż ujawnieniem prawdy — napisała sędzia w analizie materiału dowodowego opartego na zeznaniach Sz. Jednakże wyjaśnienia tego świadka i zarazem podejrzanego nie były konsekwentne, zawierały wręcz sprzeczności i to o charakterze istotnym, dotyczącym choćby znajomości z P., czy zakresu kontaktów z Dariuszem S., Robertem D. i Z. Kwestie te nie zostały wyczerpująco wyjaśnione na etapie śledztwa. Wyjaśnienia Sz. zawierały w zasadzie ogólniki dotyczące jakichś zdarzeń, które ewentualnie mogły być dopasowane do przestępstw popełnionych na szkodę osób z rodziny Baliszuków i Wyszaków. Nawet bowiem jeśli mówił o napadzie w Białej Podlaskiej, to interpretowano to jako napad pod Terespołem, choć nie zgadzały się także inne szczegóły wynikające z zeznań pokrzywdzonych.

Sz. jako świadek twierdził, że dowiedział się o napadzie w trakcie picia z Robertem F., który rozpowiadał, że za wszystkim stał P. i ofiarom działały się rzeczy straszne. Ale nie był w stanie określić, kiedy miał o tym usłyszeć. Nie potrafił też jednoznacznie przedstawić zdarzeń łączących się z poznananiem P., F., czy Roberta D., choć brał w nich udział. Jednego dnia mówił np., że policja znalazła w piwnicy broń od F. oraz mundury potrzebne do napadów metodą „na policjanta”, ale nie był w stanie określić, co dokładnie składało się na ten ubiór. Według innej jego wersji, F. miał broń zgubić...

I te nieprecyzyjne twierdzenia były podstawą oskarżenia F.

Mirosław Sz. ewidentnie też dopasowywał treść kolejno składanych wyjaśnień do zmieniających się oczekiwań przesłuchujących go. Jednakże prokurator nie starał się oddzielić prawdy od fałszu.

Również zeznania Roberta K., który też miał obiecać w śledztwie skorzystanie z art. 60 k.k. (choć to sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary), wzbuodziło wiele wątpliwości w toku procesu sądowego. Z oczywistych względów nie był to człowiek prawy, czy choćby prawdomówny — przez 6 lat działał w zorganizowanej grupie przestępczej.

Prowadzący postępowanie w sprawie napadów nie przesłuchiwał świadka K. osobiście, a jedynie dołączył do akt kserokopie protokołów przesłuchań tego mężczyzny, gdy był podejrzanym. Przed sądem K. nie potwierdził wielu ustaleń, opartych na jego wcześniejszych wyjaśnieniach, które były zaledwie strzępami informacji dotyczących bliżej nieokreślonych wydarzeń. Nie wiadomo, czy tak było naprawdę, czy

też śledczy mieli do czynienia z typową konfabulacją osób karanych, które chcą podnieść własną pozycję w świecie przestępczym.

Nie bez znaczenia jest fakt, że o K., który siedział w więzieniu z Robertem D. mówiło się, że jest konfidentem. D. był grypsującym. Złamanie zasad więziennej podkultury, np. kontaktowanie się z konfidentem, mogło spowodować wykluczenie z grona grypsujących. K. nie mógł więc uzyskać od D. istotnych informacji. Świadek zresztą nie pamiętał, czy jego towarzysz z celi opowiadał mu w szczegółach o chodzącej jednym napadzie. W tych warunkach zeznania K. są dla aktu oskarżenia bezwartościowe.

Zważaszca, że Robert D. nie przyznał się w śledztwie do rozbójów. Podał, że we wrześniu i październiku 2004 r. gdy był napad na Wyszaków i Kaliszuków, pracował w warszawskiej firmie, ma alibi. Odmówił składania dalszych wyjaśnień, ponieważ po zatrzymaniu był brutalnie bity w pokoju przesłuchań. Jego stan po przesłuchaniu wymagał interwencji lekarza.

Na pobicie po tzw. okazaniu skarżył się też Mariusz Z.

— Wytłumaczono mi ręcznie, żebym się przyznał, nie mówiąc nawet konkretnie, do czego — powiedział na sali sądowej.

Podobnie potraktowali przesłuchujący Roberta D. Jak wynika z protokołu zatrzymania, informował policjantów, że jest chory na serce, musi mieć stale pod ręką nitroglicerynę. Lekarz więzienny tym się nie zainteresował. Natomiast na pogotowiu stwierdzono u D. obrzęk jąder i zasinienie pośladków.

Nie przyznał się do napadu na Baliszuków Jacek W. — to ten, którego w okolicach Sielc zatrzymała kontrola drogową, gdy samochodem pożyczonym od Mirosława Z. wioził Dariusza S. W. konsekwentnie twierdził, że odebrał S., swego dobrego znajomego, z motelu, gdzie w tajemnicy przed żoną spędził kilka godzin z pewną Ukrainką. Wiarołomnego małżonka zostawił koło Dworca Zachodniego w Warszawie, a sam pojechał na bazar. Tam dowiedział się o napadzie pod Terespołem.

Również Dariusz S. nie przyznał się do uprowadzenia Kozłowskiego i napadów na Baliszuków oraz Wyszaków. — Postanowiłem, że wyjaśnienia złożę dopiero w trakcie procesu — oświadczył na pierwszej rozprawie.

Skąd ta nieufność do prokuratora? Twierdził, że na komendzie stołecznej manipulowano nim. Był wielokrotnie okazywany przez weneckie lustro — ale nie wiedział komu i w jakiej sprawie. Za każdym razem dowiadywał się od policjantów, że rozpoznał go „na 100 procent”...

Trzeciego lutego 2005 roku S. został zatrzymany pod zarzutem uprowadzenia dla okupu Kozłowskiego. Po dwóch godzinach przesłuchania oskarżono go też o udział w napadach w Węgrowie i pod Terespołem. Jak wyjaśnił w sądzie, sposób prowadzenia z nim rozmów, gdy znalazł się w areszcie w Białej Podlaskiej doprowadził go do załamania psychicznego. Próbował odebrać sobie w celi życie: odratowano go w toku śledztwa prokurator nie dociekał, skąd ten desperacki krok.

Marek P., właściciel stadniny koni, również znalazł się w areszcie z powodu podejrzenia go o uprowadzenie Kozłowskiego. Dwa dni później prokuratorskie zarzuty zostały rozszerzone o zorganizowanie grupy przestępczej i zlecenie jej rozbioru w Baliszuków. Miał też zaopatrywać bandytów w policyjne mundury i samochody. Początkowo P. odznętywał się od posądzenia go o jakiegokolwiek przestępstwo. Po kilku dniach przyznał, że w stajni miał schowane w sianie mundury, kajdani i maszynę do pisania. Ale on nie napadał. Te trefne rzeczy ukrywali u niego bandyci z mafii mokotowskiej. Zagrozili mu, że jeśli ich wyda, spalą stajnię. Bał się też placenia wysokiego haraczu.

W czasie kolejnego przesłuchania wyjaśnił, że w październiku 2004 roku przyjechał do niego wieczorem Robert D. z Dariuszem S. po mundury. Zawiózł ich do Białej Podlaskiej. Równocześnie wyruszył w tamtą stronę Z. z Robertem F. Spotkali się na poboczu drogi i wszyscy czterej przesiadli do poloneza, zabierając torbę z mundurami. Polonez pojechał w kierunku Terespoła. Po 30 minutach zadzwonił D., wskazując miejsce, gdzie ma na niego czekać. Marek P. zrobił tak, jak mu kazano.

Odwioził też bandytów do Węgrowa. Dostał za to 500 zł, które Robert D. odliczył z piłku pieniędzy, które miał w kieszeni.

W toku dalszych wyjaśnień Marek P. zaprzeczył temu, co mówił na komendzie w Białej Podlaskiej. W czasie przesłuchania był bardzo senny. Cierpi na cukrzycę, a w areszcie w Białej Podlaskiej nie miał przez trzy dni leków. Policjanci powiedzieli mu: albo się dogadujemy i zostajesz jeden dzień, albo idziesz siedzieć. Twój adwokat jest daleko. Tak jak mu kazali, napisał do prokuratora w Białej Podlaskiej prośbę o zatrzymanie go w areszcie. Podporządkowanie się oczekiwaniom przesłuchujących uważał za jedyną szansę na powrót do domu.

Po jakimś czasie odwołał wyjaśnienia złożone w czasie pierwszego przesłuchania. Hubert D. początkowo przyznał się do napaści na Ruranowiczów razem z braćmi S. oraz K... Opowiedział taką historię: Do przestępstwa naklonił go Dariusz S., którego poznał w 2003 roku po wyjściu z więzienia, gdy szukał pracy. Ten nowy kumpel podsunął mu pomysł łatwego zarobku – rozboje metodą „na policjanta”. Gdy pod koniec stycznia 2005 roku znów się spotkali, S. miał dla niego robotę; pojadą z kumplami odebrać 50 tysięcy złotych od niesumiennego dłużnika w Izabelinie. Jeśli stanie na czatach przed tym domem, dostanie 1000, a może i 2000 zł. Hubert D. się zgodził.

Czwartego lutego czekał na nich na przystanku, podjechali polonezem. W samochodzie byli S., D. i K.; wszyscy w cywilnych ubraniach. Po drodze zatrzymali się w lesie, aby przebrać się w policyjne mundury. Przed domem, gdzie mieszkał dłużnik, kazali mu obserwować, czy ktoś nie nadchodzi. Zauważył, że D. wyjął maly piśtolet. Po 15 minutach przybiegli zdenerwowani, że uciekła kobieta, której w piwnicy domu pilnował S. Pieniądzy nie odzyskali, a K. zwiął do lasu.

Następnego dnia – wyjaśniał do protokołu Hubert D. – spotkał na ulicy K. Pociągnął go do Warszawy dojechał pociągiem. Nie miał biletu, a ponieważ złączył go kontrolerzy, wykupił się złotem, które miał z rabunku w Izabelinie.

Na rozprawie sądowej Hubert D. odwołał swoje wyjaśnienia złożone przed prokuratorem. Twierdził, że w śledztwie został zmuszony biciem do podpisania protokołu przesłuchania.

Wyjaśnienia Huberta D., złożone dwa miesiące po napadzie na Ruranowiczów, jedynie pozornie obfitują w szczegóły o tym zdarzeniu. W zestawieniu z zeznaniami pokrzywdzonych widać duże rozbieżności. Nie zgadza się kolor poloneza ani to, którzy z napastników mieli być ubrani w części mundurów i jakie. Także opis miejsc, gdzie obok samochodu oczekiwał K. nie odpowiada wyglądowi posesji Ruranowiczów. Trudno też uwierzyć w wersję o ucieczce pieszego K., gdy zorientował się, że jego kumpel odjechał samochodem. Przecież mogli go zabrać z innego dowolnego miejsca – mieli telefony komórkowe. Jeśli rzeczywiście szedł pieszego do najbliższego przystanku kolejowego, to znaczy, że pokonał zimą w nocy około 60 km! Kolejna nielogiczność w akcie oskarżenia: po co K. miałby się wykupywać u kolejarzy skradzionym złotem, skoro, jak wynika z zeznań Ruranowiczowej, zabrano jej dużo gotówki. I to właśnie K. rabował pieniądze.

Również zestawienie mało logicznej wersji zdarzeń D. (następnego dnia zresztą odwołanej) z wyjaśnieniami pozostałych oskarżonych nie daje dowodów na ich udział w napadzie.

Nie bez znaczenia jest i to, że u żadnego z oskarżonych (również w sprawie napadu na Wyszczaków) nie znaleziono żadnej rzeczy pokrzywdzonych, ani też większej gotówki.



Wiele wątpliwości sądu budził sposób typowania sprawców napadu. Zwłaszcza w Węgrowie i pod Terespołem. Z zeznań funkcjonariusza Różycckiego wynikało, że opierał się on na wyjaśnieniach Sz. Relacje tego świadka wskazywały, jak dalece dowolne, bez dokładnego zapoznania się z faktycznie zebranych materiałem, były pochynania policjantów przy tzw. typowaniu. Pomyłki w dokumentach, będących podstawą aktu oskarżenia, były rażące. Dezynwoltura przesłuchujących dotyczyła m.in. takich faktów, jak marka czy kolor użytych do przestępstwa samochodów.

„Okazania” w Komendzie Stołecznej Policji odbywały wbrew regulaminowi. Baliszukowie spotkali się na korytarzu z Wyszczakami i wspólnie obgadali wygląd napastników. Obok siedzieli przykuci do kaloryferów podejrzeni, oczekujący na prowadzenie okazania. Ofiary napadu wcześniej widziały zdjęcia wytypowanych przez policję sprawców w albumie pogładowym.

Zastępowanie przesłuchań „rozpytaniami”, nawarstwilo wątpliwości, których nie wolno rozstrzygać na niekorzyść oskarżonych.

Niedorobką w materiale dowodowym był też niesprawdzony wątek powiązań Jerzego Baliszuka ze światem przestępczym. A skoro nie ustalono możliwości kręgu osób, które miały „sprzedać” Baliszuka, to wskazywanie w sposób dość dowolny na P. nie może zastępować prawidłowo gromadzonych dowodów. Pod znakiem zaprzeczenia jest prawdziwość zeznań Anety Baliszuk. Najpierw wskazała na Mirosława Z., jako swego gwałciciela; na widok tego oprawcy ponoć dostała spazmów. Potem, jeszcze w śledztwie, odwołała swoje rozpoznanie. Przed sądem zeznała: – Może było tak, że na komendzie płakałam, ale nie pamiętam. To dość osobliwe dla kobiety, która w wieku 19 lat miała być brutalnie zgwałcona. Jeśli w ogóle do gwałtu doszło.

Wiele też błędów popełniono w czasie śledztwa dotyczącego napadu na Wyszałków. Nie przesłuchano kobiety mieszkającej za plotem, która przez okno swego mieszkania obserwowała, ktoż to o świcie dobija się do sąsiadów. Na sali rozpraw powiedziała, patrząc na oskarżonych, że widzi ich po raz pierwszy.

Jerzy Wyszałek nie tylko nie potrafił bezpośrednio po zajściu podać rysopisów bandytów, ale wprost stwierdził, że dwóch na pewno nie rozpozna, a co do trzeciego, to się poważnie waha. Tymczasem po kilku miesiącach (i spotkaniach z Baliszuką-imi) oglądając na komendzie zdjęcie Z. nagle poznał go jako tego, który wchodził do jego domu ostatni.

Jest to tym bardziej nieprawdopodobne, że Z. ma widoczną bliznę nad okiem, a żaden z pokrzywdzonych pytany o cechy charakterystyczne napastników o tej szramie nie mówił.

Na pierwszych okazanych tablicach poglądowych było też aktualne zdjęcie Dariusza S., ale obaj Wyszałkowie nie wskazali na podobieństwo do wizerunku przestępców. Dopiero po upływie prawie roku Jerzy Wyszałek rozpoznał Dariusza S. jako swego oprawcę...

Nie można wszakże o te pomyłki winić tylko pokrzywdzonych. Na ich rozpoznaniami zaciążyły warunki, w jakich mieli zdecydować o winie okazywanej im osobom. Trudno nie ulec sugestii nawet przy daleko posuniętej dobrej woli, gdy poszczególne komendy policji przesyłają sobie zdjęcia już podpisane nazwiskami.

Szczególnie było to rażące, gdy szukano sprawców napadu na Ruranołowiczów. Typowali ich policjanci różnych jednostek i w rezultacie wygląd Roberta D. w oczach pokrzywdzonych zmieniał się i odpowiadał trzem różnym rysopisom na trzech różnych portretach pamięciowych. Raz był brunetem z siwizną na skroniach, kiedy indziej rudawym, to znów kruczoczarnym. Zmieniał mu się ował twarzy, kształt zarostu. Z materiału dowodowego nie wynika, że na pewno nosił wąsy i brodę. Jego prawdziwe zdjęcie z 2003 roku, a więc jeszcze przez napadami, tego nie potwierdza.

Uniewinniając oskarżonych (wyrok nie jest prawomocny) sędzia Barbara Piwnik stwierdziła, że akta prokuratorskie, łącznie z ich uzupełnieniem w toku postępo-

wania przed sądem pierwszej instancji, nie dają podstaw do udowodnienia ponad wszelką wątpliwość, że Robert D., Marcin Z., Dariusz S., Robert F. i Marek P. uczestniczyli w napadach. Bezsporne jest, że wszyscy są ze środowisk przestępczych, podobnie jak wielu świadków. Ale odnoszą się do nich takie same reguły prawa, jak do każdego innego obywatela. Może nawet w jakimś zakresie typowanie sprawców było trafne, jednakże dopóki wina nie zostanie udowodniona ponad wszelką wątpliwość, dopóty takiej osobie nie można przypisać popełnienia przestępstwa.

* Nazwiska poszkodowanych zostały zmienione.

Janusz Cz. sam się wkopał przed prokuratorem, bo chciał uniknąć więzienia. W 2000 roku brał udział w skoku na bank PBK w Warszawie przy ul. Jasnej. Sześciu ich było, licząc ochroniarza w tymże banku. Z pomocą tego ostatniego próbowali dowiercić się do skarbca. Ale nie mieli odpowiedniego sprzętu. Ten, którym dysponowali – siłą zabraną pewnemu właścicielowi firmy usługowej – okazał się szmelcem. Na domiar złego pozostali ochroniarze nie chcieli pokonać wlewanego im do gardeł soku z proszkiem nasennym. Trzeba było ich pobić i związać, co zabrało gangsterom trochę czasu; nie wyrobili się z rozbijaniem skarbca. Policja złapała ich na gorącym uczynku.

Janusz Cz. zeznał, że poszedł na robotę przymuszony przez szefa, znanego w łomżyńskiego gangstera ksywa „Klepak”.

Oskarżony o napad kusit prokuratora obietnicą, że jeszcze wiele mu powie o podwarszawskiej mafii, jeśli dostanie status świadka koronnego. Taki, jakim się pysznił słynny „Masa” z „Pruszkowa”. 30-letniemu Januszowi Cz. imponowało to wszystko, co towarzyszyło skruszonemu gangsterowi z konkurencyjnej dla „Wołomina” bandy.

Na przykład: konwojowanie na salę rozpraw przez dziewięćdziesięciu sześciu antyterrorystów. Widowskowie zabezpieczenia miejsca procesu: komandosi z kompanii antyterrorystycznej, kamery we wszystkich pomieszczeniach, przez które przechodził świadek koronny. Boksy dla oskarżonych osłonięte poczwórnymi klejonymi szybami trzycentymetrowej grubości. Adwokaci porozumiewający się z ze swym klientem tylko przez interkom.

Janusz Cz. wiedział, że za otwarcie takiego parasola nad nim będzie musiał coś prokuratorowi opowiedzieć. Nie wystarczy zrzucenie całej winy na „Klepaka”. Od kandydata na świadka koronnego nie oczekuje się powściągliwości.

Wykalkulował sobie, że rzuci prokuratorze na żer byle co – więc wspominał, że poza udziałem w napadzie chciałby się przynależać do tworzenia jednoosobowych firm w celu wyludzenia podatku VAT albo naciągnięcia na pożyczki firm leasingowych. Takich fikcyjnych firm z lewymi fakturami stworzył ponad pięćdziesiąt. Każda pod innym szyldem.

W interesach – ujawnił Janusz Cz. – zazwyczaj posługiwaliśmy się tzw. siupami, ludźmi z ulicy, najbardziej opłacało się przyciemnić bezdomnego z Dworca Centralnego. Taki za 100 zł godził się podpisać każdy dokument. A gdy się go umyło, ubrało, dostał nowe zęby, to jako prezes spółki negocjował w banku kredyt. Tyłko, że wtedy miał nakazane, aby się nie odzywał. Wszystko, co trzeba, referował za niego przedstawiony asystent.

◆ ◆ ◆

Nie spodziewał się, że wzbudzi swą opowieścią aż takie zainteresowanie.

Siedzący zamienił się w słuch, bo wiedział, że na trop podobnych przestępstw raz po raz wpadają prokuratury w innych rejonach kraju. Można więc doszukiwać się głębszych, systemowych przyczyn.

Oto w Bielsku-Białej pewien stolarz, właściciel bankrutującego warsztatu, gdy brakowało pieniędzy, sprzedał swoje nowoczesne maszyny do obróbki drewna miejscowej firmie leasingowej. Dostał 180 000 zł. Ale linia technologiczna nie wyjechała za bramę, bo przedsiębiorca natychmiast wzięła ją w leasing od wspomnianego nabywcy urządzeń. Zgodnie z umową, za używanie już nie swoich maszyn płacił miesięczne raty. Wkrótce jednak przestał i wtedy swoją „złota kurę” – wspomnianą firmę leasingową – sprzedał za 433 000 zł. W innym mieście. Bardziej hojnej, bo za te same maszyny dała ponad 433 000 zł. Wypróbowany manewr właściciel stolarni powtórzył czterokrotnie. Prokuratura podliczyła, że w sumie wyłudził co najmniej 2 100 000 zł.

Inaczej nabrała klientów za pomocą magicznego słowa „leasing” firma Krzysztofa P. z Opoli. Oferowała w leasingu samochody z fabryki w Nysie. Kontrahenci chętni wpłacali kaucję gwarancyjną, która miała być jednocześnie pierwszą ratą i dawała prawo do wyjechania niespłaconym jeszcze samochodem jak własnym za brami zakładu. Gdy jednak po uiszczeniu tego rachunku zgłaszali się po odbiór pojazdu, na miejscu dowiadawali się, że w fabryce nie słyszano o takiej firmie leasingowej i oczywiście nie wpłynęły żadne pieniądze.

Innym razem firma pana P. ogłosiła w prasie atrakcyjny przetarg na samochody ciężarowe. Trzeba było wpłacić kaucję w wysokości 10% wstępnej ceny. Wielu zainteresowanych taką okazją spełniło ten warunek. W rzeczywistości żadnych ciężarówek firma nie miała.

Oszuści albo naciągali interesantów pod fałszywym szyldem rzekomej firmy leasingowej, albo też żerowali na dobrym imieniu firm renomowanych. Taki los spotkał m.in. Europejski Fundusz Leasingowy, Polish Leasing Company SA „Leasco”, Towarzystwo Finansowo-Leasingowe, Lubelskie Towarzystwo Leasingowe SA, Daewoo Leasing.

◆ ◆ ◆

Janusz Cz. opowiedział dokładnie prokuratorowi jak nabierano klientów w firmach „Klepaka”. Z woli znanego gangstera dostał gabinet prezesa. Nim wszedł w orbitę wołomńskiej mafii, był w rodzinnych Markach synem znanego producenta obuwia, głównie eksportowanego na wschód. Jego rodowe nazwisko dużo znaczyło w branży (fabryczka ojca zatrudniała ponad 200 osób). Ale z czasem rynek na terenach byłego Związku Radzieckiego okazał się niestabilny i firma ojca zaczęła podupadać. Mistrz szewskiego kopyta senior Cz. nie miał już dawnej siły przebiccia, zwłaszcza wobec zalewu obuwniczej tandety z Chin. Klęskę przeżywał tak mocno, że przyczyniła się do jego śmierci.

Spadkobierca upadającej fortuny Janusz Cz. usiłował wyprzedzać zalegające w magazynach obuwie. Kręcił się z tym niechodliwym towarem na warszawskim Stadionie 10-lecia, szukał kontaktów. Tak poznał Dariusza A., stalego bywalca największego bazaru Europy. Zwierzył mu się z kłopotu A., który nie wiadomo z czego żył, bo zawsze miał wolny czas i niczym nie zajęte ręce, podsunął Januszowi Cz. pomysł związania spółki pośredniczącej w docieraniu klientów do firm leasingowych. Miał już dla niej nazwę – „Marwol”.

– Diacze go „Marwol”? – zapytał przytomnie Janusz Cz.

– Od imienia Małgorzata (to imię kobiety „Klepek”). Ona jest tam przewidziana jako udziałowiec – padła zdecydowana odpowiedź. Janusz Cz. pojął, w czym dostai się ręce. Ale, jak tłumaczył prokuratorowi – musiał iść na układ, bo nie mógł sobie wyobrazić, jak to jest, gdy człowiek ma tylko drobne w portfelu.

Spółka „Marwol” stała się klientem firm leasingowych. Żeby uzyskać pożyczki, jej prezes przedstawiał biznesplan, z którego wynikało, że jego wprawiona na przykład w robieniu butów firma (specjalizacja zmieniała się w zależności od tego, na jaką haczyk naciągano pożyczkodawcę) odzyska zdolność produkcyjną, jeśli kupi nową linię technologiczną. Są chętni do sprzedania takich maszyn, bardzo dobrych, proszę, tu dokumentacja, potrzeba tylko na początek trochę pieniędzy.

Wszystko to brzmiało wiarygodnie i firmy leasingowe bez oporów zakatwiały pieniądze w bankach, a te płaciły dostawcom linii produkcyjnej. Zazwyczaj dopiero po kilku miesiącach, gdy okazywało się, że wpłynęła tylko pierwsza rata za leasing, poszkodowani pośrednicy poznawali całą prawdę: wszystko, co wiązało się z „Marwolem”, było fałszywe. Zarówno dokumenty dotyczące rzekomej wartości maszyn (w rzeczywistości urządzenia pochodziły z lat 50., a ich tabliczki znamionowe były podrobione), jak i dostawcy tych linii – tak naprawdę firmy-krzaki powiązane z gangsterami „Wolomina”. Produkcja butów, czy czegokolwiek innego, w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Ofiarami przekrętów zostali też ci drobni przedsiębiorcy, którzy zawierzyli prezesowi Cz., że pomoże im dostać kredyt. Tacy jak Ewa G. z Pajeczna, notabene absolwentka uczelni ekonomicznej, kierunek zarządzanie.

– Nasza rodzina firma miała trudności – zeznała potem na procesie – dalśmy więc ogłoszenia do gazet, że szukamy inwestora, który by wspomógł w to przedsiębiorstwo 500 000 zł. Odezwała się firma „Indol”, z adresem na warszawskiej Pradze. Jej prezes zaproponował bardzo korzystną transakcję: wypożyczenie, z możliwością późniejszego kupna, rozlewni oleju wartości 150 000 zł.

W czerwcu 2000 r. pojechałam z bratem Jackiem do Warszawy do biura „Indolu” przy ulicy Zamoiskiego. Trochę mnie zaskoczyło byle jakie urządzenie siedziwy. I to, że prezes jeździ polonезem. Ale pomyślałam – może i dobrze, że stronią od blachtru. Najważniejsze, że uratują naszą firmę.

Zgodziłam się na przedstawione warunki. Stało na tym, że jeżeli zbierzemy 10 000 zł, następnego dnia po ich wpłaceniu na konto „Indolu” zostanie urucho-

miony system leasingowy. Myślałam się wywiązałam z umowy. Firma nie i, co gorsza, zniknęła. W prokuraturze dowiedziałam się, że ubliżyłam interes z tzw. słupami.

◆ ◆ ◆

Nim jednak doszło do procesu o oszustwa leasingowe, pewna zbieraczka grzybów w podwarszawskiej Wólce Radzymińskiej natknęła się na dwa świeżo zasypane, podejrzanie wyglądające doły...

W jednym z nich, grzebiąc kijem, natrafiła na coś, co przypominało ludzką postać. Zawiadoniła policję.

To były groby dwójga młodych ludzi – kobiety i mężczyzny. – Zamordowani kilka dni wcześniej strzałem między oczy – stwierdził lekarz po wykonaniu sekcji zwłok. Kobieta miała jasne, długie włosy, a pod pępkiem dziwny tatuaż w formie stylizowanego krzyża z kluczem.

Mordercy starannie usunęli wszelkie ślady umożliwiającej identyfikację – ofiary były nagie, bez jakichkolwiek dokumentów, na trawie nie pozostawiono nawet pęta. Policja bezskutecznie szukała zabójców, nie mając jeszcze żadnego tropu.

Tymczasem oskarżony o napad na bank i wieloletnie oszustwa leasingowe Janusz Cz. nadal siedział w prokuraturze wyjaśnienia. Twierdził, że za wszystkich przekrętami stał boss wolomińskiej mafi Jacek Klepek, który zarobił na tym 12 mln zł.

Jako świadek koronny – został nim w grudniu 2001 roku – Cz. był bardzo usłużny; zarzucał prokuratorów informacjami. Niektóre brzmiały wręcz groteskowo, gdy opowiadał, jak działały oszukańcze firmy, którym prezesował. Na przykład w biurze „Indolu” na warszawskiej Pradze siedział tylko jeden pracownik – „słup”, który przedstawiał się różnymi nazwiskami, gdy zadzwonił telefon, „w zależności od sytuacji”. Cz. podawał dane z kradzionych dowodów osobistych, którymi się posługiwali. Była to długa lista; w końcu się pogubił, nie pamiętał, kto jak się podpisywał na bankowych dokumentach.

Lewych dowodów, które (Cz. nazywał je „biatkami”, używając żargonu złodziejskiego) mieli na pęczki, bo znosił je do biura niejaki P. kszywa „Karp”. P. kręcił się po parkingu przed Dworcem Centralnym i oferował kierowcom poplinowanie karoserii ich samochodów przed zarysowaniem. Właściciele pojazdów od razu wyciągali 2 zł, byleby tylko odszedli.

P. dostał od „Klepeka” pieniądze, adresy zaufanego dentysty i gabinetu kosmetycznego, gdzie kryminalistom likwidowano tatuaże. Miał trzy tygodnie na doprowadzenie siebie do porządku. Potem przyjechał do Bozowskiego, jednego z założycieli kolejnej oszukańczej firmy, i ten uczył go podstawowych terminów ekonomicznych, przydatnych w rozmowie z bankami. Na koniec urządzili poplinowę. Kolo północy Bozowski zadzwonił do Janusza Cz. z meldunkiem, że już wyszkolili recydywistę „Karpia” na prezesa firmy „Prestal”, ale wyszedł pewien problem – on ma jeszcze za uchem znak cwela, którego nie chce usunąć.

To do banku będzie wchodził w kapeluszu – miał odpowiedzieć Janusz Cz.

Cz. wyznał prokuratorowi: – Wchodziłem praktycznie we wszystko. Miałem wszędzie kontakty – od dygnitarzy do lekarzy załatwiających wariacje papiery „Klepak” mi ufał. Legalizowanie kradzionych samochodów ułatwiały znajomości u dealerów. Przynosiłem im przygotowane kopie fałszywych dokumentów na różne marki. Jeśli urząd rejestracyjny zaczynał coś węszyć, chciał potwierdzić autentyczność papierów, podłączałem się pod budkę telefoniczną – że niby z prywatnego mieszkania właściciela. Albo wynajmowałem na kilka dni jakąś dziuplę, byle ze stacjonarnym telefonem.

Dzięki informacjom od świadka koronnego, policja wsadziła do aresztu kolejne „slupy”. W pewnej chwili prokurator uznał, że można już się dobrać do szefa mafii w Wołominie „Klepaka”. Wydał nakaz rewizji. Janusz Cz. – świadek koronny został przez śledczych wtajemniczony w termin operacji, mógł się bowiem okazać pomocny. I – natychmiast ostrzegł tajnymi kanałami „Klepaka”, co umożliwiło gangsterowi ucieczkę.

Dlaczego Cz. zламаł umowę z prokuratorem? Wyjaśnił to na procesie jeden z oskarżonych „slupów”: – „Wołomin” obiecał za przysługę milion dolarów.

Nie ma dowodów, że Janusz Cz. dostał pieniądze. Jedno jest pewne – od tej chwili bardzo się bał konkurencyjnej mafii z Pruszkowa. W odróżnieniu od policji oni wiedzieli, kto uchronił „Klepaka” przed aresztem. Świadek koronny był tak wystraszony, że niezorientowana w czym rzecz prokuratura załatwiła mu – jako cierpiącemu na depresję – szpitalne łóżko. I właśnie z telewizora na szpitalnym korytarzu dowiedział się, że poszukiwany listem gończym „Klepak” został zastrzelony w przydrożnym barze w Mikołajkach.

Osiem miesięcy później wydało się, kto ostrzegł bossa z Wołomina przed aresztowaniem. Janusz Cz. stracił status świadka koronnego. Wtedy zrobił kolejny szalony krok, niewątpliwie wywołany strachem, że zginie tak marnie, jak jego mocodawca. Nagrał na wideo, że „odszczekuje” wszystko, co zeznał przed sądem, gdy wystąpił jako świadek koronny w sprawie o napad na bank. Powiedział do kamery, że osoby, które obciążył w swoich zeznaniach, tak naprawdę są mu osobście nieznanymi. Nigdy nie widział Jacka Klepackiego ps. „Klepak”, ani „Goebbelsa” i innych, których ksywy rozszyfrowywał w śledztwie. Zeznania przeciwko „Klepakowi” i jego „żołnierzy” zostały siłą wymuszone przez policjantów. Cz. podał ich nazwiska, funkcje.

Były świadek koronny trafił za kratki. Został głównym oskarżonym w procesie ośmiu osób, którym prokurator zarzucił wyłudzenie w ciągu niespełna roku 3 900 000 zł oraz usiłowanie wyłudzenia 6,4 mln zł. Wśród pokrzywdzonych były firmy leasingowe oraz Prosper Bank (dziś Kredyt Bank). 32-letni Janusz Cz. odpowiadał też za próbę wyłudzenia 8 mln kredytu inwestycyjnego ze Wschodniego Banku Cukrownictwa.



Równoległe toczyło się śledztwo w sprawie morderstwa w Wólce Radzymińskiej. Prokuratura już wiedziała więcej dzięki matce zabitej dziewczyny, która na własną rękę zaczęła szukać córki i jej narzeczonego.

Ofiary to: 24-letnia Ilona P., niegdyś zatrudniona w agencji towarzyskiej i Krzysztof S., właściciel oszukańczej firmy leasingowej z Krakowa. Przed trzema laty Janusz Cz. wspominał śledczemu o tym mężczyźnie, jako szkolącym na prezesa wódcę „Karpia”. Tylko że wtedy w relacji świadka koronnego edukator nazywał się Bozowski. Teraz prokuratura miała nowy trop.

Od matki Ilony P. wiadomo było, że jej córka musiała się wyprowadzić ze swoim chłopakiem z Krakowa, bo Krzysztof narobił tam długów. Jakich, dlaczego – te jeszcze pozostały do odpowiedzi.

Więcej na ten temat miał do powiedzenia oskarżony Janusz Cz.:

– Krzysztof S. – twierdził – chciał stworzyć firmę leasingową, pod której szyldem mógłby oszukiwać początkujących biznesmenów. Ale potrzebował dofinansowania. Pieniądże dał mu „Klepak”. Potem Jacek przydzielił kogoś Krzyszłowi do pomocy w rozkręceniu interesu, a równocześnie pilnowania, czy nie kombinuje bez wiedzy „Wołomina”. Temat urwał się, gdy S. poszedł siedzieć za rozrobę w agencji towarzyskiej. Gdy wyszedł z mamra, zaczął kombinować na swój rachunek, a „Klepakowi” nie zamierzał oddawać pieniędzy. To się w „Wołominie” nie spodobało. A w takich sprawach nigdy nie ma przebaczenia. Sam się kiedyś o tym przekonał.

I Cz. uraczył śledczych taką historią:

W przeddzień zaginięcia Ilona zadzwoniła do niego, że musi natychmiast pożyczyć 200 zł, a Krzysztof, który trzyma kasę, jak wyszedł rano, tak jeszcze nie wrócił. I nie ma z nim telefonicznego kontaktu.

– Z dobrego serca – tłumaczył Cz. – wiozłem Ilonie pieniądze. Po drodze musiałem zatankować i wtedy, na stacji benzynowej napadli na mnie ludzie szefa „Wołomina”. Pewnie by mnie zatłukli na śmierć, gdyby nie list, który zawsze nosilem przy sobie. To była korespondencja adresowana do Jacka Klepackiego, w której opisałem wszystkie jego przekręty. Z oznaczeniem, że co tydzień, w środę, zgłaszam się do kogoś, kto ma kopię papieru. Jeśli mnie nie będzie, ten człowiek natychmiast udaje się do prokuratora, MSW i CBS.

Cz. dodawał swojej opowieści dramatyzm: już miał głowę w foliowej torbie, przy skroni pistolet, gdy jeden z bandziorów zadzwonił do „Klepaka” i przeczytał mu list, zapewniając, że „ten skurwysyn naprawdę to ma”. Gangster odpuścił.

Cz. usilnie przekonywał śledczych, że za śmiercią Ilony P. i Krzysztofa S. stał Klepacki, który „chciał go zrobić w paragraf 148” (zarzut morderstwa). Dlatego do momentu, gdy został świadkiem koronnym, ukrywał się przed „Wołominem”. Kazał też sobie zmienić kształt uszu i brwi. Ale „Klepak” i tak go znalazł.

Prokurator słuchał wyjaśnień sceptycznie – Klepacki nie mógł niczemu zaprzeczyć, bo nie żył.

Niespodziewany zwrot w śledztwie przyniosło zeznanie Wioletty C., konkubiny „Karpia”. To młoda kobieta, matka czterolatniego syna chorego na padaczkę, odkąd tyłko dorosła, stała była poniewierana.

Ojciec po stracie roboty w upadłym PGR-ze pił, awanturował się, a w końcu odszedł. Matka wkrótce potem zmarła na raka. Wioletta bez wykształcenia, pracy, za namową koleżanki znalazła się w agencji towarzyszącej. Jak zeznała potem w śledztwie, nienawdziła tej roboty – uciekała do Warszawy. Wałęsa się po dworcach i tam zobaczył ją „Karp”. Zabrał do rudery, gdzie pomieszkował. Była przez niego traktowana jak rzecz, który z kumpi miał ochotę na młode ciało, przywiązywał ją do łózka i wykorzystywał.

Wioletta znalazła się razem ze swym konkubentem na miejscu zbrodni (została tam zawieszona pod przyłusem). Słyszała strzały i była przekonana, że zabił Janusz Cz. Gdy usłyszała o sobie, co się stało, uciekała do Słupska. „Karp” groził, że jeżeli pisnie bodaj słowo na temat tego, co widziała, coś złego stanie się jej synkowi. Zeznania Wioletty C. ułożyły się w logiczną całość. – „Nie wykazuje skłonności do konfabulacji” – ocenił biegły psycholog.

Wkrótce potem i „Karp” przetrwał znowu milczenia „słupów”:

– Nie widziałem, kto strzelał do dziewczyny, ale wyprawadzał ją szef, czyli Cz. Ona strasznie krzyczała. Po chwili przyszedł do nas i powiedział, że już po wszystkim i żeby teraz trzymać mordy krótko.

Podjeźdźcy już bez oporów pokazał na tablicy pogładowej inne osoby, które były w miejscu zbrodni. Tłumaczył: – „Ja tych mężczyzn rozpoznałem już wcześniej, ale nie chciałem o nich mówić, bo chciałem zobaczyć, co będzie ze mną. Szef mi powiedział, że gdy będę się wycofywał, to mnie odstrzelił”.

Wkrótce trafili do aresztu wszyscy robiący za „słupy” Janusza Cz. Zgodnie twierdzili, że tam, w lesie, szef każdemu dał coś do roboty, pod groźbą „skrócenia o głowę”. Jeden niósł szpadle, drugi worek z niegaszonym wapnem, trzeci reklamówkę z sułenką, zdarta z łyły. Ale ofiar nie dotykali, krwii na rękach nie mieli.

Ktoś przypominał sobie, że dzień przed zbrodnią słyszał w biurze ich lewej firmy ostrą kłótnię między Januszem Cz. a Krzysztofem S. Poszło o 300 000 złotych. – „Janusz w obecności Krzysztofa zadzwonił do recydywisty o ksywie „Wojtek”, aby szykował broń”.

Jeden z podejrzanych gorączkowo szukał dla siebie alibi. Napisał z aresztu do swej narzeczonej: „Najdroższa Jolu, przedstawiono mi zarzut, że zabitem dziewczynę i jej chłopca. Nie zabielem. Kurwa, Polska to piękny kraj, ale bez przesady, abym ja był zatrzymany w takiej sprawie. Przecież wtedy byłem u ciebie. Pamiętajasz?”.

Ostatecznie i Janusz Cz. się załamał. Poinformował pisemnie śledczego, że gdy będzie miał zagwarantowane nadzwyczajne złagodzenie kary, odmieście się do wszystkich postawionych zarzutów.

Tym razem prokuratura nie wyszła mu naprzeciw.

Zbliżał się termin rozprawy głównej w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga. Oskarżony o zabójstwo Cz. usiłował wpłynąć na świadków, aby odwołali swe zeznania. Ale oni już widzieli swojego szefa na pozycji przegranego, zdawali sobie sprawę, że grozi mu dożywocie. Nie musieli się obawiać zemsty, zwłaszcza, że nie żył „Klepek”.

Jeden z nich, Robert G., poinformował sąd, że tuż przed poprzednią rozprawą pojechał do niego Ewa, siostra Janusza Cz. i powiedziała, że ma wszystko odwołać, co zeznał w śledztwie, w przeciwnym razie jego brat Wojtek nigdy nie wróci do domu. „A lasy wokół Warszawy są rozległe”.

Obawiając się o brata powiedział na rozprawie, że źle się czuje, sędzia odroczył rozprawę. Pojechali z Ewą do kawiarni „Paragraf”, gdzie zadzwoniła po mecenasa, który broni Janusza Cz.

– Ten adwokat – twierdził Robert G. – dał mi kartkę z pytaniami, jakie zada w sądzie i gotowymi odpowiedziami. Miałem się nauczyć na pamięć. Zeznania, które złożyłem wcześniej w prokuraturze mam odwołać tłumacząc, że byłem zastraszony. Ostrzegł mnie, że w przeciwnym razie będę oskarżony o zabójstwo.

Robert G. mówił, że w kawiarni jeszcze nie zdecydował, jak postąpi na rozprawie. Ale gdy tylko wrócił do domu i stanął za ladą w swoim sklepie, przyszedł Zbyszek W. (jeden ze „słupów”) i bez pytania wziął z kasy 20 000 zł.

– Zagroził mi, że w sądzie mam się trzymać instrukcji adwokata Janusza Cz. Powiedział: – Ty frajerze, kto cię schowa, jak go zakałujesz?

Na to zeznanie Cz., ubrany w czerwony drellich niebezpiecznego przestępcy zareagował oburzeniem. – Jestem człowiekiem uczciwym, który pracował ciężko na kawałek chleba. Nie mordowałem ludzi – powiedział, jego adwokat nawet nie usiłował się tłumaczyć z oczywistego dla niego pomówienia.

Zeznała też Wioletta, wywołując na początku spore zamieszanie – weszła na salę, zobaczyła oskarżonego i zemdlala. Sąd musiał zarządzić przerwę. Gdy kobieta doszła do siebie tłumaczyła, że tuż przed rozprawą, na korytarzu, podszedł do niej nieznanymi mężczyzna i szepnął, aby odwołała wszystko, bo inaczej „skróci ją o głowę”.

Ona jednak potwierdziła, co zapisano w policyjnym protokole.

W czerwcu 2006 roku zapadł wyrok skazujący Janusza Cz. na dożywocie za zamordowanie 11-letniej dziewczyny. Z braku oczywistych dowodów oskarżony został uniewinniony od zabicia narzeczonego dziewczyny.

Obie strony procesowe wniosły apelację. Sąd wyższej instancji podtrzymał wyrok w sprawie o zabójstwo 11-letniej dziewczyny i nakazał ponowne przeprowadzenie procesu w sprawie zamordowania Krzysztofa S.

Sąd apelacyjny podniósł: „Nie ma bezpośrednich dowodów wskazujących na sprawstwo Janusza Cz. w przypadku zabitego mężczyzny. Ale istnieją poszlaki, czyli dowody pośrednie. I tym tropem powinien się toczyć ponowny proces”.

W osiem lat po zaboju w Wólce Radzyminskiej do prawomocnego wyroku jeszcze daleko.

* Nazwiska uczestników procesu zmienione.

ZAMULONA DRUGIE DNO

Michał J. chciał być dziennikarzem. Cel wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Skończył politologię, z rodzinnego Wołomina do Warszawy, gdzie wszelkiego rodzaju redakcji w bród, niecała godzina jazdy kolejką.

A jednak nigdzie nie czekano na niego z etatem. Może by się zaczął, gdyby miał skromniejsze wymagania, zgodził się na terminowanie w dziale miejskim albo konfliktu z czytelnikami, i z tego poziomu powoli piął się w górę... Ale jego rozsądzała ambicja, chciał od razu zostać reporterem śledczym. Miał swego mistrza w tym fachu – redaktora P. ze stołecznego dziennika, który dotarł do mafii pruszkowskiej, zrobił wywiad ze słynnym gangsterem (pseudonim „Masa”), a później świadkiem koronnym.

Michał był szczęśliwy, gdy któregoś dnia jego kolega z podwórka pracujący w „Super Expressie” powiedział mu, że zna P. i mogą w trójkę wypić piwo.

Po tym spotkaniu politolog wrócił do domu z teczką artykułów pana P. wyciętych z gazety. Czytał je wielokrotnie, aż prawie nauczył się ich na pamięć.

Mistrz okazał się nie tylko przystępny, ale od razu miał dla Michała zadanie. Chciał, aby mu pomógł w przygotowywaniu listy tysięcy gangsterów z okolic Warszawy, która miała zawisnąć na specjalnie do tego celu zainstalowanej stronie internetowej. Nie mógł lepiej trafić. Dwudziestostudmioletni J. interesował się międzynarodowym i lokalnym światem przestępczym. Na własnej stronie internetowej publikował „listy gończe” za członkami mafii. Przygotowywał się do pisania pracy naukowej na temat korupcji w polityce.

– Wołomińska mafia to był jego konik – twierdzą zgodnie bliscy Michała. Czy miał na to wpływ zawód jego ojca – policjanta, atmosfera w domu, że na zło trzeba śmiało reagować? A może był to skutek zapatrzenia się na red. P.? Jak się okaże w czasie procesu, ten dziennikarz najbardziej cenil w kontakcie ze swoim uczniem adres politologa – mieszkał bowiem w gnieździe słynnej mafii.



Pierwszego września 2006 roku wieczorem ciotka Michała, która zajmowała pokój w tym samym budynku co siostrzeniec z narzeczoną Karoliną, wyjrzała po wieczornych wiadomościach na podwórko, zaintrygowana trzaśnięciem furtki. Zobaczyła samochód stojący tuż za płotem. Siedziało tam dwóch chłopaków. Po chwili z mieszkania szybko wyszedł Michał i z nikim się nie witając, wsiadł do auta.

Kobieta spojrzała na okna sąsiedniego mieszkania. Nie paliły się światła. Znaczyło to, że Karolina jeszcze nie wróciła z pracy. Może Michał pojechał po farby do marketu? – pomyślała. W nadchodzący weekend zamierzał malować mieszkanie. Termin ślubu z Karoliną był już wyznaczony.

Następnego dnia rano dziewczyna Michała zdenerwowana, że jej chłopak nie wrócił na noc, poderwała się na dźwięk telefonu. Usłyszała obcy męski głos. Ktoś, kto się nie przedstawił, chciał wiedzieć, czy rozmawia z Karoliną. Potwierdziła i wtedy usłyszała: – Mamy Michała. To jest porwanie. Jak myślisz, ile jest warte jego życie?

Nie zdążyła wykrztusić słowa, gdy rozmówca ją ostrzegł: powiadomisz policję, upierdolił mi ten. A teraz daję słuchawkę twojemu kochanowi.

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze — usłyszała rozdręganym głosem narzeczonego. — Zbierz pieniądze na okup. Idź do Pawła, on póczyzy. Chodzi o 5000 złotych.

Potem w tle ktoś krzyknął: — Koniec z tymi rozmowami i cisza.

Tego dnia były jeszcze nękające ją anonimowe SMS-y. Ostatni: „Ile masz pie-niązków kotku?”. I zaraz potem odezwała się jej komórka. Mężczyzna, którego głos już poznawała, mówił rozwekłe. Tak, jakby był zamroczony, że żądają już nie 5000, ale 15 000 złotych.

Karolina nie wiedziała, o jakiego Pawła chodzi. Znała właścicielkę hurtowni w Wołominie, która miała chłopaka o takim imieniu. Ten Paweł miał brata zamieszkanego w mafijnej przestępczości, słyszała, że został świadkiem koronnym.

Pobiegła do hurtowni, opowiedziała, co się stało. Z ostatniej rozmowy z Michałem wywnioskowała, że Paweł będzie wiedział, co zrobić. Ale ta para w niczym jej nie pomogła.

Mniej więcej w tym samym czasie na numer komórki Michała dobijał się jego przyjaciel Artur. Za którymś razem telefon odebrał mężczyzna, mówiąc: „Spadaj go-sciu. Michał leży śpiący”.

Wieczorem do ojca Michała zadzwonił porwany syn. Zdążył tylko tyle powie-dzieć, że ma na strychu ich domu schowane 7000 złotych, niech pójdą na okup. Po-tem ktoś wyrwał mu aparat i krzyknął: — Zbieraj gościu szybko pieniądze, bo będzie gienza. Jeszcze się odezwijemy.

Nie odezwali się. Michał również zamilkł. Jego rodzice jeszcze nie wiedzieli, że na zawse.

Dziesięć dni później pewien emeryt spacerował w pobliżu mułstwej glinianki w podradzyniejskiej wsi Ciemne i zobaczył unoszący się przy brzegu czarny worek foliowy, porozrywany drutami z siatki ogrodowej, która owijała obły kształt. Przy-rztał się bliżej — były to zwłoki mężczyzny. Jego ręce i nogi krępował drut kolczasty.

Ustalono tożsamość zmarłego — Michał J. Sekcja zwłok wykazała, że był brutalnie zmasakrowany, ale żył, gdy go wrzucano do wody. O tragicznej śmierci polito-łoga napisano w miejscowym tygodniku „Wiadomości Podwarszawskie”. Na inter-netowej stronie gazety sygnęły się wpisy czytelników. Między innymi:

— Michał był wspaniałym kolegą. Nie mogę uwierzyć, że ktoś odebrał mu życie i to w tak bestialski sposób... Chodziłszy razem do podstawówki, byliśmy w har-cerstwie. Zawsze będę pamiętał jego żarliwy śmiech i poczucie humoru (Monika), — Z naszego Michała było dobre, inteligentne i bardzo wrażliwe na ludzką krzyw-dę dziecko. Mam nadzieję, że ci, którzy go zabili, zgniją w więzieniu opuszczeni przez Boga i ludzi (ciocia Wanda).



Wychowawca z zakładu poprawczego zgłosił policji w podwarszawskich Markach, że mimo rozpoczęcia roku szkolnego do placówki nie wrócił Łukasz W. z tej miej-scowości: trzeba się zorientować, dlaczego. Funkcjonariusze pojechali pod wskaza-ny adres. Łukasza nie zastali, jego matka wiedziała tylko tyle, że jest na mieście. Po-nieważ chłopak wszedł w konflikt z prawem, m.in. z powodu narkotyków, przesłuchano jego pokój. Znalaziono ukryty telefon komórkowy, jak się potem oka-zało, własność Michała J.

Analiza połączeń telefonicznych z tego aparatu 2 i 3 września wskazywała na zwią-zek z porwanym Michałem trzech młodych mężczyzn: Łukasza W. i Damiana S. z Marek oraz Mariusza W. z Wołomina. Po przesłuchaniu wszyscy zostali aresztowani. Mariusz W. wypiętał się wszystkim. Owszem, był w Markach, bo zgubił doku-menty od swego samochodu, ale nie zna ani S., ani W.

Łukasz W. też się wypiętał tej znajomości, ale rozpoznał Mariusza na zdjęciach porównawczych, które mu przedstawiono na policji. W czasie kolejnego przesłu-chania przyznał się do uprowadzenia politologa. Ale twierdził, że nie wie, kto zle-cił tę „robotę”. Był wówczas „trochę naćpany”, w samochodzie, którym wieźli po-trwanego, całą drogę spał. W każdym razie pomagali mu Mariusz W. i Damian S. Michała J. zamknął w pewnym mieszkaniu, chyba zażądał od jego dziewczyny 10 000 zł okupu.

Najwięcej śledczy dowiedzieli się od najmłodszego z trójki podejrzanym, Da-miana.

Jego pierwsza wersja zeznań w śledztwie brzmiała tak: jest sobota 2 września 2006 roku, koło południa. Dopiero co wstał, zjadł śniadanie, zastanawiał się, co robić, bo nuda. W Markach nic się nie dzieje. Ucieszył się, gdy zobaczył przez okno parku-jący samochód marki Ford. To przyjechał nim kolega Łukasz W. Ale nie sam — z kum-plem Mariuszem. Mieli do Damiana pilną sprawę. Łukasza aż nosiło z podniecenia.

— Ktoś wystawił trupa, jest nagrana robota, tylko trzeba gościa uwalić — powie-dział Mariusz i zaraz dodał, że będą z tego pieniądze.

Nie wyjaśnili mu konkretnie, co to za robota. Ale zastanawiali się na głos, jak to zrobić. Mariusz uważał, że trzeba tego kogoś związać, schować do samochodu, po-czym wywieźć.

— Ja myślałem, że oni żartują — twierdził Damian S. na policji. — Ale nie było cza-su na gadanie, bo zaraz odjechali.

Wieczorem Łukasz zjawiał się ponownie. Był zdenerwowany. — Widziałem — ze-znał Damian S. — że palec prawej ręki miał roharatany. Powiedział mi w tajemni-cy, że porwali typa, a ten go ugryzł. Z bólu i wściekłości Łukasz rozbił mu butelkę na głowie.

Starszy o kilka lat i pokazniejszej postury Łukasz zawsze dominował nad Da-mianem. I tym razem wydał mu rozkaz: — Weź dwie kanapki, nalej wody do butel-ki, bo pójdziemy w jedno miejsce.

Nie podał adresu. Damian był zaskoczony – tak twierdził w śledztwie – gdy okazało się, że to kilkanaście metrów od jego domu. Stała tam rozpadająca się chałupa, w której żył samotnie pewien znany w okolicy pijaczyna Tadeusz Z. Nigdy nie zamykał swojej nory, bo nie było co ukraść, a w razie niepogody znajdowali tam schronienie miejscowi menele. Tym razem nie było go w domu.

Weszli do zagraconego pokoju, Łukasz W. otworzył tapczan i wyciągnął stamtąd młodego mężczyznę. Mocno pobitego. Miał opuchniętą twarz, ręce pocięte nożem, na oczach samoprzylepną taśmę. W. owinął szyję porwanego przewodem od ładowarki do telefonu, a koniec przywiązał do klamki u okna. Każde poruszenie się ofiary powodowało, że pęta się zaciskała.

Mężczyzna był bardzo wystraszony, pytał, kiedy go wypuszczą. Łukasza to rozwścieczyło, zaczął bić go kulą ortopedyczną, która stała w kącie izby i szczypac sekretorem po całym ciełe. W pewnej chwili wziął od Damiana telefon komórkowy i zaczął porwanemu wybrać numer do jego dziewczyny: miał jej powiedzieć, aby zorganizowała pieniądze na okup. Tyle pierwsze zeznanie 19-letniego Damiana S.

Policja zebrała linie papilarne w melinie Tadeusza Z. W laboratorium stwierdzono ślady obecności w tym budynku Łukasza W. i prawdopodobnie Damiana S. W plamkach krwi na tapczanie i podłodze odkryto DNA uwięzionego Michała J.

Wszystkim trzem przesłuchiwanym prokurator postawił zarzut porwania Michała J. dla okupu. Mariusz W. i Łukasz W. zostali ponadto oskarżeni o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem, którego dokonali wspólnie z nieustalonym mężczyzną.



Na stronie internetowej „Więści Podwarszawskich” o swym bólu pisze ojciec zamordowanego:

– „Minął tydzień od pogrzebu Michała. Czekałem z jego Mamą 40 dni na wydanie ciała Syna. I na wynik badań porównawczych DNA. Co tydzień dowiadywałem się, że jeszcze nie teraz, później. Ta huśtawka niepewności doprowadzała do szaleństwa. Z jednej strony bardzo bałem się, a z drugiej, chciałem mieć to już za sobą. Teraz nie ma wątpliwości... Chodzę na cmentarz prawie co dzień. Stojąc przed piramidą kwiatów, dokonuję rachunku sumienia. Zamordowano wspaniałego chłopaka, czulego syna (jego Mama walczy z rakiem, a On pomagał jej i był na każde wezwanie) i wraz z Nim zabito naszą przyszłość. Kiedy wybiegam myślami w przyszłość, to tam nie ma nic. Oboje z żoną jesteście jak drzewa, co nie dają owocu. Ból jest tym większy, że już kiedyś pochowaliśmy Córkę Katarzynę.

Zawsze byłem przeciwnikiem kary śmierci. Dziś nie zmienilem poglądów. Jestem jednak za karą bezwzględnej dożywocia, bez możliwości wyjścia na wolność do momentu zgonu. Takich „ludzi” trzeba izolować od społeczeństwa na zawsze. W celach bez okna, w tzw. pojedynce. Niechby nie wiedzieli, czy to noc, czy dzień i ile lat

siedzą. Nie jestem fanatycznie religijny, ale uważam, że nikt nie ma prawa odbierać komukolwiek życia. Oni wzięli na swoje dusze grzech zabójstwa”.

Są też inne wpisy pod tekstem redakcji o zarzutach prokuratorów postawionych porywaczom.

„Najwyższy czas wrócić do kary śmierci, gdyż w więzieniu za nasze pieniądze ci zbrodniarze będą mieć lepiej niż niejedna ofiara ich przestępstwa. Poza tym uważam, że za mord ze szczególnym okrucieństwem należy stosować publiczne tortury”. (Jan)

„Zero przebaczenia. Niech zginą w taki sam sposób jak on”. (Jarzab)

„Dla takich zbrodniarzy i kara śmierci to zbyt mało, to nie ludzie, bez sumień”. (Aleksandra)

„Żadna kara nie jest w stanie dorównać temu, co przeżyła ofiara zbrodni. Ja również jestem za publicznymi torturami. Oko za oko, ząb za ząb”. (Gusia)

„To, co się stało, jest przerażające, jak sobie pomyślę, ile Michał cierpiał, zanim zginął... Od tego wydarzenia jestem za karą śmierci albo publicznym linczem. Myślę, że nikt nie chce żyć obok takich zbrodniaków. Rodzinnie i bliskim Michała składam najszersze kondolencje. Życzę także najwyższej kary dla sprawców”. (Kasia)

„Michał chodził do szkoły średniej rok niżej ode mnie. Pamiętam go jako uśmiechniętego, pełnego energii. Co do oprawców i kary śmierci, to za piękne by było tak po prostu odebrać im życie. Nie bądzmy tacy jak oni. Nie mordujemy ich. Wystarczy pozrywać paznokcie i pozostawić na tydzień bez jedzenia, w caeli metr na metr, bez światła, bez okna, bez niczego, w pustce ciszy. Później dać coś do zjedzenia i porucinać palce, znowu przerwa. Później, nogi, ręce uciąć. Wypalić oczy i taką roślinkę pozostawić przy życiu. Wegetacja jest lepszą karą niż kara śmierci”. (Sławek)



Kim są sprawcy?

Damian S. – uczeń pierwszej klasy szkoły zawodowej w Markach. Jako nieletni miał już sprawy o demoralizację i paserstwo. Przydzielono mu kuratora. Ojciec jest alkoholikiem. Matka bezrobotna (z zawodu tkaczka) dostaje zasiłek 450 zł; żeby dorobić, wyjeżdża w sezonie zbioru pomidorów do Włoch. Damian ma młodszego brata Kamila.

Mariusz W. – ukończona szkoła zawodowa, w domu dobra sytuacja materialna. Siedział już w więzieniu, karany za rozbój i narkotyki. Po zawarciu małżeństwa ze studentką resocjalizacji przestał – jak twierdzi – ćpać. Ma roczne dziecko.

Łukasz W. – 6 klas szkoły podstawowej. Zaczął pić alkohol w wieku 11 lat. Kilkakrotnie zatrzymany w izbie wytrzeźwień. Leczony w ośrodku odwykowym z powodu przedawkowania narkotyków. Rodzice się rozwiedli. Ojciec nadużywał alkoholu, miał ograniczone prawa rodzicielskie. Matka podobnie, ale z czasem odzyskała prawa do syna.

Lukasz od dziewiątego do siedemnastego roku życia był w domu dziecka, a następnie w zakładzie poprawczym. Gdy uzyskał pełnoletność, trafił do „poprawczaka” o wzmocnionym rygorze. Latem 2006 roku uciekł stamtąd na przedłużone wakacje. Nigdy nie pracował zarobkowo.

Oskarżeni przeszli szczegółowe badanie psychiatryczne w ośrodkach klinicznych. Damian S. nawet kilkakrotnie, bo jego obrońca przyznaje się do winy i obciążenie kolegów tłumaczył upośledzeniem umysłowym 19-latką. – Zachodzą poważne wątpliwości, co do tego, czy oskarżony miał zdolność do samodzielnego formułowania twierdzeń zawartych w protokołach z przesłuchania w postępowaniu przygotowawczym – twierdził.

Ale specjalistyczne badania wykluczyły chorobę psychiczną, jakkolwiek poziom inteligencji oskarżonego został obniżony na pograniczu lekkiego upośledzenia umysłowego. Nie daje to jednak podstaw do kwestionowania jego poczuciałości. Zdaniem biegłego psychiatry trudności Damiana S. w wyrażaniu się wiążą się z jego postawą obronną.

Również psycholog w pełni podtrzymał swą wcześniejszą opinię. Nie ma żadnych danych ani przesłanek co do tego, aby badany nie był zdolny do samodzielnego formułowania myśli w czasie przesłuchania.

Osobowość Mariusza W. została zdiagnozowana jako zaburzona, uzależniona od środków odurzających – przez dłuższy czas brał on heroinę i amfetaminę. Cechuje go lekceważenie norm społecznych, zubożenie uczuciowości wyższej, podwyższony poziom agresji. Ale w czasie porwania Michała J. zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Na życzenie prokuratora biegły wyjaśnił sens terminu „zubożenie uczuciowości wyższej”: To się wyraża w relacjach z innymi osobami. Egocentryzmem, instrumentalnym traktowaniem osób, ograniczoną możliwością wczuwania się w ich przeżycia. Skłonnością do impulsywnego rozwiązywania sytuacji konfliktowych.

Nieprawidłową osobowość stwierdzono też u Łukasza W. Również ten oskarżony nie cierpi na chorobę psychiczną, nie zauważono u niego zmian organicznych w mózgu (wykonano tomografię), choć nadużywał narkotyków. Poziom inteligencji przeciętnej, stała tendencja do posługiwania się agresją – w ten sposób rozwiązuje konflikty i tak zaspokaja swoje potrzeby. Agresja nie pojawia się w sytuacjach wyjątkowych. To są utrwalone sposoby zachowania. W literaturze fachowej o takim zachowaniu mówi się jako o przemieszczaniu agresji (może ją skierować na kogoś niewinnego). Takie zachowanie akceptowane jest w środowisku z ograniczonymi prawami.



Tuż po Wielkanocy 2008 roku ojciec Michała J. zawiadomił na portalu wychodzącego w Wołominie tygodnika, że za kilka dni w Sądzie Rejonowym w Warszawie odbędzie się rozprawa główna oskarżonych o porwanie i zabicie jego syna.

Byłoby mu lżej, gdyby w ławach dla publiczności zobaczył kolegów Michała. On jest oskarżycielem posiłkowym.

Natychmiast po tej prośbie pojawiły się nowe wpisy. Nadal dominowała spon-taniczna dyskusja o karze śmierci, ale... nie było już jednomyślności, jak dwa lata wcześniej, gdy Wołomin obiegła tragiczna wiadomość o męczącej śmierci politologa.

Zaczęła „Bezstronna”: „Sprawiedliwa kara śmierci – owszem, ale dla naprawde winnych, a nie oszkalowanych. Skoro policja chce się popisać, to niech pracuje jak trzeba, bo taka sprawa zasługuje na wyjaśnienie, nie tylko dla niego, ale i dla potomnych, a aniołem to ten Michał leżywa «karzeleku nie był»”.

Natychmiast spotkała się z ripostą: „Pani Bezstronna, a jaką sprawiedliwość ma Pani na myśli? Czy jest coś takiego, jak sprawiedliwy osąd takiego czynu i to jeszcze w polskim sądzie? Ciężpienie niewinnych osób, które wychowały morderców – dobre sobie. Dlaczego choć jeden z morderców nie wypuścił Michała, dlaczego nie zawiadomili policji, dlaczego w bagażniku samochodu jednego z morderców była krew ofiary? Jest wiele pytań, na które chcę znać odpowiedź. Jestem matką i nie wyobrażam sobie stracić dziecko, nie mówiąc o takiej stracie, z jaką spotkał się Państwo J.”

Teraz były imienny Michała i na jego grobie znówu te same znicze, od rodziny. Deklaracje kolegów i koleżanek o zachowaniu go na długo w pamięci składane były pod wpływem chwili. Wiem, że każdy ma swoje sprawy, ale nie mieć chwili czasu, by zapalić znicze na pomniku? Nie ma dnia, bym nie myślała o Michałku i jego rodzicach. Rodzinom morderców życzyć wszystkiego, co najgorsze! (matka)

W sukurs Bezstronnej spieszy SPRAWIEDLIWA: – A może to akurat nie oni, a bynajmniej nie wszyscy, to zrobili. Bardzo możliwe, że podajesz rękę prawdziwemu zabójcy na co dzień i o tym nie wiesz... Ja nikogo nie bronię, ale niech naprawdę winni poniosą karę. I to najwyższą, bo na taką zasługuje taki czyn.



Pierwszy dzień procesu. Żaden z oskarżonych nie przyznaje się do winy.

Nawet do tego, co zostało zaprotokołowane w śledztwie.

Damian S., który ma trudności z wyartykułowaniem prostego zdania, mówi, że nie rozumie, „co tam gada prokurator”. Podczas przesłuchania policja biła go, więc podpisał każdy podpisany papier. Nikomu tego nie zgłaszał, bo „chcieli mnie jeszcze bardziej tłuc”. Do rudery, gdzie podobno był przetrzymywany Michał J. (ale on tego nie widział), poszedł, aby popić.

– Skąd taka zmiana w wyjaśnieniach? Dlaczego oskarżony nie potwierdza swoich zeznań składanych na policji? – dopytuje się sędzia Cezary Putawski.

– Bo nie – odpowiada wyglądający jeszcze na dzieciaka Damian S. I szuka wzrokiem wsparcia u Łukasza W.

A ten śmieje się szeroko do małego Damiana. Jego mina zdaje się mówić – dalej tak trzymaj.

On sam nie tylko nie przyznaje się do porwania i dręczenia ofiary, ale nawet nie wie, w jaki sposób znalazł się w melinie pijaka. – Byłem pod wpływem alkoholu, proszę wysokiego sądu. A trafilem pod ten adres, bo w Markach jest znany, gdy się szuka kompanów do wypicia. Pewnie myślałem, że i tym razem ich tam spotkam. Ale tam byli jacyś mężczyźni, których nie znałem. Obiecali dać mi pieniądze za pilnowanie kogoś w drugim pokoju. W ruderze nie było prądu, więc nie widziałem, czy ten ktoś był związany. Usiadłem w ciemnościach i zaraz mnie zmorzyło. Obudzilem się, gdy przyszedł Damian.

Z dalszych wyjaśnień oskarżonego wynika, że od swego młodszego kolegi dowiedział się, że jakiś chłopak jeździ po okolicy i szuka dokumentów swojego samochodu. Za oddanie zguby oferuje znalazcy pieniądze.

– Pomyślałem, że może coś pewniejszego wpadnie mi do kieszeni, więc zrezygnowałem z pilnowania tego gościa.

O zabójstwie J. ksywa „Karzelek” dowiedział się na komendzie. Przyznał się do porwania, aby nie mieć zarzutu morderstwa, bo z doświadczenia wie, jak jest w więzieniach. Domyśla się, dlaczego Damian S. obciążył go w śledztwie: policja mu wszystko ułożyła. Nie ma co do tego wątpliwości, bo jego również funkcjonariusze z dochodzeniówki namawiali, aby w zeznaniach oskarżył Mariusza W., to nie spędzi reszty życia w więzieniu.

– Mówili mi, że dobrze wiedzą, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Michała. Mariusz W. przedstawił w sądzie taką wersję wydarzeń: owszem, był w Markach, ale u Kamila, młodszego brata Damiana S. Chodziło mu o zgubione dokumenty do samochodu. Nie wie, o jakiej ruderze mówił śledczy. Nie zna Łukasza W.; o jego istnieniu dowiedział się od policjanta, który chciał pograżyć tego podejrzanego.

Po złożeniu wyjaśnień oskarżeni zapowiadają, że w dalszym toku procesu nie odpowiedzą na żadne pytania prokuratora i sędziego.

Matki, które po rozprawie biegną za konwojentami, gdy ci odprowadzają oskarżonych do aresztu, mają bezradność wypisaną na twarzach. Głośno zlorzeczają na widok dziennikarzy z mikrofonami w rękach.

Tymczasem proces się toczy. Przed sądem staje Tadeusz Z. – ten pijaczyna, w którego mieszkaniu przestępcy schowali porwanego Michała.

Świadek wygląda, jakby noc spędził w śmietniku, ale jest trzeźwy. Tak, zna oskarżonych. Również tego, który nie mieszka w Markach, ale w Wolimie, czyli Mariusza W. Dom po rodzicach, w którym mieszka, ma dwa pokoje z kuchnią, ale do jednego nie zagląda, to właściwie graciarnia. Oczywiście od lat nikt tam nie przebywał, przecież by zauważył.

Nazwisko Michała J. nic mu nie mówi.

– Czy na początku września przyjmował pan gości? – pyta sędzia.

– Nie powiem, byli koledzy. Wypiło się jedno czy dwa piwa. Raczej nikt nie został na noc.

– Czy kiedykolwiek był ktoś siłą przetrzymywany w pana mieszkaniu? – pyta wprost sędzia
W odpowiedzi wzruszenie ramion. – Ja o niczym nie wiem.

– A czy wie pan, że w pana domu znaleźliśmy ślady krwi Michała J.? – naciska prokurator.
– Nie wiem.

– Panie Z. – prokurator się denerwuje. – Pan jest w sądzie, proszę nie żartować. W pokoju, którego pan ponoć nie używał, zabezpieczono różne przedmioty i na każdym była krew osoby porwanej. Potrafi pan to wyjaśnić?

– Raczej nie.

– Co pan robił drugiego i trzeciego września?

– Chyba leżałem w domu, bo miałem złamane żebra, spadłem z rusztowania. Ale nie byłem u lekarza, kości same się zrosły. Tak dokładnie to nie pamiętam, co robiłem. Nieraz było tak, że nadużyłem alkoholu. Ale we wrześniu w ogóle nie piłem, bo leżałem. Cały miesiąc. Koledzy przychodzili, częstowali, ale ja ani kropki.

– Sąd ma protokół z dnia zatrzymania świadka, to było piętnastego września, wydumuchał pan dwa promile.

– Może byłem po dwóch piwach.

– Czy na początku września 2006 roku zdarzyło się, że ktoś został pobity w pana mieszkaniu?

– Raczej nie.

– Czy ma pan w domu kule ortopedyczne?

– Jedna jeszcze została. Drugą sprzedałem w punkcie skupu złomu.

– Czy miał pan sektor?

– Raczej nie. Miałem młotek.

Ojciec Michała, który nie opuszcza żadnej rozprawy i czernią odświętnego garnituru przypomina o swej żalobie po stracie syna, dzieli się po kolejnej rozprawie refleksjami na blogu „Więści Podwarszawskich”:

„Pokonałem jedną z największych moich obaw. Spojrzałem w oczy domniemyanych zabójców Michała. »Czas leczy rany« – tyle powiedziałem. Znów odbyła się rozprawa sądowa. Kolejne oglądanie uśmiechniętych gęb trzech oskarżonych i kolejny raz wspomnianie tego, co się zdarzyło. Tak jakbyśmy debatowali nad tym, czy żaba ma sierść. Najliczniejsza publiczność na rozprawach to rodziny oskarżonych. Ze strony Michała tylko ojciec i stary kumpel mojego „Karzelka”. Poza tym – spokój, cisza, dziewczyny w przerwach całują swoich chłopców, siedzących w ławie oskarżonych. Dobroduszny i drobiazgowy pan sędzia pozwala, by chłopcy w czasie rozprawy gadałi ze sobą albo ułdadali się do snu na oparciach. Sielanka. A przecież to tu ma być albo nie być tych, których oskarża się o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem.

Myslałem, że każdej rozprawie będzie się przysлуchiwał tłum kolegów mego syna. Zobaczą znane mi twarze, zdeteminowane do potwierdzenia swoich deklaracji sprzed dwu lat. A tu... sielanka. Młodzi śpią, ich narzeczona cicho śmieją się w ostatnich ławkach. I tylko zadumać się trzeba: naprawdę zamordowano mi syna, okrucenego w siatce utopiono żywcem? Koledzy i przyjaciele »Karola, gdzie jesteście?« Rozpaczony ojciec nie doczekał się reakcji na jego pytanie. Natomiast pojawiły się wpisy wąpbiący w winę oskarżonych:

„Czy są jakieś dowody, że to oni zrobili? Może to tylko pomówienie??? Prasa lubi popełnić siacę”. (Renata)

Janusz J. w odpowiedzi: Zawsze piszę o domniemych zabiócach. Ja nikogo nie oceniam i nie skazuję. Chcę tylko sprawiedliwego sądu czynu. I dla tych, co są podejrzany, i dla »drugiego dna«, które jest na sto procent. Czy kiedykolwiek prawdziwa prawda będzie uwolniona? Kto to wie”.



Sąd przesuлуkuje świadków, którzy mogą wiedzieć, co Mariusz W. robili wieczorem 2 września 2006 roku.

Zeznaje Sylwia K. Nie jest pewna tej daty, ale prawdopodobnie było to 2 września – o zmierzchu widziała Mariusza z jego żoną na festynie w Kłambowie. Rozmawiała z nimi, gdy kupował piwo.

Kolejny świadek Karol G. (przedstawił się jako menedżer drajwer, co konkretnie oznacza, że chodzi z towarem po domach) też widział oskarżonego na festynie. – A dlaczego akurat tego uczestnika zabawy sobie przypomniał po dwóch latach? – pyta sędzia.

– Bo żona Mariusza chciała, abym sobie przypomniał. Na portalu „Więści...” coraz nowe wpisy z apelami, aby nie osądzać, póki nie zapadnie wyrok. Ale są też głosy wspierające ojca ofiary:

„Ludzie, dlaczego trzymacie stronę zwyrodniałców? Te »niewinnie« osoby są doskonale znane policji. Dlaczego man nie osądzać tych »niewiniątek«, oni nikogo nie pytali o zdanie, czy mogą zabić człowieka. Wszystkiego, co najgorsze dla rodzin skazanych morderców! Nie wstrzydź się, że ich osądziłam, chciałabym ich dostać w swoje ręce”. (Renata)



Jest jeszcze jeden trop, który chcę sprawdzić sędziowie w poszukiwaniu „drugiego dna” morderstwa Michała. Od początku przecież sprawie towarzyszy hipoteza, że może było to zabióstwo na zlecenie. A jeśli tak, to kto za nim stał? Może ci młodzi mężczyźni, którzy siedzą na ławie oskarżonych, tragicznego dnia przymuleni alkoholem i narkotykami, to tylko narzędzia mordercy Michała? A jeśli politolog zginał, bo zbytnio interesował się wołomińską mafią? Sąd decyduje się na przesłuchanie

trzech najważniejszych w tej bandzie: samego bossa Roberta R., jego zastępcy Dariusza B. i „księgowego” Piotra O. Dostęp do świadków jest ułatwiony, bo wszyscy siedzą w areszcie, gdyż przeciwko nim toczy się sprawa karna (o zabióstwo). O jest świadkiem koronnym.

„Księgowy” „Wołomina” patrzy na ławę oskarżonych i stwierdza, że nie zna żadnego z siedzących tam mężczyźn. Natomiast, owszem, wie, kim był Michał J. ksywa „Karzelek”. Uczestniczył w spotkaniu politologa, redaktora Rafała P. i Roberta R. w kawiarni na warszawskiej Starówce. Chodziło o to, że szef mafi miał pretensje do dziennikarza o jego artykuły na temat zorganizowanej grupy przestępczej w Wołominie. Twierdził, że jest tam wiele klanstw albo informacji zbędnych, które na przykład naprowadziły morderców na ukrywającego się poprzedniego bossa Wołomina Jacka K. (został zastrzelony nad jeziorą w Mikołajkach).

Dziennikarz nie chciał powiedzieć, kto jest jego informatorem. Jak twierdził świadek, dogadał się z R., że będzie go informował, o czym pisze, zanim opublikuje artykuł. P. uprzedził też członków mafi o szykowanym na nich nalotach policji. W zamian szef „Wołomina” miał przekazywać do redakcji informacje o innych grupach przestępczych. Łącznikiem w tych kontaktach został dobrze znany redaktorowi Michał J. Te uzgodnienia miały ściśle obowiązywać obie strony – świadek potajemnie nagrał je na dyktafon.

Ze spotkania pamięta jeszcze tyle, że redaktor P. był biały ze strachu, a Michał go zapewniał, że nic mu nie grozi.

Udzielł też odpowiedzi na pytanie sędziego: – Nie wiem, czy Michał czerpał z tych kontaktów jakieś korzyści. On był przez naszą grupę traktowany na dystans, nie należał do „Wołomina”. Ale lubiliśmy z nim pogadać, bo był wesoły, dowcipny. Mógł chodzić do tej samej knajpy co my.

Na pytanie adwokata oskarżyciela posilkowego: – Tak, wiem, że „Karzelek” nie żyje. Zabili go narkotami. Moim zdaniem dlatego został porwany. Żądanie pięciu tysięcy złotych okupu czy nawet piętnastu to tylko przykrywka dla rodziców i policji. Sprawcy chcieli mieć czas na przesłuchanie porwanego i potem go zlikwidowali. Konus na tym bardzo zależało.

Na pytanie prokuratora: – Nie wiem, z czego Michał się utrzymywał. Słyszałem, że szykowała mu się sprawa o handel narkotykami. On chyba przez jakiś czas brał marhuhanę od naszych hurtowników. W Wołominie nie byłoby takiej możliwości, aby kupował towar od kogoś innego. Wszedłby w konflikt z grupą i zostałby sprzedany. On szybko się sparzył i przestał handlować.

Zdaniem świadka „Karzelek” dobrze wywiązywał się z roli łącznika między „Wołominem” a warszawską redakcją. Spadła liczba artykułów niekorzystnych dla „Wołomina”. Otrzymywali też od redaktora P. ksero artykułów, które się nie ukazały oraz pewne informacje o przekrętach wewnątrz grupy wołomińskiej, które miał od policjantów.

Założona przez redaktora i Michała strona internetowa też była pod kontrolą bossa „Wołomina”. Michał radził się Roberta R., co może ujawnić, aby nie zaszkodzić grupie.

Przyprowadzony przez konwojentów z więzienia Robert R. nie rozpoznaje oskarżonych. Co do ofiary: – Raz czy dwa widziałem tego „Karzelka”. Znam nazwisko P. – to dziennikarz, pośrednio sprawca moich kłopotów. Przypisywał mi różne przestępstwa. Przypuszczam, że od tego zaczęła się nagonka CBS na mnie. Mogło tak być, że za pośrednictwem Michała umawiałem się z P. Owszem, doszło do spotkania w kawiarni na Starym Mieście. Nie przypominam sobie, aby był tam Piotr O. i Michał J. Nie zawieralem z redaktorem porozumienia, że przestanie pisać o grupie wołomińskiej i w zamian będzie otrzymywał informacje o innych mafiach. Pojechałem na to spotkanie, aby żądać sprostowania tego, co P. powypisywał o nas. Myślałem też, żeby mu dołożyć. Ale rozbawił mnie, był taki wystraszony, a równocześnie przyminny. Gdy doszliśmy do konkretów, odpowiedział, że po publikacji nic już nie może zrobić, bo takie informacje dostał z policji. Uzgodniłszy, że w przyszłości będzie do mnie dzwonił i konsultował. Ponadto pokazał mi tekst przed oddaniem do druku. Potem jeszcze raz się z nim spotkałem, wypytał mnie o różne rzeczy. Raz w jego artykule wystąpiłem pod inicjałami jako „współpracownik”.

Świadek potwierdził, że większość kontrolowanych informacji dla P. o grupie (konsekwentnie używał tego określenia w stosunku do mafi wołomińskiej) docierała za pośrednictwem Michała.

Z akt własnej sprawy karnej wie, że zarówno Michałowi J., jak i P. groziło aresztowanie w sprawie „Wołomina”.

– Można powiedzieć, że ja uratowałem P. dupę. Nim doszło do spotkania na Starym Mieście, ostrzegłem go listownie, aby nas nie szkalował. Ubiżałem mu. On to wszystko pokazał prokuratorowi, przedstawił się jako moja ofiara. I mu się upiekło. Również przyprowadzony z aresztu Dariusz B., członek zarządu „Wołomina” (kolejny oskarżony w innej sprawie, o zabójstwo), nie miał wątpliwości, że „Karzel” handlował narkotykami.

– Myślę, że pracował dla P., który dawał mu na narkotyki, a Michał sprzedając je, próbował dowiadywać się o różne sprawy mafii.

Kolejny świadek nazwał zamordowanego J. wprost – był dealerem narkotyków w Wołominie.

– Wiem, bo miałem sprawę w sądzie, gdyż od „Karla” kupowałem narkotyki. Obaj byliśmy oskarżeni. Na sali rozpraw dowiedziałem się, że Michał nie żyje. Ja zostałem prawomocnie skazany.

– To nie było dokładnie tak – tłumaczył mi po rozprawie ojciec Michała J. – Syn miał w swym życiu pewien epizod z używkami. Gdy się o tym dowiedziałem, doszło między nami do męskiej rozmowy i on skończył z tym. Utrzymywał się z reklam zamieszczanych na tej stronie internetowej, o której była mowa w sądzie.

Został też wezwany przed sąd dziennikarz śledczy Rafał P. Od razu skorzystał z prawa dziennikarza do osiániania swych informatorów i nie ujawnił, skąd otrzymywał informacje do artykułu o mafii w Wołominie. Nie miał pewności czy pseudonim „Karzel” był przypisany Michałowi J., bo nie bardzo pamiętał tego mieszkańca Wołomina. Przypomniał sobie dopiero z pomocą prokuratora, który już go przesłuchiwał w śledztwie. Wtedy zeznał:

– Dla mnie on nie był członkiem grupy przestępczej, ja go znalazłem jako studenta z Wołomina. Zastanawiałem się, skąd taka osoba ma kontakty ze zorganizowaną grupą przestępczą i wie, co tam się dzieje. Michał zdał mi na przykład relację z pierwszej ręki o przebiegu słynnego wśród członków mafii wesela jej bossa Roberta R. P. potwierdził, że kiedyś Michał J. pośredniczył – bardzo zresztą wystraszony – w spotkaniu z Robertem R. Ale nie doszło do żadnych ustaleń z szefem mafii. Ani wtedy, ani w czasie następnych rozmów, których mogło być trzy, cztery. We wszystkich J. był milczącym świadkiem.

Dziennikarz śledczy zaprzeczył, aby boss „Wołomina” cenzurował jego artykuły. Owszem, raz dostał od R. kasetę wideo, na której zarejestrowano spotkanie „Klepaka”; poprzedniego szefa grupy, z Januszem Cz., członkiem tego gangu, wówczas świadkiem koronnym. To było nagranie bez głosu, kręcone w lesie z ukrycia. Miało świadczyć, że Janusz Cz. gra na dwa fronty. Materiał przekazał policji z wydziału kryminalnego.

Padło jeszcze kilka pytań od sędziego:

– Czy tę kasetę dostał pan za pieniądze?

– Nie.

– Czy Robert R. zwracał się do pana z prośbą albo poleceniem opisywania innych grup przestępczych w taki sposób, jakby on to widział?

– Nie. Nigdy bym się na to nie zgodził.

– Do czego służyły panu kontakty z Michałem J.?

– Michał pomagał mi w robieniu tzw. Listy Gangstera, która miała być zamieszczona na stronie internetowej. Weryfikował dane, sugerował osoby, które powinny się tam znaleźć. Listę – około tysiąca nazwisk – przekazałem policjantom z CBS. Po jakimś czasie dałem sobie spokój z aktualizacją listy, bo nie miałem na to czasu. Nie wiem, czy Michał pracował nad ciągiem dalszym. I czy tę listę do czegoś wykorzystywał.

Na koniec świadek oświadczył, że od 2008 roku nie zajmuje się już „Wołominem”, bo był stroną w jednym z dochodzeń związanych z tą mafią. A poza tym...

– Po moim przesłuchaniu pojawiła się pewna wątpliwość, czy przypadkiem Michał J. nie był po drugiej stronie i czy nie brał pieniędzy od grupy. Ja osobiście wykluczyłem tę możliwość.

Ojciec zamordowanego na portalu „Więści Podwarszawskich”:

„Sprawa Michała rozwija się jak bandaże na ranym. Za każdym zwojem inna rana. Teraz zatacza kręgi o domniemanych przywódców gangu wolomińskiego. Dowiadujemy się sensacyjnych wieści o przyjaciolach Michała z gangu. Znajdą nowi świadkowie, z różnych poziomów, m.in. redaktor poczytnej gazety. Sprawa rozbiega się jak płama z rozlanej krwi. Oby sędziom wystarczyło siły, by dociec, kto rozlał tę krew, kto był nie tylko ręką zabijającą, ale i mózgiem kierującym narzędziemi. Pytania, pytania. Tak naprawdę jesteśmy dopiero na początku tej bardzo zagmatwanej sprawy. Gdzieś na końcu tego tunelu jest jakieś światło. Oby było latarnią, oświetlającą wszystkie pięttra”.

Artykuł w „Więściach...” relacjonujący, na jakim etapie jest proces i że w śledztwie Damian S. doładnie przedstawił porwanie oraz dręczenie Michała J. przez jego dwóch kolegów, już w dniu publikacji został na portalu gazety skomentowany przez anonimowych internautów. Oto charakterystyczny głos:

„Wymiotować mi się chce, jak czytam. »Porażka!« Co to za bzdury? Jakże przyznanie się!!!!???? Kto się, kurwa przyznał. I jak ludzie mogą pisać takie brednie, skoro nie mają pojęcia, o sprawie. Gazeta sobie opisała, że złapali morderców i miliony innych pierdoli, a ktoś sobie przeczyta i już!!! Co wy, kurwa, wszyscy sędziowie jesteście, czy co...? Co wy możecie wiedzieć!!!!!!! A może z policją współpracujecie, że tak wszystkie pewni jesteście!!! Że to tak na pewno oni okrutni mordercy, he he. Może warto poczekać na jakies wyroki, a nie osądzać. Czy ktoś zastanawia się, dlaczego właśnie to tak długo trwa?? Powiem wam, bo oprócz tego, że to oczywiste ze względu na pracę naszych sądów, to najważniejsze jest to – NIE MAJĄ DOWODÓW!!! Tak że jak ktoś nie ma zielonego pojęcia o tej sprawie, to niech ściśnie dupsko i się odpierdoli!!!!!!!”.



Czwarty rok od aresztowania oskarżonych. Bardzo zmienili się od pierwszej sprawy. Teraz, gdy idą na salę sądową konwojowani przez groźnie uzbrojonych policjantów, dowcipkują. I z tym głośnieym rechotem wchodzi na salę.

Najmłodszy z nich, Damian S., chyba urosł przez te lata, a na pewno zmężniał. Już się nie trzęsie ze strachu, a i mówi trochę składniej, nie tylko knajadłm siangiem. Podczas rozprawy już nie trzeba go sadzać daleko od pozostałych oskarżonych, bo mogliby mu zrobić krzywdę. Teraz patrzą na Damiana jak na kumpla. Sąd ta łaskawość? Bo odwołał obciążające ich zeznania. I nadal konsekwentnie twierdzi, że śledczy biciem zmusili go do podpisania nieprawdy w protokole. Jego opowieści, jak był maltretowany, rozrastają się z rozprawy na rozprawę. Ma to chyba przeciętne w celach, bo już nie brakuje mu słów.

— Jak wyglądało maltretowanie na komendzie, konkretnie proszę – wypytuje się dzia.

Oskarżony S.: — Gdy tylko usiadłem, dostalem na dzień dobry w twarz.

— Dlaczego?

— Trzeba by ich zapytać. Potem przesłuchujący kazali mi poszukać czegoś w szufladzie jego biurka. Włożyłem rękę, a on wtedy kopnął w tę szufladę. Poczułem straszny ból. Nie zgłaszałem prokuratorowi, bo na komendzie mnie uprzedzili, że jeśli powiem, będzie jeszcze gorzej, ścisną mnie psychicznie i fizycznie.

Sędzia: — Czy przed zatrzymaniem miał pan uraz tej dłoni?

— Nie przypominam sobie.

— Piątego czerwca dwa tysiące ósmego roku powiedział pan na rozprawie: „Bliźnięcie aż do podpisania protokołu. Przed zatrzymaniem miałem złamaną rękę, policjanci mi ją wykręcali”.

— Ja tylko wiem, że gdy byłem na wolności, miałem rękę zdrową.

Prokurator: — Czy podczas przyjmowania do aresztu zgłaszał pan uraz prawej ręki? — Prosiłem o rentgen, to mi dali masę, pięć tubelek wysmarowałem, nie pomogło. Sędzia: — Mamu rentgen dłoni oskarżonego wykonany w lutym dwa tysiące dziewiątego roku. Nie stwierdzono zmian pourazowych.

Na następną rozprawę zostali wezwani funkcjonariusze z komendy policji w Wolominie, którzy mieli kontakt z oskarżonym tuż po jego zatrzymaniu.

Naczelniczka wydziału kryminalnego jest pewna – mimo upływu trzech lat – że zarówno w komendzie, jak i w areszcie Damian S. nie uskarżał się na bóle ręki. A spotykała się z nim kilkakrotnie. Jednakże te czynności operacyjne nie były protokolowane. Podobnie policjant wydziału dochodzeniowo-śledczego. Na pytanie obrońcy oskarżyciela prywatnego czy wywierał presję w stosunku do osoby, która odmówiła składania wyjaśnień, świadek zaprzeczył dodając, że nigdy nie był z przesłuchiwany sam. Zawsze towarzyszył mu drugi funkcjonariusz, a ponadto w pomieszczeniu była kamera.

Tata Michała pisze po tej rozprawie w internecie: „Termin za terminem. Moje nerwy i lęk przed każdą rozprawą. Śmiechy rodzin oskarżonych podczas procesu. Jeden z domniemanych sprawców już tak się znudził, że zakomunikował sądowi (z pomocą swej pani adwokat): dajcie sobie spokój i wypuście mnie do domu, bo ja tu trawię czas na darmo. Udawani niby-swiadkowie do zapewnienia alibi, udawana strucha w łiscie oficjalną pocztą jednego podejrzanego do drugiego, chory na rzekomny uraz ręki, który nie jest chorym... A Michał tam w dole, w podwojnych, plastikowych workach. Modlitwy Jego Matny. Zabita rodzina. Zabita przyszłość. Marność i tylko marność”.

„Czy jest już wyrok w tej sprawie?” – na portalu dopytuje się MC.

Odpowiada mu Znajoma: „jeszcze nie. Oby dostali dożywocie, bez widzeń, o spleśniałym chlebie i brudnej wodzie, bez gazet, TV, bez toalety, w celach metr na metr... Ale to nierealne... a szkoda. Nadal jestem pełna nienawiści do morderców. Michał żyje w mojej pamięci”.



Trzydziestego marca 2010 roku zamknięto przewód sądowy. Prokurator zażądał dla oskarżonych Mariusza W. i Łukasza W. dożywocia. Dla Damiana S. ośmiu lat więzienia. Oskarżyciel posiłkowy i jego pełnomocnik poparli ten wniosek. Adwokaci wszystkich oskarżonych domagali się uniewinnienia. Następnego dnia sędzia Cezary Puławski odczytał wyrok: Mariusz W. i Łukasz W. po osiem lat więzienia, Damian S. spędzi za kratkami pięć lat.

Upadł jeden z najważniejszych zarzutów prokuratorskich – zabójstwo. – Sąd co prawda skazał oskarżonych, ale tylko za porwanie Michała J. i próbę wymuszenia okupu – uzasadniał sędzia tak niski wyrok. – Nie udało się ustalić losów ofiary po opuszczeniu domu w Markach, gdzie była przetrzymywana. Można mieć więc wersje, spekulować. Ale materiał dowodowy przedstawiony przez prokuraturę nie dał żadnych podstaw do skazania oskarżonych za zbrodnię zabójstwa.

Janusz J. był wstrząśnięty. – Nie spodziewałem się tego – powiedział mi. – Miałem nadzieję, że sąd wskaże, kto jest winny. Dobrze, że moja żona tego nie doczekała. Przeprasił, że nie jest w stanie dłużej rozmawiać. Poznaliśmy się bliżej w czasie procesu. Wiedziałam, że od lat walczy z chorobą nowotworową żony. Na kilka tygodni przed ogłoszeniem wyroku spotkało ją jeszcze jedno nieszczeście – przez nieuwagę dotkliwie poparzyła się gorącym płynem. Ból był tak silny, że nie mogły go stłumić nawet silne narkotyki. Gdy zmarła, ojciec Michała został zupełnie sam. Wszyscy jego najbliżsi: syn, córka, żona leżeli pochowani na wołomińskim cmentarzu.

– Ludzie boją się dotknąć cudzego cierpienia – skarżył mi się. – Póki nie zdarzyło się nieszczeście, nasz domek pod lasem był celem wielu odwiedzin. Żyliśmy w przekonaniu, że jesteśmy szanowani i lubiani. Ale od dłuższego czasu nawet przyjaciele omijają nas szerokim łukiem. Mam wrażenie, że nie wiedzą, jak się zachować.

Co czuł ojciec Michała, ten współczesny Hiob po usłyszeniu wyroku, zwierzył się anonimowym internautom: „To było wczoraj. Godzina 11.45, sala sądowa znana mi od prawie czterech lat. Dzwonek podrywa wszystkich – wchodzą sędziowie. I już po sprawdzeniu obecności padają słowa: Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej... Moje serce szamocze się jak gołąb w klatce, po plecach płynię strumień potu. Padają jakieś liczby, paragrafy i... po słowach: »Damiana S. na 5 lat, Mariusza W. na 8 lat, Łukasza W. na 8 lat«, sędzia każe nam usiąść. Wpatruję się w zapisane na karcie cyferki. I jedna myśl. To wszystko? Tyle dostali? Sędzia jeszcze uzasadnia wyrok. I nagłe słyszę słowa: »ofiara знаła niemal całą przestępczą grupę wołomińską, miała kontakty z grupą markowską, kontaktowała grupę z redaktorem P. Sąd i to musiał wziąć pod uwagę...»

I zaraz potem cała trójka obrońców żąda zwolnienia do domu swoich klientów. A w mojej głowie karuzela jak po secie spirytusu. Na pytanie sądu, czy zgadzam się na wyjście tej trójki na wolność, jestem w stanie zaprotestować. Tylko jednym słowem „nie”.

Potem przyszły te myśli: Czy prokuratura zawałita sprawę w całej rozciągłości? Apelacja nadzieją na sprawiedliwość?

„A tu Święta Wielkanocne za pasem. Zapalę znicze na grobie żony, syna i córki. I co im powiem?”.

Internauci też nie mogą się pogodzić z tak niskimi wyrokami. Ktoś kto ma nick MC dwukrotnie powtarza pytanie: „Czy to znaczy, że nie dostali dożywocia? W takiej sprawie to niemożliwe. Za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem tylko taka kara?”.

Włącza się Znajoma: „Mord ze szczególnym okrucieństwem potraktowany przez sąd jak jakieś pobicie! Jestem wstrząśnięta, przecież to jest kpina!!! Brak mi siów, dla polskiej tzw. Sprawiedliwości”.

Sekunduje jej Paweł: „Nie bardzo rozumiem takiego toku myślenia sądu. Wiadomo, że do każdego szczegółu się nie dotrze. Ale skoro wiadomo, kto porwał i więził, to powinien odpowiadać i za śmierć”.

Ostatni wpis jest próbą wyciszenia emocji. „Wyroki wyniknęły z niedociągnięć policji i prokuratury, zaniechania wielu czynności na etapie śledztwa, a także z niezatrzymania faktycznych morderców. Oby przyszedł dzień, że prawda ujrzy światło dzienne – dla spokoju duszy Michała, Jego cierpiącego ojca i naszego bezpieczeństwa...”.

Kolejarz Zbigniew W. czekał, aż zagotuje się w czajniku woda na herbatę. Jego kuchenne okno wychodziło na oficynę, w której wynajmował kawalerkę młody mężczyzna. Ostatnio trochę popili, poznał nazwisko sąsiada – Artur Z. Szybko przeszli na ty, umówili się, że Artur pomoże mu położyć tapety. Uczynny był z niego chłopak. Ale nawet po dużej wodce kolejarz nigdy nie pytał, z czego właściwie żyje, skoro nie wstaje rano do roboty. To nie była jego sprawa. Może matka mu pomaga? Podobno wyjechała za robotą do Anglii.

30-letniego W. bardziej interesowały kobiety, które zagnieźdzały się u Artura na kilka dni. Ze stanowiska przy kuchennym oknie znał dokładny rozkład podrywów sąsiada, zazdrościł mu takich możliwości. Ale ostatnia zdobycz – jasnowiąsa Małgośka nie dała się tak szybko przegonić. Gdy Zbigniew W. zaszedł kiedyś do nich, zauważył w kawalerce nowe porządki. Było wysprzążane, na ścianie zdjęcie papięza, pralka przyłoczyła serwetkę. Artur chyba się usatkwował – planował ze swoją kobietą otwarcie we wsi baru szybkiej obsługi.

W ten sierpniowy ranek 2005 roku Zbigniew W. miał okno otwarte, więc wyraźnie usłyszał gwałtowne hamowanie dwóch samochodów przed oficyną. Wy-skoczyło z nich czterech potężnych antyterrorystów w czarnych kominiarkach. Dobiegli do mieszkania Artura. Krzyczeli: – Otwierać, policja! Ktoś w kopniękem wywalił drzwi. Do kuchni kolejarza dotarły wołania: – ... na podłogę! Po chwili zobaczył popychaną przez policjantów Gośkę, tylko w krótkiej koszulce. Artur, też półnagi, jedynie w slipach, był ponaglany do opuszczenia podwórka potężnymi kopniakami funkcjonariuszy. Zbigniew W. z przerażeniem obserwował ich brutalność. W spokojnej wsi pod Nasielskiem takie zachowanie policji było wstrząsające.



Ochroniarze twierdzy modlińskiej (w jej murach, pamiętających czasy Napoleona, znajdują się dziś różne magazyny) usłyszeli wołanie o pomoc i zaraz potem odgłos strzału. Pobiegli w tamtym kierunku. Ale wokół była cisza. W tym czasie inny pracownik agencji ochrony zobaczył uciekających z parku kilku mężczyzn. Wydawało mu się, że ich rozpoznał (później przesłuchującemu go policjantowi podał nazwiska: Maciej S., Piotr T., Rafał M. i Józef M. – miejscowy element przestępczy – jak ich określił).

Wszystko to wyglądało tak niepokojąco, że ochroniarze nie zrezygnowali z pełnienia służby na terenie. Przechodząc kolejne zarośla doszli do odkrytego dołu. Byli w nim nieruchome nagie ciała – mężczyźni i kobiety. Nie żyli. Obok leżał szpadel, rękawiczki, sznurówka i zakrwawiony nóż. Żadnych porzuconych dokumentów i identyfikacyjnych. Pies doprowadził do parkingu za parkiem, tam stracił trop.

Po kilku dniach nazwisko zamordowanego mężczyzny było już policji znane dzięki badaniom daktyloskopowym. To Artur Z. notowany w kartotekach kryminalnych.

Handlarz narkotykami. A kobieta – Małgorzata R. była jego dziewczyną. Mieszkali razem, co potwierdził ich sąsiad kolejarz.

Siedlcy docierają do rodzin ofiar. Ale trudno im się rozmawia. Siostra zamordowanej wie tylko tyle, że Gośka po zwolnieniu z pracy w nowoworskiej „Polenie” zaczęła się spotykać z jakimś Arturem, zamieszkała pod Nasielskiem.

– Ona była skryta, nie wtajemniczała mnie w swoje problemy, często zmieniała numery telefonu.

Podobnie siostra Artura nie utrzymywała kontaktu z bratem. – Nie pytałam go, gdzie pracuje, bo zawsze mnie zbywał śmiechem, że daje sobie radę, to co miałam naciskać. Dorosły był – zeznała. Również matka Artura Z. nie wiedziała, czym syn się zajmował. Policjantom pokazała zdjęcia syna z jego dzieciństwa. Jaki ładny był: oczy piwne, włosy w lokach.



Siedlcy namierzają posługującego się telefonem komórkowym zamordowanej Małgorzaty. To 25-letni Krzysztof M. z Warszawy, lump. Prześluchiwany przyznaje, że w sierpniu ukradł komórke koleździe Józkowi M. Akurat odwiedzili go w Modlinie i jakiś tak go skusilo, bo przez chwilę był sam w pokoju. Zamierzał sprzedać telefon pod Halą Mirowską.

Nigdy nie słyszał o poprzedniej właścicielce telefonu. Zamordowana? Nie, on nie da się w to wrobić. Owszem, ma przeszłość kryminalną, siedział w roku 1997 i później, w latach 2000–2004, ale to nie znaczy, że można na niego zważyć wszystkie niewyjaśnione przestępstwa.

Teraz też jest podejrzanym wraz z dwoma kumpłami o rozbój na stacji gazu w Kazuniu. Nikomu nic się nie stało, chcieli tylko pieniądze z kasy. Właściciel od razu otworzył szufladki, ale niewiele tam było, sam bilon, w sumie około 130 złotych. Podzielili hup na trzy kupki, dostał 40 złotych.

Krzysztof M. szeroko i chętnie opowiada, w jakich okolicznościach wchodził w konflikt z prawem, bo chce zostać świadkiem koronnym i skorzysta z nadzwyczajnego złagodzenia kary.

Wtajemnicza prokuratora w szczegóły walki dwóch band na terenie Nowego Dworu i okolic. Są bowiem grupy braci K. i Rafała Ł. ksywa „Zwierzak”. Człon tej drugiej stanowią: Józef M., Maciej S. („Śledź”), Marcin O. („Orzech”), Piotr T. („Skwara”) i Piotr K. („Kopany”).

Jemu bliżej pod komendę „Zwierzaka”, ale nie jest tam traktowany jako pełnoprawny członek bandy, nie dostaje na przykład wypłaty ze wspólnego kotła.

Tak, zabierali go na akcje. Może o jednej opowiedzieć, z końca 2004 roku. Umorzanej z braku wykrycia sprawców.

On wtedy dopiero co wyszedł z więzienia. Pojechali na porwanie do matki miejscowości pod Olsztynem. Uprawdazonny nazywał się Tadeusz W. Miał stację

benzynową. Zawieźli go do Nowego Dworu i związanego, z zaklejonymi oczami, ukrywali ponad tydzień w opuszczonym budynku. Rozmowy o wykupie – 600 000 złotych – były prowadzone z synem porwanego – Tomaszem.

– Nie wiem, ile w końcu dał – odpowiedział Krzysztof M. na pytanie prokuratora – ja zarobiłem za pilnowanie 17 000 złotych.

Przesłuchano właściciela stacji paliw. Tak, przeżył straszne dni. Dwóch się nad nim znęcało, głównie psychicznie. Opowiadali mu, jak się topi żywych jeszcze ludzi, aby nie wypłynęli. Że trzeba wbić gwoździe w płuca i serce.

Po kilku dniach pozwolili mu porozmawiać przez telefon z synem. Błagał: – To mus, sprzedaj stację i zorganizuj pieniądze na okup, wyciągnij mnie.

Ale synowi nie udało się znaleźć tak szybko kupca. Wtedy porywacze kazali mu wytypować znajomych, którym dobrze się powodzi i dzwonić do nich z prośbą o pomoc. Pierwszy z listy odpowiedział, że będzie się za ofiarę porwania modlił. Drugi, że miastety nie ma zbędnej kasy. Dalej było już podobnie, aż do końca listy.

– Gdy przedstawilem moim oprawcom fiasko starań – zeznawał W. – wrzucili mnie do dołu; pytali, czy mam jeszcze grunt pod nogami, bo zaraz się wszystko zawrwie. Z nerwów dostałem drgawek mięśni twarzy, które nie przeszły mi do dzisiaj.

Syn porwanego też przeżył traumę: – Ciągłe do mnie dzwonili – wspominał – czy zebrałem pieniądze. Miałem już pożyczone 120 000 złotych. Łaskawie zeszli z poprzedniej kwoty, ostatecznie włożyłem do torby 109 000 zł, 800 euro i 1500 dolarów. Potem spośród moich kolegów wybrali Bartka jako tego, który da im pieniądze. Ich scenariusz był następujący: spotykam się z Bartkiem w pewnym punkcie trasy wylotowej z Warszawy na Katowice. On przesiada się do mojego samochodu, jedziemy w kierunku Warszawy. Oczywiście bez obstawy policyjnej. Porywacze mieli się odezwać w trakcie jazdy.

Zrobiliśmy jak kazali. I rzeczywiście, w komórcie mojego kolegi wyświetlił się telefon o nieznanym mi numerze. Jakiś mężczyś głoś wypytywał o jego dane, szczegółowo rodzinne. Zorientowałem się, że taką wiedzę mógł im przekazać tylko ojciec.

W okolicach warszawskiego Dworca Zachodniego ten osobnik ponownie zadzwonił. Pytał, dlaczego to tak długo trwa. Kazał jechać w stronę Gdańska. Potem otrzymałem polecenie zaparkowania przy najbliższej restauracji. Znowu telefon – z informacją, że w koszu na śmieci jest komórka Nokia. Od tej chwili mam się kontaktować tylko przez aparat z kubła na odpadki. Kolejny rozkaz: podjechać pod dworzec Warszawa Gdańska i tam zaparkować. Po godzinie jest dyspozycja: syn porwanego zostaje w samochodzie, Bartek ma kupić bilet do Legionowa.

– Zabrałem reklamówkę z okupem – zeznał kolega Tomka W. – Nabyłem w kasie bilet i wtedy zostałem poinformowany, o której mam wsiąść do pierwszego wagonu. Gdy pociąg ruszył, zadzwonił telefon, abym wystawił reklamówkę przez okno. Zrobiłem to – w tym momencie do wagonu od strony peronu podbiegli dwaj mężczyźni w kapturach, jeden z nich wyrwał mi torbę. Było ciemno, nie widziałem ich twarzy.

Dojechał do Legionowa, stamtąd już taksówką do Warszawy. Po godzinie odezwał się syn porwanego, że jego ojciec jest już w domu.

Z przesłuchania Tadeusza W.: – W dniu, gdy miałem wrócić do domu, przyjechał szef tej bandy, kazał rozciąć mi pęta, sprawdzić, czy widzę po odklejeniu taśmy. Ostrzegł mnie, abym nigdzie nie zgłaszał porwania, bo kulka w łeb. Byłem wolny, choć za wysoką cenę – żeby spłacić pożyczki na okup, musiałem sprzedać swoją firmę.

Prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie wymuszenia rozbójniczego z powodu nie wykrycia sprawców. Wznowila je po wyznaniach struszonego gangstera M. – Drugie porwanie było metodą „na policjanta” – wyjaśniał dalej kandydat na świadka koronnego. – W tym celu dostałem od „Zwierzaka” odznakę policyjną. Uprawdziwił ją jakiś chłopaka. Ale to nie za bardzo się opłaciło. Rodzice porwane go okazali się gołkami. Dostałem wtedy tylko 2 tysiące złotych.

W czasie kolejnego przesłuchania oskarżony Krzysztof M. przyznał się do napadu w 2005 roku – wspólnie z Rafałem Ł. – na hurtownię komputerów. – Szybko nam poszło. Właściciel był akurat sam w pokoju. „Zwierzak” wycelował do niego z pistoletu, krzyknął: „Na podłogę!”. Skrzępowaliśmy faceta taśmą.

Zabrali sprzęt o wartości 168 600 zł i samochód ciężarowy.

Ponadto Krzysztof M. i Józef M. pozabawili wolności właściciela hurtowni – w celach rabunkowych – i weszli w posiadanie 200 000 euro.

Próbowali też obrabować kobietę, która pobierała 150 000 zł w warszawskim banku, ale podniosła taki krzyk, że musieli uciekać.

To wszystkie jego grzechy. Bo z zabojuśtwem tej pary w Modlinie nie ma nic wspólnego.



Krzysztof M. jest z siebie zadowolony. Odwrócił uwagę prokuratora od morderstwa w twierdzy. Oskarżyciela interesują tylko narkotyki – kto je sprzedaje w Modlinie i okolicy. Podpowiada nazwiska. Na przykład: co przesłuchiwanemu wiadomo o Arturze G. ps. „Haski”.

Proszę bardzo – może odpowiedzieć. We wrześniu 2005 roku pojechał z G. i panią Iwoną, matką „Zwierzaka”, do Szwecji. Mieli ze sobą 2 kg amfetaminy. Kupiec był umówiony, cena uzgodniona – 100 000 koron szwedzkich. Ale nie udało się opylić całego towaru. Iwona Ł. przywoziła tylko 65 000 koron. „Zwierzak” zrobił im awanturę. Jeszcze tego samego dnia Krzysztof M. znalazł się w Holandii. Ł. kazal, a „jemu się nie odmawia. Jest gwałtowny, zawsze z bronią, mógłby zrobić krzywdę”.

Pojechali po 7 kg marihuany od dealera Araba. Ale po powrocie okazało się, że kontrahent dosypał lewy proszek. Za karę, że dali się oszukać, musieli ponownie ryzykować podróż z trefnym towarem.

Śledczy mają więc na Artura G. haka – handel narkotykami. Biorą tego „złnierza” Rafała Ł. na przesłuchanie; szczególnie interesuje ich, co robił 5 sierpnia 2005 roku. „Haski” nie pamięta, ale wie na pewno, że dwa dni później zawoził „Kopanego”, „Orzecha” i jakąś dziewczynę o imieniu Malwina do hotelu w Płońsku. Następnego dnia wzięli kurs na Szczycino i tam w motelu czekał na nich „Zwierzak” ze swoją Ewelina. Co robili? Odpoczywali nad wodą. Przecież było lato.

W listopadzie 2005 roku „Haski” został aresztowany pod zarzutem handlu narkotykami. Jego dziewczyna jeździła pod więzienie na warszawskiej Białolece i wolała narzeczonego umówionym hasłem. A gdy tylko wróciła do domu, odowiedział ją ukrywający się Rafał Ł. i dokładnie wypytował, co Artur miał jej do przekazania.

20-letnia Malwina mieszkała z Piotrem K. w wynajmowanym lokalu. Gdy po wyjaśnieniach podejrzanego Artura G. policjanci przyszli do tej pary z nakazem rewizji, dziewczyna schowała dwie karty SIM pod kofler. Ale wypadły na podłogę i funkcjonariusz je zabrał.

Malwina nie potrafiła odpowiedzieć na proste pytanie, skąd jej chłopak ma pieniądze na życie (ona nie pracuje, nie uczy się), za co kupił niedawno samochód Renaulta. – Ja się tym nie interesuję – twierdziła, wzruszając ramionami. A czy wie coś o zabójstwie w twierdzy modlińskiej? Tak, czytała o tym w „Tygodniku Nowodworskim”.

Niewiele też się dowiedzieli śledczy od siostry Rafała Ł. – Nie wiem, gdzie on teraz mieszka – zeznała 19-letnia Izabela. Po tym, jak ktoś brata postrefił, wyprowadził się, ojcu też nie dał adresu. Kim są rodzice? Tata palaczem w klubie garnizonowym, mama właścicielką sklepu spożywczego w Nowym Dworze Mazowieckim. Teraz nie ma jej w Polsce, wyjechała do Londynu do koleżanki. Nic nie wiem na temat innych interesów mamy, a zwłaszcza handlu narkotykami.

Ojciec Rafała Ł. okazał się bardziej skory do rozmowy z funkcjonariuszami. Skarżył się, że jego słowo u syna nie ma znaczenia. – Straciłem swoje dziecko – wyznał ocierając łzy – od czasu, gdy pierwszy raz go aresztowali. To było w roku 2001, chłopak miał wtedy siedemnaście lat. Odsiedział półtora roku i zza krat wyszedł całkiem innym człowiekiem. Zepsuty. Nigdzie nie pracował, a miał pieniądze na wszystko. Wynajął pokój przy tej samej ulicy, przy której mieszkamy, ale gdy czegoś chciał od matki, zajechał na podwórko luksusowym samochodem, choć zabrano mu prawo jazdy. Ostatnio zmienił adres, nie wiem, na jaki. Słyszałem, że mieszka z jakąś Ewelina.

Aldona, starsza siostra Eweliny zachowywała się w czasie przesłuchania równie powściągliwie, jak inne dziewczyny z towarzyskiego kręgu „Zwierzaka”. A może na prawdę niewiele wiedziała o siostrze, gdy ta wyprowadziła się z domu? – Odkąd zamieszkała z Rafałem, jest bardzo skryta – zeznała – rzuciła zawodówkę, na każde pytanie ma jedną odpowiedź: A co cię to obchodzi? Nie pozwałała mi używać, czy choćby wziąć do ręki jej komórke, jakby nie wiem, jakie tajemnice tam się kryły.

W listopadzie 2005 roku za handel narkotykami, napaady na tiry i porwania dla okupu trafił do aresztu nie tylko Artur G. Prokuratura postawiła podobne zarzuty Piotrowi K. („Kopanemu”) oraz Rafałowi Ł. („Zwierzakowi”), który bez oporów potwierdził, że przywoził do Polski 500 kg marihuany i amfetaminy.

23-letni Piotr K., z zawodu tolarz, ale nie pracujący, oficjalnie na utrzymaniu matki rencistki, początkowo nie przyznawał się do żadnego z listy przestępstw. A skąd miał nowy samochód reault? Kupił go za pieniądze od mamy. Ofiarowała mu swe oszczędności pod choinkę. W jego mieszkaniu znaleziono większą kwotę pieniędzy. – To mojej dziewczyny – wyjaśnił.

Jednakże wystarczyło kilka dni w areszcie i „Kopany” zaczyna mówić, co się działo 5 sierpnia w twierdzy Modlin. Zastrzeża się – on nie ma na rękach krwi ofiar – brał tylko udział w uprowadzeniu tej pary z mieszkania. Chce skorzystać z dobrodziejstwa art. 60 kk. o świadku koronnym.

Prokurator zarządza wizję lokálną. Piotr K. krok po kroku przedstawia tragiczne wydarzenia:

Po Artura i Goškę przyjechali dwoma samochodami, w sześciu: Józef M., Rafał Ł., Piotr T., Marian O., Maciej Ś. i on, Piotr K. Wyciągnęli ofiary z ofiary, wepchnęli do samochodu, dojechali do polany w twierdzy Modlin. Co działo się później, on nie wie, bo odjechał razem z „Orzechem” i „Skwarą”. „Zwierzak” kazał im umyć samochód, łącznie z tapicerką, na której zostało trochę krwi po uderzeniu stawiającego się Artura. O tym, że uprowadzeni nie żyją, dowiedział się z gazet.

Prokuratura daje oskarżonemu nadzieję, że jeśli opowie wszystko o bandzie Rafała Ł., będzie mógł skorzystać z art. 60 kk. On gotów jest sypać kumpi – śledczy może protokołować.

Tak, był w grupie nowodworskiej. Od początku, gdy jeszcze nie podzieliła się na bandy braci K. i „Zwierzaka”. W 2000 roku został zatrzymany za nielegalne posiadanie broni. Odsiedział za kratkami rok. Grzegorz i Dariusz K. pomagali mu wtedy, posyłali paczki. Gdy wyszedł, został już zaprzyjętym członkiem grupy nowodworskiej. Wpadł w jednej z akcji, znów go zamknęli. Wtedy jeszcze żołnierzami braci K. byli m.in. Rafał Ł., Józef M., Maciej Ś. i Piotr T. W śledztwie nikogo nie wydał i dlatego, gdy już był na wolności, boss gangu Grzegorz K. ksywa „Gieno” zrobił go skarbnikiem. Zbierał haracze od prostytutkiek na trasie, od restauratorów, dziełi pieniądze z okupów za porwania. Gdy „Giena” zamknęli, skarbnik był tym, do którego szły spod celi grypsy. Bo Grzegorz K. nadal nimi kierował, choć zza krat.

Śledczy chcą poznać przyczynę porwania Artura Z. i jego dziewczyny.

– „Zwierzak” zamierzał od nich wydusić – odpowiada Piotr K. – jak miał na zawistko niedoszły zabójca, który kilka dni wcześniej strzelał do niego z dwóch pistoletów naraz na klatce bloku. Artur Z. chodził na akcje z braćmi K. i przechwalał się na mieście, że przechowuje broń tego, który chybił.

W kwietniu 2005 roku doszło do rozłamu w bandzie z powodu rozliczeń finansowych, jak również podejrzenia, że zabójstwo Konrada O., przyjaciela „Zwierzaka”, to zlecenie Dariusza K. Z grupy braci K. odeszli: „Zwierzak”, „Kopany”, „Orzech”, Józef M. i Piotr T. Na swego bossa wybrali Rafała Ł.

Od pogrzebu „Giena” przywódca modlińskich odszczepieńców poruszał się po ulicach rodzinnego miasta bardzo ostrożnie z obawy o swoje życie. I przyszedł taki wieczer, gdy „Zwierzak” upadł ranny od kuli z dwóch pistoletów pod drzwiami mieszkania rodziców. Strzały nie były śmiertelne i Rafał Ł., gdy tylko doszedł do siebie, chciał poznać nazwiska niedoszłego zabójcy. Dotarło do niego, że handlarz narkotykami Artur Z., który czasem chodził na akcje z braćmi K., przechwala się na mieście, że przechowuje broń tego, który chybił, strzelając do „Zwierzaka”. Przywódca „młodych wilczków” postanowił za wszelką cenę wyciągnąć od Z. nazwisko niedoszłego zabójcy.

Artur Z. i mieszkająca z nim Małgorzata R. zostali siłą wywiezieni do dziłkiego parku wokół twierdzy Modlin. Wcześniej „Zwierzak” dał broń maszynową Józkowi M. Porwany mężczyzna był torturowany. Gdy mimo to nie chciał mówić, oprawcy wrzucili go do własnoręcznie wykopanego dołu. „Zwierzak” przetądował pistolet...

Wtedy Artur Z. ujawnił, że zamach na Rafała Ł. zlecił brat „Giena” Dariusz K. ps. „Kary”. Gdy bandyci nagrywali to wyznanie, w pewnym momencie broń w ręku Piotra T. wypadła i pocisk trafił Artura Z. w plecy. Ten zaczął krzyczeć, wołać pomocy. Wówczas Piotr T. wskoczył do dołu i dźgał porwanego nożem w plecy. W tym czasie Rafał Ł. sprządkował pod wykopany dół Małgorzatę.

Piotr K. opowiedział w śledztwie, jak zginęła porwana dziewczyna:

– „Zwierzak” ciągnął Gośkę od samochodu w taki sposób, że trzymał rękę na jej karku, aby nie mogła podnieść głowy. Doszli do dołu, gdzie leżał jej Artur – żył jeszcze, ale ciężko oddychał, z ust płynęła mu krew. Prosił Macia S. („Śledzia”), żeby go dobili. „Śledź” z bliska oddał strzał. Ale broń się zacięła, Maciek musiał poprawić i potem jeszcze raz. Dziewczynę Józek M. najpierw wepchnął do dołu, „Zwierzak” potem kazał Krzysztofowi M. taki gest: palec na ustach, ręka na gardle. Wtedy Krzysiek przewrócił ją na plecy, usiadł na niej okrakiem i dusił sznurówką. Ona ciągle żyła, więc krzyknął do tych, co stali nad dołem, aby rzucili mu nóż.

– Gdy stawał nogą na jej krzani – Piotr K. płakał w czasie składania wyjaśnień – ja się odwróciłem, nie mogłem patrzeć. Słyszałem taki trzask, jak przy łapaniu kości. Józef M. też dusił, stając butem na krzani kobiety. A Rafał zakrywał jej usta. Na koniec „Śledź” podciął ofierze gardło. Gdy już było po wszystkim, zdjęli z porwanych ubrania. Po chwili przybiegli zdenerwowany Piotr T., żeby szybko zasypywać, bo w parku są jacyś mundurowi i idą w tę stronę.

Uciekli. Rafał Ł. z Krzysztofem M. do mieszkania swego ojca, który podwoził ich „na metę” do Płońska. Po drodze widzieli samochody policyjne na sygnale. Następnego dnia wszyscy pojechali ze swymi dziewczynami na Mazury. W grudniu wpadli w ręce policji w Olsztynie.

– A dlaczego „Zwierzak” miał zginąć? – zapytał oficer dochodzeniowy.

– To dłuższa historia – wyjaśnia „Kopany”. – Trzeba się cofnąć kilka lat, do czasów, gdy gang braci Grzegorza K. („Gieno”) rządził Nowym Dworem. Gdy inne grupy mafijne wchodziły na jego teren, robiło się gorąco.

Ze słów Piotra K wynika, że dla „Giena” nie było bandyckim honorem tolerowaniem takiej samowoli. Gdyby nie zareagował, straciłby poważanie „Wolomina”, z którym miał różne interesy.

Musiął pokazać, na co go stać. Na miejsce demonstracji wybrał pub EB w Nowym Dworze Mazowieckim.

W czerwcu 2000 roku w dniu zakończenia nauki w szkołach, rynek tego podwarszawskiego miasteczka zatrząsł się od eksplozji bomby podłożonej pół metra pod powierzchnią tarasu w pubie EB. Siła rażenia ładunku była tak wielka, że szczątki ofiar zbierano w promieniu kilkudziesięciu metrów. W pubie zginąć mieli gangsterzy, którzy nie chcieli się podporządkować braciom K.: Dariuszowi ps. „Kary” i Grzegorzowi ps. „Gieno”.

Wybuch nastąpił przed planowanym czasem, gdy kilku młodych mężczyzn, przygotowując lokal do popołudniowej uroczystości, przestawiało stołki. Jeden z nich zauważył pełnięcia w konstrukcji tarasu. Nieświadomy pułapki poruszył zapalnik... W rezultacie zginęły cztery przypadkowe osoby, między innymi właściciel pubu.

Gdy doszło do procesu w sprawie eksplozji w nowodworskim pubie EB, oskarżani nie przyznali się do zarzutów. Twierdzili, że ze sprawą nie mieli nic wspólnego.

– Jaki gang? „Twierdza Modlin” to mit. Zostałem wrobiony w te zarzuty – przykonywał sąd Grzegorz K., zdaniem prokuratora zleceniodawca zabójstwa ludzi z konkurencyjnej bandy.

Inny oskarżony gangster zapewniał, że na co dzień zwykł nosić kamizelkę kuloodporną, z wrodzonej przeczności.

W trakcie długiego śledztwa prokurator zebrał dowody, że zamknięty w areszcie w Białolecie Grzegorz K. ps. „Gieno” bez przeszkód kierował swoim gangiem za krat. Wysłał dziennie nawet dziesięć grypsów – wydawał w nich polecenia swoim „żołnierzom” rozprawiania się z konkurencyjną bandą, obrzucania jej członków granatami, namawiał do uprowadzenia jednego ze świadków, który zeznawał na jego niekorzyść.

Między innymi przechwycono gryps z grudnia 2003 roku wysłany do Jana G., by dał aresztantowi alibi w sprawie wybuchu w pubie EB. „Gieno” z góry dziękował za przysługę.

Grzegorz K. uniknął wyroku w sprawie śmiertelnych ofiar w pubie EB z całkiem innego powodu. Po prawie pięciu latach tymczasowego aresztu został decyzją Sądu Okręgowego (a następnie Sądu Apelacyjnego) zwolniony i miał odpowiadać z wolnej stopy. Któregoś dnia wyszedł z domu prosto pod luźną zabójcy; nie przeżył. Po dejrzeniu padło na „młode wilczki”, czyli oddzielnie już harującą grupę Rafała Ł.

Trzy lata po odkryciu dołu ze zwłokami kobiety i mężczyzny w parku twierdzy Mo-
dlin, zakończył się proces ich morderców

Krzysztof M. przyznał się, że był przy zabójstwie (w śledztwie temu zaprzeczał).
Ale nie chciał zamordować. Dlatego w pewnym momencie przestał dusić Malgo-
rzałę R. Wcześniej, gdy stała nad swym grobem, poczuwał ją papierosem. To, że
później zaczął ślady zabójstwa, tłumaczył uzależnieniem od narkotyków.

Sąd nie uznał odstąpienia od dalszego duszenia Malgorzaty jako okoliczności ja-
godzącej. Oprawcy bardzo się spieszli i dlatego zabójstwo dokończył Józef M.

Barado pewny siebie Rafał Ł. (wyróżniał satysfakcję sprawiał mu, gdy na sali są-
dowej mówiono o nim – szef gangu), na którym ciążył oskarżenia o dwa inne za-
bójstwa zaprzeczył, że kierował zamordowaniem Artura Z. i Malgorzaty R. Przyznał
się tylko do porwania tych dwojga, a wcześniej biznesmena W. Sąd nie dał temu
wiary, gdy tłumaczył swoje zachowanie w parku wokół twierdzy paniką (pojawił
się ochroniarze i ofiary porwania mogły powiedzieć im, co się stało). Zdaniem sądu
decyza przywódcy bandytów o pozabawieniu życia dwojga młodych ludzi nie wy-
niknęła z chaosu. Gdyby tak było, zostawiliby w spokoju Malgorzatę, która nie wi-
działa sprawców, bo od początku miała zasłonięte oczy.

Piotr T. przedstawiał się jako ofiara nie znoszącego sprzeciwu „Zwierzaka”.

W podobny sposób usiłował pomniejszyć swoją winę Józef M. W opinii biegłych
psychologów, którzy nie stwierdzili u obydwu oskarżonych osobowości zdolno-
wanych, także usprawiedliwienia wynikały ze strachu przed karą.

W ostatnim słowie oskarżony 22-letni Rafał Ł. powiedział krótko: – Zrozumi-
ałem, co zrobiłem i chciałbym to wszystko naprawić.

Krzysztof M. wyznał: – Przepęstwa, które popełniłem, były dla mnie ogrom-
nym ciężarem. Poczułem ulgę, gdy mnie zatrzymano.

Józef M.: – Mój udział w grupie „Zwierzaka” poddyktowany był brakiem per-
spektyw na lepsze życie. Ale ja nie zabiłem tych w dole. Jeśli sąd mnie skáže, będzie
miał mnie na sumieniu.

Zwalisty nafaszerowany sterydami Piotr T. odczytywał swe ostatnie słowo z kart-
ki z głośnym płaczem: – Piśzę tę mowę i nie wiem, jak zacząć... Przyniesiam, że choć
brałem udział w porwaniu i karę przyjmę za to z wielką pokorą, nie wiedziałem, że
to się skończy takim niehumanitarnym morderstwem.

Otoczony ciasno przez antyterrorystów Piotr K. (jako współpracujący z proku-
raturą, musiał być szczególnie chroniony) wypowiedział się krótko: – Chciałbym
szybko wrócić do społeczeństwa.

Doświadczony sędzia Janusz Jankowski ponad dwie godziny uzasadniał wyrok
Rafał Ł., Krzysztof M. i Józef M. zostali skazani na dożywocie. Piotr T. 25 lat po-
zbawienia wolności. Marian O. („Orzech”) na 15 lat. Piotr K. 2,6 roku więzienia. – Sąd
nie miał żadnych wątpliwości wymierzając oskarżonym kary dożywocia – powie-

dział sędzia. – Jeśli popatrzeć na ich życie i sposób działania, to jakże prognozy mo-
żemy mieć na przyszłość? Ta sprawa pokazała bezwzględność działania młodych lu-
dzi, dla których jedyną zasadą jest brak zasad.

W jak drastyczny sposób działali oskarżeni wobec swych ofiar, których bliżej nie
znali i które nic im nie zrobiły, świadczą choćby protokoły z sekcji zwłok (sędzia cy-
tował wstrząsające opisy śladów tortur). To wyrok surowy – powiedział – ale nast-
ępująca się bezwzględność w działaniach członków zorganizowanych grup przestę-
pczych wymaga stosowania surowych kar.

Najbardziej został potraktowany Piotr K., bowiem swoimi wyjaśnieniami świa-
domnie przyczył się do poznania przez śledczych wszystkich okoliczności morderstwa.
– Może ktoś powie, że to niesprawiedliwe, wszak brał udział w porwaniu. Ale także
osoby współpracujące z prokuraturą wiele ryzykują, bo bezwzględność gangów nie
jest tajemnicą – stwierdził sędzia.

Wśród skazanych nie było Macieja Ś. ps. „Śledź”, który skutecznie ukrywał się
przed policją. Był poszukiwany listem gończym w całej Europie. W policyjną za-
słankę wpadł na Malcie, dwa miesiące po zakończeniu procesu przed sądem Okrę-
gowym Warszawa-Praga. Początkowo podawał się za kogoś innego, ale w końcu się
przyznał. Jego proces przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga trwa.

Tymczasem Ewelina wyszła do skazanego nieprawomocnym wyrokiem Rafała Ł.
czule liściła. Gdy noc ciemna otula mnie swym płaszczem/ tęsknota do drzwi pu-
ka/kochającego serca szuka/Miljon gwiazd lśni na niebie./czemu tak daleko jeste-
śmy od siebie”.

Uczestnicy dyskusji

Barbara Piwnik – Sędzia Sądu Okręgowego Warszawa-Praga w Warszawie, orzekająca w sprawach karnych. W latach 2001–2002 minister sprawiedliwości i prokurator generalny.

Józef Krzysztof Gierowski – psycholog, prawnik. Profesor nauk medycznych w katedrze Psychiatrii Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum oraz w krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych. Autor ponad 300 publikacji naukowych.

Od autorów:

Reportaże w tomie „Warszawa kryminalna”, spięte Państwa dyskusją w swoisty sposób, niczym kłamrą, dotyczą procesów zakończonych w stołecznych sądach w ostatnich dziesięciu latach. Tematy z wokandy zostały tak dobrane, aby stanowią panoramę nowych – po transformacji politycznej, ekonomicznej i społecznej – problemów kryminalnych w dużej aglomeracji. Są na przykład strzelające do siebie gangi, sfalszowane testamenty dla zdobycia drogich kamieni, zabójstwo młodej wykształconej „singelki”, która przeniosła się do Warszawy z małej miejscowości, aby zrobić karierę (i zrobiła ją), ale była samotna i szukała znajomości na portalu internetowym, są oskarżenia lekarze na skutek intrygi politycznej (mieli być egzemplifikacją korupcji szerzącej się w tym środowisku). Jest dramatyczne, głośne na całą Polskę pozabawienie życia dziecka, przez świadome utopienie go w Wiśle, a także korupcyjne przestępstwa urzędników potocznie szufladkowane w sądzie jako popełnione przez tzw. białe kołnierzyki.

Każda z opisanych spraw dotyczy losów konkretnego człowieka, który znalazł się na ławie oskarżonych. Moim celem było rzetelne zrelacjonowanie procesu sądowego. Państwa natomiast proszę o wizerunek Warszawy kryminalnej na znaczenie szerszym tle, które widzi naukowiec, a równocześnie biegły sądowy i sędzia z prawie 30-letnim stażem.

◆ ◆ ◆

Profesor: Transformacja dotyczyła wszystkich obszarów i mechanizmów naszego życia, społecznego funkcjonowania. Te głębokie zmiany dotknęły też prawa, przestępczości, sędziów i wszystkich, którzy uczestniczą w wymierzaniu sprawiedliwości.

Okresy przełomu sprzyjają temu, aby do naruszenia porządku prawnego dochodziło częściej w formach, które z różnych względów były niemożliwe w innym systemie. Gdy w pierwszych latach transformacji badałem problem zabójstw i przestępczość nieletnich, statystyki wskazywały na wyraźny ich wzrost. W tej

chwili ten poziom już nie jest tak szokująco wysoki i w porównaniu ze światem zwanym dawniej zachodnim nie jesteśmy w alarmującej sytuacji.

Sędzia: A zabójcy, zabójstwa, czy różnią się? Jak mówił Arystoteles, przestępstwo potrzebuje jedynie pretekstu.

Profesor: Jeśli chodzi o motyw, okoliczności, z jednej strony mamy ponadstosmowemu kontynuowanie tego rodzaju przestępstw. Z drugiej – słyszymy o przestępczości zorganizowanej – w poprzedniej rzeczywistości mającej wymiar śladowy.

Sędzia: Przestępczość zorganizowana. Nie twierdę, że jej nie ma, ale organy ścigania, a za nimi media, szafują tym pojęciem. To talde spektakularne – oskarżony ubrany w czerwony drelch, łańcuchy na rękach i nogach. A to dlatego, że został przez komisję penitencjarną zakwalifikowany jako stwarzający poważne zagrożenie społeczne, bo postawiono mu zarzut dokonania przestępstwa w zorganizowanej grupie. Oto mamy funkcjonujący w świadomości społecznej obraz zorganizowanej przestępczości. Czy jednak talde osoby są bardziej skłonne do popełnienia zabójstwa?

Profesor: Nie mamy naukowej diagnozy tego, o czym mówimy. Owszem, powstało mnóstwo rzekomych analiz, ale powstających na podstawie, delikatnie mówiąc, mało rzetelnego obrazu twórnego przez media. Na to nakłada się możliwość – zdecydowanie większa niż kiedyś – wykorzystywania przez polityków do ich potrzeb wykreowanych informacji, które z rzeczywistością tak naprawdę niewiele mają wspólnego. Nie znam solidnych badań dotyczących zorganizowanej przestępczości. Zabójstwa na zlecenia zdarzały się zawsze. Była tylko kwestia za ile i kto płacił. Dziś, jak słyszę, nie są to kwoty szokujące.

Sędzia: Od dawna orzekam w sprawach karnych, w tym dotyczących zorganizowanej przestępczości. Mimo to nie pokusiłabym się o nakreślenie jednolitego wizerunku tej specyficznej grupy przestępców. W miarę upływu czasu obraz ten się zmienia. Początek lat 90. XX wieku, okres głębokich zmian ustrojowych, sprzyjający organizowaniu się grup przestępczych w kraju i nawiązywaniu współpracy z podobnymi za granicą, to czas szukania przez nie sposobu na legalizowanie zdobytych (także w poprzednim systemie społeczno-gospodarczym) pieniędzy. W zmieniającej się rzeczywistości także przestępcom uzyskującym coraz większe zyski (również z nowego rodzaju przestępstw), niewystarczające stały się konspiracyjne grupy, ograniczone do kręgów przestępczych. Nastąpił czas przemian do innych środowisk opiniotwórczych, takich, gdzie zapadają istotne decyzje...

Dziś, w roku 2010, przestępczość zorganizowana nadal zmienia oblicza. Już nie trzeba dokonywać włamań do mieszkań, żeby ukraść sprzęt RTV i złotą biżuterię, czy napaść na tira z ładunkiem proszku do prania, żeby osiągnąć zysk. Pieniądze są gdzie indziej.

Zmienił się nawet wizerunek przysłówiowego gangstera. Zeszczuplał, zniknęły grube złote łańcuchy, dresy i białe skarpinki. Może jeszcze niewielu ma dyplom ukończenia wyższej uczelni, ale to też się zmieniło. Współczesny przestępca potrafi czytać przepisy prawa, korzysta z powszechnie dostępnych publikacji z tego zakresu, zapewne też coraz częściej z porad prawnych. Bywa, że jest dobrze poinformowany w miejscu swego zamieszkania, gdzie może być pracodawcą, udzielić wsparcia potrzebującemu sąsiadowi lub organizacji charytatywnym. Kiedy więc taki „dobroczyńca” trafi na ławę oskarżonych, nie zawsze jest łatwo o świadków. I to nie z obawy przed rzeziąmaszką, jak najczęściej próbuje się przedstawić, lecz raczej ze zwykłej kalkulacji w rodzaju: był dla mnie dobrym sąsiadem, jest mi potrzebny, bo np. daje pracę, to cóż, że wyłudził VAT albo przemycił kilka cystrern spirytusu.

I tak dochodzimy do instytucji świadków anonimowych czy koronnych.

Profesor: Sprawdziły się te instytucje?

Sędzia: W mojej ocenie nie, a prowokują organy ścigania do pójsicia na łatwiznę, co nie zawsze przynosi dobry skutek. Pozornie bowiem jedynie przesłuchanie świadka to czynność nieskomplikowana, prowadząca się do zadania kilku pytań. Nic bardziej mylnego. Przesłuchanie jest sztuką umiejętności zarówno słuchania, jak i obserwowania przesłuchiwanego. Jest to więc proces komunikacji interpersonalnej, podczas której pomiędzy przesłuchującym a przesłuchiwanym dochodzi do wzajemnego oddziaływania, obie strony wpływają na przebieg i wynik takiej czynności. Jeżeli więc przesłuchiwany jest przestępca z długim „zawodowym” stażem, nawykły do manipulowania ludźmi (świadek koronny) lub policjant pracujący jak to się określa „pod przykryciem”, będący niejednokrotnie świadkiem anonimowym, który opanował do perfekcji sztukę oszukiwania rozmówcy, wprowadzania w błąd otoczenia – a przesłuchującym osoba młoda, niedoświadczona zawodowo, a do tego nie zawsze posiadająca predyspozycje i kwalifikacje do przeprowadzenia przesłuchania, to efekt nie trudno sobie wyobrazić.

Czy podziela Pan mój pogląd, że przesłuchanie jest sztuką wymagającą wiedzy i starannego przygotowania?

Profesor: Jak najbardziej. W moim przekonaniu to podstawowa umiejętność świadcząca o profesjonalizmie prawnika – sędziego czy prokuratora. Nabiera ona szczególnego znaczenia, gdy przesłuchuje się osobę występującą w charakterze świadka

koronnego czy anonimowego. Moi koledzy adwokaci sygnalizują mi od lat, iż wia-rygodność zeznań takich świadków budzi często ich wątpliwości, a wszelkie próby i wnioski wykorzystania w takich sytuacjach doświadczonych biegłych psychologów (np. pracowników Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie) są traktowane przez wymiar sprawiedliwości niechętnie.

Sędzia: Już w latach 2001–2002, będąc ministrem sprawiedliwości, zwracałam uwagę na konieczność rozważnego korzystania z instytucji świadka koronnego, za co odądzono mnie publicznie od czci i wiary. Minęło osiem lat i kolejne przykłady związane ze stosowaniem tej instytucji nie są zbyt budujące.

W założeniu ustawy świadkowie koronni dysponują rozległą wiedzą o przestępcach i przestępstwach, której nie da się zdobyć innymi metodami dopuszczalnymi prawem. Skoro tak, to dlaczego po ponad dziesięciu latach obowiązywania ustawy i przy tak wielu osobach korzystających „z przywileju” była świadkiem koronnym nadal niewykrytych pozostaje wiele zabójstw o charakterze wskazującym na tło porachunkowe w środowisku przestępczym, które też niejednokrotnie kwitowano z lekceważeniem, że „jak się wystrzelają, będzie spokój”?

Sprzeciwiam się takim ocenom. Po pierwsze, nikt nie ma prawa pozbawiać życia człowieka, a po drugie, za zabójstwami „porachunkowymi” stoją poważne przestępstwa związane z władzą i pieniędzmi.

Instytucja świadka koronnego nie okazała się panaceum na trudności śledcze, jak zakładano. A może to kwestia braku umiejętności słuchania, tak ważnej w przesłuchującym? Prokurator, policjant, sędzia, jeżeli potrafią słuchać, potrafią także przesłuchiwać, a to znajduje odzwierciedlenie w kompletności i dokładności zeznań użytkowników w toku postępowania. Brak tego przygotowania jest od razu widoczny, co przestępca–świadek potrafi natychmiast wykorzystać.

Powstaje przy tym problem tych przestępców, którzy utracili status świadka koronnego. Jaką wiedzę na temat „kuchni śledczej” i stosowania tej instytucji zabierają ze sobą, co im wiadomo także o tych, którzy twarze ukrywają pod kominarkami, jakże „wiano” wnoszą do środowiska przestępczego, wracając do swojego poprzedniego trybu życia? Są to pytania, na które dziś nie słyszę odpowiedzi, ale też chyba nikt ich poważnie nie zadaje.

Profesor: Dla młodych prokuratorów i policjantów jest czas PRL-u i po jego upadku. To zbyt daleko idące uproszczenie, nie uwzględniające możliwości zachowania pewnej ciągłości, konskwencji, a nawet tradycji rozwiązywania problemów dotyczących szeroko ujmowanego „wymierzania sprawiedliwości”. Nie służy to skuteczności w działaniu tych organów. Nie wszystko, co dotyczy PRL-u należy bezwzględnie odrzucić i potępić. Prawda o funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości w owym okresie jest zdecydowanie bardziej złożona i skomplikowana.

Sędzia: Blisko 25 lat sądzę na tym samym terenie – w Warszawie, w Sądzie Okręgowym (dawniej Wojewódzkim) i czasem odnośnie wrażenie, że wielu osobom przeszkadza moje doświadczenie i dobra pamięć. Przez te lata zmienił się ustroj, zmieniło się prawo, zmieniali się oskarżeni, także w dosłownym tego słowa znaczeniu – postarzel się ci, w których sprawach orzekałam, kiedy zaczęli swe przestępcze kariery. Ta wiedza z przeszłości sprawia, że niejednokrotnie w toku kolejnego postępowania, wydawałoby się, że nieprzylegające do siebie fakty układają się w logiczną całość.

Skąd się więc bierze to, że obecnie, nie tylko zwykli świadkowie, ale też zeznający w charakterze świadków policjanci, nawet z elitarnego CBS mają niezwykle problemy z pamięcią, jeśli chodzi o zdarzenia sprzed dwu, trzech lat? Mam żywo w pamięci oficera operacyjnego CBS, który pytany o pseudonimy czołowych członków znanej grupy przestępczej z wyśzością w głosie odparł, że nie zna, dodając: „Ja nie kolekcjonuję wspomnień z pracy”.

Profesor: Coraz rzadziej występuję jako biegły. Jeśli już, to w bardzo trudnych sprawach, raczej jako konsultant. Ale przed laty byłem częstym gościem na sali sądowej. Nie mam wrażenia, że sądy w poprzedniej formacji były dyspozycyjne, nierzetelne. Znam wielu sędziów, którzy bardzo rzetelnie wykonywali swój zawód. I nie pamiętam z minionych czasów sprawy kryminalnej, o której mógłbym powiedzieć nie to, że nie popełniono błędów, ale że na przykład wywierano pewną presję na strony, czy też że proces zakończył się zgodnie z życzeniem decydentów.

Sędzia: Albo opinii publicznej.

Profesor: Tak. Ale czy oczekiwania dzisiejszego sądu, bądź prowadzących postępowania przygotowawcze, związane z rzetelnością biegłych: psychiatry czy psychologa, są tak samo daleko idące jak kiedyś, to już bym się zastanawiał.

Sędzia: Czy nie jest obecnie tak, że i opinie sądowo-psychiatryczne, i psychologiczne są krótsze, irytująco lakoniczne, niezbyt pomocne tym, którym przychodzi wyrażać opiniowanie karę. Coraz częściej napotykam tego rodzaju opinie, gdzie we wnioskach końcowych zawarte są głównie stwierdzenia w rodzaju, że oskarżony to np. kawaler, niekarany (lub karany), pracujący (lub nie), po odbytej służbie wojskowej (lub nie), a następnie pada stwierdzenie o pełnej poczytalności w czasie pełnienia karalnego czynu. Czy to nie jest trochę mało?

Profesor: Poziom opinii sądowo-psychologicznych, podobnie zresztą jak i psychiatrycznych, jest w Polsce bardzo różnicowany. Poczynając od nie spełniających

często podstawowych wymogów diagnostycznych ekspertyz wydawanych przez niektórych indywidualnych biegłych z tzw. listy, aż po profesjonalne, opowiadające światowym standardom opinie specjalistyczne wydawane na przykład przez Pracownię Psychopatologii Sądowej UJ Collegium Medicum, czy Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie. Pożądana byłaby merytoryczna kontrola biegłych i ich opinii. Inicjatywę taką podjął kilka lat temu zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, ale środowisko prawnicze tego nie doceniło.

Jednym z ważniejszych obszarów zastosowania psychologii dla potrzeb praktyki prawnej jest odtwarzanie i ocena procesów psychicznych sprawy leżących u podstawy jego przestępczych zachowań. Do tych kwestii odnosi się przede wszystkim psychologia motywacyjna, której głównym zadaniem jest odpowiedzieć na pytanie o przyczyny ludzkiego postępowania, także tego społecznie nieakceptowanego, naruszającego ustalony porządek etyczny i prawny. U podłoża większości teorii motywacji leży założenie, że każde ludzkie zachowanie ma swoją przyczynę.

Kolejna grupa zagadnień dotyczy wybranych właściwości i mechanizmów procesu motywacyjnego, do których należą: kierunek, nasilenie, poziom regulacji czynności, uruchamianie przez sprawcę mechanizmu obrony, czy też stopień samokontroli. Diagnoza ta jest przydatna przede wszystkim w opiniowaniu w sprawach o poczytalność i zasadność stosowania środków zabezpieczających. Także w sytuacjach, w których kwalifikacja prawna czynu uwzględnia występowanie określonych kategorii psychologicznych, jak „stan silnego wzburzenia”, „motywacja zasługująca na szczególne potępienie”, czy „przeżycia związane z przebiegiem porodu, znacznym zniekształceniem dziecka lub szczególnie trudną sytuacją osobistą matki” prowadzące do dzieciobójstwa.

Rozpatrujący konkretną sprawę karną organ procesowy zobowiązany jest z mocy najogólniejszych zasad prawnych odpowiadać na pytanie, kim jest człowiek, który naruszył porządek prawny i dlaczego zachował się w określony sposób.

Nieumiejętne posługiwanie się metodą testową jest nadszyczą częstym błędem sztuki psychologicznej. Nadszedł czas na opracowanie zasad tworzenia kompleksowych opinii psychiatryczno-psychologicznych oraz systemowego podejścia do okoliczności, w których zaburzony psychicznie sprawca narusza porządek prawny.

Sędzia: A więc, póki co, cofamy się! W czasach, które oboje pamiętamy – ja orzekająca w sprawach o zabójstwo sędzia i Pan Profesor – opiniujący biegły, nie do pomysłenia było, aby w sprawie, gdzie oskarżonemu zarzucano usiłowanie lub dokonanie zabójstwa, cała opinia sądowo-psychiatryczna i końcowe wnioski sprowadzały się do kilku ogólników. Czy można sobie przy tym wyobrazić, że nie byłoby pytań np. ze strony sądu?

Profesor: Pytania powinny paść niezależnie od perfekcji sporządzonej opinii. Byłem na setkach procesów i za najciekawszy, ale też i najtrudniejszy uważałem etap, gdy dochodziło do, nazwijmy to umownie, obrony opinii. Gdy trzeba było odpowiedzieć na różne wątpliwości wszystkich stron.

Sędzia: Sprecyzujmy zatem: Po co to sądowi jest potrzebne?

Profesor: Najprościej mówiąc, bo ocenia człowieka. Muszę jednak poczynić pewne zastrzeżenie – abyśmy nie dokonywali zbyt pochopnych osądów. Za chwileczkę padnie tu zdanie, być może w pewnym zakresie prawdziwe, że sądy są dziś pozabawione potrzeby tego wnikliwego rozpatrzenia sprawy. Bo ja niestety niwam czasami tałd niepokój, czy młodzi sędziowie stosują się do etycznego kodeksu w swej pracy...

Sędzia: Dlaczego nie zadawać pytań, dotyczących etyki osób wykonujących tak istotne społeczne funkcje?

Profesor: Słusznie. Transformacja poważnie naruszyła standardy, jeśli chodzi o etykę, moralność. W nowej finansowo-gospodarczej rzeczywistości ludzie częściej niż kiedyś gotowi są do łamania takich czy innych zasad, przepisów. Nawet w sytuacjach, gdy jest oczywiste, że oszustwo się wyda. Pytałem o to rzyżko znajomych adwokatów, gdy przychodzili do mnie w sprawach swoich klientów, którzy wyłudziili ze skarbu państwa miliony złotych. Mecenasi rozważali, czy daby się podważyć stan psychiczny oskarżonego. Dla mnie sprawa była oczywista do odrzucenia, ale wiem, że wielu biegłych nie oparłoby się finansowej pokusie.

Mam przed oczami adwokata, który zjawił się w moim gabinecie, powołując się na naszego znajomego i w trzecim zdaniu nadmienił o bardzo wysokiej gratyfikacji za uznanie niepoczynności jego klienta. Pomyśl karkołomny, bo cóż to za szef dużego przedsiębiorstwa, który zarządza, będąc chorym psychicznie. A mecenas odpowiadał, że rzyżko wykrycia przestępstwa jest niewielkie; facet zdążył ukryć pieniądze. Kara, jeśli biegły pójdzie oskarżonemu na rękę, nie będzie wysoka. Jest zresztą w kalkulowana w koszty całego przedsięwzięcia.

Sędzia: Warto też zastanowić się, dlaczego tak rzadko są wykladywane przestępstwa sprawców w tzw. białych kohnierzykach. Jakimi ludźmi są sprawcy przestępstwa prania brudnych pieniędzy i gdzie są procesy dotyczące tego procederu?

Profesor: Chciałbym przeczytać na ten temat rzetelny raport, któremu mógłbym zaufać. Niestety, nie znam takiej pracy.

Sędzia: Kto ma te rzetelne raporty sporządzać, jaką wiedzę wykorzystując? Została przecież zerwana swego rodzaju ciągłość chyba we wszystkich zawodach. Żeby wysnuwać prawidłowe wnioski, trzeba nie tylko mieć rozległą wiedzę teoretyczną, ale też kojarzyć fakty z przeszłości.

Sędziowie odchodzą z zawodu, bo zapewne niejeden ulega wyobrażeniu, że gdy zostanie adwokatem czy radcą, jego dochody będą znacznie wyższe. Nie zawsze tak się dzieje i wówczas dochodzi jeszcze frustracja, wynikająca nie tylko z tego powodu, że znaczące pieniądze nie przychodzą łatwo, ale też dlatego, że nie wykonuje zawodu, do którego mentalnie i psychicznie się przygotowywał.

Kto też obecnie, wobec gwałtownie zachodzących w ostatnich latach zmian, ma rzetelnie badać problematykę związaną ze ściganiem przestępczości i sprawowaniem wymiaru sprawiedliwości?

Powołany do tego instytut zajmuje się robieniem coraz ładniejszych wykresów i wydaje kolejne albumy, ale przecież nie o to chodzi, gdy chcemy poznać zachodzące faktycznie procesy.

Nie chce wyjść na osobę zgorzkniałą, bo taką nie jestem, ale mam zbyt wiele przykładów na to, że wychowani w „nowych czasach” uważają że wszystko to, co było przedtem, jest złe, skazane komuną. Dziś chodzi też głównie o to, żeby każdy produkt się dobrze sprzedał. A sensacja i radykalne poglądy spełniają ten warunek.

Profesor: Dobrze wiemy, że tak nie było. Na moim zawodowym podwórku wiele razy próbowałem szukać odpowiedzi na pytania o źródło tego, co się stało w sądowej psychiatrii, co odpowiada za to, że dziś jest więcej byle jakich, niekompetentnych opinii, a zdecydowanie mniejsza grupa psychiatrów gotowych do rzetelnej, opiniodawczej pracy. Przecież kiedyś opiniowanie nobilitowało psychiatrów. A sekcja Psychiatrii Sądowej Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego organizowała zjazdy, szkolenia – na jednym z takich paneli miałem przyjemność poznać Panią – z prokuratorami, sędziami, pracownikami akademickimi. Postulaty takiej reprezentacji były traktowane bardzo poważnie.

Dziś ta sekcja praktycznie nie istnieje. Powstało nowe Polskie Towarzystwo Psychiatrii Sądowej, dla którego głównym wątkiem przewodnim w działaniu jest skądinąd słuszna kwestia nędznych stawek dla biegłych.

Większość psychiatrów straciła motywację i zainteresowanie do pochylania się nad oskarżonym, którego los właśnie się decyduje. Dziś rola biegłego sądowego jest mało atrakcyjna. Ci, którzy mogliby nim być, mają mnóstwo bardziej korzystnych możliwości zarobienia dodatkowych pieniędzy. Po cóż się męczyć w sądzie i pisać opinie, za którą wypłacą kilkakaset złotych, jeśli co druga z firm, za byle jaki wykład zapłaci wielokrotność tej sumy.

Sędzia: A człowiek, okoliczności w jakich popełnia przestępstwo stały się bardziej złożone, skomplikowane, stąd też dobry biegły psycholog, a często i psychiatra są bardzo potrzebni.

Profesor: Niebezpieczeństwo polega na tym, że są sędziowie gotowi zaakceptować bylejakie ekspertyzy biegłych. A poza tym – dziś wielu sędziów, o paradoksie, ma mniejsze niż ich starsi koledzy z poprzedniej epoki kompetencje do merytorycznej oceny tych opinii.

Sędzia: W ostatnich czasach mam też wrażenie, że powstała jakaś niewidzialna przeszkoda w komunikowaniu się między uczestnikami postępowania karnego – procesu sądowego. Coraz częściej jest tak, jak byśmy mówili różnymi językami. Nie wiem, czy to tylko kłopoty z koncentracją, czy chodzi o głębszy problem, dotyczący postaw społecznych. Mniej nawet dotyczy to trudności z uzyskaniem odpowiedzi na pytania stawiane oskarżonym. Ale nie tylko ja, wielu moich kolegów sędziów również ma ten sam problem, kiedy dochodzi do próby uzyskania od świadków odpowiedzi na kluczowe dla sprawy pytania. Niejednokrotnie dociekania sądu wywołują wręcz agresję.

Nie tak dawno wysoki funkcjonariusz policji pytany o kwestie ważne dla czynienia prawdziwych ustaleń w sprawie odpowiedział, że czuje się zaszczuty pytaniami sądu.

Kto, jak kto, ale to właśnie taki świadek winien rozumieć istotę zasad procesowych regulujących proces karny.

Abstrahując od powyższego przykładu – nie wiem, czy niepokój przestuchiwanych nie wynika aby z tego, że coraz więcej ma coś do ukrycia. Dawniej relacje między ludźmi były bardziej czytelne: pokrzywdzony był pokrzywdzonym, przypadkowy świadek był przypadkowym. Dziś, gdy sprawy niejednokrotnie mają tło porachunkowe, także związane z przestępczością zorganizowaną, sędzia musi mieć świadomość możliwości takich powiązań, uwarunkowań i konsekwencji z tego płynących dla czynienia prawdziwych ustaleń w sprawie. W praktyce zaś sędzia nie może dojść do porozumienia ze świadkiem, czy biegłym, bo ten nie znając swojej roli na tyle, by czuć się w niej pewnie, zaczyna reagować nerwowo, uciekać od udziału jednoznacznych odpowiedzi. Sędzia zaś nie może ustąpić, wszak w końcowym efekcie decyduje o czymś życiu.

Profesor: Dotknęła pani kwestii pewnego standardu etycznego. Ludzie trochę się zagubili w nowej rzeczywistości, z wielkim trudem przychodzi nam wskazać autorytety. A przecież tak naprawdę nic się nie zmieniło, nadal obowiązuje dziesięcioro przykazań.

Sędzia: I przychodzi taki „zagubiony” człowiek na salę rozpraw, gdzie sąd wydaje wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Dla oskarżonego często ta Rzeczpospolita jest pojęciem abstrakcyjnym. Pytany, czy był karany, odpowiada że był „jakiś” wyrok.

Kiedyś w sądzie panował klimat powagi, dochodzenia do prawdy. Pracy też było dużo, sędziowie też mieli swoje problemy osobiste, ale atmosferę w sądach tworzyli ludzie inaczej ukształtowani. Pierwsze strony gazet nie były wyrocznią, jak wyrok w danej sprawie powinien zapasać, a prokurator nie odważyłby się na sali rozpraw powiedzieć, że nie zna sprawy, bo przyszedł w zastępstwie. Nie było też wszechobecnego dziś pospiechu, presji, aby orzekać szybko, gdyż wszyscy potrzebują newsa na wieczorne wydanie wiadomości.

I w takiej atmosferze sędzia, na którym ciąży wielka odpowiedzialność, walczy o zachowanie autorytetu.

Profesor: Zatrzymajmy się na chwilę przy tym sędzim. Zwłaszcza w takim miejscu jak Warszawa. Powiedziała Pani, że nie ma ciągłości zawodowej. A więc utrwalonych zasad funkcjonowania.

Sędziowskie doświadczenie jest niezbędne, wszak za każdym razem wazą się losy człowieka. Na biegłym już nie ciąży aż taka odpowiedzialność. On wyroku nie wydaje, choć nie powinno to oznaczać, że opinię biegłego można kupić. A nie tak odległy jest czas, gdy za korupcyjne pieniądze opinii sądowo-psychiatrycznych było sporo, paradoksalnie zdecydowanie więcej niż w okresie komuny.

Inna rzecz, że organy ścigania wykorzystywały to patologiczne zjawisko do politycznych interesów, wykazania związków „wyszktałciuchów”, w tym lekarzy, z przestępczością zorganizowaną. Niestety, egzemplifikacji szukano na chybił trafił. W Warszawie ofiarą takich manipulacji stała się bardzo uczciwa, dobrze mi znana ordynator ze Szpitala Psychiatrycznego w Tworkach. Zapłaciła za to prawie rocznym aresztem. Szczęśliwie jej proces dobiega końca i wszystko wskazuje na to, że będzie uniewinniona.

Sędzia: Pozostanę przy swoim. Twierdzę, że 10–15 lat temu mniej było opinii powierzonej, nierzetelnych. Oczekiwanie sądów i sposób sporządzania przez biegłych opinii były zbieżne. Pamiętam opinię sądowo-psychiatryczną przygotowywaną także przy udziale Pana Profesora liczącą ponad 100 stron maszynopisu, w sprawie, gdzie oskarżony stanął pod zarzutem popełnienia dwóch zabójstw. W takiej opinii dla sądu i stron są istotne nie tylko końcowe wnioski, choć niejednokrotnie okazuje się, że uprawnieni do zapoznania się z nią czytają jedynie właśnie te końcowe wnioski.

A przecież ustawodawca wiedział, co czyni, pisząc o opinii, wydawanej przez biegłych, a nie o wnioskach. Tylko analizując całość opinii, śledząc tok rozumowania biegłego można dokonać oceny poprawności wniosków.

Profesor: Mówi pani o stustronicowej opinii. Dziś takie dysertacje są ewenementem. Odnoszę wrażenie, że biegłego nie za bardzo interesuje motyw działania sprawcy (pacjent), którego ma zbadać. Widzę czasami opinie skandaliczne, skopiowane z opisu innych przypadków, tylko dane osobowe pacjenta są zmienione.

Niedawno musiałem interwiewować w takiej sprawie. Prosił mnie koleś, który leżąc uzależniona od alkoholu, aby zrobić coś z opiniami pewnego biegłego o kilku pacjentach. Zobacz, mówią, jak są napisane. Patrzę, a tam z wyjątkiem danych osobowych we wszystkich przypadkach ta sama treść, słowo w słowo włącznie z bzdurną interpretacją testu Rotschacha. [Test plan atryamentowy]. Na jego podstawie wnioskuję się o nieswiadomych treściach psychicznych, cechach osobowości i zaburzeniach psychicznych – przyp. red.]. Na marginesie – umiejętnie posługiwanie się tym testem wymaga ponad stu godzin nauki i specjalnych szkoleń. W Polsce opanowało tę sztukę zaledwie kilka osób.

Na szczęście to, co wychodzi z Zakładu Psychologii Sądowej w Krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych spełnia najwyższe standardy. Tym bardziej sprzeniewierzenia się zasadom etyki zawodowej wymagają od naukowców ciągłego monitorowania. I trzeba o tym głośno mówić, ale nie na zasadzie sensacji. Ja mam jednoznacznie negatywny stosunek do wielu mediów z powodu ich niechęci do przedstawienia odbiorcom treści bardziej skomplikowanych, których nie da się zamknąć w dwóch zdaniach komentarza.

Sędzia: Czy zgodzi się Pan Profesor, że każda osoba oskarżona ma nadzieję, że zostanie sprawiedliwie oceniona? Jest naturalne oczekiwanie każdego człowieka, że będzie wysłuchany, nim ktoś dokona osądu jego uczynków. Uczciwość prowadzącego postępowanie przygotowawcze, jak też orzekającego sędziego, to także ściśle przestrzeganie obowiązującego prawa, szacunek dla prawa.

Czy młodzi prokuratorzy, sędziowie myślą dziś o tym, jak ich decyzje w poszczególnych sprawach mogą być oceniane za lat 20 czy 30? Nie wydaje mi się, choć przykłady z ostatnich lat wskazują, że należy liczyć się także z taką możliwością. Historia kołem się toczy – mawiamy. Będąc konformistą dziś możemy zyskać spokój, ale czy zapewnimy go sobie w przyszłości? Znane są przykłady, gdy okazywało się, że skazany, i to na karę najwyższą, miał guz mózgu. Czy tego również nie można było ustalić we właściwym badaniu i właściwym czasie?

Profesor: Mówimy tu o różnych nieprawidłowościach, ale dla mnie ważne są porcje. Czy to wynaturzenie czegoś wewnątrz systemu wymiaru sprawiedliwości, a może sięgają one dalej? Brakuje mi rzetelnej diagnozy konkretnych. Znam na przykład, jeśli chodzi o opiniowanie sądowo-psychiatryczne rzetelną analizę z dwóch konkretnych sądów okręgowych.

Z badań Ewy Habzdy-Siwiek przeprowadzonych kilka lat temu wynika jednoznacznie, iż diagnoza stanu psychicznego sprawców czynów zabronionych nie spełnia najczęściej podstawowych standardów diagnostycznych: jest powierzchowna, przeprowadzana z naruszeniem ustawowo określanych warunków badania sądowo-psychiatrycznego (ustawa o ochronie zdrowia psychicznego wymaga, by odbywały się one w warunkach zakładu psychiatrycznej opieki zdrowotnej). Te badania obejmowały także próbę opisu wpływu wspomnianej diagnozy na rozstrzygnięcia procesowe. Jest on niestety niewielki, uwzględniany w toczących się postępowaniach niechętnie i sporadycznie. Badanie stanu psychicznego sprawcy traktowane jest przez wielu prawników jako swoista formalność, nie mająca istotnego znaczenia procesowego.

Niskiej jakości opinii sądowo-psychiatrycznych i psychologicznych sprzyjają także zasady, które regulują kwestie wynagradzania za sporządzane opinie. Sądy niejednokrotnie nie wywiązują się terminowo ze swoich finansowych zobowiązań, czy też jednostronnie je zmieniają. Zapowiadane od lat nowe regulacje ustawowe dotyczący między innymi obiektywizacji zasad wynagradzania biegłych poprzez przyjęcie stawek godzinowych, nie mogą doczekać się ostatecznej realizacji. Stan ten sprzyja „chałturzeniu”, niskiej jakości wydawanych opinii, zniechęca bardziej doświadczonych biegłych do sporządzania ekspertyz, sankcjonuje i usprawiedliwia działania pozorne i powierzchnowe. O tym, iż status biegłego nie jest dziś zbyt wysoki, świadczą także opinie zawierające nierzetelne i nieprawdziwe diagnozy, wydawane na zamówienie tych podejrzanych, oskarżonych czy skazanych, którzy dysponują dużymi możliwościami finansowymi. Mówiąc wprost – psychatria sądowa nie jest niestety wolna od korupcji. Nagląca jest więc potrzeba podjęcia przez środowisko psychiatrów i psychologów sądowych takich inicjatyw organizacyjnych, które z jednej strony zapewnią możliwość godziwej rekompensaty za sporządzane opinie, z drugiej, pozwolą na napiętnowanie tych biegłych, którzy łamią podstawowe zasady etyczne czy prawne. Wymaga to stworzenia bardziej skutecznego systemu nadzoru i kontroli nad biegłymi, zaostrożenia systemu kwalifikacji ich kompetencji merytorycznych i moralnych.

Sędzia: Zmieniło się społeczeństwo w ciągu ostatnich dwudziestu lat. A więc zmienił się też sąd, atmosfera na salach rozpraw. Dostrzegam duży wpływ oddziaływania na masową wyobraźnię telewizyjnego serialu *Sędzia Anna Maria Wesołowska* i niestety nie jest to dobre. Nie znając zasad postępowania przed sądem ci, którzy oglądają odcinki serialu wyobrażają sobie, że tak wygląda prawdziwy sąd i kiedy znajdują się już w nim, zaczynają zachowywać się wedle wzorców dostrzeżonych na szklanym ekranie. Tylko, że życie i obowiązujące przepisy prawa, ich stosowanie, to nie jest fikcja. Czy media tak bardzo zawładnęły wyobraźnią, że wiedza z nich czerpana jest ważniejsza niż słowa sędziego, także te zawarte w uzasadnieniach orzeczeń?

Problemem jest, że medialne informacje o toczących się przed sądami sprawach nie idą w parze ze znajomością akt tych postępowań przez wywiadowców na ten temat. Sama tego doświadczałam nieraz, a sędzia poniżany nie ma możliwości odpowiedzieć, bronić się. Ocenę materiału dowodowego będzie przedstawiał dopiero po ogłoszeniu wyroku, ale często w pustej sali i przy całkowitym braku zainteresowania tych, którzy już w mediach wydali wyrok. I w sprawie i na sędzię.

Profesor: Żyjemy w czasach ogromnej presji mediów. Ten wrzask odbija się również na atmosferze tworzenia nowych przepisów prawnych. Obserwowałam z niepokojem, co się dzieje w związku z, nazwijmy to umownie, postulatami chemicznej kastracji pedofilów. To ewidentny przykład, jak nie należy poprawiać prawa w kłopotliwej sytuacji. Włożyłem wiele wysiłku, aby ustawa miała właściwy kształt i co wyliczyć? Prawnego znaczenia nabrała bzdura – jak należy za pomocą psychoterapii obniżyć siłę popędu seksualnego.

W ogóle cały proces tworzenia prawa w naszej rzeczywistości nie przebiega zgodnie ze standardami, które powinny być zachowane. Emocje społeczne są najgorszym klimatem i motywacją do tego, żeby znaleźć sposób na tych nieszczęśliwych seksualnych przestępców. Bo więzienie to tylko izolacja. Są na świecie pewne wzorcowe systemy i modele jak postępować w takich przypadkach – my, specjaliści, znamy je. Tymczasem zmieniającym kodeks karny wydawało się, że jeśli upchną na oddziałach terapeutycznych zakładów karnych seksualnych przestępców, problem będzie rozwiązany. A nam wiadomo, że nie będzie. Być może jest to miejsce, gdzie należałoby rozpocząć pewne oddziaływanie terapeutyczne, ale tylko rozpocząć. To, co stworzono, czemu nadano rangę ustawy, nie będzie funkcjonować. Nie mówiąc już o tym, że nie ma niemal nikogo w kraju, kto by wiedział, jak taką terapię, żeby spowodowała obniżenie seksualnego popędu, prowadzić w praktyce. Kodeks karny nie jest miejscem, gdzie się mówi lekarzom, jak mają leczyć.

Sędzia: Oczywiście warto korzystać ze sprawdzonych na świecie metod, chociaż jeśli chodzi o rozwiązania prawne, należy to czynić rozważnie. To, co sprawdza się w społeczeństwie o utrwalonej demokracji, żyjącym w poszanowaniu stabilnego prawa, w naszych warunkach może przynieść odwrotny od zamierzonego efekt. Podobnie bywa z rozwiązaniami, z których w innych krajach się wycofują, a my po nie dopiero sięgamy.

Czasem też chcemy prześcignąć innych, jak to np. stało się z daleko idącymi przywilejami dla świadków koronnych, zawartych w obowiązującej u nas ustawie.

Profesor: Jeśli chodzi o dziedziny psychiatrii, czy psychologii, myśmy, w początku lat 90. XX wieku uważnie penetrowali zagraniczne metody, doświadczenia. I dobrze

wiedzieliśmy, że nie da się przejąć pewnych instytucji, czy pewnego rozwiązania, na przykład holenderskiego, w całości. Wszystko to uwzględnialiśmy.

Z pełną świadomością, iż z wielu względów niemożliwe jest mechaniczne przejęcie wzorów, a zwłaszcza systemów funkcjonujących w różnych państwach Unii, można i należy podjąć próbę inkorporacji do polskiego modelu psychiatrii sądowej konkretnych, wypróbowanych i sprawdzonych rozwiązań i elementów modeli, które mogą i powinny funkcjonować w polskiej rzeczywistości. Wymaga to dokonania pewnej selekcji informacji i konkretnych rozwiązań organizacyjnych uwzględniających kulturową specyfikę naszego kraju, jego możliwości finansowe czy kadrowe. Działania takie muszą charakteryzować się specyficznym pragmatyzmem i realizmem zmuszającym do wskazania tego, co niezbędne i konieczne, aby w podstawowych wymiarach sprostać standardom europejskim. W efekcie możliwe będzie stworzenie swego rodzaju meta systemu czy meta-modelu o stosunkowo wysokim poziomie ogólności. Wymaga to uchwylenia i wskazania tego, co jawi się jako najważniejsze i niezbędne do tego, aby w stosunkowo krótkim czasie i przy ograniczonych możliwościach organizacyjno-finansowych mogło dojść w Polsce do stworzenia nowoczesnego systemu psychiatrii sądowej.

Ale nasze propozycje, a także zastrzeżenia gdzieś się rozplynęły, znikły, powstał nowy przepis w kodeksie karnym (art. 95), który cofnął nawet pewne możliwości terapii ze starego kodeksu.

Sędzia: Obawiam się, że obecnie dość łatwo zrobić z kogoś przestępcę seksualnego, np. oskarżyć współmałżonka w czasie, gdy toczy się postępowanie rozwodowe lub wszystko do takiego postępowania zmierzają. Podobnie zagrożona może być sytuacja wymagających nauczycieli.

Czy prześcigające się w sensacjach media nie podsuwają też różnych pomysłów, a chęć zaistnienia choć przez chwilę w środkach masowego przekazu nie wygrywa z zasadami i zwykłą uczciwością? Dotarcie do prawdy bywa trudne, a ocena zeznań świadków oraz emocje wymagają wiedzy z zakresu psychologii.

Profesor: To są problemy, które wszędzie na świecie jakoś się rozwiązuje. U nas często pojawiają się fale, bo media pracują na emocjach swych odbiorców.

Sędzia: Z uznaniem słuchałam ostatnio doniesień o staranności w pracy policjantów, którzy wyjaśniali sprawę seryjnego gwałticiela w okolicy Zielonej Góry. Dzisiaj mało kto chce tak dociękać prawdy już na etapie postępowania przygotowawczego.

Zapomina się o tym, że jedną z naczelnych zasad postępowania karnego jest zasada obiektywizmu, nakazująca organom prowadzącym to postępowanie badać i uwzględnić okoliczności przemawiające zarówno na korzyść, jak i niekorzyść

oskarżonego czy podejrzanego. Ten przypadek z Zielonej Góry może napawać optymizmem.

Profesor: W naszym Instytucie leżą dziesiątki akt takich spraw, w których zwrócono się do nas o ocenę wiarygodności zeznań pokrzywdzonych. W przytoczonym przykładzie być może doszło do dwóch, czy trzech napaści z przyczyn seksualnych, ale w tak dużym mieście to musiało się zdarzyć ze względu w statystycznych. Motywacja rzekomych ofiar do wywoływania fałszywego alarmu była różna, ale ogólnie łączą ją chęć zainteresowania sobą dziennikarzy. W ich zeznaniach były złamane podstawowe zasady psychologii, nic się nie chciało złożyć, ale to też wymagało szczególnego zbadania.

Jeszcze bardziej niebezpieczna jest sytuacja, gdy nie można dojść do prawdy. A prokurator, gdy nie wie, jaka jest prawda, boi się, że postawią mu zarzut niekompetencji. Woli upierać się przy jakiejś niepotwierdzonej materiałem dowodowym wersji.

Pani mówi o czymś, co jest patologią w funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości, w etyce zawodowej. Dla mnie też jest to żenujące, że co chwile spotykam się z sytuacją, kiedy podstawowe zawodowe standardy oddadane są na bok, a dzieje się coś, co narusza je w poważnym zakresie. Ale nie może być tak, że wszystko wokół nas jest patologiczne. Szukam czegoś, co jest zrównoważeniem tak pesymistycznej oceny. Wierzę, że są tacy sędziowie, którzy rzetelnie sądzą.

Sędzia: Ja też wierzę, że są znakomicie przygotowani do zawodu sędziowie, którzy nie bacząc na trudności, o których rozmawialiśmy, wykonują swe obowiązki perfekcyjnie. Czasami myślam wracam do czasów, gdy Sąd Najwyższy był sądem II instancji dla spraw rozpoznawanych w Sądzie Wojewódzkim jako sądzie I instancji. Dawalo to chyba lepszą możliwość wglądu sędziom SN w bieżące problemy, z jakimi na co dzień muszą radzić sobie sędziowie sądów powszechnych. A że tych trudności i problemów sędzia ma coraz więcej, jest to oczywiste, choćby patrząc na lawinowo rosnącą liczbę przypadających na niego spraw i ich coraz bardziej złożony charakter.

Powrótny więc tylko za Montesquiszem: „Nie pytam, jakie są prawa, ale jak są sędziowie”.

Spisala: Helena Kowalik

Zebrał materiał do *Warszawy kryminalnej* zajęło mi prawie cztery lata. W stołecznych sądach mniej więcej tyle trwa osądzenie jednej sprawy karnej. Inna rzecz, że wydanie nieprawomocnego wyroku nie kończy procesu. Są jeszcze apelacje, ewentualna kasacja wyroku w Sądzie Najwyższym.

Meja perspektywa przy pisaniu książki to widok z ławy dla publiczności. Przede wszystkim w sali rozpraw, ale też na korytarzu sądowym, przy stoliku z aktami w sekretariacie wydziału karnego, w pokoju więźni aresztu.

Dla obserwatora proces na sali sądowej, to nie tylko żmudne dochodzenie do prawdy, ważenie winy, miejsce czyjeś dramatu, ale też swoiste theatrum odgrywane przez siedzące naprzeciw siebie strony. Oskarżeni walczący o jak najlagodniejszy wyrok mogą w swej obronie klamać i często robią to. Ich adwokaci mają ograniczoną potrzebę manipulowania świadkami, wszak przyświeca im jeden cel – obrona klienta, co niekoniecznie znaczy trzymanie się prawdy.

Prokuratorzy teoretycznie wiedzą, że ich decydująca rola w sprawie skończyła się wraz z napisaniem aktu oskarżenia i teraz wszystko to będzie weryfikowane na sali sądowej. W praktyce często albo nerwowo reagują na wytknięcie im przez sąd błędów popełnionych w postępowaniu przygotowawczym, albo zachowują się tak, jakby w czasie samego procesu nie mieli już nic do zrobienia. Brakuje w aktach ważnych dokumentów, niech sąd uzupełni. Trzeba przesłuchać z tego powodu dodatkowo kilkadziesiąt świadków, to też robota dla sądu. Ważne, że sprawa została z prokuratury wypchnięta, zaliczona.

Na ponad trzydzieści spraw, które obserwowałam, tylko w dwóch w ławie oskarżyciela od początku do końca siedziała ta sama osoba w todzie z czterwonymi występami. Dziewięciu różnych prokuratorów (i tylko raz referent sprawy) na procesie dr Urszuli Ludwikowskiej przed Sądem Rejonowym w Pruszkowie, to wcale nie rekord.

Obróńcy trafnie nazywają takich oskarżycieli słupami. Słupy przeczornie nie zadbają pytań, bo nie mają akt, nie orientują się, czy doszło do jakichś zwrotów w czasie długiego procesu, nie mają żadnych wniosków. Gdy nadchodzi czas na wystąpienie o karę, mają ją napisaną przez szefa na obwołanie akt podręcznych.

Doświadczeni sędziowie warszawscy twierdzą, że jeszcze 10–15 lat temu takiego lekceważącego stosunku do sądu ze strony organów ścigania nie było. Decydujący był moment, gdy po zmianach w kodeksie postępowania karnego w praktyce uniemożliwiono sądom zwrot do prokuratury złe przygotowanych spraw. A tych przybывало, również z powodu szukania tzw. haków na politycznego przeciwnika.

Obrona też już wygląda inaczej. Na sali sądowej jest coraz więcej młodych aplikantów zastępujących renomowanych adwokatów ze znanych kancelarii. Z powodu braku czasu i gonienia za zarobkiem nie mają zbyt wiele okazji podejrzyć w pracy swych mistrzów, wprowadzają więc swoje zwyczaje. Nie tylko nie garną się do aktywnego uczestnictwa w rozprawie (oczywiście są wyjątki), ale często podczas

przewodu sądowego zamiast przynajmniej słuchać stron, są zajęci pisaniem na laptopie. Nie wiadomo, czy to prywatna korespondencja, czy notatki z rozprawy. Doremne jest też oczekiwanie na ich popisy oratorskie. Nerwowość raczkującego w zawodzie pełnomocnika, dyskretne wysyłanie pod pulpitem ławy SMS-ów, częste spoglądanie na zegarek czy na drzwi, w których powinien pojawić się kolejny substrytut na podmianą, to częsty widok na sali sądowej.

Wiecznie spieszący się młodzi adwokaci raczej nie mają zaprzyjaźnionych dziennikarzy wśród sprawozdawców sądowych i chyba im na takiej reklamie nie zależy. Sprawiają wrażenie, jakby nie identyfikowali się ze swymi klientami. Ciągłe gdzieś biega.

I w oku tego cyklonu sędzia, który w momencie, gdy założy łańcuch z godłem Polski traci nazwisko – jest reprezentantem państwa i w jego imieniu orzeka. Nie ma tu miejsca na pogłębioną charakterystykę tego zawodu, ale do jednego problemu chciałabym się jednak odnieść – powszechnie mówi się o opieszłości sądów, zwłaszcza w Warszawie. To często niesprawiedliwa opinia. Przyczyny są bardziej złożone.

Owszem, bywa, że oskarżeni mają pecha – zachoruje sędzia albo pójdzie na urlop. macierzyński niededy po latach trwania procesu, wobec zmiany składu sędziowskiego, trzeba wszystko zaczynać od nowa. Ale znacznie częściej przedłużający się proces jest efektem braków w zgromadzonym materiale dowodowym lub błędów popełnionych na etapie postępowania przygotowawczego. W takiej sytuacji najprościej byłoby zwrócić akta prokuraturze, niech jeszcze nad sprawą popracuje. Jednakże to wymaga zgody sądu apelacyjnego, który zazwyczaj każe wnieść sprawę na wolkandę. I wszystko uzupełnia się w biegu.

Są też sprawy, które kryją w sobie wątki nie podchwyczone w czasie śledztwa. Jeśli trafią w ręce dociekiwego sędziego, z natury rzeczy proces wydłuża się o nowe okoliczności, których wyjaśnienie jest niezbędne do wydania sprawiedliwego wyroku. Obserwowałam to na rozprawach pewnej oskarżonej z warszawskiej Pragi, która, gdy dowiedziała się, że gangsterzy wydali śmiertelny wyrok na jej męża, notabene również członka mafii, każała zabić wykonawcę wyroku. Osądzenie sprawy wymagało od sędzi poznanie i zweryfikowanie wielu wydarzeń dotyczących przepiękności zorganizowanej w Warszawie, a pominiętych lub zlekceważonych na etapie dochodzenia.

Kodeks karny jest ten sam, procedura taka sama, ale to ludzie decydują o losie oskarżonego. I wszystko zależy od tego, jak dalece odpowiedzialnie traktują swój zawód. Czy chcą dociec prawdy? Wyjaśnić niejasności, mimo zniecierpliwienia stron?

Widziałam proces – o dziwo w sądzie wojskowym, który dotąd kojarzył mi się z rygorystycznym przestrzeganiem przepisów – gdzie sędzia bardzo szybko przechodził do odczytania zeznań świadka z śledztwa, nie zadając sobie trudu dociekania wcześniej, co mu wiadomo w sprawie i dopiero potem skonfrontowania z tym, co zeznał przed prokuratorem.

A na innym procesie milczący sędzia pozwalał oskarżonemu (między innymi o mobbing podwładnych) na upokarzanie świadków zeznających na jego niekorzyść, co dawało ten skutek, że zeznania kończyły się na jednym zdaniu.

Takie zachowania są możliwe również dlatego, że dziś rozprawy toczą się bez publiczności. Wieści z sal sądowych nie docierają też do szerszej opinii za pośrednictwem mediów, bo nie ma ich na rozprawie.

Owszem, czasem dziennikarze przychodzą na rozpoczęcie procesu, a po kilku latach na ogłoszenie wyroku. Jeśli sprawa jest medialna, w użycie idą kamery, są fotoreporterzy. Ale prawdziwych sprawozdawców sądowych można policzyć na palcach jednej ręki. Bo ile redakcji stać na regularną obsługę jednego procesu przez cztery albo i więcej lat? Poza tym proces sądowy to nie fajerwerk. Gdy trwa zmuśnane przesiłuchiwanie świadków, często niewiele wnoszących do sprawy, podsypiają ławnicy, czasem chrapią konwojenci.

To już znacznie ciekawiej jest na korytarzu sądowym.

Gdy konwój prowadzi oskarżonych w czerwonych kombinezonach, ambicją ich dziewczyn jest rzucić się na szyję swojego chłopaka nim zareaguje groźnie wyglądający antyterrorysta. Taki wycyzyn-nie ma nic z intymności – to dawka adrenaliny, konkurencja sportowa, przez gapiów przyjmowana z aprobatą. Związszcza, że narzeczona, konkubiny groźnych kryminalistów bardzo odstają wyglądem od zwykłych interesantów w gmachu sądu. Na korytarzu robią wiele hałasu, biegając w butach na wysokich szpilekach i głośno rozmawiając przez telefon. Aby spodobać się swemu mężowi, latem paradują z gołymi, opalonymi w solarium brzuchami (w środku pępka klejnocik-blyskotka). Noszą szorty tak podcięte, że niewiele z nich zostało, i bluzki z ogromnymi dekolantami. A gdy spętani łańcuchami mężczyźni idą na salę rozpraw, pary wykrzykują do siebie knajackim żargonem.

Od tej rubasznej, demonstracyjnej wesołości młodych przestępców jakże odstają zachowania ich rodziców, którzy czekają na rozpoczęcie procesu. Ci nie nadrabiają minami, są autentycznie przygnębieni i jeśli mają okazję wyzaliczyć się obcemu (jestem pod ręką) przekonują, że ich dziecko jest niewinne. Nawet jeśli doszło do zabójstwa, to dlatego, że młody człowiek wpadł w złe towarzystwo. Widać, że dawno stracili kontakt z dorosłym synem, mogą się tylko domyślać, skąd ma pieniądze, skoro nie pracuje i żadnego zawodu się nie wyuczył. Ale korytarz sądowy to nie profesjonal, to nie miejsce na wylizanie grzechów wychowawczych. Dla matek jest ważne, aby zakuty w kajdany mięśniak z byczym karkiem i bicepsami po sterydach zjadł w czasie przerwy w rozprawie kanapki z szynką. Więc biegają za konwojem z pełną reklamówką objijającą się im po nogach, proszą zdyszani funkcjonariusza, aby okazał się czlowiekiem, przymknął oko...

Zropaczonych rodziców widziałam też w sytuacji, gdy starali się o przepustkę na widzenie. Niektórzy, wyglądem zdradzający, że zawsze byli na dnie drabiny społecznej, z widocznym wstydem podawali urzędnicze, kim jest dla nich arezstant.

Mimo chodem obserwowałam te reakcje, czytając akta w sekretariacie V Wydziału Karnego Warszawa-Praga. Pracujące tam panie Wiesława Winiarek i Monika Perkowska starały się oszczędzić interesantom stresu. Życzliwie uśmiechnięte, odrywały się od swych wymagających skłapienia obowiązków i pomagały napisać podanie, zadzwoniły gdzie trzeba.

Jak jest to ważne również dla wizerunku instytucji wymiaru sprawiedliwości przekonałam się, gdy chciałam przed Bożym Narodzeniem podać paczkę pewnemu osadzonemu w areszcie na warszawskim Służewie. Po oczekaniu w kolejce trzech godzin na obskurnym korytarzu bez jednego krzesła, zostałam wywołana przez młodą funkcjonariuszkę jako numer 1 do końca bytności w tej kamerze nie miałam nazwiska, nawet wówczas, gdy głośno strofowała mnie, że w kartonowym pudle nie ma foliowej torby do przepakowania zawartości. Paczkę musiałam podać klęcząc na podłodze, bo na tej wysokości był otwór, przez który się ją wpychało do zamkniętego przed obcymi pomieszczenia.

Prawdopodobnie, gdybym powiedziała, że jestem dziennikarką i zbieram materiał do reporterskiej książki, weszłabym na widzenie bez tych kilku godzin podpirania ściany nieogrzewanego baraku. Ale wtedy rzeczywistość w mojej książce byłaby lukrowana. A ja chciałam napisać tak, jak bym to zeznawała pod przysięgą.

Helena Kowalik

Pragnę serdecznie podziękować sędziom: Barbarze Pivnik, Elżbiecie Gajowniczek i Dorocie Radlińskiej za dyskretną naukę szacunku dla prawa oraz Maciejowi Gierosowi z sekcji prasowej Sądu Okręgowego w Warszawie za to, że był mi przewodnikiem w gąszczu sądowych sygnatur.

Helena Kowalik jest autorką zbiorów reportaży: *Wyjście z lasu* (Iskry 1977 – wyróżnienie redakcji „Życia Literackiego” za książkę roku), *Pan wiesz, skąd ja jestem* (Iskry 1978), *Chleb, który nie bodzie* (KAW 1978), *Melizna* (Iskry 1978), *Mali ludzie Gierka* (Omnibus 1990), *Opolski exodus* (Wojewódzki Ośrodek Informacji Naukowej w Opolu 1990).

Ponadto drukowała reportaże w serii *Ekspres reporterów* (KAW) oraz w serii wydawniczej *Białe Plamy* (Oficyna Literatów Rój).

W latach 2006-2007 wydawała swoje reportaże w cyklu *Reportaży na tropie* (Ostrowy).

Jest autorką powieści *Czlenio* (Branta 2008) i *Córka Kaina* (Branta 2009).

Za osiągnięcia reporterskie otrzymała I Nagrodę im. Ksawerego Pruszyńskiego oraz III nagrodę im. B. Prusa.

Prowadzi stronę internetową z reportażami www.trop-reportera.pl